



DAVID DRAKE

JAK BŁYSKAWICE



DAVID DRAKE
JAK BŁYSKAWICE
ISA
GTW

JAK BŁYSKAWICE

Tytuł oryginału: WITH THE LIGHTNINGS

Copyright © 1998, 2006 David Drake.

Wszystkie postacie występujące w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób prawdziwych, żyjących lub nie, jest całkowicie przypadkowe.

Projekt okładki: Gabriela Becla i Zbigniew Tomecki

Wydanie I

Wydawca: ISA Sp. z o.o.

Tłumaczenie: Jerzy Marcinkowski

Korekta: Joanna Kułakowska

Skład: KOMPEJ

ISA Sp. z o.o.

Al. Krakowska 110/114

02-256 Warszawa

tel./fax (0-22) 846 27 59

e-mail: isa@isa.pl ISBN: 83-7418-121-4

ISBN: 978-83-7418-121-1

DEDYKACJA

Dla A[rielle] Heather Wood
Szerzej znaną jako *Ta* Heather Wood

PODZIĘKOWANIA

Obawiam się, iż kiedy jestem skupiony na jakimś projekcie, bardzo intensywnie wykorzystuję maszyny i ludzi. Maszyny objawiają tendencję do psucia się; ludzie, moi przyjaciele - nie. Serdeczne podziękowania dla Dana Breena, Jima Baena i Toni Weisskopf, Marka L. Van Name'a i Allyn Vogel, Sandry i Johna Mieselów oraz mojej żony, Jo.

Ja, który z handlem podążyłem
Tam, gdzie wykuwają Błyskawice...

- Kipling

NOTKA O MIARACH I WAGACH

Jako iż większość moich powieści dzieje się albo w odległej przeszłości, albo w dalekiej przyszłości, regularnie zmagam się z kwestią, czy używać systemu miar i wag znanego czytelnikowi, czy przeciwnie: odzwierciedlać w ten sposób różnice, jakie przynosi czas. W tym przypadku postanowiłem skorzystać z jednostek angielskich i metrycznych, zamiast wymyślać inny, acz porównywalny system.

Miary i wagi za tysiące lat, moim zdaniem, będą różnić się od dzisiejszych równie kolosalnie, jak te odmienne są od talentów i stadionów, znanych w klasycznej Grecji. Te systemy przyszłości mogą różnić się pomiędzy sobą tak dalece, jak odbiegały od siebie standardy Eubei i Eginy. Mam nadzieję, iż mój czytelnik nauczy się czegoś z niniejszej książki, równocześnie dobrze się bawiąc, jednak nie sądzę, aby świat zyskał na wymyśleniu przeze mnie nowego systemu miar.

Księgapierwsza

Porucznik Daniel Leary, odziany w czarnoszary mundur Drugiej Klasy Floty Republiki Cinnabaru, przechadzał się ulicami Kostromy. Udawał się do Pałacu Elektora, ale nie spieszyło mu się zbytnio. Naprawdę nie widział powodów, przez które nie miałby napawać się urzeczywistnieniem jednego z dziecięcych marzeń: o spacerowaniu po odległym świecie i oglądaniu na własne oczy jego cudów.

Inne marzenie - dowodzenie kosmicznym statkiem - ziści się (jeżeli w ogóle) w odległej przyszłości; zdaniem Daniela było to tak dalekie, jak dzieciństwo od jego obecnego wieku 22 ziemskich lat.

Teraz miał Kostromę i było to wystarczająco cudowne. Zagwizdał fragment melodii granej przez kapelę w klubie, który odwiedził poprzedniej nocy.

Uśmiechnął się tak ciepło, że mijani na ulicy nieznajomi odwzajemniali się uśmiechami. Poznana w klubie dama z Kostromy miała na imię Silena. Honor - zarówno Leary'ego z Bantry, jak i FRC - wymagał, aby Daniel zaoferował pomoc, gdy jej młody kompan spił się tak, że stracił przytomność. Silena była bardzo wdzięczna i już po kilku minutach spędzonych w jej pokoju przestała przejmować się urazą do poprzedniego towarzysza.

Wzrost Leary'ego tylko nieznacznie przekraczał średni, a lekka skłonność do tycia zaznaczała się zwłaszcza na jego rumianej twarzy. To zaokrąglenie i szczerokość oblicza czasami sprawiały na nieznających go ludziach wrażenie miękkości. Nic bardziej błędnego.

Środkiem szerokiej ulicy biegł kanał. Za dnia pływały nim jedynie małe łodzie, wodne taksówki i lekkie pojazdy dostawcze. Nocą zaś przestrzeń pomiędzy kamiennymi nabrzeżami wypełniały barki załadowane budulcem, głośno domagające się ustąpienia im drogi. Chodnikami, po obu stronach, przewalały się tłumy pieszych i trójkołowych pojazdów; cięższe pojazdy pojawiały się dopiero po zmroku - podobnie jak na kanałach.

Gospodarka Kostromy kwitła dzięki międzygwiazdnemu handlowi, a większość tego bogactwa inwestowano tutaj, w stolicy. Zamożni kupcy wznosili domy, a stara arystokracja rozbudowywała rodowe pałace, nie chcąc zostać w tyle.

Ludzie pozostający na niższym szczeblu drabiny społecznej - urzędnicy z domów kupieckich, kosmonauci z floty handlowej Kostromy i robotnicy pracujący w zaopatrujących statki kosmiczne fabrykach i przetwórniami ryb - również coś niecoś zyskiwali. Oni także chcieli lepszych mieszkań i gotowi byli za nie zapłacić.

Daniel szedł, pogwizdując i zachwycając się widokami. Ludzie nosili kolorowe stroje o nieznanym mu kroju. Wielu z nich rozmawiało w lokalnych dialektach: Kostroma była wodnym światem, którego wyspy wydały setkę różnych języków podczas długiej Przerwy w międzygwiazdnych podróżach. Nawet osoby władające uniwersalnym - powszechną mową planety, a zarazem wspólną dla całego kosmicznego handlu - mówili z akcentem obcym dla cinnabarskich uszu.

Cywilizacja nie znikła z Kostromy, jak miało to miejsce na tyłu innych światach skolonizowanych podczas pierwszego okresu kosmicznych podróży człowieka, lecz pozbawione jednoczącego powabu gwiazd społeczeństwo podzieliło się. Stulecia, jakie minęły od powrotu tego świata do międzygwiazdnej wspólnoty, nie w pełni zaleczyły społeczną tkankę: obecny elektor, Walter III, z rodu Hajasów, objął rządy w wyniku przewrotu niespełna sześć miesięcy temu.

Nikt nie wątpił, że Walter zamierza podtrzymać tradycyjną przyjaźń z Republiką Cinnabaru, ale

nowy elektor potrzebował pieniędzy. W obliczu toczącej się wojny pomiędzy Cinnabarem a Sojuszem Wolnych Gwiazd samo napomknienie Waltera, iż może nie odnowić wygasającego za trzy miesiące Paktu Wzajemnego, wystarczyło do ściągnięcia wysokiej rangą delegacji Republiki.

Młody oficer westchnął. Wysoka rangą delegacja z jednym młodszym porucznikiem, dorzuconym dla dodania wagi. Niemal na pewno wysłano go, ponieważ był synem potężnego polityka - Cordera Leary'ego, byłego mówcy Senatu Cinnabaru. Złe stosunki młodzieńca z ojcem nie stanowiły dla FRC tajemnicy, ale tajniki i zawiłości cinnabarskich układów rodzinnych nie były raczej powszechnie znane na Kostromie.

Z bramy wyszedł jakiś człowiek i wcisnął się w tłum, wykrzykując ostatnie instrukcje do kogoś w budynku. Daniel ominąłby go, gdyby miał miejsce. Niestety, nie miał i potracił obcego ramieniem. Większy Kostromanin zatoczył się do tyłu ze zdziwionym chrząknięciem.

Nikt nie zauważył tego incydentu - typowego dla życia w mieście. Porucznik poszedł dalej, z zainteresowaniem przypatrując się rzeźbionym lampom i wolutom, upiększającym bezpretensjonalną, czteropiętrową kamienicę.

Kostromanie nie pojedynkowali się tak, jak niekiedy czynili to członkowie bogatych rodów Cinnabaru. Z drugiej strony - zatargi i zamachy stanowiły akceptowane części składowe stylu życia na tej planecie. Daniel przypuszczał, że można się do tego przyzwyczaić.

W Xenos, stolicy Cinnabaru, prawdziwi magnaci, jak Corder Leary, poruszali się po ulicach w otoczeniu co najmniej 50 klientów, z których część mogła być nawet senatorami. Schodziłeś im z drogi, inaczej drągale w liberiach odpychali cię na bok. Wolni obywatele najdumniejszej republiki w galaktyce akceptowali - wręcz oczekiwali - że ich przywódcy będą zachowywać się w taki sposób. Kto słuchałby człowieka, któremu brakowało poczucia własnej wartości?

Ptaki świergotały, ciasnymi skrętami przenosząc się z jednego dachu na drugi. Były istotami powietrznymi - tak samo jak łuskowate „ptaki” na Cinnabarze, skrzydlate amfibia Sadastoru czy latające stworzenia z tysięcy innych światów odwiedzonych i skatalogowanych przez ludzi. Szczegóły pozostawiano naukowcom do opisanie i bystrookim amatorom, takim jak Daniel Leary, do zachwycania się.

Podczas ostatniej sprzeczki Daniel zapowiedział, że nie przyjmie niczego od ojca, ale to nazwisko „Leary” sprowadziło go na Kostromę. Cóż, nazwisko należało mu się z mocy prawa; nie był to dar tatusia. Nie wyznaczono mu żadnych obowiązków pokładowych, oficjalnie nie należał nawet do delegacji admirała Martiny Lasowskiej, niemniej dotarł do gwiazd.

W porównaniu z flotami Cinnabaru i Sojuszu flotylla Kostromy była mała, choć i tak zbyt duża, by pozostać sprawną. Kostromańscy kapitanowie i marynarze doskonale znali swój fach, lecz flota kupiecka przyciągała większą - i lepszą - część personelu. Większość marynarzy stanowili cudzoziemcy; oficerami zostawali przeważnie ludzie, którzy przedkładali uroki życia w stolicy nad trudy podróży. Statki spędzały większość czasu z zapieczętowanymi lukami i inwentarzem złożonym w magazynie, unosząc się w lagunie zwanej Jeziorem Floty, na południe od miasta.

Na Pływającej Przystani lądował statek kosmiczny. Porucznik obrócił się, by go sobie dokładnie obejrzeć, zsuwając z czapki gogle dla ochrony przed blaskiem.

Jednostki kosmiczne startowały i lądowały na wodzie zarówno ze względu na spustoszenia, jakie ich plazmowe silniki poczyniłyby na ziemi, jak i dlatego, iż woda idealnie nadawała się do przemiany w plazmę. Po opuszczeniu atmosfery planety statki używały znacznie wydajniejszego Szybkiego Napędu, wykorzystującego proces konwersji materii w antymaterię, jednak zbyt wczesne przejście na Szybki Napęd równało się katastrofie.

Kiedyś Port Kostromy obsługiwał cały ruch, lecz od pokolenia z miejskich przystani korzystały

wyłącznie jednostki naziemne. Zbudowana z pustych, betonowych pływaków Pływająca Przystań przyjmowała statki kosmiczne pół mili od brzegu.

Pływaki połączono w sześciokąty tłumiące fale, wywoływane startami i lądowaniami, oraz izolujące poszczególne statki niczym larwy w komórkach ula. Morskie okręty cumowały na zewnątrz, gotowe do dostarczania i odbierania ładunku.

Ładująca jednostka była mała - miała nie więcej niż trzysta ton wyporności - jacht lub, co bardziej prawdopodobne, rządowy statek kurierski. Złożone wzdłuż kadłuba maszty wskazywały, że statek należało do promieniowania Cassiniego.

Kształt kadłuba oraz to, w jaki sposób zamontowano dwie z czterech dysz Szybkiego Napędu na odsadniach, zdradzały produkt systemu Pleasaunce, stolicy związku o zwodniczej nazwie Sojusz Wolnych Gwiazd. Co doskonale pasowało, gdyż statek był nieuzbrojony. Kostroma zachowywała neutralność, handlując z obydwoma stronami konfliktu.

Prawdziwa wartość Kostromy dla walczących stron kryła się nie w jej flocie bojowej, tylko kupieckiej, a także w rozległych kontaktach handlowych, szczególnie z tymi regionami ludzkiej diaspory, z którymi ani Cinnabar, ani Sojusz nie utrzymywał znaczących stosunków bezpośrednich. Z formalnego punktu widzenia Pakt Wzajemny jedynie gwarantował prawo do lądowania na Kostromie dla okrętów wojennych Cinnabaru. Inne nacje miały obowiązek zatrzymywania się w odległości dziesięciu minut świetlnych.

Jednak dzięki nieoficjalnym układom neutralne statki Kostromy przewoziły ładunki na Cinnabar, lecz nie na światy Sojuszu. To była przewaga, za którą generał Porra, gwarant Sojuszu, oddałby swoje lewe jądro.

Statek kurierski wylądował w gigantycznej chmurze pary; huk lądowania rozległ się kilka sekund później, gdy opar zaczął się już rozwiewać. Daniel przesunął gogle w górę i podjął marsz. Nad głównym kanałem wznosił się pełen wdzięku most; z jego krańca porucznik dojrzał dach Pałacu Elektora.

Kurier Sojuszu mógł oznaczać, że Porra lub jego biurokraci dostrzegli realną szansę na poróżnienie Kostromy z Cinnabarem. Możliwe także, iż Sojusz spróbuje po prostu podbić cenę, jaką admirał Lasowska zgodzi się w końcu zapłacić. Walter III mógł zaprosić delegację Sojuszu Wolnych Gwiazd, żeby pomogła mu w targach, nawet jeśli Porra nie zamierzał nikogo wysłać.

Cóż, tylko technicznie można by uznać to za zmartwienie porucznika Daniela Leary'ego. W praktyce był turystą, zwiedzającym planetę obfitującą w szereg nieznanych kultur, stylów architektonicznych i cudów dzikiej natury.

Pogwizdując, szedł z mostu i ruszył prowadzącą do pałacu szeroką aleją.

* * *

Adele Mundy stała w wejściu, nawijając na palec krótki, brązowy lok i przyglądając się czemuś, co tylko z nazwy stanowiło Bibliotekę Elektora Federacji Kostromy. Adele była osobą uporządkowaną; potrafiłaby wprowadzić ład nawet tutaj. Trudność leżała w braku wiedzy, od czego powinna zacząć.

Pomieszczenie było przestronne i na swój sposób atrakcyjne; może raczej na różne sposoby, jako że każdy elektor, odpowiedzialny za wystrój, miał dość liberalny gust. Czas przyciemnił oryginalnie blade panele z drewna. Na olbrzymim kamiennym okapie kominka wyrzeźbiono scenę polowania w lesie, nie przypominającym roślinności Kostromy; samo palenisko wyłożone było płytkami z

błękitnymi postaciami. Podpory sufitu imitowały gargulce.

Te ostatnie szczególnie nie pasowały do bibliotecznego wnętrza. Sama myśl o figurach z rozdziawionymi paszczami, z których leje się deszczowa woda, niszcząc zbiory, przyprawiała kobiety o dreszcze.

Komnatę prawdopodobnie zaplanowano jako salonik dla rzadszych spotkań o bardziej kameralnym charakterze niż odbywające się poniżej - w Wielkim Salonie na drugim piętrze. Dzięki znajdującemu się 30 stóp nad podłogą sufitowi była to całkiem spora przestrzeń, licząc w stopach sześciennych, ale istniało zapotrzebowanie na daleko idące przeróbki, by umożliwić wstawienie regałów na książki.

Przebudowa była jednym z problemów, z którymi Adele borykała się od trzech ostatnich tygodni, odkąd przybyła do Kostromy, by objąć swoją funkcję Bibliotekarki Elektora. Jednym z wielu problemów.

- Przepraszam, przepraszam! - burknął, z nosowym kostromańskim akcentem, robotnik do jej pleców.

Postąpiła krok w głąb pomieszczenia, czując, jak mięśnie brzucha napinają się jej ze złości.

Z technicznego punktu widzenia mężczyzna nie był nieuprzejmy: tkwiła w wejściu, przez które, wraz ze swym towarzyszem, usiłował wnieść deskę. Lecz w jego tonie nie istniał choćby ślad świadomości, że cudzoziemska bibliotekarka jest jego przełożoną lub kimkolwiek innym aniżeli cierń w boku.

Sześciostopowa decha nie stanowiła jakiegoś przesadnie ciężkiego ładunku dla dwóch robotników, lecz nawet nie to wywołało u Mundy kolejny przyływ frustracji. Chodziło o sam materiał - polerowane, twarde drewno o pięknym, bogatym usłojeniu. To prawdopodobnie najpiękniejsza deska, jaką kiedykolwiek widziała.

Elektor Jonathan Ignatius, poprzednik Waltera III, był członkiem rodu Delfich i entuzjastą polowań. Jego sześciomiesięczna nieobecność, spowodowana udziałem w międzyplanetarnym safari, dała klanom Hajasów i Zojirów czas na przygotowanie przewrotu, który strącił go z tronu w noc powrotu na planetę.

Dla kontrastu Walter chciał zostać zapamiętany jako patron nauki, prawdopodobnie dlatego iż sam odebrał formalną edukację nie dłuższą niż Imperator Charlemagne. Postanowił ufundować elektoralną bibliotekę pod absolutnie neutralnym nadzorem uczonej z Cinnabaru, żyjącej na wygnaniu na Bryce, jednym ze światów Sojuszu. Zawartość biblioteki zgromadził, zwyczajnie rabując domostwa Delfich oraz popierających ich rodów ze wszelkich książek, dokumentów i mediów elektronicznych.

Łupy - Adele nie przychodziło do głowy żadne inne słowo - zrzucano na stertę w najróżniejszych skrzyniach i pudłach. Większości z nich nie oznakowano, a etykietkom widniejącym na pozostałych opakowaniach jakoś nie ufała. Jedynym reprezentantem porządku w bibliotece był widok z północnego okna, wychodzącego na oficjalne ogrody.

Uczona musiała zacząć od trzech tysięcy stóp zwykłych półek. Prosiła już o nie na wszystkie sposoby, jakie tylko mogła sobie wyobrazić. Od nadwornych stolarzy kanclerza Waltera, odpowiedzialnego za całość projektu, otrzymała zaś regały, jakich nie powstydziliby się najwytworniejsza jadalnia. Przy obecnym tempie prac zadanie zostanie ukończone mniej więcej za sto lat.

Nie było cienia wątpliwości co do umiejętności stolarzy, dwóch czeladników i ich mistrzyni, która nigdy nie opuszczała warsztatu na parterze. Adele nie widziała jeszcze, żeby dotknęła jakiegokolwiek narzędzia. Ci ludzie po prostu nie nadawali się do tej pracy. Pośród dwudziestki

kostromańskich asystentów bibliotecznych, których miała przeszkolić zgodnie ze standardami Cinnabaru lub centralnych światów Sojuszu, znalazła tylko kilka wyjątków. Reszta należała do grona ludzi nie nadających się do *żadnej* pracy.

Na korytarzu rozległ się śmiech. Kobieta wykonała kolejny krok w bok i oparła się plecami o ścianę. Chłodny pas płytek na wysokości karku pomógł jej zachować spokój. Do środka wszedł Bracey, jeden z asystentów, z dwoma nieznanymi jej mężczyznami.

Co nie znaczyło, że nie byli asystentami bibliotecznymi: posady przyznawano w ramach politycznych przysług potrzebującym pracy krewnym. Całe szczęście, że większość z tych leniwych skunksów, pozbawionych zacięcia bądź zainteresowania pracą bibliotekarza, nawet nie zawracała sobie głowy pokazywaniem się w tym budynku. Reszta kradła lub przez swoją niedbałość niszczyła zbiory.

Bracey, krewny Zojirów, należał do tych, którzy przychodzili. Niestety.

Trio wkroczyło do pomieszczenia podając sobie na przemian butelkę. Oceniając zapach ich oddechów, Adele była zaskoczona, że nadal mogli się poruszać, a co dopiero wspiąć na przepiękne, spiralne schody, prowadzące na trzecie piętro.

Troje innych asystentów przebywało w bibliotece. Dwoje pieściło się w kącie. Ryzykowali życiem, jeśli w uniesieniu potrąca piętrzące się wokół nich stopy pudeł... Trzecim asystentem był Vaness, który próbował zaprowadzić porządek w skrzyni z dziennikami pokładowymi. W odróżnieniu od pozostałych „asystentów” wykazywał zainteresowanie - niezbędny warunek stania się przydatnym. Na razie Kostromanin nie pomagał jej zanadto, ale bibliotekarka mogła wyleczyć go z ignorancji, o ile tylko będzie miała *gdzie* pracować.

- Hej, odpuście sobie! - Bracey zawołał do parki w kącie. Nie przejmowali się obecnością Adele, teraz jednak odskoczyli od siebie.

Jeden z kompanów Bracey'a szarpnął go za ramię, po czym wskazał na Mundy, stojącą za nimi. Ten zaś zamachał w jej stronę butelką, wołając:

- Hej, szefowo! Napijesz się?

Beknął donośnie; kamraci zarechotali. Adele popatrzyła poprzez niego, jakby nie istniał, następnie podeszła do konsoli danych. Przy ich porządkowaniu spędziła większość ostatnich dwóch tygodni, ponieważ to mogła robić bez niczyjej pomocy... której zresztą nie otrzymywała.

Konsola była wysokiej jakości produktem z Cinnabaru, tak nowym, że tkwiła jeszcze w pudle w westybulu pałacu, gdy poplecznicy Waltera zaczęli znosić zdobycze po przewrocie. Przyszła, będąc załadowana szerokozakresową bazą danych, która mogła dotrzeć do informacji w dowolnym komputerze sieci rządowej; w większości przypadków szybciej i lepiej od tychże komputerów.

Oparła czoło o chłodną gładź konsoli, zastanawiając się, czy głodowanie na Bryce nie stanowiło lepszej opcji od przyjęcia kostromańskiej oferty. A przedtem wyglądało to tak cudownie. Powiedziała nawet do mistrzyni Boileau:

- To zbyt dobre, żeby mogło być prawdziwe!

Kobieta uśmiechnęła się. Przynajmniej potrafiła przyjrzeć się sobie z dystansem i dokonać bezbłędnej analizy.

Pochodziła z Mundy eh z Chatsworth, w czasach jej młodości jednej z najbardziej wpływowych rodzin, choć charakterystyczny dla nich populizm zazwyczaj psuł im stosunki z innymi magnatami. Adele nie interesowała polityka. W wieku 16 lat porzuciła Xenos dla Akademii na Bryce. Jej wybór wynikał zarówno z chęci ucieczki przed alarmami i protestami ulicznymi, często przeradzającymi się w rozruchy, jak i skorzystania z możliwości studiowania galaktyki ludzi pod okiem mistrzyni Boileau.

Było to 15 ziemskich lat temu. Trzy dni po przylocie Adele Mundy na Bryce mówcy Senatowi

Cinnabaru obwieścił, że wykrył spisek Sojuszu mający na celu obalenie rządu Cinnabaru przez miejscowych agentów - w większości członków rodziny Mundy. Senat wyjął ich spod prawa, uznając za zdrajców. Majątki zostały skonfiskowane przez państwo lub przekazane donosicielom, a wyjętych spod prawa ścigano na podstawie przepisów nadzwyczajnych, równoznacznych z pozwoleniem na zabijanie.

Adele miała konto bankowe na Bryce, lecz miało ono raczej za zadanie zapewnić jej fundusze na pierwszy kwartał pobytu niż być jej całym dziedzictwem. Mistrzynie Boileau osobiście pokryła wydatki, gdy znikło finansowanie ze strony Mundy z Chatsworth. Jej dobroczynność brała się częściowo z wrodzonej dobroci, ponieważ stara badaczka miała iście gołębie serce, jeśli chodziło o wszystko, co wykraczało poza jej specjalność: gromadzenie i porządkowanie wiedzy.

Poza tym mistrzyni Boileau zdała sobie sprawę, że dziewczyna z Cinnabaru była studentką przewyższającą zdolnościami wszystkich jej dotychczasowych wychowanków. Im dłużej razem pracowały, tym bardziej stawały się sobie równe: bystrość umysłu Adele równoważyła rozległą wiedzę, jaką krył krystaliczny mózg starej uczzonej. Nie powiedziano tego głośno, lecz obie zakładały, że Adele Mundy zajmie miejsce mistrzyni Boileau, gdy ta zemrze na swym posterunku - w jej przypadku emerytura była równie mało prawdopodobna, jak natychmiastowy koniec wszechświata.

Może, gdyby nie wojna...

W ciągu minionego stulecia Cinnabar trzykrotnie walczył z Sojuszem. Czwarta wojna była nie tyle wynikiem tak zwanej Konspiracji Trzech Kręgów, ile tego samego handlu, dumy i paranoi, które legły u podstaw poprzednich konfliktów. Przyczyny polityków i głupców nie dotyczyły takiego naukowca jak Adele Mundy.

W odróżnieniu od dekretu wydanego przez stolicę Sojuszu, Pleasaunce, który wszak również sformułowali politycy i głupcy. Zbiory Akademickie na Bryce stanowiły bogactwo narodowe. Należało rygorystycznie ograniczyć dostęp do niego obywatelom Republiki Cinnabaru.

Mistrzynie Boileau podpowiedziała sposób wyjścia z kryzysu. Miała przyjaciół na Pleasaunce. Nie mogli wyjąć Adele spod prawa, byli jednak w stanie nadać jej obywatelstwo Sojuszu, jeśli tylko zrzeknie się przynależności do nacji Cinnabaru.

Jeszcze niedawno młoda uczona uznałaby siebie za obywatelkę nauki i galaktyki, wolnych od narodowych ograniczeń stających na drodze rozwojowi ludzkości. Cinnabar kojarzył się jej z widzianymi na własne oczy rozruchami i rozlewem krwi, przed którym w ostatniej chwili uciekła.

Lecz należała do Mundy z Chatsworth i byłaby *przeklęta*, gdyby jakkolwiek polityk z Pleasaunce przekonał ją do czegoś innego.

A wtedy Elektor Federacji Kostromy poprosił mistrzynię Boileau, dyrektor Zbiorów Akademickich na Bryce, aby poleciła mu kogoś do prowadzenia jego nowej biblioteki. Wówczas prośba ta wydawała się zesłana przez Opatrzność. Teraz...

Bracey zakrzyknął ostrzegawczo. Adele uniosła głowę.

Mężczyzna odskoczył, wpadając na zapakowane w pudła pozostałości urządzeń z danymi elektronicznymi, które mogły być starsze od tego pałacu. Jeden z jego pijanych towarzyszy zwymiotował. Większość żółtawej strugi wylądowała na worku z jakimiś luźnymi dokumentami, lecz rozbryzgi ochlapały Bracey'owi buty.

- Bracey! - Głos bibliotekarki zabrzmiał niczym kłaśnięcie dłońmi. - Wynoś się i zabierz ze sobą swoich przyjaciół. I nie pokazuj się więcej!

- Oj, nie ma o co robić afery, szefowo - odrzekł asystent. Miał buty z czerwonego zamszu; ostrożnie wytarł czubek jednego z nich o tekturowy karton, tylko rozsmarowując rzygowiny. - Zawołam sprzątaczkę i...

- Wynoś się, na Boga! - powtórzyła.

Oblicze Bracey'a spochmurniało. Jego towarzysz, który jeszcze był w stanie utrzymać się na nogach, przyjrzał się Adele i zobaczył coś więcej niż tylko niską i szczupłą kobietę w nieokreślonym stroju. Gdy asystent otworzył usta, by bluznąć przekleństwami, kompan szarpnął go za ramię i coś wymamrotał.

Bracey wyrwał się z uścisku i szarpnął zemdlonego kamrata za kołnierz.

- Chodź, Kirkwall - rzucił. - Jeżeli zniszczyłeś mi te buty, to niech mnie diabli, jeśli nie każę zrobić sobie następnych ze skóry z twojego grzbietu!

Podtrzymując nieprzytomnego kompana, Kostromanie opuścili bibliotekę, szurając butami. Adele pozostała za konsolą danych, odprowadzając ich wzrokiem. Potem rozejrzała się po pomieszczeniu i dostrzegła, że reszta asystentów i stolarze wpatrują się w nią. Wszyscy natychmiast odwrócili głowy.

- Zajmę się tym, pani - zaofiarował się Vaness i potruchtał do kałuży wymiocin. Machnął workiem, w którym wcześniej spoczywały dzienniki pokładowe, zamierzając użyć go jako ścierki.

Worek mógł pomóc określić miejsce pochodzenia zawartości...

Lecz uczona pozostawiła swoje obiekcje niewypowiedziane. Nic nie zyska, gromiąc mężczyznę, który próbował wykonywać swoją pracę.

- Tak, bardzo dobrze - powiedziała w zamian.

Skierowała swój jastrzębi wzrok na stolarzy. Podjęli przymierzanie przyniesionej półki do uchwytów przykręconych wczoraj do boazerii i obejm wmurowanych w ceglana ścianę.

- Wy dwaj! - zawołała do nich. - Pójdziecie ze mną do swojej mistrzyni. I zabierzcie ze sobą ten kretyński kawał forniowanego drewna. Potrzebuję właściwie wykonanych półek, które udźwigną coś więcej niż apteczkę!

Była Mundy z Chatsworth. Może przegrać, ale nie zamierzała się poddawać. Ze zdecydowaną miną ruszyła okalającymi pałacowe ogrody arkadami w stronę pracowni stolarskiej.

* * *

- Tuszę, iż pozostała nam już tylko jedna kwestia, panowie i panie - przemówiła pani Sekretarz Zarządu Floty do reszty zarządu.

Była kobietą w sile wieku, o absolutnie bezbarwnym głosie i wyglądzie. Nazywała się Klemsch, lecz dwoje z pięciu członków zarządu bez zastanowienia nie nazwałoby jej inaczej niż „pani sekretarz”.

Od ponad 30 lat Klemsch służyła uczciwie i skromnie admirałowi Anstonowi. Tylko z tego powodu była jedną z najpotężniejszych postaci Republiki Cinnabaru.

- Och, na litość boską, Anstonie - burknęła Guiliani. - Czy to musi być dzisiaj? Mam zaręczyny.

- To nie powinno zająć zbyt wiele czasu - odrzekł admirał Anston grzecznie, lecz bez śladu chęci do zmiany zamierzeń. Skinął Klemsch. - Proszę zaprosić do nas mistrzynię Sand.

- Wiedziałem, że powinienem być zostać dzisiaj w łóżku - mruknął Trzeci Członek Zarządu Floty, wykrzywiając się do onyksowego blatu stołu.

Trzech młodszych członków zarządu było senatorami; Guiliani nie, ale obecny mówca był jej kuzynem. Zarówno ona, jak i La Foche dochrapali się stopni we flocie, lecz tylko admirał Anston był czynnym oficerem. Dorobił się stopnia i pokaźnej fortuny, prowadząc zwycięskie wojny z wrogami Cinnabaru.

Żadnego przewodniczącego Zarządu Floty nie można by określić mianem apolitycznego, jednak godził się z tymkażdy, kto znał bezgraniczną lojalność Anstona wobec FRC. W obliczu obecnego

kryzysu nawet najbardziej zaciekle polityk wolał pozostawić biuro w rękach Anstona, niż przekazać je komuś bardziej uległemu, za to mniej kompetentnemu.

Mistrzyni Sand wkroczyła do sali konferencyjnej bez żadnego widocznego zaproszenia. Była dobrze, choć skromnie ubraną kobietą o obfitych kształtach.

- Harry - rzuciła kiwając głową. - Gene, Tom, miło was widzieć. Pytał o was mój mąż, Bate. Zobaczymy się za tydzień na zebraniu Towarzystwa Muzycznego?

- Wybieramy się tam - odparł trzeci członek. - O ile zakończą się na czas przedślubne ustalenia u mojej wnuczki.

Wszyscy członkowie zarządu znali mistrzynię Sand; żadne nie chciało prowadzić interesów z tą genialną, kulturalną kobietą.

- Powiedziałem kolegom, że to nie potrwa długo, Bernis - przemówił admirał. - Może zaczniesz od sedna sprawy, zamiast zagłębiać się w szczegóły, jak uczyniłaś to w rozmowie ze mną?

Sand skinęła uprzejmie głową i otworzyła tabakierkę z kości słoniowej. Umieściła szczyptę w zagłębieniu utworzonym przez kciuk i wnętrze dłoni, po czym wciągnęła ją lewym nozdrzem.

Po prawicy Anstona czekało puste krzesło. Postanowiła stać.

- Sojusz planuje coś złego na Kostromie - oświadczyła. Admirał Anston uśmiechał się leciutko; czworo młodszych członków zarządu w milczeniu marszczyło brwi. - Obawiam się, że związane z tym ryzyko jest tak duże, iż sami powinniśmy przedsięwziąć jakieś kroki.

- Mieliśmy już kłopoty z nowym elektorem, prawda? - odezwał się Czwarty Członek Zarządu Floty. - Czas, abyśmy przejęli to miejsce i obcięli subsydia, powiadam.

- Przyczyny, z których uznawaliśmy Kostromę za cenniejszą w charakterze przyjaciela niż naszej własności, moim zdaniem bynajmniej nie straciły na aktualności - sprzeciwił się admirał Anston. - Nie możemy jednak pozwolić Sojuszowi na zawładnięcie Kostromą, a jego mieszkańcy raczej nie powstrzymają samodzielnie inwazji naszych nieprzyjaciół. Ich flota jest rozproszona, a systemu obrony satelitarnej nie unowocześniano od pokoleń.

- Walterowi Hajasowi nie spodoba się nasza interwencja - obwieściła grobowym głosem Guiliani. Jej rodzina włożyła fortunę w handel z Kostromą, toteż prawdopodobne załamanie się wymiany towarowej miało dla niej wymiar zarówno państwowy, jak i osobisty. - Co dopiero mówić o umieszczeniu naszej floty na Kostromie. Kilka remontujących się okrętów na raz - owszem, ale port niemal pęka w szwach od kupieckich statków. Jeśli to ograniczymy, mnóstwo ludzi straci pieniądze, a nowy elektor szybko stanie się niepopularny. - Pokręciła z niesmakiem głową. - Jak i my.

- Nie mamy floty bojowej, którą moglibyśmy tam wysłać! - zawołał drugi członek. Spojrzał na Anstona, zatroskany. - A może mamy, Josh? O ile wiem, nasze siły są zanadto rozproszone, żeby poradzić sobie z piratami.

W ciągu minionego roku niszczyciele Sojuszu przejęły trzy statki, w których udział miał Trzeci Członek Zarządu Floty. Częściowo był to zwykły pech, a częściowo winę ponosił on sam, inwestując w niemal sto jednostek na raz... prawdą było jednak także to, iż częstsze patrolowanie systemów znanych z zaopatrywania kaprów mogłoby poprawić sytuację.

Mimo iż członkom zarządu nie podobało się to, co usłyszeli, żaden nie kwestionował rozmiarów zagrożenia. Mistrzyni Sand nie pojawiłaby się przed zarządem w pełnym składzie, gdyby nie uznała, że nie poradzi sobie ze sprawą zwykłymi kanałami.

- Nie przewiduję konieczności użycia floty, o ile zadziałamy szybko - oznajmiła. - Ani jej stałej obecności. Wystarczy nam poprawa satelitarnego systemu obronnego Kostromy i może kilku ekspertów do jego utrzymywania i kontroli. Personel nie musiałby nosić mundurów Cinnabaru.

Obracała tabakierkę pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Miała ona kształt stożka, a

rzeźbienia na powierzchni starły się do żółtawych cieni.

- Planujemy unowocześnić obronę bazy Pelleas - poinformował pozostałych członków Anston. - Nowy układ jest już ładowany na transportowce. Choć Pelleas wciąż mnie niepokoi, sytuacja na Kostromie wydaje się być o wiele groźniejsza.

Pokiwali głowami. Guiliani mruknęła:

- Za pieniądze na jeden taki cholerny system satelitarny mógłbyś sobie kupić okręt bojowy, ale przypuszczam, że uda nam się znaleźć potrzebną sumę. Zamienię słowo z moim kuzynem.

- Będziemy potrzebowali eskorty - zauważył czwarty członek. - Tylko tego by brakowało, żeby taki ładunek przejęli piraci z Rouilly!

- Myślę, że dla tak ważnego cargo zdołamy wygospodarować kilka niszczycieli - odparł bez uśmiechu Anston. - Przyszło mi też do głowy, iż nasze jednostki strażnicze spędzają zbyt mało czasu poza systemem, by w razie potrzeby móc zadziałać z maksymalną sprawnością. *Rene Descartes* nie jest tak szybki jak nowe okręty bojowe, ale dotrzyma kroku transportowcom.

- Walter Hajas zrozumie, że obecność takiej flotyli jest jedynie tymczasowa - powiedziała Bernis Sand. - Zwykłe ćwiczenia.

- Okręt strażniczy? - rzucił trzeci członek. - A co pozostawimy bez ochrony?

- Trzy dni temu do Przystani Trzeciej przybyła po zaopatrzenie eskadra ciężkich krążowników admirała Koffe'a - oznajmił admirał Anston, pomijając sedno pytania. - Mogą chwilę zaczekać... Myślę, że zalecałbym, aby to admirał Ingreit... powrócił z Kostromy na *Rene Descartesie*.

- Chryste - mruknął tamten. - Cóż, jeśli jesteś tego pewien, Anstonie.

- Harry, nikt z nas nie może być absolutnie pewny niczego prócz śmierci - wtrąciła Sand z uśmiechem, chowając tabakierkę do kieszeni jedwabnego fartuszka. - Myślę jednak, iż mamy prawo spodziewać się pozytywnych rezultatów... - Z jej głosu zniknął dobry humor, choć nikt obcy nie domyśliłby się, że pulchna kobieta była czymś zatroskana, kończąc wypowiedź: - O ile eskadra dotrze na Kostromę na czas. Obawiam się, iż zostało nam niewiele czasu.

* * *

Na placu przed Pałacem Elektora stała fontanna: siedzący na muszli tryton o rybim ogonie wydmuchiwał wodę z konchy. Strumień rozpryskiwał się o muszlę i zniknął w kanale odpływowym.

Choć przez swoje 12 stóp wysokości fontanna miała sprawiać odpowiednie wrażenie, Daniel uznał ją za niezbyt atrakcyjną. Podobnie jak sam pałac.

No cóż, w odróżnieniu od pozostałych trojga członków delegacji, Leary nawet w nim nie mieszkał. Jednak admirał Martina Lasowska i jej przybocznicy z pewnością mieli większe zmartwienia niż to, że spali w trzypiętrowej stercie beżowych cegieł, gdzie - w skrzydłach budowli - zamontowano okna w różnych stylach, a w jej środku umieszczono podparte kolumnami łuki.

Przechodząc przez ostatni, wąski mostek dla pieszych, porucznik zmarszczył brwi. Ponieważ był nadprogramowym członkiem delegacji, pani admirał pozwoliła mu znaleźć sobie lokum na własną rękę - apartament nad zatoką. Zamieszkanie w pałacu na koszt rządu zaoszczędziłoby mu wydatków, lecz ograniczyłoby osobistą wolność.

Mimo to miło byłoby mieć więcej pieniędzy. Odkąd zerwał z ojcem, wydatki Daniela przekroczyły jego połączone dochody - pensję i niewielką rentę, jaką otrzymywał po śmierci matki. Dostał pokaźnych rozmiarów kredyt tylko dlatego, że był Learym z Bantry, ale i te zasoby już się kończyły.

A może nawet wyczerpały się. Być może siostra znajdzie sposób na spłacenie pożyczki.

Młody mężczyzna przestał już obiecywać sobie, że w przyszłości ograniczy wydatki. Nie udało mu się przez sześć ostatnich lat, więc raczej nic się już nie zmieni. Utrzymywanie pozorów bycia oficerem wartym awansowania sporo kosztowało, a poza tym już od najmłodszych lat spodobało mu się życie na wysokiej stopie.

Wejście do pałacu tworzyło osiem łukowo sklepionych przejść, dalej następował rząd sześciu kolejnych, a potem ostatnie cztery łuki, pod którymi przechodziło się na trzy szerokie stopnie, wiodące do wysokich drzwi. Okolony kolumnadą podwórzec rozciągał się na 65 stóp od placu, a ilość zielonkawego kamienia, zużytego na kolumny, była wręcz oszałamiająca.

Matka Daniela wychowywała go w Bantry, wiejskiej posiadłości, należącej do rodu Learych od chwili, gdy pierwszy statek kolonizacyjny wylądował na Cinnabarze. Jego siostra, Deirdre, była starsza o dwa lata. Duma Cordera Leary'ego, i jego prawdopodobna dziedziczka, przebywała zwykle w rodzinnym domu w Xenos pod stałą opieką pielęgniarek i służby.

W przepojonym występkiem, pompą i niepokojami środowisku stolicy Deirdre wyrosła na trzeźwo myślącą, pragmatyczną kobietę, pijącą z obowiązku, jedzącą po to, by zapewnić ciała paliwo, i nie mającą wad, o których plotkowałiby jej polityczni wrogowie. Daniel, produkt matczynej miłości i wiejskich rozrywek, był... bardziej odległy od wzorca.

Cóż, zalety jego siostry różniły się od zalet poszukiwanych przez Flotę Republiki Cinnabaru. Tam było miejsce na odwagę, rzutkość i inicjatywę oraz wolę podążania wytyczonym kursem, gdy wymagały tego rozkazy. Porucznik Leary pomyślał, że pewnego dnia może zostać oficerem FRC, o którym będą mówili inni, o ile oczywiście przetrwa.

I jeżeli kiedykolwiek powierzą mu dowództwo. Talent pomagał je zdobyć podobnie jak szczęście; równie użyteczne w FRC, jak w codziennym życiu. Lecz najlepszą metodą otrzymania awansu był interes: pomoc bogatych i ustosunkowanych obywateli. Ludzi pokroju przewodniczącego Leary'ego, który wolałby raczej widzieć swego syna w Piekło niż we flocie.

Co było, rzecz jasna, powodem zaciągnięcia się Daniela do FRC. Jednym z powodów. Zwabiły go również opowieści wuja Stacey'a Bergena o dalekich światach. Należały one do najwcześniejszych i najcieplejszych wspomnień młodzieńca.

Olbrzymie wejście oświetlało jedynie wiszące wysoko nad placem słońce. To mogło wystarczyć rankiem, lecz w południe Daniel musiał poświęcić chwilę na przyzwyczajenie się do cieni. W złą pogodę domokrażcy, próżniacy i buszujący po placu złodzieje chronili się tutaj przed słońcem. Pozostawione przez nich śmieci wały się smętnie między kolumnami.

Potężne, drewniane pałacowe wrota stały otworem. W pobliżu tkwił szwadron gwardzistów w beretach w barwach Hajasów: srebrze i fiolecie. Ich bronią, wiszącą na paskach lub opartą o ścianę, były przeważnie pistolety maszynowe. Wypluwały one kule rozpędzane do wielkich prędkości krótkimi impulsami elektromagnetycznymi. Jeden z gwardzistów uzbroił się w kulomiot strzelający pociskami o większej masie i sile przebiccia.

Prawe skrzydło wrót, na wysokości bioder, przecinał ścieg przestrzelin wypełnionych plastikiem, nadal jednak widocznych ze względu na swój jaśniejszy odcień. Ktoś potraktował je automatycznym kulomiotem, prawdopodobnie tej nocy, gdy Walter Hajas został elektorem. Może jeden z obecnych tutaj wartowników używał wówczas mocniejszej broni...

Cinnabarczyk wspiął się po schodach do wejścia, przy każdym uniesieniu nogi czując ogień w goleniach. Miasto Kostroma było płaskie jak laguna, od której wzięło nazwę, ale liczne, łukowe mostki po drodze z apartamentu porucznika do pałacu zebrały swoje żniwo.

Hogg, służący Daniela, proponował mu podwiezienie powszechnym tutaj trójkołowcem, on jednak wybrał spacer, chcąc obejrzeć miasto. Patrząc wstecz, Daniel uznał, że może jednak

zobaczyłby wystarczająco dużo z tylnego siedzenia pojazdu.

Oficer floty Cinnabaru powinien mieć służbę. Bogaty porucznik, jakim byłby Daniel Leary, gdyby nie wyrzekli się sobie nawzajem z ojcem, mógłby mieć tuzin służących w porcie, a nawet kilku na pokładzie okrętu w trakcie rejsów bojowych (choć wszystkim, prócz jednego, musiałby zapłacić z własnej kieszeni za usługi dodatkowe).

Hogg był takim ni psem, ni wydrą: ani z niego wyrafinowany pokojowiec bogacza, ani marynarz. Był pięćdziesięcioletnim wieśniakiem, przypominającym łysiejącego cherubina. Kiedyś piastun Daniela, potem jego osobisty służący.

Uczył chłopca historii i legend rodu Learych, oprowadzał po młodnikach i wąwozach rozległych włości Bantry, a raz stłukł twardą ręką, którą mógłby wbijać gwoździe, gdy sześciolatek w napadzie złości uderzył matkę.

Pani Leary nigdy się o tym nie dowiedziała. W przeciwnym razie zwolniłaby Hoggą w mgnieniu oka, nie bacząc na jego wieloletnią służbę dla rodziny. Daniel wiedział o tym, lecz pewne sprawy były dla matek, a inne mężczyźni rozstrzygali między sobą.

Przeprosił oboje, matkę i służącego, za niegodne zachowanie. Patrząc wstecz, uznał to popołudnie za chwilę, która uczyniła go mężczyzną.

Hoggowie służyli Learym z Bantry od tak dawna, jak daleko sięgały zapiski ukazujące ich przeważnie jako przemytników i kłusowników, w czym sługa Daniela miał również wielką wprawę. Nawet nie zapytał, jak Hogg wszedł w posiadanie trójkołowca, ponieważ był absolutnie pewny, że nie chce tego wiedzieć.

Gwardziści Hajasa ignorowali porucznika z Cinnabaru, pochłonięci sporem o mecz w piłkę ręczną. Młodzieniec nie przypuszczał, by ktoś mógł wziąć go za zamachowca, lecz niefrasobliwa postawa wartowników zaniepokoiła go, choćby jako zawodowego żołnierza. Strażnicy Senatu w Xenos byli uprzejmi, ale obcy nie mieli szansy wejść do budynku, o ile ktoś za nich nie poręczył.

Pałac Elektora stanowił siedzibę rządu, rezydencję i miejsce oficjalnych spotkań. W nieunikniony sposób znajdowało się w nim więcej biurokratów, niż przewidziano dla nich miejsca. Pod ścianami przestronnego, owalnego holu ciągnęły się tuziny biur. Urzędnicy - bardzo niscy rangą, sądząc po tanich ubraniach - garbili się nad papierami lub, w nielicznych przypadkach, terminalami danych.

W westybulu panował gwar obco brzmiących dialektów, przemieszanych z uniwersalnym o kostromańskim akcencie. Ludzie schodzili i wchodzili po schodach, a ich rozmowy odbijały się echem od wznoszącego się dwa piętra wyżej kopulastego sklepienia. Daniel wychowywał się w wielkim domostwie, mieszkał w internacie Szkoły Marynarki i służył na okrętach wojennych, gdzie z jednej koi korzystali członkowie różnych wacht. Ta kakofonia przywodziła na myśl dom. Uśmiechnął się szeroko.

Jedno z biur w holu ustawione było tak, aby siedzący przy terminalu mężczyzna mógł mieć oko na współpracowników. Był siwy i chudy; na jego ramionach spoczywała zapięta pod gardłem aksamitna etola w barwach Hajasów. Leary wątpił, aby starzec piastował aż tak zaszczytną funkcję jak „szef biura”, lecz najwyraźniej cieszył się autorytetem w gronie urzędników mających połowę jego lat.

Z nadzwyczaj płaskiej sakiewki wyciągnął monetę i ścisnął ją w garści, podchodząc do biurka starszego urzędnika. Ten prawą ręką wystukiwał liczby na klawiaturze, w lewej trzymając arkusz odręcznie zapisanego papieru tak, aby padało nań światło z elektrycznego kinkietu, zamocowanego do balustrady ponad jego stanowiskiem.

- Proszę pana! - przemówił wesoło Daniel, zauważając zdumienie w oczach mężczyzny. Prawdopodobnie w ciągu ostatniego tygodnia nie zwrócił się do niego nikt obcy. - Zastanawiam się,

czy jeden z pana podwładnych nie mógłby zaprowadzić mnie tam, dokąd podążam? W tak imponującym budynku mógłbym błąkać się przez cały dzień.

Pokazał monetę poprzez sztuczkę, której nauczył go Hogg: krążek „wędrował” między kłykciami, ani razu nie dotknięty czubkiem palca. Cinnabarskie pięć florenów: czysty plastik z zatopioną warstwą złota, iskrząca się w słabym świetle holu. Na prowincji wystarczyłoby, żeby utrzymać się przez cały dzień; w Xenos można było kupić za to posiłek bez wina. Kostromanin straci nieco na wymianie, ale cinnabarskie pieniądze bardziej lśniły i robiły większe wrażenie niż lokalne świadectwa.

- Co? - zapytał urzędnik. - Cóż, woźny...

Oczy potrzebowały chwili, by skupić się na monecie; powiększyły się.

- Z drugiej strony - dodał - Russo pewnie mogłaby...

Spojrzał na dziewczynę przy sąsiednim biurku; wszyscy urzędnicy wpatrywali się w swojego przełożonego i obcego w mundurze. Stary podjął nagle decyzję i wstał.

- Nie! - oznajmił. - Sam cię zaprowadzę, dobry panie. Jak mniemam, chciałby pan odszukać apartamenty mieszkających tutaj obywateli Cinnabaru?

- W żadnym razie - zaprzeczył Daniel, szerokim gestem wręczając monetę Kostromaninowi. - Mój wuj był wielkim odkrywcą, a ja zamierzam pójść w jego ślady. Przybyłem tutaj, aby sprawdzić, jakie informacje mogę znaleźć w Bibliotece Elektora.

Uśmiechnął się szeroko do mrugającego starca.

* * *

Gdyby Adele Mundy spędziła minioną godzinę na gadaniu do ściany stolarni, nie czułaby palącej potrzeby oćwiczenia jej teraz szpicrutą. Była to jedyna różnica pomiędzy tym a jej rozmową z Bozeman - mistrzynią stolarzy.

Jeśli jeszcze raz usłyszy zdanie: „Przykro mi, pani, ale tutaj, na Kostromie, robimy to inaczej”, zacznie wrzeszczeć.

W bibliotece przebywały cztery osoby: para kochanków, ostentacyjnie ignorujących obcego, Vaness, który nie mógł nie zwrócić na niego uwagi, ale nie wiedział, czy powinien doń podejść, w związku z czym przestępował z nogi na nogę, jak dziecko potrzebujące udać się do toalety, oraz sam obcy.

Był nim mężczyzna w szarym uniformie - o kroju oszczędniejszym, niżli dyktowała moda na Kostromie. Opierał się plecami o drzwi i kartkował pochodzący jeszcze sprzed Przerwy foliał.

- Sir! - przemówiła Adele. - Jestem Bibliotekarką Elektora. Czy mogę wiedzieć, kim pan jest?

Gdyby upuścił księgę lub wydarł z niej kartkę, ona...

Mężczyzna odwrócił się. Szary uniform był mundurem. Miał lekką nadwagę, włosy barwy piasku i uśmiech, który przydawał mu chłopięcego wyglądu.

- To zaszczyt panią poznać - odparł. - Jestem porucznik Daniel Leary z Floty Republiki Cinnabaru. Przepraszam, że nie mogę uścisnąć pani dłoni, ale... - Poruszył lekko księgę. Obiema dłońmi podtrzymywał okładki. Aby obrócić stronę, musiał zapewne oprzeć róg o stertę pudeł, zalegających obok, wykorzystując je niczym pulpit do czytania. - Taki wolumin bierze górę nad grzecznością. Czy zdaje sobie pani sprawę, iż jest to *pierwsze* wydanie *Zoomorfologii Trzech Systemów* Moschelitza? Nie potrafię odczytać ruskiego, ale rozpoznaję ilustracje z tłumaczenia Ditmarsa. W oryginale kolory są o niebo lepsze!

- Owszem, rozpoznaję Moschelitza - odrzekła sucho kobieta; choć wcale nie było to takie pewne,

zaś fakt, iż uczynił to ktokolwiek inny na Kostromie, był równie niezwykle, jak wschód słońca na zachodzie. - Jest pan specjalistą w dziedzinie informacji, sir?

Leary zamknął opasłe tomiszczę z ostrożnością, jakiej domagały się jej rozmiary i wiek. Wyciągnął je z samego środka stosu starodruków. Był to kolejny cios w serce Adele: ktoś, kto rozumiał książki, powinien wiedzieć, że pozwoliła, by taki okaz leżał, przywalony ciężarem innych inkunabułów, tylko dlatego, że zadanie uporządkowania tego bagna informacji zwyczajnie ją przerastało.

- Nie - odpowiedział. Jego pogodny uśmiech przygasł nieco, gdy zaczął rozglądać się - wespół z Adele - za miejscem, na które mógłby bezpiecznie odłożyć Moschelitzę. - Ale jestem przyrodnikiem-amatorem. Mój wujek, komandor Stacey Bergen... może słyszała pani o nim?

- Nie, obawiam się, iż nazwisko to nie jest mi znane - odrzekła uczona. - Wezmę to. Może ja to przechowam... „u siebie” - chciała dodać, ale do jej pokoju można było włamać się w każdej chwili. Twarz dozorczyńni, pani Frick, zdradzała informatorkę rabusiów.

Jedyny sposób zapewnienia bezpieczeństwa woluminowi polegał na sprawieniu, by nikt nie poznał jego wartości. Tak rozumując, najlepiej było wmieszać go w nierozróżnialną masę bibliotecznych okazów.

- Może na szczycie tamtej sterty? - zaproponował Daniel Leary, kiwając głową w stronę trzech drewnianych skrzyń, których Adele nawet jeszcze nie otworzyła. Z tego, co wiedziała, mogły być pełne ksiąg rachunkowych. Nie oddał jej tomiszczę. - Wiem, że to nieco zbyt wysoko, ale podstawa sprawia wrażenie solidnej.

- Dobrze, zgoda - przytaknęła bibliotekarka.

Sama nie zdołałaby wnieść tam księgi bez drabiny, ale chyba nie będzie musiała. Vanessa mogłaby tam sięgnąć...

Leary podszedł do skrzyń, okrążając i przekraczając inne pakunki z łatwością, której Adele natychmiast mu pozazdrościła. Przypuszczała, że zawdzięczał to flocie. Statki kosmiczne, którymi podróżowała - nawet luksusowy liniowiec, przewożący ją z Cinnabaru na Blythe - były bardzo ciasne. Na okrętach wojennych z pewnością było jeszcze gorzej.

Mężczyzna uniósł wolumin nad głowę, balansując nim dla utrzymania równowagi. Położył go równo na szczycie, nie szorując okładką o drewno, czego się obawiała.

- Pytałem o mojego wuja, dlatego - rzucił, skoncentrowany na zadaniu - że ma pani cinnabarski akcent. Naukowcy ochrzcili jego nazwiskiem tuzin gatunków, które przywiózł ze swych wypraw.

Kobieta zacisnęła usta. Wiedziała, że na Kostromie przebywa delegacja z Cinnabaru. Jedną z wymówek mistrzyni Bozeman była konieczność przebudowania szaf w apartamentach oddanych gościom.

- Urodziłam się na Cinnabarze - poinformowała zdawkowym tonem - ale nie mieszkałam tam zbyt długo. Wolę myśleć o sobie jako o obywatelce galaktyki.

Leary skinął uprzejmie głową i odsunął się od skrzynek.

- Zupełnie jak wujek Stacey - powiedział. - Nie to, żeby nie był patriotą; nikt nie wziął go nigdy za tchórza. Nie napraszał się o stanowisko w marynarce wojennej, choć wiedział równie dobrze jak inni, że kilka gwiazd bojowych to najpewniejsza droga do awansu. - Potrząsnął głową i roześmiał się. - Byłbym dumny, gdyby moje umiejętności astrogacyjne choć w połowie dorównywały jego własnym - ciągnął. - Ale to... - Uszczypnął fałdę szarego munduru na piersiach, poniżej pojedynczej baretki. - Jest przecież *Flota* Republiki Cinnabaru. Zgaduję, iż jestem równie gotowy walczyć z nieprzyjaciółmi mojej ojczyzny jak każdy z mych towarzyszy, a jeśli zostanę za to awansowany... - Jego uśmiech rozświetlił salę. - To, cóż, jakoś się z tym pogodzę.

Adele nie zawtórowała mu śmiechem, ale poczuła, jak jej usta układają się w uśmiech. Wyglądał na *bardzo* młodego. Prawdopodobnie jego postawa czyniłaby go młodym w oczach osoby pokroju Adele Mundy nawet wtedy, gdyby miał pięćdziesiątkę, jednak entuzjazm Leary'ego był zaraźliwy, a poza tym wiedział coś niecoś o książkach.

Rzuciła się do dzienników pokładowych rozpakowanych rano przez Vanessa.

- To mogłoby pana zainteresować - orzekła, unosząc jeden z nich i otwierając metalową okładkę. Strony w środku zapisano odręcznie, a tekst w większości ograniczał się do liczb i dat. - To dzienniki pokładowe statków sprzed Przerwy. O ile wiem... A nikt, poza mistrzynią Boileau, nie mógłby wiedzieć tego lepiej. - Nie przetrwały żadne nośniki elektroniczne, które dorównywałyby im wiekiem. Oficerowie tego statku zapisywali kopie zapasowe komputerowych dzienników w postaci staroświeckich hologramów, dzięki czemu zachował się opis ich podróży.

Cinnabarski oficer ujął dziennik z czcią należną jego wiekowi, choć kasetą z niklowanej stali, której dotyczył, dorównywała solidnością pałacowym murem. Obrócił pierwszą stronę do światła i odczytał:

- *San Juan de Ulloa* z Montevideo. Statek z samej Ziemi, pani, a oto trzymamy to w naszych dłoniach. - Uśmiechnął się szerzej. - To prawda, że kosmos każdego nauczy braku zaufania do sprzętu, nieważne, jak często go sprawdzasz - dodał. - O ile przeżyjesz, rzecz jasna.

- Przepraszam za warunki, w jakich obecnie znajduje się ta kolekcja - rzuciła gorzko Adele, podczas gdy Leary powoli przekładał strony. Zostały umieszczone pomiędzy okładkami luzem, a następnie ściśnięte. - Przyleciałam tutaj raptem trzy tygodnie temu, lecz szczerze mówiąc, jeżeli nie znajdę prawdziwych rzemieślników zamiast artystów, zbyt dobrych, by wykonać dla mnie zwyczajne regały, to nie mam pojęcia, jak zmienić tę sytuację w ciągu najbliższych trzech lat. - Kącik zaciśniętych ust uczonej uniósł się w nieprzyjemnym uśmieszku. - Choć, oczywiście, raczej już mnie tutaj nie będzie - dodała. - Zostanę stracona za zamordowanie mistrzyni stolarzy.

- Używają systemu zapisu z Hjastromu... - mruknął mężczyzna. - Albo przynajmniej jego poprzednika. Przyjmuje się, że powstał on na Uniwersytecie Spraggsund pod koniec Przerwy. Zamknął metalowe okładki i popatrzył prosto na Adele. - Nie chciałbym wtrącać się w sprawy innych obywateli, pani - powiedział - ale czasami łatwiej jest obejść biurokrację niż się przez nią przebić. Mój służący, Hogg, ma smykałkę do wynajdowania ludzi biegłych w różnych pracach. Może chciałaby pani, aby znalazł dla niej jakichś zwykłych stolarzy?...

Adele prychnęła. W sprawie budżetu biblioteki, o ile takowy istniał, nie miała nic do powiedzenia. Na Bryce posłańcy Waltera wręczyli jej honorarium podróże. Oszczędzając, zdołała jakoś przeżyć od dnia przylotu, lecz ani jeden z urzędników elektora nawet nie zająknął się, że odpowiada za przyszłą pensję bibliotekarki. Pod koniec tygodnia dozorczyńni zaczęli wypatrywać czynszu, a ona najprawdopodobniej będzie musiała znaleźć w tym bałaganie trochę miejsca na śpiwór.

- Doceniam ofertę - odrzekła - lecz z przykrością muszę poinformować, iż nie mogę z niej skorzystać. Chyba, że pański sługa wynajdzie nie tylko rzemieślników, ale także pieniądze na wypłaty dla nich.

Leary uśmiechnął się, lecz przemówił z powagą:

- Doprawdy, nie ośmieliłbym się tego zaproponować, pani. Choć nie sądzę, żeby Hogg dał się złapać, to obawiam się, iż jego metody przyniosłyby ujmę Learym z Bantry. Co Hogg wyprawia na własny rachunek, to jego sprawa, gdybym jednak powierzył mu takie zadanie...

Roześmiał się znowu, w dobrym nastroju pomimo przeprosin. Świat wokół Adele poszarzał.

- Powiedział pan: „Learym z Bantry”, sir? - zapytała bezbarwnym głosem. - Wobec tego jest pan

spokrewniony z przewodniczącym Learym?

Daniel skrzywił się.

- Och, tak - przyznał. - Corder Leary to mój ojciec, choć obaj z przyjemnością zaprzeczylibyśmy temu. Jeśli jednak miała pani na myśli: „czy odziedziczę Bantry”, to nie - z pewnością nie. - Próbował się uśmiechnąć, lecz powstały grymas odzwierciedlił jedynie mieszaninę trudnych do nazwania emocji. - Po pierwsze, kiedy sześć lat temu widziałem go po raz ostatni, ojciec wyglądał na wystarczająco zdrowego, by przeżyć kolejne 50 lat. Właściwą dziedziczką jest moja starsza siostra, a Leary'owie nie dzielą swych posiadłości, dzięki czemu Bantry pozostało Bantry. I wreszcie - nie utrzymujemy z ojcem zbyt zażyłych stosunków. Właściwie to żadnych.

- Rozumiem - mruknęła. Jej głos dochodził z innego miejsca i czasu - z przeszłości, która doprowadziła ją do takiej oto terażniejszości. Jeżeli istniała jakaś Boska Istota, w co Adele bardzo wątpiła, to musiała mieć kolosalne poczucie humoru.

Założyła ręce za plecy.

- Poruczniku Leary - kontynuowała - czeka mnie mnóstwo pracy, zanim ta kolekcja będzie gotowa na wizyty takich laików jak pan. Jest pan obywatelem Cinnabaru oraz dżentelmenem, jak mniemam. Wobec tego proszę, aby przestał pan niepokoić mnie i mój personel do czasu oficjalnego otwarcia Biblioteki Elektora dla zwiedzających.

Stojący w pobliżu Vaness przysłuchiwał się dotąd ich dyskusji o książkach i nośnikach. Teraz otworzył usta ze zdumienia i szybko się odwrócił. Policzki mu pokraśniały.

Daniel Leary również poczerwieniał. Odłożył dziennik pokładowy na stos i wykonał sztywny półukłon.

- Życzę miłego poranka, pani - powiedział. - Bez wątpienia jeszcze się spotkamy.

Opuścił bibliotekę okrężną drogą, unikając przejścia obok Adele. Poruszał się z ukrytą gracją.

Interesujący facet, pomyślała bibliotekarka, odprowadzając go wzrokiem. Bystry, wykształcony, a poza tym musiała przyznać sama przed sobą, że z przyjemnością usłyszała cinnabarski akcent. Nie stykała się z nim zbyt często na Bryce, przynajmniej nie od wybuchu wojny.

I był synem przewodniczącego Cordera Leary'ego.

* * *

Daniel Leary siedział na ławce w ogrodzie położonym pół kilometra od Pałacu Elektora. Nie był pewny odległości ani kierunku; po prostu szedł przed siebie, aż adrenalina wypaliła się i musiał usiąść.

Nie czuł takiej wściekłości od popołudnia, w które pokłócił się z ojcem.

Dobrze ubrani Kostromanie - w większości pary - opierali się o balustrady lub spacerowali po promenadach wyłożonych białym żyłkowanym wapieniem. Otaczały ich egzotyczne rośliny; znaczyło to, że Daniel nieświadomie rozpoznał kilka popularnych gatunków z Cinnabaru, jak również inne okazy flory, które ludzkie poczucie estetyki rozpowszechniło poza światy ich pochodzenia. Ogrodów nie pielęgnowano co najmniej od dekady, lecz ich obecna dzika obfitość także miała swój urok.

Oczywiście będzie musiał wyzwać ją na pojedynek. Zniewaga była zbyt wielka, żeby puścić ją płazem. Zajmie się tym w najbliższych dniach. Porucznik Weissshampl z *Aglai*, statku komunikacyjnego, który przywiózł delegację na Kostromę, powinna zgodzić się zostać jego sekundantem. Weissshampl służyła pod wujkiem Stacey'em...

Cała ta sprawa wybuchła niczym otwierająca się bez ostrzeżenia czarna dziura. Lodowate zniewagi bibliotekarki były równie nieoczekiwane, jak kawał gzymsu spadający mu na głowę. Nawet

nie poznał jej imienia!

Cóż, Weissshampl wystarczy zapewne „Bibliotekarka Elektora”.

Ogrody pięły się w górę od położonej na poziomie ulicy bramy, lecz wewnątrz tarasów wydrążono grotę, do której prowadził tunel wyłożony zielonymi kafelkami. Znajdująca się w środku rzeźba miała morski charakter.

Przy wejściu do ogrodów powinien był dać napiwek odźwiernej. Ta solidnie zbudowana kobieta wyciągnęła rękę do Cinnabarczyka... i odstąpiła, gdy spojrzała na jego twarz.

Był zbyt wściekły, by zwrócić uwagę na odźwierną albo jej cichą prośbę. Bóg jeden wie, co sobie pomyślała o jego skrzywieniu.

Mógłby zapłacić jej przy wyjściu, ale... jego sakiewka była bardzo lekka.

Matka Daniela umarła, kiedy miał 16 ziemskich lat. Corder Leary odwiedził ją kilkakrotnie podczas jej ostatniej przewlekłej choroby, choć w dniu zgonu miał akurat spotkanie z politykami w Xenos.

Przewodniczący Leary ożenił się ponownie w dzień po pogrzebie pierwszej żony. Panną młodą okazała się Anise, jego sekretarka; sympatyczna, czterdziestoletnia kobieta, różniąca się bardzo od korowodu młodych dam, które syn miał okazję widywać poprzednio w miejskim domu ojca.

Gdy chłopak się o tym dowiedział, wypożyczył aerowóz i pognął do Xenos. Szatan mu sprzyjał, chroniąc go tego dnia przed rozbiciem się, i Szatana miał w sercu, kiedy stanął naprzeciwko ojca. Wyzwał Anise od dziwek, choć zastępowała mu matkę, gdy przylatywał do Xenos, i żywił do niej równie ciepłe uczucia, co wobec matki i Hogga. Ojca nazwał jeszcze gorzej, a ten nie pozostał mu dłużny. Choć mieli zgoła odmienne zainteresowania, mężczyźni z rodu Learych charakteryzowali się tym samym wybuchowym temperamentem.

Gdyby Corder i Daniel byli dla siebie kimś innym niż ojcem i synem, tego popołudnia doszłoby do pojedynku - w ogrodzie na tyłach posesji. A tak, Daniel wyszedł stamtąd, by zaciągnąć się do marynarki, a ojciec donośnym głosem wzywał swojego prawnika.

Czterech kostromańskich robotników ostrożnie pchało wózek z Fleyderlingiem, usadowionym w bańce atmosferycznej, wiodącą do grotę rampą. Ludzie utrzymywali kontakt z trzema rasami obcych, którzy wynaleźli własne napędy kosmiczne. Odmienne rasy nigdy nie weszły ze sobą w konflikt: wymagania ich metabolizmów były wystarczająco różne, by utrudnić handel, a turystykę uczynić niezwykle kosztowną. Na swoim amoniakowym świecie Fleyderling musiał być odpowiednikiem króla.

Oczywiście nie brakowało konfliktów wewnątrzgatunkowych.

Porucznik jeszcze nigdy nie brał udziału w pojedynku. Na wsi nie należało to do powszechnych praktyk. Och, znaleźliby się ludzie pasjonujący się pojedynkami, tak samo jak inni, których relacje ze zwierzętami dalece wykraczały poza normalną opiekuńczość. Ani jednych, ani drugich sąsiedzi nie zapraszali do swych domów.

Wstępująca do Szkoły Marynarki w Xenos młodzież była równie przeczulona na punkcie swego honoru, jak wszyscy inni mieszkańcy ich planety. Oficerowie floty Cinnabaru - w tym przypadku kadetów uważano za oficerów - musieli mieć zgodę przełożonych na pojedynek, a kierujący się sztywną polityką komendant Szkoły Marynarki zawsze odmawiał takim prośbom. Kadeci mogli zrezygnować z kontynuowania nauki, lecz zamykało im to na zawsze drogę do służby.

Daniela nigdy to nie martwiło. Utrzymywał dobre stosunki z kolegami z grupy, a potem z innymi oficerami. Z własnej woli nikogo nie skrzywdził, a kiedy mógł, pomagał innym - nie z wyrachowania, jak czyniła to jego siostra, lecz dlatego, że uznawał takie życie za naturalne.

Przypuszczał, że będzie potrzebował zgody admirała Lasowskiej na wyzwanie na pojedynek tej

bibliotekarki. Pani admirał może nie zechcieć jej udzielić z przyczyn dyplomatycznych. W takiej sytuacji, jako prywatna osoba bez funduszy i perspektyw, porucznik będzie miał problem ze znalezieniem sposobu na powrót na Cinnabar.

Zakładając, że przeżyje starcie, rzecz jasna.

Ptaki o czerwonych podgardlach szczebiotały, harcując w powietrzu. Przelatując nad ziemią, wzbijały skrzydłami liście. Szybki stukot przypominał padający deszcz.

Ziała przed nim ogromna, czarna dziura. Nie mógł *uwierzyć*, że to się wydarzyło.

W kieszeni Daniela rozdzwonił się płaski zegarek. Z westchnieniem zerknął na słońce. Dni na Kostromie były krótsze niż na Cinnabarze; ten miał się już ku końcowi. Za półtorej godziny wydawał kolację dla młodszych oficerów *Aglai*.

Wstał czując drżącą słabość mięśni ud. Reakcja na hormony, których nie mógł spalić w trakcie błyskawicznej walki w Bibliotece Elektora. Nie był pewny, gdzie znajdowały się ogrody. Na lądzie brakowało mu wyczucia kierunku, choć (a może właśnie dlatego) był urodzonym astrogatorem.

Nie miał wystarczająco dużo pieniędzy, by zapłacić kierowcy trójkołowca za odwiezienie go do apartamentu, ale Hogg zapewne znalazłby brakującą sumę... Może tak właśnie robi.

Daniel Leary pomaszerował ku bramie i rozciągającemu się za nią bulwarowi. Niczym ogromna, czarna dziura...

* * *

Adele Mundy zasiadła przed konsolą danych. Trójka asystentów szeptała między sobą. Odkąd pamiętała, był to pierwszy raz, kiedy kochankowie zwrócili uwagę na cokolwiek poza własnymi ciałami.

Czuła pod palcami chłód konsoli. Widziała ją jak przez mgłę. Nie mogła na niczym się skupić, a gdzieś w klatce jej żeber tkwiła kula sprasowanego lodu.

Tego wieczoru elektor podejmował dygnitarzy kolacją. Adele otrzymała zaproszenie. Jej elektorskie stanowisko, wysokie urodzenie oraz fakt, że była cudzoziemską intelektualistką - wszystko to sprawiło, że dopisano ją do listy gości.

Zasiądzie przy najniższym stole, gdzie pewnie podadzą jedzenie z poprzedniego dnia, choć pieczołowicie ułożone na grawerowanej zastawie. Lecz mimo to rankiem jeszcze nie wyobrażała sobie, że zacznie rozważać odrzucenie zaproszenia na darmowy posiłek. Bez wątpienia zdąży otrząsnąć się z szoku, a nie była taka głupia, by uważać, że zaproszenie pozostawiało jej jakiś wybór.

Młody porucznik sprawiał wrażenie otwartego jak mansarda latem. Leary było dość powszechnym nazwiskiem na Cinnabarze - tak jak i Mundy, jeśli już o to chodziło. Nie przyszło jej do głowy łączyć młodzieńca z przewodniczącym Learym, który powiązał polityczną zawieruchę ze zmyślnym spiskiem Sojuszu, a potem skąpał swe fantazje w krwi Mundy z Chatsworth.

Daniel Leary mógł być tak niewinny, na jakiego wyglądał. Rodzina Learych nie wyrobiła sobie pozycji politycznej subtelnością, tylko bezwzględnością, z jaką działali jej członkowie w obliczu zagrożenia. Przewodniczący Leary nie zadowalał się półśrodkami: banicja dotknęła każdego Mundy'ego z Chatsworth powyżej dwunastego roku życia. Kiedy zaś w nieunikniony sposób zginęły również młodsze dzieci, przewodniczący zwyczajnie dodał ich nazwiska do oryginalnej listy.

Adele nie była zbyt blisko ze swoimi rodzicami, ale wiedziała, że należeli do cinnabarskich patriotów. Prawdopodobieństwo wzięcia pieniędzy od Sojuszu było w ich przypadku równie duże, co oddania własnych dzieci Szatanowi.

Mimo to...

Rozbolały ją oczy. Siedziała w swym brązowym stroju, nie widząc, ale i nie mrugając dla zwilżenia rogówek. Zamknęła oczy i potarła je, po czym z ponurą miną rozejrzała się po bibliotece.

Asystenci wrócili do swoich zajęć; w przypadku pary - dosłownie. Vaness przekopywał się przez oprawione foliały z zeszłego wieku, nie mające z Moschelitzem nic wspólnego prócz rozmiarów. Dobra dusza; zapewne zbyt głupi, by uporać się z badaniami, ale doskonały do utrzymywania porządku na półkach, kiedy te wreszcie się pojawiają.

Mimo to...

Rodzice Adele nigdy nie przyjęliby pomocy Sojuszu, lecz inni, wyjęci spod prawa wraz z Mundymi, raczej nie mieli takich skrupułów. Samir Chandra Das był nawykłym do luksusów zboreźnikiem, który miał do wyboru: zbankrutować albo natychmiast zmienić opcję polityczną za umorzenie długów. Wiedziała o tym nawet w wieku 16 lat - znała go dobrze, gdyż często bywał w Chatsworth.

Parvennysi, Rhadymantusowie z Selbourne, bracia Marcomannowie - magnaci transportowi, którzy ponieśli olbrzymie straty wskutek złych inwestycji - wszyscy oni zostali skazani na banicję, jako członkowie Konspiracji Trzech Kręgów, i wszyscy byli bliskimi przyjaciółmi rodziców Adele i seniorów rodu.

Walnęła prawą dłonią w konsolę. Solidna obudowa tylko zadudniła. Vaness wtulił głowę w ramiona; szepty kochanków ucichły, po chwili jednak na nowo podjęli miłosne wyznania.

W kieszeni Adele Mundy spoczywał pistolet - płaska broń cinnabarskiej produkcji. Nosiła go na Kostromie jako rozsądny środek ostrożności dla kobiety, która wracała samotnie do mieszkania wynajmowanego w dzielnicy o podłej reputacji.

Tak naprawdę posiadała broń i potrafiła odstrzelić szczurowi łeb z odległości 50 metrów dzięki szkoleniu, jakie przeszła w dzieciństwie. Jej rodzice byli zdeterminowani, by każdy Mundy z Chatsworth mógł stanąć na barykadzie w dniu, gdy lud zdobędzie władzę, a reakcyjniści przyjdą, żeby im ją wydrzeć.

Jednak umiejętności strzeleckie nie przydały się im, kiedy opancerzony wehikuł przebił się przez ścianę ich miejskiej posiadłości. Ani jej dziesięcioletniej siostrze, Agacie, choć najgorsze przydarzyło się jej później. Nic nie usprawiedliwiało tego, co ją wówczas spotkało.

Adele zamknęła oczy. Nie pamiętała, kiedy płakała jako dorosła. Ludzie mówili, że płacz jest zdrowy, że poprawiał im samopoczucie. Być może. Ona osobiście uważała ludzi o takich poglądach za pokręconych słabeuszy, którzy prawdopodobnie za równie zdrowe uważali modły do duchów natury lub dietę z naparu z kory, niemniej możliwe, iż mieli rację.

Ale nie zmieniało to zdania Adele Mundy. Nie płakała, tak jak nie zwykła rozbierać się podczas tańca na stole. To, co robiła, co musiała zrobić, to przygotować tę kolekcję na...

Drzwi otworzyły się. Uczona otworzyła oczy i obejrzała się za siebie.

Do biblioteki wkroczyło dwóch stolarzy i mistrzyni Bozeman. Pani Bozeman miała na sobie zieloną, jedwabną suknię, a w dłoni ścisnęła centymetr wykładany szlachetnym metalem dla nadania mu matowego, wieczystego blasku. Tym razem jej podwładni przydźwigali dwie fornirowane półki, wypolerowane tak, że dorównywały gładzią centymetrowi.

- Dzień dobry, bibliotekarko - zawołała gardłowo Bozeman. Była zwalistą kobietą o rumianej twarzy i masie pukli ukrytych pod beretem. Uzbrojona w insygnia stanowiska, postanowiła wtłoczyć cudzoziemce w gardło jej punkt widzenia. - Przybyliśmy, by zainstalować dla ciebie pierwszą parę półek.

Kobieta wstała i ruszyła w kierunku trójki nowoprzybyłych. Powinna przebrać się do oficjalnej kolacji, ale ważniejsze sprawy miały pierwszeństwo.

Rzemieślnicy weszli przed mistrzynią Bozeman. Teraz stanęli po jej bokach.

- O ile pamiętam, rozmawialiśmy już na ten temat - odezwała się uprzejmie Adele. Była Leary'emu winna dobry obiad za przypomnienie jej, kim była.

- Mam nadzieję, iż wyciągnęła pani... - zaczęła mistrzyni.

Adele Mundy chwyciła za centymetr i wyrwała go kobiecie z garści. Odwróciła się i wyrzuciła ów symbol stanowiska przez okno. Rama okienna eksplodowała odłamkami szkła i drewnianymi drzazgami. Dodatkowa praca dla stolarzy, uznała.

- Nie będziemy do tego więcej wracać - oznajmiła. - Natychmiast udamy się do twego warsztatu, a potem zabierzemy całe to piękne i nieprzydatne drewno do dostawcy, który zapewni mi to, czego potrzebuję do pracy. Rozumie pani, mistrzyni Bozeman?

Adele była mniej więcej połowy wzrostu oponentki. Uśmiechała się szczerze, ponieważ nareszcie dostrzegła, że zmanifestowanie swojego autorytetu stanowiło oczywiste rozwiązanie jej problemu. Miała jednocześnie świadomość, że nie będzie miała *żadnego* autorytetu, dopóki go nie zmanifestuje.

Bozeman poruszyła ustami, zaskakująco małymi w przypominającej ciasto twarzy. Nie odezwała się. Wytarła puste dłonie o suknię, brudząc ją. Z nagłą furią odwróciła się do stolarzy i warknęła:

- No dalej, przekłęci głupcy! Spodziewacie się, że sama będę dźwigała te dechy?

Bibliotekarka obróciła się do swoich ludzi.

- Wy też pójdziecie - postanowiła. - Prawdopodobnie nadajecie się jedynie do roboty nie wymagającej pomyślunku, ale akurat czegoś takiego dzisiaj nam trzeba.

- To nie jest nasze zadanie! - zaprotestował kochanek.

Oblicze Adele zmieniło się z gwałtownością spadającego z dachu sopła.

- Czyż nie jestem Mundy z Chatsworth?! - wrzasnęła. - Jeszcze jedna taka bezczelna uwaga, a ten, kto ją wymówi, będzie musiał dotrzymać mi pola, o ile w ogóle jego krew warta jest mojej kuli! A jeśli nie, znajdę bat, który działa równie dobrze na zwierzęta dwunogie, jak i na wszystkie inne. Przysięgam!

Stolarze zdążyli już wynieść się z zagraconego pomieszczenia. Vaness rozdziawił usta. Adele wymierzyła w niego palec. Przełknął ślinę i wypadł z biblioteki wraz z dwójką pozostałych asystentów.

Uczona zamknęła za sobą drzwi.

- To sprawa mojego honoru - powiedziała do pleców oddalających się Kostroman. - Radzę, żebyście o tym pamiętali. Jeśli będę musiała wystrzelać was wszystkich, żeby wywiązać się z niej właściwie, to zrobię to i znajdę innych na wasze miejsca. Nie zapominajcie o tym!

Jedno z kochanków zaskomlało. Drugie odskoczyło, nie chcąc znaleźć się na drodze błyskawicy, którą mogło to spowodować.

Adele uznała, że powinna zdążyć z dostawą drewna do obiadu; w przeciwnym razie - cóż, spóźni się. To był priorytet dla Mundy.

* * *

Daniel Leary wstał i uniósł kielich.

- Przyjaciele oficerowie - zagaił - za *Aglaię*. Oby zawsze cieszyła się obecnością dobrych oficerów na pokładzie!

Rozpromieniony Hogg obserwował ich z holu. Przejął kuchnię gospodarza, by przygotować kolację dla czterech młodszych oficerów *Aglai* - w miejsce Daniela na kolację do elektora poszedł

kapitan Le Golif.

Porucznik nie mógł sobie pozwolić na zakup czerwonego mięsa po kostromańskich cenach, a sługa był, trzeba przyznać, średnim kucharzem, niemniej wszystko poszło dobrze. Pilaw wyszedł smaczny. Bantry stanowiło nadmorską posiadłość. Nic nie mogło lepiej przygotować Hogga do zajmowania się posiłkami na Kostromie - planecie, gdzie ryby to podstawa, a niemal żadne miejsce nie znajdowało się dalej niż 50 mil od morza.

Poza tym wino było wyborne.

- I niech admirał Martina Cholerna Lasowska pozwoli oficerom pokładowym wykonywać ich pracę podczas podróży powrotnej! - mruknął porucznik Mon. Steward napełniał mu kieliszek trzy razy na każde dwie kolejki pozostałych oficerów.

Wypili. Cudowne wino, absolutnie wspaniałe.

Trzy godziny w towarzystwie dwóch poruczników i dwóch aspirantów z *Aglai* przywróciły Danielowi zwykły radosny nastrój. Wino również go nie popsło.

Porucznik Weissshampl czknęła, przez chwilę wpatrywała się w pusty kielich, po czym przypomniała sobie, by zakryć usta serwetką.

- Może powinniśmy zaryglować te cholerne drzwi do przedziału pasażerskiego? - rzucił aspirant Cassanos, młodo wyglądający osiemnastolatek na swojej pierwszej wyprawie.

Aspirant Whelkine była o rok starszą od niego dziewczyną, która przez trzy tygodnie wspólnej podróży ani razu nie obdarzyła Leary'ego prawdziwym uśmiechem. Jej dłonie zacisnęły się na szkle, gdy Cassanos wygłaszał swoją kwestię, choć niekoniecznie musiała to być reakcja na jego słowa. Swoimi umiejętnościami Whelkine dalece przewyższała innych oficerów o takim samym doświadczeniu, lecz Daniel jeszcze nigdy nie spotkał nikogo tak panicznie bojącego się niewłaściwie zachować.

- Myślący o karierze aspiranci - odezwał się Mon, przesywając Cassanosa wzrokiem niczym dwoma obsydianowymi nożami - powinni mieć wystarczająco dużo rozumu, by unikać obrażania admirałów, którzy mogą przekreślić ich szansę na dalszy awans. Rozumiesz, Cassanos?

Zbesztany aspirant zeszytniał na krześle, rumieniąc się ze wstydu.

- Sir - wykrztusił. - Wyrwało mi się. Pokornie proszę naszego gospodarza i zebranych o wybaczenie.

- Mówiłeś coś, Cassanos? - zapytał porucznik Leary, siadając. - Jestem pewny, że nikt niczego nie słyszał.

Reakcja Mona podyktowana została dobrocią, nie hipokryzją. Był drugim porucznikiem ORC *Aglai*, okrętu kurierskiego o kadłubie i masztach lekkiego krążownika, lecz uzbrojeniu korwety. Przestrzeń, przeznaczana zwykle na broń i magazyny, tutaj mieściła kajuty pasażerskie, zapewniające komfort podróży porównywalny z kabiną admiralską na pancerniku Pierwszej Klasy. Delegaci na Kostromę lecieli szybko i w luksusie przewyższającym ich rangę, ale nie blokowali żadnego ważnego okrętu bojowego, nie uwłaczając jednocześnie elektorowi Walterowi III.

Umiejętności oficerskie Mona były wysoko cenione, w przeciwnym razie bowiem nie miałyby zapewnionej koi na takim cacku jak *Aglai*, jednak nie interesowała go kariera, jak również brakowało mu talentu lub szczęścia, by otrzymać dowództwo. Będzie awansował, powoli, lecz stale, aż odejdzie na emeryturę... Chyba, że alkohol i zgorzknienie doprowadzą go do powiedzenia czegoś, czego FRC nie będzie mogła nie dosłyszeć.

Cassanos miał szansę. Porucznik nie chciał, żeby chłopak ją stracił, małpując jego - wiecznego przegranego.

Steward napełnił kieliszek Daniela. Służący należeli do personelu *Aglai* i obsługiwali przyjęcie

dzięki układowi, jaki Hogg zawarł z ich przełożonym. Sługa Leary'ego dostarczył również wino. Jak zwykle nie zdradził źródła dostawy, a jego pan stanowczo nie chciał o to pytać. Był bardzo skrupulatny, jeśli chodziło o pochodzenie dochodów, ale ta kolacja stanowiła dla niego sprawę honorową. Gdyby *wiedział*, że Hogg najechał prywatne zasoby admirał Lasowskiej, musiałby coś z tym zrobić.

- Służyłam pod Lasowską, gdy była kapitanem *Gromowładnego* - powiedziała porucznik Weissshampl. Wino w jej świeżo napełnionym kielichu miało barwę suszonych wiśni; ze skupieniem wpatrywała się w plamki światła na jego powierzchni. - Ostrożny oficer. Nie ufała niesubordynowanym, ale była sprawiedliwa i nie stwarzała problemów. Po prostu ostrożna.

Technicznie rzecz biorąc, załoga *Aglai* nie podlegała admirał Lasowskiej. Zarówno ona, jak i jej podwładni byli pasażerami ORC *Aglai* - okrętu dowodzonego przez kapitana Le Golifa. Nikt, kto wcześniej zetknął się z panią admirał, nie uwierzyłby, że tak było naprawdę, lecz Leary wiedział, iż sytuacja *Aglai* wyglądała jeszcze gorzej.

Zgodnie ze słowami Weissshampl admirał Lasowską cechowała ostrożność - lecz okazała się także osobą wykorzystującą drobiazgi do wyrwania się spod presji obowiązków. Jej zadaniem było zadowolenie Waltera III odpowiednimi ustaleniami, od czego zależał jej honor, wiedziała jednak, iż Senat Cinnabaru wyprze się tychże ustaleń, jeśli tylko większość jego członków uzna, że tak będzie najlepiej dla Republiki.

Elektor Federacji Kostromy, autokrata (aczkolwiek w każdej chwili spodziewający się widoku lufy), będzie uważał, że to Martina Lasowska go oszukała. Oficerowie FRC, również autokraci, w głębi serca uznają podobnie. Admirał Lasowska byłaby zmuszona do złożenia rezygnacji, która przekreśliłaby jej wcześniejszą udaną - choć ostrożnie budowaną - karierę.

- Każdy, kto znalazłby się pomiędzy Senatem a potrzebującym pieniędzy dyktatorem, krążyłby nerwowo po pokładzie - oznajmił głośno Daniel. - Tak się złożyło, iż nie jest to pokład jej okrętu.

Nie żywił szczególnie przyjaznych uczuć do pani admirał. Dała mu jasno do zrozumienia, że w delegacji zajął miejsce jej chrześniaka decyzją osób, z którymi się nie zgadzała. W związku z tym ignorowała go, choć z drugiej strony nie robiła nic, żeby zamienić jego życie w piekło. Daniel Leary przeważnie lubił ludzi, a Lasowska nie dała mu żadnego powodu do umieszczenia jej na krótkiej liście tych, za którymi nie przepadał.

- Jedyne sposoby, żeby nauczyć tego operetkowego Kostromanina rozumu - oświadczył porucznik Mon - to zaparkować na orbicie nad jego pałacem pancernik i trzymać go tam tak długo, aż uzna, iż najlepsze, co może zrobić, to pocałować nas w tyłek. Na Boga i wszystkich świętych! Jak długo, zdaniem Waltera, istnieć będzie flota handlowa Kostromy, jeżeli obwołamy go naszym wrogiem?

- *To* dopiero byłaby zdobycz! - ożywił się Cassanos.

Danielowi zaświeciły się oczy na myśl o błyskawicznym wzbogaceniu się, jakie stałoby się udziałem nawet młodszego porucznika, gdyby przed dotarciem do neutralnych portów setki obładowanych bogactwem transportowców zamieniły się w legalne cele. Niestety, pozostawało to w sferze marzeń; nie było najmniejszych wątpliwości, że Pakt Wzajemny zostanie przedłużony. A nawet gdyby nie, Kostroma nie zostanie uznana za wroga.

- Zostałem odkomenderowany z *Hemphilla* do departamentu inspekcji w Przystani Trzeciej - przypomniał sobie z ponurą wściekłością Mon. - Przez trzy dni siedziałem zakopany w księgach, kiedy *Hemphill* przejął ładunek czterech tysięcy ton fullerenesu, który chciano dostarczyć na Pleasaunce. A potem, zamiast do walki, przydzielono mnie do świty admirał cierń w dupie Lasowskiej!

- Rozumiem, że opowiesz o swoich hemoroidach, Mon - rzuciła Weissshampl do swojego

podwładnego. - A jeśli nie, to może lepiej zastanowisz się nad drzemką w ładowni, koło cargo, które dziś przyjąłeś na pokład.

- Nic mi nie jest - wymamrotał oficer do swojego kieliszka. - Będę pilnował jężora.

Aglai miała nadzwyczaj dużo oficerów - jak na 180 marynarzy załogi. Korwetą o takiej obsadzie winien dowodzić porucznik, który równie dobrze mógłby być jedynym oficerem na pokładzie. Na mniejszych jednostkach działonowy pełnił wachtę, nawet jeśli bosmanem nie był doświadczony kosmonauta jak szef statku lub szef takielunku.

Mimo to wtrącanie się we wszystko admirała-pasażera, całkiem znośne na pancerniku o załodze tysiąca ludzi, na *Aglai* wystawiłoby na próbę nawet cierpliwość świętego. W trakcie podróży Lasowska już dwukrotnie dokonała inspekcji kajut marynarzy. Jedyną metodą ucieczki przed nią było wspięcie się na jeden z masztów, które pchały okręt przez przestrzeń gąbczastą. Daniel robił to dość często, ale opcja ta nie była dostępna dla pełniących służbę oficerów.

Przygotowujący się do wejścia w przestrzeń gąbczastą statek ze sterczącymi na wszystkie strony masztami przypominał morskiego jężowca. Czubki masztów tworzyły punkty, określające rozmiar i kształt pola, na które napierała energia Cassiniego. Natychmiast po opuszczeniu atmosfery wyłączano silniki plazmowe, a Szybki Napęd pracował na niskim biegu, zapewniającym jedynie zdolność manewrową. Nacisk na rozpostarte maszty nie przekraczał przyspieszenia 1G.

Gdy ładunek prawidłowo ustawionych masztów osiągał odpowiednią wartość, okręt wślizgiwał się w czterowymiarową Matrycę, w której współistniały komórki przestrzeni gąbczastej. Statek nie wkraczał do innego wszechświata - on sam stawał się odrębnym uniwersum. Jego ruch w stosunku do wszechświata gwiazdnego zależał znowu od ułożenia masztów i ich naładowania.

Tablice nawigacyjne udzielały dowódcy statku podstawowych wskazówek, niemniej Matrycy, przez którą żeglował, nie można było bezpośrednio wyczuć. Tylko dzięki chwilowym spadkom i wzrostom ładunków w masztach astrogator określał wariacje Matrycy oraz odpowiadające im zmiany położenia okrętu względem gwiazdnego wszechświata.

Naprawdę dobry astrogator miał wycucie wykraczające - jak w przypadku znakomitego stroiciela - poza umiejętności i szkolenie. Jego umysł widział Matrycę. Leciał szybciej, wynurzał się bliżej planet i wracał nawet wówczas, kiedy podróż zawiodła go poza istniejące mapy.

Komandor Stacey Bergen był astrogatorem, którego reputacja budziła zasłużony podziw u innych, w tym u jego siostrzeńca. Niemniej z właściwą sobie, cichą pewnością - daleką od dumy, będącej również częścią jego charakteru - Daniel Leary czuł, że jest równie sprawnym astrogatorem jak każdy inny. *Z wyjątkiem* wujka Stacey'a.

Porucznik Weissshaml wstała z leniwą gracją, przeczącą ilości wypitego przez nią alkoholu. Była wysoką kobietą o rysach twarzy kogoś mniejszego. Jej rodzice mieli pozycję, lecz brakowało im pieniędzy; na szczęście ciotka wyszła bogato za mąż i zapewniała Weissshaml dodatkowe fundusze, których potrzebował każdy oficer, jako uzupełnienie pensji FRC.

Uniosła kielich.

- Koledzy oficerowie! - zawołała. - Za DOWODZENIE. Obyśmy się go doczekali i udowodnili, że jesteśmy tego warci!

- O tak, na Boga! - zakrzyknął Cassanos i przełknął wino.

Leary zamrugał, gdyż aspirant wypowiedział dokładnie te słowa, które on sam powstrzymał, nim opuściły jego usta.

Porucznik Mon wypił z nachmurzonym obliczem. Opuścił opróżniony kieliszek i chwycił go oburącz, jakby próbując udusić naczynie i siebie przy okazji.

- Czy mój pan chce, abym przyniósł brandy? - wymruczał Hogg Danielowi do ucha.

- Brandy? - powtórzył młody oficer. Niespodziewane słowo wyrwało go z marzeń, w których admirał Daniel Leary stał na - stopniach Domu Senatu i odbierał owację uwielbiającego go narodu.

- Pomyślałem, że mogłaby się teraz przydać, sir - rzucił sługa z pełnym satysfakcji uśmiechem.

Miał na sobie czyste ubranie: luźną, zieloną koszulę, wypuszczoną na niebieskie spodnie z czerwonym pasem. Pochłonięty przygotowaniem kolacji, zapomniał się jedynie ogolić, co nadawało mu wygląd radosnego pirata, którym zresztą w dużym stopniu był.

- Faktycznie, pomysł powinien się spodobać - zgodził się Daniel. - Przynieś brandy!

Odchylił się na oparcie, pożyczonego od gospodarza, masywnego krzesła z ciemnego drewna i pluszu. Czuł się pogodzony z całym światem.

Kiedyś, w odległej przeszłości, pewna bibliotekarka powiedziała coś, co z pewnością musiał źle zrozumieć. Któż mógłby gniewać się o coś takiego, kiedy życie było tak cudowne, a jedynym cieniem kładł się brak dowodzenia?

To z pewnością przyjdzie do niego, jak przyszły dobra kompania, dobre wino i same gwiazdy!

* * *

Wielki Salon, gdzie elektor wydawał oficjalne przyjęcia, sięgał trzeciej kondygnacji pałacu i przykryty był przezroczystym stropem. Sufit pokrywał olbrzymi, pojedynczy fresk, lecz światło było zbyt słabe, by Adele Mundy mogła dostrzec cokolwiek prócz nagich kończyn i fałdów draperii.

Mogłaby życzyć sobie lepszego widoku, ale jako że nie zwracała sobie głowy odwiedzaniem tego miejsca za dnia, nie przypuszczała, aby szczególnie zainteresowało ją to teraz. Przede wszystkim czuła straszliwą nudę przyjęcia.

- A oto... - odezwał się mężczyzna po jej lewej stronie, handlarz żywnością z Kostromy i jedyna osoba siedząca poniżej Adele przy czwartym stole - ...sałatka jajeczna. Oczywiście... - Nabrał na widelec lekko brzoskwińową masę; uczona nie była pewna, czy sama użyłaby tego „oczywiście”, identyfikując potrawę. - Ale z *jakich* jajek, pytam? Nie kurzych, jak mogłaby pani pomyśleć, tylko naszych, kostromańskich diamentogonów!

- Przepraszam, mistrzyni - przemówił siedzący po prawej członek delegacji Sojuszu. Był śniadym, ciemnowłosym czterdziestolatkiem, przedstawiającym się jako Markos. Władał akademickim uniwersalnym z chrapliwym akcentem slumsów Pleasaunce.

- Uważam, iż zostałem posadzony wyżej, niżli zezwala na to mój status. Proszę o wybaczenie i zamianę miejscami.

- Jestem pewna... - zaczęła Adele, lecz zaraz się zmytygowała. - Ach.

Nawet gdyby Markos był zwykłym młodszym urzędnikiem, jak utrzymywał, powinien siedzieć wyżej, jako dyplomata. Przy najwyższym stole admirał Lasowska siedziała po prawicy elektora, podczas gdy szef misji Sojuszu z kwaśną miną zajął miejsce po lewej stronie kochanki Waltera. Wysłannicze Cinnabaru nie tylko okazywano większe względy, także jej mundur z sześcioma rzędami medali i honorowym ryngrafem na szyi całkowicie przyćmiewał stroje cywili z Sojuszu.

Przy dwóch środkowych stołach porządek odwrócono. Cioteczny wnuk gwaranta Pony, paw w pełnej krasie, siedział u szczytu, podczas gdy cywil z Cinnabaru zasiadł dwa miejsca poniżej niego; podobnie było z dwoma kapitanami floty przy trzecim stole, gdzie delegat Sojuszu znajdował się powyżej Le Golifa z *Aglai*, który nie należał do składu cinnabarskiej misji, ale zastępował porucznika Leary'ego.

Słusznym było, aby przy czwartym stole średniej rangi pracownik Biura Floty Cinnabaru ratował równowagę, siedząc ponad Markosem; jednak żaden z członków delegacji, na których cześć wydano

bankiet, nie powinien siedzieć *tak* nisko. Stwierdzenie, iż Markos naprawdę winien usiąść poniżej Bibliotekarki Elektora, było niedorzeczne i stanowiło wyraz galanterii, której - Adele doskonale to wiedziała - nie usprawiedliwiała ani jej powierzchowność, ani w *ogóle* nic.

- Tak, dziękuję za tę uprzejmość, sir - dodała, wstając, aby zamienić się miejscami z urzędnikiem. Poradzi sobie ze wszystkim, co mogłoby kryć się za ofertą tego mężczyzny. Najważniejsze, że nie siedziała dłużej koło kupca, najwyraźniej zaproszonego w zamian za dostarczenie jedzenia. Zaczynała nabierać wątpliwości, czy darmowy posiłek wart był kolejnych pięciu minut tej kostromańskiej nudy.

Usiadła. Służący zmieniali już nakrycia do następnego dania, nie musiała więc nawet przestawiać talerza.

Usłyszała, jak jej poprzedni sąsiad pyta o coś Markosa tym swoim nosowym, jęklwym głosem.

- Przepraszam pana - odparł głośno dyplomata. - Jestem głuchy na lewe ucho i w ogóle pana nie słyszę.

Kiedy trzy dni temu uczona otrzymała nową, sprawną konsolę danych, przetestowała ją, łącząc się z pałacem i uzyskując dostęp do listy gości zaproszonych na bankiet, w którym również ona miała uczestniczyć. Informacja była zastrzeżona, lecz obejście kostromańskich zabezpieczeń stanowiło dziecinną igraszkę dla uzbrojonej w potężny procesor bibliotekarki. Miała talent do zdobywania danych, a uczyła się w najbardziej zaawansowanym pod tym względem ośrodku ludzkiego wszechświata.

Gdy sprawdzała listę, jeszcze nie było na niej Markosa. Delegatem Sojuszu przy czwartym stole powinna być kapitan Cromwell, oficer sił lądowych, która miała zasiąść dwa miejsca poniżej biurokraty z Cinnabaru.

Na wysokości drugiego piętra na wewnętrznym balkoniku stał zespół kostromańskich flecistów, grających zarówno na prostych, jak i poprzecznych instrumentach. Ich muzyka odbijała się w rozległym pomieszczeniu wysoką, owadzią nutą. Adele uznała ten efekt za zaskakująco przyjemny dla ucha, gdy mieszał się z gwarem rozmów i brzękiem sztucców.

Służący, jasnoskóry blondyn z jednej z ubogich wysp Północy, postawił przed nią kolejne danie. Było to mielone coś na przybraniu z sałaty. Przypuszczała, że to jeden z gadów Kostromy, ale niektóre tutejsze owady również osiągały takie rozmiary.

Żebracy nie mają wyboru, a mikroskopijne porcyjki nie zdołały jeszcze zagasić płomieni trzytygodniowego głodu. Kobieta uszczknęła kawałek i odkryła, że mięso pozbawione było smaku, za to sos okazał się intrygująco pikantny.

- Pozostaje pani w kontakcie z mistrzynią Boileau? - zagadnął uprzejmie Markos.

Adele obróciła głowę. Dyplomata właśnie nabierał kolejny widelec jedzenia, pozornie całkowicie pochłonięty posiłkiem. Zerknął na nią z niewyraźnym uśmiechem.

- Jeszcze nie - odpowiedziała mu głośno. - Jak uporządkuję sprawy... - Zdusiła ponury uśmiech. - Dam jej znać, jak wygląda sytuacja.

Odkroiła kawałek mięsa, z przyjemnością zauważając, że widelec nie drżał jej w palcach.

- Jest pan na Kostromie od niedawna, panie Markos? - dodała. Ponownie zerknęła na niego ze skąpym uśmiechem na wargach, odpowiednim do rozmowy z nieznanym na bankiecie.

Mina Markosa nie zmieniła się, lecz w oczach zatrzasnęły się okiennice. Mundy żuła nieznacznymi ruchami szczęk. Jedzenie smakowało teraz jak trociny.

Postanawia, co powiedzieć: prawdę czy kłamstwo. A jeśli to drugie - to które.

Och, doskonale znała ten typ ludzi. Dość często odwiedzali zbiory... I drżeli, gdyż nie potrafili samodzielnie korzystać z tak skomplikowanego systemu, a obawiali się prosić o pomoc, ponieważ

same pytania mogły stać się orężem przeciwko nim. Tacy ludzie zawsze określali prawdę poprzez możliwą do osiągnięcia korzyść, i nigdy nie miała ona wartości sama w sobie.

- Od kilku godzin, mistrzyni - odparł mężczyzna z nutą szorstkiej aprobaty w głosie. - Przyleciałem po południu na *Goetzu von Berlichingen*. Może widziała pani nasze lądowanie? Statek kurierski.

- Przez cały dzień byłam bardzo zajęta w pałacu - odpowiedziała zgodnie z prawdą. - Nie interesuje mnie nic poza biblioteką. Poza tym nie odróżniłabym jednego statku od drugiego.

Wróciła do posiłku, żałując, że nie mogła doszukać się w nim smaku. Markos udowodnił, że zna jej przeszłość, i spodziewał się reakcji; zareagowała, dając mu do zrozumienia, że wie coś niecoś o nim. Ze względu na typ człowieka, jakim był, dyplomata zaczniesz teraz więc się jak robak na haczyku, męczony niepewnością, *ile* Adele Mundy o nim wie. To powinno powstrzymać go przed zwracaniem jej głowy przez resztę kolacji.

W rzeczywistości bibliotekarka nie wiedziała niemal nic, a już z pewnością nie знаła odpowiedzi na najważniejsze dla niej pytanie. W delegacji Sojuszu musiał znaleźć się wysokiej klasy szpieg.

Adele naprawdę chciała wiedzieć, dlaczego agent wybrał miejsce koło *niej*.

* * *

Latryna znajdowała się na podwórku apartamentowca, tuż przy kuchni. Daniel Leary otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz, czując się o niebo lepiej niż jeszcze kilka minut temu. Bardzo kusilo go, żeby wyjść na małe balkonik apartamentu i oszczędzić sobie wędrówki nieoświetlonymi schodami na dół.

Nie byłby pierwszy, to pewne, lecz uratował go trening we flocie. W ciasnych pomieszczeniach gwiazdolotu osobista higiena okazała się znacznie ważniejsza, niż ktokolwiek wychowany w wiejskiej posiadłości mógłby sobie wyobrazić.

Hogg przebywał w kuchni, zajęty wykradaniem z zamkniętego składziku kolejnej butelki brandy. Uśmiechnął się do Daniela, zsalutował mu ruchem głowy i rzucił:

- Mam nadzieję, iż aprobuję pan mój wybór, sir?

- Hogg, jesteś cudem wszechświata - odrzekł porucznik. Ukłonił się służącemu z pijacką formalnością. *Oficer marynarki nigdy nie jest tak pijany, by nie mógł wypełniać swych obowiązków...*

Musiał jednak zadać pytanie, które, jego zdaniem, powinno zostać co jakiś czas postawione.

- Ale powiedz mi, Hogg... - zaczął. Na górze było wystarczająco dużo trunków do wypicia, by jeszcze przez chwilę goście obeszlą się bez niego - i świeżej butelki. - Nie to, żebym narzekał, ale czy nie będzie pytań o...?

Poruszył brodą tak, by mogło to zostać odczytane jako gest wskazujący na butelkę z brandy.

- Och, proszę się tym nie martwić, sir - odparował starszy mężczyzna. Zmierzył wzrokiem butlę z krytyczną dumą. - Wszystkie zostaną powtórnie napełnione, zapieczętowane tak, że producent by nie odróżnił, i schludnie odstawione na miejsce. W każdym razie tutejszy bełt jest wystarczająco dobry dla nadętej sklepikarki, jaką jest admirał Lasowska.

Daniel skrzywił się. Chciał coś powiedzieć o zamkniętej jeszcze butelce, uznał jednak, że to nazbyt przypominałoby odmowę ucałowania rankiem dziewczęcia na do widzenia.

- Ach, bez wtrącania się...? - rzucił wścibsko w zamian. Zgody głównego stewarda na udział jego podwładnych w czymś tak bezczelnym nie można było po prostu kupić.

- Jedna ze stewardes myślała, że potrafi grać w pokera - wyjawiał sługa z grymasem

przypominającym uśmiech. - Wraz ze swoimi kumplami ogrywała mnie przez całą drogę z Cinnabaru, przy ograniczonych stawkach. Jak wylądowaliśmy tutaj, powiedziałem im, że dorwałem się do prywatnych funduszy mojego pana i mogę grać o prawdziwe pieniądze.

Oficer parsknął.

- Moje prywatne fundusze nadałyby się wyłącznie do gry na ograniczone stawki - zauważył.

- Och, oni o tym nie wiedzieli - zwrócił uwagę Hogg. - Proszę uwierzyć mi na słowo, panie: najlepszą inwestycją, jakiej można dokonać, jest przekonanie jakiegoś przemądrzałego drania, że wie coś, o czym tak naprawdę nie ma najmniejszego pojęcia. Stewardzi nakłonili swojego przełożonego, żeby wyłożył za nich spore pieniądze, co tylko ułatwiło mi zadanie.

O tak. Główny steward przyłapany na korzystaniu z funduszy okrętowych mógłby spędzić resztę życia na więziennym asteroidzie. Był to poważniejszy problem niż pytania o tuzin butelek wina, które skwaśniało podczas długiej podróży.

Daniel wybuchnął gromkim śmiechem. Zerknął na schody i rzucił:

- Idź już, Hogg. Odczekam jeszcze minutę, żeby rozjaśniło mi się w głowie, zanim poześluję na górę.

Mężczyzna kiwnął służalczo głową i ruszył przed siebie drobnymi kroczkami. Zapewne wypił tyle samo, co reszta uczestników libacji, lecz miał po swojej stronie zarówno trening całego życia, jak i masę przypominającego baryłkę ciała, która pomagała mu rozłożyć alkohol. Jeżeli Leary pił jak oficer floty, to Hogg pił jak admirał.

Z pokojów gospodarza wyszły dwie kobiety pogrążone w cichej rozmowie w lokalnym dialekcie. Dokładnie się opatuliły, więc w ciemnościach Daniel nie potrafił powiedzieć, czy były siostrami, kuzynkami, czy jakąś kombinacją tych układów. Odszedł głębiej na podwórko, żeby nie wyglądało, iż kręcił się przy drzwiach do latryny.

Ulice miasta Kostromy pozbawione były oświetlenia, a mieszkańcy zamykali na noc okiennice. Gwiazdy świeciły równie mocno jak nad Bantry, lecz nie układały się w konstelacje z dzieciństwa porucznika. Śmigający nad okapami „ptak” śledził zdobycz wrażliwymi na ciepło kanalikami w pysku, a nie za pomocą echolokacji, jak czynili to nocni skrzydlaci drapieżcy na Cinnabarze lub Ziemi.

Nawet kostromańska woda morska zostawiała na języku Daniela dziwny posmak. Była przesycona mieszaniną różnych soli, ale ich stężenie było mniejsze niż w cieczy, która omywała wybrzeże Bantry.

Gniew i opowieści wujka Stacey'a zaniósł Daniela Leary'ego daleko od domu. Jednak stojąc tutaj, w ciemnościach, zrozumiał, iż znalazł nowy dom: gwiazdy w ich cudownej obfitości.

* * *

Adele Mundy skubała cienkie talarki mięsa i warzyw, nadziane na drewniane patyczki o osmalonych czubkach. Handlarz żywnością wymienił składniki potrawy na tyle głośno, by usłyszał go siedzący naprzeciwko arystokrata z pomniejszej wyspy. O ile Adele dobrze usłyszała - gromadziła informacje instynktownie, co było w równej mierze błogosławieństwem, jak i przekleństwem - jednym z plasterków było „zatrute jabłko miłosne”.

Uśmiechnęła się wbrew sobie. Określenie „zatrute” można by odnieść do większości miłosnych zabiegów, jakie obserwowała; jednak jej wiedza na ten temat pozostawała czysto akademicka.

Biesiadnicy zjedli 22 dania, podczas gdy zaplanowano 30. Jako że uczona nigdy przedtem nie uczestniczyła w kostromańskim bankiecie, nie miała pojęcia, że każde danie będzie osobną potrawą.

W tym tempie przyjęcie skończy się dobrze po północy.

Większości gości towarzyszyli adiutanci, stojący przy wyjściu i prowadzący z innymi takie same nudne rozmowy. Jeśli do któregoś z gości przychodziła wiadomość, służba pałacowa informowała o tym ordynansa i dopiero ten powiadamiał swego pana lub panią. Co jakiś czas biesiadnik wstawał od stołu i opuszczał salon, by zażegnać kryzys.

Znacznie częściej gość wytaczał się z prowizorycznych toalet, odgradzonych od holu kurtyną. Społeczeństwo Kostromy wykazywało znaczne zaawansowanie w wielu dziedzinach, lecz według Adele kwestie sanitarne pozostawały na podstawowym poziomie, nawet wśród klasy rządzącej.

Menu nie uwzględniało morza wina, piwa i destylowanych likierów, towarzyszących jedzeniu, zapewne dlatego iż na Kostromie rozumiało się to samo przez się. Mistrzynie Mundy nie lubiła alkoholu i miała bardzo słabą głowę; piłaby z umiarem, nawet gdyby nie było to obowiązkiem urzędniczek elektora.

Jedną z przyczyn wydania bankietu była chęć uhonorowania dwóch delegacji zabiegających o przyjaźń z Kostromą - oraz doprowadzenie ich do wrzenia poprzez publiczne postawienie twarzą w twarz. W opinii elektora równie ważny powód stanowiła demonstracja jego potęgi ważnym z politycznego punktu widzenia Kostromanom. Większość z dwustu gości miała potwierdzić wolę służenia Walterowi III.

Ponieważ gromadzenie informacji było całym życiem i powołaniem Adele, uderzyło ją, jak bardzo sposób usadzenia gości przy stołach różnił się od zaplanowanego. W łonie rządzącej koalicji coś się bardzo popsulo.

Polityczne życie Kostromy polegało na ciągłych przetasowaniach wśród klanów, mniej więcej powiązanych z poszczególnymi wyspami. Sama Wyspa Kostromą jawiła się jako kipiący kocioł, w którym żyli wszyscy politycy, jednak podstawy ich siły rozsiane były po całej planecie.

Walter III doszedł do władzy dzięki sojuszowi klanu Hajasów z przywódcami Zojirów, innego potężnego rodu. Obie strony miały swoich popleczników - pomniejszych klany oczekujące od nich przywództwa i ochrony, w zamian za co zapewniały poparcie i ludzi.

Po zwycięstwie Waltera koalicja podzieliła urzędy pomiędzy siebie. Ekipa Adele Mundy była typową mieszaniną zauszników Hajasów i Zojirów, którzy otrzymali posady z powodów nie mających nic wspólnego z ich chęcią czy umiejętnościami pełnienia bibliotekarskich funkcji.

Uczona nie znała gości z widzenia - na tej planecie nie znała niemal nikogo - lecz wszyscy nosili barwy klanów w postaci naszywek na kołnierzykach lub nakryciach głowy. Zojirowie i ich sojusznicy spadli mniej więcej o trzy miejsca w stosunku do pierwotnego planu. Pod jednym względem zmiana ta miała minimalne znaczenie: jedzenie smakowało tak samo, niezależnie od ustawienia krzesła biesiadnika. Pod innymi była równie doniosła, co zmiana miejsca przecinka w równaniu.

Kobieta po prawej stronie Adele była poplecniczka Zojirów; jej beret składał się z pomarańczowych i niebieskich ćwiartek, ale wieńczący go pompon pysznił się czernią i żółcią Zojirów, potwierdzając polityczną przynależność właścicielki. Była dobrze ubrana, lecz bibliotekarka nie wiedziała o niej nic, poza tym, że najwyraźniej większą wagę przykładła do stylu niżli kosztów. Zajęła swoje miejsce z wściekłością, znacząc jej cerę purpurowymi plamami. Łatwo odgadnąć, że powinna znaleźć się ponad zwolennikiem Hajasów, obecnie dwa krzesła dalej po prawej.

Siedząc pomiędzy milczącym, zamyślonym Markosem a milczącą, kipiącą gniewem kobietą, Adele w spokoju spożywała posiłek. Wargi wykrzywił jej blady uśmiezek. Nie mogła również narzekać na bycie zanudzaną podczas kolacji.

- Wielu moich konkurentów przygotowuje sos z dowolnego gatunku ryb - zawodził handlarz żywnością - lub jak podejrzewam, z ich części...

Leonidas Zojira, głowa rodu, poderwał się od stołu. Stojący za nim służący zapobiegł przewróceniu się krzesła na podłogę. Dla wzmocnienia dramatyzmu sceny Leonidas chwycił swój talerz i cisnął go kelnerowi na tacę. Następnie ruszył ku wyjściu.

Podniosła się również część biesiadników, jakby Zojira przerwał niewidzialną tamę. Wszyscy nosili złoto i czerń jako barwy podstawowe lub wstawki. Sąsiadka Adele wstała, powoli pochyliła się naprzód i splunęła swojemu rywalowi z Hajasów do talerza. Dopiero potem dołączyła do exodusu z Wielkiego Salonu.

- Należało się tego spodziewać - odezwał się Markos do bibliotekarki z lekkim rozbawieniem w głosie. Skandal najwyraźniej przywrócił mu dobry humor. - Cała historia Kostromy uczy, że żaden sojusz nie trwa dłużej, niż istnieje wspólny nieprzyjaciel. Niestaly ludek, ci Kostromanie.

Dekoracje stołów stanowiły pozbawione łożek kwiaty, pływające w srebrnych misach. Dzięki odbiciu w jednej z nich Adele dostrzegła, jak szpieg Sojuszu kiwa palcem w stronę drzwi wyjściowych. Od stojącej tam rozchichotanej gromadki adiutantów oderwała się młoda kobieta, po czym podeszła do niego. Nosiła kostromański kostium biznesowy, nieco nie na miejscu w tłumie jaskrawych liberii tych, z którymi czekała.

Pochyliła się nad Markosem i wyszeptala mu coś do ucha. Pokiwał z powagą głową i zwrócił się do Mundy:

- Musi mi pani wybaczyć, mistrzyni Mundy. Moja sekretarka powiadomiła mnie właśnie o pilnym telefonie. Może jeszcze się spotkamy.

- Miłego dnia - rzuciła uczona bezbarwnym głosem. Patrzyła, jak dyplomata opuszcza salę długimi krokami.

Funkcjonariusz „Biura Floty” Cinnabaru był już za drzwiami, nie zwracając sobie głowy pozorami. Gdyby Adele nie zauważyła gestu Markosa, pewnie dałaby się nabrać na tę grę, obliczoną na zachowanie twarzy.

Delegaci Sojuszu i Cinnabaru jak szaleni dawali znaki adiutantom. Le Golif z *Aglai* wyglądał na zaskoczonego i zaniepokojonego. Nie był dyplomata, zatem nie miał pojęcia, co się stało.

Wróciła do posiłku, który postawiono przed nią w momencie wyjścia Zojirów. Siekane warzywa w bardzo ostrym, czerwonym sosie; gdyby nie podpowiedź kupca, nigdy by nie zgadła, że ma on cokolwiek wspólnego z rybami.

Nie przypuszczała, by to zamieszanie miało w jakikolwiek sposób wpłynąć na jej zadanie. Vaness, jedyny pomocnik, jakiego chciałaby zatrzymać, był Hajasem. Bracey należał do stronnictwa Zojirów i zdążyła odprawić go sama.

Polityka Kostromy była zmartwieniem wywiadowców z innych światów, a nie bibliotekarzy...

* * *

Na Kostromie używano aerowozów tak często, że dźwięk nadlatującego pojazdu nie przeszkodziłby im w libacji, gdyby porucznik Mon nie rozpoznał odgłosu silnika.

- Na Boga, to jeden z naszych! - zawołał.

Aspiranci siedzieli przy końcu stołu znajdującym się bliżej balkonu, ale upili się już niemal do utraty przytomności. Troje poruczników udowodniło większe umiejętności, zarówno zawodowe, jak i pijackie, dostając się na balkon niemal równocześnie - pomimo porzrzuconych krzesel, szkła i chrapiącego na podłodze aspiranta Cassanosa.

Aglai wyposażona była w cztery aerowozy, bardzo dużo, jak na okręt bojowy, ale w zgodzie z pełnioną funkcją statku kurierskiego. Auto służbowe o numerze 73 na baniastej gondoli przedniej dyszy mknęło ulicą, oświetlając reflektorem-szperaczem kolejne fasady domów.

- Tutaj jesteśmy! - ryknął Mon. Balkon poruszył się; Daniel nigdy by nie pomyślał, że zmieści się na nim więcej niż dwóch ludzi, ale wtedy był trzeźwy. - *Aglai*? Reflektor omiół im nogi, oświetlając, lecz nie oślepiając oficerów. Aerowóz podleciał bliżej i zatrzymał się nieco powyżej drugiego piętra.

- Sir! - zawołał zza szperacza mat. Musiał nielicho wyteżać głos, by usłyszeli go pomimo ryku zasysanego przez turbiny powietrza. - Porucznik Mon ma poderwać kuter w powietrze i wystrzelić kapsułę pocztową. Aspiranci mają zebrać marynarzy na przepustce, a porucznik Weissshaml ma utrzymywać okręt w stanie gotowości do powrotu kapitana!

Leary odprężył się na tyle, na ile mógł, ściśnięty tak, że trzeszczała balustrada. Coś się stało, lecz nie mogło być niczym bardzo poważnym, skoro Le Golif nie zjawił się jeszcze na pokładzie. Jakieś dyplomatyczne zamieszanie, a nie stan zagrożenia, gdy życie lub dalsze istnienie okrętu zależało od podjęcia błyskawicznych działań. Ważniejsze było dokończenie uroczystej kolacji.

- Podlećcie bliżej - rozkazała Weissshaml ze stanowczością, jakiej należało oczekiwać od oficera marynarki. - Wsiądziemy stąd.

Aerowóz opadł ku nim. Nawet jeśli jego załoga miała swoje zdanie na temat tego pomysłu, to nie do nich należało kwestionowanie rozkazu.

Porucznik Weissshaml postawiła prawą stopę na poręczy. Ta poleciała razem z nią na leżącą dziesięć stóp niżej ulicę. Pani porucznik obróciła się w powietrzu o 270 stopni i wylądowała plecami na kamiennych płytach chodnika.

Auto odskoczyło i opadło w stronę ulicy.

- Anuluję tamten rozkaz! - ryknęła Weissshaml. Zaczęła wstawać, zaraz jednak obróciła się, by zwymiotować tak, aby lekka wypukłość ulicy utrzymała rzygowiny z dala od jej munduru.

Przywierając do szczebli, Daniel z aprobatą pokiwał głową. Bez dwóch zdań Weissshaml była prawdziwym zawodowcem.

Odwrócił się. Stewardzi zaganiaли Cassanosa i Whelkine na schody. Delikatność, z jaką to czynili, stanowiła dobry komentarz do uczuć żywionych przez załogę *Aglai* wobec aspirantów. Za nimi o własnych siłach szedł porucznik Mon. Poruszał się z pogrzebową gracją, dzierżąc w dłoniach kieliszek brandy z namaszczeniem godnym kielicha z komunią.

Hogg obrzucił spojrzeniem resztki po imprezie. Nie wykrył strat - z wyjątkiem balustrady, kilku szklanych naczyń i jednego krzesła. To ostatnie nie było w zbyt dobrym stanie, zanim jeszcze Leary stratował je, prac w stronę balkonu.

- Za 20 minut będzie tu czysto, jak w saloniku u mamusi, sir - ocenił. - O ile będziemy mieć czyste pole.

Uniósł brew, podkreślając założenie, że jego pan weźmie udział w sprzątaniu.

Obsada aerowozu zapakowała porucznik Weissshaml na środkowe siedzenie. Aspiranci wyszli na ulicę o własnych siłach, choć stewardzi trzymali się czujnie blisko nich. Cassanos uniósł nogę, by przekroczyć niską burtę pojazdu. Stracił równowagę, okręcił się na stopie i upadł na tylne siedzenie. Whelkine obaliła się dokładnie na niego.

Mon zajął miejsce w środkowej części. Trzymany w ręce trunek wychlapał się, gdy przesuwiał Weissshaml na bok.

- Łaaa! - krzyknęła aspirant Whelkine. - Mam cały tyłek w brandy!

Kolacja mogła rozluźnić Whelkine do pożądanego stanu, pomyślał Daniel. Zakładając, że nie

powiesi się ze wstydu, jak już wytrzeźwieje.

- Do domu, James! - rozkazała porucznik Weissshampl z miejsca, gdzie leżała.

Powietrzny wehikuł skoczył naprzód tuż nad ziemią, by po chwili wznieść się z wizgiem turbin.

Maci będą musieli zastąpić aspirantów, którzy powinni odpowiadać za akcję zbierania przebywającej na przepustkach załogi, lecz nie stanowiło to żadnego problemu ani nie zdarzało się po raz pierwszy. Porucznik Leary pamiętał noc, kiedy tylko silny chwyt za oba łokcie smagłego marynarza umożliwił mu nawigowanie po pasie za Przystanią Trzecią w poszukiwaniu członków załogi, którzy nie zgłosili się na pokład, choć byli znacznie mniej pijani od niego.

Odwrócił się do czekającego służącego.

- Przejdę się do doków, Hogg - oznajmił. - Popatrzę sobie na start kutra, a potem poszukam jakiejś innej rozrywki. Nie musisz na mnie czekać.

Hogg wydał z troską wargi.

- Będzie pan sam, sir? - zapytał. - Jeden ze stewardów...

- Będę sam - oznajmił równie stanowczo jak Weissshampl, zanim spadła na ulicę - dopóki nie znajdę innej rozrywki. Do dzieła, Hogg!

Ruszył w stronę schodów żołnierskim krokiem. Tylko dlatego, że starszy mężczyzna zdążył zabrać mu z drogi resztki krzesła, Daniel nie potknął się i nie zjechał nosem po stopniach;

* * *

Ogrody na tyłach Pałacu Elektora nie były oświetlone. Wyjątek stanowiła lampa wisząca przed stróżówką, gdzie tuzin strażników żuł tabakę i narzekał na nudę. Bez zainteresowania patrzyli na mijającą ich Adele. Gdyby próbowała wejść do pałacu, mogliby chcieć ją zatrzymać albo wręcz przeciwnie. Nuda wywoływała apatię, a apatia pożerała inicjatywę i wreszcie samo życie.

Kobieta uśmiechnęła się. Cokolwiek robiła, zawsze uznawała to za nadzwyczaj interesujące. Nie znała z autopsji stania w miejscu i oczekiwania, że nic się nie wydarzy, chociaż nie brakowało najróżniejszych sposobów na życie. Strażnicy powiedzieliby pewnie, iż ich służba jest lepsza od prawdziwej pracy, lecz ona w żadnym wypadku by się z nimi nie zgodziła.

Najpierw inicjatywa, potem życie...

Ogromna, czarna masa pałacu oddzielała ją od miejsca, gdzie przybywały pojazdy po gości, ale nawet stąd wyczuwała pompę, z jaką odbywało się ich wyjście. Większość cudzoziemców i trzecia część Kostroman przyleciała i odleciała aerowozami, własnymi lub wynajętymi na tę okazję. Ich reflektory płynęły po niebie, tworząc chwilowe konstelacje, wielobarwne i mrugające. Nawet goście korzystający z pojazdów naziemnych bądź wodnych - na przykład jachtów - bili w niebo snopami światła dla podkreślenia własnej ważności.

Adele snuła się wzdłuż maszyn budowlanych i zamkniętych barakowozów, zaparkowanych na poboczu tylnej drogi. Przeszkody musiały utrudnić dostawy jedzenia na bankiet. Okolica jako żywo przypominała jej podłogę biblioteki.

Walter III odnawiał partie pałacu i zmieniał plan ogrodu. Czy inne jego projekty były równie niewydarzone jak stworzenie elektorskiej biblioteki?

Tysiąc stóp ponad nią przemknął aerowóz. Jego klakson przedarł się przez wycie turbin. Hałas był nieprzyjemny na ziemi, więc pasażerom musiał wydać się po prostu okropny, lecz jakże łechtał próżność. Właściciel mógłby zwrócić na siebie większą uwagę, chyba tylko malując się na niebiesko i tańcząc nago na środku Wielkiego Salonu, choć biorąc pod uwagę tuszę większości uczestników bankietu, rezultat okazałby się jeszcze mniej estetyczny od dźwięku klaksonu.

Dotarła do końca ogrodów. Bramie z kutej stali brakowało prawych drzwi - ofiara nocy, w trakcie której Walter Hajas został Elektorem Federacji Kostromy.

- Hej! - zawołał jeden z wartowników do przechodzącej koło mego uczonej.

Poderwała prawą dłoń, by skierowane na jej twarz światło nie zniweczyło efektu przyzwyczajenia wzroku do ciemności.

- Jestem gościem wracającym do domu - oświadczyła i podjęła energiczny marsz w kierunku swej kwatery.

- Nie ma pani latarni? - zapytał strażnik.

- Nie - odparła, nie zwalniając ani nie obracając głowy.

Światło uczyniłoby ją łatwym celem. Idąc blisko ciemnych budynków, ominie bandytów, zanim zdadzą sobie sprawę z jej obecności. Jeżeli postanowią ją ścigać, to, cóż... trzymała lewą rękę w kieszeni i nie była ona pusta.

Zrobiła porządek ze stolarzami, co wymagało jeszcze jednej, porannej, wizyty w ich warsztacie dla upewnienia się, że mistrzyni Bozeman nie zmieni zdania. Dysponowali wreszcie odpowiednim budulcem; na początek wystarczy.

Troje rzemieślników - a raczej dwaj, gdyż przełożona stolarzy nadal nie zamierzała zabrudzić sobie szat wiórami - nie wystarczy, by szybko cokolwiek osiągnąć, a czeladnicy nie znali się na *takiej* pracy, niezależnie od ich dobrych intencji. Mimo to: jeden krok na raz. Adele była dalej niż dzień wcześniej o tej samej porze.

Tęcze światło rozblęskło na kilka sekund przed tym, nim dotarł do niej ryk plazmowych silników. Z morza startował statek kosmiczny. Drgająca pochodnia odrzutu wspinała się po firmamencie, nawet gdy huk napędu ucichł do pulsowania bardziej wyczuwalnego niż słyszalnego.

Jeden krok na raz.

* * *

Daniel stał przy stercie drewna na końcu pirsu naturalnego portu, obecnie wykorzystywanego jedynie przez jednostki naziemne. Pół mili na zachód stąd przybój kołysał gwiazdolotami w Pływającej Przystani.

Gdyby był młodszy, usiadłby ze skrzyżowanymi nogami na szczycie tej sterty, zamiast opierać się o nią dłonią, jak czynił to teraz. Służba w Bantry zwykła żartować, iż chłopiec uważa siebie za morskiego ptaka, choć nawet w przybliżeniu nie było to takie proste. Pozycja wymagała pewnej zręczności oraz wyczucia kierunku i siły wiatru.

I - owszem - nieco odgradzała Daniela Leary'ego od innych. Smakował mu świat ludzi twardo stąpających po ziemi, ale nigdy, nawet jako chłopak, nie zamierzał ograniczać się tylko do niego.

Prychnął. Wdrapałby się na tę stertę, gdyby nie miał na sobie munduru Drugiej Klasy. Wilgotne drewno poplamiałoby tkaninę, a on przewidywał dalsze użytkowanie uniformu tej nocy. Wpadał kobietom w oko, oj tak. Mundur ogłaszał, że jego posiadacz jest wierny i zdyscyplinowany. Nie trzeba być przyrodnikiem, by wiedzieć, że samice większości gatunków zostały uwarunkowane tak, by cenić takie cechy.

Nawet o tej porze w porcie naziemnym panował ruch. Większe statki, karmiące ludzi i przemysł Kostromy, cumowały za dnia, lecz załadunki i rozładunki odbywały się przez całą dobę. Kilka wielkich frachtowców cumowało w sadzawkach sztucznego światła, a ich nieregularne kadłuby rzucały klinowate cienie. Zaskrzypiał żuraw, ozwały się gwizdki, a z odległego statku dał się słyszeć niezrozumiały, gniewny okrzyk.

Statki kosmiczne w Pływającej Przystani obsługiwane były przez barki portowe, przewożące ładunki w obie strony. Jedna z nich właśnie płynęła do nabrzeża po prawej, pyrkocząc nierówno silnikami Diesla. Brezentowe płachty skrywały spoczywające na otwartym pokładzie trzy elementy ciężkiego sprzętu. Reaktory generujące energię dzięki fuzji, pomyślał Daniel, lecz nie miał pewności, nawet gdy podkręcił w goglach powiększenie i wizję w słabym świetle.

Nie tylko ludzie działali w zatoce. Oświetloną blaskiem gwiazd wodę przecinały fale w kształcie litery „V”. Dzięki przejściu na podczerwień Leary dojrzał krążące pod powierzchnią ryby, żerujące na mikroorganizmach, którym służyły bogate w substancje odżywcze ścieki, wylewające się z miejskich kanałów.

Daniel skupił wzrok na rybie dłuższej od jego ramienia. Tasza, uznał, choć przyrodnicza baza danych *Aglai* nie zawierała specjalnych zasobów informacji o Kostromie.

Na skraju zawężonego pola widzenia gogli mignął jakiś cień. Woda eksplodowała pianą.

Natychmiast przełączył się na zwykłe pole widzenia, pozostając w zakresie podczerwonym. Na nadbrzeżnym pachołku, niedaleko od niego, siedział biczogon. Chwilę temu przemknął nad wodą i wyłowił z niej rybę jednym uderzeniem zębatego, chwytneho ogona.

- Brawo! - zawołał porucznik. - Doskonale przeprowadzony atak na wartego wysiłku przeciwnika!

Machając pracowicie porośniętymi futrem skrzydłami, „ptak” zatoczył nad zatoką wielkie koło, przyciskając rybę do brzucha. Po chwili wylądował na przednim maszcie frachtowca, rozpościerając skrzydła niczym teatralne kurtyny. Tylko raz uderzył ofiarę dziobem, przerywając strunę grzbietową tuż u podstawy czaszki, po czym zaczął się pożywiać, zręcznymi ruchami oddzierając paski mięsa od boków.

Daniel uznał, że ów widok musiał być tutaj dość powszedni, skoro nie zwrócił nań uwagi żaden Kostromanin, ale nie było to zwyczajne dla *niego*. A zresztą ilu ludzi, na dowolnej planecie, zwracało uwagę na cokolwiek?

Frachtowce służyły miastu, zaś barki portowe - gwiazdolotom w Pływającej Przystani. Istniały jednak jeszcze mniejsze jednostki - statki aprowizacyjne - które służyły załogom owych kosmicznych kolosów.

Część z nich miała rozmiary pontonów. Dowoziły owoce, likiery i partnerów seksualnych pozostającej na pokładzie załodze. Całkiem często wracały na brzeg z narkotykami i innym przemytem, lecz tak działo się w każdym porcie na przestrzeni całej historii człowieka.

O tej porze większość stateczków tłoczyła się przy brzegu zatoki lub cumowała do statków. Kilka z nich, napędzanych małutkimi silniczkami, parło powoli przez wodę. Prawdopodobnie odgrywały role wodnych taksówek, zabierając oficerów na ich jednostki albo przewożąc na brzeg marynarzy, nareszcie zwolnionych ze służby po zakończeniu wachty.

Oficerowie - nawet marynarki Cinnabaru - zezwalali statkom aprowizacyjnym na cumowanie do ich okrętów, ponieważ i tak nie byli w stanie tego powstrzymać. Kapitan usiłujący izolować swoją załogę od portu po podróży przez gąbczastą przestrzeń, straciłby ją wskutek dezercji, a nawet mógłby sam postradać życie w wyniku buntu.

Załogi statków kosmicznych musiały być doskonale przeszkolone i dobrze zmotywowane, by wypełniać swe obowiązki. Rozumiały potrzebę naziemnych przeglądów i wacht portowych, ale mądry kapitan - *zdrowy na umyśle* kapitan - podobnie rozumiał potrzebę odprężenia się po lądowaniu. Zdyscyplinowana, zadowolona załoga bawiła się na pokładzie, nie przekraczając określonych granic, niemniej jednak *bawiła się*.

Nad Pływającą Przystanią rozblęła plazma, oświetlając jednostki cumujące pomiędzy *Aglaią* a

łodem. Daniel Leary obserwował wznoszący się na pojedynczym, plazmowym silniku kuter.

Małutki stateczek wyposażono w Szybki Napęd, lecz niewielkie rozmiary uniemożliwiały umieszczenie na nim masztów i załogi niezbędnej do wejścia w gąbczastą przestrzeń. Porucznik Mon wyniesie kapsułę pocztową ponad magnetosferę Kostromy, po czym wystrzeli ją w kierunku Cinnabaru.

Międzygwiazdne wiadomości musiały być przewożone przez statki lub bezzałogowe kapsuły pocztowe. Tym ostatnim programowano ściśle określony, międzywymiarowy kurs. Ponieważ Matryca, przez którą podróżowały, nie była stała, kapsuły ustępowały niezawodnością pilotowanym przez ludzi jednostkom.

Ich zaletę stanowiły natomiast stosunkowo niewielkie rozmiary. *Aglai*a wiozła dziesięć, długich na 30 stóp, kapsuł pocztowych, zajmowały one przestrzeń, gdzie z trudem zmieściłaby się jedna szalupa zdolna do międzygwiazdnych podróży. Flota składała się między innymi ze statków kurierskich, ale pojedynczy okręt, który musiał nadać wiadomość do domu, korzystał z kapsuł.

Ku zdumieniu Daniela w powietrze wzbil się również drugi kuter, tym razem z przeciwległego krańca Pływającej Przystani. Wystrzelono go z *Goetza von Berlichingena*, jednostki kurierskiej Sojuszu.

Załoga Sojuszu na pewno otrzymała takie samo zadanie jak porucznik Mon: przesłać do domu wiadomość wielkiej wagi. Nie zważając na groźbę podsłuchania przekazu, delegacja Sojuszu musiała połączyć się ze statkiem drogą radiową, gdyż do gwiazdolotu nie doleciał żaden kurier z wiadomością.

Wiadomość dotyczyła prawdopodobnie czyjś doniosłego z dyplomatycznego punktu widzenia pierdnięcia w trakcie uroczystej kolacji. Ludzie spędzający życie na analizie drobiazgów dopatrywali się kryzysów w wydarzeniach, o których zapomni się całkowicie po upływie tygodni, jeżeli nie dni. Gwiazdy były wieczne, a wśród nich zawsze znajdzie się coś autentycznie nowego do odkrycia przez człowieka.

Porucznik roześmiał się, uradowany tym, że żyje. Przerwa pozwoliła organizmowi powrócić do niemal normalnego funkcjonowania, pomimo że podczas kolacji przyjął solidną dawkę alkoholu. Młodzieniec był już w stanie iść bez obawy, że się przewróci.

Klub nocny, w którym spotkał Silenę, znajdował się tylko parę przecznic dalej. Możliwe, że znowu tam będzie, a jeśli nie, to, cóż, w takich miejscach można zwykle znaleźć więcej słodkich dziewcząt, którym oficer FRC winien przybyć z pomocą.

Pogwizdując gawota, porucznik Daniel Leary ruszył niespiesznie, by wypełnić swój obowiązek.

* * *

Ktoś walił w drzwi frontowe. Adele słyszała męski głos, lecz nie rozumiała słów; do jej pokoju na drugim piętrze dotarł jedynie wymagający ton.

Intruz przerwał, ale po chwili znowu zaczął łomotać w drzwi jakimś twardym przedmiotem. Trwało to niemal minutę, zanim pani Frick otworzyła okno na ulicę i zakwękała pytająco. Zagrzmiął męski głos. Ku swemu zaskoczeniu usłyszała trzask otwieranych rygli i skrzypienie uchylających się drzwi.

Pieniądze musiały przejść z ręki do ręki. Albo pojawiło się zagrożenie wystarczające, by poruszyć groźną samą w sobie dozorczynię.

Bibliotekarka wyskoczyła z łóżka i ubrała się doskonale oszczędnymi ruchami, mimo iż pokój oświetlał jedynie blask gwiazd zza pojedynczego, zamkniętego okna. Była osobą zorganizowaną i

nawykłą do samotności, dzięki czemu dokładnie wiedziała, gdzie znajdowała się każda sztuka odzieży.

Dom zawierał sześć pokoiów oraz maleńką stróżówkę dozorczyńni, usytuowaną tuż przy wejściu. Przybysz nie musiał przyjść po Adele Mundy, niemniej Adele zwykle miała rację, zakładając najgorsze, a pojawienie się kogoś o takiej porze z pewnością zwiastowało jakieś nieszczęście.

Założyła strój do pracy - kostium z wytrzymałej, brązowej tkaniny, elegancki i nie brudzący się. Osobista konsola danych, jedyny wartościowy przedmiot znajdujący się w jej posiadaniu, pasowała do specjalnej kieszeni spodni. Po zamknięciu miała jedynie dziesięć cali na cztery i pół cala grubości, zatem tworzyła nie rzucające się w oczy zgrubienie.

Ostatnią czynnością, jaką wykonała kobieta, stało się wsunięcie pistoletu do lewej kieszeni zakietu. Była praworęczna, ale potrafiła oddawać strzały z obu rąk.

Na schodach i korytarzu rozległy się kroki dwóch osób, z których żadna nie była rządzącą i człapiącą panią Frick. Goście mieli ze sobą źródło światła. Było żółte i bardzo intensywne. Przeświecało przez wypaczone drzwi do pograżonego w kompletnych ciemnościach pokoju Adele.

Pukanie było grzeczne, choć stanowcze. Otworzyła natychmiast.

Za drzwiami stał Markos z niewielką lampą w lewej ręce i uniesioną do ponownego pukania prawą dłonią. Miał na sobie płaszcz i szerokoskrzydły kapelusz umiarkowanie zamożnego kupca. Towarzyszyła mu adiutantka, którą uczona widziała w Wielkim Salonie. Obie dłonie skrywała pod opończą, przez co nie niosła lampy, jak można by się tego spodziewać.

Mężczyzna zmarszczył lekko brwi, widząc Adele rozbudzoną i ubraną. Jego przyboczna zachowała doskonale nieprzeniknione oblicze. Przywodziła na myśl węża, zimnego i pozbawionego emocji.

- Przykro mi z powodu takiej pory - przemówił Markos ze swym kulturalnym akcentem. - Byłoby mi bardzo miło, gdyby zechciała pani udać się z nami na przejażdżkę, co umożliwiłoby nam dyskretniejsze omówienie pewnych spraw.

- W porządku - zgodziła się bibliotekarka. Ruchem palców cofnęła mężczyznę w głąb korytarza, po czym sama opuściła pokój i zamknęła za sobą drzwi.

Nie zawracała sobie głowy zamkiem. Można go było otworzyć kopniakiem, a pani Frick i tak miała własne klucze. Tylko głupiec usiłował wpływać na sprawy, które ewidentnie wymykały się spod kontroli.

* * *

Drzwi wejściowe otworzyły się, gdy pogwizdujący Daniel znajdował się jeszcze w połowie drogi do kamienicy. Pomachał Hoggowi przejrzystym fragmentem garderoby, który znalazł w kieszeni podczas wędrówki do domu. Nie miał pojęcia, jak ten kawałek jedwabiu tam trafił; może dlatego iż uwagę zaprzętało mu wówczas coś zgoła innego.

- Dobry wieczór, Hogg. To był naprawdę *bardzo* dobry wieczór! - zawołał.

Stopy splątały mu się na progu; służący złapał go z wprawą zrodzoną z praktyki. Musieli u niej sporo wypić. Całe mnóstwo alkoholu.

Hogg przerzucił sobie ramię porucznika przez plecy i zaniósł go korytarzem na podwórko apartamentowca.

- Przygotowałem dla pana wannę, sir - oznajmił. - Lepiej jednak, żeby tego wieczoru pan nie śpiewał. Gospodarza nie ucieszyła ta zniszczona balustrada.

- Ha! - zakrzyknął Leary. Teraz, kiedy dotarł bezpiecznie do domu, poczuł się jak marionetka,

której przecięto sznurki. Uścił rachunek w nocnym klubie - Bóg jeden wie, jak *to* spłaci - ale nie miał choćby florena na taksówkę, gdy wymknął się na zewnątrz, zanim ruszyli się słudzy tamtej damy.

Hogg bardziej niósł, niż prowadził go do łazienki. Oświetlała ją pojedyncza, słaba żarówka. Płytki, którymi była wyłożona, układały się w scenę ogrodową, ładną pomimo warstwy brudu. Wanna z emaliowanego metalu miała drewniane obrzeże, była długa i głęboka, choć dla Daniela za wąska. Przywykł do większej przestrzeni na ramiona po położeniu się.

Próbował pomóc słudze w rozbieraniu, lecz jak zwykle przekonał się, że najlepiej będzie nie ruszać się i podnosić kończyny tylko na żądanie. Stojącą w rogu olejową termę spowijała para, zabawiał się więc dmuchaniem w opary i kształtowaniem ich w przeróżne wzory.

- Rozpytywałem nieco o mieszkających w Kostromie obywateli Cinnabaru, sir - powiedział Hogg, odwieszając spodnie swego pana do alkowy, gdzie wylądowały już jego buty, kurtka i koszula. W rogu piętrzyła się bielizna.

- Ach? - mruknął Daniel.

Hogg szukał ludzi, którzy mogli być zainteresowani przesmugłowaniem na Cinnabar wartościowych przedmiotów. Będąc okrętem wojennym, *Aglai*a nie podlegała rewizjom cywilnych władz celnych. FRC dokonywała własnej kontroli, lecz personel floty pozostawał w zażyłych stosunkach z załogami jednostek bojowych i zazwyczaj zadowalał się umiarkowanej wysokości łapówkami.

Młody porucznik chwycił za krawędzie wanny i zaczął gramolić się do środka.

- Sir! - zawołał służący. Cofnął Daniela, po czym włożył rurkę termy do wody i odkręcił zawór. Para zbulgotała, z rykiem podgrzewając kąpiel.

Ciśnienie pary opadło do astmatycznego gulgotania.

- Teraz, panie - dodał, wyjmując węża i wyłączając piecyk.

Ciało Leary'ego wślizgnęło się pod powierzchnię. Woda miała temperaturę krwi. Ukołła go, niemal usypiając. Myśli rozpuszczały się, jak piaskowe zamki w falach przyływu.

- Wśród urzędników elektora znajduje się obywatelka Cinnabaru - ciągnął sługa nieobecny głosem. Rzadko mówił wprost, gdy miał do przekazania coś ważnego. - Bibliotekarka, kobieta, która dopiero co przyleciała tutaj z Bryce. Nie wspominałbym o niej panu, gdyby nie była to Mundy z Chatsworth.

Umysł Daniela natychmiast zaczął pracować na wysokich obrotach pomimo wygody i spożytego alkoholu. Ostatnie 12 godzin nie miało już na niego najmniejszego wpływu.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby była ostatnią z nich - dorzucił Hogg. Podał porucznikowi gąbkę, którą ten zignorował. - Przebywała poza planetą, kiedy to się stało, w przeciwnym razie stanęłaby przy palu, jak większość jej rodziny po tym, jak pański ojciec wykrył spisek.

- Tak, prawdopodobnie tak właśnie było - mruknął Daniel. Wziął gąbkę i zaczął myć się mocnymi, stanowczymi ruchami.

- Może ta pani Mundy należy do tych, którzy przebaczą i zapominają... - wyraził przypuszczenie sługa.

- Nie - zaprzeczył oficer. - Spotkałem ją.

- Ach? - zdziwił się Hogg. - No cóż, skoro tak, to rynkowa cena za zabójstwo wynosi tutaj 200 florenów. Za oficera floty Cinnabaru stawka może nieco wzrosnąć, ale nie zakładałbym się o to. Gangsterzy nie zwracają zbyt wiele uwagi na stosunki międzynarodowe.

- Dziękuję za zwrócenie mej uwagi na tę kwestię, Hogg - powiedział. - Zajmę się tym.

- Mam paru przyjaciół, którzy mogliby pomóc, gdyby zamierzał pan, tego... - rzucił nieśmiało mężczyzna. Wysuwanie takich sugestii bardzo go kłopotowało i słusznie nie był pewny reakcji swojego

pana. - Chciałem powiedzieć, że sam bym z nimi pogadał. Nie musiałby pan...

- Dziękuję, Hogg - uciał Daniel. Jego ton, choć skończenie uprzejmy kończył dyskusję. - Rano osobiście zajmę się tą sprawą.

Późnym rankiem. Najbliższe kilka godzin najlepiej wykorzysta, jeżeli je prześpi.

* * *

Bezimienna adiutantka Markosa prowadziła trójkołowiec, siedząc na odkrytym, przednim siedzeniu; agent Sojuszu i Adele zajęli osłonięty tył. Światła pojazdu słabo rozpraszały mrok w środku, wpadając przez owalne, operowe okienka. Oczy Markosa błyszczały.

- Sojusz udzielił pani schronienia, gdy pani własny naród chciał zabić panią jak psa, mistrzyni - oznajmił. - Opatrzność zsyła pani okazję do odwdzięczenia się za okazaną dobroć.

Koła pojazdu były wysokie i grube. Opony z elastomeru tłumiły, choć nie eliminowały podskakiwania na bruku.

- Nie jestem politykiem - odparła. - Jestem bibliotekarką. A moja praca dla Zbiorów Akademickich na Bryce stanowiła co najmniej równowartość jedzenia i schronienia, zapewnianego mi tam przez osobę prywatną.

Demonstracyjnie odwróciła się i wyrzała przez okno. Jechali przez dzielnicę bogatych kupców. Kamienice miały trzy piętra wysokości i tłoczyły się jedna przy drugiej frontem do ulicy. Dachowe ogrody ozdabiały pierzastymi liśćmi gzymy, których rzeźbienia przewyższały urodą prawdziwą roślinność.

Przed remontowanym budynkiem stał uzbrojony strażnik. Na fasadzie widniały ślady kul, a okna na niższych piętrach zabito deskami. Prawdopodobnie była to rezydencja zwolennika starego reżimu.

Latarnia strażnika oświetliła napis na zworniku: „Ja, Peter Cribelli, zbudowałem to dla siebie i moich potomków”.

Obecność rusztowania wskazywała, że rano robotnicy zamierzali wydłutować inskrypcję. Może zastąpią ją innym śmiałym wyrazem nadziei na lepszą przyszłość.

- Tak - rzucił agent z groźbą w głosie. - Pani Boileau. Zaraz do niej wrócimy. W tej chwili Sojusz najbardziej interesuje fakt, iż posiada pani konsolę danych, dzięki której może uzyskać dostęp do każdej informacji w systemie państwowym. Zgadza się, prawda?

- Nie mam pojęcia - skłamała. Obróciła się twarzą do Markosa. - Powiedz mi, czego chcesz, a potem mnie wypuść.

- Pani umiejętności są bezdyskusyjne, mistrzyni Mundy - orzekł szpieg. Przez chwilę kły dorastania w slumsach wgrzyzały się w kulturalny akcent. - Dzięki temu urządzeniu może pani uzyskać dowolną informację. Równie bezdyskusyjna powinna być moja determinacja oraz władza nad panią i jej przyjaciółmi!

- Powiedz mi, czego chcesz - powtórzyła Adele.

- Proszę to wziąć - odrzekł Markos, podając jej moduł z oprogramowaniem plugin. - Pani terminal podłączony jest do sieci komunikacji satelitarnej. Komuś z pani umiejętnościami umożliwi to odszyfrowanie każdej informacji, płynącej tą siecią, nawet jeśli zakodowano ją za pomocą cinnabarskich technik.

Wzięła moduł; nie był większy od kostki jej małego palca.

- Czego *chcesz*?

- Informacji - odparł mężczyzna. W jego głosie z powrotem pojawił się uśmiech. Był przekonany, że wygrał pojedynek woli. - Odnajdzie pani i dostarczy mi każdą informację, o jaką poproszę. A

wówczas nie będziemy musieli martwić się o staruszkę, która mogłaby dożyć swoich lat w smutku i zgryzocie.

Wybuchnął śmiechem.

- Dlaczego Biuro Piąte zatrudnia zagranicznych bibliotekarzy do wykonywania oślej roboty, Markos? - zapytała wyważonym tonem Mundy. - W Kostromie musi przebywać sporo agentów Sojuszu. Statek, którym tutaj przybyłeś, posiada sprzęt co najmniej dorównujący mojemu oraz personel przeszkolony w korzystaniu z niego. Dlaczego oddajesz się w ręce amatorki?

Każdy departament biurokracji Sojuszu ma własną sekcję wywiadowczą, jednak łatwo było się domyślić, iż człowiek wyposażony we własny statek kurierski należy do organizacji podległej bezpośrednio gwarantowi Porrze.

Skóra Markosa napięła się na kościach policzkowych.

- Moje powody są właśnie takie, pani - oznajmił. - Moje. Proszę jednak nie umniejszać swych umiejętności. Moglibyśmy przeczesać cały Sojusz i nie znaleźć nikogo bardziej odpowiedniego dla naszych potrzeb.

Bibliotekarka wsunęła moduł do sakiewki u pasa, po czym odchyliła się na oparcie i westchnęła.

- Odwieź mnie z powrotem, Markos - poprosiła.

Jaką przyszłość przewidywali Peter Cribelli i jego rodzina? Rodzice Adele opowiadali o czasach, kiedy rządził lud - oczywiście pod przewodem najmądrzejszych i najbardziej dalekowzrocznych członków społeczeństwa.

- Tak sądziłem, że pójdziesz po rozum do głowy - rzucił ze śmiechem szpieg. Dwukrotnie stuknął w panel odgradzający ich od pomocnicy.

Trójkołowiec zakręcił, podskakując, gdy prawe koło wpadło i wyskoczyło ze spoiny pomiędzy płytami.

Uczona siedziała z zamkniętymi oczami. Markos myślał, że pogodziła się z losem.

Możliwe, że tak właśnie się stało. Trudno jej było przekonać samą siebie, że jej działanie mogło cokolwiek zmienić. Życie było chaosem, a decyzje jednostek nie miały żadnego znaczenia.

* * *

Łódź aprowizacyjna, wioząca Leary'ego do Pływającej Przystani, stanowiła rodzinne przedsięwzięcie, zatrudniające dziewięć osób, a zarazem trzy - cztery pokolenia w zależności od tego, która z kobiet była matką dziecka. Silnik spalał zanieczyszczoną naftę i krztusił się z wyjątkiem chwil, gdy fala unosiła łódź, wyciągając turbinę z wody; wówczas zawodził jak rozjuszony, dziki kot.

Od jednej z pływających, betonowych podpór oderwał się poduszkowiec, wzbudzając fale i z rykiem pędząc do brzegu. Chmura rozpylonej przez niego wody spowiła łódź Daniela. Rodzina obrzuciła bogatszych sąsiadów przekleństwami. Jedna z dziewcząt z załogi poduszkowca zagrała im w odpowiedzi na nosie, lecz wiezieni na brzeg schludnie umundurowani oficerowie floty kupieckiej nie zwrócili na to uwagi.

Poduszkowiec był prawdziwą taksówką wodną. Łódź, na dziobie której siedział porucznik Leary, wyładowano owocami i butelkami tak, że krawędzie burt tylko o dłoń wystawały ponad powierzchnię wody. Młodszy członek załogi - dwie dziewczyny i przystojny chłopak, noszący kolczyki i obrębianą srebrem tunikę - prawdopodobnie sprzedawali załogom statków coś więcej niżli jedynie towary.

Podróż łodzią w charakterze dodatkowego ładunku była znacznie tańsza od taksówki, choć Daniel musiał sobie o tym przypominać przy każdym kolejnym zakrztuszeniu się motoru, które mogło okazać

się ostatnim. Znowu *będzie* miał pieniądze, jak tylko spotka się z oficerem dyżurnym.

Z poziomu wody ciężko oszacować ogrom Pływającej Przystani. Kiedy łódź spływała w dół wodnego grzbietu, widać było tylko kolejną nadbiegającą falę. Nawet na szczycie fali, skąd wiatr zwiewał pianę, można było dojrzeć jedynie mokre, szare bryły zbiorników i jaśniejsze, jeszcze większe kształty tuzina najbliższej cumujących statków.

Zazwyczaj Pływająca Przystań gościła co najmniej 30 gwiazdnych okrętów. Dzisiaj tkwiło ich tutaj 47: Leary przyjrzał się zatoce z przystani i zapamiętał ich układ. Gdyby łódź wysadziła go w złym miejscu, wołał mieć szansę na samodzielne odszukanie *Aglai*, bez konieczności polegania na załogach innych statków. Część z nich zarejestrowano na światach Sojuszu, lecz nawet cinnabarski marynarz mógł uznać za śmieszne posłanie oficera marynarki w złym kierunku, żeby musiał nadłożyć kilka mil wokół zatoki.

Daniel uśmiechnął się. Kiedy był aspirantem, sam uznałby to za zabawne. Nie było to znowuż tak dawno temu.

*Aglai*a cumowała w pierwszym rzędzie, doskonale widoczna, ale jego łódź skręcała na północ. Gdyby dobili do przystani w punkcie, w który mierzyli, miałyby do przejścia tuzin betonowych pływaków i wijących się między nimi linowych kładek. Oficer obrócił się, podniósł do półprzysiadu z ręką na burcie - szansa na to, że łódź zawróciłaby po niego, gdyby wpadł do wody, była w najlepszym razie połowiczna - i zawołał:

- Tędy! - Drugą ręką wskazywał na *Aglaię*. - Okręt wojenny! *Aglai*a! Chłopiec przy rumplu nie wyglądał na więcej niż osiem lat. Obrzucił Daniela zatroskanym spojrzeniem. Siedząca przy nim starucha zamachała na porucznika robótką, którą wyszywała, i wrzasnęła:

- Przystań! Przystań! Ty dalej pieszo!

- *Aglai*a! - powtórzył Cinnabarczyk.

Wyciągnął stuflorenową monetę. Ugięte wewnątrz wielowarstwowego krążka promienie światła sprawiły, że zamieniła się w trzymaną pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym tęczę. Wrzucił monetę z powrotem do sakiewki.

Rodzina spierała się świdrującymi głosami; ósemka dorosłych darła się na siebie, a dzieci dodawały pozbawiony słów płacz. Pływający po zatoce Kostromy marynarze mieli własną gwarę. Bazowała na uniwersalnym, lecz Daniel rozumiał tylko co trzecie słowo. Część słownictwa pochodziła bez wątpienia z lokalnych dialektów, ale dużą rolę odgrywały również języki innych planet.

Mężczyzna w średnim wieku stanął przed starowiną i wyburczał rozkaz do sternika. Chłopczyk przesunął rumpel, kierując wreszcie dziób łodzi w stronę *Aglai*.

Starucha wrzasnęła na mężczyznę; ten zdzielił ją w ucho, aż upadła na obudowę steru. Podniosła robótkę i wróciła do pracy, mamrocząc pod nosem.

Kula stanowiła najlepszy kształt dla latających przez Matrycę statków, jednak kuliste jednostki były niebezpiecznie niestabilne na wodzie, chyba że wyposażono je w długie wysięgniki. Poza tym, choć dawał najbardziej efektywną ładowność, kształt ten stwarzał poważne problemy przy załadunku i rozładunku na powierzchni planet. W związku z czym budowano jedynie małe okręty kuliste oraz statki eksploracyjne.

Wszystkie jednostki w Pływającej Przystani wyglądały jak tłuste cygara. Były do połowy zanurzone w wodzie, a po obu stronach podpierały je wysięgniki. Przepychające je przez przestrzeń gąbczastą anteny albo złożono wzdłuż kadłubów, albo wyciągnięto celem przeprowadzenia prac konserwatorskich. Przypominały rozgniecione insekta.

*Aglai*a wyglądała podobnie do większości cumujących dookoła transportowców. Miała 613 stóp

długości, zaś jej iglica liczyła sobie 65 stóp. Nominalna waga kadłuba z oprzyrządowaniem wynosiła 10 000 ton, choć całkowita waga z załogą, zapasami i paliwem reaktorów była o dobre 4 000 ton wyższa.

Zbudowano ją ze stali. Istniały mocniejsze i lżejsze materiały, lecz żadne nie dorównywały stali odpornością na korozję i zmęczenie, a także łatwością obróbki i naprawy. W przestrzeni gąbczastej waga nie miała żadnego znaczenia, a używając Szybkiego Napędu czy silników plazmowych nie brano jej zbyt pod uwagę.

Przystań tworzyły wielokomórkowe, betonowe pływaki, z których każdy miał długość kilkuset stóp. Zakotwiczone je do dna morza kablami, dostosowującymi się do wysokości pływów, były jednocześnie powiązane ze sobą nawzajem podwodnymi przewodami. Kładki dla pieszych kołysały się tuż nad falami. Barki portowe cumowały po przeciwnej stronie betonowych konstrukcji niż gwiazdoloty, lecz łodzie aprowizacyjne przyczepione były wszędzie: do pływaków, do samych statków lub jedne do drugich. Przypominały rzesę wodną na stawie. Rozbite na licznych pływakach wielobarwne schronienia z tkaniny rozciągniętej na lekkich stelażach zapewniały choć odrobinę prywatności.

*Aglai*a została przyczepiona do betonu trzema obrotowymi, stalowymi ramionami, które umożliwiały okrętowi i wielokomórkowej konstrukcji unoszenie się na falach bez ocierania się o siebie. Wiele statków używało odbojników, lecz jednostki FRC - zwłaszcza przystosowane do przewożenia moźnych i ważnych Republiki - musiały uważać na wykończenie.

Wszystkie włazy *Aglai* otwarto na oścież dla przewietrzenia statku i łatwiejszego dostępu do barek portowych. Platforma dokowa rozciągała się od środka kadłuba po wysięgnik. Stali tam wartownicy, choć tamtą drogą odbywał się jedynie normalny ruch.

Daniel schylił się, kiedy łódź przepływała pod kładką łączącą dwa pływaki. Beton upstrzony był trzema poziomymi pasmami alg: czerwonym, błękitnym i żółtym - najbliższym wody, poprzerastanym dodatkowo roślinami lubiącymi wilgoć. Do żółtego pasa, niczym pęcherze, przyrosły bezkręgowce, których skrzela otwierały się za każdym razem, gdy grzbiety stworzeń omywała fala.

Sternik zmierzał w stronę olbrzymiej bramy. Można było przewieźć przez nią reaktor.

- Nie, nie! - zawołał oficer, machając w stronę trapu, na którym stało trzech marynarzy z matem, obserwujących jego podróż. - Dopłyńcie tam! Tam!

Chłopiec wzruszył ramionami i skierował łódź do trapu. Starucha spiorunowała go wzrokiem i splunęła do wody.

Chłopczyk wrzucił wsteczny bieg i wyhamował cal od platformy. Leary przeskoczył na stalowy pomost bez uciekania się do pomocy stojącego na nim marynarza. Chłopiec sterował swoim pojazdem z wprawą urodzonego wodniaka. Spędzi tutaj całe swoje życie równie pewnie, jak ryba spędzi swoje pod wodą.

- Porucznik Daniel Leary - rzucił - prosi o spotkanie z oficerem dyżurnym.

- Witamy na pokładzie, sir - odezwał się uzbrojony mat. Ujął przytroczone do paska radio. - Powiem pani Weissshampl, że pan idzie. - Formalności zakończyły się szerokim uśmiechem. - Wygląda pan lepiej od niej. Na pewno bawiliście się na tej samej imprezie?

Daniel roześmiał się, rad z rozładowania napięcia. Pomaszerował mokrym trapem; śliskim pomimo wytłoczonego antypoślizgowego wzorku. Nie przejmował się spotkaniem z Weissshampl, nie miał też wątpliwości, iż uzyska jej zgodę.

Martwiło go, co dalej. Cóż, Republika Cinnabaru oczekiwała od swych oficerów wytrwałości niezależnie od okoliczności.

Pokłady cylindrycznego okrętu wojennego były bardzo długie. *Aglai*a miała pięć pokładów, lecz

dwa najniższe, pokłady A i B, znajdowały się obecnie pod wodą. Przechowywano tam zapasy, paliwo, amunicję i kapsuły pocztowe.

Kajuty marynarzy zabierały większość miejsca na Pokładzie B, co było dość niezwykle na okrętach tych rozmiarów. Zazwyczaj załoga mieszkała na Pokładzie D, ale na *Aglai* obszar ten przeznaczono na kabiny pasażerskie.

Porucznik znalazł się w centralnej rotundzie Pokładu C. Łączyły się tutaj cztery opancerzone klatki schodowe. Korytarze dziobowy i rufowy bieżyły wzdłuż kadłuba, lecz przestrzeń naokoło rotundy zajmowały dwa reaktory. Ich masa musiała znajdować się blisko środka statku, w przeciwnym razie bowiem jednostka utraciłaby sterowność w przypadku uszkodzenia komputera lub przewodów kontrolnych.

Systemy komputerowe floty miały liczne obwody zapasowe i niemal nigdy nie zawodziły. Oficerów kosmicznej marynarki, co przetrwali na tyle długo, by awansować, cechował nawyk przygotowywania się na najgorsze katastrofy, pilnowali oni również, aby konstruktorzy wykazywali się podobną ostrożnością. Sterowana ręcznie *Aglai* mogłaby tańczyć na czubku szpilki.

Na Pokładzie C znajdowała się maszynownia i uzbrojenie: wyrzutnie pocisków ofensywnych oraz większość dział plazmowych zwalczających pociski przeciwnika. *Aglai* wyposażono w standardowy system obronny lekkiego krążownika: sześć opancerzonych wieżyczek, każda uzbrojona w dwa czterocalowe działka plazmowe. Na czas podróży wieżyczki chowały się w kadłubie, jednak podczas postoju na powierzchni planety pięć z nich pozostawało wysuniętych, by zwiększyć przestrzeń w środku. Wyjątek stanowiła wieżyczka na Pokładzie A, 20 stóp pod wodą.

Aglai uzbrojona była w cztery wyrzutnie i miała tylko po trzy pociski do każdej z nich. Ta słabość musiała irytować każdego służącego na niej oficera, lecz statków komunikacyjnych nie *przeznaczono* do walki. Jej baterie wystarczały do zajęcia się każdym piratem, na którego mogłaby się natknąć, a dowódca ryzykujący życie pasażerów przez swoje niepotrzebne bohaterstwo stanąłby przed sądem wojennym i z pewnością zostałby uznany za winnego.

Zarówno na górę, jak i na dół, zgodnie z tradycją, prowadziła taka sama liczba schodów. Daniel przeciął rotundę i przez otwarty właz dostał się na Schody Nr 1. Siwowłosa mat, wyglądająca na dwa razy więcej lat (w rzeczywistości miała około czterdziestki), stała na półpiętrze, trzymając za ręce nagą od pasa w górę, tubylczą dziewczynę o fałszywie skromnym uśmiechu. Wystraszyły się.

- Nie przeszkadzaj sobie, Haynes - rzucił przez ramię, wspinając się na górę i biorąc po dwa stopnie na raz.

- Porzucił pan wytworne życie i wrócił popracować we flocie, panie Leary? - odparła Haynes, wybuchając budzącym echo śmiechem.

FRC to zdyscyplinowana siła, czego nie mogli jej odmówić nawet najwięksi wrogowie. Lecz dyscyplina nie oznaczała niemrawości, nie usiłowano także wprowadzać drylu, który Sojusz zdawał się stawiać na piedestale.

Niepopularny oficer padał ofiarą ośmieszających go wypadków. Niepopularny kapitan zostawał bez załogi po najbliższym lądowaniu - kupcy dobrze płacili i nie pytali o listy referencyjne: podczas wojny na rynku pracy brakowało połowy wykwalifikowanych marynarzy.

Załogi podążały za szanowanym przez siebie oficerem ze statku na statek, a nikt nie darzył szacunkiem słabości. Tak więc oficer niedostępny dla swych podwładnych, i nie wymieniający z nimi żartów, nie miał czego szukać w FRC.

Właz na Pokład D był otwarty. Akordeon grał muzykę w tym samym stylu, jaki porucznik słyszał w nocnym klubie. Dobiegły go śmiechy i brzęk butelek. Delegaci nie korzystali obecnie z szykownych kajut, co nie oznaczało, by miały się one marnować.

Pokład E należał do oficerów; znajdowało się tutaj również centrum dowodzenia i sterowania. Zamontowana nad rotundą wieżyczka była wysunięta, dzięki czemu Daniel nie musiał jej obchodzić, jak to miało miejsce w trakcie lotu. Luk wieżyczki pozostawiono otwarty, więc korytarz wypełniało świeże powietrze i świergot ptaków.

Biurko dyżurnego było puste, ale drzwi do biura oficera zmiany stały otworem. Porucznik Weissshampl siedziała z ponurą miną za konsolą. Daniel wyszczerzył zęby w uśmiechu i zasalutował jej energicznie.

- Leary - przemówiła. - Gdybyś zapomniał o salucie, to przysięgam, że zamknęłabym cię w dolnej wieżyczce i nie wypuściła do powrotu na Cinnabar. Jak, do cholery, możesz tak rześko wyglądać? - Zmarszczyła się niczym burzowa chmura. - I *nie* mów mi, że to młodość!

- Nie wszyscy ćwiczyli tej nocy skoki z wysokości na beton, Maisie - rzucił.

Weissshampl miała 28 ziemskich lat i była całkiem młoda, jak na oficera tak szykownego okrętu jak *Aglai*.

Teraz roześmiała się, po czym z jękiem potarła kark.

- Taaa, może masz i rację - przyznała. - Ale, na litość boską, siadaj, żebym nie musiała tak zadzierać głowy.

Leary zajął wskazane mu krzesło. Wytrzymała powierzchnia pokładu podziurawiona była tak, że dla niewprawnego oka wyglądała jak ponadżerana. Otwory sięgały stalowych płyt kadłuba. Meble marynarki Cinnabaru skonstruowano w taki sposób, iż powielaly ten sam wzór i można je było przytwierdzić w miejscu żądanym przez użytkownika z dokładnością do kilku cali. Na pokonującym przestrzeń statku nie istniały niezabezpieczone duże przedmioty.

- Przyszedłem prosić o przysługę, Maisie - wyznał Daniel. Chciałbym, abyś przydzieliła mi dwudziestkę marynarzy pod komendą doświadczonego mata. Możesz uznać to za budowanie pozytywnych relacji pomiędzy narodami Cinnabaru i Kostromy. Jak dla ciebie - da to zajęcie garstce ludzi i utrzyma ich z dala od kłopotów podczas pobytu na planecie, gdzie nie ma zbyt wiele do roboty.

Porucznik Weissshampl przyglądała mu się spod zmarszczonych brwi. Oboje wiedzieli, że Daniel Leary nie należał do grona oficerów *Aglai* i nie miał żadnej władzy nad jej załogą, więc nawet nie zawracała sobie głowy wspomnianiem o tym.

- Wiesz - odparła - wygląda mi to na jakąś machlojkę: oficerowie wykorzystujący marynarzy do zarabiania pieniędzy na boku. Uśmiechnęła się z mieszaniną humoru i cynizmu. - Nie żebym nie wyraziła na to zgody, rozumiesz. Ale tobie chodzi o coś innego.

Wzruszył ramionami. Nie był pewny, czy potrafiłby właściwie przedstawić sytuację, i nie zamierzał nawet próbować.

- Kiedy byłem aspirantem, służyłam pod twoim wujkiem Stacey'em - dodała Weissshampl, jakby zmieniając temat. Podniosła przedmiot, którego używała w charakterze nożyka do papieru. Było to pióro o lotce stopionej w ostrą, szklistą membranę. Pochodziło od ptaka pływającego w morzu, którego zasolenie nie pozwalało mu zamarznąć w temperaturze ponad - 4 stopni Celsjusza, a mimo to przez ponad połowę roku skuwał je lód. - Miał nosa do zmian w Matrycy - ciągnęła bawiąc się piórem. - Byłam wówczas pełna podziwu, który pogłębia się, w miarę jak... - Uśmiechnęła się zimno do młodego mężczyzny. - Poznaję innych astrogatorów. Jesteś dobry, Leary. Lepszy ode mnie. Ale nigdy nie dorównasz twojemu wujowi.

- Nie - zgodził się Daniel. - Nie dorównam.

- Weissshampl dotknęła guzika na konsoli.

- Szef takielunku do biura zmiany - rozkazała. Jej głos zahuczał w głośnikach zainstalowanych w

każdym pomieszczeniu i na każdym korytarzu *Aglai*.

Bosman Domenico musiał być w swojej kajucie, znajdującej się niedaleko stąd. Pojawił się w drzwiach biura, nim ucichło echo jej głosu.

- Tak, sir? - rzucił głosem nieco przytłumionym przez wciągana właśnie przez głowę tunikę.

- Proszę zebrać 20 marynarzy pod dowództwem... Woetjans, jak sądzę - poleciła mu kobieta. - Udadzą się z misją z obecnym tutaj porucznikiem Learym. Wybieraj ludzi, którzy zdążyli już wydać swoje zaliczki.

Uśmiech Domenico przypominał trzęsienie ziemi w skalnym klifie.

- Nie zawęża to zbyt wyboru - stwierdził. - Takielarze czy...?

- Takielarze, jeśli takich będziesz miał, ale w razie potrzeby możesz sobie dobrać z kadłubowców - odrzekła porucznik. - Załatwię to z szefem statku.

- Tak jest, sir - rzucił bosman. Stuknął czoło w salucie i opuścił biuro. Zaczął wykrzykiwać nazwiska, zanim jeszcze doszedł do schodów.

- Przygotuję aerowóz, żeby zabrał cię na brzeg - powiedziała Weissshampl do Daniela. - Jakies konkretne miejsce?

- Zabierzemy Hogga z mojej kwatery - odrzekł. - A potem Pałac Elektora. Zanim zapomnę: możesz mi to rozmienić?

Wyciągnął stuflorową i wręczył dyżurnej oficer. Weissshampl ze zdumieniem oglądała monetę.

- Specjalne tłoczenie - zauważyła.

- Całkowicie legalne - odparł obronnym tonem. - To jest... cóż... wybito ją na moje urodziny. Dostałem ją... no wiesz... na szczęście. W tej chwili brakuje mi nieco drobnych i...

- Sama ci to rozmienię - postanowiła porucznik, sięgając do portmonetki. - Gdybym skorzystała z funduszy statku, mógłbyś mieć problemy z jej odzyskaniem.

- Włożyła monetę na szczęście do wewnętrznej kieszonki portmonetki, po czym pchnęła w jego stronę trzy równe kupki zwykłych monet.

- Naprawdę szanuję komandora Bergena - oświadczyła. - Brakowało mu jedynie chęci rzucania się innym do gardła.

- Kocham mojego wujka - oznajmił Daniel, wstając. - Naprawdę doceniam twoją pomoc, Maisie.

Odwrócił się i ruszył do drzwi. Domenico prawdopodobnie zdążył już zebrać pluton.

- Musiałeś odziedziczyć mordercze instynkty po ojcu - rzuciła do jego pleców porucznik Weissshampl.

* * *

- Aby zachować właściwe proporcje przy tym odstępie... - perorowała mistrzyni Bozeman, przyglądając się szkicowi Adele - ...półki muszą być o siedem ósmych cala wyższe. Moglibyśmy osiągnąć ten sam efekt, zmniejszając długość o cztery cale.

W bibliotece wrzało jak w ulu. Nie działało się tam tyle od dnia przyjazdu Adele Mundy, gdy pół pałacu zbiegło się, aby napatrzeć się na cudzoziemską intelektualistkę. Co najmniej połowa spośród przydzielonych jej asystentów była obecna i sprawiała wrażenie chętnych do pracy, choć bez nadmiernego entuzjazmu.

W danej chwili „praca” oznaczała wnoszenie desek na trzecie piętro po krętych schodach, skądinąd, z punktu widzenia architekta, zapierających dech w piersiach. Niemniej każde schody sprawiałyby problem przy transportowaniu długich półek, toteż bibliotekarka była mile zaskoczona, że tak wielu jej podwładnych podjęło się tego zadania.

- Proszę spojrzeć... - dodała rzemieślniczka. Przyłożyła koniec centymetra do zewnętrznego muru i podała szpulkę z napinaczem jednemu obecnemu czeladnikowi; drugi siedział w warsztacie i pokazywał bibliotecznym asystentom, które deski należy zabierać.

Mistrzynie Bozeman nie próbowała utrudniać. Możliwe, iż pierwszy raz w tym dziesięcioleciu miała na sobie prawdziwy strój roboczy - fartuch z wieloma kieszeniami, narzucony na ubranie z mocnego materiału. Problem polegał na tym, że zwyczajnie nie potrafiła pojąć, iż względy estetyczne musiały ustąpić pierwszeństwa optymalnemu zagospodarowaniu dostępnej przestrzeni.

Uczona potrzebowała regałów, w których pomieści maksymalną liczbę dzienników pokładowych, instrukcji lotu i innych tego typu wydawnictw o rozmiarze 20 centymetrów, stanowiącym standard na statkach międzygwiazdnych jeszcze przed Przerwą. Nie zależało jej na półtoracalowym prześwicie nad książkami i *absolutnie* nie chciała czterocalowych odstępów między regałami. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, do czego mogłaby wykorzystać takie przerwy.

Bozeman tego nie rozumiała. Równie dobrze Adele mogła ją prosić o skonstruowanie półek bez pionowych podpór.

Bibliotekarka wzięła głęboki wdech, zastanawiając się nad doborem słów, który pomógłby jej w bezowocnym wysiłku przekazania swych zamysłów mistrzyni stolarzy.

- Przepraszam, pani Mundy - odezwał się głos za jej plecami. - Muszę prosić o krótką rozmowę na osobności.

- Idź do... - zaczęła Adele. Rozpoznała głos. Odwróciła się, natychmiast zapominając o bibliecznych półkach.

- Porucznik Leary - rzekła. Była bardziej zdumiona niż rozgniewana. - Myślałam, że podczas ostatniego spotkania wyraziłam swoje życzenie wystarczająco zrozumiale. Poza tym jestem w tej chwili bardziej zajęta, niż to zapewne jest pan w stanie sobie wyobrazić!

Miał na sobie ten sam mundur co wczoraj: prawy rękaw był ponownie przyszywany do korpusu; robota zręczna, ale nie umknęła spostrzegawczości Adele. Część niej zastanawiała się, dlaczego syn jednego z najzamożniejszych obywateli Cinnabaru nosił reperowaną odzież.

- Bardzo przepraszam - powtórzył Leary spokojnym, choć formalnym tonem - ale pani zobowiązania wobec elektora muszą ustąpić pierwszeństwa wymogom honoru pomiędzy obywatelami Cinnabaru.

- Ach - mruknęła. - Rozumiem.

Przypuszczała, że powinna była spodziewać się czegoś takiego. Po przypomnieniu sobie przebiegu ich wczorajszej rozmowy stało się dla niej jasne, że skończy się to pojedynkiem. Nie taki miała zamiar, ale...

Nie to było jej świadomym zamiarem.

- Na końcu korytarza znajduje się pusty balkon - powiedział Leary, skinąwszy głową w kierunku środkowej części pałacu. Skrzydła budowli były relatywnie skromnie zdobione, jak przystało na pudła, w których miał pracować personel. Centralna część pyszniła się potrójną kolumnadą na froncie i loggiami na drugim i trzecim piętrze - można z nich było podziwiać ogrody na tyłach pałacu. - Moglibyśmy tam porozmawiać.

- Dobrze - zgodziła się. Rozejrzała się dookoła i wypatrzyła Vanessa, któremu tymczasowo przekazała dowództwo. Wszyscy obecni w bibliotece, wliczając w to dwójkę stolarzy, wpatrywali się w nią. W nią i w Leary'ego.

- Nie macie co robić?! - krzyknęła. - Na Boga, lepiej, żeby to się zmieniło do mojego powrotu! Do roboty, do diaska!

Obróciła się z powrotem do Leary'ego. Wyraz jego twarzy nie zmienił się, pozostając równie

nieprzenikniony, jak powierzchnia kąpieli z olejkami. Ukłonił się wskazując na drzwi.

- Pan przodem - warknęła. Biblioteka była jej domeną. Żaden przybłęda nie będzie jej tutaj traktował protekcyjnie.

Korytarze na trzecim piętrze wyłożono sześciokątnymi płytkami w trzech odcieniach szarości. Dzięki temu tworzyły one różnorodne wzory. Efekt nie dorównywał wielobarwnym mozaikom niższych kondygnacji, lecz i tak był ładny. I bardziej odpowiadał gustowi bibliotekarki.

* * *

Stoczyła pojedynek niedługo po emigracji na Bryce. Kolega z zajęć, pochodzący z Krańca Trimshawa, jednego z najbardziej zapadłych światów Sojuszu, uznał jej niewinną uwagę za obraźliwą. Wyzwał ją.

Nigdy nie powinni uzyskać zgody na pojedynek, ale ich opiekun był pobłażliwy, a dyżurny w akademiku - niedojrzały. Adele i tamten chłopak byli cudzoziemcami; reszta klasy postrzegала całą sprawę raczej w kategorii walki kogotów niż konfliktu pomiędzy istotami ludzkimi.

Już wtedy wiedziała, że powinna zakończyć tę farsę przeprosinami. Chłopak był przerażony, ale bardziej bał się wycofać niż ciągnąć sprawę dalej.

Dziewczyna nie bała się, zaś śmierć rodziców, która nastąpiła raptem dwa dni wcześniej, sporo ją nauczyła. Nie obchodziła ją odpowiedzialność za takich, co sami nie potrafili właściwie się zachować. Nic już ją nie obchodziło.

Stoczyła chyba z tysiąc pojedynków z holograficznymi trenerami w Chatsworth oraz w piwnicach miejskiej posiadłości Mundy - byli gorąckrwistą rodziną, bardzo skrupulatnie odnoszącą się do kwestii honoru. Ponieważ była tak doskonale przygotowana, jej najwyraźniejsze wspomnienia tamtych wydarzeń dotyczyły szczegółów, którymi rzeczywistość różniła się od tego, czego oczekiwała na podstawie szkolenia.

Jednostrzałowe pistolety elektromotoryczne zostały wyprodukowane na Pleasaunce i wypożyczone przez przyjaciela dyżurnego z akademika. Ich długie lufy wypluwały ciężki pocisk z umiarkowaną szybkością, Adele natomiast ćwiczyła z bronią cinnabarską, wystrzeliwującą śrut z prędkością meteoru.

Być może to właśnie ciężar lufy sprawił, że przesadziła z przeciwwagą, mierząc w cel. Celowała w mostek, a trafiła go dokładnie między oczy. Śrut zniknąłby, zamieniając swą niewielką masę na energię kinetyczną. Ciężka kula przeleciała na wylot, ochlapując płynnym mózgiem rosnące 20 jardów dalej drzewa.

Ktoś krzyknął. Obserwowała ich co najmniej setka ludzi - mieszkańców akademika pojedykowiczów oraz przyjaciół z Akademią.

Chłopak okręcił się i upadł na ziemię. Plecy wygiął w łuk. Walił wściekle piętami o glebę, aż jeden z pantofli pofrunął w listowie. Wynajęta przez kogoś pani doktor nawet nie zwracała sobie głowy podchodzeniem do ofiary; zamiast tego uklękła i zaczęła odmawiać różaniec.

Dyżurny akademika był sekundantem Adele Mundy. Z otwartymi ustami gapił się na rzucające się ciało. Podeszła do niego, odwróciła pusty pistolet i podała mu go.

- Proszę - powiedziała.

Wystarczył jeden strzał, by rozgrzały się zwoje wokół lufy.

Dyżurny spojrział na nią. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że był niewiele starszy od niej. Odruchowo złapał rękojeść pistoletu, uświadomił sobie jednak, co trzymał, i zaraz wypuścił broń pomiędzy palców. Dziewczyna odsunęła się, gdy zaczął wymiotować na ziemię, pistolet i własne

jedwabne spodnie.

Nikt nie odezwał się do niej, gdy ruszyła z powrotem do domu. Na zajęciach nie rozmawiano z nią przez kolejnych kilka tygodni. Jeszcze tego samego wieczoru służący spakowali rzeczy dyżurnego, który już nigdy więcej nie wszedł do tego akademika ani nie wziął udziału w żadnych wykładach na Akademii. Dawno temu...

* * *

Umiejscowiona na trzecim piętrze loggia wystawała ze ściany dokładnie nad rampą prowadzącą z pałacu do tarasowych ogrodów. Kiedy Leary przebywał w bibliotece, służący wyszli na zewnątrz, by zjeść lunch. Siedzieli na kamiennej balustradzie. Jeden z nich opowiadał o czymś, gestykulując zamasyście porcją mielonego mięsa w dużych liściach, bujając się na niebezpiecznej grzędzie.

Uśmiechnęła się na tę myśl. Nie tak niebezpiecznej jak pojedynek, uznała.

Porucznik Leary otworzył szklane drzwi do loggii. Zaskoczeni służący spojrzeli na niego wojowniczo.

- Przykro mi, ale potrzebujemy tego miejsca - oświadczył oficer z kategorię gestem. - Dam wam znać, kiedy będziecie mogli tutaj wrócić.

Lokaj-gawędziarz warknął odpowiedź w dialekcie z Północy; Lupanan, pomyślała Adele, ale nie musiała rozumieć słów, by pojąć znaczenie. Na Kostromie wyznacznikiem społecznego statusu była barwność stroju. Mundur Leary'ego był szary z czarnymi wyłogami i dla gbura z Lupanan wyglądał jak ubranie pomywacza.

Porucznik chwycił go za luźny kołnierz i wyrzucił przez otwarte drzwi. Kostromanin łupnął o ścianę korytarza. Jego towarzysz pisnął i wymknął się za nim.

Daniel Leary zamknął szklane drzwi, obrócił się do bibliotekarki i założył ręce za plecy.

- Mistrzynie - zaczął urywanym głosem. - Nie wiem o politykach nic z wyjątkiem tego, że istnieją. To mój ojciec i siostra zajmują się tą częścią rodzinnej działalności.

Adele milczała; nie zadano jej żadnego pytania. Leary nie był rosnym mężczyzną i nie dorównywał wyrzuconemu przez drzwi służącemu ani wzrostem, ani wagą. Przez chwilę bała się, że straci go do ogrodu, i cały czas podejrzewała, że mało brakowało, by wybór padł na takie właśnie rozwiązanie.

- Tuż po moich siódmych urodzinach w Bantry zapanowało wielkie poruszenie - ciągnął mężczyzna. - Mój ojciec zdobył informacje od szpiega Sojuszu; przypuszczam, że go torturował, ale wtedy wiedziałem tylko tyle, że istniał spisek mający na celu wymordowanie nas w łózkach z pomocą Sojuszu. Ojciec poleciał do Xenos z większością strażników. Reszta czuwała całą noc na wypadek ataku Sojuszu. - Potrząsnął głową z cierpkim zadziwieniem. - Hogg dał mi śrutówkę - dodał. - Jeszcze nigdy nie byłem tak podniecony. Teraz, cóż, zastanawiam się, co zbieranina lokajów i chłopów miałaby do roboty, gdyby w Bantry wylądowała szalupa szturmowa ze szwadronem opancerzonych marines Sojuszu, niemniej to wszystko, co wiem o Konspiracji Trzech Kręgów, i bynajmniej o to nie dbam.

Adele wciąż milczała. *I bynajmniej o to nie dbam... A ona dbała? Z pewnością nie wtedy.* Dlatego właśnie udała się na Bryce, gdzie wyjęcie spod prawa ominęło ją tak samo, jak młodego syna przewodniczącego Leary'ego.

- Podczas mojego pobytu na Kostromie - kontynuował porucznik głosem wypranym z emocji, niczym księgowy składający raport o dokonanych wydatkach - zamierzam korzystać z przywileju użytkownika Biblioteki Elektora, przyznanego wszystkim członkom delegacji przez Jego Ekscelencję

Waltera III. Rozumiem, iż może to stanowić dla pani problem, pani Mundy, w związku z czym... - Wyciągnął z sakiewki niewielką kasetkę i otworzył ją. Palce poruszały się pewnie, choć nie spuszczał wzroku z kobiety. - Oto moja wizytówka z aktualnym adresem zamieszkania z tyłu. Jeżeli postanowi pani poprosić przyjaciela o telefon do mnie, mój gospodarz przekaze wiadomość, nawet jeśli nie będzie mnie w domu, i będziemy mogli dokonać stosownych ustaleń.

Od szyb okien północnego skrzydła odbijały się zmieszane okrzyki. Hałas mógł dochodzić z biblioteki, lecz w tej chwili nie była to najważniejsza kwestia, z którą musiała zmierzyć się Adele Mundy.

Obejrzała wizytówkę z bioplastiku. Przód głosił:

Daniel Oliver Leary Porucznik FRC Wykończenie było śliskie i wystarczająco twarde, by zatrzymać czubek noża. Odwróciła kartę i odczytała adres zapisany schludnym pismem na porowatym odwrocie. Pomyślała, że ulica znajdowała się gdzieś w okolicach portu, ale jeszcze nie zadała sobie trudu zapoznania się z planem miasta Kostromy.

Gdy ważyła odpowiedź, o szybę zabębniły czyjeś knykie. Adele i Leary obejrzel się - bibliotekarka z zaskoczeniem, porucznik z widoczną irytacją.

Intruz okazał się olbrzymką o krótko przyciętych, czarnych włosach. Kobieta miała około 30 lat i całkiem ładną twarz, szpeciła ją tylko blizna przecinająca lewy policzek od ucha do podbródka.

Prawą dłonią dźwżyła głowicę młotka. Nieświadomie uderzała jego trzonkiem o lewą dłoń. Narzędzie bardzo przypominało sprzęt czeladników pracujących w bibliotece.

- Tak, Woetjans? - zapytał ciężkim głosem Leary.

- Przepraszam, że przeszkadzam, sir - odparła kobieta głosem pozbawionym żalu. - Napotkaliśmy pewien problem, kiedy zapytaliśmy czarnuchów, gdzie mają zawisnąć półki. Będziemy mogli zacząć, jak tylko tutejszy głównodowodzący - Woetjans kiwnęła głową w stronę Adele - przyjdzie to wyprostować. - Uśmiechnęła się z satysfakcją. - Wygląda na to, że uwiniemy się w dwa tygodnie, choć zależy to również od tego, czy pański człowiek, Hogg, zgodnie ze swoimi zapowiedziami zdobędzie odpowiednie materiały.

- Co, na litość boską, tutaj się wyprawia? - zapytała słabym głosem uczona.

Oficer odchrząknął i wyjaśnił z lekkim zakłopotaniem:

- Skoro to pani jest odpowiedzialna za tę bibliotekę, mistrzyni Mundy, to, moim zdaniem, od powodzenia tego projektu zależy honor całego Cinnabaru. W związku z powyższym pozwoliłem sobie przyprowadzić pluton żeglarzy, aby pokazać miejscowym, jak to się robi. Ach... - Odwrócił wzrok, skrzywił się, po czym spojrzał jej prosto w oczy. - Oczywiście, nie ma to związku z żadnymi kwestiami honorowymi pomiędzy obywatelami Cinnabaru.

Adele postukała wizytówkę kciukiem.

- Rozumiem - odrzekła. - Godne podziwu zwięzłe wyjaśnienie.

Wsunęła kartę do sakiewki i ponownie spojrzała na porucznika. Stał, rozluźniony, czekając na jej decyzję. Nie był choć w przybliżeniu tak młody, jak pierwotnie sądziła.

- Nie mam przyjaciela, który mógłby do pana zadzwonić, poruczniku Leary - oznajmiła - ponieważ na tej planecie nie mam żadnych przyjaciół. I niewielu poza nią, choć Mistrzyni Boileau bez wątplenia do takowych należy.

Mężczyzna uśmiechnął się. Przez chwilę z powrotem zamienił się w przyjaznego chłopca.

- Byłabym wdzięczna, gdyby udał się pan teraz ze mną - ciągnęła Adele - i przedstawił mi swój pogląd na organizację biblioteki. Zawsze z chęcią uczę się od tych, których wiedzę i umiejętności szanuję. I obawiam się, że jeśli reszta floty jest taka jak pan... - Obrzuciła Woetjans taksującym spojrzeniem, nieco zmiękczone lekkim uśmiechem. - To zastaniemy pomieszczenie gotowe, jeżeli

będziemy zwlekać choćby minutę dłużej.

Leary ukłonił się. Ruszyli korytarzem ramię w ramię. Żeglarka kroczyła przed nimi, wykrzykując: „Z drogi, obwiesie!” i podkreślając wagę swych słów potrząsaniem młotkiem.

Księga druga

Daniel Leary obszedł grupkę wystrojonych jak pawie Kostroman, zgromadzonych w holu na trzecim piętrze na wiele godzin przed rozpoczęciem obchodów Dnia Założyciela. Procesja będzie wiała się przez wszystkie dzielnice Kostromy, ale najlepszym punktem widokowym dla osób, których nie zaproszono na znajdujące się poniżej trybuny, był górny portyk fasady pałacu.

W odróżnieniu od tłoku przed budowlą hol na tyłach północnego skrzydła był pusty. Wyjątek stanowiło dwóch mężczyzn wyklócających się o stawki przewozowe oraz, widoczna w głębi korytarza, Bibliotekarka Elektora kładąca dłoń na zamkniętych drzwiach biblioteki. Od czasu ostatniej wizyty Daniela w pałacu ktoś wymienił skobel i zamek.

- Dzień dobry, pani Mundy! - zawołał Daniel, wymachując zwiniętą w kulkę chusteczką, w której więził złapanego owada. Cieszę się, że panią złapałem przed udaniem się na uroczystości. Jeśli jednak pragnie pani pójść tam natychmiast...

Pełna rezerwy mina Adele rozpląnęła się w nagłym rozpoznaniu.

- Dzień dobry, poruczniku - odrzekła. - Bez munduru nie byłam pewna, kto zacz. - Przycisnęła kciuk i palec wskazujący do płytki identyfikacyjnej zamka. Skobel odskoczył. - Wchodziłam, a nie wychodziłam. Naprawdę miło pana widzieć. Prawdę mówiąc, żałowałam, że do tej pory sama pana nie odwiedziłam, by podziękować. Przypuszczam, że był pan bardzo zajęty swoimi obowiązkami, niemniej powinnam przynajmniej spróbować. - Trzymając rękę na zamku, pchnęła drzwi i gestem zaprosiła Leary'ego do środka. - Zanim tu przyszedłam, uporządkowałam trochę katalogi w moim apartamencie. Mam osobisty terminal. Wskazała na wybrzuszenie na udzie.

- Powinienem był wcześniej sprawdzić postępy prac - sumitował się oficer. - Nie to, żebym nie ufał Woetjans.

Sięgające sufitu półki zajmowały już czwartą część biblioteki. W rezultacie, mimo południa, w pomieszczeniu znacznie pociemniało, lecz na stropie widać już przewody, stanowiąc widomy dowód przygotowań pod montaż sztucznego oświetlenia.

- A jeśli chodzi o moje obowiązki - dodał z gorzką nutą w głosie, która bynajmniej wcale mu się nie spodobała - to bez wątplenia zostanę powiadomiony, jeżeli jakieś mi przydzielą. Spodziewałem się wysłania mnie na kilka dyplomatycznych spotkań, lecz sekretarz admirała Lasowskiej sam już o to zadbał.

Odchrząknął, połykając z flegmą kolejny komentarz, który zamierzał wygłosić. Usprawiedliwienie postępowania Lasowskiej brzmiało: „Młody Leary to gorąca głowa, on nie panuje nad językiem”. Bez sensu byłoby dostarczać potwierdzających to argumentów.

- Sekretarzem jest Martino z Ulm - powiedział w zamian. Bardzo kulturalny facet; dość przystojny. Ale nie jest z FRC.

Mundy nie zwróciła uwagi na implikacje, albo z braku zainteresowania, albo też uznała, że dalsza dyskusja mogłaby być przykra dla gościa. Ruszyła alejką, o całkiem praktycznej szerokości, pokazując nowe półki.

- Leary - zaczęła. - Nigdy bym nie przypuszczała, że zrobienie tego wszystkiego jest możliwe w tak krótkim czasie. Usunęłam z podłogi jedną trzecią pudeł. Naprawdę wierzę, że za parę dni będę mogła rozpocząć wstępne sortowanie zbiorów. Myślałam... Nie sądziłam... - Odwróciła się do niego. - Poruczniku Leary - dodała, sprawiając wrażenie statuy w padającym zza jej pleców świetle z północnych okien - moje zachowanie podczas naszego pierwszego spotkania było niegodne obywatelki Cinnabaru, a Mundy z Chatsworth w szczególności. Oferuję panu moje najserdeczniejsze przeprosiny... oraz rękę, jeżeli pan ją przyjmie.

Wyciągnęła rękę. Daniel sięgnął po nią oburącz, ale uświadomił sobie, że w lewej ściska chusteczkę ze zdobyczą.

Uścisnęli sobie prawice. Ciało Adele Mundy przypominało w dotyku kość słoniową, suchą i twardą.

- Nie dopatrzyłem się w pani zachowaniu niczego, co mogłoby rzucić cień na jeden z największych rodów Republiki - oświadczył. - I... ach... kiedy dorastałem w Bantry, byłem panem Learym dla nauczycieli, ale zawsze Danielem dla innych dzieci w posiadłości. Dla moich przyjaciół.

Mundy uśmiechnęła się bez cienia radości.

- Mistrzini Boileau zwraca się do mnie per Adele - oznajmiła. - Ja zawsze nazywałam ją „Mistrzynią Boileau” albo „Panią Profesor”. Nie przywykłam do mówienia ludziom po imieniu. - Obrzuciła go tęsknym spojrzeniem. - Ale chcę spróbować - dodała.

- Świetnie, świetnie - zawołał ciepło Daniel. Wyczerpali tę kwestię. Świadomie walcząc z narastającym zakłopotaniem, dorzucił - a teraz, jeśli zechcesz, możesz pomóc mi. Baza danych historii naturalnej *Aglai* dotyczy regionu Cinnabaru i zawiera jedynie najważniejsze informacje odnośnie do innych światów, że tak powiem. Chcę wiedzieć, co to jest.

Położył chusteczkę na skrzynce i odwinął rogi, wsuwając jednocześnie kciuk i palec do środka, by złapać uwiecznione stworzenie za nogę, nim całkowicie je odkryje. Dorównywało wielkością jego kciukowi i miało cztery nogi, jak większość insektów na Kostromie. Szybko rozpostarło matowe skrzydła, po czym zaraz złożyło je na pancerzyku. Jedynymi barwnymi fragmentami ciała owada były pulsujące, fioletowe paciorki po obu stronach szyjki.

- Żyją pod wodą na zalewanych przypiływem płyciznach - wyjaśnił porucznik. - Te fioletowe plamki to skrzela, które otwierają w błocie. Swym przypominającym algi wyglądem wabią na obiad trzymonawy. - Uśmiechnął się szeroko. - W charakterze posiłku, nie konsumentów. Kiedy kałuże wysychają, odlatują na drzewa i czekają na kolejny przypiływ. Są *trójdyszne*, a ja nigdy nie spotkałem się z czymś takim.

Adele zasiadła za konsolą danych.

- Daj mi słowa-klucze - zażądała stukając w klawiaturę. - Insekt, żyjący w wodzie i w powietrzu, rybożerny... Co jeszcze?

- Rodzina Barchidae - dodał Daniel. - To przypuszczenie, ale uzasadnione budową skrzydeł.

- Gdybyś powiedział mi, że ten owad ma na imię Tomasz... - rzuciła bibliotekarka ze słabym uśmiechem, manipulując kontrolkami - ...nie poddałabym tego w wątpliwość. Insekty interesują mnie tylko wtedy, gdy znajduję je w swoim pokoju, co, z przykrością przyznaję, zdarza się dosyć często.

Pracowała. Leary odchrząknął. Nie miał powodów do niezadowolenia, ale...

- *Mam* na sobie mundur - powiedział, wracając do komentarza Adele na korytarzu. - To mundur codzienny, idealny dla oficera, który nie spodziewa się oficjalnego reprezentowania FRC przed cywilami lub członkami innych sił wojskowych.

Strzepnął szarą, luźną tkaninę. Prawdopodobnie faktycznie wyglądał jak pidżama, ale miał tylko jeden sort mundurowy Drugiej Klasy oraz jedno Pełne Umundurowanie, za które jeszcze nie zapłacił, i Bóg jeden wie, jak tego dokona, a zamówił je, ponieważ był przekonany, iż będzie go potrzebował podczas oficjalnych spotkań na Kostromie.

Odchrząknął.

- Polowałem na okazy na brzegach zatoki i uznałem taki strój za bardziej odpowiedni...

Lasowska obdarłaby go żywcem ze skóry, gdyby dowiedziała się, że nosi publicznie uniform pokładowy, niezależnie od technicznych regulacji w kodeksie. Szansa na to, żeby admirał się dowiedziała, była niewielka, skoro ledwie przyjmowała do wiadomości samo istnienie Daniela,

ale... Na szczęście, uczona nie zamierzała wyrządzić mu przykrości swoją uwagą.

- Ha - mruknęła. - To dziwne. Po adresie sądząc, to powinien być plik z kazaniem Uznanego Kościoła.

Porucznik pochylił się nad jej ramieniem. Wyświetlany w powietrzu ekran holograficzny był widoczny tylko pod odpowiednim kątem; z innej pozycji widział jedynie drgające barwy, przypominające zorzę.

- „Tak jak hydropter nurza się w najgorszym błocie, a mimo to wlatuje w powietrze...”, - powiedziała Adele. Dopiero po chwili Daniel domyślił się, że cytowała. - „Tak człowiek winien mieć nadzieję, iż niezależnie od tego, jak wielki był jego grzech, może osiągnąć bramy niebieskie, jeśli tylko skieruje oblicze swe w górę”. - Dotknęła kontroltek. - Przypuszczam - rzekła sucho - że jeśli przeszukamy bazę danych zoologicznych, używając słowa „hydropter”, znajdziemy bardziej użyteczne... *tutaj*, jak sądzę.

Wstała, ustępując miejsca żołnierzowi. Ten zajął je z wdzięcznością. Górną część ekranu zajmował obrazek owada identycznego z okazem przycupniętym w zwojach chusteczki.

Wywołał tekst. Potrafiłby skorzystać z konsoli danych w systemie sterowania nie było niczego mu nieznanego - podejrzewał jednak, że mógłby zmarnować przy terminalu kilka dni, nie osiągając rezultatu, do którego bibliotekarka doszła w dwie minuty.

- Dałam dzisiaj twoim ludziom wolne - odezwała się Adele, stojąca za nim. - Tubylcy mają dzisiaj święto. Pomijając zwykłe poczucie sprawiedliwości, i tak nie dostaliby się do magazynów po potrzebne materiały.

- Sprawiedliwość jest ważna - oznajmił porucznik, przeglądając opis hydroptera; faktycznie, należał do rodziny Barchidae. - Marynarz z Cinnabaru nie będzie narzekał na ciężkie obowiązki, ale biada oficerowi, który zostanie uznany za niesprawiedliwego. A co do materiałów - gdyby nawet Hogg nie poradził sobie z zamkiem, Woetjans potrafiłaby wyważyć drzwi.

Obracał wizerunki dorosłych i młodych hydropterów. Wyświetlacz był tak doskonały, że stworzenia wyglądały jak żywe. Miał jakoś systemów floty, o lata świetlne przewyższał wszystko, co młodzieniec spodziewał się znaleźć na Kostromie.

- Nie mogę pojąć, jak twoi żeglarze mogli tyle dokonać - powtórzyła mistrzyni. Jej głos oddalił się; stała przed jednym z nowych regałów, wypełnionym książkami ułożonymi według rozmiaru. - Zdążyli nawet urządzić sobie kwatery w tutejszych piwnicach. - Urwała. - Ach, mam nadzieję, że nie ma w tym niczego złego? Pani Woetjans mówiła, że dzięki temu oszczędzą na dojeździe, ma to również inne pozytywne strony.

- W porządku - uspokoił ją. - Zameldowała mi o tym, a ja powiadomiłem Maisie - to jest porucznik Weissshampl. To trzyma oddział bliżej ich zadania i ułatwia gromadzenie niezbędnego budulca po godzinach pracy, jak mniemam.

- Ach, miałam cię o to zapytać - rzuciła bibliotekarka tonem sugerującym, że nie podniosłaby tej kwestii, gdyby nie poruszył jej Daniel. - Mam nadzieję, że drewno i inne materiały nie pochodzą z zapasów floty?

- Nie - odparł. - Wszystko zostało zorganizowane zupełnie legalnie. - Uśmiechnął się szeroko. - Dlatego właśnie wprowadzono mnie w szczegóły. Masz gwarancję elektora, że otrzymasz wszelkie towary i usługi niezbędne do funkcjonowania biblioteki?

- Owszem - przyznała nieco zagubiona Adele - ale jest nic niewarta, gdyż wszystkie wydatki muszą być uzgodnione z kanclerzem. Jej aprobatą nie rozciąga się nawet na moje wynagrodzenie.

Leary okręcił się na siedzisku i wstał od konsoli; nie lubił siedzieć i rozmawiać ze stojącą osobą.

- W Kostromie sporo się buduje i przebudowuje - wyjaśnił. Pomysł był jego, choć nie zdołałby

wcielić go w życie bez lokalnych kontaktów Hogga. - Nie tylko w pałacu; także w innych miejscach.

- Zgadza się - przytaknęła. Przyjęła informację tak, jak bagno wciąga kamienie: ciche *plop* towarzyszące zanurzeniu, a potem z powrotem gładka powierzchnia.

- Wiele ze zdemontowanych lub przeznaczonych do zamalowania obiektów uznawane jest w Xenos za cenne dzieła sztuki - ciągnął Daniel. - Mozaiki, freski, ozdobne balustrady. Twoja gwarancja daje Hoggowi prawo do gromadzenia takich rzeczy i dogadywania się z oficerami z Cinnabaru odnośnie do przetransportowania ich do domu. Różnica pomiędzy tym, co Hogg płaci tutejszym robotnikom za złom i gruz, a tym, co otrzymuje za dzieła sztuki od oficerów, bardzo ładnie pokrywa koszty wytwarzania pótek. - Zakasłał delikatnie. - Z pewną przyzwoitą nadwyżką. Marynarze, którzy wykonują pracę nie wchodzącą w zakres ich obowiązków, muszą być dodatkowo opłacani, - a stan moich finansów jest taki, iż wolałbym, aby wydatki te nie były pokrywane z mojej kieszeni.

Nawet w jego własnych uszach śmiech zabrzmiał wyjątkowo głucho.

Po raz pierwszy, odkąd się poznali, Mundy roześmiała się radośnie.

- Zawsze twierdziłam, że informacja jest najcenniejszym zasobem - stwierdziła. - Cieszę się, że tobie i twemu służącemu udało się przekuć tę teorię w bardziej namacalne rezultaty, niż kiedykolwiek zdołałam uczynić to ja.

Porucznik podszedł do zachodniej ściany, idąc prostymi alejkami między porządnymi piramidami skrzyń, które zastąpiły stosy zwalonych na siebie kłopotów, jakie ujrzał tutaj podczas pierwszej wizyty. Trzy szyby w oknie były wybite. Listwy, kit i szkło do naprawy ułożono pod wykuszem, na razie jednak dziurę przesłaniał arkusz przezroczystego plastiku.

Odciągnął róg plastiku, wysunął chusteczkę na zewnątrz i wytrząsnął hydroptera na wolność. Owad spadał przez kilka stóp, po czym wzniósł się na membranowych skrzydłach i poleciał powoli w stronę zatoki.

- Są silnymi lotnikami - orzekł odprowadzając wzrokiem migoczący lot. - Skolonizowały wyspy, leżące setki mil w głębi morza, zanim jeszcze zaczęły korzystać z podwożenia przez pierwszych kolonistów. Oszczędzi mi to osobistego odnoszenia go na miejsce.

Na płycznach nie brakowało hydropterów. Gdyby miał zostawić sobie ten egzemplarz w charakterze okazji, zabiłby go bez skrupułów. Lecz Daniel z czystego lenistwa nie krzywdził niczego, nawet owada.

Hydropter zniknął mu z oczu. Mężczyzna odwrócił się i uśmiechnął nieco żałośnie. Odkrycie w Zatoce Kostromy nieznanego gatunku było mało prawdopodobne.

- Wygląda na to, że to bardzo pospolity owad, interesujący tylko dla mnie.

Na zewnątrz rozległy się wystrzały. Fajerwerki sygnalizowały rozpoczęcie obchodów Dnia Założyciela, ale zdziwiłby się, gdyby przez najbliższe pół godziny wydarzyło się coś znaczącego.

Gwar rozmów na frontowym korytarzu przybierał na sile, w miarę jak Kostromanie zbliżali się do portyku. Widzami tutaj byli głównie średniozamożni handlarze z Kostromy oraz szlachta z odległych od stolicy wysp. Najbogatsi i najpotężniejsi zasiedli z Walterem III na trybunie na placu, a następnymi w kolejności byli ci, którzy uzyskali wstęp do pałacu.

- Niepokoją mnie warunki, w jakich mieszkają twoi marynarze - oznajmiła Adele, marszcząc brwi. - Wiem, że sami to wybrali, ale oni po prostu opróżnili wnękę, którą od dziesiątków lat wykorzystywano do gromadzenia odpadków. Teraz jest czysta zajrzałam do nich. Lecz trochę tam ciasno, jak na kwaterę dla 20 osób.

Daniel roześmiał się.

- Zabiorę cię na *Aglaię* - obiecał. - Tam zrozumiesz, co to jest ciasnota... a statek kurierski

dysponuje nadzwyczajną powierzchnią mieszkalną w porównaniu z korwetą o takiej samej załodze. Poza tym... - jego ton uległ subtelnej zmianie. - Większość z nich to takielarze. Ci ludzie pełnią wachty na krańcu wszechświata. Matryca to blask, który mogą dotknąć, a najbliższą osobą jest takielarz na sąsiedniej antenie. Oni *lubią* mieszkać w tłoku.

Zagrzmiała kolejna salwa fajerwerków. Widowisko wiele traciło w świetle dnia, ale elektor pragnął słonecznego blasku dla tworzących procesję ruchomych platform i rodzajowych scenek.

- Słuchaj - odezwał się ponownie oficer - drugą przyczyną mojego pojawienia się tutaj jest fakt, iż pałac to najlepsze miejsce do podziwiania parady. Pożyczę ci gogli... - Stuknął w taśmę ściskającą sfatygowaną czapkę. - A ty opowiesz mi, co się dzieje.

- Mam walczyć z tym tłumem? - zapytała bibliotekarka, patrząc z powątpiewaniem na drzwi. Nie widziała stąd widzów, ale czyniony przez nich hałas urósł do ryku.

- Och, nie! - zaprzeczył Daniel. - Znalazłem znacznie lepsze miejsce od tego. - Podał jej ramię. - Mam nadzieję - dodał z wyczekującym uśmiechem - że nie cierpisz na lęk wysokości.

* * *

- Mój Boże - wykrztusiła Adele, spoglądając na brzoskwińskie dachówki.

Spad pod kątem 30 stopni był straszny sam w sobie, ale sposób, w jaki dach urywał się dziesięć stóp od niej - niczym ucięty nożem tuż przy rynnie - był absolutnie przerażający.

Zgromadzeni na ulicy Fontannowej widzowie wiwatowali. Wewnątrz biblioteki hałas wydawał się większy; albo potęgowały go pałacowe korytarze, albo strach zatykał jej uszy. Nad głowami kołowały morskie ptaki, zawodząc niczym potępione dusze.

- Widzisz? - Leary zawołał radośnie przez ramię, idąc - nie pełzną, *idąc* - w stronę rynny. - Mówiłem ci, że po wspięciu się po drabinie będzie łatwiej.

- Tak - przyznała. - Faktycznie tak mówiłeś.

Najbardziej śmieszyło ją, że jeszcze godzinę temu zupełnie szczerze powiedziała, że nie obawia się śmierci. Wyglądało jednak na to, że bała się rozsmarowania na bruku w następstwie upadku z wysokości stu stóp. Przypuszczała, że to próżność.

Drabina na dach kryła się we wnęce południowej klatki schodowej; klapa była jednocześnie przednią częścią niewielkiej, przeszklonej kopuły. Adele Mundy nie miała pojęcia o istnieniu tej drogi, dopóki Daniel nie poprowadził jej tamtędy. Pionową, żelazną drabinę przymocowano do ceglanej ściany. Szczeble były śliskie od przeciekającej przez wejście wody i pokryte łuszczącą się rdzą.

Kobieta wyczołgała się na dach. Słońce rozgrzało gładkie, pokryte szkliwem dachówki. Ruszyła przed siebie, natychmiast uświadamiając sobie, że powinna obrócić się na plecy, zamiast pełznąć głową naprzód.

Daniel przykucnął na skraju dachu. Obejrzał się i uśmiechnął się do niej, przypominając w tej chwili przyjacielskiego gargulca.

- Ach? - mruknął. - Potrzebujesz pomocy?

- Wszystko w porządku - warknęła Adele. - Po prostu nie jestem przyzwyczajona do czegoś takiego.

- Pokiwał głową i powrócił wzrokiem do tłumu na dole, zsuwając gogle na oczy. Nie była pewna, czy zachowywał się tak z grzeczności, czy wziął jej oświadczenie za dobrą monetę. Najwyraźniej nie był człowiekiem robiącym coś na podstawie sugestii.

- Oficer FRC musi umieć wspinać się po antenach - rzekł z zadumą, omiatając spojrzeniem ulicę.

- Prawdę mówiąc, musi znać się na każdej pracy na okręcie wojennym, ale takielunek najszybciej wykańcza aspiranta. W księgach okrętowych możesz figurować jako „młody dżentelmen”, jednak przechodzisz takie samo szkolenie, jak zwykły marynarz prosto z farmy.

Bibliotekarka skupiła się na pełznięciu, przemieszczając tylko jedną kończynę na raz. Dachówki były półokrągłymi fragmentami ceramicznej rury, ułożonymi tak, że koniec jednej zachodził na początek drugiej. Czowała kolanami twardość falistej powierzchni, ale nie było mowy, żeby zeszła po dachu tak, jak uczynił to Daniel - spokojnie, jakby chodził po ziemi.

Zwyczajnie zatoczyłyby się do przodu i sama znalazła się na ziemi.

- Anteny sterowane są hydraulicznie - ciągnął porucznik Leary. - Rzadko mechanicznie. Do zmiany takielunku nie można stosować elektryczności. W Matrycy nie wolno używać radia, ponieważ nawet najdrobniejsze sygnały zniekształcają pole i statek ląduje Bóg jeden wie gdzie. Nie ma większej samotności niż tam.

Palce Adele dotknęły krawędzi kamiennej rynny. Co 20 stóp schodziły z niej zaśnieżone miedziane rynny pionowe. Jedyne gargulce znajdowały się w środku Pałacu Elektora.

Daniel oparł rękę na rynnie koło jej dłoni, nie spuszczać wzroku z tłumy.

- Użyj mojego ramienia jako uchwytu, gdy będziesz się obracać - zaproponował.

- Dziękuję - odparła. Lewą dłonią złapała go za nadgarstek i wsunęła nogi pod siebie. Nie potrzebowała pomocy, ale odmowa byłaby nieuprzejmością - poza tym *naprawdę* jej to pomogło.

Jego ramię było solidne jak prawdziwa poręcz.

- Mówi się: „Jedna ręka dla statku, a druga dla ciebie” - rzucił - ale nie zawsze możesz tak postępować. Jeżeli przegub zamarźnie albo cieknie zawór, potrzebujesz do pracy obu rąk... i używasz ich, choć gdybyś odpadła od kadłuba i statek zostawił cię w przestrzeni, to równie dobrze mogłabyś od razu przestać istnieć.

Mistrzynie zaparła się obcasami o rynnę, ale ręce świadomie złożyła na podółku, zamiast podeprzeć się nimi z tyłu. Wzięła kilka głębokich oddechów i zmusiła się do spojrzenia na Fontannową. Ekipy robotników pchały platformę w stronę pałacowego podjazdu, gdzie czekały trybuny. Miała wyobrażać kulisty gwiazdolit.

- Uwielbiam stać na czubku anteny i patrzeć, jak pulsuje wszechświat - wyznał cicho oficer. - To zupełnie tak, jakby stać się częścią wszystkiego, co kiedykolwiek było lub będzie. Proszę - dodał. Sprawiał wrażenie zakłopotanego swoim gadulstwem. Zdjął gogle i podał je Adele. - Znak głosi, że było to pierwsze lądowanie na Kostromie, jeszcze powolną rakieta. Myślałem, że odkryliśmy Kostromę już po wynalezieniu astrogacji w gąbczastej przestrzeni.

- Uhm - mruknęła. Przytrzymała sobie gogle przy oczach, zamiast je zakładać. Obraz był jasny i doskonale ostry pomimo czterdziestokrotnego powiększenia. Dwóch służących niosło transparent na długich tyczkach. Gdy napis znalazł się pod odpowiednim kątem względem niej, odczytała: Kolonia Kapitana Wanga - 2706 Anno Hejira.

Obcisłe stroje służących nie przypominały liberii, jakie dotychczas widywała. Przypuszczała, że wyrażały czyjś pogląd na to, jak ubierali się ludzie w czasach, gdy byli ograniczeni do Układu Słonecznego.

Oddała gogle i wyciągnęła z kieszeni terminal osobisty. Prychnęła z rozbawieniem na opory, jakie czuła przed jego wyjęciem - bardziej obawiała się upuszczenia komputera niż upadku z dachu.

Używając różdżek, które wolała od wirtualnej klawiatury, połączyła się z konsolą danych w bibliotece na dole i rozpoczęła poszukiwania. Jasne słońce nasunęło jej myśl, że powinna była założyć kapelusz, lecz nie miała pewności, czy posiada taki, co mógłby oprzeć się porywistym podmuchom wiatru na dachu. Zabrzmiała muzyka wojskowa.

- Platforma przejeżdża przed trybuną - wyjaśnił Daniel, ponownie nasunawszy gogle na oczy. Nie dopytywał się, co robiła. - Wysiada z niej ośmioro ludzi - nie mogli mieć tam więcej miejsca, niż było na prawdziwym statku kosmicznym. A zwłaszcza w rakiecie. Domyślałam się, że jeden z nich obejmuje tę planetę w posiadanie.

- Tak jak myślałam! - zawołała z triumfem Adele. Jej obawy rozwiały się w momencie rozpoczęcia pracy na konsoli. - Pierwszy odnośnik do kapitana Wanga znajduje się w historii klanu Swartzenhildów po Przerwie. Wspomina on, że Adria Swartzenhild była nawigatorem Wanga i odpowiadała za bezpieczne przeprowadzenie statku na Kostromę, podczas gdy pierwotne kalkulacje zawiodłyby ich w wieczny mrok, daleko poza systemem.

- Ha! - rzucił Leary, odwróciwszy się ku niej. Zakładała, że dostosował gogle do pobliskich obiektów, w przeciwnym razie bowiem właśnie oglądał pory na jej nosie... Nadal jednak wyglądał w nich jak żaba. - Co oznacza, że jednak istniała tutaj jakaś wczesna kolonia.

- Nie, to oznacza, że jej nie było - zaprzeczyła z satysfakcją uczona. - Najwcześniejszy odnośnik ma zaledwie 300 lat i pochodzi z subiektywnego źródła, a innych wzmianek brak. Wszystkie późniejsze wpisy są upiększonymi wersjami twierdzeń Swartzenhildów, czasami tylko zmieniane jest nazwisko. - Uśmiechnęła się. - Na nazwisko tego, kto akurat opowiada tę historię, rzecz jasna.

Czoło Daniela przecięła zmarszczka. Powrócił wzrokiem do inscenizacji.

- Simone Hajas ratuje kapitana Wanga przed buntem - zameldował, gdy przed trybuną zmieniły się postacie. - Patrz... - Uniósł gogle, by spojrzeć na Adele. - Uważasz więc, że historia nie może być prawdziwa, ponieważ przydarzyła się osobie, która ją opowiada? To znaczy, jej rodzinie.

- Nie - odparła bibliotekarka. - Chcę powiedzieć, że skoro przez 1600 lat nie było żadnej wzmianki o tych wydarzeniach, a osoba, która je odkryła, była zatrudniona przez Swartzenhildów - rodzinę wyrosłą z niebytu na handlową potęgę w ciągu niespełna jednego pokolenia (a mamy do czynienia z obydwojma przypadkami) - to rachunek prawdopodobieństwa wskazuje na to, że historia została zmyślona. - Uśmiechała się zimno. Ze szczeliny pomiędzy dachówkami wyrastała wysoka na palec roślina. Adele oderwała uschniętą szypułkę. - Prawdopodobieństwo fałszerstwa - ciągnęła - jest niemal identyczne jak to, że to nasionko spadnie na ziemię, jeżeli wyrzucę je za krawędź dachu.

Przechyliła się przez rynnę i upuściła fragment rośliny. Pofrunął ku ziemi.

- Przepraszam. Nie powinnam była... - odezwała się z nagłym zakłopotaniem.

Porucznik wybuchnął gromkim śmiechem. Trzepnął ją w plecy, wołając:

- Całkiem uczciwie! Ty nie będziesz uczyła mnie, jak zajmować się takielunkiem w Matrycy, a ja nie będę spierał się z tobą o historię!

- Cóż, bardziej chodzi tutaj o informację niż o historię - mruknęła Mundy. - Pierwsze pytanie jest zawsze takie samo: czy mówiąca coś osoba *może* znać prawdę? Tym razem odpowiedź brzmi: raczej nie.

Daniel znowu podał jej gogle. Choć dzięki elektronicznemu wzmocnieniu obraz był ostry, Adele nie potrafiła utrzymać gogli nieruchomo, co utrudniało korzystanie z nich. Z czystej grzeczności dotrwała do końca scenki i oddała je właścicielowi.

Aktorzy wdrapali się z powrotem do kulistej atrapy, która potoczyła się Fontannową przy akompaniamencie nagranej muzyki.

Następnie pojawiła się grupa ludzi w kraciastych szatach, postępująca za metalowym znakiem w kształcie ustrojonej wstążkami liry. Wybity na poprzeczkach liry napis był nieczytelny pod tym kątem, ale najwyraźniej piechurzy należeli do jakiejś gildii.

- Według zapisów żaden Leary nie zaciągnął się do FRC oznajmił Daniel, obserwując widowisko. - Aż do mnie. Za to Bergenowie - rodzina mojej matki - byli kosmonautami, odkąd tylko

zakończyła się Przerwa. A żaden z nich nie dorównał mojemu wujkowi Stacey'owi.

Po pierwszej grupie pojawiły się kolejne. Część grała na instrumentach muzycznych; wszyscy byli bogato odziani i dzierżyli symbole swej profesji. Do trybun podtaczano kolejną platformę, tym razem w kształcie srebrnego cylindra.

- Mój ojciec mianował wujka Stacey'a szefem stoczni remontowych w Bantry, gdy ten przeszedł na emeryturę - kontynuował porucznik. - Stacey ściągnął kilku swoich oficerów do nadzorowania robotników i pilnowania interesu, ale wszystko testował sam. Każdy kosmonauta słyszał o komandorze Stacey'u Bergenie, nawet taki, który nigdy nie wyściubił nosa poza system Cinnabaru. Pod jego rządami stocznia trzykrotnie zwiększyła obroty.

Bibliotekarka zastanawiała się, czy ten ujmujący młodzieniec poznał kogoś, z kim mógł pogadać, odkąd wstąpił do marynarki. Istniało więcej sposobów na utratę rodziny niż rzeź w wyniku wyjęcia spod prawa.

Cylindryczny „kosmolot” zajął miejsce przed trybuną.

- Drugie lądowanie - odczytał Daniel. - 3381 Anno Hejira. - Po czym dodał tonem chłodnego reportera - pamiętam, że ojciec nigdy nie przestał twierdzić, iż tylko jego hojność uchroniła brata jego żony przed żebraniem na ulicy. Było w tym ziarno prawdy. Wujek Stacey nie był zbyt błyskotliwym biznesmenem.

- To całkiem możliwe - orzekła Adele, przewijając dane na wyświetlaczu. - Druga kolonizacja z Topazu, pod wodzą księżniczki Cecile Alpen-Morshach. I był tam Hajas...

Leary musnął regulator na obudowie gogli.

- Emilius Hajas, dowódca Królewskiej Straży - powiedział który jak się zdaje, spoczywa poza murami Kostromy. Jakie są twoim zdaniem szanse na to, że w obu kolonizacjach uczestniczyli Hajasowie?

- Zgodnie z listą załogi i kolonistów - odrzekła sucho - Emilius Hajas był takielarem z licznymi naganami i karami na koncie. Najwyraźniej zdezerterował na Kostromie.

- Ku wielkiej uldze swojego dowódcy, jak się domyślam - dorzucił Daniel. - Na statku kolonizatorskim trudno o utrzymanie dyscypliny. To wystarczająco ciężkie zadanie na statku szkolnym, pełnym rekrutów, którzy nie potrafią odróżnić jednej ręki od drugiej.

Znowu podniósł gogle, by na nią spojrzeć.

- To wszystko mieści się w twoim palmtopie? - zapytał, skinąwszy głową w stronę jednostki spoczywającej u Adele na podołku.

- Jestem połączona z komputerem w bibliotece - wyjaśniła. - A poprzez niego z całą siecią. Opóźnienie spowodowane dwukierunkowym przesyłem sygnałów przez satelitę trochę utrudnia pracę, ale tak już się do tego przyzwyczaiłam... - Uśmiechnęła się do minikomputera. Wiedziała, że od wielu lat żadna żywa istota nie widziała równie ciepłego grymasu na jej twarzy. - Prawie wolę tak niż bezpośrednio przez większą jednostkę.

Za drugą platformą maszerowała grupa dzieciaków w srebrze i fiolecie Hajasów, ustawionych według wzrostu. Mundy nie była pewna, czy zdoła ocenić ich wiek, nawet za pomocą gogli, lecz te z tyłu wyglądały na bardzo małe.

Każde dziecko kurczowo trzymało ukwieconą linę, biegly one przez całą szerokość grupy. Kilka ostatnich rzędów było przywiązanych do liny, a nie tylko ją podtrzymywało. Na rogach grupy maszerowali opiekunowie o surowych twarzach i z pałkami w rękach.

- Wiesz - rzucił lekko zamyślony Daniel - może to kwestia tego, że oglądam wszystko stąd, a nie z poziomu ulicy, ale mam wrażenie, że użyją tych pałek pod koniec procesji, gdy małe urwisy poczują zmęczenie.

- To społeczny sierociniec - oznajmiła Adele, czytając z wyświetlacza. Według planu mieli zająć wcześniejszą pozycję w pochodzie; przypuszczała, że niełatwo było ustawić tak małe dzieci w odpowiedniej kolejności. - Zapewne właśnie nimi są.

- Porucznik Leary ściągnął gogle i złożył je sobie na kolanach. Potarł oczy.

- Dobroczynność może być zimniejsza od kosmicznej pustki - zawyrokował tym samym, cichym głosem. Zerknął na uczoną.

- Chociaż nie przypuszczam, aby to oficer floty miał mówić innym, jak powinni żyć - dodał.

- Ja również - przytaknęła łagodnie Adele. Poszukiwała plików, żeby tylko mieć pretekst do wbijania wzroku w wyświetlacz. Do tego celu wystarczyłaby jej każda informacja.

Oficer westchnął i rozluźnił się.

- Może admirał Lasowska ma rację co do mojego charakteru - stwierdził przepraszająco. - Przykro mi.

Kobieta przeglądała dane odnośnie do umieralności wśród pensjonariuszy Elektoralnego Domu Sierot i Podrzutków. Dane nie zaskoczyły jej - właściwie, to skąd założenie, że przejaw kaprysu elektora miałby być lepiej zorganizowany niż biblioteka? W świetle wskaźnika umieralności po przyjęciu do domu zdumiewającym było, że tyle dzieci w ogóle mogło jeszcze chodzić.

- Słuchaj - zaczął Daniel, uśmiechając się, choć wyraźnie nie patrzył na pochód, dopóki sieroty pozostawały w zasięgu wzroku. - Wieczorem w całym mieście będą odbywały się imprezy. Zaprzyjaźniłem się z paroma oficerami marynarki Kostromy całkiem przyzwoici ludzie - i otrzymałem zaproszenie na Bal Admiralski.

Dach zaczął wibrować z bardzo niską częstotliwością. Adele bardziej wyczuła drgania żołądkiem, niż usłyszała; dachówki zaczęły coraz szybciej o siebie postukiwać.

- Ach! - zawołał mężczyzna. - Z Jeziora Floty startuje *Księżniczka Cecile*. Nie... - Raz jeszcze podał jej gogle. - Proszę, lepiej z nich skorzystaj, jeżeli zamierzasz obserwować start, nawet z tej odległości. Dostosują się do blasku. - Zmarszczył brwi i dodał - mam nadzieję, że nie zamierzają przelatywać niżej niż na trzech tysiącach metrów.

Dopiero teraz uczona usłyszała dźwięk silników statku kosmicznego. Przytknęła gogle do twarzy, lecz dopiero delikatny nacisk dłoni Daniela zwrócił jej spojrzenie na południe zamiast na zachód, w stronę Pływającej Przystani. Statek wzbijał się w powietrze na pióropuszu plazmy.

- Marynarka korzysta z laguny z zaporą u ujścia - wyjaśnił, gdy podziwiała wznoszenie się jednostki. Nie była szczególnie duża. - Znajdują się tam również magazyny floty; tam właśnie odbędzie się dzisiejszy bal. Okręty są zazwyczaj składowane, ale na tę okazję uaktywnili *Księżniczkę Cecile*.

- Rozumiem - odrzekła Adele, zwracając gogle.

Księżniczka Cecile osiągnęła odpowiednią wysokość i skierowała się na północ, w stronę miasta.

- To korweta - Leary rozpoznał typ okrętu. - Naprawdę ładny stateczek. Zbudowany na Kostromie, ale większość elektroniki pochodzi z Cinnabaru, zaś uzbrojenie z Pleasaunce.

Z dysz korwety wytrysnęły wielobarwne smugi - z jednej strony białe, z drugiej zaś purpurowe. Dym mieszał się ze spalaną plazmą, tworząc roziskrzony, bezbarwny kłęby, przypominające ciśniętą w błoto mikę.

- Chciałem powiedzieć... - podjął Daniel, znowu podając jej gogle. Odmówiła. - ...że pewnie sama masz kilka zaproszeń na różne imprezy...

Mundy prychnęła. Wcale niczego takiego nie zakładał i miał całkowitą słuszność.

Księżniczka Cecile zaczęła odpalać fajerwerki. Miasto zasypały iskry kolorów czystszych od

czegokolwiek, co można spotkać w naturze. Głuchy huk wybuchów dotarł do ich uszu wiele sekund po światłach pokazu.

- Tak czy owak - brnął porucznik - gdybyś chciała przekonać się, jak bawi się flota, mam prawo przyjść z osobą towarzyszącą i... - Urwał z przerażeniem. - To znaczy - podjął po chwili formalnym tonem - gdyby zechciała pani towarzyszyć mi na Balu Admiralskim, jako koleżanka, mistrzyni Mundy, byłbym bardzo, ach...

Adele zachichotała. Nieczęsto wydawała z siebie ten dźwięk.

- Doceniam ofertę, Danielu - powiedziała. - Ale wydaje mi się...

Teraz ona zamilkła. Co jej się wydawało? Że siedzenie w obskurnym pokoiku było lepszym sposobem spędzenia tego wieczoru?

Był jeszcze Markos i jego zamiary... Naprawdę nie chciała o tym myśleć.

- Wydaje mi się - podjęła - że skoro nigdy do tej pory nie byłam specjalnie zainteresowana rytuałami towarzyskimi, wizyta na takim balu mogłaby okazać się bardzo interesująca. Dokładnie tak samo, jak uważam to wydarzenie... - skinęła głową w stronę ulicy - ...za interesujące jako okno na moje nowe środowisko. Tak, pójdę z tobą, jeżeli masz ochotę mnie zabrać.

Daniel uśmiechnął się z mieszaniną radości i ulgi.

- Świetnie, świetnie! - zawołał kiwając energicznie głową. Mam trójkołowca z Hoggiem za kierownicą. Czy mam odebrać cię z domu o - powiedzmy - dziewiątej czasu lokalnego? - Wydął w zamyśleniu wargi, zanim jeszcze zdążyła otworzyć usta. Dokładniej rzecz ujmując, to Hogg ma trójkołowca. Ale podrzuci nas.

Bibliotekarka pomyślała o swoim pokoiku i wąskiej, zaśmieconej uliczce, przy której stał budynek. Bynajmniej nie musiała przeproszać za to porucznika, który prosił o przysługi własnego służącego, jednak...

- Nie - powiedziała głośno. - Może lepiej spotkajmy się przy tylnym wejściu do pałacowych ogrodów? Przy budce strażnika.

- Zgoda! - zawołał Daniel Leary.

Uścisnęli sobie dłonie w chwili, gdy *Księżniczka Cecile* wystrzeliła kolejną salwę rac. Wybuchy przywodziły na myśl odgłosy toczony w oddali bitwy.

* * *

Adele Mundy siedziała w bibliotece przy konsoli. Dane, do których uzyskała dostęp, wisiały przed nią w powietrzu w postaci holograficznych liter, tym jaśniejszych, że niebo za oknem przybierało odcień od głębokiego lazuru po ciemną fuksję na północnym zachodzie. Przymknęła na chwilę oczy.

Na korytarzu pracowali sprzątacze, nawołując się w śpiewnym dialekcie jednej z północnych wysp. Brzęczały zgarniane miotłami butelki. W pałacu organizowano Elektorskiego Kadryla, najbardziej prestiżowy punkt obchodów Dnia Założyciela. Dla sprzątaczy nie było święta - musieli pozamiatać śmieci pozostawione przez tłumy oglądające stąd paradę.

Daniel poszedł się przebrać. Adele też to czekało. A jeśli chodzi o informacje na wyświetlaczu...

Powiedziała porucznikowi, że woli przenośną konsolę danych od stacjonarnej. Mówiła prawdę, ale w tym przypadku celowo przesłała dane do bibliotecznego komputera, by uchronić się przed nieświadomym kojarzeniem haseł z jej własnym sprzętem.

Otworzyła oczy i po raz pierwszy od dziesięciu lat odczytała te dane. Członek komisji handlowej z Ziemi, przebywający na Cinnabarze podczas wykrycia Konspiracji Trzech Kręgów, złożył raport o

tamtych wydarzeniach. Zbiory Akademickie otrzymały kopię tekstu. Mistrzynie Mundy natknęła się na to zupełnie przypadkowo.

Jedna z najbardziej wstrząsających tragedii przydarzyła się dziesięcioletniej dziewczynce, Agacie Mundy. W dniu ogłoszenia dekretu bawiła się w domu należącym do rodziny ze strony matki. Ciotka, młodsza siostra matki Agaty, natychmiast wygoniła ją na ulicę i kazała uciekać. Opiekunka dziecka i strażnicy pierzchli, porzucając ją.

Dom, z którego wyrzucono Agatę, leżał na obrzeżach Xenos, w pobliżu głównej drogi. Dziecko przez wiele godzin wałęsało się na poboczu, dopóki nie zabrał jej cieszący się bardzo złą reputacją kierowca ciężarówki. Człowiek ten sprzedał dziewczynkę do burdelu w pobliżu głównego pasażerskiego portu kosmicznego. Przebywała tam około tygodnia.

Zabiedzone, zrozczone dziecko zaczęło w końcu dwóch sierżantów Sił Lądowych Republiki, częstych gości przybytku, wyjaśniając im, kim była. Jeden z żołnierzy udusił ją i uciął głowę pożyczonym z kuchni nożem. Sierżanci zanieśli trofeum do Biura Bezpieczeństwa Publicznego, domagając się nagrody. Biuro wypłaciło im jedynie połowę zwyczajowej sumy, ponieważ dziecko nie osiągnęło jeszcze wieku wymienionego w Dekrecie Banicji.

Adele rozmasowała skronie, po czym rozmyślnie nadpisała plik, ażeby nikt na Kostromie nie mógł go odczytać. Nie to, żeby komuś mogło na tym zależeć. W całym ludzkim wszechświecie Adele Mundy mogła być jedyną osobą, dla której ów tekst cokolwiek znaczył.

Często mówiła sobie, że wcale o to nie dba. Życie stałoby się o wiele prostsze, gdyby taka była prawda. Przejmowanie się czymś nie zmieniało przeszłości, nie wyznaczało też kursu na przyszłość. Tylko głupiec wierzył, że rozumie wszystkie efekty uboczne swych działań.

Wstała i ruszyła do drzwi. Dziś wieczorem weźmie udział w Balu Admiralskim, a potem, kto wie?

* * *

Magazyn 17 był jednym z 80 budynków ogrodzonego kompleksu floty. Ceglane mury przecinały drewniane belki, podtrzymując dach. Chorągiewki i sznury kolorowych, świecących lampek nie były w stanie zamaskować pierwotnego przeznaczenia budowli, wystarczająco wielkiej, by pomieścić tłum oficerów i towarzyszących im osób.

Poza tym sala miała świetną akustykę. Grający na podwyższeniu, naprzeciwko bufetu, siedmioosobowy zespół był doskonale słyszalny bez sprzętu nagłaśniającego pomimo gwaru rozmów i szurania roztańczonych stóp.

- Chyba znajdę sobie jakiś zaciszny kącik - oświadczyła Adele Mundy. Ukłoniła się Danielowi i oddaliła w róg pomieszczenia.

Patrzył za nią z mieszanymi uczuciami. Część niego czuła, że powinien chronić bibliotekarkę przed czymś, co na Kostromie uchodziło za wyrafinowane wydarzenie towarzyskie.

Inna część była pewna, że Adele znakomicie poradzi sobie sama. Brakowało mu namacalnych dowodów na poparcie tej tezy, ale gotów był założyć się o każde pieniądze, że mężczyzna, który dotknąłby jej nieproszony, miałby szczęście, mogąc dalej cieszyć się całymi rękoma.

W każdym razie obiecała mu nie przeszkadzać w polowaniu i do tego momentu dotrzymywała słowa. Rozprostował ramiona w nieco zbyt ciasnej tunice munduru galowego, po czym rozejrzał się po zgromadzonych tłumach.

Marynarka Kostromy była całkiem liczna, lecz wiek większości jej jednostek sięgał powyżej stulecia. Część nie zawitała na orbitę od dziesiątków lat, a kilku groziło zatonięcie w Jeziorze Floty,

gdzie były zacumowane.

Zapasy i wyposażenie dokujących statków przenoszono do magazynów, a same jednostki zapieczętowywano. Jak w każdej innej organizacji, niezależnie: publicznej czy prywatnej, wielkość nagromadzonych zapasów przekroczyła pożądane rozmiary. Ceglane mury zapchane były pradawnymi zapisami, uszkodzonym i przestarzałym sprzętem oraz skrzyniami, których zawartości nie znał nikt z żyjących.

Walter III kładł szczególny nacisk na obchody Dnia Założyciela, pierwsze pod jego rządami. Przyniosło to jeden dobry efekt: opróżnienie Magazynu 17. Wyposażenie i zapasy załadowano z powrotem na *Księżniczkę Cecile*, a wielki admirał Sanaus zarządził sprzątanie reszty kompleksu, dzięki czemu jeden magazyn można było przeznaczyć na bal. Usunięte stąd zapasy trafiły do posiadłości oficerów, jeżeli przedstawiały sobą jakąkolwiek wartość, lub prosto do morza, jeśli były bezużyteczne. Większość skryły fale.

- Danielu, mój chłopcze! - zawołał porucznik Candace, stercząc przy bufecie. - Chodź na drinka i wyjaśnij tym kretynom, dlaczego dobrze wyposażona korweta, jak nasza *Księżniczka*, sprawi się lepiej w działaniach obronnych od tuzina przestarzałych pancerników typu *Erebusa czy Terroru!*

Candace stanowił jeden z jaśniejszych punktów we flocie Kostromy. Był drugim porucznikiem na *Księżniczce Cecile*, znał się całkiem nieźle na astrogacji, a przed zaciągnięciem się do marynarki odbył kilka podróży statkami kupieckimi swej rodziny.

Daniel przekonał się, że jednak, pomimo tych zalet, Candace był lepszym kompanem niżli oficerem floty podług cinnabarskich standardów. Przez ostatnie 50 lat rosnącego bogactwa i rozwoju handlu marynarkę Kostromy wybierali przeważnie młodzieńcy z dobrych domów, którym albo brakowało talentów kupieckich, albo preferowali wygodę życia w Kostromie. Możliwe, że porucznik Candace okazałby się najlepszy z tej bandy, lecz nadal była to wyjątkowo podła zbieranina.

- Wcale tego nie powiedziałem - zaprotestował Welcome, jeden z dwóch obecnych poruczników. Wyższy nazywał się Parzifal. - Mówiłem tylko, że potrzebujemy prawdziwych pancerników. Gdyby rozmiary marynarki wojennej były proporcjonalne do floty handlowej, mielibyśmy na stanie 20 pancerników. Walter Hajas zna się na flocie - sam jest komandorem w stanie spoczynku. Nie zdziwiłbym się, gdyby obronność uczynił priorytetem. - Zakaszłał. - A dobrze wiecie, że rozwój marynarki oznacza promocje oficerskie. To ma sens.

Wszyscy oficerowie w magazynie nosili mundury, lecz nawet to oznaczało na Kostromie coś zgoła odmiennego. Daniel Leary miał na sobie Pełne Umundurowanie FRC: biały jedwab szamerowany złotem na każdym szwie. Na większości przyjęć sprawiało to oszałamiające wrażenie, tutaj jednak było równie nudne jak ceglane ściany budowli.

Candace założył fioletową tunikę, niebieskie spodnie i wysokie buty, Welcome przywdział oranż i spodnie w pionowe, czarnożółte paski, zaś Parzifal na kombinezon w zielonożółte prążki narzucił płaszcz z białego futra. Wszyscy trzej dźwigali na sobie tyle medali, że mogliby nimi zapełnić sklep jubilerski i drogerię ze wstążkami przy okazji. Każdy potrafił wskazać odpowiedni punkt regulaminu, usprawiedliwiający taki akurat dobór stroju, choć ich przełożeni absolutnie nie mieli nic przeciwko temu.

- Słuchaj, Leary - rzucił szczerze porucznik Candace, gdy Parzifal wcisnął Danielowi w dłoń szklanekę z różowym drinkiem. - Powiem ci, jaki mam pomysł. To wy, tam, na Cinnabarze, powinniście wybudować nam flotę, a potem przekazać ją w nasze ręce. Rozumiesz?

- Uhm - mruknął Daniel, próbując miksturę. Słyszał już coś takiego przedtem. Prawdę mówiąc, za każdym razem, gdy Candace wchłonał kilka drinków.

- Kostroma jest przyjaciółką Cinnabaru i zawsze nią była - ciągnął tamten. Dopił zawartość

własnej szklanicy. Pokraśniał na - twarzy. Nie był to zwykły poncz. Główny składnik stanowiła śliwkowa brandy, zwyczajowy napitek w marynarce Kostromy, wzmocniona gorzkimi dodatkami koloryzującymi. Mikstura miała moc, co najmniej 60 procent alkoholu. - Nasze okręty są takie same jak wasze, tylko nie będziecie musieli szukać do nich oficerów. Dostrzegasz piękno tego rozwiązania?

- Mimo to wolelibyście raczej przekazać je z załogami - orzekł Welcome. - Znalezienie tutaj prawdziwych kosmonautów to diabelska robota. Wszyscy są leniwi i nie chcą pracować.

Porucznik Leary obrócił brandy w ustach, unikając odpowiedzi, choć pewnie wystarczyłoby kolejne „uhm”. Kapitanowie kupieckich statków dobrze płacili, i zawsze na czas. Stawki w marynarce wojennej rzadko były równie korzystne.

- Popatrz... - rzucił Candace, kręcąc głową. Cinnabarczyk podążył za spojrzeniem Kostromanina ku blondynce w sukni bez pleców.

- Przodu też nie ma - zauważył z aprobatą Welcome. Porwał z bufetu kolejną szklanekę brandy. - Jej suknia, rzecz jasna. Niestety, nie jest dla nas - dodał. - Widziałem, jak wchodziła tutaj pod rękę z admirałem Sanausem. Szarża ma swoje przywileje.

- Woląłem nie sprowadzać tutaj swojej przyjaciółki - westchnął ze smutkiem oficer w fiołkowej tunice. - Jej męża nie ma na planecie, ale sami wiecie...

- Ważne, że wasza admirał Lasowska wie, jak cenni możemy się dla was okazać, jeśli nam pomożecie - powiedział Parzifal, najbardziej skupiony z całej trójki. - Nie wydaje mi się jednak, żeby pałacowi politycy naprawdę to rozumieli.

- Hajas jest pierwszorzędnym człowiekiem i prawdziwym przyjacielem floty - wtrącił się Candace. - Ale nie sądzę, żeby któryś z otaczających go doradców był kiedykolwiek na pokładzie okrętu wojennego.

Daniel odniósł wrażenie, że jego przyjaciel szczerze wygłaszał swoją opinię, nie przejmując się, że ktoś mógłby ją uznać za zdradę. Marynarka Kostromy - podobnie jak FRC - była apolityczna. Na Cinnabarze flota przewyższała siłą każdą frakcję, która chciałaby ją wykorzystać; na Kostromie jej znaczenie było tak niewielkie, iż nikt z możliwych nie zwracał sobie nią głowy.

- Poleganie na obronie orbitalnej to błąd - oznajmił oficer w oranżu, podając Leary'emu świeżego drinka. - Nie pomoże ona naszym statkom, przebywającym poza układem Kostromy. Nie pomoże nawet kopalniom i fabrykom Portu Starway w pasie asteroidów!

Daniel otworzył usta, by zaprotestować, ale zamiast tego pociągnął łyk drinka. Smak czystej brandy był czymś, do czego musiał przywyknąć podczas pobytu na Kostromie. Proces przywykania zakończył się pełnym sukcesem pod koniec pierwszej nocnej popijawy z tutejszymi oficerami.

Spieranie się z tymi ludźmi o politykę obronną Kostromy stanowiło czynność równie bezsensowną, co przekonywanie kogoś, że świat naprawdę nie jest płaski. Będą wierzyć w to, w co chcieli wierzyć, a zaprzeczanie jedynie zaszkodziłoby ich przyjaźni.

W rzeczywistości systemy obronne Kostromy były żałośnie słabe, lecz odtworzenie potęgi floty, jaką dysponowała jeszcze dwie generacje temu, również nie stanowiło sensownej alternatywy. Kostroma nie obsadziłaby jednocześnie okrętów wojennych i frachtowców handlowych, poza tym nie mogłaby kontrolować niezależnych światów, z którymi w tej chwili utrzymywała stosunki handlowe.

Zarówno Sojusz, jak i Cinnabar stworzyły międzyplanetarne imperia, scalane wspólnymi korzyściami. Systemy gwiazdne protektoratu Cinnabaru nie prowadziły samodzielnej polityki zewnętrznej, lecz lokalni magnaci mogli przenieść się na Cinnabar i zyskać do pewnego stopnia wpływ na postępowanie Republiki. Chronione światy znajdowały się na gorszej pozycji względem Cinnabaru, ale jednocześnie pozostawały w znacznie lepszej sytuacji, niż gdyby zachowały pełną

niezależność.

Sytuacja w Sojuszu Wolnych Gwiazd była jeszcze prostsza: planety, które zbuntowały się przeciwko władzy gwaranta, zostały skazane na nędzną wegetację. Główni administratorzy planety byli zawsze cudzoziemcami, a w załogach okrętów wojennych nigdy nie przeważali przedstawiciele żadnej nacji. Ani Cinnabaru, ani Sojuszu nie można by określić mianem prawdziwych demokracji, niemniej oba systemy pracowały na utrzymanie licznych flotylli. Tuż po Przerwie Kostroma wybrała inną drogę; w tamtych czasach światy, gdzie zachowała się umiejętność gwiazdnej nawigacji, miały ogromną przewagę nad sąsiadami, z którymi utrzymywały kontakty. Teraz było już za późno na zmiany.

- Wiemy, że nie wolno rozmawiać ci o przebiegu negocjacji - powiedział Parzifal, nachylając się bliżej, niżby Daniel sobie życzył. - Ale szepniesz słówko do ucha swojej admirał, prawda? Wyobraź sobie całą eskadrę z Kostromy u waszego boku, gdy staniecie do walki z flotą Sojuszu!

- Kiedy zostanę sam na sam z admirał Lasowską... - zaczął porucznik. Jeżeli Lasowską będzie miała w tej sprawie coś do powiedzenia, to nastąpi to najwcześniej w następnym wcieleniu. - Dopilnuję, żeby nie przeoczyła tego punktu.

W rzeczywistości ani Walter III, ani żaden inny rozsądny Elektor Federacji Kostromy nie przyjąłby w prezencie okrętów wojennych, które miałyby następnie zostać wykorzystane przeciwko Sojuszowi. Równie dobrze można by było wrzucić Kostromę i jej międzygwiazdny handel do maszynki do mięsa. Kostromy nie można było wzmocnić do takiego stopnia, by oparła się frontalnej napaści Sojuszu, a wzięcie czyjejs strony w tym konflikcie gwarantowało właśnie takie konsekwencje.

Doprawdy, ta planeta potrzebowała dokładnie tego, co Welcome wyszydzał jeszcze chwilę temu: poważnego unowocześnienia orbitalnego systemu obronnego. Gdyby Sojusz opanował Kostromę, to zdobyłby zarazem większość jej statków, nawet tych przebywających poza planetą, gdyż ich właściciele wpadliby w ręce gwaranta.

Orbitalne pole minowe zapobiegało szybkiemu podbojowi, ponieważ rozbrojenie prawidłowo rozmieszczonych ładunków zabierało tygodnie, a nawet miesiące. Żadna flota Sojuszu nie byłaby w stanie pozostawać tak długo we wrogim systemie bez bazy, gdyż wiedzieli, że Cinnabar odpowiedziałby za pomocą jeszcze większych sił, nim Sojusz zdążyłby podbić planetę.

Cóż, obrona Kostromy nie należała do doskonałych, ale pewnie by wystarczyła. Co także nie było problemem porucznika Daniela Leary'ego.

Dokończył poncz.

- Rozumiem, co macie na myśli - mruknął przygotowując się do opuszczenia trio.

- Słuchaj, Leary - rzucił Candace, otaczając ramieniem plecy Daniela i odsuwając go na bok. Welcome i Parzifal odwrócili się do nich plecami, wyraźnie w umówiony sposób.

Kostromanin ciągnął konspiracyjnym szeptem:

- Myślisz, że udałoby ci się znaleźć jutro trochę czasu?

- Uhm - mruknął oficer FRC. Nie brzmiało to jak propozycja zmówienia modlitwy przed śniadaniem, ale nauczył się już ostrożności w kwestii wyrażania na coś zgody. - Bardzo możliwe, że i owszem.

- Moja rodzina ma domek rybacki na niewielkiej wysepce niedaleko stąd - wyjaśniał kostromański porucznik. - Zamierzam udać się tam jutro. To żaden pałac, ale ma również pewne zalety rekompensujące niedogodności, na przykład zapewnia prywatność, odosobnienie. Moja Margrethe ma przyjaciółkę, która z wielką ochotą poznałaby przyjezdnego oficera floty. Zainteresowany?

Wolną ręką szturchnął Daniela pod żebro. Ten wydał wargi. Potrafił sam o siebie zadbać, jeśli jednak okoliczności zsyłały mu okazję... to świetnie. Uśmiechnął się.

- Z rozkoszą poznam inne zakątki waszej planety - odrzekł zgodnie z prawdą.

- Założę się, że tak! - zawołał Candace, ponownie częstując porucznika kuksańcem. - Podlecę po ciebie aerowozem koło południa. A ty będziesz *twardo* obstawał przy rozbudowie marynarki Kostromy, tak?

- Pewnie, że tak - potwierdził radośnie Daniel.

Trudno byłoby znaleźć w tym pomysłе coś pozytywnego, ale nie musiał tego mówić głośno. Było nie było, Candace to przyjaciel. Na swój sposób coraz lepszy przyjaciel.

* * *

Tańczący z Adele kadryla młody oficer miał na sobie mundur, na który składało się sześć głównych kolorów, w większości gryzących się z sąsiednimi. Najwyraźniej kostromański *homo militaris* był jeszcze mniej powściągliwy w dobieraniu sobie barwnych strojów niż jego cywilny odpowiednik.

Kostromanin dał krok wstecz i uklonił się formalnie, mówiąc:

- To był dla mnie prawdziwy zaszczyt, pani Mundy. Tańczy pani bosko.

Mówił to zupełnie serio. Potwierdzała to grupka jego równie barwnych towarzyszy, ustawiających się do niej w kolejce po następny taniec. Nic nie mogło jej bardziej zdziwić, chyba tylko wieść o tym, że została wybrana, by zastąpić gwaranta Porrę.

- Na razie wystarczy - oznajmiła głośno, chcąc powstrzymać napór natrętnych Kostroman. - Naprawdę muszę przez chwilę odpocząć i czegoś się napić.

To był błąd: nie dodała, że chodziło jej o wodę, i horda oficerów marynarki pognała do bufetu. Za chwilę zaofiarują jej dwadzieścia szklanek z ponczem. Łyk tego napitku, jaki wzięła wcześniej, przekonał ją, iż nadawał się do pracowni malarskiej jako rozpuszczalnik, ale nie powinien mieć żadnego innego zastosowania.

- Pani towarzysz to prawdziwy szczęściarz, pani Mundy - zauważył chłopiec, który z nią tańczył. Żałowała, że nie dosłyszała jego imienia. Najwyraźniej uznał, że i tak nie ma szansy na kolejny taniec, wobec czego równie dobrze mógł dotrzymać jej towarzystwa do przybycia dostawy ponczu. - Kto to taki, jeśli mogę zapytać?

- Porucznik Leary z floty Cinnabaru - odparła Adele. Automatycznie poszukała wzrokiem Daniela, lecz szansa na znalezienie normalnie ubranego człowieka w tym stadzie pawi była minimalna.

Jej własny strój imprezowy z Bryce był obcisłym, beżowym kombinezonem z kryzami wokół szyi, nadgarstków i kostek. Myślała, że na Kostromie okaże się ekstrawagancki. Nie mogła bardziej się pomylić.

Oczywiście, myślała również, że będzie podpierała ściany, jak to miało miejsce podczas zabaw na Akademii. Kolejna pomyłka.

- Ach, oczywiście - westchnął młody oficer. Jego towarzysze zmierzali już w ich stronę, przepychając się łokciami w ponurej determinacji bycia tym pierwszym, kto zaoferuje jej likwor, który nawet nie dotknie jej ust. - My, prowincjusze, nie możemy konkurować z salonowcami z potężnych imperiów, nieprawdaż?

Natarł na nich tłum przepychających się kostromańskich oficerów. Przypominało jej to horde wodnych taksówkarzy, którzy otoczyli ją, jak tylko opuściła statek, który przywiózł ją na Kostromę.

- Panowie! - zakrzyknęła tonem używanym przez jej matkę do upominania niemrawych służących; demokracja nie była ideałem, któremu rodzina Mundyich hołdowała w domu. - Proszę się cofnąć! - Kilku z nich potrąciło ją, gdy ich z kolei popchnięto z tyłu, a na plecach dotrzymującego jej towarzystwa tancerza wylądowała zawartość czyjejsz szklanki. Na szczęście, nie zmiotła jej jeszcze o ścianę, do czego niewątpliwie by doszło, gdyby nie zaczęła zachowywać się jak Mundy z Chatsworth. - Proszę ciągnęła donośnym głosem. - Chciałabym kontynuować rozmowę z moim przyjacielem. Ci, którzy hołdują zasadom dobrego wychowania, obowiązującym na Cinnabarze i Pleasaunce, z pewnością nam na to pozwolą.

Skorzystała z podpowiedzi, jakiej udzielił jej młodzian swą wzmianką o salonowcach. Zadziało jak zakłęcie. Krąg wokół niej nie mógłby poszerzyć się szybciej, nawet gdyby ogłosiła, że jest trędowata.

Przyczyną tej niechcianej i całkowicie nieoczekiwanej popularności Adele okazał się fakt, że przyleciała z Bryce, jednego z centralnych światów Sojuszu, i znała tamtejsze najmodniejsze kroki taneczne. Co czyniło z niej postać wyjątkową na tym balu. Choć był jedną z najbardziej prestiżowych atrakcji Dnia Założyciela, Bal Admiralski nie przyciągnął gości z „wielkich imperiów”, jak to ujął jej partner.

Towarzyszki wielu oficerów same były atrakcyjnymi - i zapewne słono opłacanymi - „importami” z Cinnabaru i Sojuszu, ale wszystkie one opuściły strony ojczyste na długo przed Adele Mundy. Teraz przyglądały się jej uważnie, zapamiętując kroki.

Bibliotekarka uśmiechnęła się zimno. Uczyła się tańczyć, gdyż stanowiło to niezbędną część jej akademickiego życia, lecz nigdy nie zależało jej na szlifowaniu akurat takich umiejętności. W tym towarzystwie nie mogła zmylić kroku: jej błędy uznawano za subtelne wariacje. Tuzin zdeterminowanych dziwek próbowało już kopiować jej pomyłki.

Na podest wspiął się, z pomocą adiutanta, otyły mężczyzna w średnim wieku. Miał na sobie mundur względnie prostego kroju - widocznie istniało powiązanie pomiędzy stopniem a kwiecistością stroju.

Nosił złocistą szarfę i błękitne spodnie ze złotą lamówką oraz frak. Na piersiach pobrzękiwała mu masa medali.

- Wielki admirał Sanaus - wyjaśnił pełnym szacunku szeptem towarzysz Adele. - Dowódca floty.

Sanaus powiedział coś do lidera grupy muzyków, po czym podał dłoń laleczkowatej blondynce, która ewidentnie wierzyła, że w przypadku stroju mniej znaczy więcej. Uczona prychnęła, ale i tak przyglądała się dziewczynie z podziwem - nie miała więcej niż 25 lat - która naprawdę robiła oszałamiające wrażenie. Pod gładką skórą ud i ramion grały prawdziwe mięśnie.

Zespół zagrał niski akord i podtrzymywał go, dopóki zgromadzeni nie uciszyli się.

- Moi oficerowie i drodzy goście! - przemówił we względnej ciszy admirał Sanaus. - Mam niekłamaną przyjemność powitać was w imieniu Floty Federacji.

Między słowami słychać było świszający oddech, a opuchlizna wokół oczu stanowiła widomą oznakę złego stanu zdrowia, jakiej Adele nie chciałaby widzieć u nikogo, na kim jej zależało. Rzecz jasna, nie było takich osób zbyt wiele.

- Z jeszcze większą przyjemnością oddaję głos prześlicznej damie, która postanowiła towarzyszyć mi tego wieczoru - dodał admirał.

Uklonił się blondynce. Sala rozbrzmiała szczerymi wiwatami.

- Panna Mirella Casque, potomkini Casque Trading i przedstawicielka tego szacownego domu na Kostromie!

- Przechwalała się - szepnął towarzysz bibliotekarki. Stali zaledwie 20 stóp od podwyższenia. -

Ale ma powody, nie?

- Owszem, o ile przeżyje tę noc - zauważyła Adele.

- Tym większe, jeśli nie! - odparł Kostromanin. Był zbyt młody, by wiedzieć, jak udawać galanterię.

Casque Trading była jedną z najstarszych i największych firm tego typu w Sojuszu. Ta dziewczyna wydawała się zbyt młoda, by reprezentować rodzinę Casque w tak ważnym handlowo systemie jak Kostroma, ale przynależność do rodziny wyjaśniała wybór.

Dziewczyna ukloniła się i uśmiechnęła, omiatając zgromadzonych modrymi oczętami. Adele Mundy poczuła je na sobie. Wewnątrz tego ślicznego opakowania kryła się inteligencja równie realna - i równie twarda - jak mięśnie ud.

- Pragnę podziękować wam i całej planecie za dobroć i gościnność, jakimi nieustannie okazujecie - oznajmiła. Głos miała czysty i doskonale modulowany; może nieco zbyt wystudiowany jak na płochą trzpiotkę, za jaką chciała tutaj uchodzić, ale absolutnie pasujący do głowy lokalnego oddziału liczącej się firmy handlowej. - Sprowadzenie się na Kostromę było szczęśliwym dniem tak dla mnie, jak i całej Casque Trading, lecz również dla was wszystkich, wspaniałych ludzi.

Złapała wielkiego admirała Sanausa za rękę, ukloniła się ponownie - tak głęboko, że bibliotekarka zaczęła podejrzewać, iż przykleiła sobie gors - i zeskoczyła ze sceny. Już z dołu podała dłoń admirałowi, ignorując wysiłki adiutanta.

- Ma coś w sobie, nie? - rzucił młody oficer, towarzyszący Adele. Dookoła podjęto rozmowy, mógł więc mówić normalnym głosem, nie obawiając się, że usłyszy go admirał. - I jest bardzo bogata; przynajmniej tak słyszałem.

- Ród Casque to stara fortuna - oznajmiła mistrzyni Mundy. Jej słowa nie były bynajmniej potwierdzeniem, za jakie prawdopodobnie uznał je chłopak. - Założyciel rodziny był jednym z kolonistów na Pleasaunce, a ponieważ zawsze zachowywali dobre - relacje z kołami rządowymi, bogacili się w miarę rozszerzania się Sojuszu.

- Nadzwyczajna - westchnął Kostromanin, odprowadzając wzrokiem kobietę, która przedstawiła się jako Mirella Casque i właśnie wychodziła pod rękę z jego przełożonym.

Faktycznie nadzwyczajna. Kobieta miała akcent z Bryce i nie bardziej należała do rodziny Casque niż Adele. Rodzina była użytecznym wyjaśnieniem ilości pieniędzy, jakie „Mirella” niemal na pewno wydawała, pielęgnując dobre stosunki z dowódcami marynarki Kostromy.

Uczona nie wiedziała, kim naprawdę była ta dziewczyna, ale domyślała się, dla kogo pracowała. Nie było to bynajmniej Biuro Piąte. Bardziej prawdopodobna wydawała się jakaś sekcja wywiadu wojskowego Sojuszu.

Z tego, co widziała, pracując w Zbiorach Akademickich, szpiedzy z rywalizujących organizacji tej samej planety nie znosili się tak samo, jak profesorowie z jednego uniwersytetu.

* * *

Candace prowadził aerowóz sprawnie i szybko. Kobiety nie należały do profesjonalistek; kiedy pojazd przelatywał przez Kostromę, siedziały na tylnych siedzeniach, gdzie nie można ich było zobaczyć. Margrethe, „specjalna przyjaciółka” Candace’a, miała wąską kibić pomiędzy niezwykłym biustem a bujnymi biodrami; Bet, towarzysząca Daniela na popołudnie i wieczór, była nie tyle drobna, ile owalna. Jej otoczona kręconymi, czarnymi puklami twarz była nadzwyczaj ładna.

- Benno - dla Daniela Candace - utrzymuje, że Cinnabar ma największą flotę w dziejach, poruczniku Leary - odezwała się Margrethe. Uśmiechnęła się do Leary’ego, ujawniając dołeczki w

policzkach. - Jedno jest pewne: macie prześliczne mundury.

Bet zachichotała, zasłaniając usta dłonią, i szepnęła coś przyjaciółce do ucha. Mrugnęła do Daniela i ponownie zachichotała.

Porucznik miał na sobie swój mundur Drugiej Klasy, stanowiący najlepszy kompromis pomiędzy możliwościami a potrzebami. Choć Bet, jakby to powiedzieć, złapała się już na haczyk, Daniel był zbyt biegłym zawodnikiem, by założyć cywilne ciuchy i zaprzepaścić efekt, jaki mundur mógłby wyrzucić na dziewczynie, z którą miał się spotkać. Z drugiej strony nie zamierzał ryzykować zniszczenia białego uniformu galowego w zapyziałym domku rybackim.

- Jesteśmy prawdziwymi szczęściarzami, mając takich sojuszników jak Kostroma - odrzekł radośnie.

Candace nie wyglądał na szczęśliwego ze sposobu, w jaki obie kobiety łąsiły się do egzotycznego cudzoziemca. Zauważył, kiedy Margrethe pochylila się, by pokazać oficerowi FRC dom jej rodziców, ocierając się jednocześnie piersią o jego ramię.

Obecnie pojazd leciał nad otwartym morzem. Woda była płytka. Z morskiego dna wyrastały porośnięte koralowcami i gąbkami rafy. Pomiędzy morską roślinnością uwijały się ryby. Były kolorowe, jak smugi rozszczepionego w pryzmatach światła.

Daniel wyrzwał za burtę, żałując, że nie zabrał ze sobą karty identyfikacyjnej. Pokładowa baza danych odnośnie do morskich form życia Kostromy na *Aglai* nie była pełna, porucznik miał jednak pewność, iż Adele mogłaby ściągnąć potrzebne pliki, gdyby ją o to poprosił.

- Jakie jest pana zdanie o kostromańskich dziewczętach, poruczniku Leary? - zapytała Margrethe. - Obawiam się, że musimy sprawiać wrażenie bardzo prowincjonalnych na kimś, kto odbył taką długą podróż jak pan.

- Madame Margrethe - odrzekł; dziewczyny stanowczo odmawiały zwracania się do niego per „Daniel”, jak również podania mu swych nazwisk. Nie była to dbałość o bezpieczeństwo, tylko niezrozumiały dla niego przejaw kokieterii. - Uczciwie przyznaję, iż żadne damskie towarzystwo nie wywarło na mnie większego wrażenia niż to, w którym obecnie mam zaszczyt przebywać.

Co, oczywiście, nie było prawdą, ale nie było również kłamstwem większym niżli świadome przemilczenie, że żaden z niego wielki podróżnik. Poza tym dziewczęta należały do całkiem ładnych, a porucznik Leary podzielał podejście większości mężczyzn, iż dostępność zwiększa atrakcyjność kobiety. Znał także inne punkty widzenia na tę sprawę, ale nie hołdował im.

Bet ponownie zaniósł się chichotem. *To* mogłoby okazać się nużące, lecz nie w takim okresie czasu, w jakim Daniel spodziewał się kontynuować ową znajomość.

Candace odchrząknął.

- Margrethe, może zamienisz się miejscami z Danielem? - zaproponował, łagodząc ton w miarę kontynuowania wypowiedzi. - Pozwoliłoby to Bet i naszemu gościowi lepiej się poznać. Przydałoby się również trochę wina.

- Och, tak! - zawołała Bet i było to najdłuższe zdanie, jakie do tej pory Leary od niej usłyszał. Obróciła się i uklękła na siedzeniu, nurkując w głąb bagażnika. - Zabrałam specjalne białe wino z winnicy Herricka!

Miała na sobie cienką sukienkę, w zależności od kąta padania światła błyszczącą oranżem lub złotem. Materiał był nieprzezroczysty, lecz bardzo przylegający. Dzięki czemu Daniel przekonał się, że twarz dziewczyny nie stanowiła najbardziej atrakcyjnej części jej ciała.

- Może pan przejść do tyłu, a potem ja zajmę pana miejsce, poruczniku - zaproponowała Margrethe, na wpół podnosząc się z siedziska i uśmiechając się do niego.

Przy takiej zamianie miejsc będzie bardzo ciasno. Miał jedynie nadzieję, że Candace nie obejrzy

się i nie zauważy nieuniknionego kontaktu pomiędzy przemieszczającymi się ciałami. Wątpił co prawda, żeby kostromański porucznik porzucił go na jakiejś bezludnej wysepce, ale zbyt wiele nasłuchał się o zazdrości, by nie darzyć tej cechy należytych respektem.

Podniósł się, nagle jego wzrok przyciągnęło jakieś poruszenie, 30 stóp poniżej, w morzu.

- Patrzcie! - zawołał. - Zawróć! Candace, możesz zatoczyć tutaj koło?

- Co? - zdziwił się pilot. Przechylił lekko pojazd, ale nie wykonał ciasnego skrętu, którego oczekiwał Leary. Nieważne; nic już nie było widać.

- To był zamiatacz - oznajmił Daniel, obdarzając towarzyszy pełnym zakłopotania uśmiechem. - Jestem prawie pewny, że to był zamiatacz. To taki wasz tutejszy morski drapieжник.

- Przez ostatnich 50 kilometrów morski pejzaż, nad którym przelatywali, pozostawał taki sam. Tuż pod powierzchnią czaiły się rafy, tworzące doliny o głębokości nie większej niż kilkaset stóp. W tak czystej wodzie bardzo wyraźnie widać było faunę dna morskiego.

Cudzoziemiec zauważył, wyróżniającą się wysokością i barwą, formację koralową sterczącą na środku owalnej przestrzeni, przylegającej do podnóża jednej z raf. Pomimo bujnej flory pływało tam zastanawiająco mało pasiastych ryb.

Tylko dlatego, że tak uważnie przyglądał się temu miejscu, zdołał dostrzec parę macek, jak błyskawicznie wyprysły spoza koralowca i natychmiast cofnęły się do jaskini, z której tak szybko wychynęły. Koralowiec zadygotał: stworzenia znieruchomiały w swych głęboko ukrytych, wapiennych jaskiniach, zmieniając wygląd okolicy - bez żadnego konkretnego ruchu na tyle widocznego, by Daniel dojrzał go z tej wysokości.

Wszystkie ryby, pływające w wodzie, którą przecięły macki, jednocześnie obróciły się na grzbiety i zaczęły tonąć, ogłuszone wyładowaniem elektrycznym zamiatacza. Niektóre konwulsyjnie trzepotały płetwami.

Mieszkańcy koralowca otrząsną się z szoku. Większość ryb nie zdąży, ponieważ kiedy tylko zamiatacz upewni się, że nie grozi mu odwet, ponownie wysunie ramiona z jamy, w której się ukrywał. Tym razem macki popelzną ponad grzbietem koralowca, poszukując słabych wyładowań elektrycznych, generowanych przez wszystkie żyjące organizmy.

Zakrzywione zęby macek zagarną trzepoczące się, wciąż żywe ryby do leża zamiatacza. Jego dziób dokończy dzieła zapoczątkowanego przez elektryczne wyładowanie.

- Och, to musi być cudowne, wiedzieć tyle rzeczy, poruczniku Leary! - zawołała Margrethe.

Daniel zastanawiał się, czy taki sam komentarz wywołałby stwierdzeniem: „Słońce nadal świeci”.

- Mój wujek jest wielkim przyrodnikiem - powiedział na głos. - Oczywiście, jak na czynnego oficera marynarki wojennej.

Z drugiej strony próbowała zakomunikować coś więcej niż swoje zainteresowanie przyrodą Kostromy. Po sposobie, w jaki kostromański porucznik zgarbił się nad sterami, Leary wywnioskował, że nie był jedynym, który odczytał wiadomość.

Kobieta również musiała zauważyć, że informacja stała się nazbyt oczywista. Wspomogła Daniela w próbie zminimalizowania kontaktu cielesnego podczas wymijania się w ciasnym przejściu pomiędzy przednimi siedzeniami.

Bet poklepała siedzenie koło siebie. Nalała wina do kieliszka, napiła się zeń i podała szkło porucznikowi Learyemu. Dopiero potem podała butelkę i dwa kieliszki parze z przodu.

Wino okazało się bardzo smaczne. Daniel zastanawiał się, czy Herrick to jej mąż.

Morze pociemniało do mundurowej zieleni. Woda tutaj była głębsza, pojawiły się za to wyspy. Żadna nie należała do wielkich, a część nieznacznie przewyższała rozmiarami zwykłe skały. Tylko na

nielicznych kołysała się roślinność.

Bet zamknęła palce na jego dłoni, chcąc odzyskać kieliszek. Ścisnął je lewą ręką i uśmiechnął się do niej. Czuł się trochę głupio, że do tej pory tak mało się nią interesował, ale była to jego pierwsza wycieczka poza Wyspę Kostromę.

- Od dawna macie ten domek, Candace? - zapytał, gładząc opuszkami palców ramię kobiety, podczas gdy ta napełniała kieliszek z drugiej butelki.

- Od prawie stu lat - odparł tamten. Margrethe tuliła się do niego, co wyraźnie go odprężyło. - Zawsze byliśmy marynarską rodziną. Co oznaczało mieszkanie na Kostromie. Mój pradziad, który uwielbiał łowić ryby, kupił go, żeby mieć jakieś miejsce w pobliżu, lecz nie na wielkiej wyspie. Jest tam jednak ścieżka i prowadzące do samej wody schody, które muszą pamiętać czasy Osiedlenia. - Obrócił się i uśmiechnął do Daniela przez gęstwinę rudych włosów swojej przyjaciółki. - Rzadko z niego korzystamy, ale czasami się przydaje.

- Tak myślę - przytaknął oficer FRC. Nie udawał brzmiącego w głosie entuzjazmu, wolałby jednak, aby był on większy.

Pozwolił dłoni zsunąć się po nagim ramieniu Bet, aż zachichotała i przycisnęła jego palce do nóżki świeżo napełnionego kielicha. Pili z niego na przemian. Mężczyzna zastanawiał się, czy pewnego dnia Candace pożyczycy mu aerowóz, aby mógł samodzielnie wybrać się w te przepiękne okolice.

* * *

Adele Mundy rygorystycznie przestrzegała pojawiania się w bibliotece o drugiej godzinie dziennego światła, na pół godziny przed swym kostromańskim personelem. Wątpiła, żeby dzisiaj przyszedł choć jeden z tubylców - a ci, którzy mimo wszystko by to uczynili, byliby pewnie zbyt skacowani, aby pracować - nie zaskoczyło jej jednak dobiegające zza drzwi zgrzytanie pił i jęk pistoletów z klejem.

- Sun, ślepy jesteś? - pytała właśnie mat Woetjans, gdy Adele weszła do środka. Nie tyle była rozgniewana, ile zdumiona kiepskim okiem Suną. - Podnieś lewy koniec! Ten symbol oznacza *dół*, a nie górę.

Co powiedziawszy, Woetjans odwróciła się i dotknęła miękkiej czapki w salucie przed bibliotekarką; musiała dostrzec jej odbicie w szybie. Rzadko zdarzało się jej przeoczyć coś z tego, co się wokół niej działo.

- Dzień dobry, pani Mundy - powitała ją. - Czasami wydaje mi się, że ta banda ma mniej rozumu od mojej sklerotycznej, starej matki, ale proszę się nie martwić: wykonamy naszą pracę, zanim stąd odlecimy.

- Ani przez chwilę nie przyszło mi do głowy w to wątpić, Woetjans - zapewniła ją Adele, przyglądając się ich dotychczasowym dokonaniom.

Wczoraj marynarze postanowili zastąpić drewniane deski płytami strukturalnego plastiku. Uczona przypuszczała, że Hogg znalazł nowego dostawcę.

Plastik był mocniejszy, cieńszy i bardziej stabilny niż drewniane regały, które wykonali wcześniej. Niektórym mógł nie spodobać się pomarańczowy kolor materiału, lecz dla niej priorytetem pozostawało przeniesienie książek z podłogi i odpowiednie ustawienie ich na półkach. Jeżeli pożyje wystarczająco długo, pozwoli mistrzyni stolarzy Bozeman zastąpić plastik regałami wysokiej klasy... Chociaż, z drugiej strony, niebyło możliwości, żeby żyła tak długo, by doczekać zakończenia dzieła przez Bozeman.

- Powinniśmy mieć światła pracujące do południa - rzuciła mat, bezwiednie zacierając ręce i patrząc w górę. Sześciu marynarzy pracowało na rusztowaniu, przyklejonym tymczasowo do podpór półek, skacząc na wysokości 20 stóp i wyraźnie nie przejmując się konsekwencjami błędu w ocenie odległości. - Rozmawiałam z Hoggiem o sposobach zamaskowania przewodów. Ma pani jakieś własne pomysły, jak to mamy rozwiązać, mistrzyni?

- Szczerze mówiąc, nie dbam o to, czy zostawicie te kable odsłonięte, jak długo nie narazi to nikogo na niebezpieczeństwo - wyznała Adele. - To pomieszczenie ma za zadanie przechowywać informacje w dostępnej formie, to wszystko. Estetyka to działka kogoś innego.

Żeglarka zerknęła w stronę drzwi. Bibliotekarka również spojrzała, spodziewając się Vanessa lub kogoś obcego, zwabionego tutaj hałasem.

W drzwiach stała pomocnica Markosa. Uśmiech miała niewyraźny, pozbawiony znaczenia; równie pusty jak oczy.

- Mogę zabrać pani kilka minut w ogrodzie, mistrzyni? - zapytała.

- Tak, oczywiście - odparła Adele. - Kontynuujcie, Woetjans.

Wyszła za kobietą. Młoda, blada dziewczyna bardzo przypominała jej dach, z którego dzień wcześniej oglądała procesję: przez sto stóp nic, a potem kamienny chodnik.

Adiutantka schodziła spiralnymi schodami. Dla służby pałacowej wyglądały jak dwie zupełnie obce sobie osoby. U podnóża schodów Mundy zrównała się z przyboczną Markosa i powiedziała:

- Jak widzę, jest pani Kostromanką. Od dawna zna pani swego pracodawcę?

Kobieta zatrzymała się i spojrzała na bibliotekarkę.

- Jestem tylko posłańcem, mistrzyni - rzekła. - Robię, co mi każą, i tylko to, co mi każą. Jeżeli ma pani jakieś pytania, proszę zadawać je komu innemu.

Krótkim skinieniem głowy Adele wyraziła szorstką aprobatę. Była rozzłoszczona i sfrustrowana, ale błędem byłoby wyładowywać się na pomocnicy. Dokuczanie jej stanowiłoby bezsensowne okrucieństwo - bezpieczne, gdyż kobieta była służką i nie mogła odpowiedzieć. Zupełnie jakby drażnić zamkniętego w klatce drapieżnika. Adiutantka była taką samą ofiarą agenta Sojuszu jak Adele.

Zeszły rampą do pałacowych ogrodów. Śmieci po nocnej zabawie zaścielały ścieżki i zwisały z gałęzi żywopłotów. Na głowę posągu naciągnięto czerwone, obsypane brokatem, prawdopodobnie męskie spodnie.

Tak wczesnym rankiem nie było żadnych spacerowiczów. Ku zdumieniu uczonej trwały tu jednak jakieś prace.

Ekipa robotników rozwalala ceglane żardyniery i najwyraźniej zabierała się za kopanie w ich miejscu sadzawki. Do pracowników zbliżała się tyłem ciężarówka. Brygadzysta wykrzykiwał wskazówki do kierowcy, a oparci o narzędzia robotnicy rozmawiali między sobą.

Obszar po prawej stronie głównej alejki przecinały równoległoboki żywopłotów. Kobieta poprowadziła Adele jedną z bocznych ścieżek, by wreszcie kiwnąć głową w kierunku jednego z kwadratów. Sama pozostała przy jedynym wejściu.

Zgodnie z przewidywaniami bibliotekarki w środku czekał na nią Markos. Siedział na kamiennej ławeczce opierając się plecami o gęste krzaki. Choć najwyższe piętra pałacu górowały nad ogrodem, nikt z jego mieszkańców nie dostrzegłby nawet czubka jego głowy.

Przyjrzał się jej z chłodną aprobatą. W milczeniu skinął głową, wyraźnie podkreślając, że to on kontroluje sytuację.

Robak ze slumsów Pleasaunce nie będzie kontrolował Mundy z Chatsworth...

- Wczoraj wieczorem widziałam twoją koleżankę - oznajmiła Adele. - Ktoś powinien kazać jej

popracować nad tym akcentem z Pleasaunce, skoro ma zamiar udawać córę rodu Casque.

- Nikt o takim nazwisku nie jest moją koleżanką - odparł. Jego kiepski akcent zdradzał skrywany gniew. - Zapewniam panią, mistrzyni - na podstawie faktu, iż pewne osoby mogą niedbale przygotowywać się do wykonania zadania, nie powinno się zakładać, że w krótkim czasie nie poprawią popełnianych błędów. Wręcz przeciwnie.

- Czego chcesz? - zapytała bibliotekarka.

Mężczyzna poklepał ławkę koło siebie. Pokręciła lekko głową i splotła ramiona na piersiach.

- Proszę usiąść - rozkazał jej. - Nie zamierzam podnosić głosu, mistrzyni. Nie igraj ze mną, bo pożałują osoby trzecie! To osobista obietnica, nie zawodowa.

Adele usiadła obok niego. Człowiek pokroju Markosa prędzej skłamię, niż powie prawdę, ale nie sądziła, aby ta właśnie groźba była kłamstwem. Rozwścieczyła go, nie pozwalając się zastraszyć.

- Chcę elektronicznej kopii harmonogramu wart straży pałacowej na najbliższy miesiąc - oznajmił, uspokajając się. - Nazwiska i adresy oraz wszelkie inne informacje o osobach na służbie. Uważam, że część wartowników ma stałe przepustki, podczas gdy inni mogą tam przebywać tylko w trakcie pełnienia służby. Oczywiście chcę także poznać ich pensje.

- Gdzie niby, twoim zdaniem, mam znaleźć takie dane? - parsknęła.

- Nie obchodzi mnie to, pani Mundy, naprawdę - odrzekł agent. - Może pani dać dupy szambelanowi; pani sprawa. Podejrzewam jednak, że szybko je pani odnajdzie, przetrząsając dane tak, jak tylko pani to potrafi.

- Dobrze - rzuciła zimnym głosem. Wstała. - Zobaczę, co uda mi się znaleźć. Skontaktuj się ze mną za tydzień.

- Wróci pani tutaj przed opuszczeniem terenów pałacu - sprecyzował Markos głosem ciężkim od groźby. - Dostarczy pani kompletnych danych. Przekaze je pani mojej sekretarce.

Mundy spojrzała w stronę przerwy w żywopłocie. Adiutantka obserwowała ich z ukosa; na cienkich wargach błąkał się leciutki uśmiezek.

Nie posłano by szpiega na Kostromę bez ekipy ekspertów i sprzętu porównywalnego z możliwościami Adele, ale eksperci, a zwłaszcza sprzęt mógł należeć nie tylko do Biura Piątego. *Goetz von Berlichingen* potrzebował potężnego procesora danych do nawigacji, lecz Markos nigdy nie miałby pewności, czy sposób, w jaki wykorzystywałby komputer, nie byłby później analizowany przez takie „Mirelle Casque” lub agentów konkurencyjnych organizacji.

Uboga bibliotekarka, której jedyna przyjaciółka pozostała w Sojuszu w charakterze zakładnika, budziła więcej zaufania od oficerów marynarki Sojuszu, chronionych przez armię nawet przed gniewem przedstawiciela Biura Piątego. Ponadto taka gra miała pewien powab dla ludzi pokroju Markosa.

- Zobaczę, co da się zrobić - powtórzyła Adele, po czym opuściła kwadrat zieleni.

Nie powinna mieć problemów ze znalezieniem tych informacji, choć pozostawało otwartą kwestią, czy znajdzie ją w bazie danych Hajasów, czy raczej pałacowej. Dostarczy je tak szybko, jak tylko zdoła. Część niej miała ochotę przetrzymać trochę agenta, lecz byłoby to dziecinne, a poza tym sprawa ciągle wisiałaby nad nią.

Kroczyła przed siebie wyłożoną cegłą ścieżką, a jej zacięta mina przyciągała spojrzenia robotników. Zajmie się tym i umyje ręce. Nie dbała o to, jaki użytek zrobi z tego Markos, i inne gnidy zwące siebie wywiadem.

- A oto i wyspa, Leary - oznajmił Candace, zmieniając ułożenie dysz aerowozu i zwalniając do leniwego ślizgu. - Przypuszczam, że powinna mieć jakąś nazwę, ale my nazywamy ją po prostu domkiem rybackim.

Dziesięć mil temu Bet pozwoliła mu się objąć; teraz musiał wyplątać się, by móc wyrzeć pomiędzy przednimi siedzeniami. Położyła mu się na plecach, udowadniając, że ma bardziej obfity biust, niż mógłby przypuścić.

Wąska wysepka miała tylko kilkaset metrów długości. Wystawała z wody na 30 stóp, a tworzyła ją czarna skała, a nie koralowy wapień jak większość wysp, urozmaicających powierzchnię morza, które Daniel do tej pory widział.

Oblicze klifu przecinały schody prowadzące do samego podnóża, gdzie ludzie wycięli przystań. Ze skały wystawały grube jak nadgarstek pachołki do cumowania łodzi. Czubek wyspy pokrywała typowa dla Kostromy soczyście zielona roślinność. Była tak bujna, że listowie skrywało dach domku ze strukturalnego plastiku, dopóki aerowóz nie przeleciał dokładnie nad nim. Kiedyś budowlę otaczał pas oczyszczonej z roślinności ziemi, teraz jednak wszystko porastały wysokie do pasa krzaki o pierzastych liściach.

- Będę musiał ściągnąć tutaj robotników, żeby to uporządkowali - rzucił z irytacją Kostromanin. - Może uda mi się nakłonić jakiegoś oficera, aby użył mi swoich marynarzy.

Powoli zniżał lot, używając dolnych dyszy do przy duszenia roślin do ziemi, żeby nie zaplątały się w turbiny. Wokół krzewów latały chmary niewielkich, przypominających klejnociki owadów. Mnóstwo z nich osiadło na karoserii aerowozu i jego pasażerach.

Bet zawołała: „Och!”, strzepując z irytacją owada z czoła. Na szczęście, były to tutejsze insekty, nie żywiące się ludzką krwią.

Candace wyłączył silniki.

- Nieco prymitywne, ale jestem przekonany, że znajdziemy tutaj wszystko, czego potrzebujemy - oświadczył zamieniając burtę pojazdu w rampę. Roześmiał się gardłowo. - A jak już znajdziemy to, czego potrzebujemy, to zjemy lunch, który kazałem zapakować służącym. Co, Leary?

Bet zachichotała.

- Pierwszorzędny plan, Candace! - zawołał Daniel, udając się na tył pojazdu, by otworzyć bagażnik. Miał nadzieję, że przemówił z wystarczającym entuzjazmem, by zamaskować skrzywienie na dźwięk tego chichotu.

Bagażem okazał się kosz piknikowy i dwa nadmuchiwane materace. Był tam również koszyk z winem, który jednak zdążyła już wyciągnąć jego towarzyszka na wyjazd, przechylając się nad oparciem fotela.

Candace pchnął uchylone drzwi domku. Nawiane do środka liście zaczęły już rozkładać się w próchnicę.

Gniezdzące się wewnątrz małe ptaszki podniosły okropny rejwach. Leary zatrzymał kobiety, pozwalając spanikowanym stworzeniom wylecieć na dwór. Nie miał nic przeciwko dźwiganiu ekwipunku, choć nie uszło jego uwadze założenie kostromańskiego oficera, iż zadanie to bynajmniej nie należy do niego.

Kostromanin zabrał się za otwieranie okiennic. Jedna została mu w rękach. W głównym pokoju znajdowało się palenisko i kamienne ławy stojące wzdłuż ścian; umeblowania dopełniał stół i dwa krzesła z wytłaczanego plastiku. Zawieszona z tyłu kotara oddzielała pomieszczenie od dwóch sypialni. Łóżka, dolne i górne, były wąskimi plastikowymi kojami, położonymi na wystających z tylnej ściany kamiennych podporach.

- Macie tutaj studnię? - zapytał Daniel.

- Mamy cysternę - odparł Candace. - Choć...

Choć, dokończył w myślach Cinnabarczyk, każda cysterna zamieniłaby się w cementarzysko dla legionu istot, które zdołały do niej wpełznąć w ciągu lat nie używania domku. Cóż, przynajmniej mieli wino.

Porucznik Candace wydał wargi. Daniel podejrzewał, że Kostromanin zapomniał, jak prymitywne warunki panowały w rzeczywistości w tym rybackim domku, choć on osobiście uważał, że były bardziej niż wystarczające.

- Wiesz co, Leary - rzucił Candace - gdybyś zszedł schodami do przystani, to zauważyłbyś prowadzącą w lewo ścieżkę do jaskini. Jako iż jesteś przyrodnikiem...

- Pokażę mu - wtrąciła nieoczekiwanie Bet. - Przecież już tutaj byłam.

Miała doskonale niewinną minkę. Tylko cynik mógłby przypuszczać, że jej komentarz - wyznanie - miało cokolwiek wspólnego z obserwowaniem umizgów Margrethe do Daniela podczas lotu.

Leary zachował jeden materac; dziewczyna zabrała butelkę wina. Po przedarciu się przez pierzaste zarośla nie potrzebował już przewodnika. Bez problemów dotarli do wyciętych w klifie schodów. Zamieszkujące Kostromę zwierzęta były raczej małe, wobec czego rośliny nie wykształciły kolców i ostrych jak brzytwa liści, które na tylu planetach zamieniały dżungle w piekło dla wędrujących nimi ludzi.

Stopnie uformowano, wierząc pionowo rzędy otworów, a potem odłamując kamień. Nie wygładzono ich powierzchni, lecz korzystające z nich stopy z biegiem lat wypolerowały skałę. Biorąc pod uwagę oddalenie wysepki od głównych szlaków komunikacyjnych, Candace miał rację, że musiały być bardzo stare.

Bet zatrzymała się przy samych schodach, zniecka odwróciła głowę i pocałowała porucznika, po czym z chichotem zbiegła na dół. Kieliszki zabłyśły w promieniach słońca.

Daniel podążył za nią wolniejszym krokiem. Częściowo było to podyktowane ostrożnością człowieka, który pracował przy antenach w przestrzeni gąbczastej, gdzie jeden fałszywy ruch oznaczał śmierć wskutek oderwania się od gwiazdnego uniwersum. Poza tym zaintrygowały go przypominające naparstki porosty na skale. Od szczytu do podnóża pokrywały je wąskie paski jaskrawych kolorów. Nigdy nie widział czegoś podobnego.

Kobieta wystawiła głowę zza załomu klifu.

- Idziesz, Danielu? - zawołała.

Przedtem nie używała jego imienia. Oficer przyspieszył.

Stopnie wiły się w dół klifu. W połowie drogi przecinała je pozioma ścieżka. Była to wytopiona w skale rampa. Nad skrzyżowaniem wycięto drugą ścieżkę, gdy budowano schody. Jej zwietrzałe pozostałości ciągnęły się wzdłuż stopni.

Stary szlak był niemal poziomy; w żadnym miejscu nie schodził do morza. Chyba, że to poziom wody opadł o dziesięć stóp od czasów, w których zbudowano ścieżkę...

- Widzisz?! - krzyknęła Bet, stając za gigantyczną wersją porostu podziwianego wcześniej przez Daniela. „Naparstki” pojawiały się tutaj częściej niż bliżej szczytu, ten jednak miał niemal metr wysokości. - Tędy.

Po czym dodała: „Och!” i strzepnęła owada, który wskoczył jej na udo. Był nie większy od paznokcia, lecz jego niebieskoczarne prążki wyraźnie odcinały się od ognistej czerwieni sukni.

- Idę, kochanie - rzucił z roztargnieniem Leary. - Nie chcemy chyba tego zgubić, prawda?

Zamachał zrolowanym materacem. Znajdowało się tutaj mnóstwo podobnych owadów. Pozbawione skrzydeł, zdawały się zamieszkiwać porost.

- Poradzilibyśmy sobie! - zawołała ze śmiechem.

Daniel wspiął się na olbrzymi stożek. Bet znikła w skalnym klifie. Tunel wypalono w żywym kamieniu. Powierzchnia była zeszlona, tak samo jak rampa. Wszedł do środka i założył gogle, by móc rozejrzeć się po wnętrzu.

Dziewczyna poszła na sam koniec jaskini, oddalony 30 stóp od wejścia. W ścianach wypalono nisze długości pięciu i głębokości jednej stopy. W tunelu znajdowali się tylko oni i zeschnięte liście.

Bet odstawiła wino do niszy. Powoli podciągnęła sukienkę.

- *Chodź, Danielu* - powiedziała natarczywie. Zgodnie z jego oczekiwaniami, nie miała nic pod spodem.

- Napawam się chwilą, kochanie - skłamał. Wyciągnął mechanizm pompujący, po czym zdjął czapkę i gogle.

Miał mnóstwo pytań dotyczących tego miejsca, ale najpierw sprawy najważniejsze. Pytania mogły poczekać.

Jeżeli się nie mylił, czekały już od bardzo dawna.

* * *

Adele wstała od konsoli danych i po raz pierwszy od kilku godzin zauważyła hałas towarzyszący montażowi półek. Cinnabarscy marynarze używali pistoletów, które wypluwały klej z przenikliwym piskiem, znacznie bardziej irytującym od stukotu młotków - kiedy była go świadoma. Podczas pracy zapominała o całym świecie.

Gromadzenie harmonogramów zabrało jej więcej czasu, niż oczekiwała. Osoby odpowiedzialne za gwardię pałacową najwyraźniej wprowadzały jedynie część danych, niezbędną do zapewnienia ich podwładnym posiłków i wypłat na czas. Dzięki krzyżowym sprawdzianom bibliotekarka upewniła się, że około 30 procent zawartości różnych baz danych było fałszywe.

Wina leżała po jej stronie. Powinna przewidzieć, że oficerowie straży to półanalfabeci. Bóg wiedział, że nie należeli pod tym względem do wyjątków ani na Kostromie, ani we wszechświecie.

- Całkiem nieźle wygląda, nie sądzi pani? - zapytał ktoś za jej plecami.

Odwrociła się gwałtownie.

Uśmiech mat Woetjans przybladł, kiedy zobaczyła minę Adele.

- W każdym razie ujdzie w tłoku - dodała. - Moim zdaniem.

- Wygląda wspaniale, Woetjans! - zawołała uczona z niekłamany entuzjazmem. Czuli zakłopotanie, że na przyjazną uwagę żeglarki niechcący odpowiedziała srogą miną. - Gdyby moje życie wyglądało równie cudownie, byłabym elektorem Kostromy.

Na oblicze Woetjans powrócił uśmiech.

- Moim zdaniem obywatel Cinnabaru jest lepszy od każdego tutejszego czarnucha, mistrzyni - oznajmiła, ewidentnie nie zdając sobie sprawy, że mógł ją usłyszeć któryś z asystentów Adele. - Nawet od szefa czarnuchów. Chociaż dobrzy z nich kosmonauci. Niemniej, owszem, cieszę się, że moja załoga stanowi tutaj jasny punkt.

Mundy zaczęła odpowiadać, ale zastygła z otwartymi ustami, ponieważ nie wiedziała, od której obiekcji zacząć. Po chwili zamknęła je, uznając, że błędem byłoby podzielenie się jakkolwiek z nich.

- Tak - rzekła zamiast tego. - Bardzo jasny punkt. - Pochyliła się nad konsolą i wyjęła chip, na który skopiowała dane. Wiele godzin zajęło jej przesiewanie i korelowanie danych na odległych urządzeniach, wyposażonych w dziwaczne, starodawne i potwornie wolne oprogramowanie. Mogłaby wysłać Markosowi pierwszą listę, jaką znalazła, nie zważając na to, że dotyczyła jedynie

dwóch z siedmiu wejść do pałacu. Nie lubiła szpiega i nie ośmielała się zaudać zastanawiać nad swym zadaniem. Lecz nawet mimo tego nie potrafiła sobie pozwolić na wykonanie lichej pracy.

- Hafard! - ryknęła żeglarka w stronę rusztowania. - Polin! Jak dalej będziecie tak partolić robotę, to obiecuję, że nie spodoba wam się grafik dyżurów po opuszczeniu planety! - Zerknęła z zażenowaniem na Adele. - Lepiej wróć pilnować tę bandę, pani - rzuciła.

Bibliotekarka energicznie przytaknęła.

- Ja również muszę wracać do pracy - powiedziała. - Vaness? Nie będzie mnie przez kwadrans. Jeśli będą jakieś pytania do mnie, odpowiem po powrocie.

Opuściła bibliotekę. Dotknęło ją, że Woetjans określiła Kostroman jako „czarnuchów”. Gdyby mat była jej uczennicą w Akademii, wygarbowałyby jej skórę za pierwszym razem, a za drugim wygnałyby - w niesławie - z uczelni.

Ale kobieta nie była uczennicą. Była oficerem marynarki przywykłym do innych standardów. Złych standardów, tego Adele była pewna, ale nikt też nie mianował Adele Mundy Lordem Korektorem Wszechświata.

Miała na Akademii koleżanki, które - nawet po tym, jak została mianowana nominalnym dyrektorem Zbiorów Akademickich - za punkt honoru postawiły sobie edukowanie jej w dziedzinie mody. Nie sądziła, aby Woetjans przyjęła wykład na temat poniżającego języka z większą cierpliwością, niż ona okazywała udzielanym jej w dobrej wierze radom odnośnie do jej ubrań.

Zwawo schodziła spiralnymi schodami. Zwolniła, dogoniwszy parę pogrążonych w rozmowie referentów. Kostromanie byli jowialnymi, gadatliwymi ludźmi, uwielbiającymi żywą gestykulację. Adele nie spieszyło się aż tak bardzo, żeby musiała ich obchodzić.

Niemal zaprzeczyła Woetjans, gdy ta nazwała ją obywatelką Cinnabaru. Po zastanowieniu się musiała jednak przyznać, że założenia pani oficer były prawdopodobnie słuszne. Edykt Pojednawczy przywrócił prawa obywatelskie niedobitkom banitów, poza tym Adele Mundy nigdzie nie została wymieniona z imienia i nazwiska. Jako dorosła członkini rodziny Mundy z Chatsworth, Adele stałaby się legalnie ściganą zwierzyną łowną, lecz nikt nie mógł z czystym sercem powiedzieć, że zajmowała się polityką, a co dopiero, że była zamieszana w Konspirację Trzech Kręgów.

Ominęła urzędników u podnóża schodów i postanowiła przebić się przez tłum obiboków i zwykłych przechodniów, okupujących główne wejście do pałacu. Kostromanie byli hałaśliwie entuzjastyczni, zupełnie jak ich zapewnienia o dozgonnej przyjaźni. Nie należało wierzyć w trwałość takich deklaracji. Bardzo odmiennie od Cinnabaru, gdzie emocje stanowiły oręż równie nieugięty jak stal.

Słyszała, jak Kostroman określano jako płochych i zmiennych. Przypuszczała, że taka była prawda. Z drugiej strony dopóki ludzie nie zamienią się w świętych, alternatywą pozostawała zimna, mordercza bezwzględność, jaka zmiotła Mundy z oblicza Cinnabaru.

Mat Woetjans przyznała, że Kostromanie byli dobrymi kosmonautami. Przynajmniej w tej kwestii wszyscy byli zgodni.

Adele weszła do ogrodów. Zaskoczył ją blask słońca. Rzędy półek, wypełniające się z grubsza posortowanymi książkami, redukowały ilość docierającego przez okna światła do ułamka tego, co było potrzebne. Aby zainstalować nowe oświetlenie, marynarze Woetjans pociągnęli dodatkowy kabel z siłowni w podziemiach pałacu. Mat wyjaśniła jej, że choć reaktor zapewniał wystarczającą moc, przewody w budynku usmażyłyby się jak bekon.

Obywatelka Republiki Cinnabaru...

W zatoce lądował statek kosmiczny. Całkiem spory. Przypuszczała, że to transportowiec. Daniel Leary rozpoznałby klasę i zapewne nazwę jednostki.

Piełęgniarka pchała ścieżką wózek. Dwoje dzieci przywiązała sobie do bioder smyczami; starsze nie miało więcej niż cztery latka. Ciągnęły ją w przeciwnych kierunkach, krzykami zwracając uwagę opiekunki na ptaszki i kwiatki. Za grupką kroczył opiekun z okutą żelazem pałką i podkręconymi wąsami, wypinający pierś i kłaniający się każdej mijanej kobiecie.

Adele nigdy nie wróciła na Cinnabar. Początkowo jej obecność skończyłaby się dodaniem kolejnego imienia do listy ofiar. Po Edykcie Pojednawczym z dala od planety trzymało ją obrzydzenie.

Poza tym ubóstwo było wystarczająco złe na obczyźnie. Nie miała zamiaru przymierać głodem na oczach tych, którzy przed banicją nazywali ją przyjaciółką. Jak słyszała, Senat uznał kuzyna ze strony matki za prawowitego właściciela Chatsworth.

Zbliżyła się do żywopłotów. Odgradzony kwadrat był pusty. W pobliżu słychać było mężczyznę grającego na gitarze.

- Dzień dobry, mistrzyni - odezwała się za jej plecami adiutantka Markosa. Uczona odwróciła się. Na bladym obliczu kobiety błąkał się charakterystyczny dla niej uśmieszek; nie oznaczał wyższości, jak pierwotnie uznała bibliotekarka, lecz aprobatę.

- Proszę - mruknęła wyciągając dłoń z leżącym na niej chipem. Nie dbała o to, czy ktoś ją widział. Nie była szpiegiem; nie zmuszą jej, żeby tak się zachowywała.

Czubki palców musnęły wewnątrz dłoni, zgarniając chip.

- Miłego dnia, mistrzyni - powiedziała asystentka.

Odeszła w stronę tylnego wejścia do ogrodów, niespiesznie mijając spacerowiczów. Nawet w swym barwnym ubraniu nie rzucała się w oczy - osoba, której obecności lub braku nikt by nie zauważył. Osoba, która zdawała się nie istnieć jako człowiek.

Adele Mundy wróciła do pałacu. Zastanawiała się, czy sama miała w sobie więcej życia niż jej konsola danych.

* * *

Daniel Leary wkroczył do biblioteki, pogwizdując kontredansa, którym zakończono Bal Admiralski, i z przyjemnością rozejrzał się po wnętrzu.

- No popatrz! - zawołał. - Naprawdę zbliżają się do finiszu. I światła zamontowali, jak widzę.

- Owszem, w przeciwnym razie bowiem nic byś nie widział - oznajmiła Adele, wychodząc z części pomieszczenia nie zastawionej jeszcze regałami. Trzymała luźne okładki, obciążone czymś luskowatym. - Twoja załoga okazała się niezastąpiona, Danielu. Co nie umniejsza wkładu... - Odwróciła się i skinęła głową w stronę dzierżącego taśmę mierniczą młodzieńca w szerokim, zielonym pasie, jednego z kilku Kostroman, którzy poruszyli się wraz z nią, kiedy wszedł Daniel. - ...mistrzyni stolarskiej Bozeman i jej czeladników, którzy trują się nad estetyczną stroną dzieła.

- Pokrywamy okleiną naturalną krawędzie półek i podpór - wyjaśnił młody człowiek. - Kiedy skończymy, nie odróżni pan rezultatu od pierwszorzędного mebla. Nawet plastik! - Zmarszczył brwi, dodając - jak tylko znajdą się na nich książki, oczywiście. W przeciwnym razie niewiele będziemy mogli pomóc.

Wymachując trzymaną w lewej ręce chusteczką, porucznik przeszedł wzdłuż stosu skrzynek i wyjrzał na zatokę. Regały sięgały niemal do samego stropu. Na półkach powyżej głowy nie stały jeszcze żadne książki ani nie leżały dokumenty, zaś resztę mebli wykorzystano jedynie częściowo. Drewniane klocki na końcach chroniły książki przed przewróceniem się.

- Czy te wyższe...? - zapytał Daniel, wskazując głową puste półki powyżej.

- Przydadzą się w późniejszym okresie - odrzekła bibliotekarka, idąc koło niego. Trzech Kostroman patrzyło na nich z szacunkiem, którego ewidentnie brakowało im w dniu, kiedy Leary po raz pierwszy odwiedził bibliotekę. - Woetjans obiecała zrobić drabiny na kółkach. Jestem skłonna zaczekać z tą pracą do chwili, gdy będą potrzebne. Z półek dostępnych z podłogi łatwiej będzie korzystać ludziom, którzy nie są... - uśmiechnęła się - kosmicznymi takielarzami. Z drugiej strony w przyszłości nie będę mogła więcej liczyć na Woetjans i jej ludzi. Trudno mi podjąć decyzję.

- Ach, jak one są...? - zainteresował się Daniel. - To znaczy, chodzi mi o ułożenie.

Machnął chusteczką w kierunku półek. Na najbliższej mu stał rząd książek kucharskich. Dwie półki poniżej zajmowały podręczniki astrologacji, w tym wiele oczywistych duplikatów.

Adele uśmiechnęła się cierpko.

- Według numerów - wyjaśniła. - Otwieram skrzynie z książkami i nadaję każdej kolejny numer. Przeważnie zapisuję go na kawałku papieru. Te... - Otworzyła trzymane w dłoniach skórzane okładki. - Mają numer 147. To rachunek wyników przedsięwzięć handlowych klanu Teichnor z ostatniego stulecia.

Oficer skinął głową. Rachunkowość nigdy go nie interesowała, wiedział jednak, jak cenne były to dane dla kogoś potrafiącego zrozumieć kontekst, w którym powstały.

Czytał dzienniki wujka Stacey'a. W większości składały się z suchych informacji, typu: „Antena czterdziesta pierwsza rozpadła się wskutek przyspieszenia. Dokonano wymiany i wkroczone do Matrycy zgodnie z planem. „ Miało to znaczenie tylko dla kogoś, kto słuchał barwnych opowieści komandora Bergena, dla przyjaciół ze starych czasów, którzy odwiedzali go w Bantry.

- Wezmę je, mistrzyni! - zaofiarował się skwapliwie jeden z Kostroman.

Jeżeli znało się język - co oznaczało nieco więcej niżli sama znajomość gramatyki i słownictwa - to nie istniały bezużyteczne informacje.

- Dziękuję, Vaness - rzuciła Adele Mundy, oddając okładki z uśmiechem widocznym jedynie dla Daniela. - Moi asystenci zanoszą książki na ponumerowane półki, podczas gdy ja wydobywam kolejne. Vaness i Prester zgodzili się zostać po godzinach, ponieważ muszę oczyścić podłogę pod następne regały. Do rana. - Zdumiewające! - orzekł szczerze porucznik. Zakładał, że wprowadzenie porządku w chaos, który tutaj zastał, zajmie większą część jej życia. Teraz okazało się, że wystarczyło kilka tygodni. Niemniej...

- Mimo wszystko nie do końca rozumiem system numeracji, mist... Adele - dodał.. - Te... - Wskazał podbródkiem na książki kucharskie i tablice gwiazdne.

- Zgadza się, sekcje 16 i 17 - odparła kobieta. Ponura mina rozplynęła się w uśmiechu. - Szesnastym egzemplarzem, który wyciągnęłam z pierwszej skrzyni, były *Łatwe Przepisy dla Światów Pogranicza* Cypriana. Nie zaskoczy cię wiadomość, że następną książką okazał się *Pilot z Trzydziestego Sektora Gwiazdnego*.

- Och - wyrwało się Danielowi. Wyglądało to na absolutnie okropny system, niewiele lepszy od zupełnie przypadkowego ustawiania książek na półkach. - Cóż, mając prawidłowy indeks... - dodał.

Bibliotekarka uśmiechnęła się szeroko, przynajmniej jak na nią.

- Tutaj - wyjaśniła pukając się palcem wskazującym w skroń. Roześmiała się głośno na widok jego miny. - Danielu, to jest posortowane z *grubsza*. Uporządkuję księgozbiory zgodnie ze standardami Zbiorów Akademickich, jak tylko wyciągnę wszystko z pudeł. Do tej pory musisz polegać na mnie, żeby cokolwiek tutaj znaleźć.

- Och - odetchnął z ulgą. Dobrze, że nie zdążył niczego powiedzieć na głos.

- Pani Mundy to geniusz - rzucił z niepotrzebną wojowniczością Vaness, gdyż Leary w zupełności się z tym zgadzał. - Jest lepsza od każdego systemu.

- Dziękuję za pochwałę - powiedziała sucho. - Niestety, jestem przekonana, iż nie będę żyła wiecznie. Mojej rodziny z pewnością to nie spotkało. Mam nadzieję pozostawić memu następcy pomnik moich umiejętności, a nie arogancji.

- Ach - mruknął Daniel. Nie przeoczył odniesienia do banicji. - Prawdę mówiąc, poprosiłem Candace'a, żeby wysadził mnie tutaj, zamiast zawozić do domu, ponieważ miałem do ciebie kolejne pytanie. - Zamachał chusteczką. - Ale... Skoro jesteś zajęta?

- Prester, Vaness - zareagowała Adele - zróbcie sobie przerwę. A właściwie, to oboje możecie iść do domu. Myślę, że oczyściliśmy już wystarczający kawałek podłogi, rozsądnie przestawiając skrzynie.

- Zaczekam, mistrzyni - oznajmił Vaness.

- Ja również - zawtórowała mu młoda kobieta, będąca drugim asystentem, którą Daniel Leary opisałby jako pospolitą, gdyby miał jakikolwiek powód, aby to w ogóle uczynić. - W zasadzie nie spieszy mi się do domu.

- Zdjąłem już wszystkie wymiary, pani Mundy - oświadczył czeladnik. - Pójdę już sobie, o ile nie ma pani nic przeciwko temu.

- Oczywiście, Reckwith - odpowiedziała oficjalnym tonem. - Proszę przekazać pozdrowienia mistrzyni Bozeman, kiedy ją pan zobaczy. Jestem zachwycona jej pracą i pańską. - Po czym dodała na boku tak cicho, że Daniel z trudem ją usłyszał, a dla Kostroman był to jedynie ciąg syczących dźwięków. - Kontakt z marynarzami, dumnymi ze swojej ciężkiej pracy, tchnął ducha naśladownictwa w lepszą część mojego personelu, co mnie na równi zdumiewa i cieszy.

Z opowieści Hogga wynikało, że połowa personelu była pełna podziwu dla Bibliotekarki Elektora, a drugą połowę zdjęło przerażenie.

- Czarnuchy miały szczęście, że pani Mundy nie wyzwalała żadnego z nich na pojedynek - twierdził sługa. Porucznik nie zaprzeczał.

- Miło mi to słyszeć - oznajmił teraz. Rozsupłał chusteczkę.

- Kolejny robak? - zapytała z uśmiechem Adele. Podeszła do konsoli danych, częściowo ukrytej za ścianą starszej elektroniki. Większość tamtego sprzętu nie działała, nie była nawet kompletna, lecz, dysponując czasem i umiejętnościami, dałoby się z tych wraków odzyskać dane.

- Zgadza się, to żuk - potwierdził. Pokazał jej zjadacza porostów, którego schwytał, gdy wychodził za Bet z tunelu. - Bezskrzydły sześcionoż o podłużnych, niebieskoczarnych pasach. Głowa i tułów zrosnięte, miękki brzuch, ale kluczową sprawą jest owe sześć odnóży.

- Wydawało mi się, że owady na Kostromie są czworonożne - zwróciła uwagę uczona, gdy w powietrzu przed nią zamigotały hologramy. - Cóż, absolutnie nie istnieje, jak przypuszczam.

- W biologii wartości absolutne są niemal uniwersalne - oponował Daniel.

Adele obsługiwała konsolę różdżkami, które trzymała niczym dwa rysiki. Leary wiedział, że technika ta oferowała znacznie większą prędkość i elastyczność od wirtualnej klawiatury, jaką się posługiwał, lecz minimalne odstępstwo od właściwego kąta nachylenia różdżki lub jej rotacja mogły spowodować gigantyczne błędy w bazie danych.

Nie sądził, żeby Mundy często miewała takie problemy.

- Przykro mi - rzuciła bibliotekarka, krzywiąc się do wyświetlacza. - Nie mogę nic znaleźć. Prawdę mówiąc, wśród dostępnych informacji brak najmniejszej wzmianki o kostromańskich owadach na sześciu nogach. Dane mogą być błędne, ale... - Podniosła wzrok na Daniela. - Najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem jest pozaplanetarne pochodzenie owada. Obawiam się, że nie mam dostępu do wszystkich możliwości ani nawet do większości z nich.

- Spróbuj z Ziemią - zaproponował. Uśmiechnął się do trzymanego w palcach, za nogę, insekta. -

Możliwe, że jednak znalazłem dowód na lądowanie powolnej rakiety na Kostromie, Adele - dodał z uczuciem rosnącego triumfu. - Może nie jest to równie dobre, jak odkrycie nowego gatunku, ale i tak stanowiłoby niezłą korzyść z tego popołudnia.

Skrzywił się, słysząc własne słowa. Bet była miłą dziewczyną; bardzo przyjemnie spędził z nią czas. Ale najróżniejsze Bet tego życia zdarzały się dużo częściej niż prawdziwe odkrycie.

Konsola warczała sortując dane z własnej bazy. Z miejsca, gdzie stał porucznik, wyświetlacz przypominał jedynie wielobarwny kalejdoskop.

- Nie znalazłam żadnych podręczników na temat przyrody Kostromy - stwierdziła nieobecnym głosem Adele, czekając na wyniki. - Znane mi pliki są dziełem pozaplanetarnych badaczy.

Astrogacja odżyła na Kostromie niemal równie wcześnie jak na Cinnabarze lub Pleasaunce, lecz jeszcze przez 150 lat Kostromanie pozostali odizolowani od innych światów, z których podróżowano w kosmos. Bez rywalizacji rówieśników ich planeta nie rozwijała się równie szybko w pewnych dziedzinach, lecz z nawiązką wynagrodziła to unikalność kultury.

- Kostromanie postrzegają wszechświat jako miejsce bogacenia się - zauważył Daniel. Kiwnął głową w stronę asystentów, by nie było wątpliwości, iż kierował swoją opinię do wszystkich, nie traktując tubylców jak mebli. - W czym są niesamowicie dobrzy.

Wodospad drgającego światła znieruchomiał.

- Jest! - zawołała z satysfakcją uczona. Ustąpiła miejsca oficerowi. - Sześćcionogi i bezskrzydły, choć nie wszystkie pozostałe parametry są zgodne. Spójrz i powiedz, co o tym sądzisz.

Narzucił luźno chusteczkę na owada, by nie uciekł, kiedy on siadał na krześle. Zjadacze porostów nie muszą być szybkie, a ten nie okazywał najmniejszej chęci ucieczki. Daniel przeglądał obrazki z rosnącym oszołomieniem, przebiegając palcami po wirtualnej klawiaturze i dodając bądź usuwając parametry.

- Nie pochodzi z Ziemi - zauważył ze zdziwieniem. - Nie mógł stamtąd przylecieć. Trzy membranowe anteny nie występują na Ziemi, nie mówiąc już o innych cechach szczególnych!

- No cóż, Kostroma utrzymywała kontakty z setkami światów - rzekła Adele. Leary usłyszał w jej głosie ten sam ostrożny, neutralny ton, jakiego użył, wypowiadając się o systemie katalogowania. - Ziemia była prawdopodobną możliwością, ale...

Daniel ze śmiechem wstał od konsoli.

- Ach, kontakty! Ale nie przed skolonizowaniem! - zwrócił uwagę. - Przylatująca tutaj w powolnej rakiecie kolonia z Ziemi była jakąś możliwością, ale nie rakietą przywożąca robaki i porosty z innego świata. To miejsce jest naprawdę stare, Adele. Znacznie starsze od Kolonii. Po stopniu zwietrzenia okolicznych skał szacowałbym... - Skrzywił się. Żałował, że nie zabrał ze sobą kamery, lecz nie spodziewał się, że okolica aż tak go zainteresuje. Ale cóż, wyspa nigdzie nie ucieknie... - Tysiące lat. Może nawet dziesiątki tysięcy.

Bibliotekarka zaniemówiła. Kostromańscy asystenci patrzyli po sobie, marszcząc czoła, jak ludzie, którzy wiedzieli, że właśnie coś przeoczyli.

- Międzygwiazdni obcy podróżnicy o ludzkiej fizjologii - domyśliła się Mundy.

- Albo ludzie podróżujący przez przestrzeń gąbczastą - poddał Leary. - Zapewne zanim zaczęto tworzyć zapisy historyczne.

- Przed znanymi nam zapisami - poprawiła bibliotekarka z kpiącym z własnej profesji uśmiechem.

Na obliczu kobiety zagościła właściwa jej, pełna napięcia, mina kota czyhającego na zdobycz.

- Pierwszym krokiem będzie zlokalizowanie źródła pochodzenia owadów, choć nie mam dostępu do rozbudowanych baz danych przyrodniczych z wyjątkiem ekosfer Cinnabaru i Ziemi. Obie były

preinstalowane w konsoli.

Daniel trzykrotnie szybko kiwnął głową, układając plany.

- *Aglai* ma takie dane - stwierdził. - Szeroki zakres informacji o całym regionie. Niezbyt szczegółowy, ale nie musimy identyfikować gatunków. Jak już znajdziemy świat, gdzie rozwój fauny i flory biegnie w tych kierunkach... - Trzymając chustkę za rogi, zakręcił nią niczym różdżką czarodzieja. Musiałby znaleźć dla tego stworzenia jakieś porosty. Nie można było określić, jak długo żyły. - Będziemy mogli zagłębić się w szczegóły!

Adele zasiadła za konsolą.

- Mogę uzyskać dostęp... - zaczęła. Po chwili zamarła z uniesionymi różdżkami.

Oficer uśmiechnął się.

- Nie, *Aglai* wyposażona jest w blokady, których nie sforsujesz tutaj nawet z twoją małą zabawką - oznajmił poklepując obudowę konsoli. - Było nie było, to okręt wojenny FRC. Sam udam się na jej pokład i zobaczę, co zdołam znaleźć.

- Dobrze - powiedziała dziwnym głosem Mundy. Wstała i ułożyła schludnie różdżki w zagłębieniu na szczycie konsoli.

- Powinnam pamiętać, że dane *Aglai* są chronione. Podobnie jak cumujących w zatoce jednostek Sojuszu, jak przypuszczam.

- Cóż, nie sądzę, aby któryś z kapitanów Sojuszu wpuścił mnie na pokład celem przetrząśnięcia jego baz danych - uznał Daniel, rozbawiony absurdalnością pomysłu. - Założę się jednak, że znajdę to, czego nam potrzeba, na *Aglai*.

Ruszył do wyjścia.

- Dam ci znać - rzucił przez ramię.

- Dobrze, jestem bardzo ciekawa - odparła tym samym wypranym z emocji głosem, co przed chwilą.

Daniel Leary kroczył ciemnym korytarzem, wesoło pogwizdując. Adele pewnie była zażenowana faktem, iż nie mogła zdobyć informacji samodzielnie. Dla artystki jej formatu przypomnienie, iż istnieją dane, do których nawet ona nie ma dostępu, musiało być bardzo frustrujące.

* * *

Kierowca taksówki zatrzymał się w połowie ulicy wiodącej do linii wody.

- Tutaj - oznajmił. - Wsiadasz.

Lewą nogę trzymał sztywno na poduszce ułożonej na desce rozdzielczej trójkołowca, odkąd Daniel zatrzymał go pod pałacem. Były to pierwsze słowa, które wymówił od chwili ustalenia opłaty za kurs. Porucznik mógł pójść pieszo, lecz sprawa z żukiem bardzo go podekscytowała, a poza tym miał jeszcze w kieszeni resztę stuflorowej monety.

- Słucham?! - rzucił Daniel. - Zawieź mnie na keję, tak jak się umawialiśmy. Co się z tobą dzieje?

- Karwa! - bluznął kierowca. Władał uniwersalnym, gardłowo bełkocząc, czego raczej nie należało składać na karb lokalnego akcentu. Szarpnął mocno za koło sterowe i zaczął zawracać.

- Hej! - zawołał pasażer. Złapał taksówkarza za ramię i podniósł się z miejsca. - Na Boga, wypuścisz mnie albo sam znajdziesz się na chodniku!

Kierowca szarpał się przez chwilę, po czym odwrócił głowę, gdy Daniel ześlizgnął się na stopień, ani na moment nie rozluźniając chwytu. Zeskoczył na ulicę i sięgnął do sakiewki, na poły zdecydowany zapłacić mniej ze względu na dziwaczne zachowanie kierowcy. Z drugiej strony facet pokonał większą część trasy...

Ku zdumieniu oficera taksówkarz szarpnął za manetkę gazu natychmiast po uwolnieniu. Trójkołowiec skoczył do przodu, wyrzucając z rury wydechowej kłęb śmierzdzących spalin z niewielkiego silnika Diesla. Mężczyzna nawet nie obejrzał się przez ramię, gdy jego wehikuł poturkotał ulicą, którą tutaj przyjechali.

Daniel w zadziwieniu odprowadzał pojazd wzrokiem. Gdyby wylądował w jakiejś bocznej alejce, przypuszczałby, że kierowca działał w zмовie z jakimiś bandytami, ale taksówka zostawiła go na bulwarze w dzielnicy zamieszkaney przez klasę średnią. Cóż, może pędziło go po obiedzie.

Kostroma należała do raczej ciemnych miast. Choć był na głównej ulicy, Daniel założył gogle, chcąc rozjaśnić noc.

Na dalekim krańcu ulicy lśniła Pływająca Przystań. Uwagę Leary'ego ponownie zwrócił wielki transportowiec Sojuszu, który wylądował, kiedy porucznik spędzał czas w domku rybackim. Była to jednostka Pierwszej Klasy jak *Aglai*, ale oba okręty znajdowały się na przeciwległych końcach zatoki.

Było to absolutnie poprawne: Kostroma zachowywała neutralność, handlując z kupcami Sojuszu równie ochoczo, jak z ich odpowiednikami z Cinnabaru i podległych mu światów. Co nasunęło Danielowi na myśl implikacje przystąpienia Kostromy do wojny po stronie Cinnabaru, jak chcieli Candace i jego kompani.

Gdyby Walter III wypowiedział wojnę Sojuszowi, taki frachtowiec stałby się cenną zwierzyną. Oficer dowodzący drużyną abordażową - nawet oficer biorący udział w abordażu, choć nie znajdujący się w spisie załogi okrętu komunikacyjnego - zająłby wysokie miejsce na liście osób, którym należałaby się okrągła sumka ze zdobyczy...

Jak powiedział taksówkarz: „Karwa!”. Zwyczajne fantazjowanie i to dosyć głupawe. Cinnabarowi bardziej opłacało się mieć w Kostromie neutralnego przyjaciela niż aktywnego sojusznika. Niemniej byłoby miło nie musieć martwić się o stan swojego konta - po raz pierwszy, odkąd wybiegł z domu Cordera Leary'ego.

Głupia fantazja, ale Daniel zaczął pogwizdywać...

I zamilkł raptownie, gdy tylko zauważył, jak dziwnie wyglądała przystań tej nocy. Uwijające się zazwyczaj po zatoce barki tkwiły nieruchomo, oświetlone jedynie światłami pozycyjnymi. Lichtugi i taksówki wodne nie kursowały, lecz Cinnabarczyk znalazł się już wystarczająco blisko wału, by dostrzec na nabrzeżu niezwykle liczne zgromadzenie.

Zatoka nigdy nie była szczególnie dobrze oświetlona, jednak tego wieczoru wygaszono nawet nieliczne latarnie. Daniel wiedział, że awarie elektryczności nie były w Kostromie niczym nadzwyczajnym; zauważał to każdy, kto oglądał miasto z *Aglai*. Nie było powodów do niepokoju...

Podszedł bliżej frontu budynku przy Wodnej. Na dwóch niższych piętrach znajdował się sklep z oświetleniem okrętowym, o tej porze jak zwykle zamknięty. Okna drugiej kondygnacji, zajmowanej przez właściciela z rodziną, szczelnie zasłonięto żaluzjami; przez szczeliny nie przesączał się najmniejszy promyk światła.

Minął go trójkołowiec z sześcioma ludźmi, z czego dwóch wisiało na zewnątrz. Byli uzbrojeni. Wehikuł podjechał na rampę i zaparkował obok stojących tam pojazdów. Zbrojni wysiedli, przeklinając ciemności, dopóki ktoś nie wydał im ostrym tonem jakiegoś rozkazu.

Około stu osób, przeważnie młodych mężczyzn, tłoczyło się na nabrzeżu i przycumowanych doń łodziach. Większość uzbrojona była w pistolety maszynowe, choć porucznik dojrzał także ręczne wyrzutnie. Wszyscy nosili na rękach dwubarwne opaski, jednak światło okazało się zbyt słabe, by określić kolory.

Przy lepszym oświetleniu Daniel również byłby doskonale widoczny, lecz w nikłym blasku

gwiazd jego szary mundur zlewał się z wypłówałym kamieniem budynku. Podkreślił powiększenie gogli i ponownie przyjrzał się Pływającej Przystani.

Aglai wyglądała identycznie jak podczas jego ostatniej wizyty na pokładzie kilka dni temu. Wartownicy przy głównym władze sprawiali wrażenie zrelaksowanych, jednak trzymali broń w olstrach lub na kolanach. Dowodzący nimi bosman splunął do wody;

dzięki powiększeniu wydawał się tak bliski, jakby można go było dotknąć.

Daniel nie miał radia. Pływającą Przystań łączyły z brzegiem podwodne kable, ale porucznik nie był pewny, czy tubylcy pozwoliliby mu skorzystać z telefonu. Mógł wrócić do pałacu albo...

Ze wszystkich włączów *Aglai* buchnęły kłęby dymu. Daniel pomyślał, że statek wysadzono w powietrze, lecz docierające na nabrzeże wybuchy były przytłumione. Gdy opary rozwiały się, Leary przekonał się, że światła *Aglai* nadal działały, a kadłub pozostał nienaruszony. Bomby gazowe...

Trzech strażników leżało nieruchomo. Bosman stał kilka metrów od wjazdu. Zdążył odpiąć karabin i ruszyć w stronę betonowego pływaka, lecz dopadł go kłęb gazu. Przebiegł dwa kroki i upadł.

Facet musiał być takielazem, gdyż nawet tracąc przytomność, zdołał wylądować na wąskiej kładce. Tylko broń wpadła z pluskiem do wody, by osiąść tysiąc stóp niżej, na dnie.

Wypełnione uzbrojonymi Kostromanami łodzie ryknęły; kilka z nich zanurzało się niebezpiecznie od zbytniego obciążenia. Jakiś idiota w łodzi na czele wypróżnił cały magazynek karabinu. Oficer FRC nie miał pojęcia, do czego tamten strzelał, co też mu się wydawało...

Zanim jeszcze do jego uszu dotarły wybuchy bomb gazowych, ujrzał otwierające się luki ładunkowe frachtowca Sojuszu, który dopiero co wylądował. Z wnętrza statku wyleciał z rykiem jakiś pojazd. Aerowóz, pomyślał Daniel, ale kiedy sylwetka wehikułu przecięła światła kostromańskiego gwiazdolotu, przekonał się, że w rzeczywistości był to Latający Opancerzony Transporter.

Choć unoszony i napędzany takimi samymi turbinami jak zwyczajne aerowozy, LOT mógł przewozić 20 żołnierzy pod osłoną ceramicznego pancerza, wystarczająco grubego, by zatrzymać pociski z broni ręcznej. Niewielką wieżyczkę nad dziobem wyposażono w działko plazmowe.

LOT skręcił w stronę *Aglai*, lecąc tuż nad falami. Dolne dysze zamieniały wodę w pianę. Za pierwszym LOT-em podążył drugi. Frachtowiec wypływał z luków kolejne opancerzone pojazdy, lecz następne kierowały się nad miasto. Dla nieuzbrojonego oka ich przelot wyglądał, jak olbrzymie „V” z osrebrzonej blaskiem księżyca piany.

Zawrócił tą samą ulicą, którą tutaj przybył. Maszerował równym krokiem, nie chcąc zwracać na siebie uwagi biegiem, trzymając się tak blisko murów, jak tylko pozwalały na to wystające ganki.

Przemycenie na pokład *Aglai* bomb gazowych razem z dziwkami i domokrażcami nie nastęczało najmniejszych problemów. Wszystkie władze pozostawały otwarte, a połowa załogi przebywała na przepustkach lub była pijana. Przecież Kostroma była niemal ich sojusznikiem.

Niestety, nie wszyscy Kostromanie okazali się przyjaciółmi. Co więcej, odsunięte od władzy tubylcze klany sprzymierzyłyby się z samym Szatanem, byle tylko zmienić swój status. Gwarant Porra wystarczająco przypominał diabła, lecz mogło to nie być równie oczywiste dla obywateli Kostromy jak dla oficera FRC.

Kostroma sama przekona się, jak wolne są gwiazdy w Sojuszu. Tego Daniel był pewien.

Skręcił za pierwszym rogiem w lewo. Jego kwatery znajdowała się raptem kilka przecznic dalej, ale powrót tam równał się rzucaniu monetą o życie. Ten zamach zaplanowano z rzucającą się w oczy dbałością o detale. Istniała spora szansa, że organizatorzy uwzględnili w swych kalkulacjach także cinnabarski personel rozlokowany w mieście.

Porucznik wątpił, aby któraś z frakcji Kostromy mogła samodzielnie przeprowadzić taką

operację. LOT-y pełne komandosów Sojuszu były mniej istotne od oficerów wywiadu, którzy musieli to wszystko zaplanować.

Minęła go para rozpedzonych trójkołowców, piszczących i podskakujących na wybojach. Daniel ściągnął czapkę i gogle, wciskając je do wewnętrznej kieszeni kurtki. Niechętnie rezygnował z gwarantowanego przez gogle ulepszanego widzenia, ale taki sprzęt wyróżniał go w oczach każdego napotkanego przechodnia.

Szedł miarowym krokiem. Miał nadzieję, że da radę odszukać dom Candace'a; dotąd gościł tam tylko dwukrotnie i za każdym razem ktoś go wiózł.

Potrzebował ubrania i kryjówki. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby przyjaciel zdołał zaopatrzyć go również w broń i aerowóz. Gdyby.

Noc rozdarły serie z karabinów. Na razie słyhać było tylko broń ręczną, której złośliwe odgłosy szybko rozpląnęły się wzdłuż ulic i zdobionych fasad. Candace oznaczał bardzo niewielką nadzieję dla obcokrajowca-uciekiniara, ale był to najlepszy plan, jaki Daniel Leary potrafił naprędce wymyślić.

* * *

- 594! - oznajmiła stanowczo Adele, podając Prester monografię poświęconą ogrodowym krasnalom. Mogła ją przyporządkować do ogrodów, kod 127, lub posągów, kod 201, ale miała za sobą długi dzień i była całkowicie usatysfakcjonowana tym, co zdołała dzisiaj osiągnąć. - Pierwsza nowa kategoria od paru godzin. Dobra okazja, aby skończyć i pójść do domu.

- Dziękuję, mistrzyni! - zawołała asystentka znużonym głosem. Odbiegła z książką w rękach. Jak pozostała dwójka - nie była to wyłącznie robota Mundy - miała dłonie czarne od kurzu i pleśni. Nieunikniony efekt tego typu pracy.

Bibliotekarka usłyszała w pobliżu wystrzały i krzyki. Prychnęła.

- Miałam nadzieję, że do tego czasu ludzie zdążą już wyszaleć się po Dniu Założyciela, ale nie pierwszy to raz, gdy zdarza mi się przecenić ludzką naturę.

Prester przykleiła skrawek papieru z numerem na końcu półki. Obejrzała się przez ramię. Adele obdarzyła ją uśmiechem. Dziewczyna była wystarczająco inteligentna i oddana, by zrównoważyć to wykazywaną przez nią absolutną niemożność zrozumienia powodów, przez które ktoś chciałby gromadzić informacje. Jej praca zasługiwała na lepsze wynagrodzenie, niż mogli sobie pozwolić, chyba że ktoś im pomoże.

- Vaness? - odezwała się uczona. Mężczyzna rozpromienił się, gdy zwróciła się do niego bezpośrednio. - Na zewnątrz najwyraźniej trwa jakaś rozróbka. Na ulicach może nie być bezpiecznie, chciałabym więc, abyś odprowadził Prester do domu. - Sięgnęła do sakiewki. - Masz - dodała. - Może uda się wam złapać taksówkę.

Nie była do końca pewna, co Hogg powiedział szambelanowi, ale wystarczyło to, by Bibliotekarce Elektora wypłacono honorarium za pierwszy kwartał. Możliwe, iż wymagało to jakiejś łapówki, lecz do tej pory Adele wystarczająco dobrze poznała służącego Daniela, by wiedzieć, że istniały również inne możliwości. Hogg mógł na przykład przestrzec szambelana, że banda cinnabarskich marynarzy jest w stanie zdemolować mu rezydencję, gdyby nie wypłacił jej pensji.

A choć mat Woetjans i jej ludzie okazywali jej najwyższą przyjaźń i szacunek, taka groźba wcale nie musiała być pusta. Niedbała brutalność, z jaką pracujący marynarze odpychali gapiących się tubylców, sugerowała gotowość wybrania najkrótszej drogi do realizacji wytyczonego zadania.

Adele beznamiętnie odnotowała, że gdy się uśmiechała, twarz Prester zyskiwała na urodzie.

- Ależ, pani Mundy - zaprotestował Vaness. - Pani również może grozić niebezpieczeństwo...

W wejściu za plecami bibliotekarki zatupotały obute stopy. Obejrzała się za siebie, zaskoczona. Do biblioteki wpadli uzbrojeni strażnicy w czarnożółtych beretach. Było ich sześciu lub ośmiu.

W grupie przybyszów dostrzegła bladą adiutantkę Markosa. W miejsce beretu obwiązała sobie ramiona wstążkami w barwach Zojirów. Związane pod gardłem tasiemki podtrzymywały krótką czarną pelerynę, spływającą luźno z ramion. W jednej ręce ścisnęła komunikator, w drugiej - pistolet maszynowy.

- Zojirowie! - wrzasnął asystent, ruszając naprzód i wyrzucając przed siebie ramiona. Bóg jeden wiedział, co chciał zrobić może stanąć pomiędzy Adele a zbrojnymi.

Napastnik wystrzelił, trafiając Vanessa w pierś i ramię. Reszta serii wyłobila krater w regałach. Czyjeś drzewa genealogiczne zamieniły się w konfetti. Kostromańska broń była cięższa od cinnabarskich odpowiedników i choć prawdopodobnie nie dorównywała jej niezawodnością, to jednak nie można było odmówić jej skuteczności.

Vaness okręcił się i legł na wznak na podłodze. Pociski z pistoletu automatycznego były zbyt lekkie, by mieć wystarczającą inercję. To chaotycznie kurczące się mięśnie postrzelonego miotały nim, jakby poraziła go błyskawica. Każdy pocisk, niby miniaturowa bomba, rozładowywał swą energię kinetyczną na pierwszej napotkanej stałej przeszkodzie.

Lewy bok asystenta zamienił się w krwawą masę krwi i strzaskanej kości, lecz Mundy wątpiła, żeby ucierpiał któryś z ważnych organów. Miał sporą szansę przeżyć, o ile zdołają go opatrzyć, zanim wykrwawi się przez ziejące rany.

Nie krzyknął, gdy trafiły go kule. Za to Prester wrzeszczała, przyciskając dłonie do skroni, jakby utrzymując w ten sposób mózg na swoim miejscu.

- Zabierz ten karabin! - zawołała Adele.

Uklękła przy Vanessie, zastanawiając się, z czego zrobić opatrunek. Jego własne spodnie zostały zabrudzone przez setki książek, które dzisiaj przerzucił.

Powietrze przesycone było zapachem ozonu i stopionego metalu. Lufa pistoletu automatycznego generowała strumień magnetyczny tak mocny, że jonizował on płaszcz każdego pocisku przelatującego przez otwór.

Strzelec odepchnął uczoną i przystawił rannemu lufę pistoletu do czoła. Adele złapała za magazynek i odtrąciła broń na bok. Poparzyła sobie palce o rozgrzany plastik. Ktoś zdzielił ją kolbą karabinu.

Upadła na bok. Zojira wystrzelił. Głowa Vanessa eksplodowała krwią i tkanką kostną. Wystrzał z pistoletu był ostry, jak uderzenie kamieni o siebie.

Grzbiet mężczyzny wyprężył się w łuk; młócił ramionami. Miał czarne palce.

Bibliotekarka leżała na wznak. Zdrętwiał jej cały lewy bok, choć pieczenie w czubkach palców u rąk i u stóp oznaczało, że wkrótce odzyska czucie, jeżeli przeżyje.

Zabójca Vanessa skierował broń na Adele. Jej wylot przypominał tunel o maleńkiej średnicy, świecący od długiego strzelania.

Drugi Zojira, prawdopodobnie ten sam, który rąbnął ją od tyłu w głowę, przykładął jej lufę do skroni z drugiej strony. Może pozwoli, aby odrzut poderwał obie lufy tak, żeby nawzajem się pozabijali...

Przyboczna Markosa krzyknęła rozkazująco. Używała kostromańskiego dialektu, nie uniwersalnego. Po raz pierwszy Adele usłyszała w jej głosie jakiejkolwiek emocje.

Strzelec wyprostował się i odwarknął jej coś. Pomocnica szpiega wbiła mu lufę pistoletu maszynowego w pępek. Używając uniwersalnego, wydała polecenie równie precyzyjne jak legenda

mapy:

- Odsuń się i odzywaj tylko wtedy, kiedy ci każę. Więcej nie powtórzę tego ostrzeżenia.

Bibliotekarka przekonała się, że nie ona jedna uważała tamtą kobietę za śmiercionośną niczym czarna wdowa. Żołnierz odwrócił się i wypalił w okno, dając upust frustracji.

Wielka prędkość pocisków sprawiła, że wybiły w szkło schludne otworki, rozmiarów pięćdziesięcioflorenówki, zamiast je stłuc. Buchająca z lufy plazma odbijała się w ocalałych szybkach.

- Przeszukać bibliotekę i zameldować, kto jeszcze jest tutaj - rozkazała spokojnie adiutantka dowodzonym przez siebie zbrojnym. Uniosła komunikator i rzuciła coś do mikrofonu.

- Nikogo nie ma - odezwała się suchym głosem Adele. - Tylko nasza trójka.

W pomieszczeniu znajdowało się sześciu osiłków. Przebiegli alejki między regałami, trzymając pistolety w wyciągniętych przed siebie na długość ramienia dłoniach, jak gdyby zamierzali odtrącić każdego napastnika, który mógłby wyskoczyć na nich spomiędzy książek. Dwaj otworzyli kartony i zajrzeli do środka.

Mundy podniosła się. Prawa skroń pulsowała bólem, ale oszołomienie już minęło. Przyciągnęła lewe ramię do boku i wykręciła je, upewniając się, że z powrotem działa prawidłowo.

Prester klęczała na podłodze, przyciskając czoło do regału. Łkała, wciąż ściskając głowę rękoma. Sącząca się z rozłupanej czaszki Vanessa krew omywała jej gołe palce stóp, lecz zdawała się być tego nieświadoma.

Adiutantka opuściła komunikator i uśmiechnęła się lekko do Adele.

- Mam odprowadzić panią do Wielkiego Salonu, mistrzyni - oznajmiła. Dwóch żołnierzy popatrzyło na nią. Skinęła im głową i dodała - wy dwaj idziecie ze mną. Reszta: zabrać kobietę do klatki w ogrodzie. Potem zameldujecie się u któregoś z dowódców po następne zadania.

- Jest zwykłą asystentką - powiedziała cicho Adele. - Nawet nie pochodzi z Hajasów. Po prostu jest siostrzenicą szambelana.

Dowodząca rebeliantami wzruszyła ramionami.

- Nie mój wydział - stwierdziła. - Może nic jej się nie stanie.

Dwaj żołnierze podnieśli dziewczynę za łokcie. Zwisiała między nimi jak martwa; jej stopy brudziły posadzkę krwią.

- Idziemy, mistrzyni? - ponagliła adiutantka. Potrząsnęła pistoletem automatycznym. Nie była to groźba; po prostu zupełnie przypadkowo ściskała broń w dłoni. Uczona wątpiła, czy ta kobieta kiedykolwiek groziła komuś w powszechnym znaczeniu tego słowa.

Adele Mundy bez słowa wyszła na korytarz i skręciła w stronę schodów. Gdyby zwlekała, musiałaby deptać po lepkiej smudze krwi, zostawianej przez Prester.

* * *

Łukowe okna czteropiętrowej kamienicy Candace'a skryły się za żaluzjami, a w pokojach od frontu nie paliło się żadne światło, które mogłoby przesączać się przez szczeliny. Kostromański porucznik mieszkał z dwudziestką służby, więc nawet gdyby sam opuścił miasto, było niemal pewne, że ktoś pozostał w domu.

Daniel podszedł do schowanych w płytkim wykuszu drzwi i zastukał opuszkami palców. Plaskający odgłos ciała uderzającego o metal powinien być słyszalny w środku, nie stawiając jednocześnie na nogi całej ulicy. Opancerzone odrzwia wytrzymałyby chyba uderzenie tarana.

Pokrywające fasadę płytki były ukośnie podzielone na dwa pola: niebieskie i białe; kondygnacje

oddzielały od siebie rzeźbione fryzy. W blasku słońca wzór zdawał się pulsować, ponieważ pręciki i czopki siatkówki nie rejestrowały obrazu z tego samego punktu. W tej chwili Leary marzył jedynie, żeby front stał się szarym tłem, z którym zlewałby się jego mundur. Czuł się wystawiony na widok niczym niemowlę w kojcu.

Tego wieczoru w Kostromie nie było zbyt wielkiego ruchu. Nie można jednak powiedzieć, że panował spokój, gdyż co i rusz z oddali dobiegały strzały. Co jakiś czas kanonada wznosiła się, a dwa razy dało się słyszeć grzmot działa plazmowego. Strumieniom jonów towarzyszył niesłyszalny z oddali syk, lecz znajdujący się na ich drodze kamień lub beton pękał z donośnym trzaskiem.

Metal topił się. Takie drzwi zamieniłyby się w piekło białych płomieni, sięgających czwartego piętra i obierających fasadę z płytek.

Z boku wykuszu otworzył się wizjer. W środku panowała ciemność, ale Cinnabarczyk dostrzegł ruch w postaci jaśniejszego cienia wśród mroku.

- Jestem porucznik Daniel Leary - syknął. - Szybko, wpuść mnie do środka, zanim ktoś zobaczy.

Wizjer zamknął się. Daniel czekał przez chwilę na chrobot odsuwanych rygli. Cisza. Ponownie zapukał palcami w drzwi.

Na niebie zadudniły turbiny. Pojazd leciał zbyt nisko nad dachami, by porucznik mógł go zobaczyć, lecz po potężnym brzmieniu silników odgadł, że unoszą one nie zwyczajny aerowóz, tylko dwudziestotonowy LOT. Zagrzecotały okienne ramy.

Pojazd Sojuszu poleciał dalej. W domu panowała cisza.

Daniel załomotał w drzwi pięścią.

- Candace! - zawołał. - Wpuść mnie! Natychmiast! Taja, Daniel Leary!

W środku doszło do kłótni. Mężczyzna nie rozróżniał słów, jednak gniewne głosy słychać było pomimo metalowej przeszkody. Znowu walnął pięścią w drzwi. Ten hałas mógł go zabić, ale, na Boga, nie pójdzie na śmierć sam.

Wysokie odrzwia wyposażono w trzy osobne zasuwki. Odskokczyły z trzaskiem - górna, dolna i nareszcie ciężka belka środkowa. Ze względów bezpieczeństwa drzwi otwierały się na zewnątrz: napastnik musiałby nie tylko wybić rygle z gniazd, lecz także poradzić sobie z ciężkim skrzydłem. Daniel odsunął się, gdy drzwi otworzyły się na taką szerokość, by mógł z trudem wcisnąć się do przedsionka.

Wchodząc, potknął się. Oryginalna posadzka została zastąpiona wielobarwną mozaiką, ukazującą morską faunę. Nową podłogę ułożono na starej, podnosząc jej poziom o cal. Niedorzeczność tego potknięcia wywołała u Leary'ego atak śmiechu.

Candace był blady i wściekły. W skórzanej kaburze u pasa wisiał służbowy pistolet. Towarzyszyło mu pięciu służących. Dwóch uzbrojonych było w karabinki sportowe, dwóch w maczugi - wykręcone z masywnego stołu nogi - a ostatni, pomarszczony, niski człowieczek, dzierżył nóż kuchenny, długi jak jego przedramię.

Daniel przypominał sobie noc zdemaskowania Konspiracji Trzech Kręgów; pomyślał także o działku plazmowym krążącego nad miastem LOT-a. Drzwi zapłonęłyby niczym białe serce słońca...

- Co, na Boga, tutaj robisz? - wydarł się Kostromanin. - Musiałbym być półgłówkiem, żeby nie uwięzić cię i nie zawiadomić patrolu. Przysięgam na Boga, że *właśnie* tak bym uczynił, gdybym tylko nie bał się, że wówczas sam będę w to zamieszany!

Czterej służący bali się tak samo jak ich pan. Zupełnie inaczej rzecz miała się z drobnym człeczyną z nożem. Gdyby przyszło co do czego, porucznik kopnąłby go w krocze, modląc się, żeby to wystarczyło.

- Potrzebuję pomocy, Candace - przemówił spokojnym tonem Daniel. - Wiesz, dlaczego. Jakies

ubranie, broń i twój aerowóz. Potem zniknę z twojego życia.

Z przedsionka wychodziły dwie pary drzwi. Korytarz rozpościerający się przed Cinnabarczykiem prowadził na dziedziniec, a po prawej zaczynały się schody na wyższe piętra. Jedyne źródło światła była żółta lampa, trzymana przez jednego z lokajów z pałką.

- Dobry Boże, człowieku, czyś ty oszalał? - zapytał Candace. - Słuchaj, moja rodzina jest apolityczna. Nie rozumiesz, co to znaczy? Ten dom należy do Candace'ów od ponad 400 lat. Nie zamierzam tego wszystkiego stracić, mieszając się w nie swoje sprawy!

Daniel Leary przyjrzał się Kostromaninowi. Próbował wyobrazić sobie życie Benno Candace'a. Uśmiechnął się.

- Nie możesz choć przez chwilę udawać, że jesteś mężczyzną? - zapytał uprzejmie. - Nie? No cóż, przypuszczam, że byłby to dla ciebie zbyt wielki stres. - Kiwnął głową w stronę służących. - Pójdę już sobie, o ile któryś z twoich psów otworzy mi drzwi - dodał. - Leary nie zostaje tam, gdzie go nie chcą.

Mężczyzna z nożem uśmiechnął się. Daniel odwzajemnił się uśmiechem. Wątpił, aby tamten był równie cwany jak Hogg, ale istniało pomiędzy nimi niewątpliwe podobieństwo.

Lokaj oddał śrutówkę kompanowi. Minał cinnabarskiego porucznika i naparł całym ciałem na drzwi.

- Słuchaj, Leary - odezwał się Candace, rozkładając ręce. Jak to wszystko ucichnie, napijemy się razem i będziemy ze śmiechem wspominać dzisiejszą noc. Ale to może *nie* ucichnąć, rozumiesz? To nie jest zwykły przewrót. To jest... Wszystko jest inaczej. Wszystko!

Służący uchylił drzwi tak samo, jak podczas wpuszczania Daniela do środka. Porucznik położył lewą dłoń na wytłaczanym skórzanym obiciu wewnętrznej strony skrzydła i wyprostował ramię. Drzwi otworzyły się powoli i zatrzymały dopiero na zewnętrznych ogranicznikach ościeżnicy.

- Dobrej nocy, poruczniku - pożegnał się. - Życzę ci fortuny godnej twego honoru.

Wyszedł na zewnątrz, demonstracyjnie otrzepując mundur dłońmi. Nie miał zamiaru pozwolić Candace'owi określić, w którym kierunku odszedł.

Nie miał pojęcia, dokąd się udać. Pewnie do apartamentu. Istniała niewielka szansa, że nie było już tam żołnierzy Sojuszu i zdoła zabrać jakieś cywilne ciuchy.

Drzwi za nim zatrzasnęły się z głuchym hukiem. Natychmiast, jakby we framudze ukryty był przełącznik, na ulicę padł snop światła z okna na trzecim piętrze. W panujących ciemnościach blask miał intensywność reflektora-szperacza.

Leary spojrzał w górę. Otwarto jedną okiennicę. Z tak ostrego kąta widział jedynie pasek różowego sufitu.

Przez parapet przechylała się Margrethe z zawiniątkiem w ramionach. Przez rudawe włosy przesączał się blask z pokoju. Wyrzuciła tobolek na zewnątrz i zniknęła okno, nim mężczyzna zdążył złapać podarunek.

Zaparł się, ale zawiniątko okazało się być kłębem ubrań, obfitym, lecz lekkim. Zaniósł to wszystko do wąskiego przejścia pomiędzy domem kostromańskiego oficera a sąsiada po prawej. Natychmiast zrozumiał, co niósł.

Kurtka była ciemna - w lepszym świetle granatowa. Spodnie z tego samego materiału ozdobione zostały czerwonym lampasem wzdłuż szwu. Wszystko to owinięte było wokół czapki z daszkiem oraz wytłaczanym mosiądzem na przedzie.

Westchnął. Tak ubrany miał szansę przekraść się do pałacu, gdzie - miał nadzieję - ukrywała się Woetjans ze swoimi ludźmi. O ile wiedział, ich przepustki nie figurowały na żadnych listach.

Daniel Leary ściągnął swój cinnabarski mundur. Poczynając od spodni, założył uniform porucznika marynarki Federacji Kostromy.

* * *

W Wielkim Salonie tłoczyła się ponad setka ludzi. Pomieszczenie wykorzystywano jednocześnie w charakterze kwatery głównej przewrotu oraz więzienia dla tuzina najważniejszych więźniów. Adele dostrzegła Waltera III - obecnie z powrotem Waltera Hajasa, jak przypuszczała - nie widziała jednak nigdzie jego towarzyszki. Bosonoga, okutana w podbijaną futrem podomkę pani kanclerz paplała do Zojiri, który nie zwracał na nią uwagi, przemawiając do ręcznego komunikatora.

Adele Mundy uśmiechnęła się lekko na widok jej poniewierki. Starła się nie uprzedzać do ludzi. Niestety, w przypadku kanclerz połączenie łapownictwa, pompatyczności i skłonności do terroryzowania innych skłoniło ją do uczynienia wyjątku.

Straż trzymali zarówno wojownicy klanu Zojirów, jak i żołnierze Sojuszu, których stroje bojowe wyglądały tak, jakby drelich spryskano plamami maskującymi. Zojirowie przewyższali drabów, co wtargnęli do biblioteki; prawdopodobnie oglądała osobistą straż głowy klanu i nowego elektora, Leonidasa Zojiri.

Zastanawiała się, czy był już elektor o takim imieniu, czy też Zojira zostanie Leonidasem I. W obliczu bezpośredniego udziału sił Sojuszu w przewrocie kwestia ta była prawdopodobnie pozbawiona wszelkiego znaczenia. Prawdziwym władcą Kostromy zostanie doradca z Sojuszu albo wręcz administrator planety mianowany na Pleasaunce.

Adele nie była ekspertem wojskowym, ale żołnierze Sojuszu wyglądali na twardych i kompetentnych. Nosili pancerze i pasy z bronią i amunicją, stanowiące dodatek do podstawowego uzbrojenia, jakim były pistolety automatyczne. Naturalnie, planiści Sojuszu wykorzystali oddziały

szturmowe do pierwszego uderzenia.

Adiutantka Markosa zatrzymała się tuż za drzwiami, poszukując kogoś wzrokiem.

- Proszę tutaj poczekać, mistrzyni - poleciła z uprzejmością tak oczywistą, jak bladość jej oblicza.

Zostawiła uczoną z dwoma Zojirami i z charakterystyczną dla siebie gracją ruszyła przez tłum.

Jeden z wojowników wypuścił oddech, westchnąwszy z ulgą. Bibliotekarka ponownie pozwoliła sobie na blady uśmiech.

Leonidas stał na środku sali, otoczony przybocznymi, podobnie jak on odzianymi w czerń i żółć. Przypominali rój szerszeni - ziemskich owadów na tyle wytrzymałych, by zabrać się na gapę gwiazdolotem i stać się plagą na niemal tylu światach, co karaluchy.

Wśród dostojników Zojirów stało kilku oficerów Sojuszu. Jeden z nich założył taki sam mundur jak pilnujący sali wartownicy, lecz uniformy khaki pozostałych dwojga przypominały prostsze wersje strojów delegatów Sojuszu, noszonych podczas kolacji wydanej kilka dni temu przez elektora.

Tego wieczoru w Wielkim Salonie nie było żadnego spośród tamtych negocjatorów. Z wyjątkiem Markosa, stojącego niczym oś, wokół której obracał się świat. Uśmiechał się z mrocznym triumfem.

W pobliżu rozległa się donośna eksplozja. Pałac zatrzęsł się w posadach. Naraz wszyscy oficerowie Sojuszu zaczęli mówić do swych komunikatorów, podczas gdy Kostromanie zamarli z trwogi. Po chwili kobieta-oficer marynarki opuściła urządzenie i z nonszalancką miną powiedziała coś do otaczających ją osób. Wszyscy powrócili do prowadzonych rozmów.

Szpieg wypatrzył nadchodzącą asystentkę. Musieli wymienić znaki, których nawet Adele nie dostrzegła. Kobieta wróciła po bibliotekarkę.

- Chce się z panią zobaczyć - oznajmiła. Przeniosła wzrok na dwóch Zojirów i dodała - możecie odejść. Zgłóście się do osoby dowodzącej w ogrodzie.

Kostromanie okręcili się na piętach i wyszli. Poruszali się z takim pośpiechem, że pistolet automatyczny jednego z nich uderzył ze szczękiem o framugę.

Mundy podążyła za adiutantką na środek pomieszczenia. Im dalej szła, tym tłum był bardziej gęsty, niemniej nie tworzył zwartej masy.

Zgromadzenie składało się z grupki, od dwóch do tuzina osób, pogrążonych w rozmowie i żywo gestykulujących. Co i rusz jednostki oddzielały się od jednej grupy i z nerwową szybkością dołączały do innej.

Przypominało to poruszenie w kolonii morskich ptaków. Z punktu widzenia tworzących go osób chaos był ważny, na Adele jednak sprawiał wrażenie wyłącznie pustego hałasu.

Oczywiście, hałas ten kładł kres jej karierze Bibliotekarki Elektora i równie dobrze mógł kosztować ją życie. W grupce więźniów stał Walter z zapadniętą twarzą. Pozostali odwrócili się do niego plecami, zupełnie jakby patrzenie w oczy dawnego elektora mogło ich czymś zarazić.

Markos odszedł kilka kroków od głównej grupy. Jedyne potencjalnymi podsłuchiwcami byli drugoligowi Kostromanie; adiutantką agenta przegoniła ich ostrymi szeptami i poszturchiwaniem lufy pistoletu.

- Pani Mundy - powitał ją szpieg. - Chciałem jak najszybciej pani osobiście podziękować. Proszę się nie martwić - zatroszczymy się o panią.

- Co to znaczy? - chciała wiedzieć Adele.

- Cóż, sami jeszcze nie wiemy - odparł z cieniem humoru Markos. - Na pewno coś proporcjonalnego do pani zasług.

Pomimo powściągliwego zachowania agent Sojuszu był tak samo spięty, jak wszyscy obecni na sali. Uczoną uderzyło, że ona i pomocnica Markosa okazały się jedynymi spokojnymi osobami w tym zgromadzeniu - a tamta była socjopatką.

Markos rozejrzył się dookoła i prychnął z pogardą.

- Proszę ich posłuchać - powiedział. - Każdy utrzymuje, że jego dokonania stały się kluczowe dla powodzenia tego przewrotu. *To ja* byłem jedyną naprawdę niezbędną osobą.

Adele zaciekawilo, czy szpieg zauważył ironię w tym, co właśnie powiedział.

Wbił wzrok w bibliotekarkę. Zupełnie jakby patrzyła w obsydian, który ostygł na tyle, by szernieć, a mimo to zachował gorejące żarem wnętrze.

- A zaraz po mnie - dodał - to ty, mistrzyni, jesteś osobą, która naprawdę się liczyła. Bez pani sukces nie byłby pełny.

- Nie - wykrztusiła Adele, ale nie była nawet pewna, czy pulsujące w jej głowie słowo naprawdę znalazło się na języku. Miała sucho w ustach i po raz pierwszy tej nocy poczuła prawdziwy strach.

Przy drzwiach doszło do jakiegoś zamieszania. Do salonu wkroczył pluton żołnierzy Sojuszu z trzema osobami personelu ambasady Cinnabaru. Więźniowie mieli ręce związane na plecach, a na szyjach druciane smycze, którymi zostali szepieni w jedną grupę.

Na czele szła admirał Lasowska. Utykała, a krew z obandażowanego ramienia przemoczyła jej pizamę do łokcia. Skrzywiła się obserwując zgromadzony tłum.

Bibliotekarka czekała ze wzrokiem utkwionym w drzwiach. Po niemal minucie z ulgą wypuściła powietrze. Nie doczekała się czwartego jeńca. Daniel Leary pozostawał na wolności.

O ile żył.

Żołnierze zaprowadzili cinnabarskich więźniów prosto do stojącej na środku sali grupy dowodzących. Każdy, kto za bardzo się do nich zbliżył, albo zwyczajnie nie zdążył zejść na czas z drogi, był odpychany szturchnięciami kolby lub lufy automatu. Nagle Markos z adiutantką opuścili Adele niczym gwałtownie obracająca się stronica w książce.

Uczona rozważała, co właściwie zrobiła i dlaczego. Każdy z tej setki ludzi mógł zdobyć informacje, które zgromadziła dla agenta. Ona zapewniła jedynie szybkość i rzetelność. Niestety nie potrafiła okłamywać samej siebie, co zmuszało ją do przyznania, iż szybkość i rzetelność mogły być nadzwyczaj ważnymi czynnikami dla tak złożonych i błyskawicznie przeprowadzanych operacji.

Dlaczego pomogła Markosowi? Tak naprawdę wcale nie wierzyła, że mistrzyni Boileau groziło realne niebezpieczeństwo. Była nie tylko profesorem z dobrymi koneksjami wśród warstwy rządzącej Pleasaunce; zasób posiadanej wiedzy czynił ją wręcz skarbem narodowym. A Biuro Piąte wiedziało o tym lepiej od kogokolwiek.

Złe potraktowanie Adele i jej rodziny przez Republikę Cinnabaru nie podlegało dyskusji. Mimo to nie mogła utrzymywać, że do działania pchnął ją gniew. Zmasakrowanie rodziny ogłuszyło ją, ale nie była wściekła ani teraz, ani prawdopodobnie nigdy. Intensywne emocje, jak miłość lub nienawiść, nie należały do mocnych stron Adele Mundy.

Zrobiła to, czego żądał Markos, ponieważ tak było najprościej. Zrobiła to, żeby mieć to już z głowy i wrócić do ważniejszego zadania, jakim było katalogowanie bibliotecznych zbiorów.

Adele Mundy zdradziła naród Kostromy, który ją zatrudnił, oraz naród Cinnabaru, którego obywatelką pozostała, przez własne lenistwo. Nie chciała, żeby nachodził ją człowiek, którym pogardzała, lecz dysponujący możliwością nękania jej.

Markos stanął twarzą w twarz z delegatami Republiki Cinnabaru. Szturmowcy Sojuszu trzymali smycze, na których uwiązani byli więźniowie. Cywilny przedstawiciel Zarządu Floty gniewnym głosem przypomniał im o prawie narodów, lecz Lasowska i człowiek z biura finansów w lodowatym milczeniu patrzyli agentowi prosto w oczy.

Sala ucichła.

- Na kolana - polecił uprzejmym tonem Markos.

- Prędeż mnie diabli porwą - odparła admirał Łasowska głosem napiętym z bólu.

- Zmusić ich, żeby uklękli - rozkazał żołnierzowi dzierżącemu smycz.

Szturmowiec zmarszczył brwi i spojrział na oficera w bojowym uniformie.

- Zmusić ich, żeby uklękli - powtórzył oficer nieszczęśliwym głosem. - Pan Markos tutaj dowodzi.

Żołnierze cofnęli się, aby napiąć smycze, po czym użyli swojego ciężaru, by ściągnąć ofiary na podłogę. Funkcjonariusz Zarządu Floty krzyknął, tracąc równowagę. Oficerowie Sojuszu obserwowali tę scenę z nieskrywanym niesmakiem.

- Widzicie - przemówił szpieg - możliwe, że obecni tutaj nasi przyjaciele, Zojirowie, myślą, że w przyszłości zdołają nakłonić Cinnabar do powrotu, utrzymując się jednocześnie przy władzy. Nie można na to pozwolić.

Leonidas Zojira nerwowo potrząsnął głową. Był niskim, eleganckim mężczyzną z wąsami jak dwa sztylety.

- Zapewniam, iż nasz traktat z Sojuszem Wolnych Gwiazd jest nienaruszalny, panie. Nie musicie...

- Równie nienaruszalny, jak zapewnienia o wieczystym sojuszu z obecnym tutaj Walterem Hajasem - podsumował z rozbawieniem Markos. - No cóż, nie bójcie się. Pozostaniecie lojalni wobec Sojuszu. - Wycelował palec w żołnierza stojącego za leżącymi na podłodze delegatami Cinnabaru. - Zastrzelić ich - polecił.

- Nie możesz tego zrobić! - zawołał jeden z oficerów Marynarki Sojuszu. - To jeńcy wojenni. Nie zabijamy więźniów!

- Przypominam panu, co przed chwilą zauważył pułkownik Dorrian - rzucił Markos. - Gwarant *mi* powierzył dowództwo.

Kiwnął głową adiutantce. Minęła go, wymierzyła pistolet automatyczny i oddała pojedynczy strzał. Admirał Łasowska rzuciła się jak przekłuta żaba.

- Chryste - wyrwało się oficerowi marynarki, który odważył się zaprotestować. Odwrócił się plecami. Pułkownik w bojowym uniformie zachował nieprzeniknione oblicze, lecz pozostali oficerowie zbledli z wściekłości. - Chryste!

Asystentka oddała jeszcze dwa strzały. Szczęk repetowanej broni nie był zbyt głośny w tak rozległym pomieszczeniu, niemniej odbijał się echem w oczach obserwatorów egzekucji.

Członek Zarządu Floty krzychał rzucając się na ziemi. Gdy dosięgła go kula, jego głos wzniósł się do piskliwego zawodzenia. Adiutantka skrzywiła się i wpakowała mu drugi pocisk w głowę.

- Przypuszczam, że lepiej tak, niż gdyby egzekucję mieli przeprowadzić obywatele Kostromy - zauważył Markos. - Nie uważa pan, elektorze Leonidasie? - Roześmiał się dodając - tak czy owak, możemy wrócić do rozmów o kształcie przyszłego rządu Kostromy.

Adele Mundy odwróciła się i wyszła z Wielkiego Salonu. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

Nie przejęła się tym.

* * *

Ktoś puścił serię w głowę trytona. Woda sikała z tuzina poszarpanych dziur, ledwie ciurkając z konchy.

Przy wejściu w krótkim rzędzie leżeli trzej strażnicy Hajasów. Ich także podziurawiono, lecz dawno przestali krwawić. Pod kolumnami, gdzie upadli, pozostały plamy krwi. Próbowano zmyć je wodą lecz nadal wyglądało to tak, jakby na ciemny kamień wylano parę wiader brązowej farby.

Daniel z ponurą miną szedł w stronę wejścia. Wyraz twarzy był odpowiedni dla oficera sztabowego sił Kostromy, poza tym bez trudu go utrzymywał.

Przed pałacem zaparkowały dwa trójkołowce i trzyosiowa ciężarówka, wszystkie wyposażone w działka automatyczne. Porucznik był pewny, że odrzut tak silnej broni przewróciłby trójkołowce na dachy; ten sam los czekałby ciężarówkę, gdyby strzelano z niej w bok zamiast na wprost.

Nie miało to większego znaczenia, ponieważ stacjonujący po drugiej stronie wejścia LOT Sojuszu mógł w każdej chwili poprowadzić walkę dalej. Jego działko plazmowe było w stanie zalać plac opalizującym ogniem piekielnym, zamieniając w parę każdy kontratak, jaki mógłby przypuścić klan Hajasów. Stojący z przodu i z tyłu wielkiego pojazdu komandosi Sojuszu sprawiali wrażenie, jakby błagali o pretekst do rozpoczęcia kanonady.

Leary wyobraził sobie Candace'a na swoim miejscu. Spuścił wzrok, obrócił lekko głowę i obszedł LOT szerokim łukiem, jak gdyby on i pojazd byli tak samo spolaryzowanymi magnesami.

Najbliższy komandos prychnął i splunął Danielowi pod nogi. Ten przyspieszył kroku, nie podnosząc wzroku.

Wiedział, że nie był sprawiedliwy wobec Candace'a. Kostromanin okazał tchórzostwo natury moralnej, nie fizycznej. Jednak nie miał nastroju do rozstrzygania wątpliwości na korzyść tego człowieka, poza tym przedstawiciel sił Sojuszu oczekiwał właśnie takiego zachowania. Czarnuchy płaszczące się o stóp dzielnych żołnierzy Sojuszu...

Gapie obserwowali rozwój wydarzeń z dachów budynków wokół Placu Pałacowego. Na chodniku gromadziły się grupki cywilów, rozmawiając przyciszonymi głosami i podskakując na ryk silników pojazdów przejeżdżających za ich plecami. W rękach trzymali naprędce pozszywane, czarnożłote proporczyki.

Na placu pracowały już prostytutki. Daniel ujrzał, jak do komandosów przy wejściu do pałacu podszedł posągowy blondyn. Odszedł ze śmiechem, przynajmniej na razie nic nie wskórawszy.

Z ogrodów na tyłach wystartował LOT. Pojazd wzniósł się na tyle, by można było dostrzec jego ruch, po czym skręcił na południe, ku Jezioru Floty. W całym mieście sporadycznie rozlegał się ogień maszynowy, a czerwona luna na zachodzie zwiastowała pożar.

Przed głównym wejściem i na lewo od niego stacjonował oddział strażników w opaskach Zojirów; z prawej strony stało trzech żołnierzy Sojuszu. Kostromanie rozprawiali głośno, potrząsając bronią i racząc się śliwkową brandy. We wnęce przy wejściu wały się puste, w większości potłuczone, butelki.

Co zrozumiałe, Zojirowie mieli dobre nastroje: żyli, a zwiotczałe ciała ich hajasowych poprzedników przedstawiały dobitne przypomnienie alternatywy. Niestety, mieli w rękach broń automatyczną, a byli pijani i zbyt podekscytowani, by nie stanowić zagrożenia.

Był to kolejny powód, z którego porucznik podszedł prosto do dowodzącego trójką komandosów sierżanta i przemówił cichym, spokojnym głosem:

- Jestem porucznik Benno Candace, oficer łącznikowy sztabu wielkiego admirała Sanausa. Przybyłem po pisemne instrukcje dla personelu floty. Mam je dostarczyć admirałowi Sanausowi. Może mi pan powiedzieć, gdzie przebywa elektor?

Świeżo przybyli żołnierze Sojuszu nie powinni zauważyć, że mężczyzna przemawia do nich uniwersalnym bez śladu kostromańskiego akcentu, niemniej gdyby miał wielkiego pecha, któryś z nich mógłby rozpoznać akcent z Cinnabaru.

Poza tym Daniel nie znał imienia nowego elektora; uznał, że miał szczęście, rozpoznając czerń i złoto Zojirów. Było mało prawdopodobne, aby komandos zapytał go o imię elektora. Jeszcze mniej prawdopodobne było, żeby szturmowcy Sojuszu zawracali sobie głowę kwestią, który pieprzony

czarnuch uważał siebie za szefa tego pieprzonego nocnika, jak traktowali tę planetę. Ale nigdy nic nie wiadomo.

Z drugiej strony - możesz leżeć w łóżku i spadnie na ciebie meteoryt. Zamartwianie się sprawami niezależnymi od ciebie nie ma najmniejszego sensu.

- Po co do mnie gadasz? - warknął sierżant. - Czyja wyglądam na psa-przewodnika? Zapytaj kogoś w środku.

- Dziękuję panu, sierżancie - odparł Leary ze służalczą grzecznością. Minął najbliższych Zojirów i wszedł do westybulu.

Wartownicy nie słyszeli tej wymiany zdań, ale żaden nie zamierzał zaczepiać człowieka, którego przepuścili komandosi Sojuszu. Istniała szansa, że gdyby spróbowali, szturmowcy wsparliby Daniela z czystej żądzy rozlewu krwi i poczucia własnej wyższości.

Jednakże wystarczył jeden błąd, aby Cinnabarczyk zamienił się w kolejną krwawą plamę. Jak ta, którą obszedł tuż za progiem. Ktoś bez przekonania podjął próbę zmycia jej z mozaiki, lecz kawałki płuc i skrzepy krwi zbyt mocno przywarły do różnobarwnych kamieni.

Burka w przedpokoju połamano albo w trakcie walk, albo podczas orgii zniszczenia mającej więcej wspólnego z motłochem niż wojną. Ktoś opróżnił magazynek w stojące po lewej stronie meble, wypruwając z nich jasnożółte drzazgi i fontanny papierowych skrawków.

Starszy urzędnik, którego Daniel pamiętał z pierwszej wizyty, klęczał wśród bałaganu, próbując pozbierać podarte akta. Jego podwładnych nie było. Leary minął go szybko, kryjąc się za grupą cywilów w barwach Zojirów. Było mało prawdopodobne, by starzec rozpoznał kogokolwiek zalanymi łzami oczyma.

Porucznik skręcił w prawo i pomaszerował pewnym krokiem korytarzem, mijając otwarte biura. W większości paliło się światło, lecz ludzi, którzy je splądrowali, już w nich nie było.

Co pewien czas widział uzbrojonych Zojirów, pijących i demolujących meble. Mierzyli Daniela wzrokiem, lecz jedyną zaczepkę usłyszał ze strony opartej o ścianę kobiety, pilnującej wejścia. Zamachała do niego butelką brandy i zawołała:

- Hej, przystojniaku! Mogłabym wykorzystać to, co masz między nogami!

Nie potrafił wyobrazić sobie okoliczności, w jakich mogłaby zainteresować go propozycja ze strony akurat tej osoby.

Zojirowie byli najważniejszym klanem, ale przewrót wymagał bardzo dużych sił, potrzebnych do obsadzenia wszystkich najważniejszych miejsc. Komandosi Sojuszu zapewnili trzon sił i ciężkie uzbrojenie, jednak nie znali miasta i nie mogło ich być więcej niż batalion, nawet jeśli przylecieli tutaj ze sprzętem, upakowani ciasno jak sardynki.

Aby zapewnić odpowiednią liczbę buntowników, organizatorzy wynajęli każdego, kto nie wahał się obrócić broni przeciwko współobywatelom. Utrzymanie prawdziwej dyscypliny okazało się niemożliwością, poza tym przynajmniej połowa rekrutów musiała być kryminalistami. Nowy reżim zastanie całkowicie zdruzgotany aparat rządowy. Będą mieli szczęście, jeżeli przy okazji nie spłonie cała Kostroma.

Schody do piwnic kryły się we wnęce korytarza - podobnej do wnęki na trzecim piętrze, która zawierała drabinę na dach. Na tyłach pałacu znajdowały się szerokie schody, stanowiąc właściwą drogę do wilgotnych, sklepionych lochów, ale używali ich jedynie najniżsi rangą urzędnicy. Leary uznał, że zwróci na siebie mniejszą uwagę, korzystając z głównego wejścia, zamiast dawać postronnym obserwatorom powód do zastanawiania się, czego porucznik marynarki szuka w piwnicach.

Drzwi do klatki schodowej były uchylone, lecz nikt ich nie pilnował. Na półpiętrze

zainstalowano oświetlenie, ale nie działało ono, kiedy odwiedzał Woetjans.

Półbuty porucznika załomotały na stopniach, na szczęście dźwięk ten ginął w dochodzącym z dołu hałasie. Nie posiadał pantofli z frędzelkami na czubkach stanowiących regulaminowe uzupełnienie noszonego aktualnie munduru. Lecz nawet gdyby ktoś to zauważył, to Kostromanie z floty nie przywiązywali wagi do szczegółów.

W piwnicy ktoś odpalił pocisk z ręcznej wyrzutni. Po łupnięciu, z jakim ciężki pocisk uderzył w kolumnę, rozległ się stukot kamieni, których ulewa skąpała ściany i podłogę. Zabrzmiał czyjś histeryczny śmiech.

Nawet pojedyncza kula mogła wybić w tych ceglach dziurę rozmiarów ludzkiej głowy. Jeśli ci idioci nie będą ostrożni, roztrzaskają kolumnę, a walący się strop skutecznie popsuje udaną zabawę.

Daniel uśmiechnął się. Panujący chaos zmniejszyło prawdopodobieństwo aresztowania go przez władze, niemniej istniała spora szansa, że jakiś pijany wojownik odstrzeli mu głowę tak jak trytonowi na Placu Pałacowym. No cóż, wszak zawsze marzył o życiu pełnym przygód.

Prowadzące do pierwszego poziomu piwnic drzwi były zamknięte. Minał je, schodząc jeszcze niżej. Znajdujące się na poziomie ulicy okna wpuszczały tylko tyle światła, by ułatwić urzędnikom pracę. Przeprowadzone przez środek sklepionej piwnicy oświetlenie wystarczało, aby nikt nie wpadł po ciemku na jakiś słup, ale na nic więcej.

Na tym poziomie nie uświadczono się okien ani światła, przynajmniej do czasu wprowadzenia się tam kontyngentu Woetjans. Kostromanie wykorzystywali go do przechowywania zapasów, umieścili tutaj także generator prądu i olbrzymie pompy. Te ostatnie miały za zadanie przetaczać wody gruntowe prosto do ścieków, chroniąc pałac przed zatonięciem w trzęsawisku, z których słyneła wyspa, lecz według mat Woetjans tylko jedna pompa wciąż działała.

W całej piwnicy nie było światła. Oficer zatrzymał się, by nałożyć gogle i przestawić je na widzenie w podczerwieni. Nie chciał nosić urządzenia nie pasującego do wykończonego mosiężnymi ozdobami kostromańskiego munduru, ale musiał przecież coś widzieć.

Widmowość kolumn podpierających cały pałac zadawała kłam ich masywności. Przestrzeń pod łukowatymi sklepieniami wypełniona była połamanymi meblami i zepsutymi urządzeniami, pudłami dokumentów oraz starymi dywanami i draperiami, złożonymi tutaj, by zgniły w kłębach pleśni. Rupiecie składowano byle jak, a procesy rozkładu zamieniły resztki porządku w chaos.

Podczerwień przydała głębokim na cal kałużom wód gruntowych jaśniejszego połysku, gdyż były o stopień - dwa chłodniejsze od nierównej posadzki, na której się rozlewały. Jedyna różnica pomiędzy przechowywaniem niepotrzebnych rzeczy w tym miejscu a zatapianiem ich w zatoce, to taka, że do piwnicy było o wiele bliżej.

Powinno być jakieś światło na suficie. Daniel podszedł do obszaru, który oddział Cinnabarczyków zamienił na swoje kwatery. Wznosił się nieco ponad resztę pomieszczenia, przez co był bardziej suchy, choć kapanie kropel skondensowanej wilgoci do jeziorok przypominało porucznikowi o względności pojęcia „suchość”.

Kolumny nie były okrągłe, tylko czterolistne. W zagłębieniu pomiędzy dwoma płatkami stał jakiś człowiek i obserwował Daniela. Ciepłota ciała na tle cegieł sprawiała, że wydawał się istną latarnią morską. Choć jego sylwetka była bardzo wyraźna, podczerwień zmieniała twarz w bezpłciowy owal.

- Hej, ty tam! - zawołał Leary. - Przedstaw się!

- Diabło dobrze pana widzieć, panie Danielu - odparł Hogg. - Omal nie zamieniłem się w grzyba albo rybę, czekając tutaj na pana.

Włączył mikroskopijną, intensywnie żółtą lampkę, noszoną na kciuku niczym pierścień. Służyła do odczytywania map w nocy, lecz w panujących tutaj ciemnościach dawała odpowiednio duży krąg

światła.

- Możemy już wynieść się stąd, sir?

Daniel z ulgą ściągnął gogle, pozwalając służce prowadzić się do wewnętrznych schodów.

- Skąd wiedziałeś, że tutaj przyjdę? - zapytał. Nie zwracał sobie głowy pytaniem o oddział Woetjans, jako iż najwyraźniej zadbali o swoje bezpieczeństwo bez jego pomocy.

- Cóż, założyłem, że jest pan wystarczająco mądry, by nie wracać do apartamentu - odrzekł Hogg. Poruszał się bezszelestnie wśród rupieci, jak na starego kłusownika przystało. - Poza tym i tak nie było tam żadnego miejsca, gdzie mógłbym się schować i pana przechwycić, gdyby jednak postanowił pan tam pójść. Na obu końcach ulicy czekali na pana żołnierze. Najbardziej prawdopodobne było przybycie pana tutaj celem odszukania Woetjans. A gdyby postąpił pan jeszcze inaczej, to, cóż, poradzilibyśmy sobie również z tym. - Zatrzymał się u stóp wąskich schodów. - Sir, powinienem był dowiedzieć się o tym wcześniej. Kiedy zorientowałem się* co się dzieje, pan już dawno odleciał z tą ciotką Candacem i dziewczynami. Gdyby coś się stało... - Mały, pulchniutki człowieczek potrząsnął głową. - Nie pamiętam, kiedy modliłem się od czasu chodzenia w pieluszkach. Może jednak Bóg istnieje.

Leary prychnął. To nie była odpowiednia chwila na okazywanie uczuć.

- Naprawdę myślałeś, że dam się schwytać? - zapytał ze starannie modulowanym szyderstwem. - Zbyt dobrze mnie wyszkoliłeś, Hogg. A teraz zajmijmy się naszymi sprawami.

Ruszyli po schodach w górę. Hogg znieruchomiał; Daniel również. Wszystkie odruchy, jakich nauczył się w lasach Bantry, powróciły z pełną siłą.

Ktoś schodził po schodach.

* * *

Dobiegające zza zakrętu schodów światło było tak słabe, że Adele zauważyła je dopiero, kiedy zgasło. Zatrzymała się na stopniu powyżej półpiętra.

- Woetjans! - zawołała. - To ja, Adele Mundy. Jestem sama.

Splotła ręce przed sobą. Nikt nie zwracał sobie głowy szukaniem jej, niemniej nie znajdowała się w miejscu, gdzie spoczywający w lewej kieszeni pistolet mógł jej wiele pomóc.

- Dobry Boże, to Adele! - zawołał Daniel Leary. Nie odczułaby większego zdumienia, nawet gdyby usłyszała Markosa, którego przecież zostawiła w Wielkim Salonie. - Hogg, musimy zabrać ją ze sobą. Prędzej czy później dowiedzą się, że jest obywatelką Cinnabaru.

Daniel wyszedł na podest półpiętra.

- Zapal światło, człowieku! - zażądał. Pochwycił dłoń uczonej i potrząsnął nią z entuzjazmem.

Słabiutkie światełko włączyło się z powrotem. Hogg stanął za swoim panem, pomimo kompletnie pozbawionej wyrazu twarzy, sprawiając wrażenie bardzo niezadowolonego.

- Przyszłam ostrzec marynarzy - powiedziała Adele.

Przestrzec, żeby zrobili co? - zastanawiała się. Nie mogłaby pomóc im wydostać się z pałacu ani ukryć ich w swojej niewielkiej kwaterze, gdyby w ogóle tam dotarli. Niemniej po egzekucji w Wielkim Salonie poczuła, że musi coś zrobić.

- Sir, wydaje mi się, że najlepiej byłoby, gdyby pani Mundy poszła w swoją stronę - przemówił sługa, patrząc w bok, jak gdyby oceniał ścianę przed pomalowaniem jej. - Myślę, że my wszyscy...

- Nonsens! - przerwał jego pan bez śladu dobrego nastroju w głosie. Dziwne miejsce na toczenie dyskusji, ale najwyraźniej ich trójka nigdzie stąd nie pójdzie, dopóki jej nie przeprowadzi. - Nie porzucimy obywatelki Cinnabaru w tym krwawym bałaganie. Byłoby to niehonorowe.

- Poruczniku - odezwała się bibliotekarka. Niezachwiana wiara Daniela w rodaczkę była niczym cios prosto w serce. - Wydaje mi się, że Hogg ma rację. Nic mi nie będzie, a tam, na górze, właśnie wymordowano całą waszą delegację. To mogło być jednorazowe ostrzeżenie, ale nigdy nic nie wiadomo. Odwróciła się i ruszyła w górę schodów.

- Nonsens - powtórzył Leary i złapał ją za prawy nadgarstek. Nie trzymał mocno, lecz i tak nie mogła oswobodzić ręki z uścisku porucznika. - Teraz wszyscy jesteśmy razem. Hogg, ty pójdziesz przodem.

- Sir... - zaczął starszy mężczyzna.

- Wydaje mi się, że twój służący ma na myśli, choć nie chce powiedzieć tego głośno - orzekła beznamyślnie Adele - iż Konspiracja Trzech Kręgów udowodniła, że obywatele Cinnabaru, nawet z najlepszych rodzin, całkiem chętnie wydawali przyjaciół oprawcom, byle tylko uchronić własne szyje. Całkiem logiczne. Wróć do własnych spraw, poruczniku, o ile tylko mnie pan uwolni.

- Chwileczkę, Adele - sprzeciwił się Daniel. Nie puścił jej, jedynie zmniejszył kontakt do minimalnego nacisku kciuka i palca wskazującego. - Hogg - zwrócił się do służącego - pani Mundy jest moją przyjaciółką i nie zniosę najmniejszej sugestii, że mogłaby zachować się niegodnie. Z drugiej strony - w panujących okolicznościach rozumiem twoją troskę o własne bezpieczeństwo. W związku z czym daję ci wolną rękę. Adele i ja poradzimy sobie, nie sprawiając ci więcej kłopotu.

- Nie bądź głupi! - zawołała bibliotekarka. Wyrwała rękę z uścisku, ale nie zrobiła choćby jednego kroku w górę.

- Dodam jeszcze, Hogg - ciągnął Leary, jakby nie słysząc kobiety - że to mocodawca z Sojuszu dostarczył dowodów na Konspirację Trzech Kręgów, a nie nasi rodacy!

- Największą przyjemność sprawi mi, sir - zaczął Hogg z chropawą godnością - dalsza służba młodemu panu, w możliwie najlepszy sposób, jak czyniłem to przez ostatnie 22 lata. Małemu człowieczkowi co jakiś czas dolega jedynie zbyt sztywny kark.

Ziemia zatrzęsała się raptownie; na schodach osiadły kłęby kurzu i kawałki cegieł. Kilka sekund później dotarł do nich podmuch powietrza i przetaczający się w oddali grzmot.

- Na litość *boską!* - zawołała Mundy. - Wynośmy się stąd, zanim zwałą nam cały pałac na głowy!

- Ty przodem, Hogg - polecił oficer, kiwnąwszy głową w kierunku schodów. - W sumie ty jeden wiesz, dokąd się udajemy.

Służący obdarzył Adele zakłopotanym uśmiechem i zasalutował jej, przeciskając się obok. Bibliotekarka podążyła za nim, ponaglona machnięciem ręki Daniela. Słyszała, jak pomrukuje za jej plecami, pełen nadziei na przyszłość i wiary w swych przyjaciół.

Wciąż myślała o informacjach dostarczonych Markosowi. Wołałaby wszystko inne od poddania się woli szpiega Sojuszu.

Wołałaby leżeć martwa w Wielkim Salonie obok admirał Lasowskiej, niż żyć u boku mężczyzny, który tak bezgranicznie jej ufał.

* * *

Kobięcy wrzask, który usłyszeli, gdy przechodzili przez drzwi do piwnicy, pomógł Leary'emu przybrać odpowiednio surową minę. *Zakładał*, że dźwięk wydała kobieta. Gdyby usłyszał go w Bantry, przypuszczałby, że to umierające zwierzę, ale tej nocy w Kostromie każdy rozważny gracz postawiłby na ludzką ofiarę.

Hogg zatrzymał się na szczycie schodów, by przywdziać złocistoczarny beret. Otworzył drzwi z rozmachem i chwiejnym krokiem ruszył korytarzem przed Danielem i Adele.

Po pobycie w mrokach lochów oświetlenie pałacowe wydało się porucznikowi oślepiające. Adele Mundy była równie zimna i powściągliwa, jak w dniu ich pierwszego spotkania w bibliotece. Nie dawała po sobie poznać niepokoju spowodowanego zakłóceniem naukowej rutyny.

Corder Leary, arystokrata do szpiku kości, powiedziała: „Krew zawsze da o sobie znać”. Obserwując bibliotekarkę, jego syn poczuł dumę z bycia obywatelem Cinnabaru; być może oznaczało to tę samą rzecz, tylko w bardziej ogólnej formie.

Korytarz nie odbiegał zbyt od widzianych wcześniej obrazków z wyjątkiem trójki Zojirów, próbujących położyć kres dalszym zniszczeniom. Jeden z nich, odziany w pełny strój galowy, sprzeczał się z pijanym, który pojedynczymi strzałami roztrzaskiwał kolejne szybki w oknie.

Oficjel nieustannie poklepywał kaburę z pistoletem. Jego towarzysze, noszący jedynie kokardy w barwach Zojirów na ramionach, obserwowali swego dowódcę z oczywistym wyczekiwaniem.

Zdaniem Daniela mieli powody do niepokoju. Pijak mógł z łatwością odstrzelić głowę nagabującemu go ważniakowi, a potem zająć się pozostałą dwójką, o ile tylko została mu amunicja.

Towarzysząca im kobieta spojrzała na oficera wynurzającego się z przejścia, o którym w ogóle nie miała pojęcia.

- Co tutaj robicie? - zapytała. Porucznik podejrzewał, że tak naprawdę chodziło jej o zdystansowanie się wobec kolegi, najwyraźniej dopraszającego się strzelaniny.

Cinnabarczyk zmierzył ją zimnym wzrokiem. Gdyby przemówił...

- Wypełniamy nasze rozkazy - odezwała się lodowatym tonem Adele. Wygłosiła to oświadczenie w uniwersalnym z akcentem wyższych sfer Sojuszu, oczywistym dla każdego, kto zauważał różnice dialektyczne. - Doradzam, abyście robili to samo, w przeciwnym razie bowiem możecie gorzko pożałować.

Hogg splunął kilka cali od stóp pytającej i poszedł dalej. Trójka Zojirów w milczeniu zbiła się w ciałniejszą grupkę. Pijany zaczął ostrzeliwać dekoracje na suficie.

Nowi władcy starali się zaprowadzić porządek w tłumie zgromadzonym w olbrzymim przedpokoju. Dwóch cywilów z Sojuszu dęło w rogi. Żaden z nich nie był w tym zbyt dobry; w duecie jedynie potęgowali panujący zgiełk. Komandosi w mundurach przyglądali się temu wszystkiemu z minami ludzi zwiedzających ogród zoologiczny.

Szturmowcy pilnowali prowadzącej do ogrodów rampy, nie próbowali jednak kontrolować ruchu w obydwu kierunkach. Ich hełmy wyposażono w pełne zestawy komunikacyjne; na otwartej przestrzeni mogliby nawet łączyć się bezpośrednio z satelitami. Na rozkaz przełożonych byli gotowi powstrzymać kontrofensywę Hajasów, lecz przejście Leary'ego i jego świty obserwowali z całkowitą obojętnością.

Byli również gotowi do uśmiercenia wszystkich Kostroman w westybulu. Daniel rozważał usłyszane od bibliotekarki wieści:

admirał Lasowska zamordowana wraz z dwoma członkami delegacji. To niezwykle, nawet biorąc pod uwagę fakt, iż połowa sił Zojirów składała się ze zwykłych kryminalistów.

Ktoś drogo za to zapłaci. Przy odrobinie szczęścia Daniel Leary zainkasuje pierwszą ratę.

Połowę ogrodów podzielono plecionym drutem na osobne pola. W środku siedziały lub stały setki oświałych Kostroman. Część płakała.

Wydostanie się z prowizorycznego więzienia byłoby całkiem łatwe: do przewrócenia ogrodzenia wystarczyłby jednoczesny napór dwudziestki ludzi. Stojący na perymetrze strażnicy prawdopodobnie zaczęliby strzelać; komandos obserwujący okolicę z otwartej wieżyczki swojego Latającego Opancerzonego Transportera uczyniłby to z pewnością. Stojący pomiędzy lufą działka plazmowego a uciekinierami przedstawiciele rządzącego klanu raczej nie spowolniliby reakcji szturmowców.

Służący Daniela minął LOT i grupę Zojirów z uzbrojonymi w klipsy podkładkami, do których przyczepione mieli listy nazwisk. Rozmawiali ze sobą, zaglądając w twarze po drugiej stronie drutów.

Klatkę wykorzystywano bardziej w charakterze głównego składu skonfiskowanych przedmiotów niż więzienia dla jeńców z pałacu. Ciężarówki i trójkołowce zjeżdżały z ulicy i omijały zaparkowany wzdłuż alejki sprzęt budowlany. Przywoziły kolejnych jeńców: mężczyzn i kobiety, w koszulach nocnych i piżamach, oraz dzieci zawodzące ze strachu, którego przerażeni dorośli nie potrafili rozproszyć.

Leary zastanawiał się, czy tak samo wyglądało na Cinnabarze po ogłoszeniu banicji. On sam przebywał wtedy z matką w Bantry. Najbardziej ekscytującym przeżyciem z tamtego okresu była obserwacja migrującego ptaka roka, który wypoczywał nocą na występie skalnym. Hogg zaniósł Daniela do podnóża klifu. Godzinę po świcie olbrzymi ptak rozpostarł czterdziestometrowe skrzydła i wzbił się w powietrze. Łuskowate podbrzusze znalazło się tuż nad głową chłopca, zanim grawitacja została pokonana i ogromna istota odleciała ku następnemu przystankowi w swej liczącej dziesięć tysięcy mil podróży.

Ciekawe, co Adele Mundy pamiętała z banicji. Oczywiście, najwięcej informacji uzyskała znacznie później.

Cały ogród skąpany był w blasku reflektorów, rzucających cienie i oślepiające odbicia, wprowadzających więcej zamieszania niż bardziej stonowane oświetlenie. Zasilający reflektory przenośny generator termojądrowy musiał pochodzić z frachtowca Sojuszu.

Klatka zajmowała przestrzeń pomiędzy ulicami, toteż pojazdy z więźniami wyjeżdżały tą samą drogą, którą przyjeżdżały. Na drodze dojazdowej do ogrodów powstał terkoczący korek. W normalnych okolicznościach byłoby ciasno, lecz pozostawałaby ona przejezdna, niestety stojące na poboczu buldożery zmuszały kierowców do wykazania się biegleścią i cierpliwością - a tego właśnie wszystkim brakowało.

Hogg podszedł do budy ciężarówki oznakowanej jako „Gedrosian i Córk”. W pobliżu stał osiłek w berecie Zojirów, trzymając ręce w kieszeniach. Ujrzał pulchnego mężczyznę i odszedł, pogwizdując; żaden nie powiedział ani słowa.

Harmonijkowe drzwi wyglądały na zamknięte, lecz ustąpiły o kilka cali pod naciskiem dłoni służącego. Porucznik zauważył, że zamek jest obustronny; drzwi otwierały się i z zewnątrz, i od środka.

- Moi tutejsi przyjaciele znaleźli go dla mnie - mruknął Hogg. - Przez najbliższe dwa dni nikt nie zgłosi jego zaginięcia.

Pojazd wypełniony był marynarzami z Cinnabaru.

- Sir! - odezwała się postać siedząca najbliżej szczeliny. Mat Ellie Woetjans melduje się na rozkaz!

Ulga w jej głosie była oczywista niczym blok cementu. Na pewno zasalutowała, nie zważając na ciasnotę. Daniel omal nie oddał pozdrowienia. Bywają jednak chwile, gdy odruchy mogą doprowadzić do śmierci...

- Spocznij, Woetjans - rzucił. Czuł zdumiewający spokój. Przypuszczał, że był zbyt zajęty, żeby się bać. - Jakim sprzętem dysponujemy?

- Żadnym pieprzonym sprzętem, tylko sobą, sir - odparła takielarka. Tłoczący się za jej plecami marynarze tworzyli niespokojną - masę ludzi, starających się nie oddychać, byle tylko usłyszeć przyciszone głosy przełożonych. - Ani jedzenia, ani broni. No, może z wyjątkiem młotków i rurek.

Leary miał nadzieję, że wyglądali, jakby ucinali sobie pogawędkę, czekając na rozładowanie

korka. Musieli ułożyć plan, a najgorsze, co mogli zrobić, to zachowywać się podejrzanie. Tej nocy każdy podejrzewał każdego, a jego przebranie nie wytrzymałoby dokładnego sprawdzenia.

- Zakładałem, że zalegniemy w jakimś magazynie na kilka dni, dopóki nie uspokoi się sytuacja - powiedział Hogg. - To było wtedy, kiedy usłyszałem, co się dzieje. Nie wiedziałem jednak o tak poważnym zaangażowaniu Sojuszu. Te dranie to prawdziwi żołnierze, a nie przypuszczam, żeby planowali szybki odwrót.

- Masz rację w obu punktach - przytaknął porucznik.

Bez sprzętu lub bezpiecznej kryjówki jego oddział miał bardzo niewielkie pole manewru. Najlepsze, co mogli zrobić, to jeszcze tej nocy porwać statek kosmiczny, zanim siły Sojuszu na dobre zadamowią się na Kostromie.

Niestety, kilka godzin lotu od planety niemal na pewno stacjonowała eskadra Sojuszu. Szansa na start przed przybyciem okrętów wojennych była jeszcze mniejsza niż szansa pozostania przy życiu i dotarcia do Pływającej Przystani przez 20 nieuzbrojonych obywateli Cinnabaru, a co dopiero na porwanie cumującego tam statku.

- Rzecz w tym, sir - odezwał się z zakłopotaniem sługa - że jak mówiłem, mam tutaj przyjaciół, ale to nie jest moja rodzina. Może, gdyby chodziło tylko o pana, zdołałbym ukryć nas na jakiś czas, ale skoro jest tutaj cała armia...

- Z pewnością jest to cały oddział marynarki, jakim dowodzę - rzucił Daniel ostrzej, niż zamierzał. Hogg dobrał słowa na tyle starannie, że nie należało ich odczytywać jako sugestii, iż dla ratowania własnej szyi porucznik Leary powinien porzucić swoich marynarzy. - Po pierwsze, potrzebujemy ubrań. Potem...

- Mogę zdobyć hasło do magazynów floty - odezwała się uczona. - Będę musiała wrócić do biblioteki. Moja osobista konsola - danych przeszkadzała mi podczas sortowania książek, więc wyjęłam ją i zostawiłam.

- Na Boga! - zawołał oficer FRC. Nagle ujrzał drogę, która nie musiała zakończyć się rozbłyskiem plazmy lub śmiechem Zojirów wykorzystujących pływających Cinnabarczyków w charakterze ruchomych celów. - Z kostromańskimi mundurami może nam się udać! Poza tym znajdziemy tam jedzenie. Jeśli zdołamy ukryć się na kilka najbliższych tygodni, dopóki nie przywrócą normalnego ruchu, będziemy mieli całkiem sporą szansę!

Nie była to prawda. A jednak dawało im to szansę powodzenia mierzoną w procentach, a nie w promilach.

- Przypuszczam, że w magazynie znajdziemy broń - zauważył Hogg. - Możemy...?

- Nie - uciał Daniel. - Choćbym nie wiem, jak tego chciał, nie wyobrażam sobie powodów, z jakich zbrojownia nie miałaby być tej nocy silnie strzeżona, i to prawdopodobnie przez wartowników z Sojuszu. Karabiny będą musiały poczekać.

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami.

- Moi przyjaciele wrzucili do furgonetki parę drobiazgów - powiedział. - Nic, czym chciałbym walczyć z armią Sojuszu, ale na razie musi wystarczyć.

- Sprawdź, w których budynkach znajdziecie to, czego potrzebujecie - zaofiarowała się Adele. Sprawiała wrażenie raczej oderwanej niż nonszalanckiej. Choć zależało od tego ich życie, bibliotekarka okazywała większe ożywienie, szukając odpowiedzi na zoologiczne pytanie Daniela. - Wrócę tak szybko, jak tylko będę mogła.

Odwróciła się. Hogg dał krok do tyłu i w bok, niby niechcący blokując jej drogę.

- Może powinienem pójść z panią w charakterze ochrony, sir - zasugerował.

- Panie Hogg - odrzekł Leary. - Ta decyzja należy do dowódcy. Rozumie pan?

Sługa skrzywił się, skinął głową i cofając się, obdarzył Adele kolejnym nieznacznym salutem.

- Gdybym nie zapomniała swojego terminala, mogłabym od razu sprawdzić zawartość magazynów - rzekła Mundy. Uśmiechnęła się półgębkiem. - Jednakże jest coś jeszcze, co mogę zrobić w bibliotece, więc nawet lepiej się stało.

Udała się w stronę wejścia do pałacu.

- Zobaczę, co da się zrobić! - zawołała przez ramię. Wyprostowana, przedarła się niespiesznie przez zdenerwowany tłum, równie miarowo, jak wiertło wchodzi w drewno.

- Niech mnie diabli, jeżeli nie powinienem nabrać zwyczaju modlenia się - wymamrotał Hogg. Otarł czoło beretem.

Porucznik westchnął. Wątpił, aby jego służący martwił się o to, co mogło przydarzyć się Adele, ale wolał nie drążyć tej kwestii.

* * *

Ciało Vanessa usunięto z biblioteki. Sądząc po smugach krwi na posadzce, zaciągnięto je do loggii nad ogrodami. Adele Mundy skrzywiła się na myśl, że jej asystent został wyrzucony przez balustradę i załadowany na ciężarówkę po to, by wyrzuciono go do zatoki wraz z innymi odpadkami. Chociaż nie miała ochoty znowu oglądać zwłok.

Umiarkowaną radość z braku trupa Vanessa zniweczył widok Bracey'a wraz z dwoma zapijaczonymi kompanami i parą kobiet. Mieli ze sobą butelki, lecz głównym celem mężczyzn wydawało się być nakłonienie jednej z nich do uprawiania seksu z całą trójką na raz. Niestety, wyglądało na to, że kobieta nie była wystarczająco pijana, a jej towarzyszka raczej z nimi konkurowała, niż stanowiła alternatywny cel.

Cała piątka obnosiła się z barwami Zojirów. Jeden z mężczyzn zatknął sobie pistolet za czarnożółty pas. Bracey dźwigał automat, w którym brakowało magazynka.

Wchodząc, bibliotekarka omiotła całą grupę pozbawionym wyrazu spojrzeniem; udawanie, że ich tam nie było, nie miało najmniejszego sensu. Podobnie jak odzywanie się do nich. Znalazła osobistą konsolę danych na komputerze, dokładnie tam, gdzie ją zostawiła. Wsunęła ją do kieszeni, gdzie cały czas powinna się znajdować, i pochyliła się nad głównym terminalem.

- Hej! - zawołał zaskoczony Bracey. Podźwignął się ze sterty pudeł, na której siedział, strącając najwyżej ułożone na podłogę. - Co, do *cholery*, tutaj robisz, dziwko?

Tej nocy umierali ludzie. Adele nie powinien niepokoić los pudła z podręcznikami obsługi maszynarii, rdzewiejącej od stu lat. Mimo to...

Spojrzała na pijanego mężczyznę z zimną pogardą człowieka dla ślimaka.

- Ze względu na niepewną sytuację nie każę ci stąd wyjść, Bracey - oświadczyła. - Nie pozwolę ci jednak wtrącać się w moją pracę. Zamknij się i pilnuj własnego nosa.

Obróciła się z powrotem do konsoli. Po zainstalowaniu modułu deszyfracyjnego od Markosa celowo odwróciła jego działanie w skromnym akcie buntu. Była całkiem pewna, że ani ów agent, ani żaden ściągnięty przez niego kostromański technik nie ustali, dlaczego urządzenie przestało działać.

Na razie Markos nie zażądał od *Aglai* informacji, które zdradziłyby mu, że 20 jej marynarzy przeniesiono do pałacu. Teraz uczona chciała całej mocy deszyfracyjnej dla siebie - co zadziało w przypadku komunikacji marynarki Cinnabaru, sprawdzi się również wobec ekwiwalentu Sojuszu.

- Co masz na myśli, mówiąc o *twojej* pracy? - zapytał Bracey. Ruszył w stronę Adele. Jego kompani sprawiali wrażenie zagubionych; pijane kobiety zaczęły nucić kołysankę. - Teraz ja jestem Bibliotekarzem Elektora. Ty jesteś nikim, dziwko! Zwykłym śmieciem!

Mistrzynie rozsiała się za konsolą i użyła różdżek, by wywołać system operacyjny. Musiała uruchomić moduł, jednocześnie maskując jego istnienie przed każdym, kto sprawdziłby oprogramowanie.

Poruszenie w drzwiach... Adele rzuciła okiem w prawo. Do biblioteki weszła pomocnica Markosa.

- Odwróć się, bo użyję tego, na Boga! - zawołał niedoszły asystent.

Adiutantka uniosła brew w niemym zapytaniu. Mundy obejrzała się przez ramię. Bracey mierzył do niej z automatu. Nie miała pojęcia, czy uważał ją za zbyt głupią, żeby dostrzegła, iż broń nie jest naładowana, czy może idiota sam tego nie wiedział.

- Zabierz go stąd, inaczej go zabiję - rzuciła półgłosem do asystentki Markosa. Przełożyła obie różdżki do prawej dłoni.

Mężczyzna pociągnął za spust, odpowiadając na jej niewypowiedziane pytanie. Kiedy nic sienie stało, wydał z siebie nieartykułowany wrzask i złapał broń za lufę, chcąc użyć jako maczugi.

Wyciągnęła pistolet. Bracey cofnął się; pozostali mężczyźni zanurkowali za sterty pudeł. Trzeźwiejsza kobieta tuliła do siebie głowę przyjaciółki, uśmiechając się z satysfakcją i nie zwracając uwagi na to, co działo się w bibliotece.

- Nie zrobisz tego! - zawołał Bracey.

Adele uśmiechnęła się lekko.

- Ciekawe, dla ilu ludzi były to ostatnie słowa - odezwała się adiutantka szpiega. Wymierzyła w niego wskazujący palec prawej dłoni. Pistolet automatyczny w jej lewej ręce poruszył się lekko. - Ja to zrobię - dodała z uśmiechem modliszki. - Wynocha stąd, wszyscy.

Jeden z chowających się mężczyzn wystawił głowę, by ocenić sytuację. Wraz ze swym towarzyszem opuścili bibliotekę, omijając Adele i jej sojuszniczkę możliwie szerokim łukiem. Bracey zauważył ich rejteradę. Ruszył za nimi, potykając się o książkę. Cisnął precz bezużyteczny automat i wymknął się przez drzwi.

Kobiety także wyszły, zatopione we własnym świecie. Bibliotekarka schowała pistolet do kieszeni i wróciła do pracy.

- Pan Markos zauważył, że nie ma pani w Wielkim Salonie oznajmiła asystentka. - Chciał się upewnić, że nic pani nie jest.

Mistrzynie nie odrywała się od pracy.

- Proszę podziękować panu Markosowi za troskę - odparła - i zapewnić go, że sama potrafię o siebie zadbać.

- Przestrzegałam go, że tak jest - rzuciła z rozbawieniem adiutantka. - Ale nie uwierzył mi.

Adele zakończyła modyfikacje. Część oprogramowania konsoli i pamięci stała się teraz *dostępna jedynie* przez jej palmtop. Dla zwykłego użytkownika przestały istnieć.

- Dobranoc, mistrzyni - pożegnała ją bezbarwnym głosem kobieta. - Jestem pewna, że jeszcze się spotkamy.

Opuściła bibliotekę. Jej nieobecność była niczym nadejście wiosny.

Adele Mundy wstała od konsoli i upewniła się, czyjej palmtop spoczywa bezpiecznie w kieszeni. W jej sercu wciąż panowała zima.

* * *

Hogg wrócił z szoferki ciężarówki. Coś wybrzuszało luźną kurtkę. Obok nich jakiś mężczyzna walił w błotnik trójkołowca, wrzeszcząc na prowadzącą; ta zaś nie pozostawała mu dłużna.

- Jeden podałem przez panel na tył - oznajmił. - Uznałem, że stłoczone tam chłopaki będą się czuły jak mięso armatnie, dopóki nie dostaną, no wie pan, talizmanu na szczęście. Pan też chce jeden, sir?

- Nie - odparł Daniel. Opierał się o tył ciężarówki, starając się sprawiać wrażenie, jakby tu właśnie było jego miejsce. Wbijał wzrok w szerokie, łukowe wejście do pałacu. - Pistolet bez przepisowej kabury i pasa wyglądałby niewłaściwie. Poza tym i tak pewnie jesteś w tym lepszy.

Ponadto nie był pewny, czy chciał dostać broń. Gdyby miał pistolet, w każdej kryzysowej sytuacji zastanawiałby się, czy powinien go użyć, czy nie. Jeżeli jego oddział miał przeżyć, porucznik Daniel Leary musiał rozumować jak dowódca, nie jak strzelec.

Szturmowcy Sojuszu zaczęli rozładowywać korek, poczynając od wjazdu z ulicy. Nie znali się na tej robocie, lecz brutalne podejście - lufa przystawiona do twarzy i krótkie polecenie - zaczynało przynosić efekty. Niedługo będą mogli wjechać na chodnik i opuścić ogrody.

Adele opuściła ich niecałe 25 minut temu. Porucznik nie potrzebował patrzeć na zegarek. Wycucie czasu nie zawodziło go nawet teraz, gdy musiał czekać na coś, na co absolutnie nie miał wpływu.

Mundy potrzebowała minimum dziesięć minut, aby dotrzeć do położonej na trzecim piętrze biblioteki - bez pośpiechu, który mógłby zwrócić czyjąś uwagę. Kolejne dziesięć na powrót. Pięć minut to niezbyt długo na cokolwiek, co miała zamiar tam zrobić.

- Nie wygląda mi na to, żeby dochodziła stamtąd jakaś strzelanina - zauważył ponuro sługa, wskazując podbródkiem na północne skrzydło pałacu. Furgonetka była zaparkowana zbyt blisko głównego budynku, by mogli dojrzeć okna biblioteki. Oczywiście trudno mieć pewność w tym całym bajzlu.

Tej nocy miasto Kostroma rozbrzmiewało strzałami - jak Bantry okrzykami nocnych ptaków. Sucha palba ręcznej broni nie niosła się zbyt daleko, lecz nawet kłusownik pokroju Hoggga nie potrafiłby określić, skąd dobiegała.

- Mam wszystko - odezwała się Adele, pojawiając się koło Daniela. - Jeśli o mnie chodzi, możemy już stąd odjechać.

- Jezu Chryste, nasz Zbawicielu! - wyrwało się Hoggowi. - Skąd się tu wzięłaś, kobieto?

- Adele, usiądź z Hoggiem w kabinie - polecił Leary. - Będzie prowadził. Ja stanę na stopniu, żeby wszyscy widzieli mój mundur.

- Jestem prostą bibliotekarką - oznajmiła Adele Hoggowi. Obeszła furgonetkę, zmierzając do kabiny. - Musisz zadać swoje pytanie księdzu albo filozofowi.

Daniel zamrugał oczami, uświadamiając sobie, że kobieta żartowała. Nie zauważył brązowego stroju uczoney, gdy opuszczała pałac i zmierzała niespiesznie w ich stronę. W tym chaosie świateł i dźwięków była jedynie kolejnym elementem tła.

Łupnął w harmonijkowe drzwi budy.

- Woetjans? - wymamrotał do panelu. - Jak już znajdziemy się na ulicy, będziesz mogła uchylić drzwi, ale nie wolno nam pozwolić, żeby ktoś zajrzał do środka, dopóki tutaj tkwimy.

Służący zapuścił silnik - chłodzony powietrzem Diesel - a porucznik Leary stanął na stopniu od strony pasażera. W kabinie już było ciasno; troje nie miałoby gdzie usiąść.

Choć zator zaczynał ustępować, Daniel założył, że na pewno poczekają przynajmniej godzinę, zanim zdołają włączyć się do ruchu. Lecz Hogg wychylił się przez okienko i zamachał szaleńczo na trójkołowiec. Kierowca, który wyglądałby podejrzanie nawet wtedy, gdyby miał dwoje uszu, zatrzymał się jak wryty, tworząc przerwę.

Turbodoładowanie zawyło, kiedy sługa nacisnął gaz, bez problemu włączając się w strumień

pojazdów.

- Znam tego gościa - mruknął. - Musi w duchu umierać ze śmiechu, że tej nocy współpracuje z glinami.

Hogg nauczył się prowadzić na wiejskich drogach, ale jego gwałtowny i zdecydowany styl jazdy doskonale pasował do obecnych warunków; przynajmniej był trzeźwy. Leary wczepił się kurczowo w szoferkę, gdy podskakując i skrzypiąc, zbliżali się do wyjazdu.

W tworzących się wąskich gardłach komandosi przepuszczali pojazdy w obu kierunkach na zmianę. Nie chcąc budzić podejrzeń, Daniel przyglądał się każdemu żołnierzowi Sojuszu, którego mijali, lecz odziani w bojowe uniformy szturmowcy nie zwracali uwagi na oficera-czarnucha. Zamierzali tylko zlikwidować bałagan i wrócić do pałacu. Nikt nie chciał opowiadać wnukom, że stał się kaleką, gdy został potrącony przez trójkołowiec, „kiedy udawał funkcjonariusza drogówki.

- Nie miałaś żadnych problemów w środku? - zapytał oficer, zbliżywszy wargi do ucha Adele.

Spojrzała na niego.

- Nie - odparła. - Nic wartego wspomnienia.

Furgonetka dotarła do wyjazdu. Przez tkwiącą przed nimi bramę próbował precyzyjnie się trójkołowiec z trzema wrzeszczącymi, związanymi kobietami na tylnym siedzeniu. Komandos ostrzelał z automatu błotnik pojazdu. Odłamki plastiku zasypały kierowcę i pośladki jego odwróconego kompana, pilnującego więźniarek.

Mężczyzna jęknął i wyskoczył z trójkołowca. Kierowca zgasił silnik. Hogg zasalutował przyjaźnie żołnierzowi i przejechał przez bramę, potrącając przy okazji wehikuł błotnikiem.

Gwałtownym skretem znaleźli się na ulicy.

- No to jedziemy, sir! - zawołał wesoło służący Daniela. - Teraz naprawdę się poruszamy!

- Poruszalibyśmy się również, gdybyśmy spadli z dachu pałacu - zauważyła spokojnie uczona, przekrzykując wycie silnika. - Z bardzo podobnym rezultatem.

- Jeszcze do wczoraj porucznik nie uznałby bibliotekarki za osobę obdarzoną poczuciem humoru. Mylił się, choć póki co wolałby, aby Adele zachowała swoje żarty dla siebie...

* * *

Kiedy Adele Mundy po raz pierwszy zobaczyła wjazd do Kompleksu Magazynowego Floty, bramy udekorowane były chorągiewkami z okazji Dnia Założyciela. Tej nocy drogę przegradzała zapora z trzech belek, a oddział uzbrojonych kostromańskich marynarzy mierzył do nich z karabinów.

Hogg wrzucił niższy bieg, a dopiero potem zwolnił, hamując. Albo te hamulce wymagały wymiany, albo miał dotychczas doświadczenie wyłącznie z pojazdami o kiepskim układzie hamowania. Jazda z nim natchnęła Adele wątpliwościami, czy w ogóle *miał* jakiekolwiek doświadczenie. Niemniej zahaczał o przeszkody wyłącznie lewą stroną, co mogło wskazywać na pewną troskę o swego pana, uwieszonego na okienku pasażera.

Ciężarówka zatrzymała się sześć stóp od zapory; silnik pyrkotał na luzie. Przed bramą stało trzech marynarzy. Rozproszyli się na boki, opuszczając wachlarz światła rzucający przez czołowy reflektor tkwiący na masce auta. Z czterech latarni przy bramie działała tylko jedna, znajdująca się za pojazdem.

- Zajmę się tym - mruknął Daniel. Zeskoczył ze stopnia i podszedł do mężczyzny noszącego pistolet w kaburze zamiast ciężkiego kulomiotu. - Mamy przesyłkę dla wielkiego admirała Sanausa - oznajmił Kostromaninowi. - Depozyty, które należy przechować tutaj na czas niepokoju. Hasło brzmi: Greatorix.

- Hasło zostało anulowane - odparł marynarz. - Otrzymaliśmy rozkazy, żeby dzisiejszej nocy nikogo nie wpuszczać do środka. Zawracajcie. Może rano coś się zmieni.

Hogg wychylił się przez okno ze swojej strony, żeby lepiej słyszeć. Bibliotekarka poszła w jego ślady. Marynarze byli zdenerwowani i często spoglądali na drogę, którą przyjechali Cinnabarczy, w stronę luny nad Kostromą.

- Do licha, człowieku! - warknął Leary. - Podałem ci hasło. To osobisty zapas whisky admirała Sanausa. Jeśli coś się z nią stanie, będziesz miał na karku właśnie jego, a nie jakiegoś polityka, który dziś jest, a jutro już nie!

Uzbrojony w pistolet Kostromanin pokręcił głową z mieszaniną troski i odmowy.

- Słuchaj, nie mogę otworzyć. Jeżeli chcecie zaparkować tutaj i poczekać do rana...

- Jeżeli nie potraficie wypełnić rozkazu admirała - przerwał mu Daniel - to sprowadźcie oficera, który to umie. Nie widzicie, że wasz obstrukcjonizm to cierń w tyłku łańcucha dowodzenia?

- Jak myślisz, skąd tu przyjechał? - zapytał brodaty marynarz, opierający się o zaporę. Zwracał się do swojego dowódcy, lecz jego donośny głos miał być słyszany przez cały oddział. - Śmiesznie gada.

Hogg zaklął cicho, ściągając szmatę, pod którą ukrył trzymany na kolanach masywny pistolet elektryczny. Odchylił się na oparcie fotela i mruknął prosto do niewielkiego otworu pomiędzy kabiną kierowcy a tyłem furgonetki:

- Przygotujcie się na kłopoty!

Daniel Leary zrobił dwa duże kroki w stronę bramy i prawą ręką złapał wartownika za gardło. Silne palce zdusiły rodzący się okrzyk.

- Hołota zazwyczaj nie krytykuje akcentu dżentelmena z L'ven! - oznajmił. - Rozumiesz, łajzo, czy mam wykorzystać twoją gębę w charakterze latryny?

Automat Kostromanina zwisał na pasku. Daniel potrząsnął nim gwałtownie, objając piersią o pręty szlabanu. Broń zabrzęczała; mężczyzna zaraz ją upuścił.

Nikt się nie wtrącał, choć dwóch strażników lekko uniosło karabiny, do nikogo jednak nie mierząc. Porucznik obrzucił oddział palącym, pogardliwym spojrzeniem, po czym odepchnął ofiarę. Twarz marynarza zaczynała przybierać siny odcień.

Nie spuszczając wzroku z oficera dowodzącego, Leary rozkazał swemu służącemu:

- Przejeżdżaj przez bramę, nawet jeśli ta hołota jej nie otworzy. A jeżeli zaczną strzelać, dowiedzą się, czym jest piekło, i to *zanim* tam wylądują!

Wrócił do ciężarówki, krzywiąc się z furją. Adele w całym swoim życiu nie widziała lepszego przedstawienia ani lepiej dobranego miejsca.

Trzymała dłonie na podołku. Teraz rozluźniła je, odsuwając nieco palce od lewej kieszeni.

Oficer dyżurny, z niepokojem wypisanym na twarzy, odwrócił się do magazynów. Hogg zwiększył obroty silnika, nie puszczając hamulca.

- Otworzyć! - krzyknął Kostromanin. - Wpuścić, i niech ich piekło pochłonie!

Marynarz wyciągnął grubą szpilę, łączącą koniec zapory z ceglany słupkiem. Cały oddział odciągał barierę w głąb magazynów. Była tak ciężka, że nawet nie zauważyli, iż popychają nią powalonego przez Daniela towarzysza.

Leary wskoczył na stopień. Twarz miał wykrzywioną jak po wybuchu bomby. Sługa ruszył naprzód, zmuszając kostromańskich marynarzy do zdwojenia wysiłków.

- Nie wierzę: co za hołota! - wyszeptał chrapliwie Daniel. Co to za marynarka, w której żeglarzowi wydaje się, że może być niegrzeczny wobec oficera przewyższającego go stopniem?

- Ale... - wydukała bibliotekarka. Nie wiedziała, co powiedzieć dalej. „Nie jesteś oficerem

wyższym stopniem” było tak oczywiste, że równie dobrze mogła tego nie mówić.

Mieli wolną drogę. Hogg wjechał na teren magazynów, przyspieszając tak ostro, jak tylko pozwalały na to tony ludzkiego ładunku na pace. Przedni reflektor omiatał budynki. Fasady magazynów, pomimo ich całkowicie użytkowego przeznaczenia, udekorowano ceglanyimi pilastrami i kamiennymi festonami.

- Szukamy Magazynu 44 - powiedziała do Hogga uczona. Położyła sobie komputer osobisty na kolanach, mimo iż wcześniej zapamiętała wszystkie niezbędne informacje. - Według planów stoi w trzecim rzędzie.

- Co to za flota? - powtarzał Leary.

Adele musiała w końcu przyznać, że cinnabarski porucznik wcale nie udawał.

Biorąc pod uwagę, iż jego wściekłość wywołana została wielkim brakiem profesjonalizmu, skłonna była przyznać mu rację.

* * *

Daniel wcisnął ostatnie osiem cyfr i odsunął się od drzwi Magazynu 12. Zamek szczęknął. Zamiast szarpać się z wbudowanym uchwytem, Woetjans wsadziła w łączenie drzwi krótki łom. Pociągnęła, a Dasi, najsilniejszy mężczyzna w oddziale, napał na zasuwę.

Drzwi odskoczyły na bok niczym wysadzone z zawiasów. Kilku marynarzy złapało je za krawędź i zatrzymało.

Służący Daniela zaparkował tak, że przedni reflektor oświetlał wnętrze budowli. Podobnie jak w Magazynie 44 na środku pomieszczenia piętrzyła się sterta rupieci, lecz Bell przeskoczył zręcznie przeszkodę i zawołał:

- Tutaj są pudła z racjami żywnościowymi!

Mundy wysiadła z ciężarówki. Podeszła do porucznika, który z satysfakcją obserwował akcję. Uśmiechnął się do niej, po czym zwrócił się do marynarzy:

- Wystarczy jedna warstwa pudeł do zastawienia podłogi. Jesteśmy już wystarczająco ciasno zapakowani.

Cinnabarczycy nosili teraz robocze kombinezony Kostroman: luźne, czerwone bluzy i błękitne spodnie. Chodzili na bosaka. Stanowiło to pewien problem dla nieprzyzwyczajonych stóp, ale przynajmniej nie wywoływało komentarzy. Niewłaściwe obuwie oficera nie miało zbyt wielkiego znaczenia; marynarz w butach natychmiast rzuciłby się w oczy.

- Czy w magazynach mają alkohol? - zapytał Leary. - Możesz coś znaleźć?

Adele spojrzała na niego z zaskoczeniem, lecz bez słowa przykucnęła nad konsolą. Oparła się plecami o mur magazynu, dzięki czemu mogła bezpiecznie utrzymać terminal na kolanach.

Stertę w wejściu tworzyła pościel. Zamiast zwyczajnie odrzucić ją na bok, cinnabarscy takielarze oczyścili przejście, przenosząc materace i koce pod ścianę. Efekt był schludniejszy od działań Kostroman.

Daniel uśmiechnął się z cichą satysfakcją. Był oficerem FRC dowodzącym oddziałem jej marynarzy. Osiągnął to, nawet jeżeli umrze, zanim zostanie kapitanem gwiazdznego okrętu.

- Magazyn 50 - odpowiedziała bibliotekarka. - Według dokumentów przechowują tam farbę, ale w tym magazynie, za potrójnym zamknięciem, oprócz alkoholu, znajduje się również bardzo wartościowa elektronika. Farba leży w budynkach o numerach: 31 i 32. - Podniosła wzrok na mężczyznę i dodała celowo bezbarwnym tonem - jesteś pewny, że alkohol to dobry pomysł?

Daniel zachichotał.

- Dobry Boże, to nie dla nas - odparł. - Nie to... - Był całkowicie skupiony. Dwóch marynarzy wskoczyło do wnętrza ciężarówka. Reszta oddziału utworzyła łańcuch z magazynu do auta, podając sobie ciężkie pudła z żywnością w metalowych puszkach. - ...żeby martwił się, że ci ludzie spiją się do utraty przytomności mimo pracy do wykonania. Potrzebuję alkoholu na wymianę.

Adele wyłączyła konsolę i wsunęła różdżki kontrolne do wgłębienia, nie chowając jednak urządzenia do kieszeni spodni. Wyprostowała się, uniesieniem brwi domagając się od porucznika dalszych wyjaśnień.

- Musimy się ukryć - dodał. - Albo wywalczymy sobie ucieczkę z tej wyspy, albo ją kupimy.

Miał pewne opory przed odsłoną swojego planu. Dorastanie u boku Cordera Leary'ego wpoili mu następujące przekonanie: jeśli ujawnisz swój pomysł, ktoś mający władzę wtłoczy ci go do gardła tylko po to, by udowodnić, że to on tutaj rządzi. Szkoła Marynarki nie przyczyniła się do zmiany jego poglądów.

Uczona pokiwała ze zrozumieniem głową. Daniel uśmiechnął się.

- Będąc osobą cywilizowaną - ciągnął - wybieram handel. Pomijam fakt, że nie mamy porządnego uzbrojenia.

- Jeszcze trzy pudła! - zawołała nadzorująca załadunek Woetjans. - Potem zamkniecie magazyn. Nie należy zostawiać śladów.

- L'ven jest jedną z północnych wysp, prawda? - upewniła się Adele. Leary podążył za jej wzrokiem na południe, w stronę miasta. Przez różowawe płomienie pełzł LOT. Z tej odległości wyglądał jak niewielki chrząszcz.

- Zgadza się; wokół tamtejszych brzegów rozpościera się cudowna kolonia skorupiaków - powiedział. - Nazywają je małżami zamkowymi. Budują wieże, przez które zasysają fale, dzięki czemu mogą żyć nie tylko przy brzegu, lecz także na głębokości 500 stóp.

- A w jaki sposób nauczyłeś się naśladować akcent L'ven? - zapytała ostrożnie kobieta.

Do Daniela nareszcie dotarła istota jej pytania. Czemu ludzie po prostu nie mówili tego, co mieli na myśli?

- Och, nie mam bladego pojęcia, jak brzmi akcent z L'ven - przyznał wesoło. - Nie wiem nawet, czy ta wyspa naprawdę jest zamieszkała, choć przypuszczam, że tak. To miejsce po prostu przyszło mi na myśl ze względu na skorupki. Uznałem, że lepiej będzie, jak zareaguję szybko.

- Owszem - przyznała Adele tonem suchym jak szelest słomy. - Myślę, że miałeś absolutną rację.

- Sir, skończyliśmy załadunek - zameldowała mat. Marynarze wskakiwali już do ciężarówki. Obniżony sufit oznaczał, że najwyżsi musieli się garbić. Pojazd mocno osiadł na resorach, ale musiał sobie z tym poradzić.

- Słusznie! - zawołał porucznik. - Magazyn 50 i możemy wynosić się stąd na dobre!

Nie miał najmniejszego prawa do wesołości, niemniej wskakując na stopień, czuł jedynie radość.

* * *

Bibliotekarka otworzyła trzy oddzielne zanki Magazynu 50. Daniel i Hogg konferowali przez okienko kabiny na temat następnego posunięcia. Woetjans i Dasi zabrali się za otwieranie drzwi, zanim Adele zdjęła palec z ostatniego klawisza. Tuzin marynarzy potrącił ją, rzucając się do odsuwania wrót na bok. Zeszła im z drogi.

Praca z cinnabarskimi takielarzami przypominała używanie potężnej maszyny. Trzeba było uważać, gdzie się stało, kiedy już zapuściło się w ruch.

Magazyn 50 znajdował się na końcu rzędu. Za nim majaczyła drucziana siatka i prawdopodobnie

pole minowe. Miny nie wydawały się zbyt praktyczne w tak grząskim terenie, lecz mokradła same w sobie stanowiły poważną przeszkodę dla włamywacza.

Nieco dalej na północy niebo nad Kostromą jaśniało łuną. Co jakiś czas noc rozjaśniał potężniejszy błysk; przypuszczała, że były to pociski, choć równie dobrze mogła widzieć odbłask aerowozu.

Z oddali nie dochodził żaden dźwięk. Z miejsca, gdzie stała, Adele słyszała jedynie krzyki morskiego ptactwa i chlupot zaworów u ujścia Jeziora Floty. Nadciągał przypływ, który wypełni lagunę.

- Znalazłem, sir! - zawołał marynarz, wychyliwszy się z magazynu. - Ile zabieramy?

- Cztery... nie, sześć skrzynek! - zdecydował Leary, zeskakując ze stopnia, by zajrzeć do budynku.

- Im mocniejszy, tym lepszy. Brandy, nie wino, dobrze?

Uczona zauważyła muśnięcie dachu magazynu po przeciwnej stronie ulicy snopem światła z reflektora. Po chwili światło utonęło w rozjaśniającej nieboskłon łunie.

- Ktoś tutaj jedzie! - zawołała. - Główną...

Skrzyżowanie przeciął czterośladowy pojazd i zatrzymał się tak, by zablokować jedyną drogę ucieczki Cinnabarczyków. Pasażer otwartej kabiny włączył reflektor i skierował go wzdłuż ulicy. Okrąg światła spoczął na marynarzach i furgonetce, której maska mierzyła w otwarte wrota magazynu.

- Stać tam, gdzie jesteście! - rozległ się kobiecy głos. - Ręce do góry!

Porażona blaskiem Adele nie widziała zbyt dobrze, zdołała jednak wypatrzeć kilka postaci na tyle drugiego pojazdu. Jedna z nich obsługiwała działko zamontowane na kolumnie pośrodku wehikułu.

Gdy pojazd z działkiem wjechał w ślepą uliczkę, Daniel ruszył naprzód, układając usta w uśmiech. Podwójne reflektory oświetliły ciężarówkę i otaczających ją Cinnabarczyków, dzięki czemu siedząca w pierwszym wehikule oficer mogła skierować lampę na drzwi magazynu. W środku ukrywało się pół tuzina marynarzy; na widoku pozostała jedynie uzbrojona w pistolet Woetjans.

Z tyłu pojazdu siedziało czterech Kostroman. Na rękawach uniformów widniały szerokie, białe opaski z wyszytymi kotwicami - oddział Straży Przybrzeżnej. Mieli karabiny, a jeden skierował lufę automatu na pępek Daniela. W uchwycie pomiędzy kierowcą a pasażerem tkwił pistolet automatyczny, tak iż w razie potrzeby każde z nich mogło go złapać.

- Wszystko w porządku, pani oficer! - zawołał, zastanawiając się, czyjego akcent znów nie narobi mu kłopotów. - Mamy prawo tutaj przebywać. Hasło: Greatorix; jak pani widzi, admirał Sanaus wyposażył nas w kody do drzwi.

Miał ochotę osłonić oczy przed blaskiem, uznał jednak, że nie byłby to dobry pomysł. Lepiej demonstrować policjantce przyjazny uśmiech niż wyglądać na skrępowanego.

- Podnieś te cholerne łapy do góry! - powtórzyła oficer. Wehikuł z działkiem zatrzymał się dziesięć stóp od ciężarówki Hogga; kobieta wstała, lecz nie wysiadła. - Ilu was tam jest? Słyszałam o dwójce cywili i poruczniku.

Sprawiła wrażenie poirytowanej. Leary nie widział jej pagonów, ale mogła być co najwyżej porucznikiem. W obecności Daniela tutaj nie było niczego w oczywisty sposób złego - jak powiedział, znał kody i hasło. Z drugiej strony nie znał żadnego funkcjonariusza Straży Przybrzeżnej z FRC, który byłby pobłażliwy dla marynarzy, a nie sądził, aby na Kostromie sytuacja wyglądała inaczej.

W mieście doszło do eksplozji o takiej sile, że aż zadzwoniły dachówki na magazynie. Lufa działka wahała się, gdy strzelec uchylił się odruchowo. Straż Przybrzeżna wiedziała o przewrotach

wystarczająco wiele, by czuć podenerwowanie, co nijak nie poprawiało sytuacji Cinnabarczyków.

- Tej nocy nikt nie powinien przebywać na terenie magazynów - oznajmiła pani oficer. Nadal stała w otwartej kabinie pojazdu. - Macie natychmiast stanąć rzędem przed tym budynkiem. Ci w środku - natychmiast wychodzić albo, na Boga, wysadzę was w powietrze!

- Sir, tutaj jest mnóstwo alkoholu - zauważył przymilnym tonem Hogg. - Może pani i jej przyjaciele chcieliby skrzyneczkę dla, no wiecie, uprzyjemnienia dalszej służby?

- Kim jesteś? - zapytała z nutką hysterii w głosie oficer. Jedną ręką rozpięła kaburę, a drugą wydobyla pistolet. - Jak ci się wydaje...

Stojący za nią marynarz pochylił się na przód i zdzielił ją w głowę kolbą karabinu.

Odgłos uderzenia przypominał stukot siekiery o pień drzewa. Porucznik zamachała ramionami, wylatując z wozu i padając twarzą na ceglana drogę.

Napastnik wymierzył karabin w Leary'ego.

- Masz z tym jakiś problem? - zapytał.

- Hej, czemu mielibyśmy zostawiać dobrą gorzałkę bogatym oficerom, którzy nigdy nie zrobili nic dla nas? - zawołała przenikliwym głosem Adele Mundy. - Wypijmy *wszystko* sami, powiadam!

- Cholernie słusznie! - zawtórował jej sługa Daniela. Wskoczył z furgonetki i podbiegł do swego pana. - Wszystko!

- Dobrze, dobrze - wyjąkał porucznik z gniewną rezygnacją w głosie, a przynajmniej miał nadzieję, że tak to zabrzmiało. - Powiemy, że ją skradziono. W obliczu tego, co dzieje się tej nocy, nikt nie zauważy różnicy.

Ktoś radośnie zakrzyknął. Kostromanin, który ogłuszył swoją dowódczynię, wyskoczył z pojazdu i ruszył w stronę drzwi magazynu. Marynarze z obu wozów podążyli za nim. Woetjans wraz z trzema najsilniejszymi podwładnymi cofnęli się lekko, by mieć pewność, że wejdą za ostatnim żandarmem.

Daniel wsunął ręce za pas i zaczął cichutko pogwizdywać.

* * *

Adele stała niedaleko drzwi magazynu. Gdyby nie знаła prawdy, uznałaby, że wydarzenia wewnątrz budynku zostały dokładnie wyreżyserowane.

Reflektor ciężarówki zalewał wewnątrz magazynu potopem światła. Postacie żandarmów przecinały je niczym drgające, zniekształcone cienie.

- Teraz! - zakomenderowała mat Woetjans.

Złapała za lufy dwóch karabinów i szarpnęła je w górę, wrywając z rąk marynarzy. Dasi walnął jednego łomem w łeb; Sun złapał drugiego od tyłu za łokcie i z rozpędu walnął jego głową o ceglany słup.

Całej operacji nie towarzyszył ani jeden wystrzał czy choćby okrzyk. Zabrzęczało tłuczone szkło, kiedy ktoś rozbił butelkę brandy na kostromańskim łbie; na szczęście dużo jeszcze pozostało. Straż Przybrzeżna legła pokotem, zanim zorientowała się, że czekało na nią coś więcej niżli skrzynki z alkoholem.

- Wszystko w idealnym porządku, sir - zameldowała Woetjans.

- Pięciu z was, założyć ich opaski - zarządził oficer FRC. Hogg podszedł do drzwi magazynu, dzierżąc pistolet gotowy do strzału, a jego pan ukląkł przy Kostromance. - Adele, pozwól tutaj, proszę.

Zabrzmiało to dla niej bardziej jak rozkaz niż prośba, lecz w tych okolicznościach nie dopatrzyła się w tym niczego niestosownego. Podeszła do wołającego.

Odpinał nieprzytomnej pas z kaburą. Teraz, kiedy ofiara leżała w światłach reflektorów, Adele ujrzała młodą kobietę o krótkich blond loczkach i szczurzej twarzy. Z prawej skroni sączyła się krew, ale ranna oddychała normalnie.

Daniel podniósł wzrok.

- Moim zdaniem, będzie na ciebie pasować - orzekł. - Przebierz się szybko. Miejmy nadzieję, że wartownicy przed bramą nie zwrócą na ciebie uwagi przy wyjeździe.

- Och - wyrwało się bibliotekarce.

Natychmiast zrozumiała: wartownicy wezwali Straż Przybrzeżną, żeby sprawdziła ciężarówkę, którą wpuścili na teren magazynów. Gdyby furgonetka próbowała wyjechać bez eskorty, strażnicy zaczęliby dociekać, co się stało z oddziałem. Istniało prawdopodobieństwo, że dojdą do właściwej odpowiedzi. Żadna z pozostałych Cinnabarek nie była na tyle szczupła, by udawać dowódczynię patrolu.

Zrozumienie to jedno. Na myśl o podszywaniu się pod kostromańskiego oficera, *zachowywaniu się* jak ona, Adele Mundy zdjął przemożny strach. Nigdy nie lubiła występów przed publicznością ani obrzucających ją spojrzeń. Na głos powiedziała:

- Tak, w porządku.

Zrzuciła tunikę. Mundur nie miał kieszeni na jej komputer. Na razie owinęła go własnymi spodniami i wepchnęła tobolek pod siedzenie policyjnego pojazdu.

Porucznik skończył rozbierać ogłuszoną panią oficer, po czym podszedł do drzwi, podczas gdy Adele przebierała się.

Bibliotekarka wciągnęła oficerskie spodnie. Pasowały, ale mundur był ciaśniejszy, niż przywykła. Wściekła się na ocierające ją ubranie. Upomniała się, że po prostu przenosi gniew wywołany całą sytuacją na coś trywialnego... a sytuacja ta wynikała bardziej z jej winy niż kogokolwiek innego.

Być może dlatego właśnie była taka *wściekła*.

Wrócił do niej Daniel. Wyciągnął pistolet ze skórzanej kabury, mówiąc:

- Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek miała taki w dłoni, Adele?

- Nie - odparła. Był to pistolet elektromotoryczny lokalnego producenta; nigdy z takiego nie strzelała ani nawet nie trzymała. Broń była bardzo masywna, lecz wystrzeliwane przez nią pociski nie przewyższały rozmiarami ani prędkością tych, które wypluwał spoczywający w jej kieszeni mały pistolecik z Cinnabaru.

Mimo to broń z Kostromy była całkiem skuteczna, jeśli tylko nie miało się nic przeciwko jej rozmiarom. Śmierć Vanessa stanowiła wystarczający dowód.

Porucznik Leary skrzywił się i wstał.

- Cóż, tak sądziłem - oznajmił. - Patrz, to jest bezpiecznik; żeby strzelić, musisz przesunąć go kciukiem do przodu. Jednak pewnie lepiej będzie, jeżeli nie spróbujesz. Wyrządziłabyś więcej szkód niż pożytku.

Adele opadła szczęka ze zdumienia. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że pytanie Daniela było natury ogólnej - „Czy kiedykolwiek strzelałaś z pistoletu?” - podczas gdy ona odpowiedziała na słowa, którymi faktycznie się posłużył: „Czy kiedykolwiek używałaś takiego modelu?”

- Wolałbym przypasać go sobie - dodał, patrząc w stronę magazynu, z którego marynarze wynosili brandy - wszak po nią właśnie tutaj przyjechali. - Ale nie odważę się. Porucznik patrolu Straży Przybrzeżnej powinien być uzbrojony. Ach, dobrze.

Schował pistolet do kabury i podał go mistrzyni. Chciała wyjaśnić nieporozumienie, ale słowa utkwili jej w gardle z zakłopotania i złości. Kimże *on* był, żeby zakładać, iż Adele Mundy nie umie

strzelać?

Zanim postanowiła, co powinna powiedzieć, porucznik podszedł do rzędu Kostroman wywleczonych przez jego ludzi z magazynu. Byli zakrwawieni i powiązani własnymi tunikami, lecz żaden nie odniósł poważniejszych obrażeń, czego obawiała się Adele.

Daniel spojrzął z góry na jeńców, wsparłszy się pod boki.

- Nie powinniście mieć problemów z uwolnieniem się - przemówił grzecznym tonem. - Co zrobicie potem, to już wasza sprawa. Zostawimy magazyn otwarty, więc nie krępujcie się, jeżeli chcecie trochę się zabawić i zarobić parę florenów, sprzedając to, czego nie wyniesiecie w brzuchach.

Cinnabarscy takielarze czekali w pełnym szacunku milczeniu, przysłuchując się dowódcy z równym zainteresowaniem, co Kostromanie. Wiedzieli, że ich życie zależało od właściwych decyzji Daniela.

- Z drugiej strony może postanowicie złożyć dokładny raport z zajścia tutaj - ciągnął z uśmiechem. - Jestem pewny, że wasza pani porucznik będzie zachwycona, mogąc podać własną wersję wydarzeń. Wasz wybór. - Odwrócił się. - Wszyscy gotowi? - zapytał. - Adele? No to wsiadamy. Policyjne opaski w wozie z działkiem, reszta jak poprzednio. Hogg jedzie pierwszy ciężarówką, a eskorta za nim.

- Na stanowiska! - ryknęła Ellie Woetjans, zakładając opaskę żandarma. Zasiadła za sterem uzbrojonego pojazdu.

Ledwo uczona zdążyła zająć miejsce w kabinie, a służący już ruszył z miejsca. Torturując silnik, Woetjans pomknęła za ciężarówką i z rykiem wypadła na drogę.

Adele zastanawiała się, co właściwie powinien robić porucznik. Jeśli chodziło o to, co powinna robić Adele Mundy, to jej komputer leżał pod ławką, gotowy do użycia.

A jej własny pistolet spoczywał w wewnętrznej kieszeni pożyczonej kurtki.

* * *

Mundur Candace'a był za ciasny w ramionach i udach, a zbyt luźny w biodrach i wręcz workowaty na pośladkach. Daniel mógłby uznać, że był w lepszej formie niż w rzeczywistości, lecz w tej chwili zwyczajnie odczuwał niewygodę.

W Pływającej Przystani lądował statek kosmiczny, budząc echa i tworząc widmowy poblask na trzęsawiskach. W obecnej sytuacji była to prawdopodobnie jednostka Sojuszu zaangażowana w przewrót: okręt wojenny lub wyładowany żołnierzami i sprzętem transportowic.

Leary omal się nie przewrócił, gramoląc się ze skrzynką brandy do kabiny. Nie wywarło to na nim zbyt dobrego wrażenia, jeśli chodziło o okazaną właśnie sprawność fizyczną.

Hogg zerknął na alkohol na kolanach Daniela.

- Wie pan, z tyłu jest dosyć miejsca, zwłaszcza po przejściu sześciorga takielarzy na wóz patrolowy.

- To dla naszych przyjaciół na bramie - wyjaśnił porucznik. - Nie chcę otwierać budy, kiedy się zatrzymamy.

- Aha - mruknął sługa. Jezdnia przed nimi była pofałdowana niczym mapa topograficzna pomarszczona od wilgoci. Kierowca zredukował bieg. - Moim zdaniem - dodał nie odrywając oczu od drogi - zmiana podejścia, które okazało się skuteczne, nie jest zbyt mądre.

- Mogliśmy zamknąć żandarmów w magazynie - zgodził się z nim Daniel - a potem przebić się na zewnątrz tak samo, jak się tutaj dostaliśmy. - Uśmiechnął się na samą myśl. Potraktował

wartowników jak bandę nieopierzonych rekrutów, nie mających pojęcia o dyscyplinie. Na sprawnie zarządzanym okręcie oficer rzadko musi używać rąk, ponieważ załoga wybiłaby buńczuczny żółtodziobom bezczelność z głów podczas pierwszego „zgasić światła”. - Niemniej jeżeli magazyny zostały splądrowane, - korzystając z pijaństwa wartowników - kontynuował na głos - albo jeszcze lepiej: *przez* pijanych strażników, to nikt nie dowie się o naszym istnieniu. Wolę to od zostawiania za sobą szlaku trupów i wkurzonych ocalałych. Więcej much zwabisz miodem niż octem, Hogg. Służący prychnął.

- A ile warte jest futro much, paniczu? - zapytał. - Na zdobycz wartą oskórowania najlepsze są wnyki. Ale przyjmuję pańskie rozumowanie.

Zbliżali się do zapory z trzech sztab, oświetlonej przez latarnię na słupie znajdującym się 40 jardów dalej. Niewielka lampka paliła się również w małym ceglany budyneczku straży, tworzącym wschodni filar bramy.

Na widok zbliżających się pojazdów kostromańscy marynarze ustawili się po obu stronach drogi. Unieśli karabiny, lecz nie celowali.

Hogg zwolnił i ostatnie sto jardów do bramy „podpełzł” na najniższym biegu. Drzwi kabiny otwierały się na zewnątrz. Daniel Leary zwolnił rygiel i gdy ciężarówka wreszcie zatrzymała się, pozwolił inercji rozewrzeć je na całą szerokość. Postawił stopę na stopniu, zarzucił sobie brandy na ramię - dzięki Bogu, bez problemu - i zszedł na ziemię.

- To dla was, przyjaciele - oznajmił serdecznie, idąc w stronę Kostroman. Celowo wybrał marynarza, którego wcześniej poddusił, pozbawiając przytomności. - Wiecie: ta skrzynka stłukła się w czasie transportu.

Ściągnął brandy z ramienia i podał zaskoczonemu Kostromaninowi. Mężczyzna próbował przyjąć podarunek, nie wypuszczając z rąk karabinu. Ciężar był zbyt wielki - skrzynkę wykonano z drewna, a w środku znajdowały się pełne butelki - więc upuścił broń, by użyć obu rąk.

- Nie chcę wyrzucić wrażenia, że dżentelmen z L'ven nie wie, co to wspaniałomyślność - oznajmił dobrotliwie Daniel.

Reszta marynarzy skupiła się wokół kamrata. Jedna z trojga stojących za bramą zaczęła przełazić przez zaporę, by pobrać swój udział, nie zważając na gniewny rozkaz przełożonego.

Porucznik położył rękę na wieku skrzyni, wokół której tłoczyli się Kostromanie.

- Najpierw dajcie mi stąd wyjechać, dobrze? - zaproponował. Wycelował w bramę palec wskazujący lewej dłoni.

- Słusznie! - zawołał oficer. - Otworzyć bramę, a potem zajmiemy się tamtymi.

- Zająłbym się raczej brandy - podsunął Daniel z ojcowskim uśmiechem na twarzy szóstce marynarzy, którzy próbowali utrzymać skrzynkę w powietrzu. - Postawcie ją tutaj.

Kostromanie popatrzyli po sobie. Stojący pośrodku ukląkł i ustawił skrzynię na ceglany bruku. Potem jak jeden mąż rzucili się ku zaporze, otwierając ją z jeszcze większą werwą niż podczas wpuszczania ciężarówki do środka. Cinnabarczyk zastanawiał się leniwie, czy kiedykolwiek posłuchali własnego przełożonego równie ochoczo, jak jego teraz.

Cóż, sądząc po tym, co zobaczył do tej pory, nie istniało zbyt wiele powodów, by okazywać posłuszeństwo kostromańskim oficerom...

Natychmiast, gdy tylko uznał, że prześwit jest wystarczający, Hogg zwiększył obroty silnika. Daniel czekał z udawanym znużeniem na powrót wartowników, nieco zdyszanych po wysiłku. Skinął im głową i wsiadł do ciężarówki.

- Teraz ostrożnie - poinstruował swego służącego. - Nie chcemy przecież, żeby uznali, iż obrabowaliśmy bank.

Sługa skrzywił się, niemniej przejechał przez bramę z prędkością, której nikt nie wzięby za ucieczkę. Uzbrojony wóz wyturlał się za nimi.

Marynarze zabrali się za otwieranie skrzynki lufami karabinów. Kilku z nich wiwatowało na cześć Daniela.

* * *

Na ulicach Kostromy panował większy ruch, niż Adele pamiętała z wcześniejszych godzin. Na każdym cywilnym pojeździe w zasięgu wzroku powiewał czarnożółty proporczyk lub chorągiewka, lecz większość należała do neutralnych obywateli, którzy właśnie opuszczali miasto z większością możliwych do przewiezienia kosztowności.

Nadal widzieli mnóstwo trójkołowców z Zojirami bądź pozostającymi na ich usługach bandytami. Część pojazdów przewoziła więźniów; inne pełne były zrabowanych dóbr.

- Sojusz obsadził już dachy - mruknęła z wyraźnym niepokojem Woetjans. Prowadziła uzbrojony pojazd z wprawą, lecz bez polotu, ściskając ster tak, jakby skręcała tylko dzięki sile szarpnięć. - Powinniśmy byli objechać miasto, zamiast pakować się w samo centrum.

Adele dostrzegła dwu - i trzyosobowe grupki, obserwujące ulice z dachów, uznała ich jednak za gapiów lub właścicieli strzegących swoich domów. Owszem, byli uzbrojeni, lecz przyjęła to jako coś zupełnie naturalnego. Doświadczone oko żeglarki zauważyło mundury i sprzęt, które powiedziały jej coś zupełnie innego.

Klan Zojirów terroryzował swych wrogów; urodzeni w Kostromie gangsterzy zbijali fortuny. Sojusz Wolnych Gwiazd skupiał się bardziej na kontrolowaniu planety niż tak ulotnych sprawach.

- Hogg nie miał wyboru - zauważyła spokojnie bibliotekarka. Woetjans słusznie niepokoiła się sytuacją, ale obwinianie służącego mogło mieć później nieprzyjemne konsekwencje. - Wszystkie drogi na wyspie prowadzą przez miasto, przynajmniej te z południa. Cała planeta została stąd skolonizowana.

- Taaa. Cóż, myślę, że pan Leary wie, co robi - odparła mat. - Jego dowodzenie to jedyne szczęście w całym tym bałaganie.

Adele nie miała pojęcia, skąd Daniel *miałby* wiedzieć, co robić, teraz jednak wolała nie mówić tego głośno. Fakt, że porucznik zdawał się panować nad sytuacją.

Być może na tym właśnie polegało bycie oficerem marynarki: na udawaniu, że wie się, co robić. Niestety, w jej zawodzie, polegającym na pozyskiwaniu informacji, nie zdawało to egzaminu.

Ciężarówka Hogga zwolniła. Leary wychylił się przez okno i machnięciem ręki kazał jechać uzbrojonemu pojazdowi przodem.

Jakiś gang okradał dom, przez rozbite drzwi wynosząc meble prosto na barkę kołyszącą się na kanale, który biegł wzdłuż tego akurat bulwaru. Kilku rabusiów bawiło się w kierowanie ruchem, gestami nakazując nadjeżdżającym pojazdom zawracać i przejechać mostem na drugą stronę drogi.

- Żwawo - rzuciła Woetjans przez ramię.

Czterech marynarzy usadowionych z tyłu już szukało celów. Szczęknięto przeładowywane działko.

Mundy dumiała, czy powinna rozpiąć kaburę pistoletu automatycznego. Postanowiła tego nie robić - jeśli dojdzie do strzelaniny, lepiej będzie używać broni, do której przywykła.

Ellie Woetjans zaczęła objeżdżać ciężarówkę. Bandyci rozbiegli się na pobocza. Hogg przyspieszył, zaczepiając końcem zderzaka kanapę upuszczoną w pośpiechu przez tragarzy. Inkrustacje z kości słoniowej i macicy perłowej rozprysły się jak motyle. Koła podskoczyły na porzuconej poduszce. Przejechali.

- Tak w ogóle, to ile jest portów kosmicznych na Kostromie?

- zapytała niedbale Adele, chcąc uspokoić żołądek. Ciało pod kołami dałoby ten sam efekt.

- Jeden cholerny kosmodrom - odparła ponuro mat Woetjans.

- Inne wyspy handlują z asteroidami. Kopalnie i fabryki na asteroidach utrzymują bezpośrednie połączenia pozaukładowe. One również wpadną w łapy Sojuszu, ale nie zdziwiłabym się, gdyby pan Leary postanowił przemycić nas tam na jednym ze statków zaopatrzeniowych. - Zerknęła na uczoną i dodała - nie sądzę, żeby spodziewali się, iż ktoś zechce porwać statek z asteroidy, nie?

- To bardzo możliwe - odrzekła.

Czuła pustkę. Wymiana zdań udowodniła jej, że Woetjans, daleko bardziej doświadczona od niej - i od Daniela Leary'ego, jeśli już o tym mowa - nie widziała żadnego sposobu na wydostanie się z tego systemu-pułapki. Jedyne, co osiągnęła tym swoim bieganiem w kółko, to zastrzelenie ich zamiast internowania.

Zbliżali się do placu, nad którym górował pałac klanu rządzącego Kostromą przed Przerwą. Budowla jawiła się jako imponujący monument z pociemniałych cegieł, wewnątrz którego mieszkali teraz robotnicy. Najwyższa, trzecia, kondygnacja przecięta była dodatkową podłogą. Nowy strop dzielił wysokie okna niczym gigantyczna poprzeczka.

Dwie największe fontanny na placu wyschły. Okoliczni mieszkańcy zamienili je na śmietniki. Do placu dochodziło osiem ulic. Ciężarówka gwałtownie zwolniła; bibliotekarka uznała, że to z powodu dużego ruchu, zaraz jednak zauważyła przycupniętego pomiędzy fontannami LOT-a.

Ponad stu uzbrojonych Zojirów sprawdzało każdy pojazd, który wjechał na plac. Każdym oddziałem dowodził oficer Sojuszu, a szturmowcy obsadzili dachy.

Jadący przed Hoggiem trójkołowiec zatrzymał się i próbował wycofać z placu. Najbliższy oficer Sojuszu przemówił do wbudowanego w hełm mikrofonu. Co najmniej sześciu snajperów otworzyło ogień z dachów.

Pociski mknęły z prędkością meteorów. Przebiły cienką karoserię trójkołowca i wszystko, co znajdowało się w środku, po czym porozbijały chodnik po drugiej stronie. Odpryski ceglanych płyt pofrunęły na wszystkie strony niczym odłamki granatów, zaś same pociski zamieniły się w parę, natrafiając na coś wystarczająco twardego, by je zatrzymać.

Kierowca spadł z siedzenia. Z tyłu też ktoś siedział; kobiece ramię wysunęło się na zewnątrz, gdy pociski przebiły drzwiczki. Pod pojazdem powiększała się kałuża ropy. Nie zajęła się ogniem, choć w strzaskanym silniku płonął olej.

- Wyjedź przed ciężarówkę - rozkazała energicznie Adele. Wstała z siedzenia i przytrzymała się ręką krawędzi przedniej szyby.

- Nie możemy walczyć z tymi wszystkimi... - zaczęła Woetjans.

- Rób, co ci mówię! - ucięła mistrzyni. Oblizła suche wargi i dodała - nie będziemy z nikim walczyć. Wyłgam nas z tego.

Takielarka nacisnęła klakson, ostrzegając Hogga, że go wyprzedza. Pod czujnym okiem oficera Sojuszu kostromańscy żołnierze już podchodzili z obu stron do ciężarówki. Zojira wymierzył z karabinu w Woetjans.

- Zostań tutaj - rzuciła Adele, wychodząc z wozu i podchodząc do żołnierzy. - Ty! - zawołała do oficera Sojuszu.

- Tej nocy marynarka nie ma żadnej władzy - oświadczył żołnierz. Sięgnął po kłamkę harmonijkowych drzwi.

- Nie dotykaj tego pojazdu, jeśli chcesz dożyć poranka! - zawołała Mundy w uniwersalnym z akcentem wyższych klas Bryce.

Odepchnęła pistolet, który drugi Zojira wymierzył w jej pierś. Zmarszczyła nos, czując smród spalin i fekaliów, bijący od zastrzelonego kierowcy trójkołowca.

- Zajmę się tym - włączył się oficer Sojuszu. Podeszedł do Adele, stojącej przy przednim błotniku ciężarówki. - Kim jesteś?

Mówił z akcentem z Pleasaunce; zorientował się już, że kobieta nie wysławia się jak tubylcy. Był młodym mężczyzną z czarnym, podciętym wąsem i tikiem lewego oka.

- Moje nazwisko nie ma najmniejszego znaczenia - odrzekła. Oficer zachowywał się niepewnie, ona nie; to ona panowała nad sytuacją, choć jedno słowo tego *chłopca* mogło w mgnieniu oka zakończyć jej żywot. - Kostromanie w obu pojazdach znajdują się pod moimi rozkazami. Zadzwoń do swoich przełożonych i przekaz im, że chodzi o kod Błękitny Chrom. Jeśli będą mieli trudności z zatwierdzeniem mojego przejazdu, mają poradzić się pana Markosa. Rozumiesz?

Mężczyzna skrzywił się. Pogłębił mu się tik.

- Proszę się odsunąć - rozkazał.

Adele parsknęła i nie ruszyła się z miejsca.

Wojskowy sam się cofnął i przemówił do mikrofonu w hełmie. Nie słyszała słów, widziała jednak, jak jego wargi formują słowa: „błękitny chrom”.

Tak brzmiał kod zabezpieczający Kostromę. Znalazła go w wiadomościach Sojuszu, które przeglądała, czekając na załadowanie ciężarówki w magazynach. Same wiadomości nie miały dla uciekinierów żadnego znaczenia, ale znajomość kodu dawała Adele obiektywny dowód na to, co sugerował jej akcent: że była utajnioną agentką Sojuszu.

Niskiemu stopniem oficerowi Sojuszu nazwisko Markosa nic nie mówiło, ale jego przełożonym tak. Nie mieliby ochoty zwracać głowy Markosowi lub opóźniać jednego z jego agentów bardziej nawet niż wetknąć głowę do rozgrzanego paleniska.

A rozpalony piec to bardzo prawdopodobny koniec dla każdego, kto wszedłby temu szpiegowi w drogę.

Młodemu człowiekowi opadła szczeka, gdy usłyszał odpowiedź na swoje pytanie.

- Tak jest, sir - powiedział głośno. Energicznie kiwnął głową. - Tak jest, *sir*. Mówił Baltazar Trzy Jeden.

- Dołóż starań, żeby ta hałastra więcej nas nie niepokoiła - poleciała Mundy, nie czekając, aż oficer zwróci się do niej bezpośrednio. Machnęła w kierunku kolejnego posterunku. - I nie zapisuj tego. Masz to wyrzucić z pamięci, jasne?

- Tak jest - odparł. - Może pani jechać.

- Naprzód - Adele zawołała szorstko w stronę kabiny furgonetki. Wróciła do wozu z działkiem.

Hogg i Daniel patrzyli na nią z podziwem. Mogła liczyć na obu, że kiedy będzie trzeba, doskonale odegrają swoje role.

* * *

Za północnymi rogatkami Kostromy nawierzchnia drogi zamieniła się w żwir, w dodatku bardzo kiepsko utrzymany. Ciężarówka była tak załadowana, że tylne resory zupełnie siadły, zanim nawet koło wpadło w dziurę. Leary przypuszczał, że przednie amortyzatory były w lepszym stanie, ale również pozostawiały wiele do życzenia.

- OK. , tutaj jest - rzucił jego sługa, gdy światło reflektora omiotło narożnik budynku skrytego za gęstą roślinnością. - Nie chciałbym dyktować panu, co robić, ale *to ja* znam tych ludzi.

- Oczywiście - odparł Daniel. - Jeśli sytuacja będzie odpowiadać naszym oczekiwaniom,

zajmiesz się negocjacjami.

Droga skręciła o 90 stopni; Hogg zwolnił. Gdy ciężarówka, kołyszac się, pokonywała głęboką koleinę na skraju zakrętu, jej światło wydobyło z mroku sporą grupę nadbrzeżnych dwu - i trzypiętrowych domostw.

- Hej, to są prawdziwe domy - zauważył ze zdziwieniem porucznik. Przez ostatnich kilka mil widywali jedynie chałupy o blaszanych dachach i ścianach z połamanymi deskami. - Nie spodziewałem się...

- Przemysł to całkiem dobry sposób na dorobienie się, sir - wyjaśnił starszy mężczyzna. - I dość rozpowszechniony.

- Partery budynków zajmowały sklepy, a na wyższych kondygnacjach znajdowały się mieszkania. Użyte do budowy cegły miały kolor bardziej rudy niż brzoskwiniowy i żółty budulec powszechny w Kostromie. Szeroki chodnik pomiędzy budynkami a nabrzeżem był również ceglany. Składowano tam towary, czasami pod plandekami, lecz jedynym solidnym budynkiem było ośmiokątne biuro, zbudowane z cegły, należące do kapitana portu.

W zatoce schroniło się co najmniej sto statków. W większości były to małe jednostki, zeskładowane pod zadaszeniem po trzy - cztery. Wzdłuż kei kołysały się barki i jachty.

Przewrót nie przeraził skupionej wokół zatoki społeczności tak, jak mieszczan z Kostromy. Okna pozamykano, jednak w środku paliły się światła - mieszkańcy czekali na następny akt dramatu. Jasno było także w kapitanacie. Budynek wyglądał jak garnizon z co najmniej dwudziestoosobową załogą.

Daniel chłodno ocenił strażników: opryski, z których tylko paru pofatygowało się, by przypiąć sobie barwy Zojirów. Dokładnie tego oczekiwali z Hoggiem.

Blask reflektorów ostrzegł garnizon przed ich przybyciem. Każdy uzbrojony był w pistolet automatyczny, wielu nosiło dodatkowe pistolety lub noże, by wyglądać jeszcze bardziej odstraszająco. Ręczną broń wspierała sześciokołowa amfibia z karabinem maszynowym na dachu.

Wymierzonym w Daniela i Hoggę. Tego również się spodziewali.

- OK. - rzucił cicho sługa, zwalnając i zatrzymując ciężarówkę 20 jardów od kapitanatu. Uzbrojona amfibia parkowała wzdłuż ściany, podczas gdy większość zbirów wykorzystwała wał nadbrzeżny w charakterze transzei, sponad której do nich celowali. - W porządku, to chłopaki Gansera. Robiłem z nim interesy, ale nigdy nie odwróciłbym się do niego plecami.

- Dobrze - mruknął porucznik. Jednocześnie z Hoggiem otworzyli drzwi, powoli i gładko. - Ty z nimi negocjujesz, a ja na bieżąco informuję resztę oddziału.

- Hej, łotry, zawracać tam, skąd przyjechaliście! - dobiegł ich z biura męski głos. - To jest nasze, słyszycie?

- To ja, Ganser! - odkrzyknął Hogg. Stał przed ciężarówką tak, żeby padało na niego światło reflektora. Za pas zatknął sobie olbrzymi kostromański pistolet; obie dłonie miał puste. - Pora na odrobinę handlu, to wszystko.

Ruszył w stronę biura. Daniel kiwnął głową ochronie, podszedł do tyłu ciężarówki i otworzył ją. Nie musiał przypominać sobie losu trójkołowca, by wiedzieć, co ogień maszynowy zrobiłby z kryjącymi się wewnątrz furgonetki.

Uśmiechnął się grzecznie, chcąc uspokoić zbirów, których mogłyby świerzbic palce na spustach.

- Rozproście się trochę - nakazał czekającym w środku marynarzom. Teraz Sun piastował pistolet, który Woetjans zostawiła, przesiadając się do wozu z działkiem. - W razie czego biegnijcie na bagna.

Następnie podszedł do uzbrojonego pojazdu, trzymając ręce w kieszeniach i pogwizdywaniem sugerując beztróską niewinność. Mat zatrzymała się 20 jardów dalej. Wyłączyła reflektory na

wypadek strzelaniny, dzięki czemu nie oświetlały ciężarówki.

Z furgonetki wysypali się takielarze uzbrojeni w karabiny; jeden z nich zajął się obserwacją drogi, na wypadek gdyby ktoś z garnizonu okazał się na tyle bystry, by wystawić tam posterunek. Leary wątpił w taką możliwość, ale było to oznaką profesjonalizmu, która dobrze świadczyła o jego podwładnych.

Woetjans pozostała na siedzeniu kierowcy. Strzelec Lamsøe celował z działka nie w amfibię, tylko w kapitanat portu. Jeden strzał rozniósłby niewielki ceglany budynek. Szczupła Adele Mundy z wyniosłą miną stanęła koło ciężarówki. W kostromańskim mundurze wyglądała, zdaniem Daniela, na stuprocentowego oficera.

Wciąż pozostawał pod wrażeniem sposobu, w jaki Adele przeprowadziła ich przez punkt kontrolny. On sam bardziej liczył na ogólne zamieszanie panujące w Kostromie. Zojirowie nie zorganizowali się wystarczająco dobrze, by zamrozić cały ruch, a historyjka porucznika o wykonywaniu specjalnej misji dla wielkiego admirała Sanausa była jednocześnie wiarygodna i niemożliwa do sprawdzenia w ogólnym chaosie. Pewne zagrożenie stanowił jego akcent, lecz tej nocy nie mogli mieć nadziei na przetrwanie bez choćby odrobiny ryzyka.

- Jeśli wszystko wypali, to Hogg wynajmie dla nas statek wyjaśnił Daniel. Nie chciał krzyczeć, żeby stojący nieopodal trzech marynarze niczego nie usłyszeli. - Mówi, że ludziom, z którymi handluje, nie można ufać, wobec czego musimy zachowywać wzmożoną czujność, dopóki nie wydostaniemy się stąd.

Bibliotekarka prychnęła.

- Nie sądzę, aby tej nocy można było zaufać komukolwiek na Kostromie - rzekła. Nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej; ona tylko analizowała.

- Z wyjątkiem nas samych - zgodził się oficer FRC.

Po krótkiej rozmowie sługa opuścił biuro kapitana portu. Daniel wyszedł mu naprzeciw, idąc spokojnym, rozważnym krokiem. Kostromanie zaczęli wylazić zza wału i siadać na nim. Wykrzyczane z kapitanatu wezwanie ściągnęło wszystkich do środka, nawet trzyosobową obsadę karabinu maszynowego.

- Mają dwudziestometrowy jacht, *Ahurę* - powiedział Hogg, dołączając do Leary'ego przy szoferce furgonetki. O dyscyplinie Cinnabarczyków dobrze świadczył fakt, że marynarze stojący dalej od pojazdu nie zbiegli się, by wysłuchać relacji służącego. - Napędzany energią słoneczną elektrolot, prawdziwe cudo. Dadzą nam go za dwie skrzynki brandy i oba pojazdy, którymi przyjechaliśmy.

- Kradziony? - zapytał Daniel, zezując w stronę zatoki. Wydało mu się, że na samym skraju światła dojrzał stateczek ze zwiniętymi żaglami, cumujący do kei. Opisywany przez Hogg'a jacht powinien kosztować co najmniej tyle, co luksusowy aerowóz.

- Blisko - przytaknął starszy mężczyzna. - Właściciele znajdowali się po złej stronie podczas przejmowania władzy przez Hajasów, więc został skonfiskowany wraz z domem i resztą. Teraz, kiedy Hajasów już nie ma, dawni właściciele upomną się o swoją własność. Ganser liczy na to, że jak *Ahura* zniknie, nikt nie udowodni, że to on był odpowiedzialny za grabież.

Porucznik przeniósł wzrok z jachtu na biuro. Dzięki goglom mógłby zajrzeć do środka przez okna, ale ujawnianie przed gangsterami cinnabarskiego sprzętu nie byłoby raczej zbyt mądre.

- Nadal wygląda mi to na zbyt dobry interes - uznał.

- Taaa, też tak uważam - zgodził się z kwaśną miną Hogg. - Niemniej nie mamy innego wyjścia, jak tylko mieć oczy szeroko otwarte i przeć naprzód.

Daniel poklepał sługę po ramieniu.

- Kiedy zjedziemy na keję, by rozładować ciężarówkę, znajdziemy się poza zasięgiem ich broni maszynowej - zauważył. Bez takiej przewagi tego typu ludzie niczego nie przedsięwzją. - Pomachał ręką do rozproszonych marynarzy. - Zbiórka! - rozkazał. - Przenieśmy żywność do tamtego statku, a potem urządzimy sobie małe wakacje.

Leary wierzył w planowanie, gdy dysponowało się czasem i informacjami, by tego dokonać; jednak nawet jeśli tego brakowało, trzeba było działać. Istniała tylko jedna rzecz gorsza od próby wyobrażenia sobie każdej ewentualności, kiedy z przyczyn praktycznych powinno się lecieć na oślep: paraliż wynikający z *niemożności* wyobrażenia sobie każdej ewentualności.

- A jeśli coś złączą - dodał wsiadając do kabiny obok służącego - zajmiemy się tym.

* * *

Adele zaoferowała pomoc przy załadunku jachtu. Woetjans odparła:

- Nie, mistrzyni, jest pani oficerem - jej ton mówił: „Narobiłaby pani więcej zamieszania niż warto”.

Bibliotekarka nie uznała tego za obrazę, jako iż jej zdaniem stanowiło to obiektywną prawdę. Stała na szczycie wału i obserwowała wydarzenia.

Hogg wycofał ciężarówkę do stopni prowadzących na keję, lecz odległość do *Ahury* nadal była zbyt duża, by takielarze uformowali żywy łańcuch. Nosili racje żywnościowe po jednym pudle na raz.

Mat i trzech żeglarze wymontowali działko z wozu policyjnego, po czym razem z amunicją przenieśli je na jacht. Aby móc korzystać z broni, przytwierdzono ją bardzo solidnie - poprzednia podpora była przyspawana do ramy wehikułu i nie dało się jej usunąć. Albo Woetjans liczyła na to, że znajdzie jakieś podparcie na *Ahurze*, albo zwyczajnie nie chciała, żeby broń pozostała w rękach Gansera, gdy Cinnabarczycy będą jeszcze w zasięgu strzału.

Kostromanie jakoś nie garnęli się do pomocy przy ładowaniu *Ahury*. Adele i tak wątpiła, żeby Daniel im na to pozwolił. Gapili się na nich i półgłosem wymieniali jakieś uwagi. Zdawała sobie sprawę, że przypisywała im złe zamiary głównie ze względu na złowrogi wygląd, lecz ludzie, którzy tyle wysiłku włożyli w złowieszczy wizerunek, prawdopodobnie *byli* łotrami.

Podczas gdy jedni marynarze kursowali tam i z powrotem z pakunkami, inni pozostawiali cały czas na pokładzie jachtu, nie rozstając się z bronią. Leary musiał widocznie postanowić, że powinni zgromadzić całą posiadaną broń na środku transportu, którym Cinnabarczycy mieli nadzieję uciec. Zawołał Mundy do siebie; pokręciła głową i pozostała tam, gdzie była.

20 jardów od niej znajdował się tył amfibii. Ciężki arkusz stali, przyspawany za kabiną, chronił obsadę karabinu maszynowego przed ogniem od czoła, lecz ze względu na sposób umocowania broń mogła jedynie zataczać łuk o promieniu 60 stopni w prawo lub w lewo w stosunku do osi pojazdu. Jak długo amfibia stała tam, gdzie stała, karabin nie zagrażał *Ahurze*.

Adele mogła nie przydać się przy dźwiganiu skrzynek na jacht, była jednak całkiem pewna, iż jak długo żyła, karabin maszynowy nie stanowił dla Cinnabarczyków zagrożenia.

Daniel zniknął pod pokładem *Ahury*, żeby sprawdzić kadłub. Następnie przyjrzał się kokpitowi. Dopiero teraz, kiedy się nad tym zastanowiła, bibliotekarka uznała, że podobieństwo pomiędzy statkiem morskim a kosmicznym jest bardzo powierzchowne. Możliwe, iż porucznik Leary był jedynym w całej grupie, kto wiedział cokolwiek o jednostce pływającej typu *Ahury*, i to tylko dlatego, że wychowywał się na wybrzeżu, a nie dzięki jakiemuś szkoleniu.

Z biura kapitanatu wyszło pięcioro Kostroman i ruszyło w stronę Adele. Z pozoru prowadzili niewinną rozmowę, jednak wątki „konwersacji” nie zazębiały się - żaden ze zbirów nie słuchał

pozostałych.

Zaraz ich zaatakują.

Trzech Kostroman, samych mężczyzn, skręciło do amfibii. Dwoje pozostałych, mężczyzna i kobieta, stanęło na wale raptem sześć stóp od uczonej. Patrzyli na zatokę, lecz co chwilę zerkali z ukosa na bibliotekarkę. Mężczyzna opisywał *Ahurę*; kobieta opowiadała o przeciekającym dachu i kałuży wody, jaka tworzyła się w jej pokoju podczas każdego deszczu.

Adele odwróciła się do nich plecami, cały czas jednak obserwując ich odbicie w oknie biura. Kiedy Kostromanie uznali, że zwierzyzna nie może ich dłużej widzieć, oboje natychmiast sprężyli się do działania.

Dwóch z drugiej grupy wskoczyło na tył amfibii i usiadło, zwieszając nogi za burtę. Trzeci wgramolił się do kabiny. Silnik przez chwilę zgrzytał, wreszcie zaskoczył.

Mundy uniosła prawą dłoń i ostentacyjnie podrapała się po karku. Lewa ręka zanurkowała w kieszeń tuniki. Wyciągnęła pistolet, kryjąc go we wnętrzu dłoni.

Amfibia wykręciła i zatrzymała się. Ze skrzypieniem zaczęła się cofać. Mężczyźni z tyłu, udający zrelaksowanych, wstali. Marynarz na *Ahurze* wykrzyczał ostrzeżenie.

Adele odwróciła się do pary za jej plecami. Mężczyzna kierował w jej stronę automat. Trafiła go w pierś. Pistolet trzasnął niczym pułapka na myszy, ale dźwięk, z jakim pocisk uderzył w mostek napastnika, przypominał bardziej huk zderzających się desek. Skurcz mięśni cisnął Kostromaninem za wał.

Kobieta rzuciła się na bibliotekarkę, nie próbując nawet wyciągać broni. Adele przestrzeliła jej gardło. Impet pocisku wyrwał w szyi napastniczki dziurę wielkości ramienia, omal nie urywając jej głowy. Większość krwi trysnęła w górę i do tyłu, lecz uczona poczuła, jak kilka kropeł pryska na jej twarz. Obróciła się, nie zważając na muśnięcie dłoni martwej kobiety, pchanej naprzód siłą bezwładu.

Amfibia cofała się, manewrując tak, żeby *Ahura* znalazła się w polu ostrzału karabinu maszynowego. Za plecami Adele wybuchła strzelanina. Pociski karabinów uderzyły w manewrujący pojazd, rozpryskując się bezskutecznie na pancerzu.

Strzelcy kryli się za swoją bronią; widać było tylko ich głowy. Znajdowali się 30 jardów od bibliotekarki. Wycelowwała w nos ładowniczego i trafiła o grubość palca obok.

Głowa mężczyzny okręciła się, jakby kopnięta przez konia; osunął się na podłogę. Strzelec zerknął ze zdumieniem na partnera, nie zdejmując ręki ze spustu. Adele postrzeliła go w skroń.

Coś ukuło ją w prawą łydkę. Nie zwróciła na to uwagi. Otworzyła ogień do kierowcy. Przednia szyba rozprysła się, ale wątpiła, by pociski z jej pistoleciku miały wystarczającą masę, aby przebić zwykłe szkło.

Mężczyzna wyskoczył z szoferki, wrzeszcząc i przyciskając dłoń do twarzy. W drugiej ręce ścisnął automat. Poruszał się, a światło było kiepskie. Oddała do niego dwa strzały, mierząc w tors. Upadł, lecz słyszała w ciemnościach jego rżenie.

Podeszła do amfibii; pojazd zatrzymał się po ucieczce kierowcy. Lufa pistoletu rozgrzała się do czerwoności od gwałtownego ognia. Broń kieszonkowa nie nadawała się do prowadzenia ciągłego ostrzału. Impuls magnetyczny, nadający pociskom przyspieszenie rzędu 9000 stóp na sekundę, wydzieliał ciepło, a lekka lufa nie miała wystarczającej masy, by je odpowiednio zaabsorbować. Za godzinę pomiędzy jej kciukiem a palcem wskazującym pojawią się bąble oparzeń.

Prawą ręką wyciągnęła kostromański pistolet, a lewą wsunęła osobistą broń do pustej kabury. Skóra osmali się, choć nie spłonie w odróżnieniu od płótna wewnętrznej kieszeni. Gdyby zaś upuściła broń na ziemię, nie miałaby jej w potrzebie pod ręką.

Nikt nie zwracał na nią uwagi. Wszyscy *jej* przeciwnicy byli martwi. Mundy obejrzała się przez ramię, zasłonięta amfibią od strony biura.

Trzy ciała rozciągnięte na chodniku. Marynarz i kostromański bandzior wrywali sobie broń tego ostatniego. Z biura kapitanatu wybiegł Kostromanin i sprawiedliwie przeszył obu serią z automatu. Pocisk z *Ahury* oderwał mu lewe ramię i cisnął ciałem na bok, gdzie miało się w rosnącej kałuży krwi.

Reszta bandytów biegiem schroniła się w biurze zaraz na początku strzelaniny. Wszyscy ocalali Cinnabarczycy znajdowali się na jachcie lub chowali za wałem nadbrzeżnym. *Ahura* cumowała wystarczająco daleko, żeby przebywający na jej pokładzie takielarze widzieli ponad wałem górną połowę kapitanatu.

Adele dwukrotnie próbowała wspiąć się na amfibię, wykorzystując tylne koło w charakterze stopnia. Wreszcie położyła pistolet na pokładzie pojazdu, aby mieć wolne obie dłonie. Tym razem udało się.

Strzelec stoczył się z amfibii. Ładowniczy leżał na wznak, spazmatycznie zaciskając dłonie. Jej pocisk wybił dziurę w lewej połowie twarzy, pozostawiając nietknięte prawe oko. Było otwarte.

Nigdy nie strzelała z karabinu maszynowego, lecz ten akurat model miał rękojeść i spust jak zwykły pistolet. Mundy maksymalnie opuściła lufę i nacisnęła spust.

Karabin wystrzelił trzy serie, zanim przerwała. Ciężkie pociski huczały niczym gromy; odrzut wstrząsał całym pojazdem.

Kule wybijały w dachu otwory wielkości talerza; wywalały jeszcze większe dziury, wychodząc przez ceglane ściany. Powstały przed lufą obłoczek świecącego gazu rozwiewał się powoli. Były to pozostałości po aluminiowych płaszczach pocisków, jonizowanych przez gęste pole magnetyczne.

Nie cofając amfibii, nie mogła obniżyć lufy na tyle, by dopaść schowanych w budynku ludzi. Nie była w stanie nic więcej zrobić.

- No dobra, Ganser! - zawołał Daniel Leary z dziobu *Ahury*. - To było ostrzeżenie! Wychodźcie bez broni, z rękoma uniesionymi do góry, albo porucznik Mundy zamieni budynek w krater. Natychmiast!

Adele podniosła kostromański pistolet. Gdyby gangsterzy zamierzali walczyć, będzie mogła użyć chociaż tego.

- Skąd mamy wiedzieć, że nas nie zastrzelicie?! - odkrzyknął Ganser z biura. Zaniósł się kaszlem; z wyrw w murze unosiła się różowa kurzawa.

- Wiecie, że wystrzelamy was, jeśli się nie poddacie! - odparł Daniel. Zeskoczył z jachtu.

- Panie! - zawołał Hogg. Porucznik zignorował sługę i, bezbronny, podszedł do wału, gdzie było go doskonale widać z okien kapitanatu.

- Ostatnia szansa, Ganser - dodał wesoło.

Ktoś wyrzucił przez drzwi na zewnątrz pistolet automatyczny. Po chwili poleciały kolejne. Marynarze wyglądali spoza wału, mierząc z broni, którą musieli zdobyć na Kostromanach w początkowym zamieszaniu.

Po dłuższej chwili z budynku wyszła pierwsza postać z uniesionymi rękoma i zamkniętymi oczyma. Pozostali wymaszerowali za nią.

Bibliotekarka poczuła, jak jej mięśnie mimowolnie się rozluźniają. Usiadła na podłodze amfibii, gdyż w przeciwnym razie przewróciłaby się.

Daniel patrzył, jak Woetjans i Dasi kończą krępować Kostroman drutem zabranym z ogrodu pobliskiego domu. Chciał zapłacić, gdyby właściciel skarżył się na zdewastowanie mu uprawy fasoli, lecz nikt nie wyszedł na dwór.

Porucznik nie był w nastroju do zgłaszania się na ochotnika.

Munford i Olechuk nie żyli. Brzuch Whitebread wyglądał, jakby pokąsał ją szczur, ale rany okazały się powierzchowne. Pocisk uderzył w niesioną przez nią skrzynkę. Gdyby trafił w ciało, wypatroszyłby ją, a tak tylko obryzgała ją potrawka z kaczki i gulasz rybny.

- Mówiłeś, że nas nie zabijesz! - przypomniał Ganser, za wszelką cenę starając się, aby w jego głosie nie zabrzmiała pytająca nuta. Był gruby i na wpół łysy, mimo iż młodszy od Adele.

- Zgadza się - przytaknął Leary, wciąż myśląc o Munfsordzie i Olechuku. - Faktycznie tak powiedziałem.

Lansoe ubiegał się o patent rusznikarza. Razem z Tairouley obcinali maszt flagowy *Ahury*, by zainstalować na nim działko.

Hogg i większość oddziału przetrząsali pozostałe statki w zatoce. Generalnie *Ahura* był w dobrym stanie, lecz dość długo nikt go nie konserwował i pojawiło się kilka problemów. Szybka kontrola upewniła Daniela, że akumulatory nie wytrzymają wystarczająco długo, by zapewnić stateczkowi zasilanie. Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebowali, to jednostka dryfująca po morzu, chyba że akurat świeciłoby wystarczająco silne słońce.

- Sir - odezwała się cicho Woetjans. Twardniejąca na powietrzu maść pokrywała jej prawe przedramię w miejscu, z którego zdarła sobie skórę, nurkując za wał nadbrzeżny w poszukiwaniu bezpieczeństwa. - Muszą mieć jakichś przyjaciół w okolicznych domach. - Kiwnęła głową w stronę najbliższych posesji. Zabłąkane kule wyłupały dziury w ceglach; za wybitą szybą furkotały zasłony. - Jeżeli pozostawimy ich przy życiu, odzyskają wolność, zanim zdążymy opuścić zatokę. A doświadczony strzelec z wyrzutnią jest w stanie trafić - w coś tak dużego jak łódź - stąd po sam horyzont.

- Obiecałeś! - wydarł się Ganser. - Obiecałeś...

Dasi pochylił się i uderzył Kostromanina ręką twardą jak podeszwa. Grubas wrzasnął, rozpryskując krew z rozciętych o zęby warg.

- Zamknij się - mruknął cicho porucznik - bo każę zakleić ci usta.

Gdyby taśma zakleiła mu również nozdrza, twarz obwiesia poczerńiałaby, a potem by umarł. Jak Munford i Olechuk.

Prościej byłoby przywiązać jego i ocalałych gangsterów za kostki do kotwicy, następnie wrzucić ich do zatoki. Tyle tylko, że w tym przypadku nie byłoby do oglądania nic prócz bąbelków.

- Ja tam niczego im nie obiecywałam - zauważyła mat Woetjans. - Chodź, Dasi, wyrzucimy to ścierwo za wał.

Kilku więźniów zaczęło krzyczeć i błagać, lecz ku zdziwieniu Daniela większość Kostroman leżała w milczeniu. Byli pewni, że umrą, od chwili gdy się poddali. Dla zwycięzców z Cinnabaru stanowiło to jedyną sensowną opcję.

A Daniel Leary nie mógł się na to zdobyć.

Żeglarka przetoczyła Gansera na brzuch i złapała za drut, którym związała mu ręce i nogi. Pomaszerowała w stronę zatoki, ciągnąc go za sobą po mokrych, śliskich ceglach.

Z biura wyszła Adele Mundy. Czyściła pistolet, dzięki któremu zakończyła atak, zanim się jeszcze na dobre rozpoczął.

- Nie - powiedziała. - Zostawcie ich.

Woetjans wypuściła drut i odwróciła się, by spojrzeć na Daniela.

- Sir? - zapytała.

Dasi odsunął się od dwóch zbirów, których właśnie podnosił. Bełkotali coś piskliwie. Kopniakami zmusił ich do milczenia, czekając na odpowiedź porucznika.

- Widziałam dzisiaj egzekucją waszych delegatów - dodała Adele. - Nie mam ochoty ponownie oglądać czegoś takiego. A już z pewnością nie zamierzam brać w tym udziału.

Schowwała płaski pistolet do kieszeni tuniki. Najwyraźniej miała go przy sobie cały czas, a Daniel nawet nie zauważył jego obecności. Był zaskoczony, choć nie tak jak większość Kostroman, która tej nocy pożegnała się z życiem.

- Nie - poparł ją. - Ja też nie wezmę w tym udziału. - Wstał. - Woetjans! - zawołał. - Na *Ahurze* nie ma zbyt wiele miejsca, ale zostawiono tam przestrzeń na dodatkowy balast. Wrzucimy ich do zęży i zostawimy na jakiejś wyspie, jak będziemy odpływali.

Uśmiechnął się. Poczul, jak zamykają się drzwi w jego umyśle. Był bardzo zadowolony, że nie popatrzył na to, co mogło się za nimi kryć.

- Ciekawe, czy pompy w zęzie okażą się wystarczająco sprawne - dodał radośnie.

* * *

Bibliotekarka siedziała, ze skrzyżowanymi nogami, na dziobie jachtu z dala od krzątający marynarzy, wnoszących sprzęt na pokład i wracających na brzeg po kolejne dostawy. Raz jeszcze sprawdziła system, po czym z westchnieniem ulgi wyłączyła konsolę danych. Miała nadzieję, że skończy na długo przed wypłynięciem *Ahury* z zatoki. Sama sobie wyznaczyła taki termin, ale praca zabrała jej ponad godzinę więcej, niż oczekiwała.

Jej założenia były nierealne. Powinna wiedzieć, że protokoły przekazów połączeń satelitarnych okażą się równie niechlujnie zaprojektowane, jak cała rządowa baza danych. Skutki nieudolności były trudniejsze do pokonania od celowo zastosowanej ochrony informacji.

Wstała ostrożnie, gdyż domagały się tego zdrętwiałe mięśnie. Wsunęła terminal z powrotem do kieszeni. Przebrała się we własne ubranie, jak tylko skończyła czyścić pistolet. Dzięki temu nie martwiła się, że konsola wypadnie za burtę, chyba że razem z nią, a w takim przypadku nie obchodziłoby jej to za bardzo.

Jacht zakołysał się, gdy na pokład wgramolili się dwaj marynarze z jakimś ciężkim, przywiązany do żerdzi sprzętem. Adele nie miała pojęcia, co to było. Może dodatkowe akumulatory, chociaż wydawało się jej, że do tej pory załoga ogołociła już każdy statek w zatoce o takim samym napędzie.

Okrążyła przedni żagiel słoneczny; trzech żeglarzy dyskutowało na temat mechanizmu zwijającego. Do świtu brakowało jeszcze godziny, lecz marynarze musieli nauczyć się obsługi sprzętu, od którego będzie zależeć ich życie.

Weszła do kokpitu w chwili, gdy Hogg opuszczał Daniela, machając ręką i z głośnym:

- Proszę zostawić to mnie, sir!

Woetjans właśnie miała coś powiedzieć, ale zamiast tego skinęła z szacunkiem uczonej.

- Mówiłeś, Danielu, że nie ufasz systemowi nawigacyjnemu jachtu - przemówiła bibliotekarka. - Zaraz po przybyciu flota Sojuszu wystrzeliła system geopozycyjny. Wpięłam się w niego. W minutę jestem w stanie podać wam naszą lokalizację z dokładnością do trzech metrów.

- Naprawdę?! - zawołał porucznik. - Zrobiłaś to? Wspaniale! Woetjans, powiedz Racine, żeby przestał martwić się harmonizacją żyrokompasów i poszedł pomagać przy instalacji systemu zasilającego.

- Tak jest - rzuciła mat i wybiegła z kokpitu.

Obracając się wśród akademików Adele wciąż zdumiewał widok ludzi, dla których szybkie poruszanie było codziennością.

- Zmodyfikowałam także kontrolę satelitarną, usuwając wszystkie zapisy dotyczące korzystania przez nas z systemu - dodała. - Nie ma ryzyka, że ktoś wysledzi nas, idąc tropem zapytań.

- Co? - zapytał Daniel z napięciem. - To naprawdę jest możliwe? Nie sądziłem.

- Kobieta prychnęła. Jej uśmiech odzwierciedlał odczuwaną chłodną dumę.

- Mogłabym tego dokonać - oświadczyła. - Choć nie byłoby to łatwe, ponieważ ślad musiałby pozostać na siatce Kostromy.

Leary zaśmiał się i poklepał ją po ramieniu. Zamrugła. Taka poufałość również nie zawierała się w jej akademickich doświadczeniach.

- No cóż, dostaniemy się tam - oznajmił. Wyglądało na to, że rozmawiając z nią, nieco się odprężył. - Chciałbym wyruszyć, jak tylko słońce znajdzie się wystarczająco wysoko na niebie, żeby móc napędzać silniki, ale... - Wzruszył ramionami, uśmiechając się chłopięco. - Dopóki to nie nastąpi, nie będę pewny.

Palfrey maszerował keją, niosąc wędkę na jednym ramieniu i sporą skrzynię w drugiej ręce.

- Rzeczy, które zabieracie - spytała Adele, skinąwszy głową w kierunku marynarza. - My zabieramy?... - Zawiesiła pytająco głos.

- Od dzisiaj Cinnabar znajduje się w stanie wojny z Federacją Kostromy. - W jego głosie było tyle samo wyrazu, co w kamiennym bloku. - Nie zgodzę się, by którykolwiek z moich podwładnych dopuszczał się grabieży, ale z radością zajmę każdy przedmiot o wartości bojowej. - Uśmiechnął się krzywo, w niczym nie przypominając zazwyczaj przyjacielskiego Daniela. - A jeśli trzeba będzie zniszczyć własność cywilną celem zapobieżenia wykonaniu zadań przez nieprzyjacielskie wojsko, zrobię to również - dodał. - Jednym z ich zadań jest neutralizacja mojego oddziału.

- Ach - mruknęła. - Tak, doskonale to rozumiem.

Nie była przyzwyczajona do myślenia w kategoriach wojskowych. Rzecz jasna, sama nigdy nie służyła w wojsku. Ciekawe, czy w razie schwytania zostanie powieszona jako... co: pirat?

Oficer FRC odchrząknął. Odwrócił głowę, by przyjrzeć się montażowi działka na tylnej części kokpitu.

- Wiesz co, jeśli naprawdę po raz pierwszy strzelałaś z pistoletu, to bardzo szybko się uczysz - orzekł nie odrywając wzroku od uzbrojenia. Następnie spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się przebiegle. - Z korzyścią dla nas.

- Tak, przepraszam - mruknęła ponownie. Przyłapała się na chęci odwrócenia wzroku i siłą woli powstrzymała ten zawstydzający odruch. Kontynuowała zapalczywie - źle zrozumiałam twoje pytanie, a potem nie poprawiłam się, kiedy pojęłam, o co ci chodziło. W rodzinie Mundych z Chatsworth było wielu znakomitych pojedykowiczów. Była to jedna z tradycji, do których mój ojciec był wielce przywiązany.

- Dobrze cię wyuczył. - Daniel pokiwał z aprobatą głową. - Moja rodzina nie przepadała za pojedykami. Przypuszczam, że gdybym mieszkał w mieście, miałbym okazje do treningu, lecz na prowincji to nie uchodziło. Dobrze strzelam do pactwa, ale to nie to samo.

- Nie - zgodziła się Adele - to nie to samo. Masz rację, że pojedynki to część wielkomiejskiego stylu życia, podobnie jak jedzenie z falbaniastymi rękawami, umiejętność, której wolałabym nie potrzebować. Nigdy.

Keją nadbiegł Hogg, zatrzymał się, po czym przeskoczył niewielką przerwę, jaka dzieliła go od rufy *Ahury*. Zachwiał się, lądując, lecz dwóch marynarzy złapało go, nim upadł.

- Wszystko ustawione - wydyszał służący. - Transmisja 15, 5 w trzy sekundy - tylko tyle to zajmuje.

- Woetjans? - zawołał porucznik.

Nerwowa krzątanina na pokładzie należała już do przeszłości. Lamsoe chwycił za rękojęść działka i skierował je na budynki. Na dachach domostw niewielkiej społeczności kładł się pierwszym blaskiem świt. Dachówki miały wściekle pomarańczową barwę, a w oknach na najwyższych piętrach odbijały się promienie słońca.

- Wszyscy obecni, sir! - odkrzyknęła Woetjans. Stała tuż przy kokpicie, dzieląc uwagę pomiędzy jacht i nabrzeże. Marynarze czekali przy cumach: dziobowej i rufowej, nadal owiniętych wokół pachołków, choć już nie przywiązanych.

- Mam hełm - oznajmił Daniel, chwytając za joystick sterowy *Ahury*. Nacisnął guzik kciukiem; oba maszty zaskrzypiały, obracając się i wystawiając żagle na promienie słońca.

- 20 procent! - zawołał Racine znad konsoli mocy, umieszczonej z lewej strony kokpitu. - 32 procent!

- Takielarze doczepili cztery dodatkowe tarcze analogowe do oryginalnego wyświetlacza świetlnego. *Ahurę* zaprojektowano tak, by w razie konieczności mógł nim sterować jeden człowiek, lecz Adele Mundy nigdy nie chciałaby stać się tą samotną osobą. Nawet bez dodanego przez Cinnabarczyków sprzętu.

- Odbijać! - rozkazał porucznik.

Marynarze zdjęli trzymane liny z cumownic.

Wskazujący palec Leary'ego dotknął innego przycisku na joysticku; zaterkotała pompa.

- Opuszczamy dok.

Barnes i Dasi naparli na żerdzie. Jacht zadrżał, po czym popłynął bokiem w głąb zatoki.

Daniel skręcił lekko joystick i zmniejszył obroty. Pompa dudniła, zasysając wodę i wypluwając ją z tyłu. *Ahura* ruszył naprzód, kierując się dziobem w stronę portu. Woetjans pomogła Dasiemu chronić rufę przed szorowaniem o nabrzeże.

- 59 procent! - oznajmił Racine.

- W porządku, Hogg - powiedział porucznik.

Służący dotknął przełącznika zainstalowanego w kokpicie radia.

Białe światło rozblęsnęło pod amfibią Gansera, wciąż zaparkowaną pod zrujnowanym biurem kapitana portu. Głośnemu *bum* towarzyszył pióropusz pomarańczowego ognia, spowijającego przód wozu. Niewielki ładunek wybuchowy Hogga rozerwał zbiornik z paliwem, podpalając zawartość.

Ahura z rosnącą prędkością płynął w stronę wyjścia z portu. Pożoga na nabrzeżu odwróci uwagę pozostałych w domach. Lamsoe nie spuszczał domów z celownika działka; reszta marynarzy także trzymała broń w pogotowiu, lecz sądząc po zupełnym braku reakcji, *Ahura* równie dobrze mogłby opuszczać miasto umarłych.

Maszty ustawiały się automatycznie tak, żeby słoneczne panele zbierały maksymalną ilość dostępnego światła. Daniel wydawał rozkazy, cinnabarska załoga uwijała się gorączkowo, brzeg oddalał się, a myśli Adele krążyły wokół jednego.

Chłopiec, którego zabiła, od 15 lat nawiedzał ją w snach. Teraz oskarżającemu ją trupowi przybyło pięciu kumpli.

* * *

- Mamy sto procent i nadal rośnie - zameldował Racine. Czy mam włączyć system ładowania?

Racine był na *Aglai* monterem i dobrze radził sobie z elektronicznymi bebechami. Tworzący większość załogi Daniela Leary'ego takielarze byli pomocni i nadzwyczaj zręczni, lecz myśleli raczej w kategoriach przewycięzania przeszkód niż impedancji.

- Jeszcze nie - odparł Daniel. - Chcę, żeby uniósł się na płozach. - Obrócił się do Woetjans i dodał - przygotować się do wypuszczenia płóz!

- Trzymać się! Wszyscy! - zawołała mat.

Nie martwił się o marynarzy, którzy wiedzieli, jak się zachować, ale obejrzał się przez ramię na bibliotekarkę, by upewnić się, że ona również posłuchała komendy. Trzymała się uchwytu przyspawanego do boku kokpitu. Włosy - niemal równie krótko przycięte jak rekrutów w marynarce - mierzwił wiatr, wiejący z prędkością 20 mil na godzinę. Była to największa prędkość, na jaką stać było *Ahurę* z zanurzonym kadłubem.

Porucznik lewą dłonią ujął dźwignię i pociągnął ją z całej siły.

Dwie wąskie płozy wysunęły się ze zgrzytem z leż w kadłubie. Na obu burtach, sześć stóp od kokpitu, pojawiły się miniaturowe pioruny kuliste. Danielowi włosy stanęły dęba. Tuziny razy pływał na elektrolotach, lecz ten moment przejścia zawsze upewniał go, że lepiej by zrobił, pozostając na lądzie.

Ahura z rykiem skoczył na płozy. Pozbawiony oporu kadłuba jacht pomknął naprzód, choć silnik jeszcze przez chwilę wspierał go swym ciągiem.

Stateczek lewitował dzięki ładunkom elektrostatycznym indukowanym w morzu pod nimi oraz idealnie równym ładunkom w płozach. W odróżnieniu od wodolotów elektroloty mogły unosić się w bezruchu, żadną częścią nie dotykając wody.

- Nie ma spadku mocy, sir! - oświadczył Racine. - Jest czysty, a ładunek nadal rośnie. Czy mam...

- Jeszcze nie! - powtórzył oficer. Ustawił pilota automatycznego na 60 mil na godzinę i uruchomił go, obserwując pęcherzyki powietrza.

- Silnik wodny, ostatni kontakt stateczku z morzem, schował się w kadłubie.

Ahura wciąż przyspieszał. Znikła równowaga ładunków elektrycznych: pole indukcyjne przesunęło się o kilka centymetrów w stronę rufy. Dzięki tej różnicy odpychanie między ładunkami posuwało kadłub naprzód, zamiast jedynie go unosić.

Jacht osiągnął prędkość 60 mil na godzinę. Pęd powietrza był wyraźnie odczuwalny, zwłaszcza dla marynarzy na odkrytym pokładzie. Daniel miał pewność, że mógłby przyspieszyć o kolejne 20 mil na godzinę, lecz osiągnięcie to nie było warte niewygody załogi.

Ahura stanowił wymarzoną jednostkę. Pomimo ciężkiego ładunku płynął gładko, idealnie posłuszny sterom.

- Włącz ładowanie, Racine - rozkazał porucznik. - Cafoldi, przejmij ode mnie hełm.

Akumulatory naładują się dzięki nadwyżce energii nie zużywanej przez lot. Przy odrobinie szczęścia *Ahura* popłynie, nie zwalniając przez całą noc.

Cafoldi wgramolił się do kokpitu. Zanim zaciągnął się do FRC, był rybakiem. Położył dłoń na ręce Daniela, a gdy porucznik wycofał się, przejął stery.

Leary odetchnął z ulgą. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był spięty.

Łądu nie było już widać. Daniel napotkał wzrok Adele i uśmiechnął się szeroko.

- Ucieczka była pierwszym etapem - oznajmił, przekrzykując wiatr. - Następne zadanie to dostać się *dokądś*. Możesz znaleźć nam jakąś niezamieszkaną wyspę w odległości przynajmniej tysiąca mil stąd? No, co najmniej pięciuset.

- Mogę znaleźć wyspę - przytaknęła. Przycupnęła w kącie kokpitu i wyciągnęła osobistą konsolę danych. - Nie gwarantuję, że nikogo tam nie będzie, ale mogę odszukać taką wyspę, na której nie ma

zarejestrowanych stałych mieszkańców. Pewnie będziemy mieli z tysiąc możliwości do wyboru.

- Wspaniale! - ucieszył się. - Płyniemy dokładnie na wschód, ale kierunek nie ma w tej chwili większego znaczenia. Chcę zostawić - naszych więźniów tam, gdzie nieprędko ktoś ich znajdzie. Potem popłyniemy w inne miejsce, gdzie przeczekamy tę zawieruchę.

Minął bibliotekarkę i wyszedł na pokład. Marynarze uśmiechali się do niego, choć część schroniła się w kabinach pod pokładem. Będą musieli tłoczyć się w kajutach przeznaczonych dla sześciu członków załogi, jednak większość kosmonautów to lubiła.

Porucznik przeszedł na dziób, kuląc się przed wiatrem. Położył się płasko, wystawiając twarz za pokład. Jako iż kadłub nie dotykał wody, nie było charakterystycznych rozbryzgów, jedynie co jakiś czas kłuły go w policzki niesione wiatrem krople.

Bujne życie morskiego dna Kostromy jaśniało odprężającym pięknem. Po pierwsze: uciec. Po drugie: opracować plan i przygotować się do jego realizacji.

A wreszcie wrócić, niosąc wiadomość, jaką FRC zawsze dostarczała wrogom Republiki. To jednak mogło zaczekać, dopóki wszystkiego dobrze nie obmyślą.

Księga trzecia

Adele siedziała na dziobie na rozkładanym, obrotowym krzeselku, porównując widniejący przed nią atol z obrazem rzucanym przez trzymany na kolanach terminal. Siedziska (drugie znajdowało się po przeciwnej stronie dziobu) przeznaczone były dla wędkarzy; każde wyposażono w oparcie i pas bezpieczeństwa. Nawet teraz, gdy *Ahura* sunął ku brzegowi samą siłą bezwładu, Mundy lepiej czuła się przypięta.

Daniel z powrotem stanął przy sterach. Cafoldi zajął miejsce na końcu dziobu, osłaniając dłonią oczy i wpatrując się w wodę przed nimi. *Ahurę* wyposażono w elektroniczny system pomiaru głębokości - standard, jakiego oczekiwano po luksusowych jachtach - lecz nie ufał mu żaden prawdziwy marynarz.

- Lekko w prawo! - zawołał były rybak. *Ahura* unosił się na płaskiej, trzeszczącej bańce elektryczności. Przy tak niewielkiej prędkości generowany przez system ozon nie zostawał za rufą. Adele zmarszczyła nos. - Dobrze, jeszcze odrobinę!

Stojący za działkiem Lamsoe przepatrywał brzeg. Większość marynarzy czuwała pod bronią na pokładzie; niektórzy mierzyli do zarośli. Bibliotekarka nie była pewna, czy naprawdę obawiali się zagrożenia ze strony wyspy, czy tylko popisywali się zdobytą na Kostromanach bronią. Uznała to za niepotrzebne gesty.

Według zdjęcia satelitarnego atol składał się z ośmiu połączonych rafami wysepek. Z poziomu morza Adele widziała jedynie gęsto zarośnięty garb na tle jaśniejszej zieleni wody. Spomiędzy poskręcanych gałęzi krzaków wylatywały małe ptaszki, nurkujące w pogoni za owadami; wysoko nad głową krążyli ich więksi, morscy bracia.

Ahura sunął ku piaszczystej plaży po lewej stronie wyspy. Jeszcze bardziej na lewo prądy marszczyły wodę, obnażając co jakiś czas zęby przyczajonych tuż pod powierzchnią morza raf. Następna wyspa łańcucha leżała ćwierć mili dalej, połyskując w morskiej mgiele.

Pola statyczne *Ahury* znikły. Jacht ześlizgnął się na plażę, zgrzytając cicho poszyciem o koralowy piasek. Porucznik przekręcił wyłączniki w kokpicie, zamykając wszystkie systemy łodzi.

Uczona poczuła ogromną ulgę, gdy nareszcie ustało drżenie o wysokiej częstotliwości, które stało się częścią jej życia przez ostatnie półtora dnia lotu z wielką prędkością. Z istnienia wibracji zdała sobie sprawę dopiero teraz, kiedy znikły, lecz towarzyszyły jej przez całą podróż, rodząc dyskomfort, za który obwiniała czynniki psychologiczne.

- No dobra, bierzmy się za rozładunek! - zarządziła Woetjans. - Wachta z bakburty, wyciągnąć ich z zęzy; wachta ze sterburty zostaje na straży.

Adele odłożyła palmtopa i odpięła się. W powietrzu błyszcząły bezgłośnie insekty, od czasu do czasu muskając jej skórę widmowym dotykiem. Jeden przeniknął tuż koło oka; skrzywiła się i zamrugła gwałtownie, starając się go pozbyć.

Podszedł do niej Daniel.

- Pięknie tu, nieprawdaż? - zagaił. - Prawdziwy raj. Oczywiście, nie sędzę, aby nasi więźniowie też tak to odbierali.

- Jestem po ich stronie - oznajmiła sucho kobieta. - Jak dotąd okolica przypomina mi zabałaganioną piwnicę Zbiorów Akademickich, pełną robactwa i różnych takich.

Machnęła ręką przed twarzą, chcąc odgonić lądujące na skórze maleńkie owady. Przypominało to walkę z falami.

Cinnabarscy marynarze wyprowadzali jeńców spod pokładu. Ganser i jego zbiry wyglądali na chorych i poszarzałych. Przez całą podróż leżeli w zęzie, powiązani jak prosięta, wypuszczani na pokład na krótko i wyłącznie w celu załatwienia potrzeb fizjologicznych.

- Oczywiście - dodała Adele - część z nich może okazać się wystarczająco inteligentna, by pamiętać, jaką mieli alternatywę. Choć osobiście w to wątpię. Ludzie tacy jak oni wolą wymyślać sobie rzeczywistość, w której to oni zawsze mają rację.

- Nie tylko ludzie tacy jak oni - zauważył z uśmiechem oficer.

Czterej marynarze zeskoczyli na piasek. Czterech innych chwyciło związanych jeńców za ramiona i kostki i wyrzucało ich za burtę. Bibliotekarka zamrugła z niedowierzaniem. Zastanawiała się nad sposobem przetransportowania oprychów na wyspę, nie spodziewała się jednak czegoś tak brutalnie efektywnego.

Chociaż... prawdę mówiąc, nie było to brutalne. Cinnabarczycy traktowali jeńców jak worki marynarskie, ale ich koledzy na lądzie łapali każde nadlatujące ciało i układali na piasku delikatnie, choć szybko. Większość z nich wolałaby wyrzucić Gansera i jego morderców za burtę, na pełnym morzu, ale nie cechowało ich zbędne okrucieństwo.

Morze omywało brzeg długimi falami, liżąc plażę i pieniając się na rafach. Powierzchnia wody wewnątrz laguny była nieruchoma i przypominała klejnot, którego nie mąciły nawet nurkujące ptaki. Miała barwę głębokiego błękitu w odróżnieniu od bladej zieleni otwartego oceanu.

- Dokąd teraz? - Adele zapytała cicho Daniela.

Większość więźniów znajdowała się już na wyspie; Hogg przechadzał się między nimi z kombinerkami do cięcia drutu, uwalniając ich kostki i nadgarstki. Kostromanie leżeli nieruchomo, nie mogąc lub nie chcąc wstawać w obecności ciemżycieli, szczerzących się do nich ponad lufami karabinów.

- Zanim podejmę decyzję, znikniemy za horyzontem - oznajmił Leary. - Prawdopodobnie obierzemy zupełnie inny kurs. Na razie idzie nam dobrze, ale nie zamierzam niepotrzebnie wystawiać na próbę naszego szczęścia.

Adele pokiwała głową. Nastawiła konsolę danych w Pałacu Elektora na wyszukiwanie w wiadomościach Sojuszu lub Kostromy wszelkich wzmianek o Cinnabarze, Danielu Learym lub Adele Mundy. Następnie posługując się własnym terminalem, przeszukała ponad tysiąc wpisów o Cinnabarze. Nigdzie nie wymieniono ich nazwisk.

Ani oddziału Cinnabarczyków pod wodzą Daniela. Uczona uznała, że dla reszty planety przestali istnieć.

Wszyscy jeńcy zostali uwolnieni. Marynarze powrócili na *Ahurę*, łapiąc za chromowany reling i wciągając się na pokład dzięki energicznemu odepchnięciu się nogami od burty. Dasi skorzystał z pomocy Barnes'a, lecz tylko Hogg zawracał sobie głowę przyczepioną do burty drabinką.

- Woetjans, zostaw im skrzynkę z racjami żywnościowymi polecił Leary. Następnie obrócił się do bandytów i wsparł się pod biodra. - Zostawiam wam trochę jedzenia - oznajmił. - Potem musicie radzić sobie sami. Może nie być tutaj słodkiej wody, ale są owoce i pewne rośliny, które gromadzą wilgoć w swoich pniach. - Przez jego oblicze przemknął uśmiech. - Mam nadzieję, że znacie się na florze własnej planety. Jest fascynująca.

- Nie możecie tak po prostu nas tutaj zostawić! - zawołał Ganser.

- Och, oczywiście, że możemy - odparł Daniel. - Ale, owszem, za jakieś 30 dni zamierzam powiadomić Kostromę, gdzie jesteście. Nie gwarantuję, rzecz jasna, że kogoś to będzie obchodzić.

Dwóch marynarzy cisnęło grubasowi pod nogi skrzynię z jedzeniem. Spomiędzy połamanych desek na piasek wytoczyły się metalowe puszki.

Porucznik odwrócił się.

- Przygotować się do wypłynięcia! - zawołał. - Założę hełm.

* * *

- Dysza czysta, sir! - zameldował Dasi, wychylając się z rufy i patrząc w krystalicznie czystą wodę. Przy tak głęboko zarytym dziobie Daniel wolał wyciągnąć *Ahurę* na wodę z pomocą silnika wodnego, niż próbować odpowiednio naelektryzować suchy piasek.

- Wszyscy, którzy nie mają nic do roboty, niech przejdą na rufę! - rozkazała Woetjans.

Rozsądne polecenie, o którym oficer powinien był sam pomyśleć. Marynarze potruchtali na tył łodzi, własną wagą pogrążając rufę w wodzie i unosząc lekko do góry spoczywający na ładzie dziób.

Daniel powoli dodawał gazu. Skręcił dyszę. Trysnął pióropusz odrzutu, wprawiając kadłub w wibracje, jakby coś uderzało rytmicznie w dno łodzi. *Ahura* zsunął się na wodę, zgrzytając niemiłosiernie, by wreszcie zakołysać się na falach.

Leary zmniejszył obroty, oglądając się przez ramię i patrząc, czy w nic nie uderzą podczas cofania się. Nic nie widział, ponieważ na rufie stała cała załoga, ale przecież ktoś ostrzegłby go przed kłopotami.

Sterczący na brzegu Kostromanie obrzucali statek spojrzeniami pełnymi nieskrywanej nienawiści. Adele stała z tyłu kokpitu. Daniel zauważył jej wzrok i powiedział:

- Na wyspie jest mnóstwo naturalnego jedzenia, zastanawiam się tylko, czy ta banda nie będzie wolała spróbować kanibalizmu?

Bibliotekarka prychnęła.

- Dla ludzi tego pokroju - odparła - kanibalizm *jest* naturalny, jak przypuszczam.

Jacht opuścił plażę pod lekkim kątem i unosił się na wodzie równolegle do brzegu.

- Rozproszyc się - rozkazał porucznik. - Zamierzam postawić go z powrotem na płozach.

Uruchomił napęd elektryczny, a marynarze zeszli z rufy. Nie poruszali się tak zwawo, jak biegnąc na tył stateczku. Płozy zadygotały, lecz Daniel nie usłyszał zgrzytu, z jakim wysunęły się za pierwszym razem. Zakrzepły smar roztopił się w trakcie używania; *Ahura* był w wyśmienitym stanie, być może najlepszym, odkąd go zwodowano.

Również Daniel Leary był w lepszej formie niż ostatnio. Nie istniał gorszy sposób traktowania narzędzi lub ludzi od pozostawienia ich, żeby rdzewieli.

Jacht uniósł się. Daniel wiedział już, iż może ufać mechanizmowi, toteż natychmiast postawił stateczek na płozach, zamiast czekać, aż rozpędzi się na wodzie. Byli sami na morzu i żeglując nie musieli zważać na wygodę innych jednostek.

- Przed dziobem czysto, sir! - zameldował Cafoldi. Dobra załoga bez zarzutu wykonywała nawet najbardziej karkołomne operacje.

Porucznik skręcił lekko joystickiem w lewo, po czym nieznacznie przyspieszył. Jacht skoczył naprzód. Dziób skierował się na otwarte morze. Minęli kraniec wyspy.

- Nie zapomnijcie napisać! - zawołał Lamsoe, machając do Kostroman o kamiennych twarzach.

Wtem woda wokół *Ahury* eksplodowała. Z laguny wychynęła para stustopowych macek. Spłaszczone końcówki miały rozmiary torsu Daniela i pokryte były wypustkami. Sięgnęły ponad rafą i złapały ich za płozę od sterburty.

Jacht przechylił się z brzękiem. Ładunki elektrolotu i olbrzymiego cielska zakłóciły się nawzajem. Wszystkie płaszczyzny stateczku rozświetlił tęczy nimb.

Macki cofnęły się, ciągnąc *Ahurę* za sobą. Marynarze z krzykiem wylatywali za burtę. Odnóża

przeciągały płozy i kadłub przez koralowe grzbiety. Rozległo się kilka wystrzałów, niemal tonących w ogłuszającym zgrzycie.

Czyjś automat wybił w przedniej szybie trzy dziury i siateczkę pęknięć. Pociski minęły głowę Leary'ego o włos, ale nie miał czasu się tym martwić.

Wypuścił joystick, gdyż manewrowanie jedynie pogarszało sytuację jachtu. Adele przywarła do boku kokpitu, rozkrzyżowując ręce i trzymając się uchwytów.

Tablica rozdzielcza zapłonęła błękitnym ogniem, kiedy słona woda zalała obwody, z których szorstki koralowiec zdarł izolację. Chwilę później eksplodował generator; z luków i szczelin w pokładzie buchnął śmierdzący, czarny dym.

Lamsoe wypadł za burtę na samym początku napaści, lecz działko pozostało na swoim miejscu. Daniel złapał za uchwyty. Pokład nie znajdował się już na dole - opadał pod kątem 60 stóp, wciąż przechyłany przez mocarne macki. Stwór przewracał *Ahurę* do góry dnem, wykorzystując rafę jako punkt podparcia.

Porucznik zaparł się stopami o słupek i jeden z uchwytów przy kokpicie. Wdusił płytkę spustu umieszczoną pomiędzy rączkami działka.

Odrzut był silny, lecz podpora wytrzymała. Pierwsze pociski przeorały wodę bez żadnego efektu, trafiając jedynie fale i bąbelki wzbudzone ruchami macek. Daniel kontynuował ostrzał, skręcając ciało i wykorzystując działko w charakterze oparcia.

Energia kinetyczna pocisków natychmiast spowiła lagunę mgłą. Wstrzeliwał się na pamięć - szukał punktu, z którego wynurzyły się macki.

Ahura niemal położył się na wodzie. Dookoła unosili się ludzie i szczątki. Prawa noga oficera obejmowała podstawę działka, lecz lewa stopa dyndała w powietrzu.

Z laguny wytrysnął gejzer jaskrawożółtej krwi. We wszystkie strony poleciały kawałki mięsa, niektóre większe od człowieka. Oderwana macka miotła się w wodzie niczym pozbawiony głowy wąż. Druga skurczyła się w ostatnim spazmie, gdy działko opróżniło magazynek.

Ahura przewalił się przez rafę i opadł na uspokajające się, zmieszane z krwią wody laguny. Działko spadło z podstawy i koziołkowało własnym kursem, zabierając ze sobą Daniela.

W przelocie dojrzał szybującą w powietrzu Adele. Miała zaciętą, pełną dezaprobaty minę. Jedną ręką ścisnęła ukryty na prawym udzie komputer, drugą wsadziła do lewej kieszeni tuniki.

- Cinnabar! - zakrzyknął Daniel Leary, uderzając w wodę.

* * *

Adele przypuszczała, że powinna być wdzięczna Niebiosom, iż woda na skraju plaży była płytka, co uchroniło ją przed utonięciem. Niestety, wylądowała na kolanach, a wstrząs wywołany zderzeniem z wodą, a potem z ubitym piaskiem trzy stopy pod jej powierzchnią, przyprawił ją o mdłości.

Nawet teraz, dziesięć minut po tym, jak Cafoldi wyciągnął ją na ląd, chodziła na zeszywniałych nogach. Byłaby zdumiona, gdyby do południa nie miała otarć na udach i łydkach.

Na szczęście, pomimo zamoczenia, jej osobisty terminal działał bez zarzutu. Nie była pewna, czy wolałaby skrócić sobie kark, czy utknąć na wyspie bez dostępu do zasobów wiedzy cywilizacji.

Zauważyła, że wszyscy marynarze pracowali. Najwidoczniej nikt nie zginął ani nie odniósł poważniejszych obrażeń. Większość sturlała się do wody, zanim jacht przewrócił się, miotany konwulsjami konającego potwora.

Daniel stał w cieniu drzewa o małych listkach i sznurkowatych gałęziach. Z końca każdej witki

zwisiał orzech rozmiarów męskiej pięści. Rozmawiając z Woetjans, porucznik obierał elastyczną skórkę niewielkim nożykiem i wrzucał do ust kawałki białego mięszu.

Na widok podchodzącej bibliotekarki przerwał i uśmiechnął się szeroko.

- Sprawdziłaś palmtopa? - zawołał.

- Tak; dzięki Bogu działa - odparła. - Powinien wytrzymać gorsze rzeczy od słonej kąpieli, ale nie byłam pewna, dopóki go nie wypróbowałam. - Mężczyzna odkroił kolejny kawałek mięszu orzecha i podał go na ostrzu noża. Pokręciła głową j nadal nie miała pewności, czy nie rozstanie się ze skromnym śniadaniem z krakersów i mięsnej pasty. - Bardziej niż uszkodzenia - dodała - bałam się, że go zgubię i nie odnajdę pod wodą.

Ahura spoczął w lagunie. Rufa jachtu pozostała na rafie, dzięki czemu nad wodą sterczało kilka stóp kadłuba. Nurkujący wokół wraku marynarze wyławiali zapasy i sprzęt.

Woda przybrała odcień niezdrowej zieleni, stanowiła ona kombinację roślinności okolicznych wysepek i krwi stwora, który zniszczył stateczek. Adele założyła, że płaski, szary kopiec, unoszący się sto stóp od brzegu, był niczym innym, jak cielskiem zabitego monstrum.

- Jest ogromny - stwierdziła przenosząc wzrok z laguny na Daniela. Nie miała pojęcia, jak udało mu się celować pomimo szarpania *Ahury* za rufę. Ona sama ledwo trzymała się uchwytów.

- Tak - mruknął porucznik z pełnym słusznej dumy uśmiechem.

- Przypuszczam, że nie jest to żaden nowy gatunek, mimo to powinien zostać gdzieś odnotowany pod moim nazwiskiem, nie sądzisz? Jeśli nie w podręcznikach zoologii, to przynajmniej w annałach łowieckich.

Roześmiał się tak szczerze, że musiała mu zawtórować.

- Był zbyt wielki, by opuścić lagunę. W atolu z pewnością nie miał żadnych konkurentów do pokarmu, ale byłoby ciekawie ustalić, czym się żywił.

Barnes usiadł na rufie jachtu, trzymając związane w juki brezenty i linę. Zwisaly po obu stronach stateczku. Cafoldi wynurzył się z obrzydliwej wody, z okrzykiem unosząc automatyczny pistolet. Rozchlapując wodę, podpłynął do jachtu i wrzucił broń do zwisającej z burty torby.

Ganser i reszta Kostroman trzymali się z daleka, obrzucając Cinnabarczyków nienawistnymi spojrzeniami. Nie znajdowali się pod strażą, ale każda próba napadnięcia na Leary'ego oznaczałaby konieczność przejścia Dasiego, dzierżącego karabin za lufę niczym maczugę, oraz Hogga ostrzącego drzewko - ścięte wcześniej nożem znacznie większym od tego, który trzymał jego pan. Dzida wyglądała na bardzo prymitywną, lecz nikt, kto znał starego kłusownika, nie miał najmniejszych wątpliwości, jak bardzo mogła być śmiertelna.

Lamsoe i Sun siedzieli po turecku na warstwie liści ściętych z parasolowatego krzaka. Wspólnie rozkładali działko na elementy. Najwyraźniej Adele nie była jedyną osobą wątpiącą w to, że tutejsza elektronika, w tym broń elektromotoryczna, może przetrwać zanurzenie w słonej wodzie.

Nie miała jednak pojęcia, jak marynarze mogą naprawić broń. Przypuszczała, że próbując przemycia słodką wodą, wysuszenia na słońcu i modlitwy, zaraz jednak przypomniała sobie pytanie Daniela, czy na wyspie w ogóle *była* jakakolwiek woda pitna.

- Chcesz, żebym wezwała pomoc z Kostromy? - zapytała cicho.

Porucznik spojrział na nią ze zdumieniem.

- Na Niebiosa, nie - odparł. - Równałoby się to dobrowolnemu oddaniu w ręce Sojuszu. - Jego niepokój zaraz rozpląnął się w uśmiechu. - Jak dotąd włożyliśmy bardzo dużo wysiłku w uniknięcie tego. Nie sądzę, żebyśmy musieli się poddawać.

- Ja, ach... - urwała Mundy. Popatrzyła na gęstwą dżungli, a potem na otwarte morze poza nią. Można by żeglować nim tysiące mil, nie natykając się na bardziej obiecujący ład niż ten, na którym

właśnie stała.

- Wiedziała o tym. Właśnie przebyła ponad tysiąc mil.

- Uważasz, że możemy żyć tutaj w nieskończoność? - zapytała. - Cóż, jesteś ekspertem...

Daniel roześmiał się w głos.

- Czyja powiedziałem, że wolę tutaj zgnić, niż poczekać w obozie na Pleasaunce na ewentualną wymianę jeńców? - rzucił. Chodzi o zwłokę, Adele. Przecież i tak mieliśmy przycząć się na pewien czas, więc doprawdy nic nie tracimy.

Kiwnął głową w stronę rufy *Ahury*. Barnes wstał trzymając koniec liny z przywiązanymi workami ze zdobyczą. Jedna z żeglarek zapadła się po kostki w błocie, ciągnąc brezent na brzeg. Dwaj inni czekali w pobliżu, by opróżnić torby; nurkowie trzymali się jachtu i gadali, czekając na zwrot worków.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy zdołali wykorzystać kadłub - przyznał porucznik Leary. - To jednocześnie, bardzo wytrzymały odlew, kiedy jednak jego ciągłość ulegnie przerwaniu, kompozytowy rdzeń zaczyna puszczać. Jako iż nie możemy rozgrzać krawędzi do temperatury trzech tysięcy Kelvinów, lepiej będzie, jak użyjemy drewna. Jestem całkiem pewny, że uda nam się uruchomić silnik i co najmniej jeden słoneczny żagiel.

- Rozumiem - odrzekła Adele, choć niczego nie rozumiała. Spojrzała na dżunglę, wyobrażając sobie łódź zrobioną z *tego*.

- Możesz dostać się stąd do bazy danych drzew, prawda? - zapytał Daniel. - Ja mam jedynie bazę z *Aglai*. Nie chciałbym przekonać się, iż budowaliśmy kadłub z drewna, którego soki sprawiają, że ludzie sinieją i umierają w ciągu tygodnia.

Roześmiał się. Nurkowie w lagunie wrócili do pracy, wyciągając przedmioty tak zniekształcone przyklepionym do nich błotem, że bibliotekarka nigdy nie odgadłaby, czym były. Zewnętrzny brzeg atolu składał się z czystego piasku i krystalicznej wody, lecz wewnątrz pierścienia królował szaroczarny muł, którego nie wypłukały oceaniczne prądy.

- Mogę dotrzeć do każdej informacji elektronicznej, jaką mogłabym dla ciebie znaleźć, przebywając w Kostromie - oznajmiła czując wyobcowanie z radosnej krzątaniny dookoła. Zupełnie jakby otaczała ją gruba, szklana ściana, oddzielając od towarzyszy, pomimo iż znajdowała się w samym środku grupy. - Przypuszczam, że istnieją botaniczne pliki analogiczne do tych, z których korzystaliśmy w przeszłości.

- Wiesz co? - zaczął Leary, spoglądając na lagunę. Skończył orzecha i wyrzucił skórkę w krzaki za plecami, żeby rozłożyła się na składniki odżywcze w rodzaju tych, które aktualnie zanieczyszczały nieruchomą wodę. - Gdyby *Ahura* nie był elektrolotem, nigdy nie dowiedzielibyśmy się o zamiataczu. Jak wiesz, są zupełnie niegroźne dla ludzi. A jednak... - Uśmiechnął się. - Nie odważyłbym się popływać w towarzystwie *tego* tutaj.

- Tak, pewnie masz rację - przyznała.

Nagle rozbawił ją kontrast pomiędzy jej kwaśnym poczuciem klęski a jego radosnym optymizmem, podzielanym przez marynarzy. Zachichotała. Daniel naprawdę cieszył się z możliwości obejrzenia stwora o wcześniej nieznanym rozmiarach. Niemal zabił i jego, i całą załogę; prawie zniweczył plan ucieczki z Kostromy...

Ale owo „niemal” było słowem-kluczem dla Daniela Leary’ego. Nie zamartwiał się rzeczami należącymi do przeszłości; dla Adele pozostawała otwartą kwestia, czy w ogóle przejmował się przyszłością. Niemniej daleka była od nazwania go prostym człowiekiem...

Daniel i Woetjans omawiali kwestie żywności i wody pitnej. Porucznik przytakiwał wywodom mat, obierając kolejnego orzecha.

Uczona wyminęła Lamsoe i Suną, stąpając ostrożnie, żeby wiatr nie porwał ziarenek piasku z jej stóp i nie cisnął ich na rozłożoną broń. Hogg kiwnął jej głową, zajmując się oczyszczaniem noża z soku, a potem skrzywił się z bólu.

Nabawił się paskudnego otarcia na prawej skroni. Warstewka maści pokrywała zadrapania, lecz Adele obawiała się, że potrzebował lepszej opieki medycznej, niż mogli mu tutaj zapewnić.

Przeszła pomiędzy służącym a Dasim i stanęła przed grupką byłych więźniów. Prowadzone ściszonymi głosami rozmowy urwały się. Bandyty popatrzyli na nią z mieszaniną emocji na twarzach. Jedną z nich był niemal zwierzęcy *głód*.

Uśmiechnęła się. Był to jej standardowy grymas, którego nikt nie mógłby pomylić z przejawem dobrego humoru.

- Zapewne zauważyliście, że po zniszczeniu łodzi wszystkie karabiny zamokły - przemówiła. - Możliwe, iż wydaje się wam, że nie będą działać, dopóki nie zostaną odpowiednio wyczyszczone, co może być niemożliwe na tej wyspie.

- Mistrzynie! - wyrwało się przerażonemu Dasiemu, tkwiącemu za jej plecami. Kątem oka dostrzegła poruszenie Hogga, ruchem ręki powstrzymującego towarzysza.

Wyciągnęła pistolet z kieszeni kurtki. Strzeliła z ręki. Zwisający z gałęzi 20 stóp nad nimi dzwono waty owoc eksplodował, zasypując Kostroman nasionami i mięszem. Ganser krzyknął zasłaniając łysy czerep dłońmi.

- Mój pistolet wyprodukowano na Cinnabarze - dodała. Działa całkiem nieźle. - Wsunęła broń z powrotem do kieszeni. - Ja również - dorzuciła przez ramię, wracając do Daniela.

* * *

Obudziło go słońce. Przesączało się przez osłonę z liści i gałęzi, którą marynarze musieli nad nim wzniesić, kiedy spał.

- Czemu nie... - zawołał zrywając się. Natychmiast dopadły go wszystkie mięśnie, zwłaszcza ud i ramion. Czuł się tak, jak gdyby zaatakował go pluton wariatów ze szpikulcami do lodu.

- Matko Boska! - jęknął, choć miał ochotę wrzasnąć.

Przytłaczający ból sprawił, że zamknął oczy. Pamięć podsunęła mu obraz siebie samego uczeponego dygoczącego działka 40 stóp nad wodą.

Daniel Leary dokonał wczoraj rzeczy wielkich, lecz wysiłek został okupiony wysoką ceną, którą właśnie przyszło mu spłacać.

- Pomyśleliśmy sobie, że przyda się panu taki śliczny sen - oznajmiła Woetjans, siedząca pod daszkiem i opierająca się plecami o słupek. Wstała bez najmniejszych kłopotów i podała mu rękę.

- Nie jestem dumny - wymamrotał. Złapał poznaczoną odciskami dłoń i sprężył się, gdy nogi podniosły go do pozycji stojącej.

- Po pierwszych sekundach nie było tak źle... W pierwszych sekundach miał wrażenie, że wariaci zamienili szpikulce na noże do mięsa. Roześmiał się, widząc zaniepokojoną minę Ellie Woetjans.

- Przypomnij mi, żebym następnym razem podszlifował formę, zanim zabiorę się za skakanie z trampoliny - rzucił. - Nic mi nie będzie, tylko trochę zdrętwiałem.

Daniel przeciągnął się ostrożnie, splatając palce na karku i wyginając grzbiet do tyłu. Przeniósł oddział na naturalną polankę, utworzoną przez wypiętrzenie magmowej skały, wokół której wyrosła wyspa. Porastająca okolicę roślinność była niska i miękka. Twarda skała nie stanowiła odpowiedniego podłoża dla większych roślin, a stworzone przez korony otaczających drzew sklepienie rzucało cień, nie przesłaniając nieba.

- Banda Gansera ulotniła się nocą - poinformowała Woetjans. - Nie uważam tego za wielką stratę. Zabrali ze dwa pudła zjedzeniem; broni pilnowaliśmy.

- Ciekawe, dokąd mają zamiar się udać? - Zmarszczył brwi porucznik. Nie rozumiał tej sytuacji, toteż martwił się nią. Kostromańskie opryszki nie wyglądały na zbyt wstydlivych, by korzystać z pomocy Cinnabarczyków, którzy sprawili wrażenie lepiej obeznanych z życiem w dziczy.

- Nakazałam naszym chodzenie dwójkami, nawet jeśli idą wysikać się za najbliższe drzewo - dodała mat. - Jeśli ktoś będzie miał kłopoty z czarnuchami, to chyba dokończymy sprawę tak, jak mogliśmy zrobić to na Kostromie.

Lamsoe i Sun - z konieczności zbrojmistrz i jego pomocnik - czyścili broń. Daniel szanował okazywane przez nich kompetencje, lecz podobnie jak Adele wątpił, aby w obecnych warunkach można było przywrócić broń do stanu używalności.

- Gdzie jest pani Mundy? - zapytał.

Z lasu dobiegały okrzyki marynarzy zbierających owoce, wskazane przez niego wczoraj, jako jadalne, przed gwałtownym zapadnięciem tropikalnej nocy. Inni ścinali drzewa. Z głębi lasu niósł się rytmiczny stukot siekier.

Hogg leżał na posłaniu z liści pod daszkiem podobnym do tego, który skrywał wcześniej jego pana. Co pewien czas Sun pochylał się nad nim i przemywał mu twarz i usta wilgotną szmatką. Służący oddychał chrapliwie i po raz pierwszy, w oczach Daniela, wyglądał na swój wiek.

- Wróciła na plażę, żeby uzyskać lepsze połączenie satelitarne - wyjaśniła żeglarka, która również spoważniała, patrząc na Hogga. - Sześciu marynarzy odzyskuje tam sprzęt, więc nie ma obawy, że dopadnie ją jakiś czarnuch. - Potrząsnęła głową. - Chociaż postawiłabym na nią jedną przeciwko nim wszystkim. Cholernie mnie zadziwiła, o tak.

- Taaa - przyznał Leary. - Mnie również. - Wzruszył ramionami, rozluźniając lekko mięśnie. - Zamierzam zabrać ją na przechadzkę po okolicy - rzekł. - Dzięki swojemu komputerowi udzieli mi szczegółowych informacji o tutejszej roślinności. - Uśmiechnął się dodając - poza tym będzie moim ochroniarzem, więc nie rób takiej kwaśnej miny, Woetjans. Reszta oddziału ma przydzielone zadania, więc najlepiej będzie, jeśli to ja udam się na zwiad.

Pogwizdując i z każdym krokiem czując się coraz lepiej - choć przyznawał, że jeszcze sporo mu brakuje do prawdziwej formy - Daniel ruszył ścieżką na plażę. Poprawiła się w porównaniu z ledwie widoczną przecinką, którą przetarli zeszłej nocy. Na jachcie nie było siekier ani maczet, więc marynarze musieli improwizować.

Adele siedziała na skraju plaży, oparta plecami o gruzłasty pień drzewa. Zamiast skrzyżować nogi, wyciągnęła je na całą długość. Zgodnie z przewidywaniami młodzieńca osobisty terminal danych spoczywał na jej kolanach, a w rękach trzymała różdżki. Nie zauważyła nadejścia porucznika, dopóki Barnes nie wykrzyczał pozdrowienia z wywróconego do góry dnem *Ahury*.

- Ściągam wszystko, co tylko znajdę o botanice Kostromy - oznajmiła zamiast powitania. Pomimo szorstkiej reakcji ucieszyła się, widząc go na nogach i w dobrym stanie. - Pliki są strasznie pomieszane. Wszystko na tej planecie jest okropnie pomieszane.

- Dlatego właśnie potrzebują ekspertów z Cinnabaru - rzucił wesoło Daniel. - Przejdźmy się i sprawdźmy, czy uda się nam coś rozwikłać.

- Bibliotekarka wyłączyła komputer i schowała go do futerału z pieczołowitością, którą rozpoznałby i docenił każdy kosmonauta. Dopiero potem wstała, podciągając się na ramieniu oficera. Przypominało to podnoszenie się osoby na szczydłach. Oboje stali na pokładzie jachtu, zanim ten wywinął kozła, po czym oboje wykonali długiego nurka do wody.

Daniel wskazał ręką w lewo za pracującymi marynarzami i wzdłuż laguny. Jeśli opuszczą atol,

największym problemem stanie się słodka woda, gdyż owoce pozostaną na wyspie, a drzewa beczkowe nie zapuszczą korzeni w prądach oceanicznych.

- Całe szczęście, że nie uderzyliśmy w ląd - oświadczył i uśmiechnął się. - Ani w koralowce.

- Kiedy się obudziłam, sądziłam, że nie mogłam doznać większych obrażeń - wyznała Adele, kuśtykając niezgrabnie u jego boku. - Miałam kolana wielkości melonów. Ale teraz część opuchlizny zesza i jestem niemal zadowolona, że nie zginęłam.

Leary zamrugał oczami, ale zaraz zrozumiał, że dziewczyna żartowała. Roześmiał się.

Tak przypuszczał, że żartowała.

Na całej wyspie nie było żadnych ścieżek. Daniel odczuwałby wielkie zdziwienie, gdyby takowe tutaj znaleźli, gdyż żadne większe zwierzęta nie dotarłyby do atolu, chyba że z pomocą człowieka. Poruszanie się po okolicy było łatwe ze względu na niskie i rachityczne zarośla, ale drzew beczkowych musieli szukać na obrzeżach.

Po dotarciu do gąszczy wysunął się naprzód. Krzaki składały się z cienkich witek, na wysokości 15 stóp eksplodujących zielonym i żółtym listowiem. Pomimo nacisku porucznika rośliny stawiały opór niczym zbity tłum ludzi.

- Co z Hoggiem? - zapytała cicho uczona.

- Nienajlepiej - przyznał Daniel, przepychając się przez gęstwiny. Spocił się i zadyszał, zanim udało mu się otworzyć przejście dla towarzyszk. - W razie potrzeby moglibyśmy wykorzystać je do wiązania - oznajmił Adele. - Choć na *Ahurze* było mnóstwo zapasowych lin. Tak będzie prościej, chyba że nie uda się ich odnaleźć.

- Wokół brzęczały małe owady, łaskocząc, gdy spijały wydzieliny ludzkiego ciała, i czasami tonąc w kroplach. W wyspę wbijał się tutaj brzeg laguny. Z wody przyjrzały im się oczy na szypułkach, po czym znikły w wirze bąbelków i błota.

- Miło będzie urozmaicić dietę o skorupiaki - rzekł porucznik. - W błocie powinny żyć jakieś małże. - Spojrzał jej w oczy. - Martwię się o Hogga - wyznał. - Ma wstrząs mózgu, a my możemy go jedynie doglądać.

Bibliotekarka wskazała na terminal w futerale.

- Kiedy tylko zechcesz... - powiedziała.

Pokręcił głową.

- Nie - odparł. - Odpowiadam za cały oddział. W trakcie wojny takie rzeczy się zdarzają.

Poprowadził ich w głąb lądu, gdzie mogli przeskoczyć wodę, zamiast przeprować się przez dziesięciostopowy przesmyk, co z kolei zaoszczędziłoby im sto jardów wycieczki. Był pewny, że żaden duży drapieżnik nie mógłby dzielić laguny z zamiataczem, choć z drugiej strony jeszcze wczoraj przysięgłby, że żaden zamiatacz nie mógłby osiągnąć większych rozmiarów niż 20 stóp.

Poza tym nie zamierzali dotrzeć w żadne konkretne miejsce. Daniel odszukał dwa drzewa beczkowe po tej stronie przesmyku i jedno po drugiej. Przysadzisty pień skrywały zarośla, lecz olbrzymia, liściasta korona dostatecznie je zdradzała.

Za każdym razem, gdy miał jakieś pytanie, Adele kuciała i wyciągała terminal. Kiedy tylko znajdowała najbliższą możliwą odpowiedź, zgodną z podanymi jej przez towarzysza parametrami, podawała mu komputer, by doprecyzował dane. Przy każdym rozstaniu z terminalem robiła minę matki oddającej dziecko obcemu pijakowi. Ale nie protestowała; jej przerażenie zdradzało jedynie stężenie mięśni. *J* Do południa przebyli jedynie paręset metrów od piaszczystej plaży, skąd rozpoczęli wyprawę, lecz Daniel upewnił się, że jego plan ucieczki miał szansę powodzenia. Potrafił już wskazać potrzebne elementy, zamiast jedynie mieć nadzieję, że znajdzie je gdzieś na atolu.

- Myślę, że pora wracać - oznajmił. Stał przed kolejnym przesmykiem, tym razem szerokim na

raptem pięć stóp u ujścia. Nie podoba mi się to niebo. - Na zachodzie kłębiły się cumulusy. Pierwszego popołudnia po ucieczce z Kostromy *Ahurę* złapał sztorm. Był tak gwałtowny, że porucznik musiał zrefować żagle i schować płozy, po czym przez półtorej godziny płynęli tylko na silniku wodnym. - Poza tym chętnie zjadłbym jakiś lunch - dodał z uśmiechem. - Mógłbym złapać dla nas po koniku błotnym... - Machnął ręką w stronę brzegu. Pozornie unoszące się na powierzchni wody oczy znikły w wirze błota. - Ale nie jestem wystarczająco głodny, by zjeść je na surowo.

Bibliotekarka przytaknęła.

- Myślę, że dożyję do powrotu do obozu na zgromadzonym w ciele tłuszczu - oświadczyła.

Dała krok w bok, by przepuścić Daniela przodem. Obrócił się... i kątem oka dostrzegł coś interesującego.

- Oho! - zawołał. - Popatrz na to. Tak, zatrzymamy się tutaj na chwilę.

Wskazał ręką, wzdłuż wąskiego paska wody, na kępę drzew o szorstkiej korze oddaloną jakieś 20 stóp od nich. Na ich gałęziach rosły grzyby we wszystkich stadiach dojrzenia: od białych plamek po napęczniałe, pomarańczowe kule wielkości ludzkiej głowy. Gdy już dojrzały, wisiały na cienkiej pępownie.

- Grzyby - bańki mydlane - wyjaśnił Leary. - Zarażają różne odmiany orzechowców. Wydają się nie szkodzić zbytnio drzewu, może więc mamy do czynienia z symbiozą.

Adele zaczęła wyciągać komputer.

- Nie, w bazie danych *Aglai* było wystarczająco dużo wiadomości o tych grzybach - powstrzymał ją Daniel. Mówił cicho, instynktownie nie chcąc ściągnąć na nich niebezpieczeństwa, choć z takiej odległości nic im nie groziło. - Najważniejsze, co musisz wiedzieć, to to, że nie powinnaś podchodzić do nich bliżej niż na dziesięć stóp lub na 20, jeśli jesteś ostrożna z natury.

- Są trujące? - zapytała. Choć oficer zasugerował jej, żeby się tym nie przejmowała, nadal wywoływała dane ze ściągniętych rankiem plików.

- Daniel uśmiechnął się. Uczona sięgnęła po terminal w sposób instynktowny - nie posiadała wiedzy sama, musiała zobaczyć ją na ekranie. Te same słowa z tego samego źródła odnosiły większy skutek napisane niż wymówione.

- Powiedziano mi, że po zerwaniu są przepyszne - odparł nie spuszczać wzroku z zainfekowanego zagajnika. Największe z grzybów zdawały się dygotać od wewnętrznego życia. Co akurat było bardzo możliwe. - Zanim pękną, jedzą je wszystkie ptaki i zwierzęta w promieniu 50 mil, chyba że otworzą je mieszkające w środku żuki.

Wskazał najciemniejsze, najbardziej dojrzałe owocniki.

- Wszystko, co przerwie skórę, jest atakowane przez tuzin owadów żądliwych, jak rozpalone do czerwoności pogrzebaczki. Na Kostromie nic nie otwiera tych grzybów rozmyślnie, a zwierzęta, które uczyniły to przypadkiem, bywają zagryzane na śmierć.

- Nawet ludzie? - upewniła się Adele, spoglądając badawczo na kuliste grzyby. Różdżki w jej dłoniach znieruchomiały.

- Zwłaszcza ludzie - przytaknął. - Co roku dochodzi do kilku takich przypadków, przeważnie wśród piknikujących mieszczuchów lub dzieci, którym nie nakazano ostrożności. - Uśmiechnął się szeroko. - Mam okazję bezpośredniego przyjrzenia się historii naturalnej Kostromy, prawda? Wygląda na to, że mamy szczęście, iż rozbiliśmy się właśnie tutaj, co?

- Chyba nie posunęłabym się aż tak daleko - mruknęła z kwaśnym uśmiechem kobieta. - Niemniej cieszę się z twej radości.

Rozpadało się, kiedy byli w połowie drogi do obozu. Przynajmniej deszcz zmyje zaskorupiały pot z ubrań, pomyślał Leary.

Zanim znaleźli się w zasięgu wzroku pracujących marynarzy, Adele zaczęło kręcić się w głowie... Cóż, nie była pewna, z jakiego powodu. Ból mięśni ramion, naciągniętych podczas miotania jachtem przez potwora, zrobił swoje. Do tego dołożyło się znużenie marszem przez nieprzyjazną okolicę i dźwiganie kilku funtów błota przylepionego do butów.

Przypuszczała również, że zadziałały na nią upał i wilgoć. Nigdy przedtem nie doświadczyła klimatu, w którym pot skraplał się na skórze, ponieważ powietrze było tak nasycone wodą, że nie absorbowało żadnej dodatkowej wilgoci.

Miała nadzieję, iż nie był to przejaw strachu przed nieznanym. Pozostawała zagubiona w dżungli, gdzie nie znała żadnych zasad. Daniel i jego marynarze wydawali się doskonale tutaj odnajdywać. Być może szkolono ich w radzeniu sobie z sytuacjami typu wtargnięcie do biblioteki uzbrojonych drabów lub obecność paskudnie wyglądających grzybów, które w każdej chwili mogły pluć w nich zabójczymi insektami.

To nie fizyczne otoczenie martwiło Adele Mundy, tylko chaos, jaki zakradł się do jej życia. Przywykła do problemów mających swe źródło w ubóstwie i wykonywaniu wymagającej pracy, jak dotąd jednak jej egzystencja była raczej jednostajna. Rozpaczliwie tęskniła za ową przewidywalnością.

Nurkom towarzyszyła Woetjans. Na widok wynurzającego się z dżungli porucznika na obliczu żeglarki odmalowała się nieskrywana ulga. Najwyraźniej cykl klęsk, jakie ich spotykały, jeszcze się nie zamknął.

- Mamy problem, sir - powitała go, zanim Daniel zdążył odzyskać oddech po przedzieraniu się przez zarośla. - W nocy te dranie musiały ukraść z jachtu szalupę ratunkową.

Skinęła głową w stronę rufy. Rufa sprawiała wrażenie położonej niżej niż ostatnio, lecz Barnes nadal tam buszował.

- Powinnam była wiedzieć, że tam jest - ciągnęła takielarka. To moja cholerna wina. Znajdowała się w schowku pod pokładem rufowym, ale nie zadałam sobie pytania, dlaczego umieszczony tam panel ma czerwoną obwódkę. Hafard odkryła otwarty schowek, kiedy rano myszkowała w wodzie.

Pracujący w pobliżu marynarze zbliżyli się, by posłuchać. Nurkująca w lagunie para unosiła się na wodzie, trzymając się tratw z wiązek trzciny. Razem z Barnesem patrzyli na brzeg, pilnie nadstawiając uszu.

Woetjans podała Leary'emu cienką, metalową plakietkę z dziurami po nitach.

- Była przyczepiona do wewnętrznej strony pokrywy - dodała. - Czarnuchy musiały wiedzieć, że tam jest.

- No cóż, nie odpłyną daleko na nadmuchiwanej łódce - zaczął Daniel. - A jeśli... Och, teraz rozumiem.

Bibliotekarka zerknęła mu przez ramię na napis na plakietce. Wytłoczone litery głosiły:

SPRZĘT RATUNKOWY

Tratwa (10 osób) z silnikiem

Destylator słoneczny

Radio

Wędki

- Och - wyrwało się Adele.

Wyciągnęła terminal i usiadła na ziemi; użyła skrzynki z konserwami jako biurka. Odruchowo skrzyżowała nogi. Dźgnięcie bólu dotarło do uczoney dopiero, kiedy rozpoczęła ruch, ale nie było wystarczająco silne, by powstrzymać przed jego ukończeniem. Kiedy zabierała się do pracy, przerwać jej mogła jedynie dekapitacja.

Daniel dyskutował z marynarzami, patrząc na następną wysepkę atolu, tuż za linią raf. Mundy zanurzyła się we wszechświecie holograficznego wyświetlacza. Otaczający ją zwykły świat zniknął.

Szybko odnalazła pierwszą wzmiankę o oddziale porucznika Leary'ego. Była to radiowa wiadomość, nadana przez oficera łącznikowego Sojuszu przy władzach portowych miasta Kostromy do swoich przełożonych w rządzie wojskowym Sojuszu. Cinnabarscy piraci uwięzili obywateli Kostromy na bezludnej wysepce, gdzie sami utknęli. Kostromanie poprowadzą szturmowców, którzy zlikwidują piratów.

Adele uśmiechnęła się lekko, zauważając odstęp czasowy pomiędzy wiadomością a odpowiedzią. Przez kilka godzin nie było żadnej reakcji na raport. Otrzymano go tuż po północy, a jeśli nawet ktoś go zauważył, to zaklasyfikował do tej samej kategorii, co opisy anielskich objawień. Prawdopodobnie dopiero rano pojawił się jakiś oficer. Wkrótce potem ktoś dotarł do oryginalnego wezwania SOS Gansera, choć samej wymiany nigdzie nie mogła odszukać. Jednak jej wynik - raport o marynarzach Cinnabaru działających na Kostromie - został przekazany pod kodem Błękitny Chrom. Siły inwazyjne dzieliła przepaść od tutejszego rządu wojskowego Sojuszu.

Od tej pory sprawy potoczyły się bardzo szybko i były w całości zapisywane w plikach, z których Mundy mogła je wydobyć. Radio z tratwy ratunkowej *Ahury* wciąż stanowiło jedyne połączenie z Ganserem, jednak w kombinacji z satelitami geostacjonarnymi zupełnie to Sojuszowi wystarczyło.

Adele zakończyła sprawdzanie i wyprostowała się z westchnieniem. Nie wyłączyła terminala, lecz jej oczy były wystarczająco oddalone od punktu skupienia, żeby wyświetlacz zamienił się w mgiełkę promieni spójnego światła.

Przyglądali się jej Daniel z Woetjans.

- Masz coś, Adele? - zapytał Leary.

Skupił się wokół niej cały oddział, wliczając w to Hogga. Służący wyglądał na znużonego, jednak źrenice miał normalne i mógł samodzielnie chodzić. Cała lewa strona twarzy zamieniła się w fioletowożółtego siniaka.

Marynarze byli uzbrojeni, choć ci nieliczni, którzy mieli karabiny, trzymali je za lufy jak maczugi. Przeważały noże, włócznie i pałki wystrugane z lokalnych drzew.

- Ganser utrzymuje łączność radiową z władzami wojskowymi Sojuszu - zaczęła bibliotekarka. Przekazała im informacje prosto i bez emocji, by nie mogło dojść do nieporozumień. - Kostromanie przebywają na sąsiednim atolu, jakieś trzysta metrów od najbliższej wyspy. Pluton komandosów Sojuszu przybędzie w LOT-cie około północy, by zabić lub pojmać marynarzy Cinnabaru oraz uwięzić Kostroman.

- Dlaczego tak późno? - zapytał Dasi. - LOT mógłby dolecieć tutaj z Kostromy przed zmierzchem, nawet gdyby dopiero wystartowali.

- Chcą nas zaskoczyć we śnie - zgadywał Daniel.

- Zgadza się - przytaknęła Adele. - Ganser ostrzegł ich, że jesteśmy uzbrojeni. Powiedział, że powinni wystrzelać nas z dystansu i niepotrzebnie nie ryzykować.

- Chciałbym, żebyśmy byli uzbrojeni - rzucił Lamsoe. - Chciałbym, *kurwa*, żebyśmy byli uzbrojeni.

- Popatrzył tęsknie na swój karabin. Z miejsca na baterie zwisał kawałek elastycznego plastiku.

Żeglarz odłączył zasilanie, nie chcąc ryzykować przypadkowego pociągnięcia za spust i rozładowania mechanizmu.

Porucznik zerknął na chronometr, schował go do kieszeni i uśmiechnął się z determinacją do Adele i marynarzy.

- To daje nam siedem godzin - powiedział. - Pierwszą rzeczą, której potrzebujemy...

* * *

Daniel powoli omiółtł spojrzeniem przeciwległy brzeg, wspomagając się goglami nastawionymi na maksymalne powiększenie w podczerwieni, a potem uczynił to ponownie, tym razem z maksymalnym powiększeniem przy normalnym widzeniu. Gdy korzystało się jednocześnie z dwóch systemów, i to nastawionych na maksimum, zawsze istniało prawdopodobieństwo, że jakiś błąd w oprogramowaniu zamaże cel.

Tym razem Daniel Leary nie mógł pozwolić sobie na żaden błąd.

Ściągnął gogle i podał je Woetjans, siedzącej razem z nim w krzakach. Reszta oddziału czała się w ciszy kilka stóp dalej w dżungli, gdzie gęste listowie zamaskuje ciepotę ciał przed każdym znanym mu urządzeniem. Kostromanie raczej nie mieli sprzętu na podczerwień, lecz margines błędu był zbyt mały, by Daniel mógł zaryzykować zakładanie jakichś „pewności”.

- Ani śladu straży - powiedział. - Oczywiście obserwuj dalej.

Wyprostował się opierając złączone dłonie o pień drzewa. Rozebrał się do pasa, noża w pochwie - od jednego z marynarzy - i szortów. Mat trzymała szpulę linki wędkarskiej, której koniec przywiązany był do pasa porucznika.

Nie zostawił sobie szortów ze skromności, tylko z obawy przed małymi, pływającymi żyjątkami, które mogłyby go ukąsić lub użądlić w ciemnościach. Uszczypnięty *palec* nie ograniczy jego sprawności.

- Ruszam - oznajmił. Podeszedł do wody, czując, jak żwir zamienia się pod stopami w błoto.

- Sir - zaczęła Woetjans, wychodząc za nim z zarośli. - Żałuję...

- Jestem najlepszym pływakiem w oddziale - przerwał jej Daniel. - W razie kłopotów asekuruje mnie Cafoldi. Ty jednak musisz uderzyć tej nocy na Kostroman. A teraz wracaj do swoich obowiązków.

W tej chwili Leary chciał tylko zabrać się za zadanie, ale nie pozwolił sobie na wyładowanie odczuwanej złości na żeglarce. Woetjans martwiła się przekazaniem jej dowodzenia bez precyzyjnych rozkazów tak, jak Daniel czekającą go próbą przepłynięcia przesmyku rozdzielającego obie wyspy. Powinno udać się w obu przypadkach, lecz tylko głupiec nie miałby wątpliwości.

- Tak jest, sir - wyprężyła się żeglarka. Zasalutowała i znikła w dżungli.

Oficer wszedł do wody. Była cieplejsza od nocnego powietrza. Zaczął powoli płynąć w stronę przeciwległego brzegu, szerokim łukiem omijając wrak jachtu.

Słońce zaszło niecałą godzinę temu, ale noc była tak ciemna, że tylko dzięki słabym rozbłyskom gwiazd mógł odróżnić niebo od ziemi i morza. Wzeszły oba niewielkie księżyce Kostromy, lecz nawet podczas pełni dawały niewiele więcej światła niż jasne planety.

Wzmagał się przyływ, wzbudzając między rafami coraz silniejsze prądy od strony znajdującego się za plecami oceanu. Daniel płynął w głąb laguny; zmienił lekko kierunek w stosunku do prądu, zapobiegając zniesieniu względem planowanego miejsca lądowania.

W doskonałym świecie porucznik wypłynąłby pomiędzy przyływem a odpływem, gdy woda była nieruchoma. Z drugiej strony, pomyślał, w doskonałym świecie nie musiałbym nigdzie płynąć. A

przynajmniej nie musiałby tego robić podczas przyływu, kiedy prąd ściągał go w kierunku zębatych raf, zamykających przerwę pomiędzy wyspami.

Mimo to spróbowałby. Zadanie należało wykonać, a prawdopodobieństwo, że próba realizacji zakończy się fatalnie, bynajmniej nie zmniejszało konieczności jej podjęcia.

Coś go trąciło. Zaskoczony, zgubił rytm. Coraz więcej obiektów uderzało weń i ześlizgiwało się z gumowatą nieustępliwością.

Z wody wysunęły się nieruchome ślepie. Niezidentyfikowane kształty śmignęły koło Daniela w głąb laguny. Potrącały go bezmyślnie, nie wyrządzając żadnych szkód: ot, zwykłe kolizje w ciemnościach. Wraz z przyływem w lagunie pojawiła się gigantyczna ławica stworzeń o miękkich ciałach, wpływając na żer.

Cinnabarczyk widział jedynie oczy. Po dotyku bezkostnych ciał nie był w stanie domyślić się ich kształtu, lecz największe miały co najmniej długość jego ramienia.

Płynął dalej pomimo utrudniającej obecności nocnych stworzeń. Bardziej martwił się szarpnięciami z tyłu, gdyż ławica uderzała również o linkę. Jeśli ją przerwą, będzie musiał zaczynać od nowa.

Niech tak będzie. Zajmie się realizacją zadania krok po kroku, jak zawsze. Przynajmniej dowiedział się, jak zamiatacz mógł wyżywić się na tyle, by osiągnąć tak gigantyczne rozmiary.

Płynął z głową wystawioną ponad wodę, aby móc cały czas obserwować brzeg. Nie znajdowało się tam nic godnego uwagi, poza tym istniało małe prawdopodobieństwo, że wypatrzyłby cokolwiek w panujących ciemnościach, nawet gdyby Ganser czekał z całą bandą, żeby przyszpilić go jak rybę na płyciźnie.

Bardzo bolały go mięśnie ud. Przy kolejnym zgięciu nóg poczuł zaczątki skurczu; natychmiast rozluźnił się i położył na plecach, modląc się, żeby zdążył na czas.

Zdążył. Muskuly prawego uda nie zawiązały się we wściekły supeł, lecz Daniel nie odważył się więcej ich nadwerężyć.

Płynął dalej, ograniczając się jedynie do zagarniania wody ramionami. Nogi unosiły się swobodnie niczym u psa z przetrąconym grzbietem.

Naciągnął sobie mięśnie, zwisając z podstawy działka; ponadto nie był w formie. Nie było sensu oszukiwać się: Daniel Leary nie był tak sprawny, jak na oficera FRC przystało. Gdyby coś przydarzyło się jego podwładnym, w świetle prawa ponosiłby za to pełną odpowiedzialność.

Ramiona Daniela wcale nie znajdowały się w lepszym stanie niż uda, ale istniało mniejsze prawdopodobieństwo wystąpienia skurczu mięśni grzbietu w wyniku nagromadzenia szkodliwych produktów przemiany materii. Niemniej tracił siły. Musiał szybko dopłynąć do brzegu, inaczej wkrótce zacznie dryfować na plecach w nadziei, że ktoś zauważy go za dnia.

Daniel Leary unoszący się na wodzie wraz z cielskiem zamiatacza wielkości jachtu. No cóż, przynajmniej nie pozwolił sobie utyć do tego stopnia, by postronny obserwator mógł ich pomylić.

Zachichotał; był to błąd, który okupił opiciem się wody. Z drugiej strony... może i dobrze - w trudnych sytuacjach dobry humor zawsze się przydawał.

Poza tym coraz bardziej zbliżał się do celu. Czuł już smród błota, choć nie był jeszcze w stanie wymacać gruntu stopami. Jeszcze kilka metrów...

Coś walnęło go w pierś. Był to prawdziwy cios, a nie przypadkowe dotknięcie unoszonego prądem stworzenia. Głowa Daniela zanurzyła się pod wodę, zanim zdążył zamknąć usta.

Obawa, że ktoś stojący na brzegu dostrzeże nadmierne poruszenie wody, nie przeważała instynktownego lęku przed utonięciem. Wypłynął na powierzchnię, młócąc bezładnie ramionami.

Niczego nie widział. Może nadział się na zatopiony pień? Uderzenie było wystarczająco mocne.

Rozgarniając ostrożnie wodę w nadziei, że stwór nie zaatakuje go ponownie, porucznik pomacał przed sobą wyciągniętą lewą ręką. Nie dotknął niczego.

Ponownie ruszył naprzód. Coś dało mu kuksańca w lewy bok. Po chwili otrzymał kolejny cios w sam środek piersi.

Teraz wiedział już, na czym polegał jego problem i co z tym zrobić. Nie był tylko pewny, czy w obecnym stanie zdoła tego dokonać.

Po tej stronie kanału znajdowała się kolonia gigantycznych robaków rurowych, niegroźnych planktonożerców. Po zmroku wypływały ze swoich tuneli, by zasysać wodę skórzastymi skrzelami, które co kilka minut wciągały w głąb ciała, by strawić mikroorganizmy uwięzione w ich siatkowej strukturze.

Problem polegał na tym, że choć robaki tworzyły kolonie, każdy bronił swojego terytorium łowieckiego, taranując rywali próbujących zbyt blisko wydrążyć swój błotny tunel. Najwidoczniej uznały Daniela za pobratymca i nie zamierzały pozwolić mu osiedlić się na terenie, który same objęły we władanie.

Porucznik skręcił i popłynął niezdarnie wzdłuż brzegu. Zużył większość sił na walkę z przyptywem spychającym go w tym właśnie kierunku; a teraz, kiedy mógłby z tego skorzystać, woda pozostawała nieruchoma.

Naprawdę mógłby skorzystać z jakiejś pomocy. Cóż, jego oddział także. Adele i marynarze mieli Daniela Leary'ego i, na *honor*, to powinno im wystarczyć.

Dwukrotnie zawracał w stronę brzegu. Dwukrotnie zaciśnięte pokrywy skrzeli rozjuszonego robaka odpychały go wstecz. Roześmiał się: kostromańskie robaki rurowe hołdowały zasadom honorowym wielce podobnym do kodeksu cinnabarskich szlachciców. A myślałby kto, że społeczeństwa na dwóch planetach bardzo różniły się od siebie.

Uznał, że ból ramion i płuc wywoływał halucynacje. No cóż, ciężko byłoby polecić komukolwiek tę rzeczywistość.

Nie był do końca świadomy, że czwarta próba dotarcia do brzegu powiodła się, dopóki lewa dłoń nie zakopała się w błocie. Stracił równowagę, gdy, wciąż w wodzie, łapczywie wciągał powietrze w płuca. Niemal minutę zajęło mu wypełnienie z laguny, by stanąć na stałym lądzie.

Podrapał się o krzak o liściach jak papier ścierny. Nie zwracając na to uwagi, pomachał w stronę drugiego brzegu, który opuścił wieki temu. Woetjans na pewno obserwowała go przez gogle.

Sprawdził linkę. Napięła się pod własnym ciężarem. Powoli, uważając, żeby nie zerwać jej o jakąś przeszkodę, zaczął ją ciągnąć razem z grubszą cumą, którą marynarze przywiążą do jej końca.

* * *

Ptak o metrowych skrzydłach zanurkował ku lagunie, z przeciągłym *kuuuu*, po czym zniknął za drzewami. Adele podskoczyła; siedzący 20 stóp od wody Kostromanie krzyknęli i odskoczyli od ogniska. Jeden z nich cisnął kamień w mrok, upewniając się, że stworzenie odleciało.

Bandyci ponownie rozsiedli się wokół ognia. Jeden z nich próbował podsycić płomienie, lecz drewno, które dorzucił, okazało się wilgotne. Płomienie przygasły z sykiem, a kamraci obrzucili go wyzwiskami. Byli okropnie nerwowi.

Mieli ku temu lepsze powody, niż sądzili.

Adele zadrzała. Powietrze, choć całkiem ciepłe, chłodziło ją, osuszając słoną wodę. Po powrocie ze zwiadu z Danielem była zbyt wyczerpana, żeby coś zjeść, a potem zanadto spięta i zajęta, by wziąć coś do ust.

A teraz była mokra, zziębnięta i samotna w ciemnościach. Lubiła myśleć o sobie jako o istocie umysłu, lecz ciało przypominało o swej rzeczywistości.

Następnym razem będzie mądrzejsza. Na myśl o następnym razie aż się uśmiechnęła: Niebezpieczna Adele, Bibliotekarka-Rewolwerowiec.

Otrzeźwiała. Jeżeli przeżyje ten raz, prawdopodobnie czekają ją następne.

Kostromanie z powrotem pograżyli się w ponurych spekulacjach. Byli wielkowiejskimi oprychami, równie nieprzywykłymi do takich warunków jak Adele Mundy, a brakowało im jej samodyscypliny, by poradzić sobie z nieprzyjemną sytuacją.

Ganser popłynął w górę przesmyku wzdłuż laguny. Nie założył prawdziwego obozu. W blasku ogniska pomarańczowo połyskiwały pootwierane puszki; jedna unosiła się na wodzie przy drugim brzegu, gdzie kryła się uczona.

Niedaleko ogniska spoczywała, wyciągnięta na błoto, nadmuchiwana tratwa. Adele zastanawiała się, czy ją przywiązali. Zbiry najprawdopodobniej nie sądziły, że będą jej jeszcze potrzebować, ale cinnabarscy marynarze - i owszem.

Ona i cinnabarscy marynarze. Po raz pierwszy od masakry Mundy z Chatsworth należała do jakiejś grupy.

Coś plusnęło głośno w lagunie. Zbir krzyknął i odwrócił się. Dźwięki nocy zostały na moment zakłócone, po czym wróciły do poprzedniego rytmu.

Daniel Leary wyszedł z zarośli po drugiej stronie ogniska Kostroman. W ręce dzierżył metrowej długości drewnianą pałę.

- Dobry wieczór - przemówił. - Poddajcie się cicho i spokojnie. Jesteście otoczeni.

Bandyci z wraskiem zerwali się od ogniska. Jeden z nich wycelował w Daniela z automatu. Kobiecie natychmiast przestało być zimno. Postrzeliła niedoszęłego strzelca w kolano. Trafiony krzyknął i upadł na plecy.

Ganser zamachnął się na porucznika. Ten dźgnął grubasa końcem pałki w miękkie brzuszysko, po czym wykorzystał to, że mężczyzna zgiął się wpół, i zdzielił go mocno przez łeb.

Czająca się na skraju kręgu światła Kostromanka również miała pistolet automatyczny. Adele nie zauważyła jej, dopóki tamta nie pociągnęła za spust. Wyłowili broń z laguny, jednak w odróżnieniu od marynarzy nawet nie próbowali wypłukać soli z przewodów.

Automat wybuchł jaskrawym, zielonym płomieniem - akumulator rozładował się w krótkim spięciu. Roztopiony metal i krople wrzącego plastiku rozprysły się na wszystkie strony niczym odłamki granatu zapalającego.

Daniel krzyknął, lecz większość ognistej kuli przyjęli na siebie bandyci. Woetjans i Barnes wyskoczyli z krzaków po obu stronach dowódcy i dołączyli do pałowania trzymających się jeszcze na nogach oprychów.

Bibliotekarka nie oddała kolejnych strzałów. Nie widziała żadnego bezpiecznego celu, poza tym troje Cinnabarczyków po drugiej stronie przesmyku nie potrzebowało jej pomocy.

Jedyna lina, jaką dysponowali marynarze, posiadająca odpowiednią długość, by połączyć obie wyspy, wykonana została na Kostromie i miała tylko ćwierć cala grubości. Leary wołał nie obciążać jej zanadto, dlatego tylko jedna osoba na raz mogła przechodzić na rękach z jednego brzegu na drugi. Gdyby mieli więcej czasu, takielarze upletliby cumę z kory. Niestety, nie mieli.

Do Daniela dołączyła trójka Cinnabarczyków. Pierwsza była Adele ze względu na pistolet, i biegłość w posługiwaniu się ową bronią. Potem mieli pójść Barnes i Dasi, lecz tego ostatniego zastąpiła Woetjans.

Walka w obozie Kostroman zakończyła się. Dowódca Cinnabarczyków zachwiał się, dysząc

ciężko i trzymając pałkę oburącz. Spojrzał ponad przesmykiem i zawołał:

- Nie próbuj iść naokoło, Adele. Przeprowadzimy cię tratwą, jak tylko ich zwiążemy.

Czwórka żeglarzy wędrowała wzdłuż brzegu, od krańca wyspy, dopóki nie odnalazła obozu Kostroman po drugiej stronie tego ujścia. Nie mogli ułożyć żadnego planu, dopóki nie zobaczyli miejsca akcji. To Mundy zasugerowała, że lepiej będzie, jak zostanie tam, skąd miała lepsze pole ostrzału, niż gdyby poszła razem z nimi.

Czekając na atak porucznika Leary'ego, czuła się bardzo osamotniona. Nie był to dla niej szczególnie problem - czuła się tak przez większość życia.

Ktoś zaczął krzyczeć rozdzierająco, wybijając się ponad jęki i przekleństwa pozostałych. Możliwe, że to postrzelony przez nią lub ta, która sama się podpaliła, pociągając za spust automatu.

Adele miała stąd dobry widok na obóz, ale okazało się, że niewystarczająco dobry. Gdyby pistolet automatyczny zadziałał, Daniel Leary już by nie żył. Nie miała pojęcia, jak ich grupa przetrwałaby bez Daniela.

Racjonalnie rozumując, nie widziała również szans na przeżycie pod dowództwem Leary'ego, ale w towarzystwie młodego porucznika dziwnie łatwo przychodziło jej zapominać o swym braku wiary.

Teraz spojrzała ponad wodą, po czym schowała pistolet do mieszka przy pasie.

- Przechodzę - oznajmiła.

Weszła do wody. Pośrodku kanału było na tyle głęboko, że mistrzyni musiała młócić wodę ramionami w parodii pływania. Nie było prądu; muł z dna, choć nieprzyjemny w dotyku, spływał ze skóry na podobieństwo gęstego smaru, zamiast oblepiać. Tydzień temu - *dzień wcześniej* - nawet przez myśl by jej nie przeszło, aby zanurzyć się w brudnej wodzie, pełnej rozkładających się szczątków, teraz jednak próg akceptacji stanowczo uległ obniżeniu.

Daniel podał jej rękę.

- Nie powinnaś była tego robić - powiedział. - Nie możemy pozwalać sobie na zbędne ryzyko.

- Ani na stratę czasu - zauważyła cierpko.

Jednak nie była to prawdziwa przyczyna przeprawy. Ukarła samą siebie za przeoczenie drugiego strzelca, aż było już za późno.

Mat Woetjans i Barnes krępowali jeńców tą samą liną, dzięki której Adele i dwoje marynarzy przepравиło się przez przesmyk. Ognisko zostało zdeptane w trakcie walki, teraz jednak przekornie zapłonęło większym płomieniem niż pod opieką Kostroman.

Uczona wyciągnęła pistolet z mieszka. Leary spojrzał z góry na więźniów. Kilku było przytomnych, czekali jednak obojętnie na związanie. Z trzycalowej rany na głowie Gansera sączyła się krew.

- Chyba muszę przyłożyć mu opatrunek - mruknął Daniel, choć na razie nie wydawał się gotowy, żeby to zrobić.

Nadal ciężko dyszał. Kropla płonącego tworzywa oparzyła mu prawe przedramię; jeszcze nie opatrzył sobie rany.

Sięgnął do przyniesionej przez Woetjans apteczki. Potwornie poparzona bandytka umilkła. Porucznik wetknął iniektor z powrotem w uchwyt.

- Dałem jej już trzy ampułki - powiedział cicho do Adele. - Zwykła strata lekarstw, ale alternatywą byłoby przyłożenie jej w głowę. Nie chciałem tego robić, chociaż gdyby się nie zamknęła...

- Co z tym, którego postrzeliłam? - zapytała Mundy. Nie wiedziała, który to Kostromanin. Zobaczyła automat i strzeliła, wybierając cel bardziej odruchowo niż świadomie.

- Na końcu - Daniel kiwnął głową w stronę skraju kręgu światła. - Jemu też zaaplikowałem

dawkę, więc nie dozna wstrząsu. Nic mu nie będzie. Przeżyje.

- To już wszyscy, sir - zameldowała mat, podnosząc się.

- W porządku - rzucił dowódca. - Woetjans, weźmiesz tratwę i przywieziesz resztę. Myślę, że będziesz potrzebowała dwóch - kursów, żeby zabrać oddział z całym niezbędnym sprzętem. - Uśmiechnął się z wyczekiwaniem; tak przynajmniej wydawało się Adele. - Reszta potrudzi się tutaj, przygotowując powitanie naszym przyjaciołom z Sojuszu.

* * *

Radio awaryjne było płaskim, cicho pomrukującym pudełkiem. Co dziesięć sekund pikało wyjście przy głośniku, dając znać, że urządzenie wciąż nadaje sygnał lokalizujący.

- Słyszę ich - nadlatują - wyszeptała Woetjans. - Słyszysz pan? Ten grzmot, dobiegający jakby z odległości setki mil, to dźwięk turbin.

Daniel rozłożył ręce, prosząc o ciszę. Wbudowany w radio mikrofon nie był zbyt czuły, ale lepiej nie ryzykować.

Wokół ogniska siedziało jedenaścioro Cinnabarczyków w kostromańskich cywilnych ubraniach z żółtoczarnymi dodatkami Zojirów. Woetjans próbowała wykorzystać nadmiar w pasie, by uzupełnić niewystarczającą długość spodni; powiedzenie, że ubranie Gansera niezbyt na nią pasowało, byłoby eufemizmem. Reszcie marynarzy wcale nie powiodło się lepiej.

Nie powinno mieć to znaczenia. Komandosi Sojuszu nie przylatywali tutaj na pokaz mody. Krew, od której zeszywniały ramiona i prawy rękaw koszuli Daniela, także nikogo nie zdziwi.

Barnes i Dasi pozostali po drugiej stronie przesmyku, zajmując się dawnym cinnabarskim obozem. Było to niebezpieczne zadanie, lecz przymiotnik ów śmiało można odnieść do wszystkiego, co działo się tej nocy.

Pozostała ósemka marynarzy pilnowała więźniów. Tkwili po szyje w wodzie przesmyku 80 jardów od obozu Kostroman. Zwieszające się nad nimi listowie powinno zamaskować resztkę ludzkiego ciepła, przynajmniej przed siłami szybkiego reagowania, które raczej postarają się zlokalizować znane im zgrupowania, niż szukać ludzi, których *nie było* tam, gdzie być powinni.

- Cywile - zatrzeszczało radio. Mówił mężczyzna, lecz jednopasmowy sygnał awaryjny i stopień profesjonalnej pogardy niemal zamaskowały płęć. - Podajcie nam kierunek od waszego obozu do lokalizacji bandytów. Over.

Poparzona Kostromanka umarła, dzięki czemu Leary nie musiał decydować, czy włożyć ją do wody z innymi. Miała spalone obie dłonie, a wysuszone żarem jelita wiły się w otworze pozostałym po żebrach.

Jej śmierć stanowiła najlepsze rozwiązanie dla wszystkich zainteresowanych. Daniel podejrzewał, że poniósł klęskę jako oficer i mężczyzna, nie mogąc zdobyć się na przyspieszenie rozwiązania ich problemu.

Pochylił się nad mikrofonem. W tych okolicznościach kiepska jakość przekaźnika okazała się błogosławieństwem: wśród komandosów musiałby znajdować się lingwista, żeby zauważyć jego akcent.

- Panie, piraci sana wschód od nas - wyrzucił z siebie nerwowo. - Może nieco na południe, tak, na południowy wschód. Niecałe pół mili od nas!

Usłyszał basowy pomruk silników LOT-a. Komandosi Sojuszu nadlatywali szybko, nie zważając na ryzyko, że ich zwierzyna usłyszy grzmot turbin.

Moc potrzebna do uniesienia i napędzania ponad 20 ton samym odrzutem okupiona została

hałasem, niezależnie od wysiłków jego zminimalizowania. „Szybko i głośno” było prawdopodobnie lepszą opcją dla członków zespołu uderzeniowego.

- Na mój sygnał - przemówił głos z radia - wystrzelcie pionowo flarę. Powtarzam: pionowo. I trzymajcie się blisko radia! Koniec *przekazu*.

Woetjans uśmiechnęła się leniwie i wstała z pistoletem sygnalizacyjnym z *Ahury* w ręce. Wyraźnie cieszyła ją, że miała zadanie do wykonania, podczas gdy resztę skazano na czekanie.

Adele siedziała na odwróconym do góry nogami metalowym wiadrze. Wydawało się, że błądziła myślami miliony mil stąd. Daniel uśmiechnął się do niej. Uniosła pytająco brew, po czym domyśliła się, że porucznik po prostu okazywał uprzejmość, i wróciła do swych rozważań. W dłoniach powoli obracała przedmiot wielkości głowy, trzymany w rozczapierzonych palcach.

Lamsoe i Sun dzierżyli pistolety automatyczne; Kostromanie uzbrojeni byli w oręż z odzysku, więc udający ich Cinnabarczycy mieli je także. Lamsoe trzymał swój, jakby to była bomba. Leary nie pozwoliłby mu na rozłączenie akumulatora, ponieważ czujnik LOT-a mógłby wykryć różnicę, za to oba automaty zostały zabezpieczone.

Dudnienie pojazdu przybierało na sile. Jeszcze kilka minut temu odległe pulsowanie można było przeoczyć wśród nocnych odgłosów, chyba że ktoś go nasłuchiwał.

- Cywile! - rozkazało radio. - Wystrzelić flarę! Teraz!

Żeglarka podeszła dwa kroki do brzegu przesmyku, wymierzyła pistolet w niebo i wystrzeliła flarę tak pionowo, jak to tylko się dało bez przymiaru. Daniel miał nadzieję, że nie zrobiła tego zbyt profesjonalnie, lecz szturmowcy pewnie założyli, że czarnuchy miały szczęście.

- Całe szczęście, bo już zeszywniałem od siedzenia tutaj odezwał się Hogg.

Wciąż wyglądał, jakby ekshumowano go po trzech dniach od pogrzebu. Porucznik zamierzał zostawić służącego z jeńcami, ale w ostatniej chwili zabrakło mu odwagi, by wydać takie polecenie.

Hogg i tak by je zlekceważył. Facet, który zmieniał ci pieluchy, nie będzie całował cię po butach tylko dlatego, że masz teraz „porucznika” przed nazwiskiem.

Raca wybuchła jasnoblękitnym płomieniem sto stóp nad nimi. Wiał wystarczający wiatr, aby odepchnąć iskry znad obozowego ogniska; komandosi i tak by o to nie dbali.

LOT przeleciał *szybko* nad drzewami, kierując się na wschód, ku pierwszej wyspie. Podmuch cisnął opadającymi iskrami w lagunę. Syk gasnących ogników zniknął w ryku turbin.

Potężny pojazd skręcił w lewo. Działo plazmowe przeorało pierwotny obóz Cinnabarczyków piekielną ulewą nagich jonów.

Z dżungli uniosła się para i płomień. Roślinność była mokra, lecz nawet kamienie płonęły, skąpane w radiacji o temperaturze słonecznej korony.

Nad celem urósł grzyb sadzy i oparów. Daniel usłyszał palbę z automatów, wskazującą na niechlujność i słabą dyscyplinę ogniową. Broń osobista była niepotrzebnym dodatkiem do zniszczeń wywołanych przez działko plazmowe.

- Co za bydlaki - mruknął Hogg, ostrząc nóż. - Chcieli nas zabić we śnie.

Splunął i uśmiechnął się, znacznie bardziej przypominając starego siebie.

LOT dotarł do przeciwnego brzegu i zawrócił. Działo zasyczało ponownie, rozrywając szafranowym promieniem kolumnę dymu wywołaną swym pierwszym przejściem. Trafiony obszar eksplodował rozżarzoną skałą, przygasającą w trakcie lotu. Odłamek wylądował w lagunie i rozpadł się pod wpływem wstrząsu termicznego.

Leary aż zbladł z wściekłości. To była wojna: jeśli Barnes i Dasi oberwali, było to ryzyko, które brali na siebie, składając przysięgę. Dowódca Sojuszu nie był osamotniony w swojej chęci rozstrzelania śpiących nieprzyjaciół bez ofiarowania im szansy na kapitulację.

I nie wpłynie to na wydarzenia, które zaraz nastąpią; jedynie Daniel Leary z większą przyjemnością zobaczy ofiary po stronie wroga.

Najwyraźniej zadowolony ze swych dokonań na sąsiedniej wyspie LOT wrócił do obozu Kostroman. Stygnąca powoli lufa działa plazmowego mierzyła w nich niczym rozpalony do białości ował.

Porucznik podźwignął się i uniósł dłonie na wysokość ramion. Częstka jego umysłu zajęta była układaniem listów do rodzin Barnes'a i Dasiego, na wypadek gdyby okazały się potrzebne i o ile Bóg ocali go, by mógł wypełnić ten obowiązek.

* * *

Adele obserwowała nadlatujący wolno pojazd opancerzony. Ryk turbin ogłuszał; wehikuł był większy, niż się spodziewała, pomimo tego, że już wcześniej widziała LOT-a. Winą za owo wrażenie obarczała okoliczności, w których przyglądała się majaczącemu w ciemnościach transporterowi.

LOT zbliżał się coraz bardziej; pilot i strzelec pokładowy obserwowali otoczenie dzięki systemowi elektronicznej wizualizacji. Daniel twierdził, że tego typu pojazdy wyposażono w sensory zdolne wychwycić pierdnięcie komara.

Na szczęście, otaczająca ich dżungla obfitowała w komary. Zupełnie jak w pracy bibliotekarki: problemem było przeanalizowanie ogromnej ilości danych w poszukiwaniu konkretnej, potrzebnej informacji. Niemniej takie badanie nie przeoczy żadnej standardowej broni.

LOT zawahał się w powietrzu, po czym opadł na powierzchnię laguny, wzbijając pióropusz rozpylonej wody, która za dnia rozbłysłaby tęczą. Pojazd ruszył powoli przesmykiem w stronę obozu. Nie włączył nawet świateł postojowych, jakich używały LOT-y w Kostromie podczas przewrotu.

Wszyscy marynarze stali. Wyglądali na zdenerwowanych, czego komandosi oczekiwali i - jak podejrzewała Adele - naprawdę . tak się czuli. Sama nie miała ochoty wstawać z ziemi, w końcu jednak podniosła się z wiadra, żeby nie odstawać od pozostałych.

Leary odezwał się; marynarze przesunęli się nieznacznie naprzód. Uczona, choć nie chowała się, znalazła się nagle za ich plecami.

Nie bała się. Była zbyt oderwana, żeby czuć strach. Doskonale rozumiała, czego od niej oczekiwano; jeśli okoliczności pozwolą, wykona zadanie. Jediną rzecz budzącą niepewność stanowił rezultat.

Tępy przód LOT-a wynurzył się z wody, miażdżąc klin związanego korzeniami błota. Mokre rozbryzgi zagasiły ognisko i zmusiły marynarzy do cofnięcia się, co uczynili klnąc i osłaniając oczy.

Adele obróciła się. Raczej nie mogła już bardziej zmoknąć, ale umyślna zniewaga ścięła jej twarz lodem. Szydzą z Mundy z Chatsworth, tak?

Odwróciła się z powrotem, śmiejąc się w duchu z własnej reakcji. Roześmiałyby się na głos, lecz klóciłoby się to z kreowaną postacią drobnej szmuglerki. W zamian pozwoliła mięśniom twarzy rozluźnić się i ułożyć w neutralną minę. Nigdy się nie kuliła, toteż bała się, że udawanie będzie w jej wykonaniu mało przekonujące.

LOT zatrzymał się burtą do jedenastki Cinnabarczyków. Tył rozgarnął krzaki i znieruchomiał. Wieżyczka obróciła się tak, by działo plazmowe mierzyło prosto w domniemanych Kostroman.

Ze szczelin w opancerzonej burcie wystawały lufy pięciu automatów.

W rzeczywistości nie prezentowały sobą zbyt wielkiego zagrożenia, ponieważ ci, w których mierzyły, znajdowali się wystarczająco blisko pojazdu, by dać nurka pod lufą działa i przyłgnąć do

boku LOT-a pomiędzy otworami strzeleckimi. Lufy miały wywrzeć określony efekt psychologiczny, zwłaszcza na tępych osiłkach, których komandosi spodziewali się tutaj zastać.

Pilot wyłączył silniki. Ryk przelatującego przez osiem dysz powietrza zamarł, choć przenikliwe wycie wskazywało na to, że część mechanizmów pozostała w ruchu, gotowa na każdą potrzebę.

Działo plazmowe drgnęło, celując w głowę Lamsoe'a.

- Wy dwaj z karabinami! - rozległ się krzyk, tym razem przez ukryty gdzieś w kadłubie głośnik. - Natychmiast wrzucie je do wody! Tych sześciu z nożami również! Natychmiast! Widzimy was!

Daniel stał pół kroku przed swoimi marynarzami, machając uniesionymi rękoma i uśmiechając się z udawanym przerażeniem. Słyszając polecenie, zanurzył dłoń w kieszeni i pospiesznie wydobyl nożyk, którym obierał orzechy.

Lamsoe i Sun cisnęli automaty do przesmyku. Broń Suną rozchlapała przybrzeżne błoto, lecz drugi z żeglarzy odrzucił brzemię ze skwapliwością winną odbezpieczonemu granatowi. Trochę dłużej zajęło takielarzom pozbycie się składanych noży, lecz i one wylądowały w końcu w wodzie.

Choć Hogg wyrzucił nóż, Adele wyraźnie usłyszała, jak ostrze utknęło w pniu pobliskiego drzewa. Nawet jeśli oficer Sojuszu zauważył tę drobną niesubordynację, na razie przeszedł nad tym do porządku dziennego.

W burcie pojazdu, tuż za wieżyczką, otworzył się właz. Wyłonił się z niego mężczyzna niewiele wyższy od bibliotekarki, lecz znacznie lepiej zbudowany. Trzymał pistolet automatyczny o bardziej zwartej budowie i stanowczo groźniejszy od kostromańskich odpowiedników, których właśnie pozbyli się marynarze.

- A teraz słuchajcie! - przemówił oficer z akcentem wyższych sfer Pleasaunce.

Machnął automatem jak lizakiem konduktora. Za jego plecami majaczył błądy prostokąt luku; wewnątrz pojazdu było słabo oświetlone, choć i tak lepiej od okolicy po zagaszeniu ognia.

- Wróćcie w kajdankach, czarnuchy - ciągnął oficer - albo zgnijecie tutaj. I tak macie sporo szczęścia, że mój pułkownik ma miększe serce ode mnie, w przeciwnym razie bowiem w tej dżungli pojawiłaby się druga wypalona przesieka, a my wrócilibyśmy do domu, nie trudząc się skuwaniem was, rozumiecie?

- Ależ, panie... - zajęczał Leary.

Tak bardzo przypominał zapłakane dziecko, że Adele aż zacisnęła zęby.

Oficer gwałtownym ruchem podsunął mu pod nos lufę automatu.

- Zamknij się albo będzie po mojemu! - zagroził.

Daniel pisnął i odsunął się. Uczona wrzuciła przez otwarty właz dojrzałą „bańkę mydlaną”. Reagując na nagłe poruszenie, wzrok oficera pobiegł na chwilę w bok, a porucznik natychmiast złapał lewą dłonią nadgarstek trzymającej broń ręki.

Ostrzeżeni marynarze rozpięzchli się w poszukiwaniu osłony. W LOT-cie rozpętało się piekło. Seria z automatu przeszła noc.

Adele nie zwracała uwagi na strzały - nie celowano w nią ani - najprawdopodobniej - w nic. Pochyliła się, by przewrócić wiadro, na którym siedziała. Znajdował się pod nim jej pistolet, ukryty przed czujnikami za galwanizowanym żelazem kubła.

Wyprostowała się z bronią w ręku. Nie musiała do niczego strzelać.

Działo plazmowe mierzyło w niebo, podczas gdy wyjący strzelec próbował oswobodzić się z uprzęży. Komandos opróżnił magazynek przez otwór strzelniczy z drugiej strony pojazdu; pociski rozświetliły dżunglę niczym rój robaczek świętojańskich, ścinając liście i wzbijając kłęby drzazg. Pozostali obijali się od wewnątrz o burty transportera, lecz nawet zamykany na prostą zasuwę właz wymagał nieco więcej koordynacji niż ta, na jaką mogli zdobyć się oszalali z bólu żołnierze.

Daniel trzymał oficera Sojuszu pomiędzy sobą a transporterem. Chwycił go za oba nadgarstki. Przeciwnik wykręcił tułów ze zręcznością sugerującą biegłość w sztukach walki, lecz cinnabarski porucznik był silniejszy, a na dodatek wściekły.

- Ludzie, których skąpał pan w ogniu na tamtej wyspie? - zapytał twardym, rzeczowym tonem. Oficer próbował go ugryźć; Daniel bez trudu utrzymywał zęby w bezpiecznej odległości, miażdżąc jednocześnie nadgarstek przeciwnika. - W rzeczywistości były to nagrzane kamienie, owinięte w koce, by wydzielać prawidłową ilość ciepła. Niemniej dwaj moi marynarze podtrzymywali tam ogień i mam nadzieję... - Nadgarstek komandosa poddał się z dźwiękiem trących o siebie kamieni. Oficer przewrócił oczami i zemdlał Cinnabarczykowi w ramionach. - Naprawdę mam nadzieję, że usłyszeli was na czas i zdążyli schować się w schronie - dokończył ciszej Leary.

Wyprostował się - podczas walki rozstawił nogi dla utrzymania równowagi - i ocenił sytuację, wciąż zasłaniając się ciałem oficera Sojuszu niby tarczą.

- Wygląda na to, że zadziałało - orzekła bibliotekarka.

Stała z pistoletem przyciśniętym do lewego boku. Ze szczelin nadal sterczały dwa automaty, lecz ich lufy celowały w niebo. Właściciele porzucili je, walcząc z wrogiem bardziej podstępny od trującego gazu.

W środku transportera rozległy się strzały. Z włazu posypały się iskry, pociski lub opiłki metalu.

Komandos Sojuszu zdołał w końcu odsunąć zasuwę blokującą otwieranie się całej ściany przedziału pasażerskiego pojazdu. Żołnierze wytoczyli się na zewnątrz, wijąc się i jęcząc. Jedna z nich pognąła na oślep w krzaki, orząc powietrze zaciśniętymi w szpony palcami. Marynarze przepuścili ją.

„Bańka mydlana” eksplodowała grzybnią, pokrywając całe wnętrze transportera mechatymi kosmykami. W świetle reflektorów zabłysnął pojedynczy owad wielkości kciuka Adele i zaraz usiadł żołnierzowi na karku.

Daniel odebrał trzymanemu oficerowi automat, po czym położył pokonanego na ziemi i odsunął się. W LOT-cie znajdowało się 16 szturmowców. Żaden z nich nie pozostał na nogach. Część rzucała się na ziemi, lecz przynajmniej pół tuzina legło nieruchomo.

- Chyba lepiej będzie nieco się cofnąć - zaproponował porucznik, zdyszany po wysiłku. - Nie powinny odlecieć dalej niż kilka metrów od gniazda, ale nie chciałbym być tym, który udowodni, iż jest to informacja równie wiarygodna, jak ta dotycząca maksymalnych rozmiarów zamiatacza.

Adele wsadziła pistolet do kieszeni. Razem podeszli wolno do wynurzających się z dżungli żeglarzy. Dołączył do nich Hogg.

- Żuki nie powinny żyć dłużej niż dziesięć minut od opuszczenia grzyba - dodał Daniel. - Ale i w tym przypadku podejmiemy pewne środki ostrożności.

Za ich plecami twardzi żołnierze Sojuszu jęczeli z bólu.

* * *

- Nie mogliśmy wziąć łodzi? - narzekała Mundy.

Działała w interesie więźnia, którego dwóch marynarzy ciągnęło przez dżunglę za nią i Learym, ale irytacja nie była do końca udawana. Szli wydeptaną ścieżką, wiodącą do wąskiego strumyka o błotnistych brzegach.

- Nasz przyjaciel z Sojuszu mógłby próbować uciec - wyjaśnił Daniel zadyszczanym głosem. - Albo celowo się utopić, zwłaszcza gdy domyśli się, co go czeka. Poza tym to ty wymyśliłaś, żeby w ten sposób zdobywać informacje.

Faktycznie, to ona nieśmiało poddała ten pomysł, kiedy oficer FRC zastanawiał się głośno nad najlepszą metodą przesłuchania więźniów na temat *Aglai* z jej załogi. Porucznik i jego służący byli entuzjastycznie nastawieni, sądzili, że plan się powiedzie, a przynajmniej po wprowadzeniu drobnych ulepszeń. Adele z trudem mogła to sobie wyobrazić, wiedziała jednak, że nie należało polegać na jej znajomości umysłów innych ludzi.

- Nic nie wiem - wymamrotał przytłumionym głosem komandos. - A nawet gdyby, to nic wam nie powiem, skurczybyki.

Jeńcy zostali rozebrani - Daniel potrzebował ich mundurów, lecz mistrzyni domyślała się, że chodziło także o efekt psychologiczny - związani i trzymani osobno w różnych zakątkach dżungli. Ci, którzy próbowali się porozumiewać, zostali dodatkowo zakneblowani. Przesłuchanie musiało poczekać do rana.

Ich więźniem był sierżant o zaskakująco mleczej skórze pod dywanem czarnych włosów porastających klatkę piersiową. Miał związane z przodu nadgarstki i żerdź wetkniętą pomiędzy łokcie i plecy. Barnes i Dasi trzymali końce kija, zmuszając sierżanta do marszu bokiem na podobieństwo kraba.

- Cóż, mam nadzieję, że się mylisz - rzuciła Adele swym zwykłym, lodowatym i uszczypliwym tonem. - Dwaj żołnierze, których przesłuchiwaliśmy przed tobą, nic nie powiedzieli, a ja mam już dosyć taplania się w błocie.

- Nie mam nic do powiedzenia - powtórzył więzień.

Potknął się o pnącze i całym ciężarem zawisł na żerdzi. Aż sapnął z przeszywającego bólu. Barnes i Dasi przystanęli; gdyby zemdłał, musieliby go nieść.

- Danielu - mruknęła Adele, zatrzymując towarzysza. Marynarze nieco poprawili ścieżkę od pierwszego razu, gdy przemierzała ją z porucznikiem, lecz i tak człowiek idący na czele musiał odgarniać na boki świeżą roślinność.

Grzybowy żuk ukąsił jeńca w prawe ramię. W efekcie cała prawa strona tułowia była potężnie opuchnięta. Cieknąca z rany ropa zaschła żółtawym strumyczkiem, sięgającym aż do łokcia.

- Powiem ci coś, oficerku - zaczął Leary z kpiarską groźbą w głosie. - Mam coś specjalnego dla ciebie, gdybyś nie zechciał mówić. Mam coś specjalnego dla każdego z was. Wiesz, byłem w tamtym obozie, kiedy wy, dranie, urządziliście sobie zabawę w strzelanego. Mam poparzony tyłek, a mimo to uważam, że mam więcej szczęścia, niż dla mnie planowaliście.

Barnes pochylił się i uszczypnął sierżanta w policzek.

- Możesz sobie być tak twardy, jak tylko zechcesz, chłopcze - powiedział. - Naprawdę podobały mi się wrzaski twoich kumpli.

Jeniec milczał. Odzyskał równowagę. Dasi szarpnął za żerdź.

Grupa pokonała ostatni odcinek do przesmyku, nad którym rosły grzyby - bańki mydlane. Daniel i Adele zeszli na bok, żeby marynarze mogli ustawić więźnia w miejscu, skąd miał dobry widok na okolicę.

- No cóż, sierżancie - przemówił porucznik Leary z ojcowską powagą - sytuacja przedstawia się następująco: przywiążemy cię do jednego z tamtych drzew...

Wskazał na zagajnik rosnący 20 stóp dalej. Siedziało tam już dwóch nagich komandosów, opartych o pnie drzew, z przywiązanymi do nich rękoma.

Byli martwi, a ich ciała straszliwie napuchnięte. Na wystającym języku jednego z trupów siedział bez ruchu dwucalowy, czerwony żuk. Nad każdym ciałem zwisały resztki rozerwanych baniek.

- Grzybek jest całkiem smaczny - kontynuował Daniel. Uśmiechnął się. - Nie sądzę, co prawda, żebyś miał czas to docenić. Jak mówiłem, przywiążemy cię obok przyjaciół i odejdziemy na

odpowiednią odległość, a potem zacniemy zadawać pytania. Jeżeli odpowiesz na wszystkie, odwiążemy cię i zabierzemy z powrotem do obozu. Ale musi to być „prawda i tylko prawda”, jak to mówią.

- Nie możecie tego zrobić - wyszeptał chrapliwie więzień.

- Wyjątkowo głupia uwaga - skomentowała bibliotekarka. - Zwłaszcza że - jak widać - już to zrobiliśmy.

- Jest otumaniony po ukąszeniu, jakie otrzymał zeszłej nocy - usprawiedliwił go porucznik. - Biedak; słyszałem, że użądlenie grzybowego żuka jest gorsze od wrzucenia do rozpalonego pieca.

Uśmiechnął się do jeńca.

- Ale widzisz, to było tylko jedno ukąszenie - ciągnął. - Kiedy moja przyjaciółka rozwalił gniazdo, pod którym będziesz siedział... - Adele uniosła pistolet wystarczająco wysoko, żeby więzień go zobaczył, po czym schowała broń do kieszeni. - Otrzymasz wiele użądleń. Obawiam się, że skończy się to dla ciebie fatalnie.

Daniel podszedł do zagajnika. Poruszał się ostrożnie, jakby stąpał po jajkach.

- Uważaj, na litość boską - warknęła Mundy.

Zaniepokojenie w jej głosie było wystarczająco prawdziwe.

Wiedziała, że nie podejmował niepotrzebnego ryzyka, nie zamierzała jednak ufać jego osądowi odnośnie do tego, co jest „potrzebne”.

Oficer zdjął żuka z języka ofiary. Prędkim krokiem wrócił do pozostałych.

Podsunał owada więźniowi pod nos. Adele skorzystała z okazji, by przyjrzeć mu się bliżej - nie widziała jeszcze tego stworzenia w świetle dnia. Intensywnie czerwone pokrywy skrzydeł okolone były kremowym szlaczkiem. Żuk był na swój sposób całkiem ładny.

- Po wydostaniu się z gniazda żyją tylko kilka minut - poinformował jeńca tonem przyjacielskiej pogawędki. - Rzucające się w oczy kolory, nie sądzisz? Nie ma żuwaczek, tylko zmodyfikowane czułki, które jednak równie dobrze przenoszą truciznę. Lecz o tym wiesz chyba lepiej ode mnie.

Uśmiechnął się. Machnął owadem w stronę opuchniętego ramienia więźnia. Ten wrzasnął i próbował odskoczyć. Barnes przytrzymał go w miejscu. Sierżant Sojuszu krzyknął ponownie i zwiśł na żerdzi.

Daniel cisnął owada do laguny.

- Przywiążcie go do drzewa pomiędzy tamtymi dwoma - rozkazał. Splunął na unoszącego się na wodzie insekta. - I nie zrzucicie bańki sami, dobrze?

- Co chcecie wiedzieć? - wymamrotał sierżant. - Przysięgam na Boga, że jestem zwykłym żołnierzem, ale powiem wam wszystko, co wiem.

- Posadźcie go - polecił Daniel Barnesowi - ale cały czas trzymajcie kij.

Przeniósł wzrok na więźnia.

- Gdzie przetrzymujecie załogę *Aglai*?. Tego okrętu z Cinnabaru, cumującego w zatoce, kiedy wylądowaliście.

Jeniec miał zamknięte oczy.

- Wszyscy są zamknięci na statku - wydusił z siebie przez zaciśnięte wargi. - Lecz bez oficerów. Tamci są chyba w pałacu, ale nie jestem pewien, bo sam nigdy nie miałem tam służby. Słyszałem, że jak tylko wyląduje reszta eskadry, zostaną zabrani z planety.

Adele wyciągnęła terminal i usiadła po turecku w błocie. Ujęła różdżki i zaczęła wprowadzać informacje dostarczone przez sierżanta.

- Kiedy spodziewacie się przybycia reszty eskadry? - pytał Leary.

W zagajniku buszowały kostromańskie ptaki i owady, pożerając przepyszny grzyba, którego

uczona przestrzeliła rano. Większość tutejszych istot ignorowała ludzkie zwłoki.

Żołnierze Sojuszu należeli do szóstki, która zginęła wskutek licznych użądleń w środku LOT-a, nie mogąc uciec przed wrzuconym tam przez nią gniazdem.

* * *

Gambier i Barnes mieli w papierach adnotację wskazującą na to, iż FRC uważała ich za zdolnych do obsługi napędzanych turbinami pojazdów powietrznych. Pół tuzina marynarzy także posiadało pewne doświadczenie w tej kwestii dzięki pracy w cywilu lub nieoficjalnie w trakcie służby. Daniel nie musiał martwić się o pilota Latającego Opancerzonego Transportera.

Oczywiście, istniało mnóstwo innych powodów do zmartwień, lecz Daniel Leary cieszył się całkiem dobrym samopoczuciem. Wręcz diablo dobrym.

LOT zakołysał się, po czym wzbił w powietrze. Gambier czuwał nad wskaźnikami. Burty pozostały opuszczone, jak gdyby w gotowości do szybkiego załadunku, dzięki czemu widać było dokładnie wnętrze przedziału pasażerskiego. Rozległy się głośnie wiwaty, gdy pojazd prześlizgnął się nad przesmykiem. Wznosił się powoli, aż dolny ciąg przestał wzbijać rozbryzgi wody po obu stronach wozu.

- Czy to bezpieczne wieźć pasażerów podczas testowania sprzętu? - zapytała Adele, stojąc obok Daniela i obserwując LOT-a.

Ten wzruszył ramionami.

- Moglibyśmy mieć problemy podczas startu - odrzekł. - Choć jest całkiem zautomatyzowany.

Bibliotekarka obróciła głowę i spojrzała na niego.

- Podejrzewam, że gdybyś naprawdę sądził, iż jest to niebezpieczne, sam znalazłbyś się na pokładzie - zauważyła.

Uśmiechnął się.

- Nie sądziłem, aby komukolwiek coś groziło - oznajmił, unikając odpowiedzi wprost, która mogłaby zasugerować, że próbuje zgrywać bohatera.

Podwładni oczekiwali od swojego oficera, że będzie dzielił z nimi niebezpieczeństwa; unikanie ich stanowiłoby oznakę braku profesjonalizmu. Podobnie nieprofesjonalne byłoby babranie się przez oficera w brudach codziennego życia floty, jak zmywanie czy usuwanie smaru z układów hydraulicznych. Tutaj właśnie skrajni demokraci bardzo się mylili. Chociaż... Poznał właśnie ocalałą przedstawicielkę Mundy z Chatsworth, rodziny, która zdaniem Cordera Leary'ego stanowiła siłę napędową radykalnych ruchów demokratycznych na Cinnabarze. Według Daniela Adele w niczym nie przypominała radykalnej demokratki.

Być może po obu stronach zdarzały się wyjątki. Przypuszczał, że to dość częsta sytuacja w polityce.

Podniósł wzrok na widoczny nad drzewami pasek nieba.

- Pewnego dnia poproszę cię, żebyś pomogła mi z tutejszymi konstelacjami - powiedział. - Kostromanie sami ochrzcili swoje gwiazdozbiory, prawda? Zakładałem, że tak.

- Co? - zdziwiła się uczona. - Nie mam pojęcia, ale sprawdzę to.

Usiadła na ziemi i wyciągnęła terminal. Porucznik wcale nie chciał, żeby natychmiast zajęła się tym problemem. „Pewnego dnia” znaczyło dla niego: „kiedy wszystko się ułoży”.

Realnie patrząc, nic się nie ułoży, dopóki będzie tkwił na Kostromie. Niemniej dla lepszego samopoczucia musiał udawać, że to tylko niewielkie perturbacje w zwyczajnym życiu oficera floty i wkrótce wszystko wróci do normy.

Daniel przykucnął przy Adele, opasując ramionami kolana i utrzymując pośladki nieco ponad ziemią. Nie to, żeby mógł się jeszcze bardziej ubłocić...

- Sztuczka zadziałałaby również, gdybyśmy naprawdę tak zrobili - uznał. - Przywiązali żywych więźniów pod grzybową bańką i pozwolili żukom zabić jednego - dwóch, jeśli nie chcieliby mówić.

Ryk turbin LOT-a ścichł do szeptu; marynarze wylądowali na drugiej wysepce, by załadować przedmioty wyłowione z wraka, Transporter miał większą ładowność od niewielkiej tratwy, a korzystanie z niego zapewniało praktyczne, bezstresowo uzyskiwane doświadczenie.

- Możliwe - odparła. - Lecz nigdy nie będziemy tego wiedzieć na pewno. - Odłożyła różdżki i spojrzała na mężczyznę. Ludzie tacy jak my nigdy nie będą pewni. Jednak *nasz* sposób zadziałał.

Skorupiak wielkości dłoni przelazł przez błotnisty brzeg, wyciągając parę macek po wyrzuconą przez Kostroman puszkę po racji żywnościowej, po czym natychmiast umknął do wody. Każdy segment pierścieniowego tułowia stworza wyposażony był w oko na słupku. Kołysały się niczym kwiaty na wietrze, obserwując ludzi.

Skorupiak zniknął pod powierzchnią; napelniająca się wodą puszka wydała ciche: *plop!* Niewielki stwór szukał raczej domu niż pokarmu, lecz wiedza Daniela na temat lokalnej bioty była niewystarczająca, by mógł mieć pewność.

- Są gwiazdozbiory, owszem - dodała bibliotekarka. - Wydaje się, że ich nazwy pochodzą od cech geograficznych Topazu, skąd pochodził statek kolonizacyjny. Chcesz zerknąć na wyświetlacz?

Podawała mu palmtopa. Potrząsnął głową i podziękował z uśmiechem.

- Nie teraz - powiedział. Wskazał ślady w błocie, pozostawione przez wielonoga. - Zamierzałem zmusić więźniów do posprzątania bałaganu, jaki zrobili - ciągnął. - Ale wygląda na to, że tutejsze stworzenia z radością powitały szansę zrobienia własnych porządków. Poza tym pewnie lepiej trzymać obie bandy w więzach, dopóki nie będziemy gotowi do odlotu. Nie chcę kolejnej wpadki.

Jeńcy - zbiry Gansera i ocalali komandosi Sojuszu - leżeli wśród bagaży, w pewnych odstępach od siebie, naprzeciwległym brzegu przesmyku. Zostali skrupowani i przywiązani za szyje do korzeni drzewek. Pilnowało ich dwóch wartowników, a dodatkowo byli doskonale widoczni dla pozostających po tej stronie marynarzy.

Zakneblowali ich. Więzień, który poruszał się bardziej, aniżeli strażnik uznawał to za stosowne, otrzymywał kopniaka, lecz była to raczej metoda skutecznej kontroli niż znęcanie się.

- Wiesz - zadumał się porucznik - gdybyśmy potopili tych bandytów w zatoce na Kostromie, nie mielibyśmy teraz LOT-a ani mundurów Sojuszu. Zabawne, jak to wszystko się układa, nieprawdaż?

Adele prychnęła.

- To nie ma nic wspólnego z naszymi decyzjami - oświadczyła. - I nie powinno mieć wpływu na dalsze postanowienia. A może sugerujesz, że Pan czuwa nad nami, ponieważ nasze serca są czyste?

Daniel roześmiał się w głos i wstał.

- Twoje serce może być czyste - oznajmił - ale ja jestem na to zbyt zajęty. W odpowiednim świetle jeden z przyjaciół Gansera nawet w połowie nie wygląda tak źle jak nocą.

Kobieta również podniosła się z ziemi. Spojrzał na nią i dodał:

- Adele, nie sądzę, aby Bóg uratował Cinnabar. Do tego celu Republika ma flotę. Chociaż wierzę, że ludzie z czystym sumieniem śpią lepiej od innych. Ja wysypiam się dobrze. - Przypomniała mu się drobna blondynka z wytatuowanym na karku węzem, który ciągnął się aż do jej gołego brzucha i wyraźnie podążał niżej. - A jeśli Bóg zechce dorzucić nam nagrodę, tym lepiej stwierdził pogodnie.

Adele wystawiła głowę z wieżyczki, gdy Barnes obniżył wylądowanego LOT-a nad dawnym obozem Cinnabarczyków. Strumienie plazmy wyraźnie powiększyły polanę, lecz po schronieniach i odzyskanym sprzęcie nie pozostało śladu.

Pojazd wylądował, rozchlapując wodę. Wypalone przez jony długie bruzdy zdążył wypełnić deszcz.

Bibliotekarka zastanawiała się, czy Leary zostawi żołnierzy Sojuszu tutaj, czy na plaży. Daniel Leary był nadzwyczaj prostolinijnym człowiekiem, jednak niedługo po tym, jak się poznali, uświadomiła sobie, że potrafił również być bardzo subtelny.

Trudno uwierzyć, że spotkali się raptem tydzień temu.

Barnes wrzucił jałowy bieg. Nie czekając na rozkazy, Hogg wraz z kilkoma marynarzami tłoczącymi się w przedziale osobowym wytoczyli powiązanych więźniów na ziemię. Szturmowcy Sojuszu byli skrępowani osobno oraz przytroczeni jeden do drugiego za nadgarstki.

Adele podniosła się, by usiąść na otwartym włazie wieżyczki. Pochylając się do przodu, widziała żołnierzy Sojuszu - szarpiących się w więzach i przeklinających.

Daniel stanął na bocznej rampie pojazdu. Podniósł więźniarce głowę z wypełnionej wodą bruzdy i pomógł jej zająć pozycję, która przynajmniej zapewniała przeżycie.

- Wyłącz na chwilę silnik, Barnes - polecił. - Chcę, żeby dobrze usłyszeli, co mam im do powiedzenia.

Szesnaścioro Cinnabarczyków, wliczając w to Adele Mundy, miało na sobie mundury komandosów z hełmami komunikacyjnymi. Słyszała wyraźnie głos dowódcy zarówno w interkomie, jak i bezpośrednio.

Teraz mogli korzystać z hełmów, ale zanim dotrą do Kostromy, będą musieli wyłączyć radio. Nawet jeśli siły Sojuszu były zbyt zajęte, by ustanowić prawidłową kontrolę łączności, pogaduszki z cinnabarskim akcentem przez sprzęt Sojuszu mogłyby wywołać alarm.

Rytmiczny pomruk silników ucichł do cichych wibracji. Grupa marynarzy odciągnęła powiązanych ze sobą jeńców o kilka jardów, aby nie mogli złapać płóz odlatującego LOT-a.

Daniel zszedł na ziemię i stanął przed nagimi więźniami.

- Na tym atolu znajdziecie wystarczająco dużo jedzenia i wody, by dożyć późnej starości - oznajmił. - Zostawiamy wam również, na obu wyspach, większość zapasów żywności, które pobraliśmy z magazynów marynarki. Jeżeli nie podoba wam się dokonany przez nas podział pomiędzy was a Gansera, możecie przepłynąć na drugi brzeg i omówić sprawę bezpośrednio. Oczywiście, możecie także połączyć siły.

Uśmiechnął się do porucznika Sojuszu. Adele wystarczająco dobrze poznała już Daniela Leary'ego, by wiedzieć, że jest wściekły. Zaskakująco wściekły, pomyślała, zaraz jednak uświadomiła sobie, co znaczył dla niego spalony plazmą obóz.

- Ostatnim razem, kiedy coś takiego zrobiłem - kontynuował obiecałem porzucanym przeze mnie ludziom, że jeżeli nie zdołają samodzielnie opuścić atolu, za trzydzieści dni przyślę im pomoc. Teraz niczego takiego nie powiem. Jedyne, co ode mnie dostajecie, to życie... Co znacznie przewyższa waszą ostatnią ofertę, prawda? - Wycofał się do przedziału pasażerskiego.

- Nie możecie porzucić nas związanych! - zawołał sierżant, który pierwszy opowiedział im wszystko, co wiedział o *Aglai*. Nie przeżyjemy, jeśli nas nie uwolnicie!

Porucznik skrzywił się.

- Hogg, rzuć im nóż - powiedział. - Barnes, podnieś nas na sto stóp i zatocz koło ponad okolicą.

Sługa rozbił butelkę brandy o burzę. Gdy silniki zagrzmiały głośniejsze, walcząc z obciążeniem, rzucał sierżantowi wyszczerbioną szyszkę.

Burty transportera miały poziome zawiasy. Uniósł się do połowy, tworząc po obu stronach balustrady, jednocześnie pozostawiając wewnątrz pojazdu otwartym dla światła i powietrza. Mundy wślizgnęła się na siedzenie w wieżyczce.

Daniel dotknął jej ramienia.

- Zamienię się z tobą na miejsca, jeśli nie masz nic przeciwko temu - zaproponował.

Zakłopotana, że zajęła jego miejsce - co sobie myślała, przecież to on jest dowódcą - wyskoczyła z wieżyczki i przeszła na tył transportera. Marynarze przepuścili ją z cichym szacunkiem. Wyjrzała za burtę.

Na żądanej wysokości LOT okrążył powoli obie wyspy i łączącą je rafę. Słyszane co pewien czas w słuchawkach hełmu piknięcie zdradzało Adele, że porucznik rozmawiał na innych kanałach z którymś z marynarzy. Gdyby chciała, też mogłaby tego posłuchać, ale nie istniał powód, z którego miałyby tak postąpić.

W lagunie unosiła się tratwa z *Ahury*, obracając się powoli w nieruchomej wodzie. Ciągnęło się za nią pasmo pyłu kwiatowego i liści. Skryci za czubkami drzew żołnierze Sojuszu byli ledwie widoczni. Miotali się na ziemi, usiłując się uwolnić, podczas gdy część Kostroman na drugiej wyspie zdążyła już stanąć na nogi.

- Obsada sterburty - odezwała się Woetjans. - Cel: tratwa ratunkowa.

Marynarze szturchali się w radosnym zdumieniu, wystawiając nad burtę zdobyczne pistolety automatyczne. Uczona pozostała na swoim miejscu, nie trudząc się jednak wyciągnięciem pistoletu. Żeglarze z drugiej strony transportera gderali dobrodusznie.

- Ognia!

Woda eksplodowała pióropuszcami, które całkowicie zakryły niewielką łódź ratunkową. Pomimo iż przedział pozostawał na wpół otwarty, powietrze wypełnił zapach ozonu i zjonizowanego aluminium. Trzask zamków przypominał odgłos rozłupywania drewnianych polan.

- Przerwać ogień!

Z tratwy zostały strzępy czerwonego plastiku, spowitego pianą rozpościerającą się na setki stóp we wszystkie strony. Marynarze nie byli snajperami - sądząc po miejscach, gdzie uderzyły pociski, część strzałów musiała być zdumiewająco niecelna - zaś lekkich kul nie przeznaczono do trafiania na taką odległość. Mimo to cel został całkowicie zniszczony.

LOT wykreślił w powietrzu odwróconą ósemkę.

- Bakburta - rozkazała mat. - Cel: jacht.

Rozległy się głośnie wiwaty. Większość pozostałych żeglarzy przechyliła się już przez burtę, przybierając najróżniejsze pozycje, które ich zdaniem miały dopomóc w precyzyjnym strzelaniu. Któryś pociągnął za cyngiel, zanim Woetjans zawołała:

- Ognia!

Przewrócona rufa nie znikła pod falami, tylko rozsypała się, jak zamek z piasku na deszczu. Adele znowu ujrzała rozbryzgi dobre 30 metrów od celu, ale automat z magazynkiem na 300 pocisków nie wymagał zbytniej dokładności.

- Przerwać ogień! - rozkazała Woetjans. - *Przerwać ogień*, Dasi, albo zabiorę tę cholerną zabawkę i własnoręcznie cię nią nakarmię.

Nastąpiła chwila ciszy. Zagrzmiało działo plazmowe. Resztki *Ahury* eksplodowały; uniosła się nad nimi opalizująca chmura dymu w kształcie grzyba. LOT zakolebał się, pchnięty odrzutem sekundowej strugi jonów o nieskończenie małej masie, lecz prędkości bliskiej światłu.

Bibliotekarka usłyszała szum obracającej się wieżyczki. Mimo to zaskoczyła ją druga salwa. Resztki tratwy spowiły para i rozmigotane płomienie.

Laguna rozbłysła nieziemskim światłem, gdy jony powracały do swojego zwykłego stanu atomowego. Po chwili poświata zgasła, pozostawiając unoszącą się na powierzchni wielobarwną rybę, osmaloną ogniem człowieka.

Daniel opuścił wieżyczkę.

- Barnes - poleciał na kanale ogólnym - trzymaj się zaprogramowanego kursu i prędkości do Kostromy. Gambier zastąpi cię za dwie godziny. - Uśmiechnął się do Adele i powiedział, nie używając interkomu - oficerze łączności Mundy, proszę przejąć dowodzenie i dopilnować, żebyśmy nie natknęli się na nic nieoczekiwane. To, czego się spodziewamy, jest wystarczająco paskudne, prawda?

Wzruszyła ramionami.

- Jak na razie wygląda na to, że lepiej być po naszej stronie niż przeciwko nam - orzekła.

Zajęła miejsce w wieżyczce. Czujniki pojazdu ułożono w pierścień okalający kadłub poniżej kopułki działka. Zalogowała się do militarnej sieci Sojuszu, używając kodów wycofanego ze służby kutra, który tkwił na pokładzie niszczyciela zacumowanego w Pływającej Przystani. Gdy tylko uzyskała dostęp, zaczęła szukać śladów przeniesienia oficerów *Aglai* z cel w piwnicach Pałacu Elektora, gdzie zlokalizowała ich wczorajszej nocy.

Pracując uśmiechała się. Mimo nieznamomości systemu poruszała się w nim dość pewnie. Oficer łączności Mundy.

Adele Mundy. Jedna z *nas*.

* * *

- Tarnhelm, mówi Mikę Xawery Pięć Trzy Dziewięć - przemówiła Adele formalnym tonem belfra odczytującego podręcznik. - Over.

Jest uczoną czytającą podręcznik - pomyślał Leary, hamując skrzywienie. Adele Mundy mogła nie brzmieć jak oficer, zmęczony po długiej, nudnej misji, za to potrafiła użyć akcentu z Bryce, który nie wzbudzi podejrzeń, w odróżnieniu od Daniela, gdyby ten odezwał się w głośnikach.

- Mów, Mikę Xawery Pięć Trzy Dziewięć - odpowiedział kontroler Sojuszu siedzący w porcie. *On* sprawiał wrażenie znudzonego; punkt dla nich.

Gdyby dowództwo wojskowe zaniepokoiło się, dlaczego komandosi nie zameldowali się jeszcze po misji związanej ze zgłoszonymi Cinnabarczykami, mogło przekazać władzom portu numer LOT-a i sygnał identyfikacyjny transpondera. Daniel wolał zostać potraktowany jako jeden z kilkuset przelotów przez przestrzeń powietrzną nad miastem Kostromą.

- Mikę Xawery Pięć Trzy Dziewięć prosi o zezwolenie na lądowanie w Doku Dwadzieścia Pięć celem podjęcia pasażera powiedziała Adele. - Over.

Nie sprawiała wrażenia zmartwionej. Prawdopodobnie nie przejmowała się, a to w owej chwili stawiało ją poziom wyżej nad Danielem Learym. Chociaż podejrzewał, że nawet gdyby zależało od tego życie, to nie straciłaby nic na precyzji.

Wóz albo przewóz. W siłach Sojuszu na pewno służyła pewna liczba oficerów wiecznie przemawiających tonem, jakby kij połknęli.

Daniel wątpił, żeby tego typu ludzie często dowodzili operacjami specjalnymi - a jeśli już, to czy wystarczająco długo żyją - lecz technik z kontroli portu mógł nawet nie wiedzieć, czym jest MX539. Jeśli nie miał określonych powodów, by zwrócić na nich uwagę, LOT był tylko numerem i śladem radarowym, który należało trzymać z dala od innych numerów i ich śladów radarowych.

Zapadał zmierzch. Na horyzoncie lśniły światła, przesuwające się nad miastem Kostromą i

otaczającymi wyspę wodami. Zarówno Pływająca Przystań, jak i zwykły port były znacznie jaśniejsze niż widziane ostatnim razem. Siły Sojuszu zainstalowały dodatkowe oświetlenie.

- Roger, Mikę Xawery - odezwało się radio. - Przyznano wam wysokość 20 metrów, wektor dwa-trzy-jeden, powtarzam: dwa-trzy-jeden stopni. Kontrola Tarnhelm, koniec przekazu.

Porucznik upewnił się, że hełmy komunikacyjne zostały wyłączone celem zapobieżenia ich przypadkowemu użyciu.

- Zwolnij do trzydziestki, Gambier - zawołał w stronę kabiny pilota.

Gambier prowadził na tak uniesionym siedzisku, by mógł wystawić głowę przez otwarty właz, a Barnes czuwał nad instrumentami. Teraz trącił nogę pilota i powtórzył polecenie.

Adele spojrzała w dół na Daniela. W wieżycze nie było miejsca dla dwóch osób, toteż przykucnął koło niej w wąskim przejściu między przedziałem pasażerskim a kabiną pilotów.

- Wszystko było w porządku? - zapytała.

A więc *martwiła się*, tylko nie dawała tego po sobie poznać.

- Byłaś świetna - zapewnił ją. Mówił prawdę: wszak otrzymali zgodę na lądowanie. Nie byli w szkole teatralnej, gdzie każde przedstawienie skrupulatnie oceniano. - Jeśli cała reszta pójdzie równie dobrze, zdążymy wrócić na Cinnabar na moje urodziny, które mam w przyszłym miesiącu.

To również było prawdą. Gdyby jednak zapytano go, czy uważał to za prawdopodobne, to, cóż, odpowiedź mogłaby brzmieć zupełnie inaczej.

- Wylądowało więcej statków - zauważyła bibliotekarka. W odróżnieniu od Gambiera wolała obserwować otoczenie poprzez urządzenia elektroniczne. Miejsce dowódcy transportera wyposażone było w panoramiczny wyświetlacz optyczny oraz ekran zespolony, odzwierciedlający wszelkie manewry pilota. Siły Sojuszu przejęły większość departamentów rządowych, nie tylko kontrolę lotów.

Leary przytaknął ponuro.

- Trzy niszczyciele i sześć dużych transportowców; to co najmniej brygada z pełnym wyposażeniem. Ludzie, którzy zwrócili się do gwaranta Porry z prośbą o pomoc, nie mają pojęcia, co naprawdę otrzymają. Choć do tej chwili powinni już się zorientować.

- Myślisz o Konspiracji Trzech Kręgów? - zapytała bez emocji Adele.

Daniel poczuł, jak ściska go w żołądku.

- Nie - odrzekł.

Nawet gdyby zastanawiał się nad wydarzeniami na Cinnabarze sprzed 15 lat, to raczej nie przyznałby się do tego. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było urażenie kobiety, od której zależało i nadal zależy przetrwanie jego oddziału. Adele Mundy westchnęła.

- Ja o tym myślałam - powiedziała. Nie odrywała wzroku od statków w Pływającej Przystani.

Porucznik odchrząknął.

- Cinnabar bardzo różni się od Kostromy - rzucił, ponieważ obawiał się, że musi coś powiedzieć.

- Tak - przyznała. - A Corder Leary nie jest takim skończonym głupcem jak Walter III. - Potrząsnęła głową. - Moi rodzice byli ludźmi pełnymi pasji. Jestem przekonana, że pasja jest korzystną cechą, w przeciwnym razie bowiem nie byłaby tak powszechna w ludzkiej populacji, ale zawsze uważałam, iż musi być poddawana dokładnemu osądowi. - Spojrzała Danielowi w oczy ze swoim bladym odpowiednikiem uśmiechu. - Oczywiście, moi rodzice mieli przyjaciół - dodała. - Ja nie.

Trącił ją pięścią w ramię.

- Masz przyjaciół - oznajmił.

A Daniel Leary miał jedną przyjaciółkę więcej niż przed przylotem na Kostromę.

Płozy LOT-a cicho zazgrzytały o betonowy *dok Aglai*. Ubrana w mundur porucznika komandosów Adele sięgnęła do mechanizmu otwierającego właz.

Stojący za jej plecami Daniel zawołał do przedziału pasażerskiego:

- Pamiętajcie, nikt nic nie mówi oprócz pani Mundy. Nawet mając lufę przystawioną do twarzy!

Bibliotekarka otworzyła wąski właz obok wieżyczki i wyszła na zewnątrz, przypominając sobie, jak dzień wcześniej robił to oficer Sojuszu. Zastanawiała się, czy również powinna okazać napastliwy gniew.

Uśmiechnęła się lekko. Nie, jak długo wartownicy przy *Aglai* nie dopełnią podobieństwa sytuacji, wrzucając do transportera odbezpieczony granat.

Luki *Aglai* były pootwierane, kiedy należała jeszcze do Cinnabaru, teraz pozostawały zatrzaśnięte na głucho z wyjątkiem głównego włazu, przy którym czuwało sześciu żołnierzy z karabinami. Nosili brązowe, a nie plamiaste mundury, co zdaniem Adele oznaczało, że byli raczej marynarzami niż szturmowcami.

Wartownicy z leniwym zainteresowaniem obserwowali, jak śladem Mundy z transportera wysiadali pojedynczo Cinnabarczycy w uniformach komandosów. Opuszczenie burt przedziału pasażerskiego mogłoby wyglądać prowokacyjnie, poza tym istniała szansa, że któryś ze strażników zauważyłby, iż piątka pozostająca w pojeździe nadal nosiła mundury kostromańskich marynarzy.

Adele przemaszerowała pozbawioną poręczy kładką do rampy. Fale unosiły okręt i betonową konstrukcję w różnych rytmach; kiedy na metalowy trap wkroczyli takielarze, jej problemy z utrzymaniem równowagi jeszcze się pogłębiły.

Nie spuszczała wzroku z brodatego oblicza mata. Szła z ponurą miną j lęk przed upadkiem do *cholernego* oceanu ułatwiał jej utrzymanie takiego wyrazu twarzy.

- Przybyliśmy zmienić pluton porucznika Wozzecka - oznajmiła zimno, dotarłszy do rampy. Ona także unosiła się i opadała, brakowało tylko wibracji. Czy dygnitarze nigdy nie wpadali do wody?

- Wozzeck? - powtórzył marynarz Sojuszu. Sądząc po dialekcie, urodził się na rolniczym Leonie; oświadczenie kobiety skonsternowało go, lecz jej akcent z Bryce nie. - Pani, marynarka przejęła tutaj straż ponad dziesięć godzin temu. To okręt zdobyczny *Aglai*.

- Oczywiście, że to *Aglai* - warknęła Mundy. - Na Wisznu i jego awatarów! Gdzie jest porucznik Wozzeck?

Marynarze spoglądali po sobie niespokojnie. Jeden z nich przemówił do mata, nie do Adele:

- Wozzeck dowodził wartą, zanim zmienił go Glanz, ale to było wachtę temu.

- Dobrze już, gdzie jest wasze przekłete stanowisko dowodzenia? - rzuciła Adele z gniewnym grymasem na twarzy. Dla - pogłębienia efektu trzepnęła się w lewe udo. - Spróbuję znaleźć tam kogoś, kto mi łaskawie wyjaśni, co się tutaj wyprawia.

Obejrzała się przez ramię. Daniel dotarł już do rampy. Reszta cinnabarskich marynarzy stała wyprostowana wzdłuż trapu lub na pływaku, gdyż mistrzyni nie zostawiła im miejsca, żeby mogli przejść dalej. Zachowywali się swobodnie; być może zbyt swobodnie jak na prawdziwych żołnierzy.

- Leary - poleciała - pójdiesz ze mną. Reszta tutaj zaczeka, dopóki nie wrócę z informacjami. Gęby na kłódkę! To miała być misja niejawna.

Według niej „misja niejawna” nic nie znaczyła, lecz większość życia spędziła wśród biurokratów. W odpowiednio dużej organizacji nikt nie wiedział o wszystkim, co się aktualnie działo, a taka sugestia tajemnicy dawała takielarzom wymówkę, by nie zdradzili się ze swym

akcentem.

Mat sięgnął do przytroczonego do pasa radia, po czym cofnął rękę pod kamiennym wzrokiem Adele.

- Nawroos, zabierz ich na mostek - rozkazał nieoczekiwanie.

Marynarz Sojuszu oddał broń koledze, po czym pokiwał palcem na Mundy i Leary'ego, by podążyli za nim do *Aglai*. Poprowadził ich przez lobby wejściowe do jednej z opancerzonych klatek schodowych.

Adele zauważyła, że Daniel ruszył do przeciwległych schodów; połapał się i poprawił, zanim marynarz cokolwiek zauważył. Znajomość budowy cinnabarskiego okrętu omal nie sprowadziła na nich kłopotów.

- Okręt wygląda na całkiem duży jak na 16 strażników - zauważyła, kierując sugestią w stronę prowadzącego ich żołnierza. - Czy taka ilość wystarczy do wykonania zadania?

Minęli otwarte drzwi na następny pokład. Przewodnik uniósł dłonie w niefrasobliwym geście.

- Wszystkich schwytych Merków trzymamy w Ładowni Drugiej - odparł. Nie zadał sobie trudu odwrócenia głowy, więc dialektowe naleciałości i echa utrudniały zrozumienie słów. Bez światła, bieżącej wody i żadnych cholernych kłopotów dla nas.

Pistolet automatyczny uczonej tkwił w kaburze pod prawą pachą. Dłoń spoczywała na kolbie, chroniąc broń przed majtaniem się, lecz wcale nie uważała jej za prawdziwe uzbrojenie.

Jej broń jak zwykle spoczywała w lewej kieszeni tuniki.

Marynarz przeszedł przez drzwi i skręcił w lewo. Znaleźli się w holu oświetlonym przez gładkie panele o świecącej powierzchni. Porucznik Leary szedł pół kroku za bibliotekarką, rozglądając się i odnotowując istotne punkty w otoczeniu, które jej zdaniem nie posiadało cech szczególnych.

Wszystko w pomieszczeniach po obu stronach korytarza zostało powywracane do góry nogami; na podłodze wałały się powywlekane szuflady. Nikt nawet nie próbował uporządkować ich po przeszukaniu, o ile było to coś tak formalnego jak przeszukanie. Prędzej rabunek.

- Hej, poruczniku? - zawołał przewodnik w stronę otwartych drzwi na końcu korytarza. - Mamy tu jakichś żołnierzy, którzy myślą, że powinni pełnić tutaj straż. Blaney przysłał ich panu.

Marynarz machnął na Adele i Daniela i pomaszerował do schodów, którymi tutaj przyszli. Najwyraźniej nie odczuwał potrzeby wdawania się w dyskusję z własnym dowódcą. Uczona weszła do pomieszczenia, zanim ktokolwiek z przebywających w środku ludzi postanowił wyjść im na spotkanie.

W sali znajdowało się sześcioro odzianych w brąz osób oraz całe mnóstwo wbudowanej elektroniki. Żaden z marynarzy Sojuszu nie przejawiał szczególnego zainteresowania gośćmi. Dwóch grało w jakąś grę planszową, dwóch innych oglądało nagranie erotyczne na holograficznym wyświetlaczu, kobieta nalewała sobie kawy z dzbanka na podgrzewanej płycie.

Szósty, otyły mężczyzna, nałożył czapkę ze złotym szamerunkiem i wstał z obrotowego krzesła. Konsola za jego plecami błyskała kontrolkami. Standardowy model, który Mundy mogłaby obsługiwać przez sen.

- Tak? - powitał ich oficer Sojuszu.

Nie był nieuprzejmy, nie był także nazbyt serdeczny. Adele nie miała pojęcia, jak wypadało porównanie ich stopni.

- Muszę skontaktować się z moim dowódcą - oznajmiła. Minęła oficera, jak gdyby był odzwiernym, i zasiadła za konsolą. Siedzisko było jeszcze ciepłe.

- Wyobrażasz sobie, że kim ty właściwie jesteś?! - zawołał oficer z oburzeniem. - Nie możesz tak po prostu ładować się tutaj i przejmować okrętu!

Kilkoma szybkimi poleceniami Adele zablokowała konsolę i systemy komunikacji. Nie mieli pewności, co wydarzy się w ciągu następnych kilku minut, nie mogli więc pozwolić wartownikom na wezwanie pomocy.

Obróciła się na krzesło.

- W porządku - powiedziała do cinnabarskiego porucznika.

Ten wyjrzał na korytarz, po czym zamknął drzwi. Musiał użyć wszystkich sił, by domknąć masywny, pancerny właz.

- Hej! - zawołał marynarz.

Drzwi załomotały o nawierconą ościeżnicę. Daniel zdjął automat z ramienia.

- Wszyscy pod prawą grodz - rozkazał kiwając głową.

Stojąca najbliżej żeglarka odrzuciła kawę i skoczyła na niego.

Odrącił ją sztywno wyciągniętą, wolną dłonią. Mundy postrzeliła ją w ramię.

Pocisk strzaskał kobiecie obojczyk. Trafiona krzyknęła i osunęła się po ścianie. Oficer Sojuszu obrócił się, jakby chciał złapać Adele, ale ujrzał pistolet wycelowany w garb swojego nosa i ostrożnie wycofał się pod grodz.

Marynarze poszli śladem zwierchnika. Dwóch pomogło rannej towarzysze. Jęczała z bólu, ale rana nie była śmiertelna, chyba że odłamek kości przerwał któreś z głównych naczyń krwionośnych.

Bibliotekarka zajęła się konsolą, podczas gdy porucznik trzymał obsadę mostka na muszce. Kiedy skończyła, wstała i oznajmiła:

- Gotowe. Lepiej to przejmij.

- W porządku - odparł Daniel, zamieniając się z nią obowiązkami. - Ale nie sprzedaj zbyt tanio skóry. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - FRC straciła znakomitego oficera, kiedy postanowiłaś zagrzebać się w bibliotece. - Następnie zwrócił się do systemu łączności pokładowej - mat Woetjans, proszę dokończyć przekazywanie władzy przy rampie i zameldować się na mostku z dwoma marynarzami celem przejęcia obowiązków tutaj. Idę przejąć resztę oddziału. Spojrzał na Adele.

- Poradzisz sobie z nimi, dopóki nie przyjdzie Woetjans? - zapytał, wskazawszy głową więźniów. - Chcę natychmiast uwolnić naszych ludzi.

- Och, tak - przytaknęła. Pojmani marynarze przyglądali się jej. - Przecież jest ich tylko sześcioro, a ja mam w magazynku 19 pocisków.

Uśmiechnęła się bez humoru, dumając, które z tych twarzy będą do końca życia nawiedzać ją w snach. Zapewne żadna, ponieważ sprawiali wrażenie, jakby się jej bali.

Co znaczy, że zrozumieli.

* * *

Prowadząc „komandosów Sojuszu” korytarzem w stronę Ładowni Drugiej, Daniel Leary czuł rytmiczne drżenie *Aglai*. Od przejęcia okręt był nieczynny z wyjątkiem podstawowych systemów potrzebnych wartownikom. Woetjans przywracała jednostkę do życia.

W warunkach całkowitego zapełnienia okrętu Ładownia Druga przeznaczona była do przechowywania sypkich towarów konsumpcyjnych. Podróż z Cinnabaru wyczerpała zapasy, a resztki zostały wyładowane celem przejrzenia i uzupełnienia. FRC nie karmiła swych żeglarzy zepsutą żywnością, a oszczędności nigdy nie dotyczyły okrętów komunikacyjnych *typu Aglai*.

Wewnętrzny luku pilnowało czterech marynarzy Sojuszu. Do ładowni można było dostać się również z zewnątrz, obecnie jednak zewnętrzny właz znajdował się pod dwudziestoma stopami

słonej wody. Ładownia Druga była idealnym więzieniem, o ile nie dbało się o warunki przetrzymywanych tam jeńców.

Słyszając nadejście oddziału Daniela, marynarze wstali od karcianego stolika. Żuli *kift*, owoc z Pleasaunce, mający na ludzi lekko narkotyczne działanie. Kiedy na ogonku zostawała już tylko kiść wilgotnych włókienek, strażnik wypluwał ją na podłogę lub ścianę, by tam przywarła i wyschła.

- Taaa? - rzucił jeden z wartowników. Karabiny stały nieopodal, oparte o grodz, lecz strażnicy nawet ku nim nie zerknęli.

Lamsoe wycelował w nich z automatu.

- Jeden ruch i wszyscy jesteście martwi - warknął. - Patrząc na bajzel, jaki tu zrobiliście, z przyjemnością wypruję z was flaki!

- Cholerna racja! - zawtórował mu Sun.

Cały oddział wymierzył w nich broń. Marynarze Sojuszu nie mogliby być bardziej zdumieni, nawet gdyby zstąpił przed nich archanioł.

- Nie dajmy się ponieść emocjom, dobrze? - zaproponował Hogg. W odróżnieniu od reszty żeglarzy, wliczając jego pana, nie był przerażony tym, w jaki chlew wartownicy zamienili *Aglaię*. Jak ludzie zaczynają strzelać, to rykoszety wcześniej czy później w coś trafiają.

Machnięciem ręką taśmy do pakowania, którą przyniósł, żeby mieć czym ich związać, wskazał marynarzom Sojuszu koniec korytarza.

- Usiądźcie tam sobie z rękoma na widoku, głupie dranie, a może dożyjecie zmroku, w porządku?

Gdy wartownicy wykonali polecenie, porucznik Leary przyjrzał się zamknięciu wjazdu. Luk można było zaryglować, obecnie jednak blokował go zwyczajny pręt. Odrzucił go na pokład i uruchomił otwieranie, po czym odsunął się.

- W porządku, Cinnabarczycy! - zawołał w głąb śmierdzących ciemności, panujących w Ładowni Drugiej. - Jesteście wolni. Wychodźcie cicho i bez przepychania się. Starszy oficer ma natychmiast zameldować się u mnie.

- To pan Leary! - wykrzyknął z zachwytem któryś z marynarzy.

Daniel pozwolił sobie na cień uśmiechu - pomimo napięcia i złości wywołanej smrodem, w jakim przebywała załoga *Aglai*.

Dyscyplina nie poszła w ką. Pierwszą osobą, która pojawiła się w przejściu, był bosman Domenico. Stał na baczność i zasalutował tak, jak admirałowi podczas inspekcji zamiast zwykłego puknięcia w czoło, jak przyjęło się na okręcie wojennym podczas służby.

- Sir!

Z ładowni wysypali się marynarze. Część zaczęła ścisnąć się z przyjaciółmi z oddziału Leary'ego, inni całowali pokład z radości, że odzyskali wolność, niemniej ucieczka przebiegała składnie jak zbiórka w barakach.

- Nie będę ukrywał, iż *naprawdę* bardzo się cieszę, że pana widzę, panie Leary - dodał Domenico z szerokim uśmiechem na pomarszczonej twarzy. - Myśleliśmy, że najlepsze, co może nas czekać, to transfer na Pleasaunce i rok - dwa oczekiwania na wymianę.

- Myślę, że możemy zrobić coś znacznie lepszego od tego, Domenico - odparł Daniel. - Jaki jest nasz obecny stan?

Rozejrzał się dookoła dla upewnienia się, że wszystko znajduje się pod kontrolą, choć nie było czego kontrolować: miał do czynienia z weteranami, co do jednego. Najmłodszy z tych marynarzy znał się na takielunku, obsłudze okrętu lub uzbrojeniu, i mógł pracować bez zawracania głowy matowi.

- 130, wliczając mnie i Baylora - zameldował bosman. - Reszta to marynarze. Wszystkich

wyższych oficerów zabrali, a 40 członków załogi zginęło lub leży w szpitalach na skutek przejmowania okrętu przez tych drani. Szefowa statku Nantes zginęła, zadławiona własnym językiem. - Nasrożył się niczym chmura burzowa. - Opowiadają, że zaskoczyli nas ze spuszczoneymi spodniami; sir.

- Tak, no cóż, przekonamy się, czy dla odmiany my nie zaskoczymy czymś naszych przyjaciół z Sojuszu - odrzekł spokojnie porucznik. - Przygotujemy *Aglaię* do odlotu, podczas gdy inna grupa uwolni kapitana Le Golifa i resztę oficerów, po czym wydostaniemy się na orbitę i polecimy do domu, zanim ktokolwiek zorientuje się, co się dzieje.

Skreśliło go w żołądku na myśl o stratach, jakie poniosła załoga *Aglai*, choć przypuszczał, że powinien był się z tym liczyć. Podczas napaści Sojusz nie użył gazu trującego, ale zawsze trzeba brać pod uwagę ludzi, którzy przyjmą zbyt dużą dawkę lub są uczuleni na któryś ze składników.

- To się nie uda, sir - oznajmił ze zboląłą miną Domenico. - Nie chcieli, żebyśmy planowali ucieczkę po kablu czy w jakiś inny sposób, więc wymontowali nam Szybki Napęd. Kazali to zrobić naszym ludziom, abyśmy wiedzieli, że nawet jeśli wyrwalibyśmy się na wolność, to nie mielibyśmy dokąd pójść.

- Wymontowali również zaniki z broni - dodał Główny Zbrojmistrz Baylor, dołączając do nich przy wyjściu z ładowni. Był drobnym mężczyzną o ostrych rysach twarzy, który zdawał się postarzeć o dekadę, odkąd Daniel go widział. Półtora tygodnia temu. - Cały oręż pozostał na miejscu, ponieważ nie mieli czasu na wyładunek.

- Bardzo dobrze - mruknął Leary. - W takim razie będziemy musieli spróbować czegoś innego.

Wstrząs, wywołany informacją, że nie mogli uciec *Aglaią*, minął w ciągu kilku uderzeń serca. Daniel Leary zawsze szybko otrząsał się z szoku. Nie należał do ludzi, którym wydawało się, że potrafią zaplanować każdą ewentualność, niemniej sądził - *czuł* - że umie poradzić sobie z dowolną sytuacją kryzysową. Jak dotąd szło mu całkiem nieźle.

Załoga *Aglai* ustawiała się w korytarzu wachtami i specjalnościami. Każdą grupą dowodził mat lub starszy marynarz. Podwładni Daniela cisnęli czterech związanych wartowników do ładowni, którą właśnie opuścili Cinnabarczy. Odbyło się to nieco brutalniej, niżby mogło, gdyby warunki przetrzymywania jeńców okazały się lepsze.

- Chyba zdobędziemy *Księżniczkę Cecile* - oznajmił dowódca tak spokojnie, jak gdyby nosił się z tym pomysłem od tygodnia. - Nie sądzę, aby któryś z okrętów Sojuszu był na tyle słabo strzeżony, by dać nam niezbędną szansę, za to przekonałem się już, iż zawsze można liczyć na niedbałość Kostroman.

Objął wzrokiem swoich ludzi. Pozostaną nimi, dopóki na pokład *Aglai* nie powrócą właściwi oficerowie. Obdarzył załogę miłym, profesjonalnym uśmiechem i dodał:

- W porządku. Bosmani za mną na mostek, reszta do swoich kwater i czekać na rozkazy.

- Tak jest, *sir!* - zagrzmiała ponad setka marynarzy i rozpierzchła się posłusznie.

* * *

- MX 539 - rozległ się głos kontrolera. Inna osoba, choć identycznie znudzona jak pierwsza. - Macie pozwolenie na opuszczenie przystani. Utrzymujcie wysokość 50 metrów, dopóki nie znajdziecie się trzy kliki stąd. Kontrola Tarnhelm - koniec przekazu.

- Naprzód, Gambier! - zawołał Daniel.

LOT ześlizgnął się z betonowego pływaką i przez kilka sekund przyspieszał tuż nad powierzchnią wody, wzbijając pióropusze piany, zanim osiągnął założoną wysokość.

Daniel Leary pokiwał głową z aprobatą.

- Gambier wykorzystuje efekt powierzchniowy, dopóki nie osiągnie właściwego przyspieszenia - wyjaśnił.

Adele zaczęła podnosić się z miejsca w wieżycy; Daniel z uśmiechem usadził ją z powrotem ruchem ręki.

- Zostań tam - powiedział. - Prędzej przydasz się ty przy radio niż ja przy działku. Taką mam przynajmniej nadzieję. Uśmiechnął się szerzej, aż kobieta poczuła się absurdalnie pozytywnie nastawiona. - Poza tym - dodał - z działkiem pewnie też byś sobie poradziła.

Prychnęła.

- Tak jak ty z łącznością - oświadczyła. Pozwoliła sobie na skąpy uśmiech. - I pewnie z takim samym rezultatem. Zauważyłam, że masz niezły słuch.

Na panoramicznym wyświetlaczu bibliotekarki miasto Kostroma skurczyło się do smugi na horyzoncie. Gambier leciał zaprogramowanym kursem, prowadzącym ich głęboko w morze, by następnie skręcić na południe, w stronę Jeziora Floty. W porcie i magazynach oddziały Sojuszu doglądały pracujący kostromański personel, nie miały jednak łączności z kontrolą lotów Tarnhelm.

Z prowadzonych w eterze rozmów Adele wywnioskowała, że standardy na Jeziorze Floty były bardzo rozluźnione. Niemal tak rozluźnione jak za Waltera III.

- Wolałbym użyć czegoś mniej przerażającego od LOT-a - rzekł porucznik, krzywiąc się na uciskającą go kolbę automatu, który stanowił obecnie część jego umundurowania. Dopiero teraz uczona uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy nie widziała go strzelającego. - Wygląda na to, że nasi przyjaciele z Sojuszu zaraz po przejściu pozbawili *Aglaię* wszystkich aerowozów i innych pojazdów. W tym kutrów, chociaż tych ostatnich również nie chciałbym używać.

- LOT Sojuszu da nam przewagę - zwróciła mu uwagę Adele. - Kostromanie nie odważą się nas o nic pytać.

Nie miała pojęcia, czy starała się być logiczna, czy tylko go uspokajała. Raczej to drugie, choć nie miała w tej dziedzinie specjalnego doświadczenia.

Jezioro Floty powstało dzięki przegrodzeniu tamą błotnistej ujścia rzeki. Zapora pęczniała na ekranie, przypominając bardziej groblę z przyporami. Klapy zaworów po wewnętrznej stronie zamieniały się w solidną ścianę, gdy tylko przyływ przestawał utrzymywać ich w otwartej pozycji.

LOT zwolnił. Barnes wsadził głowę pomiędzy fotele pilotów i zawołał:

- Sir, przy łodzi przycumowanej do *Księżniczki Cecile* znajduje się duży aerowóz. Co mamy zrobić?

Mundy zerknęła na ekran, zanim uprzytomniła sobie, że to Daniel powinien widzieć, co się wokół nich działo. Już chciała ustąpić mu miejsca, gdy zauważyła, że Leary wcale nie potrzebował wyświetlacza. Zdążył już zdublować obraz dzięki wbudowanemu w hełm holoprojektorowi.

Wciąż zapominała, że choć Daniel nie był informatykiem, to był profesjonalistą przeszkolonym w używaniu najnowocześniejszego sprzętu wojskowego. Mając trochę czasu na eksperymenty, mogłaby wyciągnąć z tych urządzeń więcej, on jednak sprawnie wykorzystywał je zgodnie z przeznaczeniem.

Księżniczka Cecile była korwetą w kształcie cygara. Adele widziała ją w locie raptem kilka dni temu - podczas obchodów Dnia Założyciela. Została zakotwiczona na środku ujścia, w pewnej odległości od rzędów większych jednostek, ustawionych tuż przy brzegu.

Przed głównym włazem cumowała płaska barka. Również inne luki i wejścia korwety stały otworem. Widok przypominał bibliotekarce *Aglaię* na chwilę przed zdobyciem.

Parkujący na pokładzie barki aerowóz mógł pomieścić co najmniej tuzin pasażerów. Na lakierowanych na szaro bokach pojazdu widniały oznakowania Sojuszu.

- Posadź nas na rufie barki i módl się, żebyśmy jej nie zatopili - rozkazał porucznik. - Na wszelki wypadek utrzymuj dolne dysze w gotowości. - Zerknął na Adele i potrząsnął głową. - Gdyby *oni* wylądowali na którymś końcu barki, moglibyśmy zrównoważyć ich ciężar i nie byłoby problemu.

- Gdyby ryby łąpały się na życzenie - wtrącił szorstko Hogg - to nie musielibyśmy jeść na biwakach tyle suszonego jedzenia.

Służący Daniela miał na sobie mundur komandosa, który nie leżał na nim dobrze nawet po prowizorycznych poprawkach krawieckich. Ich ofiarą padły rękawy, nogawki i pas, niemniej nikt nawet nie zasugerował, że mundur powinien przypaść w udziale komuś bardziej zbliżonemu wiekiem i rozmiarami do poprzedniego właściciela.

Mundy cieszyła się z tego. Przynajmniej część marynarzy potrafiła dobrze strzelać, a ich odwagi nikt nie mógłby zakwestionować. Jednak w obliczu czekającego ich zadania więcej wiary pokładała w refleks Hogga niż kogokolwiek innego z ich grupy.

Służący sam sobie wybrał karabin. Na rozkaz Leary'ego podobnie uzbroili się Lamsoe, Sun i Dasi. Adele nie rozumiała dlaczego, dopóki Hogg nie wyjaśnił tego marynarzom.

Pistolety automatyczne były lżejsze, poręczniejsze i świetne na bliską odległość. Niestety, lekkie pociski okazywały się niemal bezużyteczne przeciwko pojazdom lub celom odległym o setki jardów. Oddział nie wiedział, z czym przyjdzie mu się zmierzyć w ciągu najbliższych minut, toteż chęć przygotowania się do innych sytuacji, wyrażona przez Daniela, warta była dźwigania dodatkowych kilogramów.

Gambier opuścił LOT-a na powierzchnię wody, odbił się od niej i wylądował na barce. Nieunikniony rozbryzg skąpał stojący tam aerowóz. Pilotka schroniła się w kabinie, wygrażając im pięścią.

Porucznik uśmiechnął się lekko.

- Ktokolwiek tam jest, komplikuje sytuację - orzekł. - Ale poradzimy sobie.

Uczona energicznie pokiwała głową.

- Nie sprawdziłam wiadomości pod kątem *Księżniczki Cecile* - przyznała. - To moja wina.

LOT wylądował. Barka zakołysała się nieprzyjemnie, jednak po chwili odzyskała równowagę.

Kiedy tylko Gambier nabrał pewności, że nie wywróci się dnem do góry, wyłączył silniki.

- Twoją winą był brak czasu i mój pośpiech? - zdziwił się Daniel. - Nie, nie sędzę, żebyś miała rację. - Obrócił się do przedziału osobowego. - Tak samo jak poprzednio: pani Mundy prowadzi rozmowy, dopóki nie wydam innych poleceń. - Adele ujrzała, jak wargi porucznika wygina uśmiech.

- Albo nie rozpęta się strzelanina, tak? Ale my jej nie zaczniemy.

Zeszła na rozkołysany pokład barki. Pilotka aerowozu wygramoliła się z powrotem z kabiny; miała na sobie mundur marynarki Sojuszu.

- Ty tam! - warknęła Mundy z właściwą wyższym klasom pogardą. - Kto kazał wam wylądować na samym środku barki? A w ogóle, to co tutaj robicie?

Usłyszała pełen aprobaty pomruk Hogga. Przerazona pilotka natychmiast zapomniała o protestach. Zielonkawy sok z *kifta* pociekł strużką po jej policzku.

- Słuchaj, pani, ja tylko wożę komandora Strachana i inspektorów - rzuciła wycofując się znowu do szoferki. - Już go przestawiam, w porządku?

Zatrzasnęła drzwiczki, zanim Adele zdążyła odpowiedzieć.

- Obejrzą statek, zanim przyjmą go na służbę Sojuszu - wymamrotał Daniel do prawego ucha mistrzyni. - Prawdopodobnie trzech oficerów z adiutantami, z których nikt nie powinien szukać kłopotów.

Dysze aerowozu zawyły; niezgrabnie przesunął się w bok. Adele ruszyła w stronę wjazdu korwety, starając się nie zwracać uwagi na podskakujący pod stopami pokład. Miała nadzieję, że ta idiotka nie spadnie pojazdem z barki, wywołując niepotrzebne zbiegowisko.

Księżniczka Cecile była znacznie bardziej zagracona niż *Aglai*a. W holu wejściowym stało dwóch Kostroman z mopami i kubłami mydlin. Na widok „komandosów” przerwali pogawędkę.

- Gdzie są inspektorzy? - zapytała Mundy. Usłyszała zbliżające się odgłosy kroków i gwar rozmów.

Marynarze popatrzyli po sobie. Z korytarza po lewej stronie wynurzyła się grupka ludzi w mundurach oficerów Kostromy i Sojuszu, wkraczając do holu.

- Co to jest? - zapytał oficer Sojuszu.

- Leary! - wykrzyknął kostromański oficer. Bibliotekarka rozpoznała w nim jednego z pulchnych strojnisiów, których spotkała na Balu Admiralskim. Nazywał się Candace. - Co ty...

Wyciągnęła pistolet. Nie traktowała go jak magicznej różdżki; nie trzeba było nim grozić tak, jak robili to stojący za jej plecami marynarze.

- Nie ruszać się albo was pozabijam! - powiedziała patrząc prosto w oczy oficerowi z Pleasaunce.

Paunchy, 30 lat... jasnorudawe włosy rozsypały się dookoła na podobieństwo aureoli, gdy pocisk dostał się do czaszki, przebijając cienkie kości dna oczodołu. Widziała to...

Służący Daniela dał krok naprzód i skrzył lekko tułów. Wbił Candace'owi kolbę karabinu w żołądek. Ten upadł na kolana i zwrócił obiad na brudny, metalowy pokład.

Otoczający Adele cinnabarscy marynarze rzucili się na personel z Kostromy i Sojuszu, lufami automatów i krzykami zmuszając ich do ukłęknięcia. Dwie grupy pognały wychodzącymi z holu korytarzami. Rozległa się niepotrzebnie długa seria z automatu, krzesząca ze ścian iskrzące opiłki

metal. Ktoś bluznął przekleństwami z cinnabarskim akcentem.

- Sir, zamknęli się w siłowni! - Usłyszeli czyjeś wołanie.

- Mostek zabezpieczony! - nałożył się na nie inny głos.

Czarne litery na złocistej plakietce oficera Sojuszu układały się w nazwisko Strachan. Od przemowy Mundy nie poruszył się, zamknął jedynie usta. Dwaj żeglarze złapali go pod łokcie, kopniakami wypchnęli mu kolana do przodu i związali nadgarstki taśmą do pakowania. Nie opierał się, jednocześnie nie spuszczał wzroku z Adele.

Okręt zadygotał, gdy ciężkie drzwi opadły na swoje miejsce. Daniel powrócił do holu, nadchodząc z lewej strony; uczona przypuszczała, że z mostka.

- Grodź siłowni - mruknął krzywiąc się. - Nie można przejąć nad nimi kontroli z mostka.

Rozejrzał się dookoła. Na pokładzie leżał tuzin jeńców, powiązanych niczym kurczaki na targu.

Z barki powrócił Hogg, witając swego pana uniesionymi do góry kciukami.

- Mamy również aerowóz - oznajmił. - Awansujemy na tym świecie.

Zwykły dla Daniela uśmiech zastąpił grymas.

- Cóż - mruknął - nie przepalimy grodzi sekcji nawet działem plazmowym, przypuszczam więc, iż będziemy musieli przekonać Kostroman do opuszczenia siłowni.

- Podejrzewam, że nam się uda - rzekła Adele, chowając pistolet do kieszeni.

* * *

- Słuchaj, Leary... - zaczął Candace. Szarawa bladość twarzy sprawiała wrażenie, jakby założył trupa maskę. Siedzisko zostało odwrócone tak, by znalazł się plecami do konsoli uzbrojenia. Potarł czoło. - Bardzo żałuję, że w ogóle cię poznałem! Chcesz doprowadzić do mojej śmierci? Najpierw przychodzisz do mojego domu, mojego *domu*, na litość boską! A teraz chcesz, żebym pomógł tobie i tej bandzie piratów ukraść statek? Musiałeś chyba rozum postradać!

Oficer FRC westchnął. Miał nadzieję, że uda mu się przekonać kostromańskiego porucznika, jeśli zabierze go na mostek. Nie było żadnych otwartych gróźb - choć jego służący przycinał sobie paznokcie nożem, udając, że obserwuje Adele, siedzącą za jedną z konsoli. Schwytani oficerowie Sojuszu znajdowali się w mesie oficerskiej - blisko, ale nie na widoku. A tutaj Leary i Candace, przyjaciele z różnych planet, najzwyczajniej w świecie siedzieli sobie i omawiali wspólny problem.

Kostromanin nie widział tego w ten sposób. Cóż, tak naprawdę Daniel wcale tego nie oczekiwał; z drugiej strony jednak nie widział praktycznie żadnego sposobu na zmuszenie zamkniętych w siłowni do poddania się. Bibliotekarka była pewna, że nie zdołają wysłać na zewnątrz żadnej wiadomości, lecz Daniel i jego załoga również nie mogli wystartować *Księżniczką Cecile* z nieznaną liczbą wrogich marynarzy w siłowni.

Obecnie jednostka pracowała na jałowym biegu dzięki dodatkowemu źródłu zasilania na dziobie korwety. Niestety, moc generatora dodatkowego była zbyt mała, by zasilić silniki plazmowe, a co dopiero system konwersji antymaterii Szybkiego Napędu.

- Leary - spróbował ponownie Candace z rozpaczliwą szczerością człowieka trzęsącego się o własne życie. - Jak już ci mówiłem, jestem neutralny. Nie życzę ci źle, ale teraz *rządzi* tutaj Sojusz Wolnych Gwiazd. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

Cinnabarczyk siedział na rozkładanym siedzisku z boku konsoli. Porucznik Candace spróbował obrócić się na swoim miejscu tak, by znaleźć się z nim twarzą w twarz. Hogg przytrzymał krzesło.

Candace zachowuje się jak dzieciak, który chowa głowę pod koc w nadziei, że potwór go nie znajdzie, pomyślał Daniel. Niedobrze mu się robiło na widok takiego tchórzostwa, zwłaszcza

okazywanego przez oficera marynarki.

- Nie wolno ci mieszać mnie do twoich sprawek - dodał Kostromanin. - Oni mnie *zabijał* - Sir - przemówił Hogg, patrząc na Candace'a z obrzydzeniem dorównującym Danielowemu. - Wygląda mi na to, że problem leży w tym, iż on bardziej boi się tego, co zrobi mu Sojusz, niż co możemy mu zrobić my. Proszę zostawić mnie z nim na parę minut i przestanie tak myśleć.

Adele popatrzyła na mężczyznę z pozbawioną wyrazu twarzą.

- Nie trzeba, żeby inni na to patrzyli - dodał lekko zmieszany sługa. - Zabiorę go do magazynu na dziobie.

Tamten ukrył twarz w dłoniach. Trząsł się. Nagle Leary zrozumiał, że strach Kostromanina nie brał się z obawy o własną skórę, lecz z lęku przed podjęciem decyzji. Candace bał się działania bardziej od śmierci.

Wstał. Uśmiechnął się do swoich towarzyszy.

- Nie - oznajmił. - Benno jest moim przyjacielem i nie chcę, żeby ktoś go krzywdził. - Urwał, dając mężczyźnie czas na odprężenie się, po czym dokończył - za to oficerowie Sojuszu, których oprowadzał po okręcie, nie są bynajmniej moimi przyjaciółmi. Poruczniku Mundy, czy pamięta pani, jak zabiliśmy tamtych dwóch komandosów, żeby zmusić pozostałych do mówienia? Proszę iść do mesy i zrobić to samo komandorowi Strachanowi i jego ludziom, pojedynczo. - Przerwał. - Dopóki Benno nie zdecyduje się nam pomóc.

Adele wstała z beznamiętną miną od konsoli łączności.

- Proszę wziąć automat - poradził jej Daniel, skinąwszy głową w stronę broni pozostawionej na oparciu krzesła.

- Tak jest - odrzekła. - Będzie lepszy do tego celu.

Candace gapił się na troje Cinnabarczyków z pełnym przerażenia zdumieniem. Porucznik nie był pewny, czy Kostromanin naprawdę rozumiał, co się wokół niego działo.

- Sir - odezwał się Hogg. Sprawiał wrażenie nie mniej przejętego od Candace'a. Leżał nieprzytomny, gdy Daniel i Adele rozgrywali swój podstęp z komandosami, toteż uznał teraz, że zabijanie odbędzie się naprawdę. - Jak pan wie, to bardziej moja działka. Zajmę się tym.

- Nie - zaprotestowała Mundy. - Ja. Od paru dni nikogo nie zabiłam.

Obejrzała krytycznym wzrokiem pistolet automatyczny Sojuszu, po czym załadowała go szybkim ruchem. Mechaniczny szczęk zabrzmiał jak suchy chichot.

Spojrzała na Candace'a i dodała:

- Na twoim miejscu miałabym nadzieję, że nie wpadniesz w łapy Sojuszu, jak już zabiję wszystkich sześciu oficerów, którymi miałeś się opiekować. Tą operacją dowodzi facet nazwiskiem Markos, z Biura Piątego. Nie jest dżentelmenem. Najlepsze, co cię wtedy spotka, to szybka egzekucja.

Uśmiechnęła się. Nawet Daniela ścisnęło w żołądku na widok tej miny. Adele opuściła mostek, trzymając automat - z bezpiecznie podniesioną lufą - w prawej ręce.

- Bardzo mi przykro, Candace - powiedział Leary, potrząsając głową - ale muszę przekonać twoich ludzi, żeby opuścili siłownię. Nie mam nic przeciwko tobie ani im - wszyscy odzyskacie wolność, zanim wystartujemy. Jeżeli jednak któryś z tamtych oficerów Sojuszu umrze... Niech Bóg ma cię w swojej opiece, jeśli wpadniesz w ręce Markosa.

Zastanawiał się, czy facet naprawdę istniał, a bibliotekarka uzyskała jego nazwisko z danych wywiadu, czy też zwyczajnie je wymyśliła. Kiedy grała złą, była bardziej przerażająca od Hogg'a z nożem w ręku - a Hogg nie udawał.

- Leary... - błagał Candace.

- Z drogi - dobiegł ich z mesy głos Adele.

Słowa brzmiały czysto i wyraźnie. Włazy na mostek i do mesy stały otworem. Hałas czyniony przez marynarzy sprawdzających i przygotowujących okręt do startu w kosmos nie był wystarczająco głośny, by zakłócić doskonałą wymowę kobiety.

Rozległ się gwar protestów z akcentem Sojuszu. Inspekcję tworzyli komandor i dwaj komandorzy porucznicy oraz trzech aspiranci pełniący funkcję adiutantów. Daniel zastanawiał się, czy któryś z nich był obecny przy mordowaniu admirała Lasowskiej.

Automat wystrzelił. Pociski wyparowały, odłupując kawałki pokładu. Na korytarzu zatańczyły iskry, padając aż na próg mostka. Głosy podniosły się do wrzasków.

Rozległa się druga seria.

Więźniowie leżeli na pokładzie ze skrępowanymi taśmą kończynami. Porucznik nie postanowił jeszcze, co z nimi zrobić; na razie po prostu zostali usunięci z drogi.

Spodziewał się, że Adele zacznie strzelać w kanapę lub któreś z krzeseł, lecz sądząc po pełnych przerażenia krzykach, każda seria musiała utkwąć w podłodze o cal lub dwa od ucha jeńca. Dywan utkano z nepalskiego włókna szklanego, jednak smród kopcących się ludzkich włosów wskazywał, gdzie wylądowała część iskier...

- O Boże, o Boże, o Boże! - powtarzał Candace. Zatkał uszy dłońmi, mimo to nadal słyszał dobiegające z mesy wrzaski. Przestańcie! Przestańcie!

- Przerwać ogień! - zawołał Daniel. Odwrócił się do Kostromanina. - Mam nadzieję, iż oznacza to, że jesteś gotowy nam pomóc, Benno. Bo jeśli nie...

Mundy wróciła na mostek. Za jej plecami marynarz zatrzasnął właz do mesy, tłumiąc głosy więźniów. Lufa automatu żarzyła się; wokół osłony magazynka migotały fale ciepłego powietrza.

- Porozmawiam z nimi - obiecał Candace. Otarł łzy, opuścił ręce i spojrzał na oficera FRC z nieoczekiwaną godnością. - Powiem im, co tylko sobie życzysz. I nie dbam o to, co zrobisz potem. Jesteście zwykłymi zwierzętami!

Adele z powrotem przewiesiła automat przez oparcie krzesła. Przyjrzała się swojemu prawemu nadgarstkowi. Czerniła się na nim smuga osadu: metal z płaszczy pocisków, rozpylony przez strumień elektromagnetyczny i przeniesiony na skórę strzelca.

Benno Candace okręcił się na krześle. Dziabnął palcem w przycisk na lewym skrzydle konsoli.

- Mostek do siłowni - powiedział. - Mówi porucznik Candace. Proszę o zgłoszenie się dowodzącego siłownią.

Daniel przesunął się lekko, by móc spojrzeć ponad ramieniem Kostromanina na holograficzny wyświetlacz komunikatora. Niewiele mu to dało, gdyż ktoś zasłonił kamerę koszulą.

- Co się dzieje, sir? - zapytał męski głos. Pytanie zabrzmiało płacząco, nie wyzywająco.

Cinnabarczyk kiwnął głową w stronę konsoli i uśmiechnął się miło. Marynarze z siłowni widzieli go, choć on nie widział ich, toteż bardzo ważne stało się roztoczenie wokół siebie aury przyjaznego spokoju.

- Gershon? - upewnił się Candace. - Wszystko w porządku. Zostaliśmy przejęci przez flotę Cinnabaru, ale znam oficera dowodzącego. Wszystko będzie dobrze - pod warunkiem, że otworzycie siłownię. Oni są... To naprawdę bardzo ważne, żebyście natychmiast się poddali, Gershon. - Przełknął ślinę. - Naprawdę bardzo ważne.

Z podbródka Candace'a skapnęła ostatnia łza, prosto na obudowę konsoli. Ręce trzymał złożone na kolanach; wciąż się trzęsły.

- Sir, co z nami będzie, gdy uniesiemy grodz? - rozległ się głos Gershona. - Czy oni, no wie pan?...

- Pozostaniecie zamknięci na pokładzie *Księżniczki Cecile*, dopóki nie przygotujemy się do opuszczenia Kostromy, Gershon - oznajmił spokojnie Daniel. Oparł prawą rękę na szczycie konsoli, by sprawić wrażenie odpowiednio zrelaksowanego. - Wtedy wypuścimy was i będziecie mogli odejść. - Po czym uśmiechnął się do myśli, która właśnie przyszła mu do głowy. - Albo jeśli zechcecie, możecie przyłączyć się do nas... Flota Republiki Cinnabaru zawsze przyjmie łebskich chłopaków, którzy wiedzą, jak zachować się w kryzysowej sytuacji.

- Chryste dopomóż - mruknął znękany Gershon. Koszula zsunęła się z kamery. Łysy, siwobrody Kostromanin zrobił minę, jakby właśnie zgłosił się na ochotnika do skoku w próżnię.

- Podnieś grodz, Carney - rozkazał. Naciągnął na siebie koszulę, by zakryć poznaczony bliznami tors. Mechanizm ślimakowy z piskiem podciągał masywną zaporę. Miała ona zapobiec ulotnieniu się na cały statek zawartości reaktora uszkodzonego podczas walki. - Równie dobrze możemy się poddać - dodał. Zwracał się przede wszystkim do Leary'ego, nie Candace'a. - Nie mamy tutaj jedzenia ani wody.

- Zapewniam, że nie będziecie tego żałować - powiedział Daniel.

Do siłowni wbiegli odziani w mundury komandosów marynarze z Cinnabaru. Obezwładnili Kostroman bez niepotrzebnej brutalności.

- Cholerna racja - przytaknął Hogg, po raz pierwszy pojawiając się w polu widzenia kamery. - A gdybyście byli cwani, to zaciągnęlibyście się do pana Leary'ego. Spodobałaby się wam służba u prawdziwego oficera. Choćby dla odmiany.

* * *

Adele stała w luku LOT-a, czekając, aż Daniel zabierze rękę z krawędzi wjazdu. Była tak poirytowana, że odleciałaby, nie zważając na to, że jeszcze gadał, lecz Baraes bardziej szanował swojego porucznika.

Aerowóz Sojuszu podpłynął do barki w rozbryzgach piany, wracając z *Aglai* z kolejną grupą marynarzy. Prowadził Gambier, zaś koło niego siedział Kostromanin - chorąży Gershon, który podczas ataku zamknął się w siłowni - mający zapewnić im autentyczny, niecinnabarski głos na użytek kontroli lotów Tarnhelm.

- Słuchaj, Adele - odezwał się Leary, podnosząc głos, by usłyszała go pomimo ryku turbin pojazdu. - Myślę, że lepiej będzie, jak pójdę z wami. Nie jest właściwe, aby to cywil dowodził taką akcją. Uwalnianie oficerów FRC to sprawa FRC, a...

- Panie Leary - zaczęła Adele Mundy tonem pełnym niekłamanej, zimnej wściekłości - w pańskim towarzystwie wzięłam udział w złupieniu magazynów marynarki i zagarnięciu nie jednego, a dwóch okrętów. W naszej grupie nie ma drugiej osoby, która znałaby Pałac Elektora równie dobrze jak ja, a jej akcent mógłby ujść za pochodzący ze światów Sojuszu. Pańska obecność tutaj jest niezbędna, by przygotować *Księżniczkę Cecile* do ucieczki. Nasza dwunastka... - Skinęła głową w stronę Hogga i marynarzy pod wodzą Woetjans, siedzących już w pojeździe. Wszyscy mieli na sobie mundury komandosów. - Poradzi sobie z uwolnieniem oficerów *Aglai* równie dobrze, jak z panem jako trzynastym. - Zmarszczyła lekceważąco nos. - Nie chciałabym sprzeciwić się twojemu udziałowi ze względu na przesady - dodała - ponieważ byłoby to zwykłą głupotą.

Aerowóz wylądował, kołysząc barką pomimo centralnego obciążenia jej pokładu LOT-em. Gambier wyłączył silniki i poziom hałasu znacząco zmalował.

- Sir? - zapytał sługa. - Proszę przygotować tę czarnuchową łajbę do startu, zanim wrócimy, dobrze? Bo jedno jest pewne jak diabli: *my* będziemy gotowi.

- Pieprzona racja - poparła go mat Woetjans.

- Tak - mruknął Daniel. - Zgoda.

Z pojazdu wysypywali się marynarze.

- Zaczekaj na mnie, Gambier - zawołał porucznik. - Muszę przygotować *Aglaię* na nasz odlot. -

Spojrzał na Adele i uśmiechnął się z zadumą. - Dziwne, o ile łatwiej jest samemu zrobić coś niebezpiecznego, niż poprosić o to przyjaciół, prawda? Powodzenia. Hogg?

- Taajesst?! - odkrzyknął służący.

Uczona zaczęła już zamykać właz.

- Pani Mundy odznacza się wszelkimi walorami koniecznymi przy tego typu przygodach - powiedział Daniel. - Brakuje jej jednak doświadczenia. Nie pozwól, żeby coś jej się stało.

- Na mój honor, sir! - zawołał sługa, gdy Adele ze złością domykała kłapę.

Barnes poderwał Latający Opancerzony Transporter z pokładu barki. Od nagłego spadku ku wodzie, a potem poderwania się w górę, bibliotekarce zakręciło w brzuchu.

Dumała, ilu oficerów naprawdę uważało, że łatwiej samemu ponosić ryzyko niż zlecać podejmowanie go innym. Jeżeli Daniel Leary był dobrym przykładem, to może postępowali tak wszyscy dobrzy oficerowie.

* * *

Centrum Operacji Taktycznych *Aglai* stanowiło opancerzoną cytadelę na przeciwległym krańcu Pokładu E niż mostek. Wszystkie dane z czujników zbiegały się tutaj równoległe do mostka poprzez osobne kanały.

Zwykle w trakcie bitwy pierwszy porucznik dowodziłby COT, zaś kapitan - mostkiem, podczas gdy główny zbrojmistrz doglądałby wyrzutni pocisków. Stanowiska z bronią były w pełni zautomatyzowane, lecz maszyny psują się, i to nie tylko pod ostrzałem.

Przebywający ze zbrojmistrzem w COT Daniel wyjaśniał:

- Zbrojmistrzu Baylorze, aby przeprowadzić dywersję w chwili, gdy będziemy odlatywać na orbitę, zamierzamy podaną przez radio komendą odpalić pociski *Aglai*. Zajmę się oprogramowaniem, chciałbym jednak, aby pan i pańscy ludzie usunęli zabezpieczenia mechaniczne. Nie możemy pozwolić sobie na najmniejszy błąd.

- Krwawe piekło! - zaklął Główny Zbrojmistrz. Wąska, lisia twarz pokryła się siatką zmarszczek.

- Wystrzelić je w atmosferze? To będzie...

- Podczas podróży *Aglaią* porucznik nie miał zbyt wiele do czynienia ze zbrojmistrzem; Baylor trzymał się na uboczu, najchętniej w otoczeniu swojej broni, polerując cielska pocisków oraz dokonując codziennej diagnostyki wyrzutni i systemów naprowadzania. Pozostali oficerowie uważali go za dziwaka, lecz nie sprawiał żadnych kłopotów i bez sprzeciwu wykonywał inne obowiązki, na przykład dowodził wartą podczas cumowania w porcie.

Okręt komunikacyjny był prawdopodobnie najlepszą opcją dla człowieka pokroju zbrojmistrza Baylora. Istniała znikoma szansa, że *Aglai*a zostanie zmuszona do wystrzelenia któregoś z jego ukochanych pocisków...

Lecz w takim przypadku załoga mogła być pewna, że pociski zadziałają bezbłędnie.

- Owszem - przytaknął szorstko Daniel. - Wystrzelenie ich w atmosferze z całą pewnością zniszczy *Aglaię*. Pozbawienie Sojuszu tak cennego łupu stanowi drugi powód naszych działań.

Pociski były miniaturowymi statkami kosmicznymi z Szybkim Napędem. Olbrzymie prędkości były niezbędne podczas międzygwiazdnych podróży, nawet jeśli zwielokrotniało je korzystanie z

gąbczastych wszechświatów, w których stałe fizyczne różniły się od wszechświata gwiazdowego.

Szybki Napęd stanowił najbardziej efektywną metodę zapewnienia jednostce odpowiednich przyspieszeń, lecz część antymaterii nieuchronnie unikała procesu konwersji i była wyrzucana w pustkę. Gdy dochodziło do tego w atmosferze, antymateria i materia niszczyły się nawzajem w eksplozji czystej energii tuż za dyszami, anihilując wszystko w otoczeniu.

Pociski do zwalczania statków bazowały na energii kinetycznej. Nie uzbrojono ich w głowice wybuchowe. Nawet broń termonuklearna nie miała sensu w obiekcie mknącym z prędkością 6c. Niemożność używania ich w atmosferze nie była wadą, gdyż przy takiej szybkości samo powietrze zmieniało się w materialną barierę.

Co jednak nie oznaczało, że trafienie trzydziestotonowym pociskiem to miłosne klepięcie.

Baylor pokręcił ze smutkiem głową.

- Taajesst - rzucił. - Zgodnie z pańską prośbą moja załoga pozostaje w pełnej gotowości, lecz założę się, że nikt nie wpadł na to, czego pan od nas zażąda. - Zbrojmistrz miał z pewnością taką samą minę jak Abraham, kiedy dowiedział się, że musi poświęcić syna. - Nienawidzę tej myśli, sir - wyznał otwarcie. W trakcie mojej trzydziestosiedmioletniej służby latałem na wielu jednostkach, ale ten okręt był najlepszy, niemniej wykonamy rozkazy.

Leary kiwnął głową z chłodną aprobatą.

- Dokładnie - potwierdził. Gdy Baylor odwrócił się, by zostawić go samego w COT, dodał - zbrojmistrzu?

Zawołany obejrzał się przez ramię, ukazując twarz pozbawioną wyrazu.

- Okręt jest narzędziem - powiedział Daniel. - Nie ma nic złego w miłości do statku, lecz czasami narzędzia trzeba użyć, nawet jeśli oznacza to jego zniszczenie.

Pomyślał o LOT-cie, który pewnie właśnie lądował na tyłach Pałacu Elektora.

- Ludzie nie są narzędziami - dorzucił. - Ale czasami z nich także trzeba korzystać. Dotyczy to każdego, kto złożył przysięgę.

Oraz przynajmniej jednej bibliotekarki, która tego nie uczyniła.

* * *

Burty LOT-a zostały opuszczone, by złagodzić złowieszczy wygląd wielkiego pojazdu. Adele zbadała ograniczenia w dostępie do pałacu. Zgodnie z jej wskazówkami Barnes podleciał powoli do tylnej bramy pałacowych ogrodów, zamiast próbować przeskoczyć nad murem i wylądować obok budowli.

Dowództwo Sojuszu umieściło sześć wyrzutni superszybkich pocisków na dachu i terenie pałacu, które miały za zadanie poradzić sobie z pojazdami próbującymi ominąć punkty kontrolne. Prawdłowo zaprojektowany warstwowy pancerz powinien stawić opór broni plazmowej wystarczająco długo, by wypuścić oddział szturmowy, lecz dla obrońców, których nie obchodziły skutki uboczne, 500 gramów monokrystalicznego wolframu rozpędzonego do prędkości pięciu kilometrów na sekundę było najlepszym sposobem przebicia wszystkiego prócz granitowej góry.

Baterie działały automatycznie, bez względu na sygnały IFF. [Identyfikacja Friend or Foe - Identyfikacja „Swoj-Wróg” sojuszniczych bądź wrogich jednostek] Uczona przerobiła ich oprogramowanie tak, żeby zdobywczy LOT nie aktywował obrony, nie uznając jednocześnie za stosowne powiadomić o tym sił Sojuszu.

Lamsoe siedział w wieżycze. Razem z Barnesem zostaną w pojeździe, podczas gdy Adele zaprowadzi Hogga i dziewięciu marynarzy do pałacowych piwnic, gdzie przetrzymywano oficerów

Aglai wraz z innymi ważnymi więźniami.

Woetjans mierzyła wzrokiem posterunek strażniczy. Przed LOT-em toczyła się przeładowana ciężarówka. Wartownicy unieśli plandekę i przeliczali skrzynie z alkoholem.

- To regularni żołnierze, nie komandosi. - Mat szepnęła mistrzyni na ucho. - My, komandosi, uważamy siebie za ostrych skurwieli w porównaniu z nimi, rozumie pani? - Zachichotała. - Jednak będzie trudniej, niż gdyby nadal rządziły tutaj czarnuchy.

Ciężarówka ruszyła naprzód. Barnes przyspieszył. Marynarze starali się sprawiać wrażenie rozluźnionych, co przychodziło im łatwiej niż Adele.

Bibliotekarka nie miała jakichś szczególnych przeczuć. Odkryła, że jeśli potraktuje swoje obecne zadanie jako poszukiwanie informacji - szukała danych w postaci piątki oficerów floty - to zdoła zachować odpowiednio obojętne podejście, dające największe nadzieje na powodzenie. Gdyby myślała o sobie jako o kimś odpowiedzialnym za życie takielarzy i oficerów, których przybyli uratować, nie wiedziałaby, jak się zachować.

Ogrody oświetlane były z dziesięciometrowych pylonów, rozstawionych pośród zdeptanych roślin. Zagrodę dla więźniów zdemontowano, a bele drutu złożono pod północnym murem.

- Co tutaj robicie, chłopaki? - zapytał Barnes dowódca warty.

Adele wychyliła się z przedziału osobowego, mówiąc:

- Hasło brzmi: Nike. Odzew?

Wartownicy z Sojuszu uzbrojeni byli w karabiny. Za kamienną żardynierą przycupnął poduszkowiec, trzymając wejście pod ostrzałem automatycznego działka umieszczonego w małej wieżyczce. Wyglądający z włazu żołnierz miał znudzoną minę, niemniej lufa działka śledziła przesuwającego się LOT-a.

Dowódca straży przespacerował się do tyłu na spotkanie Mundy. Transporter dawał jej przewagę wysokości.

- Pytałem, co tutaj robicie? - powtórzył głośniejszym głosem. - Teraz to nasza operacja.

Woetjans splunęła na ziemię. Ślina minęła stopę strażnika o kilka cali.

- Jedyne, co musisz mi powiedzieć, żołnierzu... - zaczęła Adele. Przypatrywała mu się z taką miną, jakby miała ochotę zeskrobać pytającego z buta. - To jak brzmi odzew. A jeśli nie wiesz, to zaraz przekonasz się, kto tu rządzi.

Strażnik skrzywił się. Jego podwładni stali pod budką wartownika. Dwóch poprawiło pasy i ruszyło w stronę LOT-a. Jak dotąd Mundy nie dostrzegła żadnych Kostroman.

- Vinceremos! - warknął dowódca straży. Odstąpił od transportera. - Zauważyliście - zawołał głośno do swoich ludzi - że te komandoskie rzygowiny noszą hełmy mądrzejsze od nich samych?

- Jedź - rozkazała Adele.

Mat pokazała mijającym żołnierzom Sojuszu wyciągnięty środkowy palec. LOT sunął wolno, gdyż Barnes nie rozwijał nadmiernych prędkości. W parku pełno było innych pojazdów, a oni nie mogli sobie pozwolić na kolizję.

Choć pilot poruszał się ostrożnie, bibliotekarka nie mogła pozbyć się wrażenia, że znaleźli się na roziskrzonym lodzie. Prząd LOT-a znosiło powoli w lewo. Posuwali się naprzód, lecz oś pojazdu nie pozostawała dłużej w zgodzie z kierunkiem ruchu.

- Jest całkiem niezły - mruknął krytycznie Hogg. - Prowadził już takie duże łodzie jak ta, więc wie, gdzie jest rufa i burty. Ale nie bierze pod uwagę ciężaru pancerza. Musi szybciej korygować kurs i nie machać tak tym rumplem.

Zaniepokojona Woetjans zajrzała do kabiny. Przed nimi z linii zaparkowanych pojazdów wystawał tył luksusowego aerowozu. Rufa LOT-a za chwilę go zmiażdży.

Barnes opuścił prawą płożę na chodnik. Zazgrzytała w snopie iskier, po czym uniosła się z powrotem. Chwilowe tarcie skorygowało dryf i wyprostowało kurs.

- Poradzi sobie - orzekła Adele. Nie zamierzała pozwolić Woetjans krzyżeć na kierowcę. Próba sprawowania bezpośredniej kontroli nad pracą wykonywaną przez kogoś w pełni nią pochłoniętego nie przyniosłaby zapewne niczego dobrego.

- Zaparkuj tutaj! - Mat zawołała do Barnesa. - Wzdłuż żywopłotu. Trochę ważymy, a gałęzie nie porysują lakieru. - Zerknęła na Mundy. - Czy tak, sir?

- Tak - potwierdziła zapytana. Nie myślała o sobie jako o kimś naprawdę dowodzącym tym przedsięwzięciem, ale marynarze tak właśnie sądzili. Musiała cały czas upominać siebie, żeby podejmować decyzje energicznie i z całym autorytetem.

Kwadraty z żywopłotów, gdzie spotykała się z Markosem, zostały całkowicie zniszczone, niemniej cywilne pojazdy nie miały wystarczającej masy, by przebić się przez resztki krzewów. Jak słusznie zauważyła Woetjans, LOT miał. Być może to dobry znak, wskazujący, że oddział mógł zaparkować blisko miejsca, które będą uciekać z piwnic.

Jeśli jednak wierzyłeś w coś takiego, równie dobrze mogłeś wierzyć w Los, który jedną ręką daje, a drugą odbiera. Najlepiej ufać odwadze, dyscyplinie i umiejętnościom strzeleckim.

LOT zadygotał, gdy Barnes wbił się w żywopłot bokiem, a potem znieruchomiał. Kierowca wyłączył turbiny i odetchnął donośnie.

- Chodźmy - rzuciła cicho Ellie Woetjans. - Pamiętajcie o zasadach zachowania.

Oddział opuścił przedział dwójkami. Adele wytarła dłonie o spodnie. A myślała, że jest doskonale opanowana.

Poprowadziła ich rampą z Hoggiem u boku; Woetjans szła w ostatniej parze. Cinnabarscy marynarze nie potrafili maszerować, a ona nie wiedziała, *jak* wygląda krok żołnierzy Sojuszu, lecz Daniel zapewnił ją, że wyglądałoby dziwnie, nosząc mundury komandosów i defilując jak na paradzie.

Pomimo pory wokół całego pałacu płonęły światła. Przedtem okolica wyglądała w ten sposób tylko wtedy, gdy elektor wydawał przyjęcie.

Po raz pierwszy od wkroczenia na tereny pałacu bibliotekarka zobaczyła Kostroman: grupę niskich rangą urzędników, wychodzących z budowli i sprawiających wrażenie obdartych i zastraszonych. Dzięki przechwyconej korespondencji wiedziała, że dowództwo Sojuszu zamierzało jak najszybciej przejąć kontrolę nad każdym aspektem życia Kostromy, nadal jednak potrzebowano kostromańskich biurokratów. Nowi władcy wyciskali z nich ostatnie soki.

A nawet więcej. Jedną z przechwyconych przez Adele wiadomości była rozkazem egzekucji referenta, który wylał kieliszek wina na dokumenty, jedząc kolację przy biurku. Oficjalny zarzut brzmiał: „zdrada Sojuszu Wolnych Gwiazd”. Jak w dołączonej notatce wyjaśniała przedstawicielka władz wojskowych Sojuszu, prawdziwym celem było zachęcenie pozostałych urzędników do zwiększonej uwagi przy pracy.

Weszli na tylny ganek, ocieniony drugą i trzecią kondygnacją. Znajdował się tutaj kolejny posterunek, tym razem obsadzony przez żołnierzy w pancerzach bojowych i nieprzezroczystych przyłbicach. Upodabniało ich to do zgrubsza człekokształtnych posągów. Zza dwóch półokręgów, na które składały się worki z piaskiem, groziły im działka plazmowe. Pomiedzy nimi stał żołnierz z elektronicznym czytnikiem.

Adele Mundy podała mu przepustkę wyjętą z hełmu dowódcy komandosów - programowalny chip zatopiony w prostokacie z polimeru. Zawierał rozkazy komandosów w formie elektronicznej, możliwej do odczytania na wizjerze hełmu każdego członka oddziału, dzięki czemu nawet najbardziej

złożone operacje można było wykonywać bez obawy o błędy komunikacyjne.

Pozbawiony twarzy strażnik wsunął kartę do czytnika. Adele zaprogramowała chip tak, że wskazywał jedynie miejsce docelowe - Pałac Elektora - pozostałe informacje zastrzegając najwyższym stopniem zabezpieczeń operacji Błękitny Chrom.

Wartownik zerknął na wyświetlone dane, po czym oddał kartę Adele i zszedł jej z drogi.

- Przechodzić - polecił.

A może „poleciła”? Głos został zsyntetyzowany elektronicznie, podobnie przetwarzane były wszystkie bodźce docierające z zewnątrz do strażnika. Jaki człowiek chciał dobrowolnie żyć w więzieniu tak ścisłym, że dotykało każdego centymetra skóry?

Z drugiej strony jednak istnieli ludzie, którzy zapewne uważali pracę w bibliotece za zsyłkę do Pieła. We wszechświecie znajdowało się miejsce dla każdego, choć Bóg świadkiem, że ostatnie wydarzenia dowodziły, iż wielu ludzi nie miało ochoty tak tego zostawić.

Bibliotekarka skręciła w lewo; marynarze deptali jej po piętach. Główny korytarz rozjaśniały przyklejone do stropu pasy świetlne. Przed biurami stały dwu - trzyosobowe grupki, rozmawiając przyciszonymi głosami. W środku Kostromanie pracowali przy biurkach zrobionych z półek opartych na innych meblach - lub wręcz na zapleśniałych skrzyniach, bez wątplenia przytuszczonych tutaj z lochów - i zawałonych papierami.

W każdym pokoju znajdował się nadzorca z Sojuszu, zmęczony, lecz jak najbardziej obdarzony władzą. Sojusz musiał tutaj przerzucić korpus administracji cywilnej równie duży, o ile nie większy od sił wojskowych.

Mundy rozglądała się z chłodnym podziwem na prawo i lewo. Biurokraci, nawet z Sojuszu, unikali jej wzroku. Kierowała się w stronę schodów do piwnic. Żaden cywil nie chciał wiedzieć, po co wezwano tutaj oddział komandosów.

Dzięki odpowiedniemu oświetleniu po raz pierwszy zauważyła freski na murach. Uwieczniono na nich sceny z życia Kostromy z minionych wieków. Tło było tak różne, że musiały pochodzić z różnych wysp. Rybacy zarzucali sieci z łodzi, rodzina zbierała owoce na farmie, z powierzchni wody startował gwiazdolot na oczach wiwatującego tłumu...

Artysta był znakomity, lecz brud i smugi po ocierających się o mur ramionach przechodniów zredukowały malunki do cienia tego, czym musiały być. Adele przyszła na myśl jej biblioteka. Czy znajdowała się wystarczająco na uboczu, by nowi władcy pałacu ją oszczędzili, czy też zgromadzone tam książki potraktowano z taką samą brutalną bez troską jak zabytkowe meble, wyrzucone przez okna dla powiększenia powierzchni biur?

Powinna martwić się o ludzi, a nie książki; niemniej to właśnie księgi i ich dalsze losy zaprzętały jej głowę. Uśmiechnęła się cierpko do siebie.

Samotna wartowniczką, pilnująca wąskich schodów, wyprężyła się, widząc nadchodzący oddział komandosów. Była uzbrojona w pistolet automatyczny i sprawiła na Adele Mundy wrażenie bardzo młodej.

- Z drogi - warknęła kiwając energicznie głową. Strażniczka odskoczyła na bok, wybijając bronią dziurę w starodawnym tynku.

Adele otworzyła drzwi i poprowadziła oddział gęsiego w dół. Nawet tutaj oświetlenie poprawiło się: na każdym półpiętrze znajdowała się lampa akumulatorowa.

Nie spodziewała się wartowniczeki przy schodach; tego posterunku nie wymieniały żadne, zbadane przez nią, elektroniczne media. Niemniej błędem byłoby tłumaczenie się z obecności grupy żołnierzy. Strażniczka musiała zostać postawiona przez kogoś o relatywnie niskiej pozycji, toteż działający w ramach operacji Błękitny Chrom szturmowcy mogli ją spokojnie zignorować.

Błękitnym Chromem dowodził Markos. Bibliotekarka zadumała się, czy to by go rozbawiło. Nie wyglądał na człowieka obdarzonego poczuciem humoru.

Uśmiechnęła się lekko. Odkąd została cinnabarską piratką, sama znajdowała więcej radości w życiu.

Drzwi do lochów stały otworem. Tam również stał strażnik. Odwrócił się od instalatorów kabli, by przyrzeć się mijającym go żołnierzom. Adele odpowiedziała mu twardym spojrzeniem.

Lochy również porządnie oświetlono, co jednak przyniosło wątpliwy efekt w tak zniszczonym otoczeniu. Wybrukowana ceglami podłoga była pofalowana jak powierzchnia oceanu - porównanie tym bardziej celne, iż ponad połowa powierzchni znajdowała się pod wodą. Z łukowego stropu skapywała skondensowana wilgoć, a wolne od bladych alg jezioro mącił prąd prawdziwego strumyka.

Pompa pracowała nierytmicznie, a umieszczony na końcu pomieszczenia generator wibrował z wysoką częstotliwością. Robotnicy wywiercili w suficie otwory pod kable. W powietrzu unosił się kurz.

Pomysł z dodatkowymi przewodami znalazł uznanie w oczach uczonej. Jednak wykonanie było tragiczne. Równie dobrze można by przyciąć górną i dolną krawędź książki, żeby dopasować ją do nowego regału.

Jej oddział z powrotem ustawił się w dwuszeregu; jedynym odgłosem, jaki wydawali, było rozchlapywanie brudnej wody butami. Wnęki z pozostałościami po poprzednich generacjach wyglądały, jakby przeszedł tamtędy straszliwy sztorm. Dla Adele stanowiło to smutne przypomnienie efemerycznej natury ludzkiej cywilizacji; z drugiej strony - widziała w ten sposób większość spraw. Hogg i marynarze reprezentowali zapewne inny punkt widzenia.

Pompy znajdowały się w czterech ceglanych alkowach, wystających z podłużnych, zewnętrznych murów i ułożonych w duże „X” z wyjściem na zewnątrz pomiędzy północnymi ramionami. Maszyny wyglądały jak duże cylindry, zostały umieszczone pod podłogą i zasysały wodę ceramicznymi rurami o półmetrowej średnicy. Ich wydajność pozwoliłaby bez problemów osuszyć lochy.

Niestety, działała tylko południowozachodnia pompa, a dobywające się z niej zgrzyty sugerowały, że i ona nie była w szczytowej formie. Przechodząc pomiędzy wschodnią parą pomp, Mundy zajrzała pod łuk po jej prawej stronie. Robotnicy usunęli pokrywę wielkiego motoru elektrycznego. Sojusz planował go wyremontować.

Szerokie schody zewnętrzne stanowiły kontynuację studni świetlnej, zapewniającej lochom naturalne oświetlenie. Przesuwne wrota, umożliwiające dwudziestostopowy prześwit do przetransportowania dużych obiektów - jak pompy czy generator - były zamknięte i zaryglowane, ale osadzone w jednym skrzydle drzwi dla ludzi stały otworem.

Tamtejszy posterunek strażniczy znajdował się na zewnątrz - piętro wyżej, przy rampie piwnicznej. Zza drzwi Adele usłyszała gigę. Melodię zniekształcał pogłos w wapiennym świetliku. Żołnierze grali muzykę popularną na Bryce, gdy pracowała jeszcze na tamtejszej Akademii.

Nigdy nie przepadała za ową muzyką i wątpiła, aby znawca uznał to wykonanie za posiadające jakiegokolwiek walory, niemniej melodia zabrała ją w odległą przeszłość. Żałowała straty tak, jak żałuje się utraconego dzieciństwa.

Muzyka urwała się w połowie akordu. Zupełnie jak ten etap jej życia.

Generator termojądrowy tkwił w kamiennym pomieszczeniu w zachodnim krańcu lochów. Według planów architektonicznych zamierzano zbudować go ze wszystkich stron z wyjątkiem jednej - zachodniej. Dzięki temu, gdyby generator Tokamaka zawiódł, plazma ulotniłaby się bezpiecznie na zewnątrz.

Później kolejni elektorzy dodawali coś do pierwotnej struktury. Gejzer jonów ogarnąłby teraz zachodnie skrzydło i wszystkich tam przebywających, lecz bibliotekarka nie natknęła się w zapisach na najmniejszy dowód, by uważano to za problem. Generatory rzadko zawodziły, a nawet gdyby to nastąpiło, to cóż: zachodnie skrzydło w całości przeznaczono dla służby i niższych urzędników.

Sojusz wykorzystywał trzy komory w północnozachodnim narożniku piwnic w charakterze najpilniej strzeżonego więzienia. Mur pomieszczenia generatora tworzył południową ścianę, a otwarty koniec przedzielono siatką z drutu kolczastego.

W dwóch komorach prowizorycznego więzienia przebywało dwadzieścioro Kostroman - Walter Hajas z najbliższą rodziną. Pięciu oficerów *Aglai* znajdowało się w pozostałej komorze, rzęsiście oświetlonej stojącymi za siatką reflektorami.

Więźniom nie dawano prywatności ani najmniejszej szansy na ucieczkę, lecz podchodząc, Adele zauważyła, że dwunastu żołnierzom Sojuszu daleko było do pełnej czujności. Ani ona, ani jej ludzie nawet nie próbowali się podkraść, jednak strażnik podniósł na nich wzrok dopiero, gdy znaleźli się w odległości 20 jardów od posterunku. Uświadomił sobie pewnie, że chlupotu nie wywoływały kapiące krople. Krzyknął, zaskoczony.

Wartownicy zerwali się na równe nogi, dopinając mundury. Znieśli sobie meble z wyższych pięter. Luksusowe krzesła, kanapy i stoły tworzyły dziwny dysonans wśród panującego dookoła rozkładu.

- Kto tutaj dowodzi? - zapytała Mundy. Nie podniosła głosu, lecz wyraźnie słyszalna nutka pogardy pasowała zarówno do udawanej przez nią porucznik, jak i uczonej, którą była.

Naprzód wystąpił chudy mężczyzna, starszy o kilka lat od reszty oddziału. Zamiast przedstawić się, powiedział:

- To jest strefa zamknięta, sir.

Starął się brzmieć władczo i groźnie. Nawet w połowie nie dorównał Adele.

- Owszem - odparła - zgadza się. - Podała mu przepustkę.

Kody wprowadzone przez nią do chipa nakazywały wydanie piątki oficerów z Cinnabaru komandosom. Chip nie wyjaśniał powodów - wartownicy nie musieli ich znać. Nabraliby podejrzeń, gdyby bibliotekarka umieściła na karcie zbędne informacje.

Kilku więźniów przesunęło się do przodu, pchani nadzieją lub tylko chęcią zabicia nudy. Nie można ich było rozpoznać, dopóki omal nie dotknęli kolczastej siatki. Odbijające się od stali światło rzuciło na nich wątłą poświatę.

W środkowej komorze stał Walter Hajas. Kapitan Le Golif, którego Adele widziała na bankiecie w Dniu Założyciela, stał z ponurą miną w otoczeniu czwórki adiutantów. Nie sądziła, żeby któryś z mężczyzn ją rozpoznał.

Marynarze zbili się w grupę, gdy Mundy i Hogg zatrzymali się. Wtem Woetjans przepchnęła się przez podwładnych, przyłożyła wargi do ucha Adele i wyszeptała z napięciem:

- Sir! Schodami za nami schodzi dwójka ludzi!

- Hej, wy tam! - rozległ się czyjś głos. Lochy były tak przestronne, że słowa, choć wykrzyczane nie zabrzmiały zbyt głośno. - Co się tutaj dzieje?

Uczona rozpoznała głos.

- Zabić ich! - krzyknęła sięgając do kieszeni.

Służący Daniela przewiesił sobie karabin na pasku pod prawym ramieniem lufą naprzód. Od momentu wyruszenia z *Księżniczki Cecile* opierał swobodnie prawą dłoń na uchwycie. Dowódca straży rozdziawił usta, gdy kula Hogga trafiła go w pierś, nim Adele dokończyła drugie słowo ostrzeżenia.

Żołnierze byli zbyt zaskoczeni, by zareagować. Starszy mężczyzna zastrzelił trzech, zanim reszta pognała w kąt, szukając osłony. Prysły odłamki cegły, a kostromański więzień zgiał się wpół z krzykiem, gdy pocisk nie zatrzymał się po trafieniu w zamierzony cel.

Marynarze mieli dobry refleks, lecz nie byli zawodowymi zabójcami. Tylko Dasi zdążyli otworzyć ogień do dwóch postaci nurkujących w niszę pompy. Spudłował, wywalając w kamiennej ścianie dziurę wielkości głowy.

Adele nie zawracała sobie głowy strzelaniną. Wartownicy nie byli godni uwagi, a przez własny oddział nie miała czystego strzału, nim prawdziwe cele znalazły sobie ukrycie.

Głos należał do Markosa. Postanowił wraz ze swoją asystentką zobaczyć więźniów, nikogo o tym nie informując.

Seria z automatu wzbijała tumany pyłu z północnej ściany i zawartości ustawionych tam mebli. Kiedy już zrozumieli, o co chodzi, takielarze usiłowali naśladować Hogga, lecz wartownicy zdążyli ukryć się bezpiecznie w bocznej komorze.

Strażnik ostrzeliwał ich z automatu. Pociski orały kolumny w drugim końcu pomieszczenia, jednak strzelec nie mógł trafić Cinnabarczyków z tych samych powodów, z których oni nie mogli dostać jego ani reszty żołnierzy: przy tym kącie rażenia stał im na drodze trzystopowy ceglany mur.

Sługa Leary'ego przyłożył karabin do ramienia i oddał mierzony strzał w siedzisko obitej czerwonym pluszem sofy. Ukrywająca się tam strażniczka podskoczyła z krzykiem, po czym upadła. Sofa połamała się pod jej ciężarem. Pocisk przebił ramę i utkwiał w piersi ofiary.

Cywilni więźniowie krzyczeli i kulili się na końcu cel. Kapitan Le Golif wskazał na Mundy i zawołał:

- Uciekajcie! Zginiecie, próbując nas teraz uwolnić!

W pewnym sensie miał rację: przy życiu pozostało co najmniej sześciu uzbrojonych wartowników. Komora, w której się ukrywali, znajdowała się zaledwie 20 stóp od drucianej zapory, więżącej oficerów *Aglai*.

Żołnierze Sojuszu byli zaszokowani i przerażeni, nadal jednak potrafili pociągnąć za spust. Mając pistolet automatyczny, mogli posiekać na kotlety każdego, kto próbowałby otworzyć celę jeńców.

Adele trzymała pistolet w lewej dłoni. Prawym łokciem przyciskała do ciała automat, żeby jej nie obijał. Przez chwilę tkwiła nieruchomo, rozglądając się jedynie.

Le Golif miał *połowiczną* rację. Ponadto bibliotekarka i takielarze nie byli w stanie uciec, chyba że obok niszy z pompą, gdzie schronili się agent z adiutantką. Bezwzględność nie musiała oznaczać biegleści, jednak Adele nie wątpiła, że blada socjopatka dałaby radę zestrzeliwać kolejne ludzkie cele w miarę ich pojawiania się.

W niszy znowu zagrzmiął automat. Seria nie była jednak wymierzona w wyjście. Pękały cegły, a kilka pocisków zadźwięczało o stalową obudowę pompy.

- Sun, Polin, Hafard! - ryknęła Woetjans. Mat również zauważyła, że nie mieli innej drogi ucieczki niż przez Markosa. Na trzy, za mną.

Palcem wskazującym lewej dłoni pokazała na łukowe wyjście, w prawej wciąż ściskając automat, którego przedłużona kolba opierała się w zgięciu łokcia. Wywołani przez nią marynarze także uzbrojeni byli w automaty zamiast w karabiny.

- Raz...

Kolejna seria w niszy. Zupełnie jakby ktoś ciskał o ścianę pudłem ze szklankami. Z wyjścia wyleciał pojedynczy odłamek metalu, ciągnąc za sobą korkociąg dymu.

- Stać! - wykrzyknęła uczone. - Stójcie, ona was pozabija!

Woetjans spojrzała na nią z mieszaniną zaskoczenia i rozczarowania na twarzy.

- Sir! - zawołała błagalnie. - Nie ma innej...

Hogg skierował karabin na ścianę niszy.

- Dasi i Koop! - zawołał. Wywołani - oraz Lamsoe, czekający na nich w wieżycze LOT-a - uzbrojeni byli w karabiny. Przecież to tylko pieprzone cegły. Na raz, dwa, trz...

Karabiny zagrzmiały nierówną salwą. Celowali kilka cali ponad podłogą. Każde trafienie wyrywało ze ściany co najmniej 30 funtów zmielonej na proszek cegły.

Adele stanęła tyłem, zanosząc się kaszlem. Krew skleiła jej prawą brew. Zasłoniła twarz ramieniem, ale wiedziała, że byłoby zbyt późno na uratowanie oka, gdyby odłamek wielkości kciuka uderzył o cal niżej.

Rozmiary miały duże znaczenie przy radzeniu sobie z potężnym odrzutem karabinów. Dasi był istnym olbrzymem, a i Koop wykraczał poza przeciętność. Służący ważył 50 funtów mniej, a jednak jego karabin wracał na pozycję po strzale ułamek sekundy wcześniej niż pozostałych.

Obracając się, Mundy zauważyła głowę i lufę automatu wartownika wychylającego się zza narożnika komory, w której się ukryli. Oddała jeden strzał, a potem drugi, trafiając go w zębra.

Podskoczył jak ukłuta żaba, gdy pierwsza kula wybiła mu dziurę tuż nad prawym okiem. Jak długo cel się poruszał, musiała zakładać, że nadal stanowił zagrożenie dla niej i jej oddziału. Za swoje dzisiejsze uczynki zapłaci w snach lub w Piekło, ale nikt nie powie, że Adele Mundy nie wywiązała się z zadania z obawy przed kosztami, jakie poniesie.

Umierający mężczyzna rzucał się w rosnącym jeziorze własnej krwi. Przez najbliższe minuty inni strażnicy raczej nie pójną za jego przykładem. Adele przypomniała sobie o wizjerze hełmu. Opuściła go na twarz i wróciła spojrzeniem do dzieła Hogga i takielarzy.

Ich karabiny grzmiały raz za razem. Rozbijające cegły kule wydawały jeszcze głośniejsze odgłosy, a echo zamieniało huk w terkot automatów. Przypuszczała, że każdy z nich zdążył wystrzelić co najmniej sześć pocisków, zanim długi odcinek muru zawalił się z hukiem do wnętrza niszy.

Pozostali marynarze opróżnili magazynki automatów w powstałą kurzawę. Na tle karabinowej palby serie z lżejszej broni brzmiały niczym brzęczenie insektów.

- Przerwać ogień! - zawołała Ellie Woetjans.

Rzuciła się naprzód z opróżnioną bronią, wzniesioną ku górze w charakterze maczugi. Z przyczyn, których pewnie nie umiałyby nawet nazwać, uczona skoczyła za nią wraz z szóstką innych marynarzy.

Hełm komandosa wyposażono w filtry nosowe, o których Adele nawet nie wiedziała; wdychane przez nią powietrze było suche, lecz pozbawione duszącego, brzoskwiniowego pyłu.

Cegły runęły do zbiornika ściekowego, grzebiąc w nim pomocnicę Markosa. Spod gruzów wystawała jej prawa ręka, nadal ściskając pistolet, a nie automat, który - jak bibliotekarka wiedziała - kobieta zwykła używać.

Rura odpływowa została roztrzaskana tuż nad obudową pompy. Na podłodze pod nią walał się pistolet automatyczny. Z wybitej pociskami dziury w ceramicznej rurze wystawała prawa stopa agenta, kopiająca bezładnie w poszukiwaniu punktu oparcia, dzięki któremu mógłby wspiąć się wyżej.

- Tam! - zawołała Adele. Wycelowała, lecz nie strzeliła, ponieważ w chmurze pyłu kręciło się zbyt wielu marynarzy.

Woetjans podążyła wzrokiem za pistoletem bibliotekarki. Podskoczyła do pompy i złapała szpiega za kostkę. Pociągnęła i Markos wyslizgnął się z rury. Pokryty był pradawnym szlamem; na jego twarzy malowała się zwierzęca furia. Żeglarka walnęła go w czoło kolbą pistoletu.

- Weźcie go jako zakładnika! - zaproponowała Mundy, wycofując się ze zrujnowanej niszy.

Uniosła wizjer, gdyż powodował wrażenie uwięzienia. Z sufitu wciąż spadały kawałki cegieł, w miarę jak grawitacja pokonywała wiązanie starej zaprawy.

- Mistrzynie, będziemy musieli przebić się na zewnątrz - zauważył Hogg, stojący obok niej. - Możliwe, że na górze nic nie usłyszeli - mam taką nadzieję - ale pewne jak jasna cholera, że nabiorą podejrzeń, kiedy ujrzą nas w takim stanie.

- Och - mruknęła Adele, rozważając problem, o którym powinna sama pomyśleć.

Ceglasta kurzawa zaczęła opadać, osadzając się głównie na skórze i mundurach Cinnabarczyków. Takielarze, którzy na początku strzelaniny rzucili się na ziemię, byli dodatkowo upačkani szlamem i algami. Jak tylko pokażą się publicznie, padną pytania, a te nieuchronnie doprowadzą do strzelaniny.

Starszy mężczyzna miał rację. Skoro i tak padną strzały, lepiej żeby to Cinnabarczycy zaczęli strzelać pierwsi.

Woetjans cisnęła Markosa na podłogę u stóp Adele; jeden z marynarzy szybko związał mu ręce paskiem zdjętym z martwego strażnika. Uczona nie usłyszała żadnego polecenia. Takielarz po prostu domyślił się, co ma zrobić, i wykonał zadanie.

Poczuła, jak twarz zaczyna jej drgać od histerycznego śmiechu. *Dlaczego na Kostromie nie ma takich asystentów bibliotecznych?* Zmusiła policzki do zastygnięcia w uśmiechu, dopóki atak nie przeszedł.

- Jeśli można już korzystać z łączności poprzez hełmy, to mogłabym ustalić dalsze działania z Barnesem i Lamsoe - oznajmiła mat. - Chyba, że chce pani?...

Ocalały wartownik oddał salwę z komory, w której schronił się z kompanami. Jeden z marynarzy odpowiedział mu ogniem. Żaden nie miał szans trafić w nic innego niż ceglane ściany.

- Uciekajcie! - powtórzył Le Golif.

Stał z lekko rozstawionymi stopami tuż za siatką. Ręce założył za plecy, zupełnie jakby przyjmował paradę. Adele poczuła przyływ dumy z Cinnabaru, pomimo chłodnej świadomości, że ludzie, którzy poderżnęli gardło jej siostrzyczce, mogli być osobiście równie odważni.

Jeszcze tydzień temu nie *widziała* Latającego Opancerzonego Transportera. Jedną z wielu rzeczy, o jakich nie wiedziała, był czas i natężenie ognia z ciężkiej broni.

- Nie, masz lepsze rozeznanie w sytuacji - odrzekła.

Woetjans zerknęła na Markosa.

- I chce pani go zabrać? - upewniła się obojętnym głosem.

- Tak - potwierdziła bibliotekarka. - Chcę.

Jako zakładnik Markos był bezużyteczny: próba negocjowania odlotu z Kostromy tylko zaalarmowałyby Sojusz o ich obecności na planecie. Oddział powinien uciec jak najszybciej; jeśli dadzą Sojuszowi czas, każdy przebywający na Kostromie Cinnabarczyk zginie albo zostanie schwytany.

Adele nazwała tego człowieka zakładnikiem, ponieważ jedyną alternatywę stanowiło zastrzelenie go z zimną krwią. A ona naprawdę nie zamierzała więcej uczestniczyć w egzekucjach.

Choć sama pociągnęłaby za spust, gdyby miało to zapobiec wyrwaniu się na wolność bestii, jaką był Markos.

* * *

- Wiadomość otrzymana - powiedział Daniel do mikrofonu wbudowanego w konsolę centrum kontroli taktycznej *Aglai*. *Księżniczką Cecile* dowodził Domenico. Wbrew poleceniom porucznika złamał ciszę radiową i przekazał im ostrzeżenie otrzymane od oddziału z Pałacu Elektora. - Ruszamy. Leary, koniec przekazu.

Baylor zerknął z troską na Daniela. Zbrojmistrz właśnie zameldował mu, że skończyli z

instalacjami na sterburcie - Wyrzutnie Pocisków Jeden i Trzy - zaś urządzenia na bakburcie doznały uszkodzeń podczas ataku na *Aglaię*. Naprawa zajęłaby godzinę, a tyle czasu nie mieli, nawet zanim usłyszeli wieści od grupy ratunkowej z pałacu.

Daniel Leary włączył komunikator ogólny.

- Cała załoga do głównego włazu i rozpocząć załadunek - zarządził spokojnie. - Mostek, koniec przekazu.

Miał nadzieję przeprowadzić przeładunek z *Aglai* na *Księżniczkę Cecile* w dwóch fazach, lecz wóz mógł przewieźć 19 Cinnabarczyków tylko wówczas, gdy Gambier leciał nisko i wykorzystywał efekt powierzchniowy. Problem łatwy do rozwiązania. Gdyby Daniel uznał, że pomogłoby to oddziałowi pałacowemu, przepłynąłby Jezioro Floty, ciągnąc kanonierów na tratwie.

Zbrojmistrz Baylor nie opuścił COT. Porucznik poczuł przyływ gniewu - czy ten człowiek wyobrażał sobie, że rozkazy nie dotyczą jego osoby? - zaraz jednak go stłumił. Baylor nie musiał pokazywać swoim ludziom drogi do wyjścia. Daniel był drażliwy, ponieważ czuł się odpowiedzialny za wyrażenie zgody na podjęcie przez oddział pałacowy zbędnego ryzyka.

Dotknął przycisk otwierający Ładownię Drugą, po czym uruchomił komunikator ogólny z samą fonią. Obraz wymagał szerszego pasma, niż mogło być dostępne w trakcie walki. Wyszkolony personel floty powinien sam dopilnować własnych zadań.

- Możecie odejść - oznajmił strażnikom z Sojuszu. Zerwali się na równe nogi, gdy tylko ujrzeli światło wpadające do ładowni przez otwierający się właz. - Zostawiliśmy dla was tratwę, przywiązaną do pływaka. Doradzam jak najszybsze skorzystanie z niej i oddalenie się od *Aglai*. Mostek, koniec przekazu.

Wstał ze swojego miejsca i ruszył do drzwi. Zbrojmistrz poszedł za nim, marszcząc brwi. Ten grymas dość często gościł na obliczu drobnego człowieczka.

- Mogliśmy zostawić ich tam, gdzie byli - oświadczył, przekrzykując łomot butów na metalowych schodkach. - Choć nie wydaje mi się, żeby banda naziemnych czarnuchów zdążyła przeprogramować komputer celowniczy w czasie, jaki im pozostał.

- Mnie również - zgodził się Leary, czując ponowny przyływ irytacji.

Jak powiedział Baylor, wartownicy z Sojuszu rekrutowali się z sił naziemnych, nie z marynarki. Nawet gdyby wiedzieli, gdzie znajduje się COT, szansa na zresetowanie zaprogramowanej sekwencji była mniejsza niż na to, że dolecieliby przed nimi na *Księżniczkę Cecile*, energicznie machając rękami.

Poza tym pozostawienie więźniów zamkniętych wewnątrz *Aglai* oznaczałoby skazanie ich na śmierć przez spalenie lub uduszenie. Daniel żadnego z nich nie darzył tak silną nienawiścią. Miał nadzieję, że *nigdy* nie znienawidzi nikogo do takiego stopnia.

Dotarł do Pokładu C i pognał korytarzem w stronę luku. Główny Zbrojmistrz pędził u jego boku.

- Wygląda na to, że Woetjans naprawdę wpadła w kłopoty rzucił Baylor.

Był zdenerwowany. Wolał też przenieść strach na coś innego, niż przyznać, że tak naprawdę martwił się nieuniknioną zagładą *Aglai* i swych ukochanych pocisków.

Przy włazie czekał marynarz z automatem. Kiedy dobiegli do niego oficerowie, zawołał przez ramię:

- Są! - wykrzyczał to do aerowozu dygoczącego w dynamicznej równowadze przy betonowym pływaku.

- To zawodowcy - mruknął porucznik do zbrojmistrza.

Po raz ostatni przekroczył luk *Aglai*, wychodząc prosto na ciepłe, słone powietrze i niebo tuż przed świtem. Przeszedł kładkę i zatrzymał się, każąc gestem Baylorowi i marynarzowi wsiąść przed

nim do pojazdu.

Byli zawodowcami. Zarówno załoga *Aglai*, jak i Adele z Hoggiem. Niezależnie od okoliczności zrobią wszystko, co się da.

I na Boga! Tak samo postąpi oddział pod dowództwem Daniela Leary'ego.

* * *

- Pamiętajcie - upomniała podwładnych Woetjans. - Strzelajcie do wszystkiego, do czego tylko chcecie, ale *nie* strzelajcie do pieprzonego LOT-a, dobrze? I ruszajcie się, ale zawsze pomagajcie towarzyszym. Nie zostawiamy nikogo, nawet jeśli miałby odstrzeloną głowę. Gotowi?

Powszechny pomruk aprobaty zabrzmiał w uszach Adele Mundy niczym odgłosy w porze karmienia w zagrodzie z niedźwiedziami. Uśmiechnęła się blado. Już niedługo wszyscy w okolicy woleliby, żeby to sfora niedźwiedzi wybiegła z lochów Pałacu Elektora.

Mat uruchomiła hełm.

- Ruszaj, Barnes - poleciała.

Dwa kliknięcia w hełmie Adele oznaczały pozbawione słów potwierdzenie. LOT wkraczał do akcji dwa piętra nad gotowym na wszystko oddziałem.

- Pamiętajcie - dodała cierpko Woetjans, niczym dorosły usiłujący zapanować nad niesfornymi dziećmi - to *ja* strzelam pierwsza.

Skinęła głową Dasiemu i Koopowi; rośli marynarze naparli z całej siły na przesuwne wrota, chcąc otworzyć je na tyle szeroko, by cała grupa wyszła razem, zamiast przeciskać się pojedynczo przez drzwiczki.

Chrzęst odsuwanych skrzydeł przyciągnął uwagę całego oddziału, stacjonującego na półpiętrze 20 stóp ponad nimi. Żołnierze Sojuszu patrzyli ze zdumieniem na drużynę komandosów biegnącą do nich szerokimi schodami.

Mat Woetjans zajęła miejsce z lewej strony; dzierząca pistolet bibliotekarka biegła pomiędzy nią a Hoggiem, zbrojnym w automat i karabin przewieszony przez plecy. Pierwszy rząd uzupełniali trzej marynarze; Dasi i Koop kłusowali za nimi wraz z parą takielarzy prowadzących za łokcie Markosa.

- Na Buddę! - wykrzyknął jeden z żołnierzy Sojuszu. Pokazał na półprzytomnego agenta. - Mają...

Twarze - złe, zaskoczone; jeszcze nie przerażone - nie mieli czasu. Oświetlone z góry przez przymocowane do muru lampy. Dziesięciu żołnierzy, może tuzin.

Możliwe, że to Woetjans pierwsza nacisnęła spust, lecz Adele wątpiła, by zdążyło minąć choćby jedno uderzenie serca, nim zaterkotało pozostałych pięć automatów. Jedyne Hogg nie opróżnił trzystupociskowego magazynku. Oddział strażników rozpląnął się jak śnieg w potoku.

Mundy wbiegła po schodach. W blasku reflektorów pulsowała mgła kurzu i krwi. Nie miała pojęcia, dlaczego krzyczy. Poślizgnęła się i *wiedziała* na czym, ale nie spojrzała w dół, by się upewnić.

W głowie rozbrzmiewały jej echa strzałów i krzyków. Na podeście leżał żołnierz, waląc w cegły jedyną pozostałą mu dłonią. Służący Daniela dobił go, mijając; czysta strata amunicji, jednak ponieważ był to Hogg, wystarczyły trzy lub cztery pociski.

Oficer Sojuszu wychylił się zza rzeźbionego kamienia, starając się dojrzeć coś w powodzi światła. Adele strzeliła do niego. Szpiczasty kapelusz pofrunął w mrok, a głowa została odrzucona w tył - z krwawą miazgą w miejscu czoła.

Uczona wbiegała po krętych schodach, sapiąc i łapczywie wdychając przesycone ceglanym pyłem powietrze. Żałowała, iż suchy zapach nie maskował smrodu ciał przenicowanych przez

superszybkie pociski. Wyciągnęła rękę, macając w poszukiwaniu umykającej do tyłu ściany. Jej powierzchnia była lepka i poznaczona dziurami.

Zawyły turbiny potężnego silnika. Nad głowami przeleciał im plazmowy piorun, przyćmiewając blask reflektorów i rozniecając zjonizowane ognisko w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowało się strzegące wejścia gniazdo z działem Sojuszu.

Barnes i Lamsoe robili swoje jak pozostali. Teraz nie liczyło się nic innego.

Adele potknęła się. Podtrzymał ją marynarz. Znaleźli się na szczycie schodów. LOT obrócił się przed nimi wokół własnej osi, miażdżąc cywilne pojazdy. Prawa burta była uniesiona, lecz lewa stała otworem, żeby oddział mógł wskoczyć do środka.

Bibliotekarka zatrzymała się. Wystrzeliła, mierząc w rozmazane, białe plamy, będące czyimiś twarzami. Plazma rozświetliła niebo. Tym razem pióropusz ognia pochłoniął tył wozu bojowego zaparkowanego u wjazdu do ogrodów. Pomarańczowe płomienie pożarły plandekę.

Każda plama, każda twarz, każda kryjąca się za nimi dusza, o ile ludzie mają dusze.

Woetjans złapała Adele w pasie i wskoczyła do przedziału osobowego transportera. LOT wystartował na pełnym ciągu.

Mundy przekręciła się na twardej podłodze. Silne ręce pochwyliły ją, chroniąc przed wypadnięciem. Wsunęła świeży magazynek do rozjarzonego pistoletu, a ofiary rozwrzeszczały się w jej głowie głośniejsz od turbin.

* * *

Leary wiercił się za konsolą dowodzenia *Księżniczki Cecile*, próbując dostosować regulowany fotel do własnych potrzeb. Dźwignie rozmieszczono odwrotnie niż w analogicznym sprzęcie z Cinnabaru; wciąż powiększał wypukłość oparcia, zamiast ją zmniejszać i odwrotnie.

Systemy okrętu były uruchomione: światelka migotały bursztynem i zielenią, jedynie kontrolki otwartego wjazdu głównego i gotowego do użycia uzbrojenia przestrzegały czerwienią. *Księżniczka Cecile* miała pełną obsadę, złożoną z najbardziej doświadczonych marynarzy FRC. Wśród nich znajdował się tylko jeden oficer, ale w przypadku tak małych okrętów jak korweta, nie było w tym nic nadzwyczajnego.

Co prawda, ten osamotniony oficer nie powinien być młodszym porucznikiem w trakcie swego pierwszego rejsu, lecz w głębi serca Daniel bynajmniej nie uważał tego za problem.

Porucznik Daniel Leary, oficer dowodzący ORC *Księżniczka Cecile*. To pozostanie faktem, nawet jeśli za kilka minut umrze albo FRC zdymisjonuje go po dotarciu na Cinnabar.

Prawdę mówiąc, pożegnanie się z życiem w ciągu najbliższych dziesięciu minut było dość prawdopodobne, ponieważ na orbicie nad Kostromą tkwił *Bremse*, krążownik/stawiacz min Sojuszu.

Główny wyświetlacz Daniela stanowiła tablica pozycyjna ukazująca obszar nad planetą do wysokości 100 000 mil: bliska przestrzeń w kategoriach międzygwiazdnych, jeśli jednak *Księżniczka Cecile* zdoła przelecieć ją w jednym kawałku, to zyska wielką szansę na dotarcie do domu. System obrony automatycznej Federacji Kostromy wcale nie był wyłącznie obiektem żartów, teraz zaś Sojusz rozpoczął modernizację, by dostosować jego poziom do układu czuwającego nad Pleasaunce.

Krążowniki/stawiacze min Sojuszu budowano, wykorzystując kadłuby lekkich krążowników, których ładownie przystosowywano do przewozu pocisków lub min termonuklearnych, jakie *Bremse* właśnie rozstawiał nad Kostromą. Okręty były szybkie, ponieważ ich miny mogły równie dobrze uniemożliwić dostęp do nieprzyjacielskiej planety, jak i bronić sojuszniczego globu, a nawet jeśli *Bremse* wiozł pełny ładunek min, to zdaniem oficera FRC i tak z łatwością prześcignąłby

kostromańską korwetę.

Księżniczce Cecile pozostawała przebiegłość lub nadzwyczajne szczęście. Albo katastrofa, rzecz jasna, bezwzględnie pozostająca najbardziej prawdopodobną opcją.

- Oddział Mundy rozpoczął wyjście - zameldował Domenico znad konsoli po prawej stronie porucznika.

Zazwyczaj miejsce to zajmował nawigator, lecz Leary umieścił tam na razie bosmana, gdyż potrzebował godnego zaufania łącznościowca. Za nawigację i walkę odpowiadał sam Daniel, dopóki nie przekaze *Księżniczki Cecile* komuś o wyższych kwalifikacjach. Przełączył główny wyświetlacz na tryb bojowy, pokazujący także dane z czujników *Aglai*. Tablica pozycyjna skurczyła się do holograficznego sześcianu o boku 50 milimetrów, jednego z szeregu podobnych projekcji na górnej krawędzi wyświetlacza.

- Zrozumiałem - potwierdził Leary. Starał się nie dopuszczać do głosu radosnego podniecenia. Nie chciał, żeby załoga uznała go za szaleńca... - Zawiadomić okręt.

Domenico przekazał meldunek przez komunikator ogólny chrapliwym, pozbawionym emocji głosem, zupełnie jakby zamawiał drinka. To byli dobrzy ludzie, którzy zależeli teraz od Daniela Leary'ego.

- Jasna cholera! - zawołał Dorfman. Był pomocnikiem strzelca na *Aglai* - na statku komunikacyjnym nie zatrudniano raczej wykwalifikowanych kanonierów - i zasiadał za trzecią konsolą, odpowiedzialną za systemy obronne korwety. - Wszystkie baterie pałacowe właśnie otworzyły ogień!

- Zgadza się - przytaknął Daniel, przesyłając przygotowane uprzednio polecenia na *Aglaię*. - Mamy szczęście, że dysponujemy łącznościowcem o umiejętnościach pani Mundy. Mówiła mi, że wprowadzi w błąd systemy automatycznej obrony, by stworzyć dywersję w trakcie opuszczania przez nich rejonu akcji. - Z całej siły nacisnął kciukiem czerwony przycisk „Wykonać”. - A teraz - dodał z satysfakcją - dorzucimy do tego własną dywersję.

* * *

50 stóp pod LOT-em trzy kwartały zabudowań centrum miasta przecięła falująca linia walących się budynków. Buchnęły kłęby bladego pyłu. Tu i ówdzie superszybkie rakiety skrzesły gejzery iskier w miejscach, gdzie trafiły w coś twardszego od cegieł, niemniej rozszerzające się powoli pożary nie robiły nadmiernego wrażenia.

Adele przyglądała się temu z pełną przerażenia fascynacją. Nie miała pojęcia, że rakiety dolecą tak daleko. Jej zamiarem było jedynie pogłębienie zamieszania poprzez zniszczenie pojazdów zaparkowanych w pałacowych ogrodach.

- To bardzo ważne, że ocalałaś mi życie - odezwał się Markos. - Twoi przełożeni ukarzą cię surowo, jeżeli cokolwiek stanie się z informacjami o działaniach wywiadu mojej ojczyzny, które im zawożę.

Bibliotekarka odwróciła się w jego stronę. Marynarze wpatrywali się z niedowierzaniem w związanego zakładnika, siedzącego prosto na środku przedziału.

- Ta kobieta jest szpiegiem - oznajmił mężczyzna, ze złośliwą miną kiwając głową w kierunku Adele. - Naprawdę nazywa się Adele Mundy. Została zwerbowana na Bryce.

- Dlaczego kłamiesz, *łajdaku!* - zapytała Woetjans. Zdzieliła Markosa pięścią w twarz. Upadł na Dasiego. Ten wyprostował go ciosem łokcia.

- Nie kłamię - upierał się Markos; z rozbitej wargi kapłała krew. - Dowód na to znajduje się w

konsole danych u mego pasa. Wygląda jak komunikator. Przekażę waszym przełożonym hasło dostępu do znajdujących się tam informacji, kiedy tylko zagwarantują mi bezpieczeństwo. - Powrócił spojrzeniem do kobiety. - Jest szpiegiem - powtórzył. - To ona dostarczyła nam informacje umożliwiające tak łatwe zdobycie pałacu i waszego okrętu.

Uczona pozostała obojętna. Zupełnie jakby wysłuchiwała historii z rzeczywistości alternatywnej, gdzie wydarzenia przebiegały nieco inaczej niż te, w których brała udział.

Lecz tylko nieco inaczej: ich rzeczywisty przebieg wystarczył, żeby ją powiesić. Przypomniała się jej Konspiracja Trzech Kręgów i cinnabarscy zdrajcy, sami zdradzeni przez mocodawcę z Sojuszu.

Adele Mundy nie należała do tego świata - ani do żadnego, jak przypuszczała. Przez krótki czas myślała, że jest inaczej, ale myliła się.

Uśmiechnęła się. Któryś z marynarzy zaklął.

- To kłamstwo, prawda, sir? - zapytał Dasi błagalnym tonem. - On wygaduje bzdury!

LOT unosił się nad wodą. Na północy za ich plecami płonęła Kostroma. Strzelano nie wiadomo do czego.

Adele nie przestawała się uśmiechać. Nie istniało dobre rozwiązanie. Mogłaby skłamać, lecz marynarze nigdy nie zapomną słów Markosa. Była całkiem pewna, że znalazłyby się dowody, które mogły ją pogrozić. Agent na pewno tak wszystko zaaranżował, żeby móc zagrozić ich ujawnieniem, gdyby nie zgodziła się na jego kolejne żądania.

Tak, jak kompromitował ją teraz, by za jednym zamachem ocalić siebie i ukarać ją.

Żeglarze wpatrywali się w Adele z bolesnym przerażeniem. Widzieli, jak strzelała. Ale nie potrafiła pilotować Latającego Opancerzonego Transportera ani zabić takielarzy, którzy przedtem ryzykowali życiem dla niej i razem z nią. Jedynej rodziny, jaką знаła od czasów banicji, a w pewnym sensie jedynej, jaką kiedykolwiek znała.

- Zajmę się tym - przemówił Hogg. Uniósł połę marynarki Markosa i odpiął mu komunikator od paska.

- Uważaj - przestrzegł go szpieg. - Jeżeli spróbujesz uzyskać dostęp do danych bez hasła, zniszczysz urządzenie. Wszystko wyjawię odpowiednim władzom.

Uśmiechnął się do bibliotekarki z żądnym krwi triumfem. Wargi i lewy policzek opuchły mu od ciosu Woetjans.

Starszy mężczyzna zważył w dłoni fałszywy komunikator.

- Wiesz co - rzucił swobodnym tonem, jakby ucinając sobie towarzyską pogawędkę - mój pan nie uwierzyłby nawet w jedno twoje słowo. To uczciwy człowiek, ten mój pan Daniel, który uważa, że cały świat jest taki sam jak on. Lecz na Cinnabarze znalazłoby się mnóstwo ludzi, którzy *mogliby* w to uwierzyć. - Uśmiechnął się do Adele. - Prawda, mistrzyni?

- Zgadza się - przytaknęła zapytana.

Hogg strzelił Markosowi w skroń. Głowa szpiega szarpnęła się w bok, tracąc kształt, w miarę jak wstrząs hydrostatyczny gwałtownie rozsadzał tkankę mózgową.

Służący energicznie wyprostował prawą nogę, wypychając trupa przez otwartą burtę LOT-a. Za spadającym ciałem wyrzucił komunikator. Oddał serię z automatu w koziołkujący pod pojazdem przedmiocik.

- Pudło - mruknął. - Kiedy miałem lepsze oczy, rozwalilibym to w drobiazgi, a teraz musimy zaufać słonej wodzie, że dokończy dzieła.

Rozejrzał się po przedziale. Wszyscy wpatrywali się w niego.

- Co, do cholery, tam się dzieje? - zapytał z kabiny Barnes.

- Sprawa ma się następująco - zwrócił się Hogg do marynarzy. - Mój pan kazał mi opiekować się panią Mundy. - Skinął głową w stronę Adele. W prawej dłoni nadal ścisnął automat, mierząc przez otwartą burzę w bezgwiazdne, nocne niebo. - Oddając ją w łapy tego faceta i jemu podobnych - a wszyscy są tacy sami, niezależnie od koloru munduru - ciągnął dalej - nie wywiązałem się ze swojego zadania. Poza tym nie można *im* wierzyć, nawet jeśli przypadkiem powiedzą prawdę.

- Cholerna racja - zawtórowała mu Woetjans. Po czym zwróciła się z szacunkiem do mistrzyni - ma pani paskudne oparzenia. Lepiej będzie zająć się nimi przy najbliższej okazji.

Adele zerknęła na pulsujące bólem oparzenia kciuka, fałdu i palca wskazującego lewej dłoni, w której ścisnęła pistolet. Wyciągnęła ją do Woetjans.

- Tak - przyznała. - Może lepiej zrobić to od razu. Mamy kilka minut, zanim dotrzemy do porucznika Leary'ego i naszego nowego okrętu.

* * *

- LOT zbliża się z wielką prędkością! - zawołał Domenico. Konsola bosmana pokazywała obszar, którego środkiem było Jezioro Floty, w wystarczająco małej skali, by zmieściła się również leżąca na północy Kostroma.

- Panie Domenico, proszę skierować załogę na stanowiska - rozkazał Daniel, nie rozglądając się naokoło. - Pani Mundy przejmie panel łączności, pan zaś obejmie dowodzenie nad ekipami remontowymi, dopóki nie wydostaniemy się cało z systemu.

- W centrum wyświetlacza porucznika znajdował się wygenerowany komputerowo model *Aglai*; na resztę obrazu składały się dane zbierane przez czujniki *Aglai* i przesyłane na *Księżniczkę Cecile*.

Aglai wystrzeliła pociski w kierunku Pływającej Przystani.

Pierwszy wzniósł się pod ostrym kątem, opuszczając kipiela z pary i plazmy. Przystań zakołysała się, jakby została zbombardowana. Pobliskie betonowe płytki podskoczyły gwałtownie, zrywając cumy i zgrzytając o siebie niczym tępe, betonowe zębiska.

Drugi pocisk wystartował mniej okazałe, ponieważ jego poprzednik uczynił w morzu przy burcie *Aglai* potężne zagłębienie, którego ciśnienie wody nie zdążyło zapełnić. Za pociskiem ciągnął się korkociąg ognia oślepiającego niczym słoneczna korona - to anihilowały materia i antymateria.

Przeznaczone do zwalczania statków pociski zaprojektowano celem używania na kosmiczne odległości. Nawet z przyspieszeniem 12 G pierwszy pocisk leciał z prędkością zaledwie 800 stóp na sekundę. Kierował się ku niszczycielowi Sojuzu zacumowanemu tuż dalej w Pływającej Przystani. Kula wystrzelona z muszkietu skałkowego pędziła szybciej.

Lecz pocisk ważył 30 ton.

Trafił w górne przewężenie kadłuba okrętu; trzecie, licząc od dziobu. Grube płyty pękły. Okręt okręcił się o 90 stopni wokół własnej osi, po czym wrócił do poprzedniej pozycji, otwartymi włazami czerpiąc wodę. Jednostkę spowity para i dym z wywołanych zvarciami pożarów.

Pocisk zrykoszetował i pomknął pionowo w górę. Gnając ku orbicie pęczniał, gdyż w miarę wznoszenia się silnik pochłaniał coraz więcej budulca kadłuba. Tęczowa bańka oznaczyła miejsce ostatecznej dezintegracji.

Drugi pocisk przeznaczony był dla innego niszczyciela, jednak przy tak niewielkich odległościach system naprowadzania okazał się niezbyt dokładny; mógł też zostać uszkodzony przejściem poprzednika. Uderzył w powierzchnię zatoki tuż przed celem i odbił się od niej w gigantycznym rozbryzgu wody. Ominął niszczyciela o włos.

Pocisk zaczął koziołkować. Trzy keje dalej zderzył się z olbrzymim transportowcem, który

przybył tutaj z batalionem żołnierzy Sojuszu. Na ułamek sekundy oba obiekty szczepiły się ze sobą, niczym kłoda i gigantyczna piła tarczowa, po czym antimateria któregoś z nich zamieniła pobliską okolicę - dziesiątki tysięcy ton metalu, morskiej wody i ciał - w kulę światła.

Daniel podzielił wyświetlacz na tablicę pozycyjną i ekran bojowy. Ekran celowniczy skurczył się do sześcianiku jaskrawego blasku w rogu. Na środku obrazu tonęła *Aglaia*, uszkodzona przez własne pociski.

Bremse orbitował 29 000 mil nad powierzchnią Kostromy. W tej chwili znajdował się dokładnie nad miastem; na tablicy pozycyjnej widać było, jak od błękitnej ikony, symbolizującej krążownik Sojuszu, oderwał się punkcik, według danych z paska zadań na krawędzi wyświetlacza oznaczający kolejną, sto trzydziestą pierwszą minę.

Leary przełączył się na częstotliwość alarmową i wykrzyknął:

- Okręt Federacji *Księżniczka Cecile* do wszystkich jednostek, alarm, alarm! W Pływającej Przystani wybuchają statki. Nie lądować w Pływającej Przystani! Wszystkie jednostki na planecie: natychmiast startować celem uniknięcia eksplozji!

Aglaia zdołała odpalić drugą parę pocisków. Gdyby okręty miały dusze...

Lecz ludzie mieli, a wszyscy, którzy polegali na Danielu Learym, umrą, jeżeli nie skupi się na kolejnym kroku na ich drodze ku bezpieczeństwu. Otworzył usta, by wyrzucić z siebie kolejną porcję udawanej paniki, mającej usprawiedliwić start *Księżniczki Cecile*. Nim zdążył się odezwać, w głośniku zabrzmiało pytanie zadane z gardłowym akcentem:

- OFS *Bremse* do *Księżniczki Cecile*. Co się dzieje tam, na dole? Over.

- Niebezpieczeństwo! - zawołał porucznik. Zauważył jakieś poruszenie przy prawej konsoli. - Statki eksplodują, *Bremse*! Musimy wystartować, żeby się uratować. Wszystkie statki na planecie muszą to uczynić!

- *Bremse* do *Księżniczki* - odpowiedział szorstki głos. - Zakaz startu, *Księżniczko Cecile*. Zostańcie tam, gdzie jesteście, i prześlijcie obraz tego, co się u was dzieje, kanałem dwunastym, bez szyfrowania. Over.

- Niebezpie... - zaczął ponownie.

Zielony wskaźnik na wyświetlaczu przeciął ukośny bursztynowy pasek, informując, że użytkownik został odcięty od kanału łączności. Zaskoczony, odwrócił głowę.

Za konsolą po prawej siedziała Adele. Jej mundur poplamiony był krwią, ceglany pyłem i substancjami, których nawet nie odważył się identyfikować.

Wydawało się, że zasiadał za główną jednostką, nad którą nikt inny nie miał kontroli. Prawda była inna, przynajmniej gdy w tym samym systemie działała Adele.

- *Księżniczka Cecile* do *Bremse* - przemówiła bibliotekarka doskonale spokojnym głosem. Każdy, kto miał wcześniej do czynienia z ludźmi reagującymi na kryzys, uznałby, że była w szoku. - Przekazujemy dane i startujemy. Powtarzam.. Obandażowaną, lewą ręką wskazała na Daniela. Skinął głową; uruchomił już sekwencję startową. Domenico uszczelnił *Księżniczkę Cecile*, jak tylko na pokładzie pojawił się oddział pałacowy, więc pozostawało im jedynie podnieść ciśnienie paliwa w silnikach plazmowych i odblokować pływaki, by można je było schować, kiedy tylko okręt poderwie się z wody. - Odlatujemy ze względów bezpieczeństwa. *Księżniczka Cecile*, koniec przekazu.

Pod nimi zagrzmiały silniki. *Księżniczka Cecile* zachwiała się na bąblu pary i plazmy i zaczęła się unosić. Była krótsza od *Aglai*, przez co mocniej nią kołysało, zanim odzyskała równowagę, lecz i tak znacznie stabilniejsza, niż Leary oczekiwał.

Uśmiechnął się do uczonej i umościł wygodniej we własnym fotelu. Palce przebiegły po klawiaturze konsoli, gdy wyznaczał następny etap na ekranie celowniczym korwety.

Jeden krok na raz, dopóki nie wrócą do domu lub nie spadną z urwiska.

* * *

Adele kaszlała, zginając się wpół na siedzisku, by wypluć pomarańczową flegmę. Jej pierwszą myślą było, że dostała krwotoku płuc, lecz kolor pochodził od ceglanego kurzu, który wdychała podczas ucieczki z pałacu. Drażnił ją, podobnie jak wytwarzany przez broń elektromotoryczną ozon, nie sądziła jednak, żeby mogło ją to zabić.

Wytarła plwocinę z rękawa i wróciła do pracy. Tkanina i tak nie mogła już bardziej się przybrudzić.

Gwiazdoloty nie przejmowały się przyspieszeniami. *Księżniczka Cecile* wystartowała z mniej niż 2 G, co czyniło ciało ciężarem, lecz nic więcej. Marynarze kręcili się po pokładzie, choć nieco wolniej niż po jej bibliotece. Jeśli chodziło o nią, to zauważyła z zimnym szyderstwem, że wiele jej tłustszych rówieśniczek dźwigało codziennie takie samo obciążenie.

Zamiast użyć komunikacji pokładowej, Daniel odwrócił głowę i zapytał:

- Adele? Znajdujący się nad nami *Bremse* ustawia pole obronne. Czy możesz znaleźć węzeł dowodzenia, który moglibyśmy zniszczyć?

Kobieta odłożyła różdżki.

- Układ nie został jeszcze uaktywniony, ale zmieniam nasze kody identyfikacyjne na sygnał *Goetza von Berlichingena*. Dzięki temu będziemy bezpieczni nawet wtedy, gdyby go uruchomili.

- Zgoda, ale czy widzisz gdzieś węzeł dowodzenia? - upierał się porucznik. - Możemy zniszczyć go z działa lub pociskiem, jeśli tylko go zlokalizujesz.

Usłyszała w jego głosie wrodzoną wszystkim mężczyznom irytację, gdy próbowali uzyskać informacje od kobiety zbyt tępej, by zrozumiała najprostsze pytanie. Nie odpowiedziała: „Owszem, skoro jesteś wystarczająco głupi, by w ten sposób popełnić samobójstwo, to mogę ci w tym pomóc”. Zamiast tego rzekła:

- Gdyby węzeł dowodzenia został zniszczony, to każdy element układu obronnego zaatakowałby każdy okręt w zasięgu, z wyjątkiem *Bremse*. Węzeł dowodzenia jest... - Poruszyła różdżką, nie odrywając oczu od Daniela. Obiekt na wyświetlaczu porucznika zmienił się z ikony z numerem w pulsującą kulę czerwieni. - Tutaj.

- Ach - mruknął. Jego oblicze bladło, w miarę jak przyswajał sobie wszystko, co usłyszał... *wszystko*, w tym to, że zachował się jak głupiec. - Adele... pani Mundy. Martwię się nie tyle naszym własnym bezpieczeństwem, ile bezpieczeństwem sił Cinnabaru, które będą odbijać Kostromę. - Zrobił zawziętą minę znacznie starszego człowieka. - Co z pewnością nastąpi. - Przełknął ślinę, uspokajając się. - Jest jakiś sposób, żeby unieruchomić system przed opuszczeniem tego układu planetarnego? Nawet, gdyby pociągało to za sobą pewne ryzyko dla nas. Choć nie samobójstwo, przynajmniej nie na razie.

Podświadomość Adele odpowiedziała na ujmujący uśmiech Daniela falą przyjemności. Często rzucała ludziom w twarz, że byli głupcami. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek wcześniej spotkała osobę zdolną do przeanalizowania usłyszonej krytyki i zaakceptowania jej, ponieważ okazała się słuszna. A już na pewno nie uczynił tego żaden mężczyzna.

- Gdybyś zdołał przenieść mnie na pokład węzła - powiedziała - mogłabym go unieszkodliwić. Dysponując odpowiednią ilością czasu, mogłabym nawet sprawić, żeby zmienił stronę.

- *Bremse* do okrętu Kostromy *Księżniczka Cecile* - zaburczało w głośniku. - Wejdźcie na orbitę na trzydziestu tysiącach kilometrów. Nie opuszczajcie przyznanej wam wysokości, gdyż wtedy was

zniszczy. Over.

Łączność na *Bremse* obsługiwał inny oficer. Ten był kobietą, mówiącą z akcentem wyższych warstw Pleasaunce. Kiedy w Kostromie wybuchł chaos, wezwano na stanowiska wyższy rangą personel.

Leary kiwał głową, rozważając sytuację.

- Powiedz im, że przyjmujemy to do wiadomości, ale mamy kłopoty z układem hamującym - postanowił. Poruszył palcem na konsoli. Cztery kwadranty głównego wyświetlacza podzieliły się na oddzielne ekrany, na które spozierał kątem oka. - Prawdę mówiąc, wygląda na to, że jedynie układ paliwowy działa zgodnie z normami. Trzy dysze plazmowe powinny być wymienione dobrych kilka przeglądów technicznych temu.

- *Księżniczka Cecile* do *Bremse* - przemówiła mistrzyni. Przyjmujemy wasze rozkazy. Wejdziemy na orbitę na 30 000 kilometrów, jak tylko naprawimy układ hamujący. *Księżniczka Cecile*, koniec przekazu.

Bremse rozstawiał powłokę obronną na 44 000 kilometrów ponad powierzchnią Kostromy, na geostacjonarnej. Mundy nie wątpiła, że krążownik miał wielką ochotę zniszczyć niesubordynowaną kostromańską jednostkę, lecz działo się mnóstwo innych rzeczy, które oficerowie Sojuszu mogli uznać za znacznie ważniejsze.

Zniszczenie statku to skomplikowana sprawa. Zupełnie inna od naciśnięcia spustu i patrzenia, jak puchnie twarz, oczy wyskakują z orbit, a z nozdrzy tryskają pierwsze gejzery krwi...

- *Bremse* do *Księżniczki Cecile!* - odezwał się komunikator. Lepiej jak najszybciej znajdźcie się tam, gdzie wam każemy, wy durne czarnuchy, albo będziecie mieli mnóstwo szczęścia, jeśli któryś z was w ogóle wróci do domu. *Bremse*, koniec przekazu.

Daniel zrobił minę, której Adele nie chciałaby ujrzeć, gdyby miała być skierowana do niej.

- Czy węzeł jest wystarczająco duży, by tam wejść? - zapytał. Spoczywająca na klawiaturze lewa dłoń wprowadzała poprawki na ekran celowniczy.

- Wystarczająco duży dla 12 techników na raz - odparła. - Sprawdziłam rysunki wykonawcze. Będzie na nim ekipa informatyków, przynajmniej dopóki nie zostanie ustawiony cały system. Mogę polecić tam łodzią, korzystając z kodów promów dla załogi.

- Ilu chcesz ludzi? - spytał porucznik. - Nie mamy kombinezonów bojowych.

Bibliotekarka prychnęła.

- Będzie tam trzech-czterech programistów Sojuszu - orzekła. - Daj mi kogoś do pilotowania łodzi i jednego-dwóch marynarzy, żeby usunąć ich z drogi.

Daniel skinął głową. Palec nacisnął włącznik łączności ogólnej.

- Woetjans, Barnes, Dasi i Lamsoe na mostek - rzucił, a jego głos rozbrzmiewał w każdym pomieszczeniu na okręcie.

Adele zauważyła zniekształcenia. *Księżniczka Cecile*, choć na oko czysta i świetnie utrzymana, nie miała tak dobrze porozmieszczanych systemów, jak mogłaby, gdyby obecna załoga - w tym aktualny oficer łączności - pracowali dłużej na jej pokładzie.

- *A Bremse*? - zaniepokoił się Leary. - Możesz...?

- Wątpię - odrzekła. - Jako zabezpieczenie zastosowali wspólny chip dla okrętu i każdej miny w układzie. Nieskończona ilość kombinacji - nie złamię takiego kodu. Jak długo działa zabezpieczenie, system nie pozwoli mi zaatakować *Bremse* minami, nawet gdybym wydała takie polecenie z węzła dowodzenia.

Nadbiegło czworo marynarzy. Ciężar ciągłego przyspieszenia odbił się głębokimi bruzdami na ich twarzach, nie wpłynął jednak na szybkość pojawienia się na mostku. Mat nie wyglądała nawet na

zmęczoną.

- Zabierzecie panią Mundy kutrem na obiekt KK1430 - obwieścił im Daniel z doskonałą wymową i oszczędnością. - To węzeł dowodzenia budowanego systemu obronnego. Na jego pokładzie będzie załoga Sojuszu, nie spodziewają się jednak kłopotów. Będziecie chronić panią Mundy i okażecie jej każdą żadaną pomoc. Zrozumiano?

Woetjans uśmiechnęła się szeroko.

- Tak jest, sir! - zawołała.

- Wystartujecie, kiedy znajdziemy się po drugiej stronie planety niż *Bremse* - dodał. - Czyli za siedem minut, więc nie marnujcie czasu.

Adele podniosła się z fotela, starając się nie zatoczyć pod dodatkowym ciężarem swego ciała. Barnes i Dasi bez słowa złapali ją za łokcie i z łatwością unieśli.

- Jestem dumny, że zostałem wybrany, mistrzyni - wymamrotał Lamsøe. - W pani obecności zawsze coś się dzieje.

- Ryzyko zawodowe bibliotekarki - rzuciła z rozbawieniem, które ją samą zaskoczyło.

Ruszyli korytarzem do jednej z okrągłych klatek schodowych. Marynarze nadal ją nieśli, choć uparcie próbowała stanąć na nogi, by nie wyglądać na zupełnie bezradną.

- Baylor na mostek - rozległ się głos Daniela z komunikatora.

- Nigdy nie nosiłam skafandra - ostrzegła ich uczona. - Będę potrzebowała pomocy przy zakładaniu.

Będzie potrzebowała znacznie więcej pomocy, jak również szczęścia. Jak dotąd nie brakowało jej ani jednego, ani drugiego.

A największym szczęściem Adele Mundy było to, że po raz pierwszy tę pomoc *miała*.

* * *

Zbrojmistrz Baylor wszedł na mostek. Miał poobcierane kłykcie lewej dłoni, prawe ramię umorusane po łokieć smarem i minę tak wściekłą, że mógłby stawić czoła foksterierowi.

- Sir - zaczął. - Czeka mnie jeszcze sporo pieprzonej roboty, więc naprawdę byłbym wdzięczny, gdyby od razu przeszedł pan do cholernej rzeczy!

- Mianuję pana oficerem bojowym - obwieścił spokojnym tonem Leary. - Oto pańska konsola. - Wskazał na pulpit nawigatora, wolny od odejścia Adele. - Zaprogramowałem pierwsze dwa pociski, lecz to pan wystrzeli następne. Mam nadzieję, że są jakieś następne na pokładzie?

- Och - wykrztusił oficer. - Ja...

Usiadł na wskazanym miejscu. Pisał na klawiaturze z wprawą kogoś nawykłego do wbijania gwoździ: znacznie silniej niż potrzeba, lecz doskonale precyzyjnie. Tablica pozycyjna zmieniła się w ekran celowniczy - podobny w ogólnym zarysie, ale znacznie różniący się szczegółami, jak też funkcjami poszczególnych klawiszy.

- Cóż, nie różni się wiele od naszego sprzętu - uznał kiwając głową z aprobatą. Odwrócił się do Daniela. - Sir, mamy na pokładzie dziesięć pocisków gotowych do użycia, spoczywających w magazynie. Wydaje mi się, że co najmniej dadzą się wystrzelić. Te kretyńskie czarnuchy zostawiły je w smarze, w którym otrzymały je z fabryki. Przysięgam! Niemniej zbudowano je na Pleasaunce i wygląda na to, że układy napędowe mają w pełni sprawne. - Pokręcił głową. - Modele o słabym przyspieszeniu. Maksymalnie 7 G. Na Boga, żałuję, że nie zdążyliśmy zabrać z *Aglai* moich pociech, zanim, zanim...

Orbitując, *Księżniczka Cecile* znalazła się nad miastem Kostromą. Kwadrant wyświetlacza

porucznika ukazywał powiększenie obszaru poniżej. Nad stolicą wstawał świt, lecz pod kłębamii dymu wciąż szalały pożary. W Pływającej Przystani rozbłyskiwały eksplozje.

Stacjonujący na powierzchni okręt wojenny ostrzeliwał okolicę szybkimi, nerwowymi salwami plazmy. O ile Daniel wiedział, nie istniał żaden wróg, którego można by nimi porazić.

- Tak - mruknął porucznik. - Ja również żałuję.

Gdyby miał czegokolwiek żałować, to zacząłby od czegoś innego niż transfer pocisków pomiędzy okrętami. Byłoby to zadaniem na cały dzień; poza tym brakowało im ciężkiego sprzętu do ich przewozu. Rozumiał jednak, że Baylor opłakiwał utratę „swoich pociech”. Były nimi w każdym sensie prócz fizycznego.

Teraz obdarzył go bladym, lecz pełnym wdzięczności uśmiechem.

- Przypuszczam, że podczas wojny wydarzają się gorsze rzeczy - oznajmił. Sięgnął po przełącznik komunikatora, dodając uczynię Massimo odpowiedzialną za wyrzutnie. Jest dobra. Mam dobry zespół.

Wymiana wiadomości pomiędzy *Bremse* a planetą osiągała coraz wyższy poziom frustracji, w miarę jak okręt otrzymywał coraz więcej sprzecznych meldunków, spowodowanych kompletnym załamaniem się komunikacji cywilnej. Jako iż siły Sojuszu nie zdążyły jeszcze zbudować alternatywnej łączności, porozumiewano się raczej pomiędzy poszczególnymi komunikatorami niż w ogólnym systemie, będącym w stanie analizować dane ze wszystkich punktów jednocześnie.

Mocowania cofnęły się ze szczękiem. Z ładowni wyleciał kuter. *Księżniczka Cecile* zadygotała. Chwytały się, by umożliwić zamknięcie korwety.

Leary zastanawiał się, czy zamieszanie w Kostromie wynikało z jakichś działań Adele, o których zapomniała mu powiedzieć, czy stanowiło tylko rezultat przybierającej na sile katastrofy. Ludzie mówili o „mgłę wojny”, lecz prawda była znacznie bardziej okrutna. Podczas wojny ogień trawił wszelkiego typu źródła informacji. Sprzęt zawodził, a ludzie tracili go, próbując zapobiec tuzinom katastrof na raz.

- Myślałem, że to pan będzie obsługiwał konsolę bojową, sir - zauważył Baylor.

Jego rozpostarte dłonie spoczywały na wirtualnej klawiaturze. Wpatrywał się w wyświetlacz z determinacją jego ukochanych pocisków.

Daniel spojrzał na niego. Zbrojmistrz wprowadzał prawdopodobne kursy w oparciu o możliwe położenia celu i wyrzutni. Trajektorie te trzeba będzie doprecyzować, gdy nadejdzie czas odpalenia pocisków, lecz umieszczenie w komputerze wzorca przyspieszało działanie o sekundy lub wręcz minuty.

- Jeśli dojdzie do wymiany ognia, zbrój mistrzu - odrzekł będą zajęty resztą okrętu. Gdyby sprawy poszły lepiej, niż oczekuję, po prostu zaczekamy tutaj na powrót kutra.

Na wyświetlaczu młodego oficera rozgorzał szczególnie jaskrawy rozbłysk. Obrócił się, by dokładniej przyrzeć się widokowi. Pływającą Przystań całkowicie spowiły tumany pary. W którejś z zacumowanych jednostek musiało dojść do krytycznej awarii reaktora.

- Nieźle sobie poradziły, prawda, sir? - rzucił Baylor z przebiegłym uśmiechem, patrząc na wyświetlacz ponad ramieniem Daniela. - Mam na myśli moje po... to jest, nasze pociski z *Aglai*.

- Całkiem nieźle, zbrój mistrzu - przytaknął Leary. - Nauczyły czarnuchów, co to znaczy zdrzeć z Cinnabarem.

Powiedział to, żeby pocieszyć zbrojmistrza, jednak jemu również przyspieszył puls. Tego typu morderczy patriotyzm był dziecinny i barbarzyński. Co nie umniejszało odczuwanej radości.

Pociski *Aglai* wyposażono w podwójny napęd i dwa systemy przemiany antimaterii. Prawdziwe unikaty, nie stosowane przez żadne inne liczące się marynarki.

Kostroma zakupiła na wyposażenie swoich okrętów wojennych pociski o pojedynczym napędzie. Były znacznie tańsze, jako iż ich jedyny kosztowny element stanowił Szybki Napęd.

Naprowadzanie ładowano przed odpaleniem. Złożone sensory i systemy naprowadzające byłyby marnotrawstwem pieniędzy - ze względu na wielkie prędkości i balistyczny charakter pocisków przy standardowym zasięgu rażenia.

Pociski *Księżniczki Cecile* miały te same rozmiary i rozwijały taką samą prędkość jak pociski *Aglai* - lub *Bremse* - lecz w znacznie wolniejszym tempie. Dawało to przewagę przy krótkim zasięgu, a gdyby doszło do potyczki z krążownikiem Sojuszu, to w kategoriach międzygwiazdnych byłaby mowa o naprawdę bardzo krótkim zasięgu.

- Jak sądzisz, zbrojmistrzu, co nasi przyjaciele z Sojuszu na nas wyślą? - zapytał Daniel. - Gdyby do tego doszło.

Baylor zmarszczył nos.

- Tylko cztery wyrzutnie - zauważył. - Systemy celownicze te same, co w okrętach klasy *Krestovika* z dwukrotnie większą liczbą wyrzutni, dzięki czemu mogą prowadzić ostrzał w dziesięciosekundowych interwałach, jak długo wystarczy im zapasów w magazynach. - Rozpostarł drobną, ale muskularną dłoń nad klawiaturą, nie dotykając jej. - To jedynie przypuszczenie, ale biorąc pod uwagę konieczność przewożenia pełnej warstwy obronnej, przypuszczam, że mają na pokładzie 36 pocisków. Może 38, jeśli ich zbrojmistrzowie znają się na swojej robocie, albo 20, jeżeli jakiś idiota z mnóstwem gwiazdek na pagonach pomyślał sobie: „I tak nie będziemy tutaj z nikim walczyć, więc wykorzystamy przestrzeń ładunkową na coś pożytecznego, na przykład lepsze racje żywnościowe”. - Odchrząknął z nagłym zakłopotaniem. - Nie było moją intencją urazić pana, sir - dodał.

- Nie poczułbym się urażony, nawet gdybym miał mnóstwo gwiazdek, zbrojmistrzu - zapewnił go młody oficer. - A zdecydowanie ich nie mam.

- Rzecz w tym, sir - ciągnął starszy mężczyzna - że tamte będą miały duże przyspieszenie, a nasze nie. Tego nie obejdziemy.

- *Bremse* do niezidentyfikowanej jednostki na 39 000 kilometrów! - warknął komunikator. Krążownik Sojuszu nareszcie dostrzegł kuter. Szkoda, ale porucznik spodziewał się tego. - - Wyłączyć silniki i natychmiast zidentyfikować się, inaczej was zniszczymy. Powtarzam: zidentyfikować się natychmiast! *Bremse*, koniec przekazu!

Daniel dotknął guzika, którego osłonę zabezpieczającą usunął jeszcze, zanim *Księżniczka Cecile* znalazła się na orbicie. We wszystkich pomieszczeniach rozległ się trzytonowy, pulsujący alarm generalny.

Zabrał palec z przycisku i rzucił do komunikatora:

- Wszystkie stanowiska. Przygotować się do akcji.

Po czym dodał do Baylora:

- No cóż, zbrojmistrzu, przekonajmy się, co uda nam się z tym, co mamy.

Maskując wątpliwości krzywym uśmiechem, Leary trącił przełącznik, odpalając pierwszą parę pocisków.

* * *

- ...powtarzam: zidentyfikować się natychmiast! - mówił głos w komunikatorze. - *Bremse*, koniec przekazu!

- Aż się zdziwisz - mruknęła Woetjans, wpatrzona w niewielki wyświetlacz kutra. - Lamsoe,

schowaj nas w cieniu którejś z min. O ile zdołasz. Wolałabym, żebyśmy znaleźli się za węzłem dowodzenia, ale jesteśmy, cholera, za daleko.

Na pokładzie kutra Adele straciła wycucie kierunku i odległości. Ze względu na ciasnotę tablica pozycyjna wyświetlana była na wklęsłych soczewkach przed Lamsoe - pilotem - zamiast w postaci trójwymiarowego hologramu nad konsolą. Bibliotekarka nie była nawet pewna, czy kuter był jednym z punktów na zakrzywionej powierzchni, czy też może stanowili środek niskiego horyzontu wyświetlacza.

Obróciła się do Dasiego, przypiętego do rozłożonego siedziska koło niej.

- Ostrzelają nas? - zapytała. Dopiero potem pomyślała, iż marynarz mógłby uznać, że się bała.

Dasi wzruszył ramionami, choć luźny skafander ledwo się poruszył.

- Mogą próbować, ale nie sądzę, żeby zbyt wiele osiągnęli z odległości 40 000 mil. Wie pani, jak rozprasa się plazma.

Kuter wyposażono w jeden silnik. Pokład zadygotał, gdy dysze zmieniły pozycję. Kiedy napęd pchnął ich w nowym kierunku, Adele zawisła w pasach, a groź próbowała oddalić się od niej. Wywołane odrzutem plazmowym drgania wzbijały w powietrze migotliwe cząsteczki kurzu.

Próbowała się umościć. W skafandrze kosmicznym rzecz niemożliwa do zrobienia. Skafandry przeznaczone były do wychodzenia w próżnię, nie do pracy. Były niewygodnymi konstrukcjami z gumowanej tkaniny z usztywniającymi obręczami. Jeden rozmiar dla wszystkich, co w przypadku uczonej oznaczało kompletne niedopasowanie. Mocowane do mankietów rękawice występowały w trzech rozmiarach, choć te oznaczone jako „małe” i tak były na nią zbyt wielkie.

Hełmy odlano z plastiku w kształcie dna dysz testowych, przejrzyste z przodu i z okrągłymi soczewkami po bokach. Na pokładzie kutra Cinnabarczycy otworzyli je i zawiesili na umieszczonym na karku zawiasie. Brakowało w nich sprzętu komunikacyjnego, a plastik nie był na tyle przezroczysty, by umożliwić pilotaż pojazdu kosmicznego.

- Myślicie, że jesteśmy warci pocisku? - zastanawiał się na głos Barnes.

Nikt nie wydawał się zbyt przejmować ani sytuacją, ani stanem Adele.

- Takie maleństwo? - prychnął Dasi. - Nie! Choć nieźle się go prowadzi, nie?

- Kapitan odpalił salwę - oznajmiła mat. Bibliotekarka nie potrafiła rozszyfrować emocji, które słyszała w jej głosie. - Przypuszczam, że stara się odciągnąć od nas krążownik.

- Boże, miej litość! - mruknął pilot. - To wielkie bydlę zje ich na surowo.

Jego palce przebiegły po klawiszach. Silnik nagle zgasł. Dysze obróciły się i ponownie plunęły ogniem. Obojętnym głosem zawodowca Lamsoe dodał:

- Minuta trzydzieści do dokowania.

Cała czwórka marynarzy wpatrzyła się w wyświetlacz. Woetjans stanęła obok konsoli, trzymając się mocowania, ponieważ nie była przywiązana. Siedzący naprzeciwko siebie Barnes i Dasi pochyliłi się naprzód, by lepiej widzieć.

Adele widziała wyświetlacz obok ramienia pilota, lecz ten widok nic jej nie mówił. Pełnowymiarową konsolę na pokładzie *Księżniczki Cecile* łatwo rozszyfrowała. Trzy wymiary sprasowane do dwóch zamieniały się w obcy świat. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że Barnes i Dasi, którzy (z całym szacunkiem) dodani do siebie mogli tylko w przybliżeniu dorównać jej inteligencją, z pełnym zaangażowaniem przyglądali się danym przelatującym przed jej oczyma niczym świetlny bełkot.

- Pudło! - zawołał Dasi. - Cholera, nawet nie przeleciały blisko!

Barnes potrząsnął z niesmakiem krótko przystrzyżoną głową.

- Cóż, kapitan jest młody - oświadczył. - Nie każdy urodził się oficerem bojowym.

Woetjans z furją obróciła się ku nim.

- Moglibyście przymknąć te wasze cholerne jadaczki? - zapytała. - Nie przyszło wam do głowy, że mógł strzelać w pośpiechu, by ratować nam tyłki?

- Ten drań z Sojuszu nawet nie drgnął - zauważył z zawodem w głosie olbrzym. - Nie trafili w niego, a na pokładzie jest tylko dziesięć pocisków.

- Osiem - poprawił go ze smutkiem drugi marynarz.

Uczoną przeszedł chłód. Jeżeli mat miała rację, to tym gorzej dla porucznika Daniela Leary'ego, że nie wykorzystał dostępnego czasu na przygotowanie ataku na krążownik/stawiacz min. Nie mogła w to uwierzyć: widziała, jak Daniel aktualizował sekwencję odpalania pocisków przez cały czas, gdy przebywali razem na mostku.

Nie, on nie był niedbały. Po prostu nie był zbyt dobry akurat w tym aspekcie swego zawodu. Mówił jej, że przy całej odwadze i biegłości w różnych kwestiach związanych z podróżami kosmicznymi, wujek Stacey nie należał do oficerów bojowych. Najwidoczniej Daniel odziedziczył to po Bergenach.

Szkoda tylko, że dowiadywali się o tym w samym środku bitwy. Choć pewnie nie miało to żadnego znaczenia. Marynarze najwyraźniej od samego początku uważali, że nie dadzą rady wygrać tego starcia.

- Dokowanie! - ostrzegł ich Lamsoe. Uniósł ręce z konsoli i zatrzasnął hełm.

Nad ostatnim etapem podróży przejęły kontrolę systemy automatyczne. Adele poczuła nieznaczną rotację kutra. Nawet dla takich specjalistów, za jakich uważała Cinnabarczyków, ręczne dokowanie byłoby szalonym i czasochłonnym zadaniem.

Sięgnęła po własny hełm. Zawias miała na karku i nie widziała, co robiła. Wielka łapa Dasiego delikatnie odsunęła jej dłonie.

- Proszę się trochę przygarbić, mistrzyni - powiedział.

Próbowała go posłuchać, lecz krawędź hełmu i tak otarła się o jej czoło, gdy osłona opadała na miejsce.

Rozległo się szczęknięcie i poczuła chłód towarzyszący uszczelnianiu hełmu. Włączyła się butla tlenowa. Jednocześnie usłyszała zgrzyt mechanizmu dokującego kuter, łączącego się ze swym odpowiednikiem na powierzchni węzła dowodzenia.

Żeglarze dryfowali w pozbawionej ciężenia kabinie. Z pasów zwisały im ciężkie klucze. Nie mogli zabrać prawdziwej broni, ponieważ programiści nie utworzyliby służy, widząc oczywiste zagrożenie, niemniej dobrze zbudowani takielarze z masywnymi narzędziami powinni bez problemu zapanować nad sytuacją.

Woetjans otwierała właz kutra. Mundy spróbowała wstać. Nie mogła. Dasi - a może Barnes - sięgnął ku niej i rozpiął jej pas bezpieczeństwa.

Właz obrócił się do środka. Uciekające z kabiny w próżnię powietrze porwałoby ją, gdyby Dasi - pomimo zniekształcających soczewek była niemal pewna, że to on - nie przytrzymał jej. Służa węzła znajdowała się trzy stopy od nich, słabo widoczna ze względu na skąpe oświetlenie. Wysoka żeglarka przekręciła koło i pociągnęła, otwierając właz, wykorzystując jako punkt podparcia pokrywę luku kutra. Weszła do środka; marynarze skoczyli za nią. Dasi i Barnes trzymali Adele za ręce, a Lamsoe zamknął za nimi właz.

Wnętrze służy było oświetlone. Po nadymaniu się skafandrów towarzyszy bibliotekarka poznała, że wokół nich rośnie ciśnienie atmosferyczne.

Marynarze otworzyli hełmy. Adele mocowała się ze swoim, dopóki Dasi nie zrobił tego za nią. Powietrze było rzadkie, co w pierwszej chwili ją przestraszyło, lecz takielarze nie zwracali na to

uwagi.

Wewnętrzny właz wyposażono w niewielkie okienko z kratką mikrofonu, który umieszczono tuż pod dolną krawędzią. Za szybką mignęło czyjeś oko.

- Co, u diabła, tutaj robicie? - zapytał brzękliwy głos.

- Jesteśmy z *Katlinburga* - wyjaśniła Mundy z akcentem z Bryce. - Nasz okręt eksplodował w porcie. Wpuście nas.

- Nie powinno was tutaj być - stwierdził głos z mieszaniną złości i zakłopotania.

- Na litość boską, wpuście nas do środka! - zawołała Adele. *Katlinburg* był jednym z transportowców Sojuszu; bardzo możliwe, że do tej pory zniszczyła go jakaś eksplozja. - Potem możemy sobie dyskutować do woli o naszej obecności w tym miejscu!

Oko znikło. Przez dłuższą chwilę uczona bała się, że to już koniec: wystraszeni informatycy zwyczajnie nie wpuszczą obcych do węzła dowodzenia.

Brzęknęły bolce zamka. Luk odchylił się do środka.

Na korytarzu stało czterech zaniepokojonych techników. Nie byli uzbrojeni. Sądząc po ciemnej karnacji i piwnych oczach, pochodzili z Willoughby, świata podbitego przez Sojusz niecałe pięć lat temu.

Prawdopodobnie byli więźniami politycznymi. Władze Sojuszu nie ufały im w najmniejszym stopniu, skoro towarzyszyło im czterech umundurowanych żołnierzy.

Mieli pistolety automatyczne. Wymierzone w Cinnabarczyków.

* * *

Daniel Leary siedział przy konsoli dowodzenia *Księżniczki Cecile*, wtopiony w korwetę na równi z czujnikami pancerza czy Szybkim Napędem, reagującym na jego dotyk.

Hamował przy przeciążeniu 1, 8 G, co było największym obciążeniem, na jakie chciał narazić konstrukcję korwety. I tak hamował ostrzej, niż początkowo zamierzał, wiedząc, że kadłub miał budowę modułową, a konserwował go personel na niższym poziomie, niż akceptowała FRC.

Nie mógł przywyknąć do *Księżniczki Cecile*. Start dowiódł, że okręt był równie zwarty, co jednobryłowe konstrukcje z Cinnabaru. Niezależnie od opinii na temat Kostroman - znali się na budowie statków kosmicznych. *Księżniczka Cecile* stanowiłaby znakomity nabytek dla floty Republiki - mały, zwrotny stateczek, który załoga z pewnością by pokochała. Potrzebował jedynie gruntownego przeglądu, niwelującego dekadę zaniedbań.

Oczywiście, musiał dolecieć do Cinnabaru. W tej chwili Daniel nie przejmował się ostatecznym rezultatem, ponieważ każda cząstka jego istoty koncentrowała się na działaniach mających to umożliwić.

Załoga pokrzykiwała na mostku i przez system łączności wewnętrznej. Nie przyzwyczaili się jeszcze do pracy na tej jednostce, a brak oficerów wprowadzał element chaosu, który w normalnych warunkach nie powinien wystąpić w przypadku takich weteranów.

Cząstka umysłu porucznika pozostawała świadoma tego, co działo się dookoła, lecz zamieszanie docierało jedynie do powierzchni. Rdzeń jego osoby był *Księżniczką Cecile*, której skórę rozgrzewały kolejne smagnięcia plazmy z *Bremse*.

Było rzeczą niesłychaną, by okręt kosmiczny używał do ataku swego drugorzędного uzbrojenia. Nawet teraz, choć *Bremse* i *Księżniczka Cecile* znajdowały się zbyt blisko siebie i leciały za wolno, by pociski okazały się skuteczne, odległość pomiędzy okrętami orbitującymi na różnych wysokościach i w innych kierunkach przekraczała zasięg efektywnego działania dział plazmowych.

Uderzenie jonowe z *Bremse* zniszczyło 13 procent czujników śródokrećcia. Przez chwilę Daniel nie zwracał uwagi na ten problem. Procesory *Księżniczki Cecile* powinny zniwelować stratę. Jeśli będzie potrzebował większej precyzji, wymieni sensory.

Czujniki zewnętrznego pancerza okrętu zawsze doznawały mechanicznych uszkodzeń podczas eksploatacji jednostki. Działo Sojuszu nie uczyniło większych spustoszeń niż trwająca tydzień zegluga w wietrze słonecznym gwiazdy Kostromy typu O.

Włączenie przez Leary'ego silników hamujących oznaczało w praktyce nurkowanie *Księżniczki Cecile* w kierunku planety, okrążanej po coraz ciasniejszej orbicie. W miarę zbliżania się do powierzchni przyciąganie Kostromy i tarcie atmosferyczne w coraz większym stopniu dostosowywało ich do orbity *Bremse*.

Księżniczka Cecile weszła w cień Kostromy. Ostrzał z *Bremse* ustał; lepszy dowódca o wiele wcześniej przerwałby bezużyteczny atak. Ostrzeliwanie *Księżniczki Cecile* niszczyło także własne czujniki krążownika/stawiacza min i zużywało lufy broni przeznaczonej do obrony okrętu.

Rzecz jasna, kapitan *Bremse* prawdopodobnie zakładał, że nie musi obawiać się powolnych pocisków *Księżniczki Cecile*. Zapewne miał rację.

Zbrojmistrz Baylor wystrzelił pojedynczy pocisk. Sygnały Daniela pobiegły do konsoli bojowej i zostały automatycznie przekonwertowane na komendy. Zadaniem oficera bojowego jest przeprowadzenie obliczeń za pomocą własnych sensorów i SI, mających określić pozycję celu w chwili przylotu pocisków.

Relatywnie prosty proces - przy czym „relatywnie” było tu słowem-kluczem - kiedy okręt leciał z normalną prędkością i prowadził działania bojowe na tradycyjne odległości. Jednostka poruszająca się z ułamkiem prędkości światła i atakowana pociskami lecącymi z 0, 6 c nie miała czasu na manewry.

Jako iż kurs pocisku określały dane z czujników o kilkuminutowym opóźnieniu, istniała duża szansa, że w międzyczasie cel zrobił coś, co mogło udaremnić trafienie. Z drugiej strony nie trzeba było przejmować się reakcją ostrzeliwanego statku na pocisk. Wyjątek stanowił strumień jonów, który ma za zadanie spowolnić raketę poprzez zamianę jej substancji na gaz.

W przestrzeni pomiędzy księżycem a planetą cel mógł dostrzec pocisk w czasie rzeczywistym w chwili jego odpalenia. Dysponująca niewielkim przyspieszeniem broń *Księżniczki Cecile* nie stanowiła dla *Bremse* prawdziwego zagrożenia, chyba że cała obsada mostka krążownika/stawiacza min ucięłaby sobie drzemkę. Jednak nawet wówczas system automatycznego unikania przeszkód, przeznaczony do manewrowania w ograniczonej przestrzeni kosmoportu, prawdopodobnie zabrałby okręt z drogi.

Za to pociski *Bremse*...

- Błękitny okręt odpala! - rzucił Dorfman. Leary sam zauważył punkt oddzielający się od niebieskiej ikonki, w marynarce Cinnabaru tradycyjnie oznaczającej wroga. - Baterie obronne!

Daniel zwolnił dźwignię kontrolną, redukując o ułamek pęd *Księżniczki Cecile*. W dziesięciosekundowych przerwach pojawiły się trzy kolejne kropki - był to najkrótszy interwał, w jakim można odpalać pociski, żeby płomień odrzutu poprzedników nie uszkodziły następnych rakiet.

Pociski przyspieszały z pełnym 12 G, lecz kiedy dotrą do wyliczonego punktu, korweta znajdzie się tysiące mil dalej. *Księżniczka Cecile* manewrowała idealnie, a mając Daniela Leary'ego za sterami była bezpieczna, dopóki nie zbliży się do Kostromy zanadto, by móc kontynuować uniki.

Jednak nie chodziło tylko o utrzymanie się przy życiu. Porucznik starał się pilotować dwie jednostki: swoją własną i *Bremse*. Ciągnął za sobą krążownik/stawiacz min niczym psa na smyczy.

Jeśli korweta znajdowała się *tutaj*, to kapitan Sojuszu powinien umieścić swój okręt *tam*.

Proces będzie się ciągnął w nieskończoność, dopóki *tam* nie okaże się punktem, który Daniel wyliczył, zanim jeszcze *Księżniczka Cecile* wystartowała z Kostromy lub dopóki kostromański okręt i jego cinnabarska załoga nie zamieni się w bryłę stopionego metalu, ponieważ młody kapitan zanadto zaryzykował.

* * *

- Nie macie prawa znajdować się tutaj - oznajmiła starsza kobieta, która chyba dowodziła strażnikami. - To miejsce podlega maksymalnej ochronie!

- Właśnie startowaliśmy, żeby wysłać kapsułę pocztową - wyjaśniała Adele. - Statek wyleciał w powietrze, uszkodzając nas, i musieliśmy zadokować tutaj. Musimy skontaktować się z *Bremse*, żeby wysłali pomoc na powierzchnię planety.

- Gmerała przy mankietach rękawic. Nie widziała ich zbyt dobrze przez napęczniałe rękawy, a nie zwróciła uwagi na sposób, w jaki Woetjans je dla niej zamocowała.

- Niech ktoś mi pomoże z tymi przeklętymi rękawicami - rzuciła poirytowanym tonem.

Wyciągnęła ręce do Dasiego, nie zważając na wymierzone w nich automaty. W węźle panowała zerowa grawitacja, niemniej wszyscy unosili się w promieniu 30 stopni od osi wjazdu.

- Jak tu dotarliście? - zapytał technik, mężczyzna koło sześćdziesiątki, co najmniej dwa razy starszy od reszty programistów. - Tylko statki zaopatrzeniowe mogą tutaj dokować, nie narażając się na zniszczenie przez systemy obronne.

Willoughby stanowiło ośrodek produkcji elektroniki i dawało schronienie niezadowolonym obywatelom Sojuszu. Co było cierniem w boku gwaranta Porry i kluczem do niedawnego podbicia planety przez Sojusz: kiedy przybyła flota, fałszywi uchodźcy unieszkodliwili automatyczne systemy obronne.

- Oczywiście, że nic nas nie zniszczyło! - obruszyła się Mundy, gdy Dasi ściągnął jej rękawice. Marynarze milczeli, czekając, aż powie im, co mają zrobić. - Mówiłam wam, że jesteśmy kutrem z *Katlinburga*.

Programistka otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć. Najstarszy technik uciszył ją szybkim gestem.

Informatycy doskonale rozumieli, że sojuszniczy czy nie, kuter nie powinien móc podlecieć do węzła dowodzenia bez uprzedniego wyłączenia systemów obronnych krótkiego zasięgu, które zamontowano na sterzących z kadłuba węzła kratownicach. Każde zbliżenie się obiektu bez właściwych kodów wyzwalało nawałnicę wielościennych, wolframowych pocisków. Jedynie kutry zaopatrzeniowe z *Bremse* powinny dysponować takimi kodami.

Dasi zdjął prawą rękawicę i zabrał się za lewą. *Bremse* przesyłało nie tylko zapasy, lecz także zmianę warty: Adele domyślała się tego po względnie zdrowym wyglądzie strażników na tle ziemistej opuchlizny techników.

Krażownik/stawiacz min utrzymywał sztuczną grawitację dzięki ciągłemu przyspieszaniu. Jego Szybki Napęd zużywał do konwersji molekuly wody. Orbitujący nad Kostromą okręt mógł uzupełniać zbiorniki, lądując co kilka dni na powierzchni na godzinę.

Węzeł dowodzenia był satelitą wyposażonym jedynie w silniki manewrowe. Jego załoga już po kilku dniach odczułaby skutki nieważkości; technicy przebywali w tym zaawansowanym technologicznie więzieniu przez pełne dwa tygodnie od inwazji Sojuszu.

- Paltes, połącz się z okrętem i dowiedz, co, do cholery, mamy z nimi zrobić - rzuciła strażniczka.

- A wy... - Machnęła automatem w stronę Cinnabarczyków i poleciała lekko do tyłu. W odróżnieniu od marynarzy strażnicy Sojuszu nie byli przyzwyczajeni do braku grawitacji. - Wracajcie do służy, dopóki nie powiedzą nam, co mamy zrobić. Nie powinnam była was wpuszczać.

Olbrzym zdjął drugą rękawicę. Stał pomiędzy bibliotekarką a wartownikami. Sięgnęła lewą dłonią do woreczka przy pasie z narzędziami.

- W porządku - powiedziała cicho do pani oficer - ale będziecie mieli kłopoty...

Wyjęła rękę z mieszka i przestreliła jej nasadę nosa. Odrzut - nawet słaby odrzut jej pistoletu - rzucił Adele na bok. Obracając się, oddała jeszcze dwa strzały.

Wartownik, którego prawe przedramię zostało zdruzgotane kulą uczonej, mającą trafić go w pierś, zdołał pociągnąć za spust. Lufa jego broni mierzyła w najdalszą ścianę. Pociski przeorały niszę programistów. Rzadki, szary dym uniósł się z dziur wybitych w komórkowym plastiku.

Adele odbiła się od służy. Okręciła się rozpaczliwie, chcąc ocenić sytuację. Barnes i Dasi trzymali pomiędzy sobą zdrowego strażnika; olbrzymi żeglarz właśnie wylaamywał mu ramię na swym kolanie. Woetjans złapała za gardło strzelca, a sekundę później uderzyła go w głowę kluczem.

Nie musieli martwić się panią oficer ani żołnierzem, którego krew trysnęła po raz ostami, zanim serce przestało bić z braku płynu do pompowania. Kiedy pocisk rozdziera miękką tkankę ludzkiego gardła, zostawia ranę wyglądającą jak lej po bombie.

Mundy schowała pistolet z powrotem do woreczka. Ostrożnie odepchnęła się i poszybowała w stronę pulpitu sterowniczego. Dotarła do innego stanowiska, niż zamierzała, lecz nie miało to znaczenia, gdyż wszystkie były takie same.

Jej noga, czerwona od pęcherza krwi, o który otarła się po drodze, też nie miała znaczenia.

* * *

Poczwórne działo plazmowe *Księżniczki Cecile* ryknęło jak rój rozwścieczonych pszczoł. Miało czterocalowe lufy, dające stukrotne pole magnetyczne. Silniki manewrujące korwety usiłowały utrzymać ją na kursie. Dorfman nie zdejmował palca ze spustu, prowadząc ciągły ogień, pomimo iż w ten sposób topił lufy.

Oszczędzanie dział nie miało sensu w sytuacji, gdy cały okręt mógł zamienić się w rój meteorów spalających się w atmosferze Kostromy.

Bitwa kosmiczna na takie odległości przypominała taniec, w którym partnerzy poruszali się, reagując na siebie wzajemnie. Manewrami rządziły elektroniczne mózgi; mając takie same dane wejściowe, dwa komputery bojowe dochodziły do tego samego, „najlepszego” wyniku.

Daniel był pochłonięty wskaźnikami. Przed rozpoczęciem bitwy zadał SI *Księżniczki Cecile* zestaw szalenie skomplikowanych parametrów. Nie zważając na nadlatujące pociski, korweta utrzymywała kurs przez trzy długie sekundy. Musiała trzymać się wskazań, by zaprowadzić *Bremse* tam, gdzie porucznik chciał go mieć.

Parametry zapewniały im 15 procent pewności sukcesu, co według Leary'ego dawało znacznie większą szansę przeżycia niż w każdym innym przypadku. Być może następnym razem to jemu Los ześle krążownik, którym będzie ścigał jakiegoś biedaka w korwecie Drugiej Klasy.

Roześmiał się ku zaskoczeniu załogi mostka. Pocisk Sojuszu otarł się o *Księżniczkę Cecile*.

Możliwe, że trafił ich nie sam pocisk, lecz kula rozpylonego metalu otaczająca jego podziurawioną jonami głowicę. Pacnęła korwetę, wgniatając kadłub i wyłączając całą elektronikę okrętu, która musiała dokonać błyskawicznej autokontroli. Kadłub zadygotał trzy razy, nim znieruchomiał, jednak wytrenowane nerwy Daniela jeszcze przez dłuższą chwilę wyczuwały

wibracje.

Rozbłysło oświetlenie awaryjne; nie całe. Najwidoczniej część jednostki konserwowano gorzej od reszty. Konsola dowódcy z powrotem ożyła. Główny wyświetlacz wypełnił ekran statusu okrętu; tablica pozycyjna skurczyła się do paska zadań.

Księżniczka Cecile koziółkowała tak szybko, że silniki manewrujące nie mogły dać sobie z tym rady. Daniel zwiększył moc silnika bardziej na wyczucie niż na podstawie odczytów.

Tracili powietrze, lecz przeciek nie był poważny i utrata przebiegała coraz wolniej. Kajuty pomiędzy ramą 79 a 92 zostały poważnie uszkodzone, ale wewnętrzny kadłub nie został przeбитy. Kapitan okrętu podejrzewał - *czuł* - że zewnętrzny również nie. Popękały płyty pancerza, a od uderzeń puściło kilka nitów. Tam właśnie doszło do utraty powietrza.

Ekipa naprawcza Domenico zabrała się już za reperację przerwanego łącza danych na śródokręciu. Korytarzem mostka nadeszli dwaj marynarze, taszcząc kanister ze szczeliwem, po czym skierowali wylot w stronę łączenia pokładu. Szybki Napęd rozgrzał się do czerwoności, ale przyczynę stanowiło wejście *Księżniczki Cecile* w górne warstwy atmosfery Kostromy. Trzeba było szybko podejmować decyzje, najpierw jednak...

Daniel przerzucił wyświetlanie na tryb ekranu bojowego. Widniały na nim dwa pociski, które wystrzelił na samym początku potyczki, powracające z krańcową prędkością.

Zaprogramował je tak, by przez trzy minuty orbitowały wokół planety, następnie zatrzymały się, a potem podjęły pościg za celem. Zmiana kursu wyczerpywała paliwo, lecz pociski o pojedynczym silniku miały taką samą masę konwersji, jak ich dysponujący większym przyspieszeniem kuzyni, ponadto o połowę mniejszy wskaźnik zużycia. Dzięki dodatkowej odległości, jaką przebyły, para pocisków z prędkością 0, 6 c przecięła punkt, w którym mógł znaleźć się *Bremse*. I niemal się znalazł.

Niemal.

Dla sensorów *Bremse* pociski wyglądały jak smugi. Minęły krążownik/stawiacz min w odległości niecałej mili; jeden z nich zapewne nawet bliżej.

Pociski wpadły w atmosferę Kostromy i zamieniły się w kule ognia, podpalając niebo nad całą hemisferą. Ta sama przemiana masy i pędu w energię cieplną obróciłaby *Bremse* w obłok gazu.

Gdyby.

Konsola Baylora wciąż nie działała. Zbrojmistrz miał wyłączoną płytkę dostępu i krzyczał do komunikatora, który położył na podłodze, żeby mieć wolne obie ręce. W magazynie korwety został już tylko jeden pocisk, więc tymczasowy brak oficera bojowego nie był niczym poważnym.

Dorfman nadal dysponował swoją elektroniką, choć zdążył spalić lufy dział. Ta sekcja wyświetlacza statusu okrętu pulsowała czerwienią przed oczami Daniela, przestrzegając przed katastrofą, do której doszłoby w razie ponownego użycia broni.

Dorfman stuknął grubymi palcami w klawisze, wyłączając softwarowy ogranicznik. Eksplodujące działo uszkodziłoby okręt, choć nie do tego stopnia, co trafienie pociskiem Sojuszu.

W ich obecnej sytuacji cztery działa zapewnią niewielką ochronę, ale trzeba było robić, co tylko się dało. Na pokładzie *Księżniczki Cecile* każdy dawał z siebie wszystko - zgodnie z najlepszą tradycją FRC.

Leary zastąpił ekran bojowy tablicą pozycyjną. Minimalne chybienie szarpnęło nerwami kapitana *Bremse*: okręt Sojuszu przyspieszał z niemal 2 G, podążał kursem, jakiego dotąd jeszcze nie obierał.

Za minutę lub dwie dowódca Sojuszu zrozumie, że te dwa pociski stanowiły jedyną szansę *Księżniczki Cecile*. Nie mogła wykorzystać jej po raz drugi. Krążownik/stawiacz min wróci na poprzedni kurs i spadnie na zwierzynę, która nie wykorzysta dłużej planety jako tarczy.

Daniel obrócił korwetę i zwiększył ciąg, wychodząc ze studni grawitacyjnej Kostromy. Jak długo zdołają, będą lecieć do granic systemu. Poczuł, jak policzki obwisają mu pod wpływem przeciążenia. 15 procent szans powodzenia to naprawdę niezły wynik, biorąc pod uwagę inne możliwości, jakimi dysponowali on i załoga.

Teraz nie mieli żadnych szans.

* * *

Adele po raz trzeci sprawdzała architekturę systemu, szukając zabezpieczenia chroniącego *Bremse* przed własnymi minami. Miała pewność, że urządzenie zabezpieczające to osobny chip, a nie program w głównej jednostce kontrolnej.

Była tego pewna, ale nie potrafiła znaleźć żadnego miejsca, gdzie można by umieścić taki chip. W oprogramowaniu też go nie znalazła!

Żywi strażnicy unosili się na środku korytarza, związani drutem. Jeden miał zabandażowane ramię i czoło, drugiemu przykleili złamaną rękę do piersi. Technikom z Willoughby nic się nie stało, niemniej siedzieli równie cisi, jak dwa dryfujące trupy.

Czwórka Cinnabarczyków tłoczyła się wokół konsoli, którą ustawili tak, by wyświetlała okolicę planety. Sfrustrowana bibliotekarka obrzuciła ich spojrzeniem. Popelniała jakiś błąd. Nie była pewna, czy podoła zadaniu pozbycia się blokady, lecz nie spodziewała się najmniejszych kłopotów z jej zlokalizowaniem.

Woetjans miała ponurą minę, kontrastującą z jej radosnym nastrojem, gdy zbliżali się kutrem do węzła dowodzenia. *Wszyscy* takielarze mieli ponure miny.

- Mistrzynie? - zagadnęła ją mat, napotykać wzrok Adele. - Czy jest coś, co możemy zrobić, by pomóc panu Leary'emu? Jeśli nic nie zrobimy, spróbują ucieczki.

- Będziemy mogli coś zrobić, jeżeli znajdziecie ten *przeklęty* bezpiecznik, uniemożliwiający minom zaatakowanie okrętu, który je postawił - odparła uczona tak wściekłym tonem, że nie poznała samej siebie.

- Mistrzynie? - odezwał się najstarszy z programistów. - To jest część odbiornika sygnałów z czujników, a nie systemu kontrolnego. Tamten znajduje się w trzecim gnieździe i ma niebieski pasek.

- Gdzie? - zapytała Woetjans.

Inny programista odwrócił się do konsoli, przy której stał.

- Ta tutaj! - zawołał.

Oslonę przymocowano na zatrzaski. Programista gmerał przy nich, gdy podpłynęli Lamsoe, Barnes i Dasi. Odepchnęli go z taką samą obojętnością, jak Woetjans usunęła z drogi dryfujące włoki.

Lamsoe wsunął łom pod krawędź osłony. Przekręcił. Płyta uniosła się wystarczająco, by dwaj pozostali zdołali wsunąć pod nią palce. Osłona poszybowała w powietrze, otoczona kawałkami połamanych zaczepów.

Adele sprawdziła swoje dzieło. Skoro bezpiecznik został usunięty, nie miała nic więcej do roboty. Jednak była, kim była, zatem weszła do głównej bazy danych w poszukiwaniu schematu systemu kontroli czujników.

Mat sięgnęła ponad ramionami podwładnych. Po chwili dłoń żeglarki pojawiła się z powrotem, dzierząc element, z którego zwisały jeszcze śruby i kawałki gniazda.

W konsoli Mundy szcęknął przełącznik. Z obserwowanego przez marynarzy wyświetlacza znikły, jedna po drugiej, dwie ikony.

Adele nie była pewna, co się stało, dopóki nie usłyszała wiwatów Woetjans i reszty.

* * *

Pierwszą myślą Daniela było, że to błąd systemu, spowodowany zmianą na tablicę pozycyjną. To było zbyt dobre, żeby mogło być prawdziwe.

Mimo wszystko przełączył na bezpośredni obraz krążownika/ stawiacza min i przewinał obraz do chwili na pięć sekund przed zdarzeniem. I tak nie mógł zrobić nic *bardziej* pożytecznego.

Bremse przypominał cylinder o tępym nosie i masie 18 000 ton przy pełnym załadunku. W tamtym momencie orbitował odwrócony w trzech czwartych do *Księżniczki Cecile*, a skrót perspektywiczny czynił go przysadzistym. Gdyby chciał, porucznik obróciłby obraz i ujrzał okręt Sojuszu w pełnej krasie 780 stóp, ale nie potrzebował schematów.

Po pięciu sekundach wzdłuż dłuższej osi krążownika/stawiacza min pojawiła się kreska. Kurzawa atomów przecięła okręt z prędkością światła.

Broń plazmowa nie skutkowała przeciwko gwiazdolotom, ponieważ strumień rozpraszał się w próżni, przebywając astronomiczne odległości. Ładunek bezpiecznie generowany przez jeden okręt raczej nie mógł wyrządzić szkód podobnej jednostce odległej o dziesiątki tysięcy mil.

Mina nie miała ograniczeń co do mocy wytworzonego impulsu. Jej zewnętrzna struktura musiała przetrwać jedynie pierwsze mikrosekundy eksplozji termonuklearnej, aby magnetyczne soczewki zdołały ukierunkować siłę wybuchu na cel.

W praktyce skuteczność soczewek wynosiła 60 procent. 60 procent wybuchu o sile trzech kiloton - nawet nieco rozproszonego odległością - w zupełności wystarczało, by wypatroszyć pancernik.

Bremse rozpadł się, jak trafiony kulą melon. Około 40 jeszcze nie rozstawionych, spoczywających w ładowniach krążownika/ stawiacza min, ładunków eksplodowało po kolei, zamieniając wrak w chmurę gazu.

Daniel zwolnił do I G, po czym nacisnął włącznik alarmu.

- Do wszystkich! - zawołał. - Do wszystkich! *Bremse* zniszczony! Powtarzam: ścigający nas krążownik uległ zniszczeniu!

Przez chwilę myślał o pięciuset ludziach, którzy stracili życie na nieprzyjacielskim okręcie. Nie czuł triumfu ani żalu. Zginęli, służąc swojej ojczyźnie, tak jak Daniel Leary spodziewał się pewnego dnia umrzeć na służbie dla Cinnabaru. Niech tak będzie.

Dorfman wstał i uściskał marynarza z kanistrem szczeliwa. Konsola Baylora ożyła, lecz zbrojmistrz gapił się na wyświetlacz Daniela. Widziano na nim już tylko lekką mgiełkę, która wkrótce przestanie być zauważalna. Wszędzie rozlegały się wiwaty, ale i pełne niedowierzania pytania. Nie wszyscy na pokładzie *Księżniczki Cecile* mogli uwierzyć, że przeżyli i mają szansę przetrwać w najbliższej przyszłości.

Jeżeli istniało Niebo, to musiało przypominać tę chwilę. Przynajmniej dla Daniela Leary'ego...

Porucznik wrócił do tablicy pozycyjnej. Zdawałoby się, iż przez wieczność koncentrował się tylko na trzech punktach: Kostromie, *Księżniczce Cecile* i ścigającym ich *Bremse*. Skomplikowany taniec zakończył się i umysł Daniela oczyścił się do stanu nowo narodzonego dziecka. Teraz musiał wprowadzić korwetę na orbitę, możliwie blisko węzła dowodzenia, żeby ludzie, którzy ocalili mu życie, mogli powrócić na *Księżniczką Cecile*.

Na mostku pojawił się Domenico. Sprawiał wrażenie nieufnego i niezwykle cichego. Powitał dowódcę salutem wskazującym na to, że nie wszyscy marynarze zaniedbywali ceremoniał.

- Szef takielunku prosi o dalsze rozkazy, sir!

Był to jego bardzo profesjonalny sposób na zadanie pytania, czy niebezpieczeństwo naprawdę minęło.

- Tak, to prawda, Domenico - odparł Daniel. - Ale nie ma co rozwalać grodzi z radości, że jesteśmy bezpieczni. Podejmiemy oddział pani Mundy, sprawdzimy stan okrętu i...

Twarz bosmana zeszywniała.

- Sir, proszę spojrzeć na ekran! - zawołał.

Leary obejrzał się za siebie. Na obrzeżach tablicy pozycyjnej pojawiły się trzy nowe kropki. Na ich oczach dołączyły do nich dalsze dwie. Były to okręty wylaniające się z przestrzeni gąbczastej w odległości 15 sekund świetlnych od planety, które następnie kierowały się ku Kostromie, maksymalnie wytracając prędkość.

Daniel włączył sygnał alarmowy i zawołał:

- Do całej załogi!

Do pięciu kropek dołączyły cztery kolejne. Trudno byłoby powiedzieć, że okręty leciały w ciasnej formacji, ale jak na jednostki, które dopiero co wynurzyły się z przestrzeni gąbczastej, zachowywały całkiem niezły szyk. Dowodzący eskadrą admirał powinien odczuwać zadowolenie ze swoich podwładnych.

Nie było najmniejszych wątpliwości, że mieli do czynienia z marynarką wojenną, a nie powracającą na Kostromę kupiecką karawaną.

Ekipy remontowe powróciły do pracy; tylko one hałasowały na pokładzie *Księżniczki Cecile*. Domenico pochylił się nad ramieniem porucznika, by lepiej przyjrzeć się wyświetlaczowi.

- Czy to aby nie TAN 1418? - zapytał.

Tablica pozycyjna *Księżniczki Cecile* przydzielała każdemu obiektowi oznaczenie cyfrowe, o ile ten nie nadawał własnego identyfikatora. Zazwyczaj statki kosmiczne, zarówno okręty wojenne, jak i jednostki kupieckie, przesyłały alfanumeryczne sygnały identyfikacyjne.

Daniel przytaknął. TAN 1418 nic mu nie mówiło.

- To *Rene Descartes*! - wykrzyknął bosman. - Na fiuta Wisznu, sir, trzy lata służyłem na tej starej krypie! Przysięgam na Boga, że kiedy opuszczaliśmy Cinnabar, strzegła Przystani Trzy!

Daniel Leary już chciał zapytać: „Czy jesteś pewny?”, ale ugryzł się w język, zanim zrobił z siebie durnia. Nie wiedział, co powiedzieć. Chyba, że...

- Do wszystkich. Podejrzewam, że zbliżające się okręty to bardzo mile widziana eskadra FRC. Kontynuujcie naprawy, pamiętajcie jednak, gdzie znajdują się wasze stanowiska bojowe. - Już chciał się rozłączyć, gdy coś jeszcze przyszło mu do głowy. Moi rodacy? - dodał. - Dziękuję wam. Wypełnialiście swoje obowiązki zgodnie z najwyższymi standardami Floty Republiki Cinnabaru.

Na całym okręcie rozległy się wiwaty. Wzruszenie ścisnęło Danielowi krtań. Wiedział, że zaraz po przybyciu regularnych jednostek marynarki zabiorą mu dowodzenie *Księżniczką Cecile* i może już nigdy nie zostanie kapitanem żadnego okrętu. Lecz żaden kapitan, *nigdy*, nie miał lepszej załogi od niego!

Ikony na tablicy pozycyjnej zmieniały się w miarę zbliżania się przybyszów do Kostromy. Ostatnie cztery jednostki były prawdopodobnie transportowcami - trzymały się dwie sekundy świetlne za czołowymi. Pięć z nich utworzyło szyk kwiatu z okrętem liniowym w środku.

Oni również zauważyli *Księżniczkę Cecile*. Ponieważ Dorfman nadal pracował w trybie ekranu celowniczego, zapytanie zostało przekierowane bezpośrednio do porucznika.

- Tutaj ORC *Rene Descartes*, dowodzony przez kapitana Lairdena, okręt flagowy admirała Ingreita. Jednostka RM 693, proszę o identyfikację. Over.

Dopiero po chwili Daniel Leary uświadomił sobie, że to oni byli RM 693. Jak dotąd nie miał

okazji, by zapoznać się z numerem identyfikacyjnym *Księżniczki Cecile*.

Wziął głęboki oddech, po czym uruchomił zarówno łączność ogólną, jak i międzyokrętową. Właśnie zamierzał zarzucić rozmówcę bezwartościowymi przechwałkami, które z pewnością zirytują wyższych stopniem oficerów po drugiej stronie linii.

Niemniej i tak musiał to zrobić. Był Learym z Bantry, a jego załoga - *wciąż jego załoga* - z pewnością to doceni.

- Mówi ORC *Księżniczka Cecile* - powiedział. - Pod dowództwem porucznika Daniela Leary'ego. Otrzymujecie zezwolenie na wejście na orbitę strzeżoną przez nasz automatyczny system obronny. - Odchrząknął i dodał - pozwolę sobie stwierdzić, że wasza eskadra jest mile widzianym uzupełnieniem stacjonujących tutaj sił FRC. Przydacie się do uprzątnięcia nieprzyjemnych resztek tam, na dole. *Księżniczka Cecile*, koniec przekazu.

Tym razem pomieszczenia korwety rozbrzmiewały wiwatami na równi ze śmiechem.

- Na Wisznu! - zawołał z zachwytem bosman. - Na Wisznu, sir!

Daniel uśmiechnął się lekko. Wyobrażał sobie słowa admirała Ingreita po usłyszeniu wiadomości. Z drugiej strony potrafił przewidzieć, co w podobnej sytuacji powiedziałby przewodniczący Corder Leary. Przynajmniej w tej kwestii ojciec i syn okazali się wielce podobni do siebie.

Przełączył się na kanał łączności z oddziałem Adele. Lepiej jak najszybciej powiadomić węzeł dowodzenia, w przeciwnym razie bowiem admirał Ingreit i jego formacja znajdą się w zasięgu wrogiego i ewidentnie śmiertelnościanego systemu obronnego.

Księga czwarta

Za konsolami wzdłuż ścian zewnętrznego pomieszczenia siedziało 20 ludzi. Adele nazwałaby ich urzędnikami, gdyby byli cywilami. Nie miała pojęcia, jakie pełnili funkcje na okręcie liniowym.

- Proszę do środka - przemówił mężczyzna siedzący za biurkiem w małym, wewnętrznym biurze.
- I proszę zamknąć za sobą włącz, jeśli łaska.

Bibliotekarka posłuchała go. Nie podobało się jej nieprzyjemne uczucie w żołądku i nie sądziła, żeby była to wina powrotu do normalnego ciężenia po sześciu dniach w węźle dowodzenia, spędzonych w warunkach nieważkości. Dokładnie rzecz ujmując, nie była to prawdziwa grawitacja - *Rene Descartes* przyspieszał z prędkością IG - lecz jedyna różnica, wyczuwana przez Adele, to dwukrotna zmiana kursu okrętu, odkąd znalazła się na jego pokładzie.

- Zakończyliśmy integrację przywiezionego przez was systemu obronnego z ustawionymi przez Sojusz minami - oświadczyła. - Chciałabym wrócić na planetę. Powiedziano mi, że mam porozmawiać z panem o transporcie.

Siedzący po drugiej stronie biurka mężczyzna był wysoki, wysportowany, około trzydziestki. Nosił mundur oficera, jednak na kołnierzu i rękawach brakowało insygniów.

Roześmiał się.

- Owszem - powiedział. - Za chwilę porozmawiamy o transporcie. - Wstał i podał jej rękę przez blat. - Nazywam się Elphinstone. Proszę usiąść, pani Mundy.

W ściany biura wbudowano duże, płaskie wyświetlacze imitujące okna, choć ukazujące różne sceny. Za biurkiem rozpościerało się rozgwieżdżone niebo, zupełnie jakby pomieszczenie wychodziło prosto w próżnię. Uczona uznała ten efekt za niepokojący, co zapewne było zgodne z intencją Elphinstone'a.

Miał mocny uścisk dłoni; odrobinę zbyt mocny. Bawił się w dziecinną grę, polegającą na miażdżeniu dłoni drugiej osoby. Demonstrował, o ile był silniejszy od drobnej kobiety, sugerując w ten sposób, że całkowicie kontroluje sytuację.

Adele wyobraziła sobie jego oczy wybałuszające się po obu stronach dziury po pocisku. Potrząsnęła głową w gwałtownym przypiływie niesmaku wobec samej siebie. Marynarze bardzo się starali, lecz całkowite usunięcie z węzła kontrolnego zapachu rozkładającej się krwi okazało się niewykonalne.

Elphinstone już się nie uśmiechał. Zakaszał, po czym ruchem ręki wskazał na pojedyncze krzesło z drugiej strony biurka i powtórzył:

- Proszę usiąść, mistrzyni. - Odzyskał opanowanie, moszcząc się na własnym, znacznie wygodniejszym krześle. - To zaszczyt panią poznać - oznajmił. - Wie pani doskonale, jak bardzo przyczyniła się do naszego łatwego zwycięstwa na Kostromie.

Mundy przyglądała się ścianie ukazującej widok na miasto Kostromę z pozornej wysokości tysiąca stóp. Do tej pory ugaszono większość pożarów. Siły naziemne Sojuszu okazały się skłonne do kapitulacji, gdy tylko zorientowały się, że zostały uwięzione pomiędzy nieprzyjacielską flotą a automatycznym systemem obronnym.

Sami Kostromianie podeszli do tego zgoła odmiennie, kiedy tylko ujrzeli, że personel Sojuszu znalazł się nagle na ich łasce. Zabójstwo stanowiło część składową lokalnej kultury; litość dla wroga - nie. Z raportów, którym Adele przysłuchiwała się w węźle kontrolnym, wynikało, że najszybciej zareagowali ludzie noszący barwy Zojirów, zwracając się przeciwko dotychczasowym sojusznikom.

Może mieli nadzieję, że ich sąsiedzi zapomną, co wyprawiali raptem kilka tygodni temu.

- Byłam częścią zespołu - odrzekła. - Jestem dumna, mogąc to powiedzieć. Poza tym pomogłam uruchomić system obrony, więc chciałabym już wrócić na ziemię.

Cinnabarscy technicy dysponowali sporymi umiejętnościami, nie znali jednak szczegółów działania systemu Sojuszu i brakowało im jej zdolności do wyszukiwania dróg w nieznanym terenie. Wraz z czwórką programistów z Willoughby - którzy po uwolnieniu przystali do nich na ochotnika - sprawowała kontrolę nad węzłem dowodzenia Sojuszu, dopóki oba systemy nie zostały w pełni zintegrowane, przynajmniej według standardów Adele Mundy.

- Jest pani stanowczo nazbyt skromna - stwierdził mężczyzna z chichotem, przywodzącym Adele na myśl strumień oleju. - Na szczęście, ma pani przyjaciół, a oni nagłośnili jej zalety, że tak się wyrażę. W przeciwnym razie... - Nie nastąpiła żadna zmiana tonu, lecz twarde, brązowe oczy rozbliły. - Byłyby pewne komplikacje z powodu pani przeszłości.

- Jeśli dobrze rozumiem - odparła Mundy doskonale obojętnym, jakby syntetyzowanym głosem - dziewięć lat temu ogłoszono Edykt Pojednawczy, który przywrócił ocalałych z Konspiracji Trzech Kręgów na łono społeczeństwa Cinnabaru.

Nie było sensu udawać, że nie ma pojęcia, o co chodzi tej *ropusze*. Wiedziała, co się święci, jak tylko weszła do jego biura.

Pokład przesunął się, gdy *Rene Descartes* zmienił hals, aby ciągle przyspieszenie nie wypchnęło ich poza system. Poczula, jak zakręcił się płyn w jej uchu wewnętrznym, niemniej „dół” pozostał tam, gdzie był.

Miesiąc temu chciałyby dostać mdłości. Teraz jej umysł nazbyt zajmował proces ustalania, w którym miejscu ciała tego człowieka najlepiej umieścić kulkę, i to było znacznie gorsze.

- Jak wspominałem - rzekł Elphinstone - ma pani przyjaciół. Admirał Ingreit użyje wszelkich wpływów, by wymazać wszystkie niepozytywne zaszłości. A ja... - Zaśmiał się przymilnie; Adele mimo woli przypomniał się szczerzy śmiech Daniela Leary'ego. Sam znam paru ludzi. Rozumie pani. - Złożył dłonie w namiocik i ciągnął - niemniej dla dopełnienia formalności chcielibyśmy, żeby podpisała pani raport stwierdzający, iż wykonywała pani rozkazy admirała Ingreita. Zapewniam, że w najmniejszym stopniu nie umniejszą to pani zasług.

Bibliotekarka odchyliła się na oparcie krzesła. Daniel mógłby uznać to za zabawne.

- Co z porucznikiem Learym? - zapytała.

- Ach, tak, porucznik Leary - powtórzył mężczyzna. - Tak, to bardzo interesująca sytuacja. Padły już z góry pytania, jak udało mu się przeżyć, podczas gdy wszyscy jego przełożeni zginęli w walce.

- Zostali straceni w Wielkim Salonie Pałacu Elektora - skorygowała tonem, którego używała, odkąd wkroczyła do tego biura, do tej *nory*. - Każdy z nich otrzymał jeden strzał w głowę, z wyjątkiem mężczyzny utrzymującego, że reprezentuje Biuro Floty. Domyślam się, że w rzeczywistości był szpiegiem. Strzelono do niego dwukrotnie, ponieważ miotał się po podłodze.

Elphinstone zamrugał oczami. Adele nie była pewna, czy bardziej zaskoczyły go jej słowa, czy raczej ich implikacje. Po dłuższej chwili mruknął:

- Tak, rozumiem. Aha.

Odchrząknął i kontynuował znacznie chłodniejszym tonem, zapewne bardziej dla niego naturalnym.

- Widzi pani, mistrzyni, porucznik Leary to krnąbrny młodzieniec, który mógłby narobić masę kłopotów sobie i innym, gdyby tylko mu na to pozwolono. Dlatego właśnie to takie ważne, żeby jak najszybciej zarejestrować pani raport z wydarzeń. Admirał Ingreit bardzo na to nalega.

Adele Mundy wstała.

- Nie wydaje mi się, żeby admirałowi spodobał się mój raport - oznajmiła. - Będzie dokładny i prawdziwy. A teraz, skoro zakończyliśmy już naszą rozmowę, czy może skierować mnie pan do osoby, która zabierze mnie na planetę? Nie podoba mi się atmosfera na tym statku.

- Proszę siadać, pani Mundy - warknął. - Wydaje mi się, że nie do końca pani zrozumiała. Od Edyktu Pojednawczego istniały - wyjątki i obawiam się, że pani nazwisko okaże się figurować pośród nich. Rozumie pani, co mam na myśli?

Adele ruszyła już do drzwi. Obróciła się, przypominając sobie słowa Hogga o agentach. Uśmiechnęła się lekko.

Elphinstone wstał i obszedł biurko, by stanąć naprzeciwko niej. Mierzył ją czujnym wzrokiem, choć oblicze miał nieprzeniknione jak konsola danych.

- Albo pomoże pani ludziom, którzy chcą być pani przyjaciółmi - oświadczył - albo zostanie pani stracona za zdradę stanu. Naprawdę nie ma pani wyboru.

Uczona otworzyła drzwi - włąz, jak pewnie powinna je nazwać, skoro znajdowała się na pokładzie okrętu. Pracownicy podnieśli głowy znad konsol, po czym szybko je opuścili.

- Twierdzi pan, że obywatelka Cinnabaru nie ma wyboru, panie Elphinstone?! - zawołała wystarczająco głośno, by usłyszano ją na końcu korytarza. - Mówi pan, że Mundy z Chatsworth nie ma wyboru?

Spoliczkowała zaskoczonego mężczyznę prawą dłonią.

- Oto mój wybór! - krzyknęła. Palce zapiekły ją, jakby położyła je na rozpalonym piecu. Na policzku Elphinstone'a zapłonęły cztery purpurowe ślady. - Można mnie znaleźć w bibliotece w Pałacu Elektora... O ile znajdzie pan odpowiednio urodzoną osobę, która zgodzi się reprezentować go w sprawie honorowej!

Przemierzyła zewnętrzne pomieszczenie. Nikt nie odezwał się ani nie próbował jej zatrzymać. Bez żadnego powodu skręciła w prawo, choć miała tylko dwie możliwości, a czuła zbyt wielką wściekłość, by próbować dokonywać racjonalnego wyboru.

Szła przed siebie bez celu; buzująca we krwi adrenalina musiała się wypalić. Walka albo ucieczka...

- Mistrzynie? - powiedział znajomy głos. - Mistrzynie Mundy?

Od wielu minut, jakie minęły od opuszczenia biura Elphinstone'a, jej oczy nastawione były wyłącznie na omijanie przeszkód. Nie odróżniała ludzi od grodzi.

Skupiła wzrok i umysł. Znajdowała się w przestronnym pomieszczeniu z włączami wzdłuż ściany - komora dokująca podobna do tej, przez którą przybyła na *Rene Descartesa*. Stało tutaj kilka grupek marynarzy oczekujących na powrót oficerów.

Wołała ją Woetjans. Towarzyszyli jej Barnes, Dasi i trzeci marynarz z *Aglai*, którego imienia Adele nie знаła.

- Jak się pani miewa, mistrzyni? - zapytała Ellie Woetjans. - Słyszeliśmy, że cały czas pracowała pani nad polem minowym.

- W tej chwili nie najlepiej - przyznała bibliotekarka. Twarz jej stwardniała. - Możecie zabrać mnie do Kostromy? Potrzebuję - Urwała. Gdyby rozmowa z Elphinstonem kosztowała ją utratę umiejętności precyzyjnego wysławiania się, to straciłaby więcej niż życie.

Uśmiechnęła się.

- Bardzo *chciałabym* wynieść się z tego statku - dodała.

Przez chwilę nie była w stanie niczego wyczytać z twarzy mat.

Potem Woetjans mruknęła:

- Taaa, pewnie. - Wskazała trzem podwładnym najbliższy włącz. - Zbieramy się - powiedziała. -

Przy odrobinie szczęścia wrócimy tutaj, zanim kwatermistrz zapragnie opuścić okręt.

- Wścieknie się, jeżeli nie zdążymy - zauważył nieznany Adele marynarz.

Barnes zdzielił go pięścią.

- Wówczas ja będę przed nim za to odpowiadała, Blessing, prawda?! - krzyknęła żeglarka z wściekłością w głosie, która wstrząsnęła uczoną nawet bardziej od tamtego ciosu. - Twoja robota polega na wykonywaniu rozkazów, które ja ci wydaję!

Zgromadzeni w komorze obserwowali nieoczekiwany spektakl, lecz nikt nie ruszył się, żeby interweniować. Dasi podszedł do panelu sterowania włazem.

- Taaa - rzucił. - A jeśli wydaje ci się, że masz jakiś problem z tym, co tu się właśnie wydarzyło, to lepiej módl się, żeby pan Leary nie dowiedział się, że próbowałeś robić trudności tej damie. Pewnie kogoś innego uczynią kapitanem *Księżniczki Cecile*, ale do tego momentu będzie ci się wydawało, że umarłeś i poszedłeś prościutko do piekła.

Właz otworzył się. Okazał się wewnętrznymi drzwiami do dużej śluzy, w której spoczywał kuter. Woetjans gestem nakazała Adele przejść przed nią.

Bibliotekarka milczała. Nie miała nic do powiedzenia; poza tym gardło za bardzo ścisnęło jej wzruszenie.

* * *

Kapitan Kryshevski opuszczał swoje biuro godzinę później, niż się spodziewał. Przybytek mistrzyni O'Sullivan będzie otwarty do świtu, lecz miał małe szanse na złapanie powrotnej taksówki do Pałacu Elektora.

Kryshevski mógł kazać zawieźć się pojazdem marynarki, jednak byłoby to w najlepszym razie mało polityczne. Mógł spotkać przy stołach innych oficerów, ale okazałby się głupcem, gdyby zostawiał ślady swoich rozrywek dla ludzi, z którymi ich nie dzielił.

Oczywiście, hazard nie był nielegalny. Tak samo jak gra o wysokie stawki. Lecz mogły paść pytania, a kapitan Kryshevski nie miał bogatej rodziny, co wystarczyłaby za odpowiedź.

Oddał salut wartownikowi i wyszedł na ulicę. Ku jego uldze nieopodal czekał trójkołowiec z cicho pyrkoczącym silnikiem Diesla. Kierowca, starszy mężczyzna, zeskoczył ze swojego miejsca i otworzył drzwi do tylnego siedzenia. Wyglądał na łapserdaka, ale uklonił się i zapytał grzecznie:

- Dokąd, panie?

Kryshevski nie zamierzał spierać się z większym szczęściem, niżli mógł liczyć. Może był to dobry omen przed wieczorną grą. Wsiadł i odpowiedział cicho, żeby wartownik nie usłyszał:

- Ulica Kamieniarska, koło wejścia do ogrodów. Wiesz, gdzie to jest?

- No pewnie, panie - odrzekł starszy mężczyzna.

Zamknął kabinę i z powrotem zajął miejsce na przedzie. Lekki pojazd zakołysał się pod jego ciężarem na pojedynczym, przednim kole. Trójkołowiec zwrócony był już we właściwą stronę. Ruszyli, a rytmiczny turkot kół na betonowych płytach zaczął uśmierzać irytację kapitana wywołaną problemem, który zatrzymał go w biurze. *Niemożliwe* było wykrojenie wystarczającej ilości patroli z oddziału nie przeznaczonego do odgrywania roli sił okupacyjnych.

Trójkołowiec zatrzymał się. Drzwi do części pasażerskiej otworzył średniego wzrostu mężczyzna. Kryshevski rzucił się otwierać zatrzaski swojej teczki, przeklinając się w duchu, że nie nosił pistoletu w bardziej dostępnym miejscu. Uspokoił się nieco, zauważając, że nieznajomy miał na sobie mundur Cinnabaru.

- Ta taksówka jest zajęta! - zwrócił mu uwagę.

- Prawdę mówiąc, tonie taksówka - odrzekł tamten - ale z przyjemnością podwiozę pana tam, dokąd się pan wybiera.

Kierowca wychylił się tak, że Kryshevski dojrzał go przez otwarte drzwi.

- Wiedziałem, że chciałby pan, abym pomógł kapitanowi, panie Danielu - oznajmił z wyraźnym cinnabarskim akcentem.

- Miałaś całkowitą słuszość, Hogg - odparł mężczyzna. Wsiadł do środka.

Kapitan wybuchnął śmiechem.

- Trafiony! - zawołał. - Na Boga, trafiony na amen! Pan jest porucznikiem Learym, a ja unikałem pana przez cały ostatni tydzień!

Daniel zamknął drzwi. Hogg ruszył powoli przed siebie.

- Nawet jeśli - rzekł Leary - to dlatego, że nie wiedział pan, czemu chciałem się z nim zobaczyć.

Służący bardzo wcześnie nauczył go, że dobry myśliwy nie przedziera się przez puszcę, wypatrując zdobyczy: on odkrywa uczęszczaną przez zwierzynę ścieżkę i czeka na ofiarę, która przejdzie nią po raz ostatni.

Hogg nauczył go także, że wnyki były równie skuteczne jak kula, a myśliwy mógł przynajmniej dłużej pospać. Uduszenie oficera personalnego ekspedycji nie popchnęłoby sprawy Daniela naprzód, lecz w ciągu ostatniego, frustrującego tygodnia nie raz i nie dwa wyobrażał sobie kapitana Kryshevskiego z poczerwiałą twarzą i wywalonym na wierzch językiem.

- No cóż, chciałbym, żeby była to prawda, chłopcze - odparował Kryshevski. Zachowywał się, jak na dżentelmena przystało, zamiast rzucać się w furii, że wpadł w pułapkę. - Chyba domyślałem się już, jak udało się panu zgotować Sojuszowi tyle nieprzyjemnych niespodzianek.

Roześmiał się znowu, potrząsając głową. Zaraz spoważniał.

- Dzięki *Księżniczce Cecile* na pańskim koncju pojawi się mała fortunka, kiedy Zarząd Floty postanowi ją zakupić, a jestem pewny, że tak właśnie uczyni. Ale nie otrzyma pan dowodzenia nią na czas powrotu na Cinnabar. Patent powędruje do starszego od pana porucznika. Spójrzmy prawdzie w oczy, chłopcze: będzie to osoba bardziej zainteresowana od pana.

- Tak jest, sir - odrzekł Daniel. - Wiem o tym i nie śmiałybym marnować pańskiego czasu na omawianie tej kwestii.

Przysługi funkcjonowały wszędzie, nie tylko w FRC. Pomagałeś tym, którzy mogli pomóc tobie. Zaprzeczanie temu byłoby równie niemądre, jak sprzeciwianie się uprawianiu seksu czy oddychaniu.

Co nie oznaczało, że starsi oficerowie promowali osoby niekompetentne - żaden zdrowy na umyśle admirał nie chciałby wylądować z bandą protegowanych nie potrafiących skutecznie wypełniać jego rozkazów. *Oznaczało* to jedynie, że z dwóch wykwalifikowanych osób awansowano tę, której koneksje mogły się bardziej przydać decydentowi.

Porucznik nie wyobrażał sobie życia w systemie, w którym osoba podejmująca decyzję nie czułaby się osobiście odpowiedzialna za swój wybór. Nie chciałby żyć w świecie bez przysług. Niestety, dopóki nie zdobędzie wystarczająco dobrej reputacji, żeby jakiś starszy oficer zechciał wziąć go pod swoje skrzydła, nie zważając na możliwy gniew przewodniczącego Leary'ego, sam nie będzie zdolny do oddawania przysług.

- Chciałem jedynie dopilnować papierów związanych z wypłaceniem mojej załodze zdobycznego - wyjaśnił. - W szczególności chciałbym upewnić się odnośnie do mojego pierwszego oficera, pani Mundy, którą awansowałem na porucznika.

- Zrobił pan co? - wykrztusił osłupiały Kryshevski.

- Wiem, że to niezwykle, aby młodszy porucznik kogokolwiek awansował - odparował spokojnie Daniel. - Lecz jak pan - doskonale wie, misja na Kostromę była dowodzona przez admirała, a w

chwili udzielania awansu pozostałem jedynym starszym oficerem. Porucznik Mundy okazała się kluczem do sukcesu całej operacji, co z perspektywy czasu wydaje się oczywiste i niepodważalne.

- Ależ, dobry Boże, chłopcze! - zawołał kapitan. - Nie możesz awansować cywila.

- Pani Mundy otrzymała stopień sierżanta podczas kursu oficerskiego w swojej szkole - odrzekł Leary. Nie miał pojęcia, czy to prawda, ale w przypadku Mundy z Chatsworth było to dość prawdopodobne. - Myślę, że w tych okolicznościach nie musimy przejmować się procedurami.

Kryshevski obrzucił go ostrym spojrzeniem.

- W tych okolicznościach - powtórzył. - W takich okolicznościach, że nie będzie pan robił hałasu o oddanie dowodzenia *Księżniczką Cecile* komuś innemu. To ma pan na myśli, prawda?

- Nie chciałbym stawiać sprawy w ten sposób, sir - orzekł porucznik. - Niemniej może pan zapewnić admirała Ingreita, że nie zamierzam wnosić sprzeciwu wobec jego decyzji personalnych, dotyczących dowodzonych przez niego okrętów. W tym *Księżniczki Cecile*.

- Cwany z siebie obwieś, co? - rzucił tamten pełnym podziwu tonem. - Cóż, przypuszczam, że nie powinno mnie dziwić, iż syn Cordera Leary'ego doskonale wie, że polityka to sztuka możliwego.

Daniel uśmiechnął się bez humoru.

- Kierowca jest moim starym sługą - powiedział. - Między innymi nauczył mnie grać w karty. Szczególnie wbił mi do głowy, żeby nigdy nie przeszarżować z tym, co ma się na rękę.

- Zobaczę, co będę mógł zrobić - obiecał Kryshevski. - Tak między nami, to nie sądzę, aby pańska przyjaciółka musiała martwić się o swój udział. Na Cinnabarze uchylą jej patent, lecz pozostanie on w mocy, kiedy będzie potrzebny. - Westchnął. - Według pewnej szkoły rozumowania - dodał patrząc na nieprzezroczysty, przedni panel kabiny - oficer wystarczająco bystry, by - zdobyć korwetę, jest prawdopodobnie wystarczająco bystry, by nią dowodzić. Zwłaszcza jeżeli okazał się wystarczająco przebiegły, by zniszczyć krążownik Sojuszu.

- *Bremse* był dziełem pani Mundy, nie moim - sprostował cicho młody oficer. - Miałem wiele szczęścia, że służyła pod moimi rozkazami.

Kapitan Kryshevski pokręcił głową.

- Syn przewodniczącego Leary'ego i Mundy z Chatsworth - rzekł. - Dostanie kota, jak się o tym dowie, co?

- Ostatnimi czasy nie widuję mojego ojca zbyt często, sir - odparł Daniel zimnym, jak na siebie, głosem. - Nie wydaje mi się, żeby znał się na sprawach marynarki, a moje relacje z panią Mundy są czysto zawodowe.

Trójkołowiec zatrzymał się. Hogg otworzył Kryshevskiemu drzwi. Ten zatrzymał się.

- Nie pomoże panu, kiedy rozniesie się o naszym spotkaniu - zauważył.

- Zdaję sobie z tego sprawę, sir - oznajmił Leary. - Nie sądzę, aby to nastąpiło.

Kapitan wysiadł. Służący Daniela uklonił mu się ze słowami: - W suficie, po prawej stronie przejścia do pani O'Sullivan, obluźowało się kilka cegieł. Lepiej zaryzykować wdepnięcie w kałużę po lewej niż rozbić głowę w zamian za suche buty.

Kryshevski dał Hoggowi napiwek, na widok którego sługa radośnie uniósł brwi. Kapitan zniknął w bramie, zanosząc się śmiechem.

* * *

Kiedy kroki nie zatrzymały się na pierwszym piętrze, Adele domyśliła się, że będzie miała gościa. Mężczyzna z sąsiedniego pokoju pracował nocami, a kobieta z trzeciego mieszkania wracała o tej porze tylko wtedy, gdy znalazła klienta. Ta osoba nadchodziła sama.

Bibliotekarka wyjęła pistolet i położyła go na biurku, za którym siedziała twarzą do drzwi.

Usłyszała dyskretne pukanie.

- Tak? - odezwała się nie wstając.

- Nazywam się Sand, mistrzyni - odpowiedział kobiecy głos z kulturalnym, cinnabarskim akcentem. - Byłabym wdzięczna, gdyby poświęciła mi pani kilka minut.

Adele zastanowiła się nad sytuacją. Wróciła do mieszkania wynajmowanego przed przewrotem, ponieważ nie miała dokąd pójść. Nadal tak było.

- Proszę wejść - powiedziała. Była pewna, że ktoś ją odwiedzi. Spodziewała się więcej niż jednej osoby, choć może nie tak szybko. - Drzwi są otwarte.

Kobieta miała około sześćdziesiątki. Nosiła długi płaszcz i buty, które nie rzucały się w oczy, dopóki nie uświadomiłeś sobie, ile musiały kosztować. Była ciężkawa, choć nie na tyle, by nawet pozbawiona skrupułów Adele Mundy nazwalają grubą.

- Miło mi, że zgodziła się pani na spotkanie - oświadczyła Sand. Zabrzmiało szczerze. - Przepraszam za późną porę, ale przybyłam tak szybko, jak tylko mogłam.

- Przychodzi pani od Elphinstone'a - uznała Adele. Uśmiechnęła się samymi wargami. - Czy może raczej: Elphinstone pracuje *dla* pani.

Nie poprosiła gościa, żeby usiadła. Na jedynym krześle w pokoju siedziała sama gospodyni.

Tamta zaśmiała się i usadowiła na skraju niskiego łóżka.

- Komandor Elphinstone z całą pewnością *nie* pracuje dla mnie - oświadczyła. - Jest oficerem floty. Cudowni mężczyźni z tych oficerów marynarki. Solidni jak skała, prostolinijni ludzie, niezbędni dla przetrwania Republiki. Niestety... - Urwała, by odrzucić połę płaszcza. Za kostium, który miała pod spodem, Adele mogłaby opłacić całoroczny czynsz. Wyciągnęła z wewnętrznej kieszeni tabakierę z kości słoniowej, poczęstowała uczoną i położyła szczyptę w zagłębieniu lewego kciuka. - Problem z oficerami marynarki wynika z ich przekonania - ciągnęła - że jedyną metodą osiągnięcia celu jest użycie siły. Podczas gdy cywile, tacy jak ja czy pani, wiedzą... - Zażyła tabaki, zatykając drugą dziurkę nosa, po czym gwałtownie kichnęła. - Nic lepiej nie rozjaśnia w głowie - oznajmiła z satysfakcją.

Spojrzała Adele prosto w oczy.

- Czasami jedyne, co można uzyskać, rzucając się głową naprzód, to jej dojmujący ból, pani Mundy - powiedziała. - O jaki często przyprawia mnie ten głupiec, Elphinstone. Mam nadzieję, iż nie powstrzyma to pani przed podjęciem działań korzystnych dla pani i Republiki.

- Udzielę pani tej samej odpowiedzi, co jemu - oświadczyła zimno Mundy.

Czuła się głupio, trzymając pistolet na widoku, choć w tej chwili jeszcze gorsze byłoby chowanie go do kieszeni. Sand nie używała siły - była znacznie bardziej niebezpieczna od tych, którzy się do niej uciekali.

- Jestem tego pewna, o ile zadam pani to samo pytanie - powiedziała tęga kobieta. - A jeśli uważa pani, że *zadałabym je*, to chyba źle oceniłam pani umiejętności analityczne.

Bibliotekarka roześmiała się i odłożyła pistolet - przeprosiny za okazaną głupotę, zrozumiane i przyjęte przez Sand krótkim skinieniem głowy.

- To oczywiste, że udzielona pani pomoc okazałaby się dla mnie korzystna - stwierdziła Adele. - Uczynię to, jeżeli nie narażę przy tym mojego honoru. A powinna być pani świadoma, że w tych kwestiach honor odgrywa dla mnie *istotne* znaczenie.

- Och, nikt nie planuje zamachu na pani honor - zapewniła ją rozmówczyni z humorem w głosie. - A w tak wielkim zwycięstwie kryje się mnóstwo honoru. Admirał Ingreit otrzyma oficjalne podziękowanie od Senatu za zdobycie Kostromy, a jeśli chodzi o porucznika Daniela Leary'ego, to,

cóż, stanie się kilkudniową sensacją, nie sądzi pani? Ostatnią rzeczą, jakiej dopuściłby się mądry dowódca, byłoby oczernianie nazwiska takiego bohatera.

- Pewni ludzie mogą mieć odmienne spojrzenie na tę kwestię - zauważyła uczona.

Sand prychnęła.

- Pewni ludzie są głupcami - oświadczyła. Jej niezbyt atrakcyjna twarz upodobniła się nagle do pyska sprężającego się do skoku buldoga. - Zapewniam panią, mistrzyni, że admirał Ingreit potrafi wysłuchać dobrej rady, jeżeli poda mu sieją w zrozumiałej formie. Moje spóźnienie wynika właśnie z chęci uprzedniego omówienia spraw z admirałem. Adele roześmiała się.

- Poczęstowałabym panią czymś do picia - powiedziała - ale nie mam niczego pod ręką. Szczerze mówiąc, w ogóle nie posiadam zbyt wiele, nawet pieniędzy na opłacenie przyszłego tygodnia.

Sand bez komentarza pokiwała głową.

- Widziała się pani ostatnio z porucznikiem Learym? - zapytała.

Mundy pokręciła głową.

- Nie, odkąd przybyła flota - odparła. - Udałam się do węzła dowodzenia, żeby pomóc w integrowaniu systemów, a Daniel miał własne obowiązki. Mniemam, iż nadal przebywa na pokładzie zdobytego przez nas okrętu, ale po opuszczeniu pancernika nie chciałam zawracać mu głowy. - Uśmiechnęła się półgębkiem. Bałam się, że mogę zarażać, rozumie pani.

Kobieta ponownie pokiwała głową. Otworzyła miszkę przy pasie i wyjęła z niego wizytówkę.

- Wierzę, iż osoba o pani wrodzonych zdolnościach stanowiłaby znakomity nabytek dla Republiki - oznajmiła. - To, co pewni ludzie uznaliby za - proszę o wybaczenie - wady, jest w rzeczywistości fantastyczną przykrywką dla osoby niewątpliwie lojalnej wobec Cinnabaru.

Uśmiech Adele był bardziej cierpki niż gorzki.

- Nie sądzę, aby znalezienie osób wątpiających w moją lojalność nastęrczało jakichkolwiek problemów - rzekła.

Sand wstała i położyła wizytówkę na biurku.

- Wydaje mi się, że omówiliśmy już, jak łatwo jest znaleźć głupców, mistrzyni - powiedziała. - Bardzo staram się nie być jedną z nich.

Na przedzie wizytówki wydrukowano jedynie „Bernis Sand”. Bibliotekarka obróciła ją i ścisnęła przeciwległe rogi. Na gładkiej powierzchni pojawił się dwunastocyfrowy numer, po czym zniknął, gdy przestała naciskać.

- Proszę zadzwonić, gdy przybędzie pani na Cinnabar - zachęciła ją kobieta. Wstała i pieczołowicie schowała tabakierę do kieszeni.

- Dziękuję za sugestię, mistrzyni - odparła Adele - ale nie spodziewam się zawitać na Cinnabarze w przewidywalnej przyszłości. Postanowiłam sobie, że nie powrócę tam, dopóki nie będę mogła uczynić tego na pokładzie okrętu dowodzonego przez pana Leary'ego.

Chrzęknięła. Była bardzo zaambarasowana swoim zachowaniem. Mundy z Chatsworth nigdy nie interesowali się handlem, więc źle się czuła, targując się o cokolwiek. Co więcej, ocierała się o pyszałkowatość, wyznaczając za siebie wysoką cenę w sytuacji, gdy od śmierci głodowej dzieliły ją trzy floreny. W dodatku nie znała się na tyle na marynarce, by mieć pewność, że Sand może zapłacić taką cenę, nawet gdyby chciała.

Uśmiechnęła się. Nie po raz pierwszy odkrywała, że pewni ludzie zrobiliby więcej dla innych niż dla samych siebie. Była to pewnie jedna z najlepszych definicji przyjaźni. Oraz patriotyzmu.

Przybyła wybuchnęła śmiechem.

- O mój Boże, naprawdę ma pani kiepską opinię o funkcjonowaniu floty - orzekła afektowanym tonem. - Cóż, nie dziwię się, zwłaszcza po popołudniowym spotkaniu z Elphinstonem. Zapewniam, że

admiral Ingreit jest zbyt wyrafinowany, by zwracać uwagę na plotki o złych stosunkach Daniela Leary'ego ze swym ojcem.

Uczona zamrugła oczami. Słowa były jasne; żaden marynarski żargon, który tyle razy wprawiał ją w zakłopotanie. Ale miały dla niej mniej więcej tyle samo sensu, co: „Teraz można już oddychać chlorem”.

- Owszem, polityk tak zręczny jak Corder Leary wie, jak ważne dla Republiki jest zdrowie marynarki - ciągnęła Bernis Sand. - A jak lepiej je zdiagnozować niż poprzez własnego syna? Zwłaszcza jeśli chłopak poznaje strony służby niewidoczne dla męża stanu. To również omawialiśmy z admirałem na dzisiejszym spotkaniu.

- Ach - mruknęła Adele. - Rozumiem. - Wstała i okrążyła biurko. - Rozumiem również, iż jestem pani winna przeprosiny, mistrzyni.

Wyciągnęła rękę. Mistrzyni Sand uścisnęła ją mocno.

- Nie ma potrzeby przeproszać, pani Mundy. Nie знаła mnie pani wystarczająco długo, żeby przeprowadzić prawidłową analizę. Ale ja dobrze panią poznałam. Jestem pewna, że w przyszłości nasza rozmowa będzie dużo łatwiejsza. - Otuliła się płaszczem. - Dobranoc, mistrzyni.

Bibliotekarka ponownie odchrząknęła.

- Uważam, że jest typem oficera, jakiego FRC potrzebuje oświadczyła. Z rozbawieniem zauważyła, że użyła marynarskiego skrótu, zamiast powiedzieć „flota”, jak uczyniłaby większość cywili. - Jakiego potrzebuje Republika.

Tęga kobieta spojrzała na nią.

- Ja również tak sędzę, pani Mundy - odrzekła. - W przeciwnym razie dzisiejsza rozmowa przebiegłaby zupełnie inaczej.

Zamknęła za sobą drzwi powoli i z wyczuciem. Wykoślawione odrzwia odskoczyłyby, gdyby Sand nimi trzasnęła.

* * *

Adele szła w stronę zatoki w pełnym blasku dnia. Kiedy Woetjans i Barnes przywieźli jej zaproszenie na pokład znajdującej się na orbicie *Księżniczki Cecile*, spodziewali się, że polecą na kuter ich aerowozem. Pozwoliła im zabrać większość swoich rzeczy z wyjątkiem osobistego terminala, pistoletu i własnej osoby.

Nie zawracała sobie głowy dociekaniem, dlaczego odmówiła. Marynarze zdziwili się, lecz jak zawsze odnieśli się do jej decyzji z szacunkiem; poza tym przywykli do niespodzianek z jej strony.

Będąc Bibliotekarką Elektora zawsze chodziła pieszo, choć zazwyczaj nie w ciągu dnia. Ulice Kostromy z powrotem tętniły życiem. W powietrzu wciąż unosił się lekki zapach dymu, lecz odgłosy prac budowlanych były jeszcze bardziej powszechne, niż kiedy przyleciała tutaj po raz pierwszy.

W Kostromie zawsze było „po kataklizmie”. Inwazja Sojuszu różniła się skalą od przewrotów, pożarów i rewolt z przeszłości, jednak mieszkańcy miasta usuwali jej skutki w wypraktykowany sposób.

Wielu ludzi poniosło śmierć. Część odbudowy prowadzona była przez rodziny nowe w Kostromie, lecz i do tego miasto zdążyło się przyzwyczaić.

Sprzedawca handlował z wózka smażoną rybą w cieście. Jego klienci blokowali chodnik. Na niskim obramowaniu kanału, biegnącego przez środek ulicy, siedziała jakaś kobieta. Przebijając się przez tłum, Adele szturchnęła ją nogą w plecy.

- Czy mogę z panią porozmawiać, mistrzyni? - zapytała kobieta. Uczona odwróciła się. -

Nazywam się Tovera.

Była adiutantka Markosa.

Ulicą kroczyło czterech dobrze zbudowanych pacholków, poprzedzających trójkołowiec. Mundy nie rozpoznała noszonych przez nich barw: fioletowo - brązowych i zielonych. Tłum klientów ścieśnił się na skraju chodnika, schodząc im z drogi.

- Niedaleko stąd jest podwórko - dodała Tovera. Otarcia na jej twarzy i rękach przybrały barwę sepii i chorobliwej żółci. - Powinno być ciszej. W domu nikogo teraz nie ma. - Wstała uśmiechając się lekko. Skrzywienie przy poruszeniu się było niemal niewidoczne. - Pochowano ich w zeszłym tygodniu.

- Myślałam, że nie żyjesz - powiedziała Adele.

Była to połowa prawdy. Nigdy nie uważała pomocnicy Markosa za żywą, przynajmniej nie za żyjącą istotę ludzką.

- Ruszcie się! - warknął jeden z pacholków oczyszczających drogę przed trójkołowcem. Uniósł pałkę, by je nią zdzielić albo szturchnąć.

Tovera odwróciła się.

- Nawet o tym nie myśl - rzuciła miłym tonem.

Sługa odskoczył.

- Pieprz się - wymamrotał pod nosem. Okrążył obie kobiety i pchnął dwójkę cudzoziemców na wózek z rybami.

Bibliotekarka wyciągnęła rękę z kieszeni.

- Tak - mruknęła. - Zejdźmy z ulicy.

Drzwi otwarto siekierami. Panel z brązu ozdobiony był mitologicznym fryzem. Adele zatrzymała się na chwilę, by dotknąć palcami misternie odlanego satyra, unoszącego nimfę; obie figurki zostały pozbawione głów przez ten sam cios.

Nie czuła żalu z powodu śmierci nieznanym sobie ludzi, lecz towarzyszące temu zniszczenie dzieła sztuki wykrzywiło jej twarz wściekłym grymasem.

Przeszła przez zaśmiecony korytarz, idąc za Toverą na dziedziniec na tyłach domu. Drzewko cytrusowe kwitło, a połowa żonkili uniknęła zdeptania.

Była asystentka agenta Sojuszu usiadła na ławce wbudowanej w mur otaczający podwórzec. Uczona zajęła miejsce naprzeciwko, z dala od łuszczącej się już kałuży krwi, nad którą uwijały się maleńkie owady.

- Jedną rękę miałam swobodną - wyjaśniła Tovera. - Wykopałam się spod gruzów, cegła po cegle. Dużo łatwiej szło po odsłonięciu twarzy i odzyskaniu wzroku.

- Czego chcesz? - zapytała Adele. Nie sądziła, żeby adiutantka zamierzała ją zabić, choć nie miała pojęcia, jakiemu innemu celowi miałyby służyć to spotkanie.

- Mówiłam Markosowi, że jest pani zbyt niebezpieczna, aby wykorzystywać ją na jego sposób - oznajmiła z zadumą Tovera. - Nie uwierzył mi. Nie sądził, żebym znała się na ludziach. - Uśmiechnęła się. - Ale na pani się poznałam, mistrzyni.

- Czego *chcesz*? - ponowiła pytanie Mundy.

- Chcę ci służyć - odparła z uśmiechem tamta.

- Nie bądź niepoważna - zachnęła się Adele. Wstała. - Przebywanie w twoim towarzystwie jest zbyt niebezpieczne. - Oblicze bibliotekarki stwardniało. - Jesteś zbyt niebezpieczna, żeby żyć, Tovera. Miłego dnia.

- Mistrzyni! - zawołała dawna asystentka szpiega. Adele zatrzymała się i spojrzała na Toverę. - Jestem niekompletna - wyznała tamta. - Myśli pani, że o tym nie wiem? Obserwuję innych, mistrzyni.

Przypomina to obwodzenie dziury palcami, co jednak jej nie zapełnia.

- Wstała, wykonała krok naprzód i uklękła u stóp Adele Mundy.

- Bądź brakującym kawałkiem mnie - wyszeptowała.

- Wstań - powiedziała Adele. - Wstań, na litość *boską*. Tovera podniosła się z gracją - pomimo bólu, który na pewno przeszywał jej wszystkie mięśnie. Fakt, iż adiutantka przeżyła runięcie muru był chyba mniej zdumiewający niż to, że nadal mogła się poruszać.

- Markos miał cel - oświadczyła cichym głosem Tovera. Planował zostać pewnego dnia Gwarantem Sojuszu Wolnych Gwiazd. Nie wierzyłam w to, ale nie miało to żadnego znaczenia. Oddałabym za niego życie, mistrzyni, ponieważ ja nie mam celu, a jedynie zadania, jakie zleca mi ktoś inny. Wydaje mi się, że pani to rozumie.

Implikacje uśmiechu Tovery były niczym czarna dziura próbująca pożreć duszę Adele Mundy. Jej umysł sformułował słowa: „Jesteś szalona!”, ale nie wypowiedziała ich, gdyż nie były prawdą.

Kostromanka miała rację - była niekompletna. Nie była bardziej szalona od pistoletu Adele. Każde z nich zabiłoby na rozkaz, bez skrupułów i wyrzutów sumienia.

Umysł Adele twierdził: "nie jestem taka jak ty", lecz i tych słów nie wymówiła na głos. W zamian powiedziała:

- Czemu do mnie przyszałaś, Tovera?

Oblicze asystentki pozostało nieruchome. Wzruszyła ramionami.

- Ponieważ wie pani, kim jestem - odrzekła - i wcale o to nie dba. Nie bardziej niż o mój wzrost czy o to, że jestem kobietą. Dla pani to tylko informacja.

Bez żadnego racjonalnego powodu bibliotekarce przyszli na myśl wszyscy, których zabiła na Kostromie. Nie знаła ich nazwisk. Nie znała imienia żadnego z nich i nic, co mogłaby uczynić, nie sprawi, że powstaną z martwych.

Nie potrafiła tchnąć życia w martwą glinę.

- Dobrze, Tovera - oznajmiła. - Nie wiem, czy będę w stanie ci płacić, i nawet nie mam pewności, czy będziesz mogła wrócić ze mną na Cinnabar - choć podejrzewała, że Woetjans przemyciłaby służącą na pokład, nawet gdyby Daniel odmówił zabrania jej - niemniej witaj na służbie w domu Mundy z Chatsworth. - Uśmiechnęła się lodowato. - Obecnie nieco podupadłego, obawiam się.

* * *

Daniel Leary przesunął dłonią przed osłoną twarzy towarzyszki i wskazał na błękitną chwałę Kostromy „wschodzącej” za rufą *Księżniczki Cecile*.

- Czyż to nie wspaniały widok, Adele? - zapytał. - Choć przypuszczam, że widziałaś go już, zanim weszłaś na pokład węzła dowodzenia.

- Miałam wtedy inne sprawy na głowie - odpowiedziała z nutką cierpkiego humoru w głosie, doskonale słyszalnego pomimo zniekształceń radia. - A te hełmy przynajmniej pozwalają cokolwiek dojrzeć.

Dotknęła przezroczystej osłony. Miała na sobie skafander takielarza FRC podobnie jak Daniel i 40 marynarzy pracujących na płaszczu korwety i przy masztach. Kilku z nich nadal nosiło kostromańskie skafandry, większe i trudniejsze do założenia i zdjęcia. Mimo to nie było żadnego porównania pomiędzy strojami przeznaczonymi do pracy w próżni a lekkimi kombinezonami transferowymi, które mieli na sobie raptem kilka minut temu.

Hogg i Domenico na różne sposoby pracowali nad uzupełnieniem utraconego kostromańskiego

sprzętu. Daniel podejrzewał, że oznaczało to, iż *Księżniczka Cecile* wyruszy w drogę na Cinnabar z podwójnym kompletem skafandrów takielarzy. Przynajmniej będą mieli co wymieniać z innymi okrętami w Doku Trzy.

Daniel prowadził Adele za rękę w stronę naprawionej części kadłuba. Przyzwyczyił się do *przywierania-odrywania* się magnetycznych podeszew przy każdym uniesieniu stopy, lecz jego towarzyszka sprawiała wrażenie, jakby wpadła do jeziora smoły. Uwolnienie buta - jednego na raz - odbywało się automatycznie przy umiarkowanym pociągnięciu do góry, lecz porucznik pamiętał, jak frustrujący był jego pierwszy raz.

Miał sześć lat i nosił skafander, który musiał zostać uszyty dla karła. Spacerował po kadłubie wewnątrzukładowego transportowca z wujkiem Stacey'em za rękę. Teraz znajdował się na własnym gwiazdolocie, *dowodzonym* przez niego, opromieniany chwałą odległego świata.

Oczywiście, jego dowodzenie już długo nie potrwa. Cóż, może pewnego dnia. Los dał Danielowi Leary'emu wszystko, o czym marzył jako mały chłopiec: dalekie planety i dowództwo na okręcie kosmicznym. Los zapewne nie odbierze mu tych planet, a nawet jeśli już nigdy nie obejmie dowództwa, to cóż...

Roześmiał się. Bibliotekarka spojrzała na niego.

- Właśnie pomyślałem sobie, że powinienem być ostrożniejszy z życzeniami - oznajmił z zadumą Daniel. - Zabawne, jak to się wszystko czasami układa.

- Tak - zgodziła się Adele. - Faktycznie.

Oficer umieścił dłoń przed hełmem towarzyszki, żeby ją zauważyła, po czym wskazał na mijany właśnie maszt. Sześciu takielarzy unosiło go i opuszczało, chcąc upewnić się, że został właściwie zamontowany. Kierował nimi porucznik Mon, wypożyczony, jako oficer bez przydziału, do pomocy przy remoncie *Księżniczki Cecile*.

- Wymieniliśmy trzy z nich, ponieważ zostały uszkodzone w trakcie bitwy - wyjaśnił Daniel. Porozumiewał się z Adele na prywatnym kanale, nie przeszkadzając pracującym ekipom ani nie narażając się na podsłuchanie. - Gdyby koszt części zamiennych obciążył nasz budżet remontowy, pewnie wymienilibyśmy tylko jeden maszt. Elementy zamienne pochodzą z transportowców przechwyconych w Pływającej Przystani.

- Wobec tego są zdobyczą wojenną? - upewniła się uczona. - Czy to właściwe określenie?

Leary uśmiechnął się lekko.

- To jest słowo, które miałaś na myśli - odparł - lecz w tym przypadku same statki mogą nie zostać uznane za zdobycz. Jednostki Kostromy będą prawdopodobnie zwrócone właścicielom po zapłaceniu flocie za ich odzyskanie. Jednak po takim zwycięstwie oczekuje się, że załogi okrętów wojennych uzupełnią braki w swych jednostkach, jakby to ująć: posiłkując się tym, co znajdują dookoła. - Pacnął poszycie kadłuba czubkiem buta. - W tym miejscu rama kadłuba pękła, gdy otarł się o nas pocisk - stwierdził. - Dobrze, że o tym nie wiedziałem, w przeciwnym razie bowiem bałbym się odwrócić kurs przy pełnej mocy silników.

Adele obróciła się i spojrzała na niego. Uśmiechnęła się.

- Tak, no cóż - przyznał z zakłopotaniem Daniel. - Przypuszczam, że postąpiłbym tak samo, ale martwiłbym się tym.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Jeszcze nigdy nie widział, żeby tak otwarcie okazywała rozbawienie.

- No, może martwiłbym się, kiedy już wszystko by się uspokoiło - dodał z rozpaczą. - Na miłość boską, kobieto, to tylko takie powiedzenie.

- To czysta bzdura - uznała Mundy. - Widziałam cię, kiedy sprawy szły źle, pamiętasz?

- Tak, owszem - przyznał porucznik, czując zakłopotanie z zupełnie innego powodu. - Nie ma wtedy czasu na rozmyślanie, ale cywile tego nie rozumieją. Przepraszam, że wciąż traktuję cię jak cywila.

Ponownie przesunął stopą po kadłubie. Nie mógł nic wyczuć przez usztywniony czubek buta, ale i tak dotyk ten miał bardziej wymiar duchowy niż fizyczny.

- Wiesz, świetnie naprawiało się ten okręt - orzekł. Częstka niego zdawała sobie sprawę, że jego rozmówczyni nie miała o tych sprawach najmniejszego pojęcia. - Na Cinnabarze buduje się wyłącznie kadłuby jednoczęściowe, ponieważ są wytrzymalsze. - Podkreślał słowa stukaniem stopą o metal. - Odpowiedz: kto by się z tym spierał? Ale w całej FRC nie ma korwety, która mogłaby otrzymać takie trafienie jak my, bez odniesienia poważnych uszkodzeń, zaś w całym wszechświecie nie ma jednoczęściowego kadłuba, który można by tak łatwo naprawić. Mówilibyśmy o sześciu miesiącach w Doku Trzy, a nie o tygodniu w Kostromie, gdzie większość prac przeprowadziła załoga okrętu!

- Rozumiem twój punkt widzenia - zapewniła go Adele.

- Obrócił się, by spojrzeć na jej twarz i przekonać się, czy aby znowu nie śmiała się z niego. Raczej nie; przynajmniej nie na zewnątrz.

W blasku słońca rozbłysnął jakiś metal. W próżni nie istniała możliwość właściwej oceny odległości „na oko”, nie miał jednak wątpliwości, że światło odbiło się od kutra. Leciał do *Księżniczki Cecile* z wiadomością, której nie można było przesłać radiem.

Daniel nie miał złudzeń, czego dotyczyła ta wiadomość.

Westchnął, po czym raz jeszcze objął spojrzeniem ogromny glob Kostromy. Otrzymał tak wiele, że narzekanie, iż nie dostał więcej, byłoby niestosowne. Poza tym Leary z Bantry nigdy nie utyskiwał.

- Możemy wrócić do środka? - zwrócił się cicho do bibliotekarki. - Podejrzewam, że to moja następczyni, porucznik Enery, a dobre wychowanie nakazuje powitać ją osobiście. W przeciwnym wypadku mogłaby pomyśleć, że mam coś przeciwko objęciu przez nią dowództwa.

* * *

Porucznik ruszył w stronę mostka, gdy Adele jeszcze wydobywała się ze skafandra próżniowego, korzystając z pomocy dwóch marynarzy. Tovera pozostała w Kostromie, odzyskując sprzęt, „który mistrzyni będzie potrzebować”, z jednego z magazynów Markosa. Uczoną ciekawiło, czyjej nowa służąca radzi sobie z nieważkością i skafandrami lepiej od niej.

Takielarze wrócili do środka przez kilka różnych śluz. Z wyjątkiem około 20 marynarzy, kompletujących zapasy i sprzęt na powierzchni, na pokładzie *Księżniczki Cecile* znalazła się cała załoga.

- Ile jest tych włazów? - Adele zapytała Lamsoe, który uważnie układał jej skafander w szafce razem z innymi.

- Sześć, mistrzyni - odrzekł. - Tak naprawdę, to za mało. Ale nie możemy czekać do następnej elekcji z regulacją takielunku.

Pchnął ją lekko. Tydzień spędzony w węźle dowodzenia nie zwiększył znacząco jej umiejętności poruszania się w stanie nieważkości.

- Jeśli pozwoli pani tędy, mistrzyni, zaprowadzę panią na mostek, do pana Leary’ego.

- Oficer z okrętu flagowego na pokładzie! - rozległo się z komunikatora. Szczęknięta pokrywa głównej śluzy.

Lamsoe wraz z Adele, spieszącą jego śladem, kilkoma skokami przebyli ostatnie 20 jardów do

mostka. Reszta personelu, stojąc na baczność i trzymając się jedną ręką uchwytów, odsunęła się, robiąc im przejście. Umiejętności marynarza były tak wielkie, że szybowali korytarzem bez dotykania ścian.

Odziany w biały mundur ze złotymi sznurami na piersi i szamerunkiem wzdłuż szwów spodni Daniel rozmawiał serdecznie z porucznikiem Monem. Przebrał się w strój galowy, kiedy bibliotekarka walczyła jeszcze ze skafandrem próżniowym. Zauważył ją, lecz był zbyt zajęty, by pozdrowić.

Żeglarz przekazał ją Hoggowi, który delikatnie naprowadził dłoń kobiety na słupek, po czym zniknął w mesie. Traktowali ją jak worek z ziarnem, ale przynajmniej była cennym ziarnem.

Korytarzem nadeszła para nieznanych jej oficerów, w mundurach podobnych do uniformu Leary'ego, poruszając się z wprawą, choć bez polotu Lamsoe'a. Kobieta w wieku dwudziestu kilku lat oraz młody, nie więcej niż piętnastoletni, chłopak.

Zatrzymali się, łapiąc za obramowanie włazu, i wyprostowali. Kobieta zasalutowała Danielowi.

- Porucznik Bara Eney melduje się na pokładzie, sir!

Daniel Leary oddał pozdrowienie.

- Witam na pokładzie *Księżniczki Cecile*, porucznik Eney powiedział. - Myślę, że będzie pani rada z tego, co tutaj zastanie.

Przemawiał tonem nie tylko przyjaznym, lecz wręcz umiarkowanie zadowolonym. Adele usłyszała pomrukiwanie marynarzy o „dziwce przydzielonej w zastępstwie pana Leary'ego”. Sam Daniel wypowiadał się o Eney jako o wysoce profesjonalnym oficerze biegłym w astrologacji.

- Zanim odczyta pani swoje rozkazy, porucznik Eney - dodał teraz - czy mogę przedstawić moich oficerów?

- Proszę bardzo, kapitanie - odrzekła Eney z akcentem zdradzającym jej przynależność do najlepszych kręgów Xenos. - Muszę - jednak nadmienić, iż nie przywiozłam ze sobą żadnych rozkazów. Jak rozumiem, za parę minut powinien nadlecieć kurier z rozkazami od admirała Ingreita, jednak zanim to nastąpi, chciałam zamienić z panem kilka słów.

Porucznik skinął głową, jak gdyby to oświadczenie wcale go nie zaskoczyło. Mundy nie przestawała w duchu marszczyć brwi. Nie wątpiła ani w dobre intencje pani Sand, ani w to, że w końcu dotrzyma zasugerowanej obietnicy; lecz wiele zależało od inteligencji admirała Ingreita. Jeżeli Ingreit był matosem, na co - według Adele - wskazywało zatrudnianie przez niego Elphinstone'a, błyskotliwe, niebezpośrednie podejście Bernis Sand mogło przemknąć tuż nad złotymi ozdobami admirałskiego kapelusza.

- Oto mój pierwszy oficer, pani Mundy - oznajmił Daniel, wskazując na nią stuloną dłonią. - Z pewnością słyszała pani, jak udało się jej przechwycić tutejszy system obrony Sojuszu.

Bara Eney skinęła uprzejmie głową, a młodzian u jej boku wytrzeszczył na Adele oczy. Ta obdarzyła go lodowatym uśmiechem. Z pewnością od samego początku zastanawiał się, co wymiętoszony cywil robił na mostku.

- A to jest porucznik Mon - kontynuował. Mon miał na sobie luźny uniform roboczy. Formalny strój pozostawił na pokładzie *Aglai*, która zatoneła nieopodal Pływającej Przystani. - Został przydzielony na *Księżniczkę Cecile*, by pokierować naprawami. Bez jego wiedzy nie skończylibyśmy jeszcze przez kilka tygodni.

- Kurier z okrętu flagowego na pokładzie! - zaanonsował komunikator.

Głównego włazu strzegł oddział marynarzy dowodzony przez mata. Bibliotekarce wydawało się, że głos należał do Dasiego.

Jakby tego nie słysząc, porucznik Leary odwrócił się, by powiedzieć:

- Mon, pani Mundy, nie wiem, czy zdążyliście poznać porucznik Enery. Obecnie jest oficerem sygnałowym admirała Ingreita, ale rozumiem, iż obejmie stanowisko, na którym będzie mogła wykazać się swymi rozlicznymi talentami.

- Mistrzyni - ukłoniła się uczonej.

Enery wskazała podbródkiem chłopca. Pomimo swego znakomitego pochodzenia porucznik była wyraźnie zakłopotana szczerą uprzejmością Daniela.

- Mój bratanek, Pierś - dokonała prezentacji. - Wnuk admirała Colodiego.

Co ją samą czyniło siostrzenicą admirała. Rzecz jasna, nie stanowiło to niespodzianki.

- Poruczniku Leary - ciągnęła - oto sprawa, którą chciałam z panem omówić. Krążą pewne plotki, których oczywiście nikt nie bierze poważnie. Jeśli jednak zostanie mi powierzone dowództwo, byłabym zaszczycona, gdyby został pan moim pierwszym oficerem.

Po korytarzach *Księżniczki Cecile* rozniósł się szcęk otwieranego wjazdu głównego. Enery uniosła dłoń.

- Proszę mnie dobrze zrozumieć - dodała. - Nikt nie będzie miał panu za złe, jeżeli uzna pan, że nie chce mieć nic wspólnego z żadną dowodzoną przeze mnie jednostką. Pragnę jednak, aby pan wiedział, iż żywię szczerzy podziw dla pańskich uzdolnień.

Mężczyzna przełknął ślinę.

- Pani Enery - odparł - byłbym wielce zaszczycony, gdybym został oddany pod rozkazy oficera o takich umiejętnościach. Zaiste wielce zaszczycony.

Kurierem był oficer w - jak określał to Daniel - mundurze Drugiej Klasy. Urozmaiciło to różnorodność ubiorów na zatłoczonym mostku korwety. Adele zastanawiała się, czy ta sama myśl wyginała w skrywanym uśmiechu kąciki ust Daniela.

Kurier trzymał dokument obwiązany wstążkami i zapieczętowany woskiem. Bara Enery sięgnęła po niego.

- Proszę wybaczyć - rzucił z irytacją nowoprzybyły - ale przywożę rozkazy dla porucznika Daniela Leary'ego.

- Dobry Boże Wszechmogący! - wykrzyknął stojący na korytarzu marynarz.

Enery zbladła. Odsunęła się na bok. Leary wziął dokument i złamał pieczęć. Miał minę, jakby spadł mu na głowę wór piachu.

Przeczytał tekst, po czym uniosł wzrok, by powieść nim po zgromadzonych.

- Z największą przyjemnością - oznajmił drżącym głosem Senat Republiki poprzez swych przedstawicieli w Zarządzie Floty mianuje mnie dowódcą korwety *Księżniczka Cecile* na czas przelotu do Doku Trzy na Cinnabarze, gdzie zostanie ona poddana przeglądowi przez komisję biegłych marynarki. - Uniósł dokument. - Tak mi dopomóż Bóg - dodał pełnym zdumienia głosem.

Porucznik Enery skłoniła się.

- Proszę pozwolić, abym była pierwszą, która złoży panu gratulacje, kapitanie Leary - powiedziała zdławionym głosem.

Musiała poczekać, aż kapitan dojdzie do siebie, by uścisnąć jej dłoń, po czym z kompletnie zagubionym kuzynem u boku pospieszyła korytarzem do głównego wyjścia.

Enery zachowała się z klasą dorównującą Danielowi, pomyślała Adele Mundy. Szkoda, że załoga nie poczekala z wiwatami, dopóki zaambarasowana pani oficer nie opuściła korwety.

* * *

Załoga otrzymała rozkazy; dalsza obecność kapitana na mostku była zbędna. Dzięki wskazaniom

konsoli dowodzenia dało się wiele powiedzieć o stanie statku wchodzącego w przestrzeń gąbczastą, lecz jeszcze więcej można było stwierdzić, znajdując się pod samym czubkiem w pełni wysuniętego masztu, długiego na 97 stóp.

Daniel Leary ostrożnie wyciągnął przed siebie palce lewej dłoni, czując na ich czubkach trzeszczący nacisk uniwersum.

18 z 24 masztów *Księżniczki Cecile* zostało wysuniętych w całości lub częściowo. To pierwsze przejście do przestrzeni gąbczastej stanowiło próbę tak dla okrętu, jak i obsługującej go załogi. Maci czuwalni u stóp skupisk masztów, by przekazać sygnalizowane im przez bosmana rozkazy i ocenić ich wykonanie przez podległych marynarzy. Nie powinno być żadnych problemów, lepiej jednak przekonać się o tym jeszcze podczas pobytu w systemie Kostromy niż w trakcie nieoczekiwanego starcia z krążownikiem Sojuszu.

Szwadron Logistyczny przekazał *Księżniczce Cecile* pięć pocisków, żeby mieli czym się bronić podczas podróży powrotnej na Cinnabar. W miejsce tego przydziału Główny Zbrojmistrz Baylor otrzymał do dyspozycji dwa pełne magazyny - 20 pocisków. Kilku zbrojmistrzów szwadronu odpisało w swych księgach parę pocisków ćwiczebnych, nie odpalając ich, a Daniel skorzystał z przekazanego na konto zdobycznego. Nie słyszał o lepszym sposobie wydania pieniędzy przez kapitana niż na poprawę zdolności bojowej własnej jednostki.

Wokół niego zamigotał złocisty blask, widywany jedynie przez kosmonautów: drżąca poświata energii Casimira, widoczna wyłącznie na obrzeżach rzeczywistości. To, co wyglądało niczym skryte za welonem gwiazdy, nie było ani nimi, ani nawet galaktykami - każdy taki punkt stanowił oddzielny wszechświat, równie kompletny jak wszechświat gwiazdowy, na skraju którego przebywała obecnie *Księżniczka Cecile*.

Hydrauliczny semafor rozpostarł ramiona. Marynarz na dziobie dokonał ręcznej poprawki i szczyt masztu nieopodal Daniela przechylił się o 30 stopni.

Pchana energią Casimira *Księżniczka Cecile* zanurzyła się w rozstęp pomiędzy wszechświatami. Jej kapitan, porucznik Daniel Leary, rozkoszował się swym pierwszym dowództwem.

Dookoła niego rozbrzmiało światło całego istnienia.